Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Ż 39607

PRZYJACIEL MŁODZIEŻY:

pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

R.1899 nr 1-12

LWÓW

IV
Ж 39607
1899

PRZYJACIEL MŁODZIEŻY

PISMO

dla starszej młodzieży szkolnej

(z illustracyami).

Rok I. — 1899.

Wydawca: LEOPOLD WAJGIEL.
Odpow. redaktor: HENRYK KOPIA.

WE LWOWIE.
DRUKARNIA LUDOWA POD ZARZĄDEM ST. BAYLEGO.
plac Bernardyński l. 7.
1899.

ЭК IV/39607

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№

SPIS RZECZY.

I. Artykuły okolicznościowe.

str.

J. F. Wielkanoc 52
Józefowicz F. ks. Obchód świąt Bożego Narodzenia w Polsce 3
K. Fryderyk Chopin (z 1 illustracyą) 161
Karty korespondencyjne z widokami 57
Od Redakcyi 1
Od Wydawnictwa 177
Pini T. W pięćdziesiątą rocznicę (z 2 illustracyami) 49
Stefanowicz A. Juliusz Kossak (z 1 illustracyą) 40
Szafran J. Dwaj obywatele patryoci 145
3. maja 1791 r. (z 1 illustracyą) 65

II. Belletrystyka.

a) Poezya:

Fischer K. Hellada a Rzym 17
Gomulicki W. Bohaterstwo 129
Gr. H. Niegdyś a dzisiaj 2
Vrchlicky J. Legenda o św. Prokopie (przełożył i objaśnił Dr. Fr. Krczek) 8
26, 39, 53, 67, 86, 101, 134, 156, 169 i 186

b) Nowele i opowiadania:

About E. Ziarnko śrutu 97
Copée Fr. Kawałek chleba 148, 163
Daudet A. Ostatnia lekcya 81
Kazi Bek J. Śmierć za siostrę 18
Kipling R. Dwaj mali dobosze 113
Ludwig P. Szalona jazda 33
Mark Twain.. Artykuł pana Bloke 71
Szlejhar J. Moja wigilia 178

III. Artykuły naukowe.

a) Filozofia i estetyka:

M. Velazquez 164
Szkice z zakresu estetyki I. Piękno 100
II. Typ. III. Styl 126
IV. Kompozycya 150
Twardowski K Dr. Pesymizm i optymizm 122
Y. Z dziejów malarstwa polskiego I. Norblin (z 1 illustracyą) 9, 25
II. Bacciarelli 70

b) Historya literatury: str.

K. F. Co warto czytać i dlaczego I. str. 45. II. 140
Fini T. Margier Syrokomli . . . . . str. 22, 35, 56 i 124
Pini T. Miłość Ojczyzny w poezyach Asnyka (z 1 ilustracyą) . . . str. 129, 152, 166, 184
Szafran J. Nestor u Homera . . . . . str. 55, 75, 91, 105

c) Historya powsz., geografia, etnografia:

Deniker Rasy i ludy europejskie 181
O wyspie Kubie 21
Warmski M. Dr. Odkrycie drogi morskiej do Indyi wschodnich 6

d) Nauki przyrodnicze:

Gawęda o ozonie 104
Gawęda o wodzie 134
Moraczewski W. Dr. Z dziejów chemii 37
Moraczewski W. Dr. Chemia teoretyczna 89
Nowe doświadczenia z powietrzem skroplonem 130
Schreiber W. Kilka słów o przystosowaniu ustrojów w przyrodzie 172, 189
Układ dziesiętny a podział czasu i koła 154
W. E. Dr. Z hygieny 23
Wajgiel L. Mowa zwierząt . . . . . str. 10, 27, 59, 73
Wajgiel L. Rak 83

IV. Pogadanki.

Przez *Kropkę* . . . . . str. 13, 28, 43, 77, 139
Przez *Przecinek* 61
Przez *Przyjaciela* 94
Przez *Sz. J.* 109

V. Rozmaitości.

Atlas motyli w naturalnych barwach str. 15. — Do siego roku 29. — Elektryczny listonosz 95. — Filatelia 79. — Jak sobie zrobić maszynę elektryczną etc. 63. — Jubileusze 141. — Kolorowane fotografie 46. — Latawce 190. — Lawntennis 141. — Najnowsze odkrycia i wynalazki 30. — Największe dzwony na świecie 110. — Niebezpieczeństwo telegrafu bez drutów 142. — Niezapalna karta 110. — Odczytywanie pisma pod plamami atramentu 15. — Odezwa w sprawie pisanek 62. — O Transwalu 174. — Partinium 174. — Płaczące drzewo 110. — Poradnik dla zbierających minerały 157. — Poradnik dla zbierających rośliny 78. — Prywatna lektura łacińska 174. — Rudyard Kipling 158. — Sztuczne złoto 95. — Szybkość pociągów w Europie 158. — Szybkość wiatru 174. — Wahanie wieży Eiffel 158. — Zabawy z zapałkami 15. — Zegar kwiatowy 95. — Z wydawnictw polskich 192. — Żywienie ryb w akwaryach 78.

VI. Zagadnienia naukowe.

W każdym numerze (razem 55)

VII. Łamigłówki, zadania etc.

W każdym numerze.

VIII. Skrzynka pocztowa Redakcyi.

W każdym numerze.

IX Różne ogłoszenia.

str. 16, 64, 80, 97, 112, 144, 160 176 i 192.

Nr. 1. We Lwowie 1. stycznia 1899. **Na okaz.**

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.

Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.

Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Światło głowy jest ciepłem serca, a piorunem ręki.“ (*Trentowski.*)

Od Redakcyi.

Jeżeli każde społeczeństwo spogląda na młodzież swoją z nadzieją błogą, ale i z trwożną obawą zarazem, bo wie, iż w niej przyszłość narodu, jego chwała lub klęska, jego życie lub zagłada, to tem bardziej nasz naród jest do tego zniewolony przez swoje wyjątkowe położenie. Po wielu bowiem ofiarach, cierpieniach i porywach rozpaczliwych, po zawodnej wierze w pomoc obcą doszliśmy do przekonania, że na własnych tylko siłach polegać możemy i że powinniśmy wzmacniać i pielęgnować wszystko, co do wzrostu i utrwalenia tych sił posłużyć może.

Stąd płynie przeświadczenie, że w pracy nad wykształceniem i wychowaniem młodzieży naszej nigdy nie zrobimy za wiele, że na całem społeczeństwie cięży obowiązek pomagania młodzieży w zdobywaniu wiedzy i przygotowywaniu się do życia obywatelskiego.

Znaczna część młodzieży naszej rzeczywiście zdaje sobie sprawę z tego, że w smutniejszem i trudniejszem znajduje się położeniu, niż młodzież innych, szczęśliwszych narodów: wie ona, że musi w dwójnasób pracować i chwili żadnej marnie nie tracić, jeżeli istotnie nie mamy zejść do rzędu narodów „mniejszej wartości,“ tam, gdzie chcieliby nas widzieć nasi najzaciętsi wrogowie. Tych zaś, którzy dotąd nie odczuli potrzeby takiej pracy i walki, chcemy o tem przekonać, a przekonawszy, wskazać im broń potężną, niezwalczoną, narzędzie niespożyte: wiedzę wszechstronną i gruntowną. Dopomaganie młodzieży w kształceniu się i nabywaniu wiedzy będzie zatem jednym z głównych celów naszego czasopisma.

Przy obecnym rozwoju wszystkich umiejętności nie podobna nawet żądać od szkoły, aby objąć mogła swym planem to wszystko, czego wymagamy od człowieka średnio wykształconego. Nawet uniwersytet nie może temu celowi zadość uczynić, gdyż jedna część słuchaczy poświęca się ulubionej swej specyalności, druga walcząc z niedostatkiem i pracując w przeróżnych biurach ma ledwie tyle czasu wolnego, aby pozdawać egzamina, dające chleb. Pozostaje zatem jedyna droga ratunku: obfita i systematyczna lektura prywatna, w ogóle kształcenie się samodzielne po za ramami szkolnego planu nauki.

Istotnie czyni tak ta znaczna część młodzieży, która umie myśleć poważnie, która ma inne ideały, niż w teraźniejszości tylko „dobrą klasę“, a w przyszłości „zrobienie karyery.“ Lecz na ileż trudności napotyka każdy taki chciwy wiedzy młody czytelnik! Bez przewodnika nie umie się zoryentować w olbrzymim chaosie produkcyi literackiej naszej i obcej; jedne dzieła są dlań za trudne, inne za kosztowne nie tylko dla studenckiej kieszeni, inne wreszcie wymagają wstępnych studyów i objaśnień, a czytane przez nieprzygotowanego czytelnika, zamiast korzyści raczej szkodę mogą mu przynieść, bałamucąc pojęcia i do mylnych prowadząc wniosków. Czytając tak, co mu w rękę wpadnie, bez żadnego wyboru i systemu, zaspokoi wprawdzie chwilowo głód umysłu, ale posilnego pokarmu nie umie znaleźć lub nie może.

Z tych wszystkich przyczyn młodzież, u nas przeważnie uboga, nie ma — zwłaszcza w miastach prowincyonalnych — dość sposobności do kształcenia się po za szkołą i uzupeł-

niania szkolnej nauki w tych przedmiotach i kierunkach, które po za ramy planu nauk wychodzą, że tu wspomnimy choćby tylko literaturę powszechną lub estetykę.

I w zakresie szkolnych przedmiotów znajdziemy może niejedną rzecz ciekawą, którą nauka szkolna w pospiechu pominąć musi, lub tylko lekko poruszyć zdoła.

Nie tajno nam przytem, że wiedza choćby najgłębsza i najrozleglejsza, to tylko jeden rodzaj broni w tej walce życia, jaka nas wszystkich udziałem. Inne oręże — to uczucie i wola, to charakter i przekonania. Całą skalę uczuć, od religijnych i patryotycznych aż do koleżeńskich, rozwijać i kształcić, wolę hartować, charakter uszlachetniać, przekonania wyrabiać: oto druga część pracy, w której pragniemy iść z pomocą rodzinie i szkole.

Te wszystkie względy mając na oku, postanowiliśmy dla naszej kilkunastotysięcznej armii studenckiej stworzyć wspólne ognisko, w którem nie powinno braknąć światła i ciepła. Jeżeli zdołamy w tej części młodzieży, która tego nie odczuwała, obudzić zajęcie i miłość dla rzetelnej wiedzy, a usunąć skłonność do powierzchownej nauki, jeżeli dopomożemy choć szczupłej garstce przyszłych obywateli kraju do tego, by pierś ich była „nie na miarę krawca, lecz Fidyasza," trudy nasze sowicie będą wynagrodzone.

Nie można atoli sądzić, że chcemy tylko uczyć; obok tego znajdzie się może miejsce dla rzeczy, które bawić będą i po żmudnej pracy szkolnej znużony umysł rozrywać.

Obok celów idealnych i praktycznym służyć będziemy potrzebom, otwierając z czasem rubrykę „Skrzynka Redakcyi", w której z całą gotowością odpowiadać będziemy na zapytania czytelników nie tylko w kwestyach naukowych, lecz w ogóle we wszelkiego rodzaju sprawach, o ile to będzie możliwe przy skromnych rozmiarach pisma.

Odpowiednio do zakreślonego powyżej programu, będą w naszem piśmie następujące mniej więcej stałe rubryki:

1. Artykuły okolicznościowe.
2. Artykuły z dziedziny różnych umiejętności.
3. Pogadanki o różnych sprawach, zwłaszcza na temat życia szkolnego.
4. Rozmaitości. (Drobne zapiski, zabawa, sport i t. d.)
5. Skrzynka Redakcyi.
6. Zagadnienia naukowe, łamigłówki i t. p. (z nagrodami w książkach).

Doskonalenie czasopisma i rozszerzanie jego programu będzie zawsze przedmiotem naszych troskliwych starań. Oby w zamian wszyscy, którym sprawa, przez nas podjęta, leży na sercu, zechcieli wesprzeć nas życzliwą radą i czynną pomocą!

Niegdyś a dzisiaj.

Niegdyś młodzieniec przy ojca boku
Ćwiczył swe członki chłopięce,
W bój krwawy pędził z płomieniem w oku,
Dzierżąc zwycięski miecz w ręce.

Pierś mu rycerski zapał rozpierał —
Walczył dla miłej Ojczyzny,
Choć za nagrodę całą odbierał
Rany zaszczytne i blizny.

. . . . . .

Dzisiaj umilkły surmy bojowe,
Lecz duch narodu nie zginął!
I nad synami — na boje nowe —
Sztandar praojców rozwinął....

Pod tym sztandarem, młodzieży droga,
W trudach i pracy i znoju
Ducha zahartuj na ciosy wroga
I siły wzmacniaj do boju.

Wiedzą i pracą zawsze zwyciężysz —
Ta broń dziś włada nad światem!
Gdy wolę skrzepisz i ducha stężysz,
Pełnym rozwiniesz się kwiatem,

I pomna drogiej ojców spuścizny
Ster chwycisz w silniejsze dłonie:
Natenczas jasna dla Twej Ojczyzny
Zorza przyszłości zapłonie!

H. Gr.

Obchód świąt Bożego Narodzenia w Polsce.

Polska, nie przestając na wzniosłych i pełnych znaczenia obrzędach, ustanowionych przez Kościół na święta Bożego Narodzenia, zaprowadziła mnóstwo sobie tylko właściwych zwyczajów, które podobają się wszystkim, nawet innowiercom, i po dziś dzień w całej pełni są zachowywane. Przypatrzmy się im nieco bliżej.

Dzień, poprzedzający święto Bożego Narodzenia (podobnie jak przy innych świętach uroczystych) jest przeznaczony do przygotowania się na obchód święta przez post ścisły i stósowne modlitwy. W dniu takim w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, dopiero po odmówieniu modlitw wieczornych czyli nieszporów, zabierano się do skromnego posiłku. Składał się on głównie z eulogii t. j. chlebów zbywających od ofiary i z darów bogatszych osób, które z miłości braterskiej ku ubogim składali, co po grecku zowie się ἀγάπη. Stąd i uczty te zwano: agapae. „Eo, quod ob caritatem ex fide celebrarent, agapas vocitabant [1]),“ jak pisze Zonaras, a Tertulian wyjaśnia: „Coena nostra de nomine rationem sui ostendit. Id vocatur, quod dilectio penes Graecos est [2]). Pierwotnie odprawiano agapy w domach prywatnych, gdzie się wierni zbierali dla łamania chleba, t. j. ofiary Mszy św., później w katakumbach, miejscach ukrytych, dla obawy przed poganami; nakoniec przeniosły się do kościołów, dla wygody wiernych, którzy po uczcie zostawali w kościele całą noc na śpiewaniu Psalmów i czytaniu ksiąg świętych. Czuwanie to zwało się vigiliae, od czego potem cały dzień poprzedzający otrzymał tę nazwę.

Przy ucztach przewodniczył kler i rozpoczynał je modlitwą. Podczas agap używano nie tylko chleba i wina, ale też mięsa i różnego rodzaju potraw, posilano się jednak skromnie. W rozmowie miano na celu wzajemny pożytek, zanadto bowiem dobrze wiedzieli biesiadnicy, że „z każdego słowa próżnego, któreby wyrzekli, dadzą liczbę w dzień sądny“. (Mat. 12, 36). Po uczcie czytano lub śpiewano ku czci Bożej ustępy z Pisma św., albo hymny własnego układu. Potem następowała składka na sieroty i ubogich. Zebranie zamykano modlitwą, „dziękując za wszystko w Imię Pana naszego Jezusa Chrystusa Bogu i Ojcu“. (do Efez. 5. 20). Agapy przypominają piękny okres dziejów Kościoła, w którym podniosły duch rodzinny ożywiał wszystkich członków jednego zgromadzenia i w którym zwykłe nawet sprawy życia przypominały o wieczności.

Jak wszędzie, tak i tu szybko potrafiły się wkraść nadużycia, które spowodowały zniesienie agap po kościołach. Wraz z niemi, ustały i czuwania nocne — zniósł je papież Bonifacy I. r. 422 — został tylko post i modlitwy we Mszy świętej. Jedynym wyjątkiem jest wigilia Bożego Narodzenia. Agapy w kościele wprawdzie nie ma; jednak prócz tego jednego obrzędu posiada ona wszystkie inne właściwości dawnych wigilii. W dniu tym zachowuje się post ścisły i dopiero wieczorem, za ukazaniem się pierwszej gwiazdy spożywa się wieczerzę.

Za czasów pogańskich, pod koniec grudnia obchodzono uroczystość narodzenia słońca, czyli właściwie przebudzenia się jego ze snu zimowego, co się zwało u Rzymian natales solis invicti [1]). Według pojęć ludów aryjskich w chwili narodzenia się człowieka wschodzi na niebie gwiazda nowonarodzonego, a ponieważ poganie bogom swoim dawali przymioty i własności ludzkie, przeto i przy narodzeniu się boskiego słońca pojawia się gwiazda na niebie, a tą gwiazdą jest pierwsza, ukazująca się na widnokręgu wieczornym. Dlatego daje ona i u chrześcian hasło rozpoczęcia uroczystości.

Zgromadzeni na wieczerzę łamią się opłatkiem, składając sobie przytem wzajemnie życzenia. Opłatki pochodzą od eulogii, co z greckiego znaczy modlitwę, poświęcenie, pobłogosławienie. Zwyczajnie wyraz ten służył na oznaczenie chleba ofiarnego, pozostałego od konsekracyi, a poświęcony po Mszy świętej, rozdawano zamiast Eucharystyi tym, którzy nie przyjmowali komunii świętej. U Greków przyjmowano je w kościele z rąk kapłana i pożywano naczczo pobożnie i po-

[1]) Dlatego zwano je agapy, że je z miłości we wierze obchodzono.

[2]) Uczta nasza w nazwie okazuje swą pobudkę. Tem zowie się, co u Greków oznacza miłość.

[1]) Narodziny niezwyciężonego słońca.

kornie (eulogie uroczyste), albo nieobecnym a godnym rozsyłano na znak miłości i zjednoczenia (eulogie prywatne). Opłatki więc nie są niczem innem, jak ową dawną eulogią i jak ta stanowiła podstawę pierwotnych uczt miłości, tak i one są początkiem dzisiejszej agapy, t. j. uczty wigilijnej. Łamanie się opłatkiem dzieje się na znak braterstwa, przyniesionego nam przez Chrystusa Pana, który po łamaniu chleba na ostatniej wieczerzy sam powiedział: Dałem wam przykład, aby jakom ja wam uczynił, tak żebyście i wy czynili (Jan 13, 15) i uczy że mamy ostatni nawet kawałek chleba podzielić z bliźnimi.

Pomiędzy życzeniami przy dzieleniu się opłatkiem słyszymy powtarzane na ziemiach całej Polski „Dosiego roku". Archeolodzy nasi suszą sobie głowę nad wytłumaczeniem tego zwyczaju; podają cały szereg hipotez. Najbardziej zbliżona do prawdy, jeżeli nie zupełnie prawdziwa, jest hipoteza profesora Łepkowskiego. Otóż powiada on, że w Wielkopolsce, w okolicy Golańczy, szukał raz chaty zamieszkałej przez najstarszego w okolicy człowieka. Pomimo, że ten nazywał się Marchwicz, nie nazywano go inaczej, jak Dodek, a żonę jego, także w bardzo podeszłym wieku, Dodką, Doskową, Doską. Później, w okolicy Torunia, spotkał się autor z podobnym Dodkiem i Doską — byli to również najstarsi we wsi ludzie. Po długiem badaniu, doszedł on do tego, że Dodkiem nazywają bardzo starego człowieka, a żonę jego, jeśli jest równie podeszłego wieku, Dodkową, Dodką lub Doską. Z tego wynika, że dosiego roku znaczy tyle, co pradziadowskich, matuzalowych lat.

W jadalni zaścielają stół główny pod obrusem sianem, a w rogach sali stawiają snopy różnego rodzaju zboża; później z tej słomy robią powrósła i obwiązują niemi drzewa owocowe, aby lepiej rodziły. Liczby biesiadników nieparzystej, a zwłaszcza 13, dla pamięci Judasza, starannie unikają; przeciwnie liczba potraw zwykle jest nie do pary. Potrawy starym zwyczajem zawsze są jednakie. Jest to także zabytek z czasów przedchrześcijańskich. P. W. Niedźwiecki tłómaczy to w ten sposób: Widząc, że w miarę postępów zimy, słońce coraz to mniej zdolne jest udzielić ziemi ciepła i światła, widząc, że noc ciągle się powiększa, a dzień zmniejsza, człowiek sądził, że słońce jest pokonywane przez duchów ciemności, że się gotuje na śmierć. Kiedy więc pod koniec grudnia, słońce odzyskuje swe siły, poganin ochłonąwszy z przerażenia, cieszył się nadzieją przyszłych urodzajów i widział już w swej wyobraźni zieloność i plony. To też wieczerza wigilijna nie może się obejść bez owoców, stanowiących rzecz najważniejszą i bez zielonego drzewka. Wogóle wszelkie potrawy i napoje wigilijne oznaczają to, czego człowiek wyczekuje od powracającego, rodzącego się słońca, a właściwie lata (wino, miód, śliwki, gruszki, jabłka, mak, kapusta, grzyby, kasza, chleb pszenny niezwykłej wielkości t. j. strucle). W Krakowie, w Warszawie i innych wielkich miastach, wypiekano strucle tak wielkie, że je aż na saniach ciągniono; piekarze wysadzali się na tego rodzaju pieczywa, które potem w darze składali wielkim panom. I tak Łukasz Gołębiowski, w dziele pod tyt. „Domy i dwory" podaje, że w roku 1764., zarazem pierwszym panowania Stanisława Augusta, piekarz warszawski Gottlieb Szyller, ofiarował królowi wspaniałą struclę. Była ona 7 łokci długa, bo wybór króla odbył się dnia 7. września; mąkę wzięto z 17 młynów, na pamiątkę, że król urodził się 17. stycznia; przypraw użyto w liczbie 32, stosownie do lat wieku króla, a niosło ją 9 dzieci Szyllera, bo elekcya króla była we wrześniu, t. j. 9-go miesiąca roku. Król ofiarował tę struclę klasztorowi P. P. Bernardynek.

Z wigilią łączy się drzewko, ustrojone w jabłka i cukierki, błyszczące zapalonemi świeczkami. Początek jego tłumaczą badacze dwojako: jedni z czasów pogańskich, inni uważają je stanowczo za zwyczaj chrześcijański. Wielu z pierwszego obozu wyprowadza je z kultu bogów greckich. P. Ulanowski zaś ogranicza się do mitologii słowiańskiej. Jednocześnie z naszą wigilią, pisze on, święcono u Słowian przesilenie zimy. Był to przeddzień odrodzenia się słońca, które zakończywszy zwycięską walkę z wrogiemi sobie potęgami ciemności jesiennej, szło się orzeźwić w kąpieli przygotowanej mu przez matkę jego jutrzenkę, aby nazajutrz w nowym blasku nową rozpocząć wędrówkę i cały świat wskrzesić do życia. Więc też na dniu tak radosnym składał człowiek bogom ofiarę na ognisku

domowem. O zmroku od bramy podwórza szedł sędziwy gospodarz domu, na silnych barkach dźwigając tak zwany bodniak, t. j. pniak potężny dębowy, jak kazał obyczaj, o świcie jeszcze dnia tego ścięty w lesie i oczyszczony z gałęzi. Szedł, aby go złożyć na ognisku, a w chwili gdy próg przekraczał, zbliżał się ktoś z rodziny z dobrem życzeniem na ustach i wzywając łaski bogów dla domu, posypywał dąb zbożem. Wtedy dziewczęta, zanuciwszy piosnkę stosowną, obwijały go czerwonym jedwabiem i nićmi złotemi, stroiąc w liście laurowe i różne kwiaty, a gdy robota była skończona, przystępował ojciec rodziny i ogień podkładał. Wysoko w górę buchały płomienie, gdyż bogom miłą była ofiara, a rodzina spożywszy przy blasku jej wspólną wieczerzę, czuwała w noc późną nad płonącym bodniakiem, aby w chwili, gdy się będzie dopalał, polać go winem. Bodniak pogański, dziś jeszcze u południowych Słowian zachowany w całej pierwotnej swojej czystości, to podług uczonych nazwa mająca źródło swe w słowiańskiem b d i e t', t. j. czuwać, vigilare. Więc stąd i blizki związek bodniaka z naszą chrześciańską wigilią: posypywanie zbożem to kucya litewska, a wieńczenie i palenie na ognisku domowem, to pierwotny grunt poetyczny dalekiej przeszłości, na którym urosła z czasem dzisiejsza nasza choinka.

Inaczej określają jeszcze drzewko uczeni z obozu przeciwnego. Ci stanowczo uważają ten zwyczaj za starochrześcijański. Dnia 24. grudnia przypada Adama i Ewy. Drzewko więc przedstawia nam naukę o upadku i odkupieniu rodzaju ludzkiego. Palące się świeczki przypominają nam Tego, w którym „był żywot, a żywot był światłością ludzi“ (Jan 1, 4), jabłka i podarunki są symbolem łaski i dobrodziejstw boskich. Przy drzewku zwykle rozdzielane bywają podarunki, zwane kolędami. Początek ich także różni różnie tłumaczą. Jedni mówią, że te podarunki pochodzą jeszcze od Rzymian, którzy dnia 1-go stycznia (po łacinie: Calendae Januariae) podobne dary sobie składali. Zwały się one u nich strenua, po grecku ξε'νιον, dawano je sobie: boni ominis gratia (dla dobrej wróżby). Ignacy Benedykt Rakowiecki w rozprawie „O stanie cywilnym Słowian“ podaje, że ci pod koniec roku obchodzili także święto Kolady, zwane godami, a ponieważ bóstwo to, jak nazwa wskazuje, opiekowało się pokojem i zgodą, więc na znak tego, dawano sobie wzajemne upominki i stąd mają pochodzić dzisiejsze dary. Po wieczerzy spiewają zwykle pieśni o narodzeniu Pańskiem, k o l ę d a m i zwane i oczekują pierwszej Mszy, odprawianej o północy, a zwanej p a s t e r k ą.

Wigilia słusznie może nosić nazwę „u c z t y m i ł o ś c i“: od dawnych bowiem czasów było zwyczajem, że najwięksi wrogowie i przeciwnicy, gdy ich potrafiono nakłonić do przełamania opłatka przy wigilii, składali ze serca wszelką niechęć i zawiść a stawali się odtąd dobrymi przyjaciółmi.

Na Boże Narodzenie urządzają jasełka czyli szopki z figurami. Figury te wyobrażają zwykle Najświętszą Maryę Pannę, dzieciątko Jezus, świętego Józefa, trzech królów, pastuszków, króla Heroda, wołu i osła. Początek zawdzięczają jasełka św. Franciszkowi Serafickiemu, który mając wielkie nabożeństwo do Dzieciątka Jezus i pragnąc tę tajemnicę wiary św. lepiej ludowi uprzytomnić, w ten sposób ją przedstawił. Kroniki Braci Mniejszych opowiadają, z jaką to uroczystością odbywała się ta ceremonia za życia Świętego. Synowie jego duchowni, wierni tradycyi, nie zaniedbują co roku po kościołach swoich wystawić żłobku betleemskiego, w czem naśladują ich inne zgromadzenia.

We wszystkich wyżej przytoczonych ceremoniach przebija duch narodu polskiego, tego przedmurza chrześcijaństwa, którego prawie wszystkie zwyczaje brały początek z religii i miały cechę katolicką. A jak to święto ze swymi obrzędami i tradycyami, wpływa na młode pokolenie, to niechaj powiedzą słowa Horsztyńskiego [1]): „Jak ja lubiłem niegdyś dzień Bożego Narodzenia! W tym samym pokoju z opłatków kleiłem różnokolorowe słońca, kołyski, jakaś świętość i wesele napełniały moje dziecinne serce.... Dziś jeszcze nie rozumiem, co znaczą tę litery święte, wyciśnione na opłatkach. Będąc dzieckiem myślałem, że to jakieś słowa z pieśni anielskiej i błękitnego języka“. Słusznie więc Kraszewski powiada, że pięknem jest religijne poszanowanie przeszłości, zamiłowanie jej nieostygłe i cześć pamiątek, do dawnej budząca cnoty. *X. Feliks Józefowicz.*

---

[1]) W dramacie Słowackiego pod tymże tytułem.

Odkrycie drogi morskiej do Indyi.

Historya Portugalii od połowy XV. do połowy XVI w. streszcza w sobie niejako całą cywilizacyę ówczesnej Europy zarówno co do swych wielkich dążeń, jak i co do wspaniałych rezultatów. W tych stu latach zrobiono tyle odkryć, jak nigdy, odkąd żyje ludzkość na świecie a Portugalia, jako chorąży świata cywilizowanego, kroczy naprzód w ostatecznym boju przeciw przesądom średnich wieków, przebiegając oceany, zajmując lądy w imieniu Zachodu i otwierając nowe drogi dla handlu powszechnego.

Tylko hiszpańskie odkrycia a przedewszystkiem przedsięwzięcie genialnego Kolumba da się porównać z czynami Portugalczyków, ale mimo tego trzeba pamiętać, że kiedy Kolumb wypływał swą karawelą na awanturniczą wyprawę w nieznane strony, oceany były już oczyszczone z owych licznych a strasznych potworów, którymi zaludniła je wyobraźnia wieków średnich; zniknęły baśnie o niebezpiecznych przepaściach, o promieniach palących okręty i wodzie kipiącej w oceanach na równiku, które dotychczas powstrzymywały zapędy żeglarzy, równie zabobonnych jak śmiałych.

Logika geograficznego położenia kraju pcha Portugalczyków na morze z nieprzepartą koniecznością. Kiedy tylko zakończyły się walki z Maurami i z królestwem Leonu o niezależność w XIV w., rozpoczyna się rozwój potęgi morskiej Portugalczyków; już w tym wieku zdaje się odbyto pierwszą podróż do wysp Kanaryjskich, zwanych wtedy insulae fortunatae (wyspy szczęśliwe). Zapał do podróży dalekich i odkryć geograficznych w wielkim stylu budzi się jednak dopiero za sprawą dwóch książąt domu królewskiego Dom Pedra i jego brata Dom Henryka. Pierwszy z nich to uczony, jeden z największych humanistów swego czasu. Zwiedził prawie całą Europę, Egipt, Ziemię świętą, dwór sułtana tureckiego, a wróciwszy do domu zużytkował olbrzymi materyał naukowy, z podróży przywieziony, na korzyść wypraw, które przygotowywał brat jego Henryk Żeglarz. On to był właściwym organizatorem wszystkich wypraw, które Portugalczycy przedsiębrali przez lat 40 aż do jego śmierci w r. 1460. Jego życie jest najlepszym dowodem, co potrafią wytrwałość i poświęcenie oddane na usługi jednej idei. Marzyciel i fanatyk, nieugięty w swych postanowieniach ale i bezwzględny dla wszystkich i wszystkiego, co mu przeszkadzało do spełnienia zamiarów. Całą swoją osobę poświęcił jednemu przedsięwzięciu, ale zdobył dla Portugalii wielkie państwo po za Europą, a dla Europy zdobył ocean.

Celem wypraw było odkrycie morskiej drogi do Indyi naokoło Afryki; wszystkie podróże odbywają się więc z początku ciągle wzdłuż wybrzeży tego kontynentu i tak krok za krokiem posuwają się odkrycia ku południowi. W r. 1418. odkryto wyspę Porto Santo, a w r. 1419. wyspę Maderę, okrytą dziewiczym lasem. Siedm lat trwał pożar tych lasów, których popioły użyźniły ziemię, ponieważ zaś klimat bardzo był podobny do portugalskiego, przeto rozpoczęła się zaraz kolonizacya. W r. 1422. opłynęli Portugalczycy przylądek Nao, uważany za ostateczny kraniec ziemi. W r. 1432. przybył Gonçalves Valho Cabral do wyspy Maryi w grupie Azorów, burzą spędzony ze zwykłej drogi przy brzegach Afryki. W r. 1434. opłynięto przylądek Bojador, po za którym według wierzeń średniowiecza rozpoczynały się dopiero niebezpieczeństwa i strachy oceanów; tu zaczynała się strefa gorąca, ze swemi wszystkiemi niebezpieczeństwami, o których już pisze Ptolomeusz, po za nią zaś leżała tajemnicza Terra Antichthona, pełna jeszcze straszliwszych potworów; bajki te odbierały serce najśmielszym żeglarzom, dla tego tak powoli postępowały odkrycia, w miarę jak znikały przesądy i obawy. Gil Eanne, który zuchwałem na owe czasy postanowieniem przylądek ten opłynął, otworzył pierwszy „morze południowe“ dla żeglarzy całego świata.

W r. 1436. odkryto ujścia Rio de Ouro, w r. 1441. przylądek Blanc, a w 1445. dotarły wyprawy do wybrzeży Senegambii; za tem poszło odkrycie wysp przylądka zielonego, wyspy książęcej i św. Tomasza w zatoce gwinejskiej, tak, iż w chwili śmierci Henryka Żeglarza w r. 1460. znano wybrzeża Afryki prawie aż po równik. Szczęśliwe postępy na tej drodze zachęciły do dalszych usiłowań nawet po śmierci księcia Henryka, zwłaszcza, że król Jan II., który wnet potem na tron wstąpił, otoczył je troskliwą opieką. On utworzył osobny komitet złożony z lekarzy, magistra Jó-

zefa i Rodryga, tudzież ze sławnego norymberskiego kosmografa Marcina Behaim [1]) dla specyalnych naukowych studyów nautycznych; ich zadaniem było obmyśleć i wynajdywać środki i instrumenty naukowe, ułatwiające żeglarzom oryentowanie się na oceanach. Tymczasem przejechali dwaj żeglarze Jan de Santarem i Piotr de Escovar równik w r. 1471, pierwsi Europejczycy na południowej półkuli ziemi.

Odtąd już nic nie przeszkadzało w dalszych podróżach, których pierwszym celem było odkrycie południowej kończyny Afryki. Dzieła tego dokonał Bartłomiej Diaz w r. 1487; przybył on do „przylądka burz", którego nazwę zmienił król na „przylądek dobrej nadziei". Teraz mogli mieć Portugalczycy istotnie dobrą nadzieję, że tą drogą dotrą do Indyi, tembardziej, że równocześnie inni wysłańcy portugalscy przez Egipt i morze czerwone dotarli do Abissynii i z tej strony stwierdzili możebność przejazdu do upragnionego kraju wszelkich bogactw. Król Jan II. nie doczekał już tego odkrycia († 1485), wawrzyny zbierał następca jego Emanuel Szczęśliwy.

Mimo tego upłynęło lat dziesięć, zanim dokończono to dzieło; dopiero wielkie odkrycia Kolumba obudziły Portugalczyków z uspienia, w jakie popadli chwilowo. Szczęśliwcem, któremu przypadło dokończyć, co z tak wielkim trudem tylu poprzedników zaczęło, był Vasco de Gama. Jemu to powierzył król Emanuel w r. 1497 flotyllę z rozkazem dotarcia do Indyi. Składały ją cztery okręty: admiralski „Gabryel", dalej „Rafael" pod wodzą Santo de Gama, brata admirała, „Berrio" pod komendą Mikołaja Coelho i czwarty okręt prowiantowy pod wodzą Gonçalo Nunez. 8. lipca 1497. r. wyjechały statki z portu w Lizbonie, 22. listopada opłynęli żeglarze przylądek dobrej nadziei, zaś dopiero 20. maja 1498. stanęli na indyjskiej ziemi w porcie Calicut na wybrzeżu Malabar. W tej więcej jak dziesięcio-miesięcznej podróży musieli przebyć Portugalczycy niesłychane przeszkody, burze i przeciwne prądy w nieznanem morzu, zdrady ludzi i ciężkie choroby; tylko niezłomnej energii wodza zawdzięczyć należy powodzenie wyprawy. Droga morska do Indyi była odkryta, Calicut, Cananor i inne ważniejsze miejsca na wybrzeżu w ręku Portugalczyków. Utrwalenie panowania w tych ziemiach nie przyszło im tak łatwo, choć nad spodziewanie szybko dokonali tego później w kilku latach Franciszek Almeida a przedewszystkiem Alfons Albuquerque; ale sława odkrycia przypadła bohaterskiemu Vasco de Gama, który po powrocie do domu 29. sierpnia 1499. otrzymał w nagrodę tytuł admirała „morza Indyi" i prawo handlu w tych krajach.

W 1898. r. obchodziła Portugalia pamiątkę tyah odkryć, które ją dźwignęły od razu do pierwszorzędnej potęgi w Europie. Świetność ta przeminęła, Portugalia jest dzisiaj znowu malutkiem królestwem, jak przedtem, ale dla świata odkrycia te nie straciły znaczenia. Epoka, o której mówiliśmy, to pewnie najważniejsza, jaką ludzkość przeżyła: przez odkrycia Portugalczyków i Hiszpanów zwiększyła się nagle ziemia od razu w oczach współczesnych o trzy czwarte dotychczasowych rozmiarów i jako „kula" otrzymała dopiero pewne granice. Odtąd dopiero człowiek nie bał się na niej zabłądzić! Nagle otwarły się przed zdumionemi oczami bezmierne oceany, niezmierzone kraje, nowe rasy ludzi, strefy zwierząt i roślin. Ta nowość we wszystkiem uderzała i zaostrzała przytępiony zmysł obserwacyjny — zmysł badań naukowych, zaś nadzieja korzyści materyalnych przezwyciężała początkową, bardzo naturalną obawę i pociągała ludzi w te nieznane światy, pełne niespodziewanych niebezpieczeństw ale porywające urokiem nowości. Nigdy jeszcze, jak długo świat stoi, nie otrzymała myśl ludzka nagle tyle nowej treści do przemyślenia i przerobienia. Nie humanizm, który przyniósł formę tylko, już w następnym XVII. wieku zapomnianą, ale te odkrycia popchnęły myśl na nowe tory i zrodziły „nowe wieki". Kolumb dźwignął z głębin morskich ziemię i postawił ją jako gwiazdę w przestworzach wszechświata, zaczem Kopernik dopiero mógł ją puścić w ruch koło słońca; bez Kolumba nie byłoby Kopernika. Dlatego cała ludzkość chowa w wdzięcznej pamięci te czasy i tych ludzi.

Dr. M. Warmski.

[1]) Marcin Behaim pierwszy przedstawił ziemię za pomocą globusu; szkoda, że globus ten zaginął.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił
DR. FR. KRCZEK.

Wstęp.

Podręczniki do nauki o poezyi, czyli t. zw. poetyki, podają często rozmaite określenia dwu gatunków utworów, należących do poezyi epickiej (opowieściowej), mianowicie b a l l a d y i r o m a n c y, przezwanej niewłaściwie r o m a n s e m. Natomiast zgoda zupełna panuje tak między poetykami wzajem, jako też między niemi a istotnym stanem rzeczy, co do gatunku trzeciego: l e g e n d y. Wyraz ten przyjęty z łaciny oznaczał w wiekach średnich (po uzupełnieniu domyślnego rzeczownika p o r t i o) ustęp z księgi, która zawierała dzieje życia i czynów osób świętych, rozłożone w porządku pewnym na rok cały, i to ustęp, który należało czytać w dniu pewnym w kościele, względnie na zebraniach nabożnych. Głośne dzieło Jakóba de Voragine „L e g e n d a złota“ (L e g e n d a a u r e a, z XIII w.) było też rzeczywiście tylko zbiorem takich ustępów, t. j. życiorysów świętych Kościoła katolickiego, a zarazem wzorem i na długie lata źródłem legend, pomyślanych jako utwór poetyczny, chociaż dzieło to było pisane po łacinie prozą. Poetyka dzisiejsza nie odbiegła daleko od pojęcia legendy średniowiecznej, bo oznacza tą nazwą opowiadania poetyczne, czerpiące treść swą z dziedziny pojęć religijnych i dziejów Kościoła, a owiane w mniejszym lub większym stopniu urokiem cudowności i nadzwyczajności. Jedynie rozszerzono widnokrąg średniowieczny, skoro mamy dziś obok legend chrześcijańskich legendy biblijne, talmudystyczne, mahometańskie, hinduskie (czyli indyjskie), — wogóle wszelkich religii i wyznań, byle pojęcia r e l i g i j n e stanowiły podkład utworu, roszczącego sobie prawo do nazwy legendy. Rozumie się samo przez się, że nam, wychowanym w zasadach cywilizacyi europejskiej, wyraz „legenda“ nasuwa na myśl opowieści i podania z życia Chrystusa, Matki Boskiej, apostołów, świętych, z dziejów Kościoła itp. Ponieważ zaś powieści te odznaczały się pierwotnie prostotą wyrażeń i naiwnością opo-opowiadania, co stało się z czasem w pojęciu naszem nieodłączną cechą tego gatunku poezyi, przeto wymagamy dziś od legendy doskonałej nie tylko wątku religijnego, ale też formy, prostej pod każdym względem.

„Legenda o św. Prokopie“, którą zamierzam podać w przekładzie wiernym, nie wykracza poza granice pojęcia legendy w średniowieczu. Kronika, spisana przez pewnego mnicha klasztoru sazawskiego w Czechach, opowiada, że Prokop, jeden z patronów narodu czeskiego, urodził się we wsi Chotuni (na wschód od Czeskiego Brodu) ku schyłkowi X. wieku, a więc za panowania króla czeskiego, Bolesława II. Przyjąwszy regułę św. Benedykta, udał się około roku 1009. na puszczę i u skrętu rzeki Sazawy pod Kourzymiem wybudował sobie pustelnię nad jaskinią, w której przedtem — jak kronika powiada — tysiąc dyabłów mieszkało. Po wielu latach samotności spotkał się przypadkiem z księciem Oldrzychem, który zapędził się był za jeleniem aż do owej pustelni, a poznawszy święty żywot Prokopa, wszędzie głosił odtąd jego sławę. To ściągało setki ludzi do pustelni i skłoniło ostatecznie Prokopa do założenia klasztoru nad Sazawą, którego opatem został mimo swej woli w r. 1039. Rozmiłowany w języku cerkiewno-słowiańskim, który niegdyś pierwsi apostołowie chrześcijaństwa, św. Cyryl i Metody, przynieśli z obrządkiem greckim do Panonii i Morawy, starał się pierwszy opat sazawski utrzymać tradycyę tych apostołów w tym zakątku Czech. Umierając (w r. 1053). przekazał ją następcom swoim, choć przewidywał prześladowania ze strony biskupów niemieckich.

Osoba cnotliwego Prokopa stała się wkrótce ośrodkiem opowiadań, które zaczęły kupić się około niej, jak kryształy. Poczęto wcześnie spisywać te podania i łączyć w większą całość — legendę. Najdłuższa zachowała się w starym rękopisie czeskim, który zowią hradeckim. Na tym rękopisie oparł też utwór swój autor, z którym chcę zapoznać czytelników polskich, ale czerpał nadto z innych źródeł, nigdzie zresztą nie idąc niewolniczo za niemi. Forma, nierymowany wiersz trochaiczny ośmiozgłoskowy, odpowiada również formie dawnych legend czeskich i wogóle poezyi ludowej ludów słowiańskich. w której ośmiozgłoskowiec jest miarą wiersza najulubieńszą. Że poeta umiał znakomicie uchwycić ducha

i nastrój legendy średniowiecznej, o tem przekona — mam nadzieję — przekład sam, mimo że nie zawsze może wypadł tak dobrze, jak tłumacz pragnął.

Dołączam parę szczegółów o osobie samego poety, bo zapewne niejeden czytelnik, zaciekawiony utworem, zechce poznać bliżej autora. *Jarosław Vrchlicky* (czytaj: Wrch-lic-ki, między *W* a *z* krótkie, ledwie dosłyszalne *y*) jestto imię i nazwisko zmyślone (pseudonim) Dra Emila Fridy, obecnie profesora literatury powszechnej na wszechnicy czeskiej w Pradze. Urodzony 16. lutego 1853 r. w Lounach (Czechy), ukończył gimnazyum w r. 1872, a w 3 lata potem wydział filozoficzny w Pradze, i poświęcił się zrazu zawodowi nauczycielskiemu. Wkrótce jednak został sekretarzem politechniki w stolicy nadwełtawskiej. Urząd ten nie zabierał mu wiele czasu, to też mógł się oddawać z zamiłowaniem czytaniu arcydzieł piśmiennictw wszech ludów i czasów, które mu ułatwiała znajomość wielu języków, nie tylko europejskich, i tworzeniu samodzielnemu. Od roku też 1869., w którym wystąpił po raz pierwszy na widownię publiczną jako poeta, począł coraz szybcej sypać, jak z rogu obfitości, tomik za tomikiem, a nie poprzestał na liryce, owszem stworzył szereg poematów epickich — największy wydany przed rokiem p. n. „Bar-Kochba“ — i kilkadziesiąt dramatów, komedyi i tragedyi, że pominę jego dzieła prozaiczne. Tomów jego poezyi orygialnych jest dziś już przeszło 100, a poeta nie złożył jeszcze pióra, owszem co roku dorzuca parę tomów nowych. Przytem zapoznaje publiczność czeską z arcydziełami narodów innych, począwszy od Dantego, Aryosta i Tassa aż do Goethego, Carducciego, Poëgo i Mickiewicza, którego „Dziady“ wydał w niezrównanym przekładzie w r. 1895. Pewien krytyk czeski określił wybornie wszechstronność Vrchlickiego słowy następującemi: Wązkie aleje liryki i epiki nie wystarczają mu, śpieszy więc dalej ku kaskadom dramatu, przesadza do niepokaźnych przedtem ogrodów poezyi czeskiej wspaniałe kwiaty umysłowości włoskiej, francuskiej, hiszpańskiej, amerykańskiej, niemieckiej, polskiej, nadto sam ozdabia ogrody te własnymi płodami, które dyszą wonią wszystkich okresow sztuki, zwłaszcza zaś starożytności. Wszystkie systemy fiolozoficzne, wszelkie religie, kraje i dzieje wszech narodów znajdują u niego odgłos... Od prapieśni stworzenia niemal każde zjawisko przyrody, każde wielkie zdarzenie dziejowe, każde uderzenie żywsze serca ludzkiego znalazło u Vrchlickiego swój wyraz“. Taka wszechstronność pod względem treści wymagała też rozmaitości formy i stylu. I w tym kierunku Vrchlicky przewyższył największych przed nim i obok niego mistrzów poezyi czeskiej. Tylu miar wierszowych nie użył z nich żaden, tylu gatunków poezyi nie znajdziemy u żadnego.

Do szeregu przekładów polskich dzieł tego poety, zresztą wybornego znawcy naszej poezyi i serdecznego przyjaciela narodu polskiego, dorzucam obecnie przekład „Legendy o św. Prokopie“, która doczekała się w Czechach sześciu wydań i liczy najwięcej czytelników między młodzieżą czeską. Wydanie szóste, jest nawet wprost przeznaczone dla młodzieży i na niem oparłem swe uwagi powyższe, oraz przekład następujący.

(C. d. n.) *Tłumacz.*

Z dziejów malarstwa polskiego[1]).

I.

Jan Norblin.

Sławę i rozgłos światowy zdobyła sobie sztuka polska dopiero w ostatnich latach czterdziestu, lecz już w czasach, wspaniały ten rozkwit poprzedzających, miała swych przedstawicieli niepośledniej miary, godnych nie tylko wspomnienia, ale i poznania. W gronie tem przeważają cudzoziemcy za panowania Stanisława Augusta do Polski sprowadzani, a wśród nich najbardziej głośne nazwiska posiadają dwaj artyści: M. Bacciarelli i J. Norblin.

Skromna wioska w Niższej Burgundyi, Misy-faut-Yonne, leżąca obok Montereau, jest miejscem urodzenia Norblina. Z lat dziecinnych i młodzieńczych jego wiemy jeszcze jedynie, iż w sztuce malarskiej kształcił się w Dreźnie, pod znanym profesorem Casanovą, i że tam w roku 1771. otrzymał wielką na-

[1]) Pod tym zbiorowym tytułem poda Redakcya szereg charakterystyk najznakomitszych malarzy polskich (Norblin, Bacciarelli, Orłowski, Michałowski, Grottger, Matejko i inni). Począwszy od następnego numeru, będą te artykuły illustrowane podobiznami celniejszych obrazów.

grodę Akademii za obraz przedstawiający „Walkę Telemaka.“ W roku następnym sprowadził go do Polski, a mianowicie do Puław, książę A. Czartoryski, jenerał ziem podolskich, i polecił mu uczyć rysunków swe dzieci, ks. Adama i ks. Wirtemberską; nie poprzestał jednak na samem nauczaniu młody artysta, ale począł tworzyć i wkrótce zyskał wielkie w kraju wzięcie. Przyniosły mu je znacznych rozmiarów *panneaux*, przedstawiające tak zwane sceny wiejskie, a zdobiące gabinet ks. Izabelli Czartoryskiej w pałacyku na Powązkach. Najpiękniejszą jednak z prac dekoratorskich Norblina jest sufit, malowany fresko, w ogrodach „Arkadyi“, w świątyni Minerwy, dla założycielki słynnej klasycznej idylli pod Łowiczem, ks. Heleny z Przeździeckich Radziwiłłowej. Niebawem otrzymał artysta od króla tytuł malarza nadwornego i wymalował dlań obraz, dziś nieznany, przedstawiający bitwę pod Zborowem.

Przeniósłszy się do Warszawy, założył Norblin prywatną szkołę, z której wyszli słynni później malarze: Płoński, Rustem i Orłowski. Z następnych lat życia jego znanem jest jeszcze, że otrzymał polskie szlachectwo, że był obecnym w Warszawie podczas ogłoszenia Konstytucyi 3. maja i w czasie rewolucyi podczas powstania Kościuszki. Chwilę ogłoszenia konstytucyi przedstawił na pełnym życia rysunku, o całym szeregu portretów i ruchu niesłychanym; straszne sceny rewolucyjne wywarły nań ogromne wrażenie, które również przeniósł na papier w kilku rysunkach. A mianowicie w swem albumie rysunkowem, znajdującem się dziś w muzeum ks. Czartoryskich w Krakowie, nakreślił szkicowo rozmaite rodzaje żołnierzy rosyjskich i pruskich, następnie głowę Suwarowa, pochody wojsk i sceny rewolucyjne warszawskie, z których jedna przed ratuszem na Starem mieście z tłumem ludu i przygotowaniami do egzekucyi, jest pełna grozy.

W r. 1804. opuścił Norblin Polskę i przeniósł się do Paryża, gdzie dnia 23. lutego 1830. roku umarł. Z tych czasów pochodzą jego rysunki do znanej publikacyi p. t. „*Costumes polonais*“. W ojczyźnie swojej zdobył sobie sławę dopiero zbiorem rycin, zebranym z rozmaitych jego utworów, wydanym jednak dopiero po jego śmierci. (C. d. n.)

Y.

Mowa zwierząt.

Głosy zwierząt nie tylko ożywiają wody i powietrze, góry i doliny, lasy i łąki, gdzie bez nich panowałaby cisza nieznośna, mająca w sobie pewien pozór śmierci, ale służą zwierzętom do wynurzenia swych uczuć oraz do porozumiewania się ze swymi pobratymcami.

I dlatego to słowiki i inne ptaki śpiewają, żaby rechcą, świerszcze i koniki polne ćwierkają, skoczki i piewiki grają jakby na bębenku, inne znowu jakby na skrzypcach.

Chęć porozumiewania się użycza głosu wszystkim prawie istotom, z których mamy całą pierwotną orkiestrę, złożoną z bębenka czyli tamburyny, fletu, skrzypiec i trąbki, a kształt i cel ich narzędzi głosowych mógł służyć za wzór naszym głównym instrumentom muzycznym. Czasem słyszeć się daje w ścianach starych drewnianych budynków, w starych sprzętach lub w ramach okien, słabe zapukanie, a po krótkiej chwili milczenia odpowiada mu w pewnej odległości inne, podobne pierwszemu.

Cóż myśleć można o tem kołataniu, powtarzanem wśród ciszy nocnej?

Nie jest to smutna przepowiednia śmierci, jak sobie zabobonne osoby tłumaczą, ale przyczyną tego jest mały chrząszczyk kołatek, który uderzeniem głową przywołuje swego pobratymca.

Przypatrzmy się teraz owadom towarzyskim n. p. pszczołom pracującym wspólnie w ciemności. Tu koniecznie przyjąć musimy jakąś mowę, zapomocą której udzielaćby sobie mogły pewnych wrażeń i myśli, ażeby wznieść swoje budowle, ażeby zgodzić się bądź na wyjście rojów, bądź na obranie ula i trafić potem do niego z milowej odległości a nakoniec poznać go w pasiece pośród stu innych podobnych.

Do takiego porozumiewania się krom różek, szczęk i przetchlinków nie mają innych narzędzi. Gdy w ul zapukamy, wszystkie pszczoły wtedy dzwonią na gwałt, wszystkie są zaniepokojone: inne natomiast wydają głosy, gdy zbierają miód, inne granie słyszy bartnik, gdy matka nowa z poczwarki się wykluwa.

Z tego już krótkiego przeglądu poznajemy, że udzielanie sobie wyobrażeń zapomocą głosu, dźwięku lub poruszeń czyli migów czy to między wyższemi czy też niższemi zwierzętami

a nadewszystko w ich związkach, kłótniach i wojnach lub w objawach boleści, cierpień i radości, istnieć musi. To przypuszczał Virgiliusz i filozofowie od najdawniejszych czasów, to opisał ks. jezuita Bongeant, to wiedzą przyrodnicy a Waga nasz nawet określił to pięknym wierszem.

* * *

Życie niższych zwierząt objawia się jako półsenne, to też i wydawanie głosów u nich jest bardzo ograniczone. Z wyjątkiem bowiem kilku małżów (np. Przegrzebki, Pecten), które roztwieraniem i zamykaniem skorup sprawiają kłapanie dość silne jakby kastanietami i z wyjątkiem niektórych ślimaków (np. winniczka, Helix i nierucha, Limnae), co przy oddechaniu i przy odrzucaniu zatyczki zimowej sprawiają pewien szelest, to w obec małej liczby badań w tym względzie niema nic więcej do zanotowania. Z członkonogich zwierząt zdają się tylko wije i krocionogi podobnie jak robaki być nieme, a jeśli pewne ich ruchy zastępują mowę, to jest ona dla nas dotąd niezrozumiałą.

Raki mają osobne przyrządy, zapomocą których wydają szelest, jak to spostrzegał na krabie (Palinurus) w akwaryum zoologicznego ogrodu w Hamburgu prof. Dr. Möbius, a po nim kustosz akwaryum francuskiego Lloyd. Także pająki wydają szelest, mianowicie znany jest u gatunku omatników (Theridium) przyrząd do wydawania tego szmeru znajdujący się u nasady głowotułowia (cephalothorax).

Niedźwiadki (Scorpiones) mają przy udzie czwartej pary odnóży grzebieniastą narośl; jest to przyrząd głosowy.

Co się tyczy owadów, to te liczą między sobą najwięcej muzykantów, wydających rozmaite dźwięki.

Tu należy odróżnić dźwięki powstające przez tarcie niektórych chropowatych lub zmarszczkami pokrytych części ciała od dźwięków wykonanych zapomocą osobnych przyrządów głosowych, które zwykle z narzędziami oddechowemi w ścisłym zostają związku.

Dla łatwiesjzego przeglądu przejdziemy choć w krótkości wszystkie rzędy owadów.

I tak wiadomo nam, że chrząszcze (coleoptera) wydają głośne skrzypienie lub skrobanie, skoro się je w ręku silnie trzyma. Jednostajne to skrzypienie powstaje u kózek przez tarcie ostrym krawędziem przedtułowia o osobny tarkowaty przyrząd śródtułowia; porównują je z głosem oślim. Podobny skrzyp można sztucznie wykonać, skoro paznokciem potrzemy o skórę szagrenową. To skrzypienie u kózek np. piżmówki (Cerambyx moschatus) można dowolnie wywołać, skoro się weźmie kózkę za różki i podniesie się tym sposobem przedtułowie do góry a potem nagle się opuści.

Im delikatniejsze tarko i im szybsze ruchy odbywa krawędź przedtułowia po tarku, tem wyższy powstaje ton.

Są też kózki, których skrzypienia nie słyszymy, nie wynika stąd jednak, aby swem przedtułowiem nie skrzypiały; owszem najdrobniejsze gatunki mają takie samo urządzenie, lecz na szmer stąd powstały ucho nasze nie jest tkliwe i dlatego to uchodzi często naszej uwagi.

U chrząszcza grabarza (Necrophorus) znachodzimy ów skrzypiący przyrząd na innem miejscu, mianowicie na piątym pierścieniu tułowia. Tem trze on o dolne brzegi obu pokryw i wydaje chrapliwe skrzypienie. Przyrząd ten jest u nich wielkiej wagi. Zapomocą niego bowiem mogą się one zwoływać celem zagrzebania znalezionej myszy lub innego trupa. W locie wydają grabarze jeszcze inny dźwięk, który zwiemy brzęczeniem.

Żuki sprawiają oprócz brzmienia w locie jeszcze szelest skrzypiący zapomocą przyrządu, znajdującego się u nasady nóg tylnych. Przyrząd ten przedstawia płytkę w kształcie tarka posuwającą się po trzecim pierścieniu tułowia. Dźwięk zapomocą niej wydany składa się z dwóch tonów. Pierwszy silniejszy powstaje przy ściąganiu pierścieni tułowia ku udom, drugi słabszy przy powrocie pierścieni w pierwotne położenie. Skrzypienie to można naśladować, pociągając otrzem noża po delikatnym pilniku.

Brzmienie naszych maików, czerwczyków i lipczyków (Melolontha vulgaris, hipocastanum i fullo) pochodzi od błon zatykających przetchlinki tułowia. Zapomocą odpowiednich mięśni może chrząszcz przypływ i odpływ powietrza wspomnianą błoną czyli przytyczką regulować, a drganie przytyczki sprawia ową silną muzykę.

U nosorożców (Oryctes) znajduje się według Darwina taki przyrząd jak u żuków.

Wiadomo też, że sprężyki (Elateres) przy podrzucaniu się w górę wydają właściwy sobie szelest bębenkowaty.

Że u kołatka (Anobium) powstaje kołatanie uderzeniem głowy o twarde drzewo, wspomniałem już wyżej.

Od dawna też znany jest szmer, wydawany przez pływaków, kusaków i ryjkowców. Ostatnie wydają go według badań Westring'a i obserwacyi Smitha przez wyciąganie i kurczenie kałduna czyli raczej wysuwanie i wsuwanie pierścieni kałduna, lecz szelestu tego ucho nasze nie może uchwycić; według obliczeń Lenois ilość drgnień głosowych wynosi 186 na sekundę, która to liczba wydałaby ton *f*[1]), lecz ten jest za słaby, aby ucho nasze go rozpoznało.

Co się tyczy błonkówek, to wspomnę tylko o najważniejszych, np. o pszczole, osie, trzmielu i mrówce.

Pszczoła może dwojakie wydawać dźwięki. Gdy bowiem lata z kwiatu na kwiat dla zbierania miodu, wydaje jednostajne brzęczenie, które oznaczyć można przez a'; u niektórych tylko indywiduów zniża się ton do *gis*, u innych znowu jest wyższy, nie sięga jednak poza h'.

Brzęczenie to mające oznaczać zadowolenie powstaje skutkiem nader szybkiego ruchu skrzydełkami. Inny zupełnie dźwięk wydaje pszczoła, gdy ją np. złapiemy i przez oderwanie jej skrzydeł niezdolną uczynimy do lotu. Wtedy wydaje ona ton, którego wysokość jest rozmaita i waha się między a'' i c'''. To brzmienie poch odzi od przetchlinek, z których cztery piersiowe tworzą podłużne szpary. Chociaż pszczoły także przetchlinkami, tułowia mogą brzęczeć, czynią to jednak tylko tak długo, jak długo istnieje połączenie tułowia z przedtułowiem, podczas gdy owe cztery piersiowe przetchlinki brzmią jeszcze jakiś czas po odjęciu tułowia, a nawet głowy.

Królowa będąc najwykształceńszym reprezentantem tego owadu, wydaje też najdonośniejsze brzmienie. Że pszczoły dowolnie mogą brzęczeć i że to brzęczenie podlega małej modulacyi oraz że brzęczeniem swem wyrażają pszczoły gniew, żal, niepokój lub radość, jest rzeczą wiadomą każdemu bartnikowi.

Podobny przyrząd jak pszczoły mają też osy i trzmiele.

Co się tyczy mrówek, to wiemy, że szczęki ich i różki uchodzą za główne przyrządy do porozumiewania się. Jeżeli zaś np. na mrowisko rzucimy żywego pająka krzyżaka, to cały rój, wszystko co żywe, jakby na dane hasło powstaje. Gdyby nowinę o nieproszonym gościu mrówki, które pierwsze to dostrzegły, miały innym zakomunikować różkami a te dalszym, to całe wzburzenie i pospolite ruszenie niemogłoby być tak szybkie: przeto już to zjawisko daje do myślenia, mówi Huber, że prócz porozumień różkami i szczękami musi jeszcze inny być sposób. Lenois rozciekawiony tym przykładem badał mrówki szczegółowo i twierdzi, że one mają tarkowaty przyrząd, jaki znachodziliśmy u chrabąszczów.

Na czwartym bowiem pierścieniu tułowia znalazł on płytkę podobną do tarka a każdy krawędź pierścienia wsunięty w poprzedzający jakby w pochwę, pokryty jest licznemi ostremi żyłkami, które przy kurczeniu i wysuwaniu kałduna wydają dźwięk dla ucha naszego niepochwytny, albowiem według obliczeń ilość drgań głosowych wynosi 186 na sekundę. Te wydałyby ton *f*, a ten jest za słaby, aby ucho nasze go zauważyło.

Motyle zwykle sprawiają szelest trzepotaniem skrzydeł jak np. zawisaki (Sphingidae).

Ćma, zwana trupią główką (Acherontia atropos) wydaje swą trąbką głos piszczący, a liczne uboczne kanały jelit napełnione powietrzem dostarczają potrzebnego do wydania głosu materyału.

Że głos powstaje w trąbce czyli w ssawce, udowodnił to Landois swemi doświadczeniami. Wdmuchiwał on przez trąbkę trupiej główki powietrze do wnętrza owadu, poczem pociskał nadęty kałdun, skutkiem czego wydawała ćma trąbką piszczenie, które trwało tak długo, jak długo wywierał ciśnienie na kałdun. Wsadzał także nadęty owad pod wodę, a za pociśnienie kałdunu wydawała trupia główka pisk, przy czem bąbelki powietrza wychodziły z trąbki. Głos, jaki ta ćma wydaje, można wydobyć ze źdźbła, zamkniętego na jednym

[1]) Litery bez kresek oznaczają nuty leżące na liniach lub między liniami; litery z kreskami odpowiadają nutom na liniach, dodanych u dołu lub u góry systemu liniowego.

końcu węzłem czyli kolankiem i opatrzonego podłużną szparą. W zwykłych warunkach piszczy trupia główka w krótkich odstępach.

Pod kolankiem nóg przednich znalazł też Landois u tej ćmy osobny przyrząd słuchowy.

Co się tyczy innych motyli, to mało jeszcze mamy pod tym względem badań. Rogenhofer podaje, że słyszał w locie raz głos sówki (Noctua fovea). Ten sam wspomina też, iż według spostrzeżeń Frauenfelda i Thedemana ćma Ageronia Teronia wydawała głos do zgrzytania zębami podobny.

Że wiele gąsienic jak również i owady w doskonałym stanie podczas żeru sprawiają szelest, wiemy już oddawna, a nawet w biblii już czytamy o szarańczy, że sprawiała podczas żeru chromotanie do trzaskania płonącego drzewa podobne. (C. d. n.)

Leopold Wajgiel.

Pogadanka.

Przywilej to przyjaźni, i to jeden z cenniejszych, zasiąść do poufnej pogawędki po pracy, czy w przerwie wśród pracy. Ileż to chwil szczęścia, tak rzadkich w życiu, tym posiedzeniom zawdzięczam. Gdy się tak myśl przelewa z głowy do głowy, uczucie z serca do serca, aż wszystkich przeniknie i według jednego tonu nastroi, wtedy zrozumiesz dopiero prawdę słów: „idem velle atque idem nolle, ea demum vera amicitia est“. [1])

I ten „Przyjaciel“, którego oto po raz pierwszy widzicie, chciałby zgromadzić koło siebie taką rzeszę słuchaczy i nastroić ich na tę nutę jednakich myśli i uczuć.

Pójdźcież ze mną, poprowadzę was trochę po naszem mieście, pod pomnik Sobieskiego, niedawno od słonięty. Z niezbyt wysokiej granitowej podstawy rwie się w górę naprzód jeździec na andaluzyjskim rumaku; z ognistych ruchów konia poznajesz jego krew, z muskularnej postaci jeźdźca odgadujesz bohatera-wodza, który wprawną ręką prowadzi swe pułki do boju. Na chwilę zda się, że już idą, słyszysz prawie uderzerzenia kopyt; ziemia dudni i drży, szumią skrzydła hussaryi i szeleszczą rozwiane proporce — trzask mieczów, dźwięk wędzideł. Mimowoli zmrużyłeś oczy — otwierasz je. Gdzież to wszystko? Pierzchła mara, tylko on jeden stoi zimny, jakby skamieniał ze zdziwienia, że on jest, a za nim nikogo. A przez ten czas, gdyś tak zamarzył, przeżyłeś choć jedną chwilkę tak górnie i szczytnie, jak Ojcowie żyli całe życie.

Piękna to była ta uroczystość odsłonięcia pomnika: cześć przeszłości dźwiga i umacnia, piękność dzieła sztuki uszlachetnia i rozwesela, a jednak nie o tem myślałem uczestnicząc w tym obchodzie. Dziwnym kaprysem myśli chwyciłem rzecz z innej strony. Przypomniałem sobie, że ten pomnik ufundowała Rada gminna i wnet potem wspomniałem drogą zwykłego kojarzenia wyobraźni, że ma Bochnia swego Kazimierza W., bodaj czy nie pierwsze z miast, Brody swego Korzeniowskiego, Kołomyja Karpińskiego, Przemyśl także Sobieskiego, pomniki wzniesione bez składek, kosztem miast. I to właśnie rzecz nowa a co więcej pocieszająca; jest to znak, że w naszem społeczeństwie rośnie i wzmaga się w siły coś nowego, coś, czego nam tak dotkliwie brakowało w ustroju społecznym przeszłości: miasta i mieszczaństwo. Koszta te zapłacą także mieszkańcy, a jednak to nie wszystko jedno, czy zbierzemy je drogą składek zawsze ofiarnego obywatelstwa, czy pokryjemy z kasy gminnej. Tu miasto jako całość pokazuje, co czuje i myśli; niechże myśli coraz głębiej a czuje coraz goręcej!

Z uroczystością Sobieskiego połączono hołdy wdzięczności dla duńskiego pisarza Brandesa, znakomitości europejskiej sławy, którego zaproszono na ten czas do Lwowa. Słyszeliście o tem, jak i o powodach tych hołdów; napisał on książkę o Polsce i wyraził się o niej z niekłamaną i bardzo żywą sympatyą. Dziś, gdy nas chcą na śmierć zamilczeć, to rzecz rzadka i dowód wielkiej odwagi cywilnej; a trzeba wiedzieć, że gdy mówi pisarz takiej miary jak Brandes, to mówi nietylko do całej Europy, ale do całego świata czytającego. Więc to znaczy jeszcze więcej, dlatego dobrze się stało, że mu podziękowano, dobrze nawet, że w tak ostentacyjny sposób, dobrze, że to uczyniono, choć on jest Żydem, o czem może nie wiecie, bo udowodniono, że my nie nienawidzimy Żydów, ale szukamy i czcimy tylko szlachetność. Ale wśród powodzi przyjęć i uroczystości zdziwiło mię i zabolało, że my to czynimy dopiero teraz, podczas gdy

[1]) Tego samego chcieć i tego samego nie chcieć, to jest dopiero przyjaźń prawdziwa. (Cicero).

książka Brandesa wyszła z druku w języku duńskim jeszcze w r. 1886. Więc dwunastu lat było potrzeba, abyśmy się o niej dowiedzieli, dopiero, gdy ją przetłumaczono na język niemiecki. To smutne, a tak charakterystyczne dla naszego umysłowego związku z resztą świata cywilizowanego; my świat widzimy zawsze przynajmniej o 12 lat później i tylko przez okulary niemieckie. Czy to dobrze? Słynęliśmy dawniej, jako naród, który się najłatwiej i najwięcej uczy obcych języków; dziś i tę sławę tracimy. Wszędzie w świecie dzielą się ludzie w pracy, tak iż do każdej znajdzie się specyalista. Możeby i u nas dało się inaczej, jak teraz, zrobić; któż to ma zacząć, czy może ja — stary?

Między uczestnikami uroczystości spotkałem niespodzianie starego druha, z którym się wiele prześmiało a jeszcze więcej przebolało. Także obcokrajowiec, a jednak nasz — wy to rozumiecie. Skorzystał ze sposobności i przyjechał tu do nas, bo jeszcze nigdy nie był u nas; „nie znam was jeszcze w waszym własnym domu“, jak mówił. Z ciekawością cudoziemca a z serdecznem uczuciem swojaka obserwował ten mój przyjaciel wszystko i wszystkich. Mówiliśmy wiele, część tej rozmowy wam powtórzę. Miał się rozpocząć pochód, młodzież szkół średnich zachodziła oddziałami.

— To wasza młodzież? zapytał.

— Tak, to nasza młodzież; musiałeś już ją i gdzieindziej widzieć. Cóż o niej myślisz?

— Widziałem, pojedynczo, po kilku, ale teraz to co innego, to już korpus. Tak, to ładnie wygląda. Od dawna macie uniformy dla uczniów?

— Od lat kilku. Sejm zażądał, a rząd zezwolił; rodzice ponoszą ofiarę, czasem nawet dość ciężką, ale nie narzekają, widząc w tem środek edukacyjny.

— A czy nie ma przepisów co do jakości i formy?

— Ach są, wszak widzisz, że wszyscy jednako wyglądają.

— Tego właśnie nie widzę i to mię wprost przeraża, bo ten środek edukacyjny zamieni się w środek demoralizujący. Widzisz, uniform ma zbliżać i jednoczyć, z luźnych jednostek stworzy wspólne ciało — stan czy korporacyą; wtedy jest wszystko jedno, z jakiego on sukna, może być ze zgrzebnego płótna, a będzie poważany, bo noszą go ludzie szacunku godni. Tylko pod tym warunkiem staje się uniform naprawdę firmą, tak, iż gdy zobaczę człowieka mi nieznanego, ale w znanym uniformie, to go uszanuję, gdyż wiem, że w tym stroju chodzą tylko szanowni ludzie. Ale to poważanie dla uniformu trzeba w społeczeństwie wywalczyć, po prostu sobie wysłużyć postępowaniem bez zarzutu, trzeba przedewszystkiem samemu go uszanować. A ten patrz, ten oto przed nami, wyszedł z pierwszej pracowni krawieckiej, wysunął się też naprzód, bo on czuje się powołanym tylko do życia w salonie, gdy jego sąsiad ledwie gdzieś w oficynie powinienby się mieścić. A ten drugi wysunął kołnierz, aż mu się uszy na nim obcinają a wyzłocił go, jak sztabsoficer; tamten zaś wysznurował się jak pruski junkier. A czapki, to także co drugi ma inną, również odznaki na czapkach i kołnierzach. A przytem patrz, ci wszyscy strojni są na czele oddziałów, szaraczki w tyle. Nie, ta młodzież nie rozumie znaczenia munduru a przeto źle, że go nosi. Za pieniądze rodziców nabywają pretensyi do przewodniczenia. Mam tu wrażenie, że oni tu przyszli nie po to, aby złożyć hołd obrońcy chrześcijaństwa, ale aby pokazać siebie. Chcieliby się zabawić w żołnierzy, a szczególnie w oficerów i gdyby im tylko pozwolono ubrać choćby blaszane szabelki, uczyniliby to, byle tylko świeciło i dzwoniło. Nie, to nie jest młodzież, jakąby Sobieski chciał widzieć; z pomiędzy tych nie wieluby zabrał ze sobą pod Wiedeń.

— Ej, może trochę pessymistycznie sądzisz?

— Nie, bo obserwowałem ich już po drodze w Krakowie, Tarnowie, Przemyślu; wszędzie jednakie objawy. — A powiedz no mi, czy wolno młodzieży u was palić cygara publicznie, lub bywać w publicznych lokalach, nawet więcej jak drugorzędnych?

— Stanowczo nie, przepisy są całkiem jasne.

— A widzisz, że ta młodzież nie rozumie znaczenia uniformu, skoro się nie wstydzi plamić go, przekraczając publicznie i otwarcie przepisy. Widziałem ich, i w dzień i w nocy, we wszystkich miastach, w których byłem — sądzę tedy, że tak samo jest, gdzie nie byłem. I to mię tak straszliwie boli; u nas młodzież ma także mundury, ale naszą wychowuje policya: a wasza ma to nieocenione prawo, że

wolno jej czuwać samej nad sobą, a nie umie tego uszanować! To źle, to smutne nad wszelki wyraz! Róbcie co, bo inaczej mundury tylko szkodę przyniosą; mów to jak najgłośniej i tym, co je noszą i tym, co je sprawiają".

Powiedziałem; bo to już nie przywilej, to twardy obowiązek przyjaciela: mówić prawdę w oczy.

Kropka.

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Odczytywanie pisma pod plamami atramentu. Pan M. Ferrand, aptekarz w Lugdunie, podał sposób odczytywania pisma, zalanego atramentem, co może w wielu razach oddać znaczne bardzo usługi. Autor radzi aby splamione atramentem miejsca rękopisów fotografować i zapewnia, że nieczytelne często pod plamą pismo odbija się dość wyraźnie na fotografii.

Atlas motyli w naturalnych barwach może sobie każdy zrobić na sposób odbijanek, do czego jednak najlepiej nadają się motyle dzienne (dniowce). W tym celu bierze się płynną gumę arabską, do której można dodać trochę gumy tragantowej. Gumą tą pociąga się cienko pędzlem papier w tym rozmiarze i w tym kształcie, jaki ma motyl przeznaczony do odbijania. Wtedy na gumę kładzie się oba skrzydła np. z prawej strony górną powierzchnią, tak samo drugie dwa skrzydła kładzie się spodnią płaszczyzną. Pomiędzy obu parami skrzydeł należy zostawić wolne miejsce, przeznaczone na ciało motyla, które musi być wolnoręcznie narysowane i odpowiednio podmalowane. Na skrzydła położone na gumę po obu stronach rysunku kładzie się gładki papier i pociera się lekko paznokciem po papierze, wskutek czego wszystkie łuski ze skrzydeł pozostają na gumie. Tak otrzymany wizerunek przedstawi nam wierny obraz motyla i to tak, że jedna strona przedstawiać będzie wierzch, druga zaś spód.

Jeżeli guma wyszła poza zakres skrzydeł, należy ją delikatnie zmyć zapomocą pendzla. Mając zaś dwa okazy jednego gatunku, można zrobić dwie odbitki, tak żeby jedna odbitka przedstawiała całą górną powierzchnię skrzydeł druga zaś da nam znowu spód. Do odbijania nadają się najlepiej świeże okazy. Jeżeli zaś okazy są starsze, należy je od powiednio zwilżyć, co też niżej podajemy.

Chcąc zeschłe motyle zmiękczyć, aby je módz należycie wyciągnąć lub wyprostować, albo gdy chcemy ich do odbijania użyć, należy je położyć na kilka dni na wilgotny piasek. Lepszy i pewniejszy atoli jest następujący sposób:

Bierze się blaszaną szufladkę lub pudło około 30 cm. długie, 15 cm. szerokie a 5 cm. głębokie. Dno pudła tego wyściela się płytką torfową z jednej strony węższą, tak, aby pas dna był widzialny.

Na płytkę torfową kładzie się motyle i w ogóle owady, które chcemy mieć miękkiemi Potem leje się z tej strony, gdzie dno nienakryte, pod płytkę torfową gorącą wodę i to tyle, by płytka cała wilgocią nasiąkła. Dobrze jest dodać do wody ze dwie łyżki zwykłego wyskoku (spirytusu). Poczem nakrywa się pudełko nakrywką i stawia się na ciepłem miejscu, aby woda w pudle ciągle była ogrzana Drobne motyle już po 24 godzinach, a większe w 36 godzinach zupełnie odmiękną. Dłużej nie należy ich w pudle trzymać, gdyż wszystkie mięśnie i żyłki łatwo się potem rozpadną

Zabawy z zapałkami. 1. Zapałka dobrze wygięta lub w połowie złamana odzyskuje swoje położenie, skoro ją zwilżymy wodą w złamanem kolanku i położymy na gładkiej powierzchni np. na polituro wanym stole. Udaje się to lepiej, gdy główkę zapałki odchylimy w górę lub oderwiemy, przez co tarcie się zmniejsza a elastyczność zapałki lepiej działa.

2. Wytrzymałość zapałek uwydatnić można, ułożywszy 3 zapałki w podaną figurę, przyczem cyfry oznaczają główki zapałek.

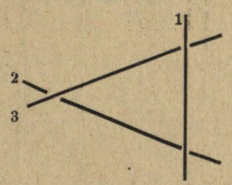

Wytrzymałość tych 3 zapałek jest tak wielka, że szklanka z wodą postawiona na nie, nie przełamuje ich.

3. Ułóżmy z 15. zapałek 5 kwadratów, jak wskazuje figura.

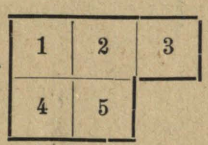

Zadanie: Odłączyć 3 zapałki tak, aby pozostały tylko 3 kwadraty.

Odpowiedź: Zadaniu uczynimy zadość, skoro weźmiemy z 4. kwadratu dwie zewnętrzne a z 2. kwadratu górną zapałkę.

4. *Zadanie:* Ze 6 zapałek utworzyć 4 trójkąty równoboczne.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 1. Dlaczego wichry lądowo-morskie bywają najgwałtowniejsze w strefie zwrotnikowej?

Nr. 2. Jakie są charakterystyczne cechy roślinności w Australii w porównaniu z innemi częściami świata?

Nr 3. Jaki zachodzi stosunek między jeziorami szwedzkiemi a fiordami?

Nr. 4. Z jakiej rośliny otrzymujemy kwas salicylowy?

Nr. 5. Pocisk rzucony z chyżością pierwotną 800 metrów na sekundę zatrzymał się po 20 se-

kundach pod wpływem stałej siły opóźniającej bieg, która działa w kierunku wprost przeciwnym kierunkowi ruchu pierwotnego. Obliczyć w metrach natężenie siły powstrzymującej.

Odpowiedzi, które można oznaczać temi samemi numerami, jakiemi są opatrzone zagadnienia, należy nadsyłać najpóźniej do 20. stycznia 1899 r. Wystarczy dać trafną odpowiedź na jedno z tych zagadnień, aby mieć prawo do losowania o nagrodę. Jeżeli kto odpowiada na kilka zagadnień, zechce każdą odpowiedź na osobnej karteczce wypisać i w jednej kopercie przysłać; na każdej karteczce ma być podpis. Nazwiska dopuszczonych do losowania będą umieszczone w następnym numerze.

Nagroda. Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“. Tylko prenumeratorzy będą dopuszczeni do udziału w losowaniu.

Łamigłówka

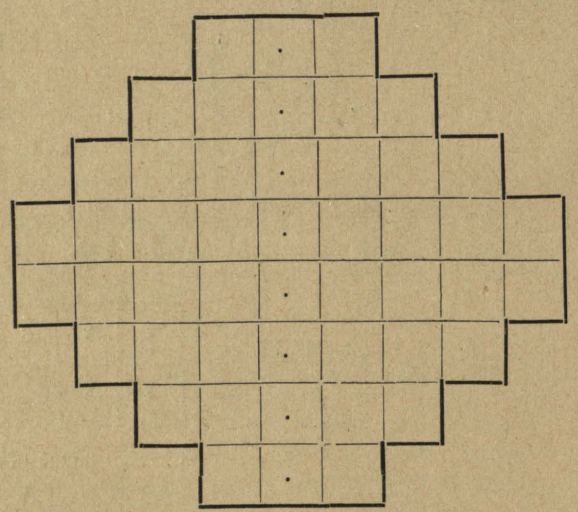

Owad — narzędzie — miasto we Włoszech — góry w Austryi — tytuł dzieła — związek religijny — ptak — drzewo.

W każdą kratkę należy wpisać jedną literę, a środkowe litery (gdzie kropki) dadzą nazwisko poety polskiego.

Rozwiązania należy nadsyłać do 20. stycznia 1899 roku (mogą być na karcie korespondencyjnej). Nazwiska prenumeratorów, którzy nadeszlą trafne rozwiązania, będą umieszczone w następnym numerze.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

W tej rubryce będzie Redakcya udzielała wszelkich żądanych wyjaśnień lub wskazówek, tak w sprawach naukowych, jak wogóle wszelkich innych.

Można prosić o podanie odpowiedzi pod dowolnie obranem godłem lub literami, jednak list musi być podpisany imieniem i nazwiskiem, gdyż tylko prenumeratorom będzie się odpowiadało.

OD WYDAWCY.

„Przyjaciel młodzieży“ będzie wychodził na razie co miesiąc, później w miarę rozwoju wydawnictwa częściej. Każdy numer będzie obejmował podwójny arkusz w 4-ce o 16 stronicach. Warunki przedpłaty podano w nagłówku.

Niniejszy *numer okazowy* przesyła się **bezpłatnie** Wnym P. T.Przełożonym i Profesorom zakładów naukowych, oraz niektórym uczniom wyższych klas. Następne numery *otrzymają tylko ci czytelnicy, którzy nadeszlą przedpłatę.*

Najdogodniej przesyłać ją przekazem pocztowym, przyczem może kilku prenumeratorów jednym przekazem pieniądze przysłać (opłata aż do kwoty 20 koron wynosi 10 h. = 5 ct.), tylko należy wszystkie adresy podać.

Uprasza się podawać **adres mieszkania rodziców**, względnie osoby, u której uczeń mieszka, gdyż *do gmachu szkolnego nie będzie Administracya posyłała numerów czasopisma.*

Jeżeli kto nie dostał niniejszego numeru, otrzyma go po nadesłaniu przedpłaty za I. kwartał.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: Od Redakcyi. — Niegdyś a dzisiaj przez *H. Gr.* — Obchód świąt Bożego Narodzenia w Polsce, przez *X. Feliksa Józefowicza.* — Odkrycie drogi morskiej do Indyi, przez *Dr. M. Warmskiego.* — *J. Vrchlicky.* Legenda o św. Prokopie, przełożył *Dr. Fr. Krczek.* — Z dziejów malarstwa polskiego. I. Jan Norblin, przez *Y.* — Mowa zwierząt, przez *Leopolda Wajgla.* — Pogadanka, przez *Kropkę.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Łamigłówka. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od wydawcy.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. lutego 1899. Nr. 2.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.

Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.

Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Ludzie dobrzy sądzą, zaczynając od dobrej strony.“ (*Mickiewicz*, Ks. pielgrz.)

Hellada a Rzym [1]).

„W ksiąg rzymskich, greckich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił:
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił“.
Ad. Mickiewicz, Pieśń Filaretów.

Hellado młoda! gdy w wieków pomroku
Dzikie potwory gromiły Twe syny,
Już wieszcz w potężnych słów wartkim potoku
Przy dźwiękach gęśli opiewał ich czyny.

W pieśni swej kraśne roztaczał kobierce:
Mężów odwagę, jak topór niezłomną,
Lub niewiast czułych kochające serce,
Lub żądzę sławy spiewał wiekopomną.

Tam broni Hektor ojczyzny i ziomków,
Pewny, że legnie już za chwil niewiela;
Achilles chciwy sławy u potomków,
Pewny swej śmierci, mści śmierć przyjaciela.

Słychać szczęk broni, śmierć krąży w około
Kruszą się kopie, legł rydwan strzaskany:
A tam w winnicy młodzieńcy wesoło
Wśród dziewic grona rozpoczęli tany.

Tu krew się leje obfitemi strugi,
A tam niewiasty przędzą przy kądzieli;
Tam dzbany wina zastawiają sługi,
Męże przy uczcie żartują weseli.

Odysseus tułacz zwalcza nurty morza,
Potem u stołu Feaków zasiada,
I nim różana zabłyśnie im zorza,
Walki, przygody, trudy opowiada.

Ale myśl jego, co chwila ulata
Na górską wyspę, ni piękną, ni żyzną:
Tam stoi ojców ulubiona chata,
Tam żona z synem, a ten kraj — ojczyzną!

* * *

Co gęślarz spiewał w narodu kolebce,
Co w pieśni dawno potężnie zabrzmiało,
To później mistrzom niewidzialne szepce:
„Przedstaw to w barwach, przyoblecz to w ciało“.

I wstają gmachy cudne, niby w baśni,
Strojne w ozdobne lub proste kolumny;
W nich śliczne kształty błysną jeszcze jaśniej:
Wenera, Hermes albo Jowisz dumny.

W teatru kliny tłum ludu się tłoczy;
Tam Sofoklesa wkrótce zabrzmią tony,
Tam dzisiaj Edyp biedny traci oczy,
Albo szlachetnej śmierć dziś Antygony.

Z mownicy pełen rozsądku i myśli
Perykles prawi swym donośnym głosem,
Lub zgon już blizki Demostenes kreśli
I ubolewa nad ojczyzny losem.

Mędrcy, młodzieży otoczeni kołem,
Głoszą głębokie i szczytne nauki,
Gdzie spojrzysz, wszystko piękne kwitnie społem:
Przemysł i rzutkość i wiedza i sztuki.

Choć padła Grecya, jej wiedza i sztuka
Ogarnia świata ówczesne rozmiary,
Na wszystkie strony siedzib sobie szuka,
Czerpie z niej Zachód, czerpie Wschód prastary

* * *

W italskiej ziemi naród wschodzi nowy:
Rzymianin mężny gromi swoje wrogi,
Zbrojny i w siłę i w rozsądek zdrowy,
Ufny w swe szczęście, ufny w swoje bogi.

Jak wieczny ogień Westy z Kapitolu
Ojczyzny miłość tli w głębi ich duszy,
Siły ich woli — ni potęga bolu,
Ani namiętność, ni rozkosz nie kruszy.

[1]) Wierszem tym pragnąłby autor zachęcić do odczytania cyklu obrazków ze świata starożytnego, z życia prywatnego i publicznego, w porównaniu z dzisiejszymi stosunkami. Artykuły te będą się ukazywały od czasu do czasu w następnych numerach. *(Przyp. Red.)*

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
АН УРСР
№

Rzuca się Decyusz w czeluści otchłanie;
Strasznych męczarni Regulus niepomny
Krwią swą szlachetną stwierdza dumne zdanie:
„Nędzni wrogowie, Rzymianin niezłomny“.

Padają w gruzy i państwa i miasta,
Klęski i ciosy nie słabią narodu;
Z kości poległych ich mściciel wyrasta
I szerzy chwałę siedmiu wzgórzy grodu.

W śmiały swój rydwan liczne wprzęga ludy,
Hellada w rękę wpada mu potężną,
By skarby wiedzy i sztuki swej cudy,
Po świecie krzewić pod opieką mężną.

Gdzie orły rzymskie — aż na krańce świata —
Dolecą, trwałe gdzie uścielą gniazdo,
Zdąża za nimi helleńska oświata
Jakby zrodzona pod tą samą gwiazdą.

Świat zjednoczony potężnem ramieniem
Dla przyszłej ery otwiera swe progi,
Tej ery nowej, której krzyż znamieniem:
Krzyż, co druzgoce przestarzałe bogi.

Korneli Fischer.

Jerzy Kazi-Bek.

ŚMIERĆ ZA SIOSTRĘ.

Powiastka czerkieska.

(Przekład F. K.)

I.

W niewielkiem oddaleniu jakich pięciu wiorst od ujścia rzeki Łaby rozpościerał się mniejszy auł Pszekupsa[1]). Zamieszkiwali go wyłącznie nieokiełzani krwiożerczy Szapsugowie, należący do szczepu czerkieskiego. Kilkakrotnie zburzyło go wojsko rosyjskie. Niegdyś mieszkali tam odważni dżygitowie [2]), zwani przez Rosyan wilkami górskimi dla swej dzikości; byli też rzeczywiście wilkami.

Jeśli zwykli górale słynęli jako wilki, łatwo się domyśleć, jakim zwierzem musiał być ich naczelnik, książe Ewbok Pszekupski. Opowiadania o jego dzikich, iście zwierzęcych zabawach przechodzą z pokolenia na pokolenie. Ani łzami, ani prośbami, ani nawet przekleństwem nie można było zmiękczyć jego twardego serca. Jeńcy, którzy wpadli mu do rąk, mogli już z góry uważać się za skazanych na zagładę, — przedewszystkiem kobiety. Męszczyznom wymyślił następujący rodzaj śmierci: stawiano jeńca u słupa i przywiązywano doń silnie; potem żołnierze uszykowani strzelali do nieszczęsnej ofiary, ale tak, żeby nie zabić jej odrazu. Kule świstają mimo uszu biedaka, który drży cały ze strachu. Ale to bawi księcia. Wreszcie sam książe chwyta za strzelbę i dokonywa mordu własną ręką. Smierć jeszcze groźniejsza czekała kobiety; tem większa też była przytem rozkosz twardego serca księcia. Za aułem wytknięto koło w obwodzie może półwiorstowym, otoczone silnem, wysokiem ogrodzeniem. Do tego koła wpuszczano nieokiełzanego konia chowanego li ku temu celowi; tam też zapędzano brankę. Dziki koń, spostrzegłszy swą ofiarę, rzucał się na nią. Wtedy też zaczynała się zabawa książęca; biedaczka, sina jak trup, ucieka przed rozszalałem zwierzęciem. Tylko wtedy, gdy obiegła trzy razy koło, przysługiwało jej prawo łaski. Ale któreż dziewczę zdołało dokazać tego? Koń zwykle doganiał swą ofiarę zaraz i rozszarpywał, rozmiażdżał ją kopytami, poczem odprowadzano go do stajni. Naczelnik bawił się tem lepiej, im dłużej branka potrafiła uciekać. Nie było jeszcze wypadku, żeby która wyszła szczęśliwie ze strasznego koła. To też nic dziwnego, że książę począł wkrótce uczuwać brak jeńców. Ci, z którymi walczył, szukali śmierci na polu bitwy, przenosząc śmierć chlubną nad niewolę; wiedzieli-ć, jaki los czeka ich u dzikiego księcia. Ewbok bowiem nie mógł ani dnia wytrzymać, żeby koń jego, wyćwiczony ku temu, nie stratował kogo. Rozwścieczony wreszcie tem, że nie udało mu się pojmać żadnej branki, wydał rozkaz: jeżeli wojownicy nie przyprowadzą mu z wyprawy lub z wojny jeńców, w takim razie wszystkie auły, podlegające jego władzy, z wyjątkiem jego własnego, będą musiały dostawiać mu codziennie po jednej dziewczynie do koła.

---

[1]) Łaba, dopływ lewy rzeki Kary na Kaukazie między 43° a 46° szer. półn. i 39° a 41° dług. wschodn. Gr.; wiorsta = miara długości, 1·067 *km.*; „auł“ w językach kaukazkich, oraz w baszkirskim, kirgizkim i tatarskim oznacza „osadę, wioskę“.

[2]) Dżygit = wyraz turecki, oznaczający junaka; na Kaukazie nazywają tak wogóle zręcznych jeźdźców.

Po wydaniu tego rozkazu poddani książęcy zeźwierzęceli zupełnie. Wybierając się na wojnę lub na wyprawę dla rabunku, starali się zawsze o odpowiednią ilość ofiar dla swego księcia. W razie, gdy wyprawa nie wypadła po ich myśli, rzucali losy, czyja córka czy też narzeczona musi pójść do koła.

Wiele pięknych dziewcząt padło w ten sposób ofiarą dzikiego konia. Mimo to książę nie cofnął swego rozkazu. Ani jedna nie uszła swemu smutnemu przeznaczeniu. Przebiegła dokoła raz jeden i drugi i padała ofiarą rozwścieczonego konia.

II.

O 15 wiorst od aułu książęcego rozłożyła się na stromej skale wielka osada, własność również księcia Pszekupskiego. Auł Supsa był bogaty i pełnił ściśle wszystkie swe zobowiązania, sumiennie płacił daninę swemu księciu. Na ten auł padł właśnie los dostarczenia dziewczęcia dla dworu. Supsa słynęła urodą swych dziewuch. Gdy młodzian jaki chciał się żenić, z pewnością jechał do Supsy po żonę. Dlatego też żądano wysokiego kałymu [3]) za dziewczęta tamtejsze. Za taką sumę mógłby młodzieniec dostać trzy choćby dziewice w innym aule, ale dżygitowie dawali pierwszeństwo jednej dziewczynie ze Supsy.

Smutek rozsiadł się po wszystkich aułach na wiadomość o tem zdarzeniu. W mieszkańców zaś aułu Supsy rozkaz ten uderzył gromem. „Kogo mu dać“? — rozmyślali. Niestety nie mieli żadnej branki. Po długich sporach i rozprawach postanowili losować. Los padł na piękną, siedmnastoletnią Chmyzyą, która miała brata o rok młodszego i matkę starowinę. Już dawno pewien młodzian ubiegał się o jej rękę, ale nie miał kałymu. Jak gdyby czarne chmury zawisły nad chatą, taki smutek opanował całą rodzinę, gdy dowiedziała się o wyniku losowania. Biedne dziewczę tonęło we łzach, wiedząc, jaka śmierć je czeka.

Gdy uwiadomiono o tem narzeczonego, popadł w rozpacz bezgraniczną.

Brat Chmyzy, szesnastoletni Ibrahim, wzruszony narzekaniem matki, łzami siostry, oświadczył nagle, że uda się do księcia zamiast siostry. Matka, zaskoczona tem postanowieniem, załamała ręce.

„Co ci strzeliło do głowy, głuptasie“? zawołała. „Jeżeli książe pozna, żeś go oszukał, zabije i ciebie i Chmyzyą. Zaklinam cię na pamięć twego ojca, niech mu Ałłah da wieczne odpoczywanie, porzuć tę myśl, dziki książę potrafi was schwytać“!

— „Nie bój się, matko“, młodzik odpowiedział. „Zanim dojadę do księcia, Chmyzy może wyjść za mąż, a wtedy książe nie może już żądać jej wydania“.

Matka i córka spojrzały na się.

„Nie, Ibrahimie, ja ciebie nie puszczę“. Chmyzy rzekła smutnie. „Jesteś młody; musisz żyć. Nie zgadzam się na twój plan“.

— „Niby to ty jesteś już staruszką i musisz umrzeć“! Ibrahim odparł z uśmiechem.

Chmyzy poczęła ściskać brata. „Masz słuszność, Ibrahimie; ja także powinnam żyć“! zawołała. „Ale dlaczego ty musiałbyś umierać niewinnie? Serce mi pęka z bolu; żal mi rozłączyć się z tobą“. I wybuchła płaczem nieutulonym.

— „Nie płacz siostro; ty i ja, obojeśmy niewinni. Ałłach odwrócił się od nas i zesłał nam złego księcia. Uspokój się siostro; żyj w pokoju, niech Ałłach błogosławi twemu domowi. Nie zapominaj o matce naszej. Ale ja pójdę zamiast ciebie, nikt mnie nie zatrzyma. Postanowiłem tak postąpić już wtedy, kiedy rozkaz ten wyszedł. Ślubowałem Ałłahowi, że pójdę zamiast siostry, gdyby los padł na nią“!

Ani narzekania matki, której nie mogli uspokoić, drżała bowiem o oboje zarówno, ani prośby siostry, złamanej nieszczęściem, nie odniosły skutku: Ibrahim stał niewzruszenie przy swojem. Postanowiono wezwać wójta i przedstawić mu myśl Ibrahima.

Siwy wójt, który widział wiele już w ciągu swego życia, wysłuchał postanowienia Ibrahima, spoglądnął z niemym smutkiem na odważnego junaka i rzekł:

„Niech Ałłah udzieli ci królestwa wiecznego i szczęśliwości w nowem życiu. Zaprowadzę cię na dwór księcia zamiast twej siostry. Ałłah przebaczy mi ten podstęp. Przygotuj się, kochany synu, muszę dostawić cię dziś księciu naszemu. Oby Ałłah miłosierny oświecił ducha jego“!

Odszedł po tych wyrazach.

---

[3]) Kałym nazywa się u szczepów kaukaskich suma, wypłacana przez pana młodego pannie młodej jako zabezpieczenie na wypadek jej owdowienia; wynosi np. u Czeczeńców 35 – 350 złr.

Wśród łez gorzkich poczęto przyodziewać Ibrahima w strój kobiecy. Matka wylała już wszystkie łzy i przypatrywała się teraz onie miała tym przygotowaniom.

Chmyzy ubrała brata i pobłogcsławiła go na drogę straszną. Z uśmiechem młodzian pocieszał siostrę, jak tylko mógł. Ale już arba ciągniona przez parę silnych koni, zajechała przed chatę. Ibrahim wsiadł do niej.

Matka z siostrą odprowadziły go, opłakując go, jakby był już nieboszczykiem.

Wszyscy żałowali przedwczesnej śmierci młodziana [4]).

III.

Książe, zawsze dziki i krwiożerczy, był dnia tego jeszcze bardziej rozgniewany. Niecierpliwie czekał na swą ofiarę, aby się rozweselić zwykłą swoją zabawą. Zdumiał się, spostrzegłszy Ibrahima w stroju kobiecym. Twarz bowiem jego była jeszcze gładka, łagodne, jasne oczy patrzyły wprost przed siebie i śmiało, białe lica, pokryte lekkim rumieńcem, biły zdrowiem i odwagą. Uderzał swą pięknością. Coś, jakby współczucie odezwało się w twardem sercu władcy, ale wnet oczy jego zabłysły znowu i znowu dzika radość owładła jego sercem, gdy widział przed sobą piękne młode dziewczę; polecił zaprowadzić ofiarę do złowrogiego koła.

Młodzieniec wstąpił tam bez trwogi i zajął stanowisko wyczekujące.

Równie, jak książę, nielitościwi żołnierze, otaczający go, czekali z niemałem zaciekawieniem, rychło-li zabawa straszna się rozpocznie.

Zadęto w róg i wielki, dziki koń wbiegł rozhukany do koła. Oczy jego zabiegły krwią, nozdrza rozszerzone niemal buchały ogniem. Spojrzenie jego dzikie mogło przerazić nawet zręcznego dżygita. Widząc, że ofiara jego stoi spokojnie na środku koła, rzucił się na nią szybko, ale młodzian usunął się zręcznie, a koń uderzył się w zapędzie o ogrodzenie.

Z dzikiem rżeniem i z gwałtownością jeszcze większą skoczył po raz wtóry ku młodzieńcowi. Książę i żołnierze śledzili ruchy jego wytężonym wzrokiem. Śmiałość dziewczęcia wzbudzała w nich podziw. Tymczasem koń rozpędził się po raz wtóry bezskutecznie i ugodził sobą w ogrodzenie tak silnie, że upadł na przednie nogi. Wściekłe zwierzę zaryczało z bolu.

Zarżawszy ponownie, rozpędził się koń po raz trzeci przeciw chłopakowi, który wyczekiwał natarcia nieustraszenie i spokojnie. Wreszcie Ibrahim w chwili, kiedy koń chciał już go rozszarpać, wyskoczył nań bardzo zwinnie i znalazł się na jego grzbiecie. Ten czyn, zupełnie nieoczekiwany, oniemił konia jak piorun: jeszcze żaden człowiek nie odważył się dotknąć jego grzbietu. Na chwilę zdrętwiał i nie wiedział, co począć. Widok był to przecudny: rasowy, piękny koń stał na środku koła, sapiąc i dziko tocząc zdziwionemi oczyma, a na nim dziewczę siedziało spokojnie, patrząc łagodnie dokoła siebie, jakby zrosła się z końcem.

Śmiała i urocza jezdczyni podobała się księciu. Jeszcze nigdy nie spotkał takiej. Uczucie ozwało się znów w jego piersi, ale już nie współczucie, jeno delikatniejsze i silniejsze zarazem; chciał krzyknąć, ale nie mógł, tak go oszołomił ten nagły obrót rzeczy.

Żołnierze nie śmieli podnieść oczu na księcia. I w ich sercach jakieś uczucie zadowolenia obudziło się nagle. Byli wzruszeni. Dziwili się wahaniu księcia.

Nagle koń zerwał się całem ciałem, przeleciał przez ogrodzenie z szybkością myśli i pocwałował w step o zawody z wiatrem. Książe zbladł po raz pierwszy w swem życiu.

„Łapajcie, trzymajcie go“! zaryczał, jakby pozbawiony zmysłów, ku żołnierzom, zdrętwiałym równie, jak on.

Wszyscy starali się spełnić jego rozkaz. Jednak na swych zwykłych koniach nie mogli doścignąć rumaka, galopującego wściekle. Prawie leciał jak ptak, niemal nie dotykając ziemi kopytami, i w krótce znikł im z oczu całkowicie. Gdy oznajmili księciu, że nie zdołali schwytać konia, zaczął tenże szaleć: rzucił się na ziemię, darł szaty na sobie, tłukł głową o podłogę, przeklinając wszystkich i wszystko na świecie; twarz jego wykrzywiła się skutkiem cierpień wewnętrznych. Nagle zerwał się, rozkazał osiodłać konia i puścił się cwałem za jezdczynią.

Ibrahim siedział na koniu silnie mimo jego szalonego lotu. Serce rosło junakowi na

---

[4]) U górali kaukaskich męszczyzna przedstawia większą wartość od kobiety. Tak np. dają trzy niewolnice za jednego jeńca.

myśl, że uwolni kraj od tego strasznego konia. Koń tymczasem unosił go przez rowy, rzeki, strumienie; grzbiet jego piana pokryła tak, że Ibrahim mógł usiedzieć na nim z trudem zaledwie i musiał dobywać sił nadludzkich, aby się utrzymać. Naraz przepaść rozwarła się przed nimi, i zanim młodzian zdołał się opamiętać, koń rozhukany rzucił się w przepaść bezdenną. Krzyk rozpaczliwy rozległ się i wszystko ucichło.

Książę na rączym biegunie dopędził Ibrahima tuż nad przepaścią. Widział, jak koń rozwścieklony znikł w głębinie. Podjechał ku ziejącej przepaści. Koń jego zarżał i odskoczył na bok.

„Ałłahu, przyjmij duszę moję!“ zawołał książę, pozbawiony zmysłów, i zmusił konia do skoku razami nahajki. Jedno mgnienie oka, i znikł w przepaści.

Żołnierze czekali długo na swego naczelnika, ale napróżno, nie wrócił do nich. Kraj pozbył się dzikiego władcy i odetchnął swobodniej.

Tylko wieść niesie, że w noc ciemną młody jeździec na białym koniu pojawia się na wyniosłej skale. Blask go oblewa, a jego promienie rozświecają podróżnym drogę. Miejsce to uchodzi za święte i czczą je Czerkiesi. Każdy góral, przechodząc tamtędy, szepce modlitwę.

Do dziś dnia nucą pieśni o sławnym Ibrahimie.

O wyspie Kubie.

Ta „perła Antyllów“ a raczej największa z pereł antylskich, ostatni do zeszłego roku szczątek posiadłości hiszpańskich w Nowym Świecie, leży w stronie północno-zachodniej archipelagu, zwanego Indyami Zachodniemi, pomiędzy 19°50 a 23°9′ szerokości północnej i między 74°8′ a 84°58′ długości zachodniej (od południka w Greenwich) oblana od północy wodami kanału Bahamskiego, kanału Mikołajskiego i zatoki Meksykańskiej, od zachodu kanałem Jukatańskim, od południa morzem Karaibskiem, od wschodu kanałem Wiatrów, oddzielającym tę wyspę od Haiti. Obszar jej łącznie z drobnemi wyspami nadbrzeżnemi wynosi 2158 mil kwadr. tj. prawie równa się przestrzeni Królestwa polskiego. Pod względem naturalnej zasobności należy Kuba do najszczęśliwszych krajów w świecie. Urodzajnością dorównywa sąsiedniej Haiti, ale ma klimat zdrowszy i nie tak gorący, bo ochładzany wiatrami morskimi i deszczami, które padają we wszystkich porach roku. Długość wybrzeży, wyborne porty, zwłaszcza w części zachodniej, pasmo gór średniej wysokości (dochodzące do 2.600 m.) przecinających wyspę przez całą jej długość od zachodu ku wschodowi a pokrytych wielkimi lasami i zasilających do 150 rzek i strumieni, z których wiele spławnych (największą rzeką jest Cauto) — wreszcie dogodne położenie w samym środku Nowego Świata, obfitość płodów świata roślinnego, przydatność gleby pod kulturę tak zwrotnikową jak i strefy umiarkowanej, bogate kopalnie miedzi, wszystko to uzasadnia nazwę „perły między Antyllami“. Co się tyczy uprawy ziemi, nadmienić należy, że są tam wielkie plantacye trzciny cukrowej, tytoniu i kawy. Ale chociaż wywóz cukru wynosi 60—80 mil. dolarów, tytoniu 50 milionów dolarów, chociaż na wielką skalę urządzony jest wywóz kawy, owoców południowych, jak ryżu, pizangu, kakao, ananasów, tudzież wosku, miodu, wielu roślin barwierskich i leczniczych, chociaż chów bydła, koni, owiec i świń jest znaczny, to przecież rzec można, że Kubańczyk z darów swej ziemi mało korzysta. Zaledwie bowiem $^1/_{10}$ część ziemi jest uprawna (przed 10 laty $^1/_{20}$), a z wyjątkiem północno-zachodniej części całe prawie wnętrze wyspy jest jeszcze w stanie pierwotnym. Kraj ten ma mniej niż półtora miliona mieszkańców (podług spisu z r. 1877. tylko 1,394.516), a mógłby wyżywić 15 milionów. Ludność nawet zmniejszyła się w ostatnich czasach, gdyż w r. 1867 wynosić miała 1,404.508 dusz, co zapewne jest skutkiem wojny domowej, która przez 10 lat blisko od r. 1868. do 1877. ten kraj pustoszyła. Niepomyślny ten stan, powiada Sygurd Wiśniowski, przypisać wypada stosunkom politycznym, ekonomicznym i społecznym, mianowicie samowolnym rządom gubernatorów hiszpańskich, administracyi niesumiennej, upośledzeniu krajowców w urzędach publicznych, wadliwym urządzeniom celnym, które zapewniały Hiszpanii stanowisko uprzywilejowane z krzywdą przemysłu krajowego, nadewszystko zaś brakowi pracy.

Kraj uprawiają bowiem prawie wyłącznie czarni niewolnicy oraz kulisi chińscy nibyto wolno-najemni, a w rzeczywistości traktowani jak niewolnicy. Dodać należy do tego gnuśność właścicieli, plantatorów i okrucieństwa ich oficyalistów. Oto mamy obraz wcale niepochlebny, który może po zmianie rządu zmieni się też na lepsze, co będzie łatwą rzeczą dla bogatego kraju, stojącego w stosunkach handlowych z Ameryką, Anglią, Hiszpanią, Francyą i Niemcami. Komunikacya wewnątrz kraju pozostawia wiele do życzenia; drogi są złe a sieć kolei żelaznych wynosi zaledwie 640 kil.; przebiegają one głównie w kierunku od wschodu ku zachodowi.

Telegraf podmorski łączy Kubę z Florydą i Stanami Zjednoczonymi a największe miasta handlowe są: Hawana (Habana 220.000 mieszkańców), Santiago de Cuba (z 40.000 mieszkańców), Mantanzas (30.000) i Puerto Principe (31.000 mieszkańców). Nadmienić też należy, że największe domy handlowe są w ręku Niemców[1]).

MARGIER.

Kartka z dziejów twórczości Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza).

Pomiędzy licznymi utworami sympatycznego „lirnika litewskiego“ zajmuje „Margier“ stanowisko wyjątkowe, nie tyle dla swej wewnętrznej wartości, ile raczej z powodu wybitnej odrębności cech charakterystycznych, któremi różni się od innych poematów autora „Dęboroga“. Zachęcony powodzeniem i zepsuty trochę pochwałami krytyki, która nie mogąc zrozumieć rodzaju jego zdolności wmawiała w niego olbrzymi talent poetycki, postanowił Syrokomla zejść z drogi, którą dotychczas kroczył, porzucić ten szczery, swobodny ton gawędziarski, który się wszystkim tak bardzo podobał, nastroić swoją lutnię o kilka tonów wyżej i wyśpiewać na niej już nie gawędę, lecz poważną powieść poetyczną.

Rozkochanemu w dziejach kraju rodzinnego Litwinowi nie trudno było o temat: wystarczało przerzucić stare kroniki, aby w nich znaleźć aż nadto wiele przydatnego materyału. Ułatwiła mu jeszcze tę pracę Paulina Wilkońska, żona znanego autora „Ramot i ramotek“, a sama również powieściopisarka, zwracając jego uwagę na fakt, który pruscy i litewscy kronikarze zapisali pod rokiem 1336. Oto opowiadają oni, że w roku tym napadli Krzyżacy na zamek Pullen, którego na czele swej załogi bronił długo, z rozpaczliwem bohaterstwem wódz litewski Margier. Kiedy zaś znikła wszelka nadzieja ratunku, Litwini, nie chcąc dostać się żywcem w ręce znienawidzonych wrogów, sami się wzajemnie pozabijali na stosie.

Temat to był rzeczywiście poetyczny i ponętny — to też Syrokomla nie mógł się oprzeć pokusie i postanowił na tle tego wypadku skreślić obraz starożytnej Litwy, jej zwyczajów, obyczajów, wierzeń, bohaterskich zapasów z Krzyżakami, jednem słowem napisać litewską epopeję. Po namyśle obrał sobie za wzór formę Wergiliuszowej „Eneidy“, bo mu się zdawało, że jej „okrągłe kontury, przyzwoite poważnemu epos, uwalniają od drobiazgowych studyów“; nie zaniechał jednak studyów ogólniejszych: wczytywał się w kroniki starodawne, oglądnął osobiście miejsce wypadku, a zabrał się do pracy z takim zapałem, że już po kilku miesiącach, w sierpniu 1854 r., mógł pod swoim „Margierem“ położyć tak miłe dla każdego autora „finis“.

Z pracy swej był Syrokomla odrazu bardzo zadowolony: już w przedmowie nazwał ją „najlepszem z dzieci swego ducha“, a nawet, co więcej, spostrzegł, że ona we wszystkiem odpowiada warunkom, jakie krytyka stawia epopei. „Jest tu wezwanie (*invocatio*), jedność akcyi, dostateczna odległość czasu, z której uważane wypadki olbrzymieją, jest nawet tak zwana machina, czyli wpływ siły nadprzyrodzonej (*deus ex machina*). Oświadczamy uroczyście — pisze poeta dalej — że to dopełnienie warunków zgasłego klasycyzmu stało się całkiem przypadkowo, żeśmy się nigdy nie kusili o stworzenie epopei, którą starożytność słusznie uznała za najwyższy szczyt poezyi“.

Jak widzimy, Syrokomla zapatrywał się na epopeję nie dosyć poważnie, kiedy sądził, że samo istnienie inwokacyi, jedności akcyi itd. zapewnia jakiemuś utworowi tę zaszczytną

---

[1]) Opis ten, któryśmy nowszemi datami uzupełnili, podał znany nasz podróżnik, Sygurd Wiśniowski, w odczycie, wygłoszonym w Warszawie w roku 1881.

nazwę. My wiemy dziś, że epopei nie pisze się na poczekaniu, że w całej literaturze powszechnej jest ich zaledwie kilka i że warunkiem jej nieodzownym jest nie istnienie kilku czysto formalnych cech, lecz prawdziwość obrazu życia narodowego, przedstawionego w całej pełni i we wszystkich jego objawach — bez tego nie ma epopei pomimo wszelkich inwokacyj i pomimo jak najściślejszego zachowania wszystkich „jedności".

Mimo to wszystko jest dla nas powyższe wyznanie poety bardzo pożądane, pozwala nam bowiem wglądnąć w jego zamiary i porównać je z wykonaniem, porównać utwór, jaki poeta chciał stworzyć, z tym, który napisał, i przez takie porównanie nabrać dokładniejszego pojęcia zarówno o samym autorze, jak i o jego dziele. *Tadeusz Pini.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z hygieny

I.

„Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz".
(Kochanowski).

Zdrowie to skarb człowieka, a przecież jak mało o nie dziś dbamy, jak często je lekkomyślnie tracimy, nie bacząc, iż jego pielęgnowanie jest naszym obowiązkiem, i to nietylko w obec nas samych, lecz także w obec całego społeczeństwa, którego częścią jesteśmy.

Trzeba pamiętać i o tem, że zaniedbanie tego obowiązku jest wykroczeniem przeciwko prawu naturalnego postępowego rozwoju od kolebki do grobu, według którego osobnik żyjący wzrasta, dojrzewa i przechodzi w zgrzybiałość.

Nie wolno nam lekkomyślnie nadużywać sił naszego organizmu ufając, iż posiada on ogromną zdolność do opierania się szkodliwym wpływom zewnętrznym; musimy bowiem zważać na to, że gdy czynniki szkodliwe działać będą przez czas dłuższy na cały szereg pokoleń bez najmniejszego z ich strony oporu, wówczas ród ludzki w rozwoju swym musi cofać się wstecz, musi się degenerować.

W dzisiejszych czasach, przy wytężającej pracy umysłowej, rozwój fizyczny bywa upośledzony a równowaga całości ustroju, która jest miarą zdrowia, bywa zachwiana.

Dla utrzymania zaś czynności życiowych w równowadze nieodzowne są pewne warunki fizyczne, które ustrój ludzki czerpie z otaczającego go świata zewnętrznego: są to sprawy dotyczące pożywienia, odzieży, mieszkania, sprawy odnoszące się do ćwiczeń ciała, zajęć życia codziennego i t. p. a grające najważniejszą rolę w ogólnym niewzruszonym porządku przyrody.

O dowód na to nie trudno, bo często możemy widzieć, jak czasem brak tego lub owego warunku życia, jak również czasem nadmiar lub też złe jego użycie wywołuje w organizmie zaburzenia i sprowadza stan anormalny: chorobę. By tego uniknąć, należy nam żyć hygienicznie t. j. postępować według zasad hygieny, nauki mającej za cel doskonalenie człowieka moralne i fizyczne.

Ponieważ, jak wiadomo, jednym z najpierwszych warunków, koniecznych do życia jest powietrze, przeto zapoznajmy się z niem bliżej.

Powietrze otacza ziemię, tworząc nad nią warstwę grubości około 10 mil, zwaną atmosferą. Powietrze atmosferyczne pod względem fizycznym i chemicznym przedstawia pewne wahania i tak gęstość: jego maleje z odległością od ziemi [1]), podobnie i ciepłota zmniejsza się o 1° C. z każdymi 180 m. wzniesienia ponad poziom morza, a prężność zależy też od stopnia ciepłoty.

Pod względem chemicznym jest powietrze mieszaniną tlenu i azotu w stanie lotnym (nie zaś chemicznem połączeniem) i zawiera w przecięciu około 20·7% tlenu i 78·3% azotu [2]). Prócz tego stałemi domieszkami są: para wodna i bezwodnik kwasu węglowego; dalej wykryć można ślady ozonu, wody utlenionej, amoniaku, obok innych ciał, które dostają się do powietrza jako produkty oddechania ludzi, zwierząt i roślin, a także procesów gnicia, fermentacyi, spalenia i t. d.

---

[1]) W wysokości 1 mili geogr. wynosi gęstość powietrza 0·4 a w wysokości 8 geogr. mil zmniejsza się gęstość do 0·0003, gdzie stan barom. wykazałby 0·25 mm. Gęstość taką trudno osiągnąć zapomocą zwykłej maszyny pneumatycznej.

[2]) Przed kilku laty wynaleziono argon, a z końcem z. r. Ramsay i Traverse przy badaniach własności argonu wynaleźli jeszcze 3 składniki: neon, krypton i metargon.

Które zaś składniki są dla życia niezbędne, a dla zdrowia korzystne lub szkodliwe, to pokrótce przedstawimy.

Przez oddechanie wprowadza człowiek do płuc pewną ilość powietrza, względnie tlenu, który utleniając krew, odświeża ją; proces ten jest tak ważnym dla organizmu ludzkiego, że śmiało powiedzieć możemy, iż człowiek żyje głównie tlenem.

Na szczęście procent tlenu w powietrzu bardzo nieznacznym i prawie żadnym nie ulega wahaniom; tylko w jaskiniach, w przestrzeniach zamkniętych, kopalniach i t. d., gdzie zużywają go oddechy ludzi, płomienie lamp jako też gazy kopalniane, znajdujemy w powietrzu zmniejszoną ilość tlenu. Ubytek spowodowany przez oddechanie ludzi i zwierząt oraz spalanie się ciał uzupełnia tlen, jaki wśród dnia uwalnia się z kwasu węglowego i innych połączeń tlenowych jako produkt przemiany materyi u roślin, tworzących zieleń. Prócz tego i wiatry wiele się przyczyniają do równomiernego rozmieszczenia tlenu w powietrzu.

Drugi składnik atmosfery, azot, nie ma żadnego znaczenia pod względem hygienicznym; jest on tylko czynnikiem służącym do rozrzedzania tlenu, którego za wielka ilość mogłaby na organizmy nie przyzwyczajone do energicznego jego działania wpływać szkodliwie, choć z drugiej znów strony nieraz sam tlen dajemy wdychiwać chorym jako środek leczniczy. Zapatrywania te jednak jak i sprawa ozonu są kwestyą sporną. Dawniej przypisywano ozonowi doniosłą wartość hygieniczną, dowodząc, że tenże jako składający się z 3 atomów tlenu posiada zdolność energicznego utleniania drobnoustrojów a przez to je zabija. Dziś jednak nie wydaje się to prawdopodobnem, gdyż wykryto, że zbyt mało jest go w powietrzu, aby mógł spełnić takie zadanie.

To samo można powiedzieć i o wodzie utlenionej, choć ta jeszcze mniej energicznie działa od ozonu.

Bezwodnik kwasu węglowego dostaje się do powietrza przy każdym oddechu a także jako ostateczny produkt każdego spalenia. W ilości 0·3 na tysiąc (normalna ilość) nie wpływa niekorzystnie na zdrowie, choć zdawaćby się mogło, iż wydzielony z organizmu zwierzęcego jako produkt niepotrzebny - bardziej powinien być szkodliwym.

I rzeczywiście w większych ilościach jak n. p. w wolnem powietrzu 0·5 na tysiąc a w mieszkaniach 1—5 na tysiąc, sprowadza przykre przypadłości.

Amoniak, którego ślady zaledwie wykryć się dają w normalnym składzie atmosfery, nie odgrywa pod względem hygienicznym prawie żadnej roli.

Prócz powyższych składników spotykamy cały szereg przypadkowych a dla zdrowia ludzi wielce szkodliwych jak n. p. pył, powstały przez rozdrobienie ciał rozmaitych, a w nim miliardy drobnoustrojów przeważnie chorobotwórczych.

Tem jednak zajmiemy się przy innej sposobności.

Wreszcie dodać musimy, że pewien procent (normalnie 1%) pary wodnej w powietrzu jest również konieczny z wielu względów, a zwłaszcza, by przy oddychaniu usunąć przykrość, jaką by sprawiało powietrze ostre, suche.

Jak z tego widzimy, czystem i zdrowem zowiemy powietrze wówczas, gdy zawiera odpowiednią ilość tlenu, azotu i pary wodnej, bez równoczesnego zanieczyszczenia bezwodnikiem kwasu węglowego, tlenkiem węgla, dymem, kurzem, i. t. p.

Wolne powietre a szczególnie powietrze wśród lasu, przy równoczesnem działaniu promieni słonecznych, jest najzdrowsze, pomaga bowiem w leczeniu bardzo wielu chorób i jemu po większej części zawdzięczają leczenia w zdrojowiskach i podróże swój zbawienny wpływ, jaki wywierają na zdrowych i chorych. Brak wolnego powietrza, jeśli odczuwać się daje w ciasnych, ciemnych i przepełnionych mieszkaniach i lokalach, sprowadza chorobę i charłactwo. O przewiew przeto czyli wentylacyę w mieszkaniach przedewszystkiem dbać należy, — a ze świeżego powietrza korzystać jak najwięcej, o ile tylko sposobność się zdarzy, i pełną piersią czerpać ten pokarm, który po ciężkiej i wytężającej pracy wraca nam czerstwość i siłę.

Dr. med. E. W.

Z dziejów malarstwa polskiego.

I.

Jan Norblin.

(Dokończenie.)

Z Norblinem rozpoczyna się zupełnie nowy okres malarstwa polskiego; jest to okres rozkwitu i odrodzenia. Za sprawą tego Francuza w obrazach, malowanych w Polsce, zjawia się po raz pierwszy — polskość. Zasługa to tem większa, że miał do zwalczenia wielkie uprzedzenie, a nadto głęboko zakorzenione upodobanie całego ogółu wykształconego w obrazach malowanych według martwej i sztucznej maniery. A dodać tu należy, że równocześnie z Norblinem, w jednym czasie, w jednem mieście i pod opieką jednego króla pracował malarz rozgłośny, Bacciarelli, będący w swych przekonaniach artystycznych wprost przeciwstawieniem Norblina.

I jakżeż to postępuje nasz malarz w swych obrazach? Oto patrzy bystrem, dowcipnem, a niekiedy nawet satyrycznem, ale zawsze przyjaznem i przychylnem okiem na chłopów na wsi, na prostych żołnierzy w obozie, na żydów i Kozaków i stwarza wierne, z życia wzięte, na gorącym uczynku chwytane polskie typy ludowe; nie poprzestaje jednak na tem i obserwuje wszystkie klasy ludności, maluje piękne i eleganckie panie, spacerujące po ogrodzie łazienkowskim, maluje zamaszystych, pełnych dzielności kontuszowców lub wybladłych, w stroje francuskie przybranych młodzików polskich. A wszystko to wykonane jest z taką doskonałością, z taką wiernością i prawdą, że widza przykuć musi.

Przypatrzmyż się obrazkowi przedstawiającemu scenę w karczmie w Częstochowie. Oto zobaczymy, jakie tam życie i ruch panuje, jak doskonale scharakteryzowane są rozmaite typy ludności, i wpatrując się dłużej, zda nam się, że usłyszymy krzyki i hałasy, jakie w tym bezładnym tłumie unosić się muszą.



Karczma w Częstochowie w 1800. r.

W muzeum książąt Czartoryskich w Krakowie dużo jest rysunków Norblina, na których przedstawił chłopów polskich, a we wszystkich prawie są oni doskonale schwyceni i oddani.

Znakomitem również dziełem Norblina jest obraz, przedstawiający chwilę ogłoszenia konstytucyi Trzeciego maja.

Znaczenie Norblina pięknie określił dr. Mycielski w swej książce p. t. „Sto lat dziejów malarstwa w Polsce.“ Oto, co o nim na-

**

pisał: „Francuz z krwi i kości, wszechstronny jak mało który z współczesnych mu artystów, Polakiem byl Norblin przez swoje utwory, w których charakter nasz narodowy po raz pierwszy odkrył, zrozumiał i w całym szeregu na wskróś polskich postaci na papier przelał. Pojął on pierwszy z malarzy lud polski, typ jego i charakter tak odrębny a tak malowniczy, polski krajobraz, jako tło tych wieśniaków i wszystko to z pełną wdzięku oddawał prawdą; pierwszy też rysował polskiego konia, rasowe suche araby pod dziarskimi Kozakami i chude chłopskie koniki na rozległych pastwiskach. Znał wybornie ulicę polskiej, gwarnej, nieco jeszcze zacofanej wobec Zachodu i trochę wschodniej stolicy, a malowniczość jej i zapełniającego ją różnobarwnego tłumu odtwarzał znowu z wiernością i realizmem na owe czasy zdumiewającym. I w tym to dziale stworzył pierwszą narodową szkołę malarską polską".

Tak przedstawia się główna i nader wielka zasługa Norblina w dziejach naszej sztuki.

Y.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

I.

Ucieczka.

Deszcz z wichurą ślub dziś biorą,
Grom im k'temu bębenicą,
Błyskawice pochodniami.
Toż to leje z chmur gęstwiny,
Toż to gwiżdże w gwarnym borze,
Huczy, piszczy, stęka, wrzeszczy,
Trzaska w lesie, jęczy w skałach, —
Aż w tym tańcu krople deszczu
Podskakują dzikim cwałem!
Co za wir to, co za wrzawa!
Cóż to leci nad borami,
Nito długie, szare cienie, —
Co się miga nad przepaśćmi,
Jak postacie tajemnicze, —
Co po ciosów nagich czaszkach
Toczy się w nieładzie płochym?
Czy to chmury różnokształtne,
Które w burzy bicz piorunu
Gna z dna morza wkoło świata?
Chmura-ć zdala, ale zblizka
Z chmur tych szpony wyzierają,
Czarne nogi, sępie skrzydła.
Boże! Wszak to dyabłów słora! —
Dokąd lecą w takiej nocy?...

Lecą dalej, lecą ciągle
Nad wądoły, nad borami.
Piorun przodem, grom za nimi,
W skrzydła wali im wichura.

Dzika jazda, a bez końca!
Lecą, dzierżąc silną ręką
(Ten na plecach, ów na piersiach)
Złomki figur: to bałwany
Onych swojskich, dawnych bogów,
Które teraz nowa wiara
Precz wypędza z czeskiej ziemi;
W świętych gajach je obala
Dłoń, co ku nim się wznosiła.
By je ukryć przed zagładą,
W obce je unoszą strony.
Dzika jazda, a bez końca!

Tu — spojrz! — pięciu starych dyabłów
Z trudem dźwiga w poprzek wiatru
Złom posągu Trójgłowego [1]);
Dwie ma jeszcze tylko twarze,
Trzecią już mu roztrzaskała
Piorunowym ciosem młota
Ręka księdza nowej wiary.
Tam dwaj wloką posąg Łady [2])
Cały jeszcze, nienaruszon.
Ten Swaroga [3]) pcha mozolnie,
Ów Welesa [4]) wlecze chmurą,
Drudzy zaś posążki małe
Szotków, skrzatków, domowników [5])
Karle, z wykrzywioną twarzą;
Jeden ledwie, ledwie dźwiga
Miski, czasze i ołtarze,
Popielnice i trójnogi.
Ciężki lot to i męczący!
Ba! i — zda się — Bóg też nowy
W zmowie jest z żywiołów walką:
Błyskawica i ulewa
Twarz im smaga bezustannie,
Mgła opada im na skrzydła,
Wicher zaś w pościgu dzikim

---

[1]) Trójgłów, w narzeczu Lutyków nadbałtyckich Triglaw, bożek Słowian pogańskich o 3 głowach; posąg jego znajdował się np. w Winecie cz. Wolinie, sławnym grodzie lutyckim.

[2]) Łada — nazwa bogini słowiańskiej, zestawianej zwykle z Wenerą (Afrodytą); źródłosłów ten sam, co w wyr. *ład, ład-ny.*

[3]) Swaròg — bòg nieba, światła: porównaj wyraz sanskrycki *swarga* = niebo, jasność.

[4]) Weles, po rusku też Wołos, słowiański bòg pasterzy, wspomniany np. w Pieśni o pułku Igora.

[5]) Szotki, skrzatki, domowniki (też chochlikami zwane), niższe bòstwa Słowian pogańskich, już to przyjazne, jużto wrogie ludziom, mniej więcej odpowiadają germańskim elfom, karłom, koboldom itd.

W kłębek zbija ich szeregi,
Miota nimi, ciska nimi.
Straszny wir i straszna wrzawa!

Ponad lasy skała strzela,
Jak stół płaska. Tu skręcili,
Tu złożyli ciężkie brzemię,
Każdy siadł na swym posągu
I sapali bardzo długo,
Wywiesiwszy język krwawy —
Opuścili czarne skrzydła.

„Brzydki czas, nieprawda, bracia?“ —
Z nich najstarszy począł mówić —
„Zmęczył mię ten lot szalony
Bardziej, niż powinien dyabła.
Posłuchajcie: niedaleko
Stąd jest w skale, w czarnym borze,
Ciemna grota — nikt jej zna, —
Jest przestronna, nie wilgotna,
Miękki mech jej ściany kryje,
Sam zaprasza do spoczynku.
Na mą duszę, w tej jaskini
Złóżmy — radzę — ciężkie brzemię,
Noc i dzień spokojnie prześpim.
Snać ustanie spór żywiołów,
Piorun zgaśnie, wiatr ucichnie,
My zaś potem w nocy cieniu
W dal, daleko polecimy
Z tej niewdzięcznej ziemi czeskiej“.
Wnet chór cały przyjął wniosek;
Z wrzaskiem podniósł się tłum cały,
Brzemię swe znów chwycił naraz,
Wzbił się z niem w powietrzne sfery —
I znów dalej gromko pędzą
Z tym, co radę dał, na czele.
Błyskawice przyświecają,
Bór hen w dole stęka, jęczy
Jako pręt się uginają
Stuwiekowe, szare dęby,
Z skał się toczą wód strumienie.

Jakby ciemnych chmur tumany,
Sfora dyabłów przeleciała
I zniknęła w mroku nocy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Mowa zwierząt.

(Ciąg dalszy).

Brzęczenie much usiłowano już od czasów Arystotelesa tłumaczyć i stąd też powstały o tem rozmaite zdania. Lenois z najnowszych badań podaje, że muchówki wydają brzęk w dwojaki sposób. Jeden dźwięk nizki powstaje za pomocą drgania skrzydeł lub innych części ciała, co można zauważyć wziąwszy np. za skrzydła muchę plujkę. Tarciem pierścieni odwłoka czyli kałduna sprawia ona szmer, który drganiem głowy wzmocniony przechodzi w brzęczenie.

Drugi dźwięk wydają muchy i komary przetchlinkami odwłoka, któremi wypuszczają powietrze z ciała. Przetchlinki zatyka osobna błonka, tworząca wązką szparę, którą możnaby porównać z głośnią wyższych zwierząt.

Nie będę się tu zatrzymywał nad bliższem opisaniem przyrządów brzmiących, dla wielkiej ich rozmaitości, wspomnę tylko, że różnice w tych przyrządach polegają na kształcie i wielkości błon głosowych i na formie przetchlinek. Co do samego zaś dźwięku muszę zauważyć, że wysokość tonu w dźwięku komarów różna jest u rozmaitych gatunków oraz, że głos ich podlega nieznacznym modulacyom.

Jako dowód przytaczam komara (Culex annulatus), którego jeden ton przechodzi w drugi, u samca jest *fis''* *f''* lub *e''* a u samicy *b'* *a'* *as'*.

Tu pozwolę sobie przytoczyć interesujące doświadczenie prof. Lenois. „Raz gdy poszedłem za mym służącym do ogrodu, gdzie próżnował zamiast czyścić mi buty“, opowiada on „spostrzegłem w pobliżu rój komarów. Chcąc mego próżniaka w jakiś sposób ukarać, zawołałem na niego podniosłym głosem w tonie *e''*: „jeżeli mi butów nie oczyścisz porządnie, to cię zjedzą komary“. I zaraz jakby na komendę padł cały rój pomiędzy nas, a służący widząc to uciekł ze strachu, sądził bowiem, że kiedy profesora słuchają nawet komary, to on pewnie nie jest bez opieki złego ducha“.

Z tego przykładu poznajemy, że dźwięki i głosy służą owadom do wzajemnego przywabiania się; dalej że komary nasze brzęczą w tonie *e''* lub *d''*. Jeżeli więc w pobliżu roju komarów będziemy naśladowali ich brzęk w tej wysokości tonu albo skrzypcami albo naszym głosem, to one się prędko do nas zbliżą.

Pasikoniki polne (Locusta) mają przy nasadzie obu skrzydeł dolnych śpiewny przyrząd, złożony z okienka błoniastego, które jest większe przy prawem skrzydle i służy im za bębenek, lewem zaś wydobywają ton z bębenka. Zagraniczny gatunek tego rodzaju (Platyphyllum concavum) wydaje dźwięk podobny do Katy-did lub Katy-did-she-did!

Przyrządy śpiewne u turkuciów (Gryllotalpa) i świerszczów (Gryllus) są pod wzglę-

dem budowy do siebie podobne. Mają one na skrzydłach ząbkowate żyłki; przez pocieranie ich, przyczem jedno skrzydło służy za skrzypce a drugie za smyczek, wywołują świerszczenie. Świerszczenie domowego świerka jest w tonie wyższe od polnego. Zresztą spostrzegał Lenois, że przy temperaturze 12°—13° wysokość tonu była *e''*, a przy ciepłocie 19° R. podniósł się ton do *f''*. Także ilość świerszczeń na minutę jest rozmaita. Najwyższa 197 razy 31. lipca 1873 roku przy temperaturze 19° R. Świerszczenie wówczas trwało bez przerwy.

Gdy się świerszcza nagle zaskoczy, np. światłem, pisze Darwin, to ostatnim dźwiękiem, zamykając przy tem skrzydła, ostrzega swych pobratymców.

Także wszystkie nasze koniki polne, pocierając nogami (niby smyczkami) o skrzydła (jakby o skrzypce) grają po ściernisku, a muzykę tę można nawet na nieżywym owadzie wywołać w powyższy sposób.

Termity uderzają 4—5 razy głową o podstawę i wywołują kołatanie, które w odległości 1—2 metrów według Smetmanna słychać. Żołnierze białych mrówek sprawiają szelest, zachęcający do pracy robotnice, które im odpowiadają świstem. *Leopold Wajgiel.*

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pogadanka.

Spotkałem się niedawno w pewnem towarzystwie z młodym Prusakiem, przebywającym wśród nas dla interesu. Przy wieczerzy rozmawiał tylko z swoim najbliższym sąsiadem, bo wśród dwudziestu osób mówiących po polsku on jeden był Niemcem; w temby jeszcze nie było nic dziwnego, jak i nic złego w tem, że sąsiad poświęcił się, aby z nim mówić po niemiecku. Przypadkiem usłyszałem, że mówią o Polakach; nie lubię takich dysput przy stole zastawionym, bo wydają mi się profanacyą, ale mimowoli zaczynam uważniej słuchać. Prusak dowodzi, że na świecie nie ma Polaków, a są tylko Prusacy, Rosyanie i Austryacy; twierdzi, że ludność dzieli się tylko według politycznych granic. Aby tego dowieść, nie waha się powiedzieć, że i on nie jest Niemcem, tylko Prusakiem. Argumenty sąsiada odbijają się od brutalnej pewności młodzika, jak strzały mazowieckie od krzyżackiego pancerza; wreszcie na wszystkie odparł: „*Das ist blos Ihre Auffassung!*“ A więc, że jesteśmy, żyjemy, rozwijamy się, to jest tylko nasze zapatrywanie, nasza myśl, urojenie! Tu wmieszałem się do rozmowy i zamknąłem Krzyżakowi usta pytaniem: „Jeżeli tak jest, to dlaczego pańscy rodacy boją się tej nieistniejącej narodowości i gnębią ją na każdym kroku?“

Dawniej dowodził Kartezyusz: „Cogito, ergo sum,“ sama myśl jest dowodem mego istnienia; dzisiaj dowodzą Prusacy, że nawet istnienie jest tylko myślą. Gdybyż to stosowali konsekwentnie do wszystkich! Ale dla siebie mają realny byt i wynikające stąd prawa, dla nas: straszliwe rzymskie „vae victis.“ Ot, co się stało z tym narodem filozofów!

Tymczasem ta „urojona nasza egzystencya“ nie daje spać naszym wrogom, rzuca się w oczy i ciągle przypomina; w ubiegłym miesiącu mogliśmy się szczerze radować, że ta myśl naszego bytu bądź co bądź żyje silnie i szeroko i stwierdza, że jesteśmy; dowodziły nam tego uroczystości liczne na cześć Mickiewicza, obchodzone w różnych stronach kuli ziemskiej. Ze względu na wyjątkowe cechy charakterystyczne, dwie z nich zasługują na szczególną uwagę. Na wolnej szwajcarskiej ziemi, gdzie jakby w gabinecie eksperymentatora przeprowadzono dowód, że narody mogą obok siebie żyć i rozwijać się, szanować i kochać, obchodzono w Lozannie uroczystość Mickiewicza, którego tam pamiętają, jako profesora, a czczą jako geniusza świata. Cały świat urzędowy kantonu i cały kwiat inteligencyi, nawet z poza Lozanny, przybył na tę uroczystość dla nas miłą, bo dotyczyła rodaka, dla wszystkich podniosłą, bo była wyrazem tego przekonania, że wielkie umysły i wielkie szlachetnością serca należą do całego świata. W tym hołdzie oddanym Adamowi przez obcych, to zapowiedź lepszej przyszłości, w której czcić będą ludzi według ich wartości dla ogólnej cywilizacyi, a nie według granic politycznych czy etnograficznych. To z pewnością objaw należący już do wieku nowego.

A teraz druga uroczystość: kilkadziesiąt tysięcy ludzi gromadzi się u stóp pomnika, który mają za chwilę odsłonić; grobowy spokój, rzekłbyś, że to jaka cmentarna uroczystość. Na obliczach smutkiem swym przerażająca powaga, gdzieniegdzie na rzęsach łza, któ-

rej nie można już było zdusić w oku, ale przez zimne pozornie oblicza czujesz, jak tam szaleje w duszach tego tłumu huragan bolu, powstrzymywany wysiłkiem męskiej woli, przyzwyczajonej już do takich zwycięstw nad sobą. Po krótkiej modlitwie kapłana spada zasłona z pomnika wieszcza, króla ducha polskiego. Rzęsisty deszcz kwiatów, zebranych na wszystkich niwach polskich przykrywa natychmiast stopy pomnika; jedyny to dozwolony przez władzę objaw czci dla wieszcza. A gdy tu naród boleśnie w grobowem milczeniu duma, z dalszych ulic miasta dochodzą krótkie, ucięte odgłosy komendy i tony hałaśliwej muzyki wojskowej; cały garnizon w ruchu wraca z rewii i rozwija swą potęgę błyszczącą i brzęczącą, jakby na smutną przestrogę: oto siła do zwalczenia waszego mocarza! Czy wystarczy? chyba nie! Ale jako objaw czasu, to odsłonięcie pomnika w Warszawie jest nader charakterystyczne. Ta wiara w potęgę materyi do zwalczenia potęgi ducha, to stanowczo objaw naszego wieku; daj Boże ostatni, bo koniec jego niedaleki.

Pod hasłem końca wieku żyjemy dziś wszyscy; cokolwiek się zdarzy, jeśli odbija od zwykłej szarości codziennej, natychmiast powiadamy: koniec wieku! Jest w tem z pewnością głębokie, uświadamiające się w ludzkości odczucie jakichś głębokich i tajemniczych zmian i przeobrażeń, które się w nas i koło nas wszędzie dokonują. Co z tego będzie, nie wiemy, ale czujemy, że będzie inaczej. Jedno jest tylko dziwne, że określając rozmaite zdarzenia, jako objawy końca wieku, raczej chwytamy złe aniżeli dobre; a więc jeżeli kto okradnie kasę, dokona potwornego mordu, złamie przysięgę, zawiedzie ufność w nim położoną, zaraz mówimy: to koniec wieku! Nie mówimy zaś tego wobec odkryć takiego Edisona lub Szczepanika, które czynią życie ludzkości lżejszem i praktyczniejszem, a przeto lepszem. Wygląda to tak, jak gdybyśmy się obawiali rozwoju nowego wieku w kierunku zła i brzydoty, a nie w kierunku dobra i piękna. Otóż w tem błąd: złego, brzydoty, zbrodni i nikczemności, mieliśmy od początku świata już tyle, że żaden wiek nowy nic nowego już wymyśleć ani zrobić nie potrafi; zmienią się formy tylko, rzecz zostanie ta sama. Jeżeli więc oczekujemy zmiany, to może ona nastąpić jedynie w kierunku dobra, piękna i szlachetności, w kierunku zmniejszenia zła i nędzy na świecie; tylko to przekonanie może usprawiedliwić gorączkową niecierpliwość, z jaką liczymy godziny na zegarze czasu.

A kiedyż zaczniemy ten nowy wiek? Nie ja pierwszy to pytanie rzucam. Wiecie zapewne z dzieuników, że nad sprawą tą zastanawiano się w różnych kołach i sferach całkiem poważnie. Jestto przykład, jak czasem myśl ludzka zatrzyma się w swym logicznym biegu przed najprostszą kwestyą i wynajduje wątpliwości, które nawet umysł prostaczka łatwo rozwiąże. Gdyby was kto w tej sprawie zaczepił, to każcie mu przeliczyć jedną setkę, potem dodać ją dziewiętnaście razy do siebie, a potem niech zacznie liczyć dwudziestą; chyba bez wysiłku zrozumie, że początkiem będzie 1901 r.

A czegoż wy oczekujecie od nowego wieku? Może zniesienia klasyfikacyi, która w tym czasie niejednemu humor popsuła, a może nawet wcale zniesienia szkół? Jeżeli takie są wasze nadzieje, to się łudzicie. Istotnie są pewne smutne oznaki, które stwierdzają, że między wami takie myśli choć sporadycznie się snują, ale to są stanowczo objawy starego wieku, a nie zapowiedź nowego. Ten przyniesie wam może zmiany, ale klasyfikacyi nie usunie, bo to nie jest wynalazek szkoły, lecz prawie warunek życia. Wiek nowy będzie klasyfikował według dobroci, wiedzy i pożyteczności dla społeczeństwa: o tem trzeba pamiętać wam, którzy większą część życia spędzicie w wieku XX.; biada, kto wśród niego stanie jako żywy anachronizm, jako stare rupiecie nieprzydatne do niczego! Czuwajcie! *Kropka.*

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

„Do siego roku". W zeszycie poprzednim pisma naszego podano w rozprawce o „Obchodzie świąt Bożego Narodzenia" na str. 4. wyjaśnienie wyrażenia „Dosiego roku" według prof. Łepkowskiego. Z tego powodu otrzymaliśmy uwagi prof. dra. J. Leciejewskiego, który tłumaczy wyrażenie wspomniane w myśl wywodów językowych ś. p. Przyborowskiego w sposób następujący: „*Siego* jest dopełniaczem liczby pojedyńczej zaimka wskazującego *si, sia, sie*,, nieużywanego wprawdzie dziś osobno w języku piśmienniczym polskim, ale zachowanego w złożeniach takich, jak *lato-ś* (tego lata); *dzi-ś* (dzień si, dnia tego). W języku ruskim nato-

miast zaimek ten żyje w całej pełni; brzmi tam w postaci złożonej: *sej, sia, se*, n. p *na sim switi* (na tym świecie). I inne języki słowiańskie znają i używają go dotychczas bądź w r zmiarach takich jak ruski (n. p. serbski), bądź to w wyrażeniach utartych, skostniałych, jak polski (mianowicie czeski i łużycki). Wynika więc z przedstawienia powyższego, że „do siego roku,“ oznacza radość, iż osoby, które się witają tymi wyrazami, dożyły „do tego (t. j. nowego) roku.“

Wywód językowy dra L. jest zupełnie prawidłowy, a nawet inne języki, należące do rodziny języków, zwanych indoeuropejskimi, popierają go dostatecznie. I tak najbliższa Słowiańszczyznie grupa językowa, t. zw. bałtycka (języki: staropruski zaginiony, litewski i łotyski), posiada ten zaimek; brzmi on w litewskim *szis* na rodz. m., *szi* na rodz. żeń. i znaczy: ten. Podobnie jak my mówimy *lato-ś*, Albańczycy, których język stanowi jedną z ośmiu grup rodziny wspomnianej, używają wyrażenia *si-wjét* t. zn. tego roku, a zaimek *si* stanowi część pierwszą tego wyrazu. Językoznawstwo porównawcze uczy dalej, z że tego samego pierwiastku, z którego formy przytoczone wyżej, pochodzą, powstały też formy: łacińska *ci-s* (z tej strony, tu), grecka *kej-nos*, w których część pierwsza odpowiada naszemu *si* Ktoby chciał poznać zasady tych zestawień językowych, tego odsyłamy do świetnej książeczki dra R. Meringera, prof. wszechnicy wiedeńskiej p. t „Indogermanische Sprachwissenschaft“ (w znanem wydawnictwie Göschena w Lipsku 1897 roku, stron 136, cena egz. oprawnego tylko 48 ct.)

Tyle co do strony językowej. Natomiast musimy oświadczyć, że w wyrażeniu „dosiego roku“ nie upatrujemy powitania, ani objawu radości, ale uważamy je za życzenie, by dana osoba dożyła „do (końca) siego roku“ i mogła zatem w święta przyszłoroczne znów łamać się opłatkiem. (*F. K.*)

Najnowsze odkrycia i wynalazki. W ostatnich latach niektóre nauki zrobiły olbrzymi krok naprzód w swoim rozwoju.

I tak w dziedzinie chemii odkryło w roku 1898. trzy nowe pierwiastki, znajdujące się w powietrzu. Przed kilku laty odkryto w powietrzu, jak wiadomo, pierwiastek *argon*. Otoż przy badaniu własności ciekłego argonu chemicy (Ramsay i Traverse) znaleźli pierwiastek *krypton* ($\frac{1}{200}$ % tj. 1 część kryptonu na 20 000 części powietrza) a oprócz tego odkryli gaz *neon*, który pod wpływem prądu elektrycznego zapala się w rurce szklannej bardzo pięknym płomieniem barwy pomarańczowej. Także widmo jego różni się od widma argonu. Przy dalszych doświadczeniach podczas przejścia płynnego argonu w stan pary znaleziono w pozostałości nowe ciało ulatniające się nadzwyczaj powoli, które Ramsay nazwał *metargonem*

Tak więc atmosfera nasza zawiera oprócz *tlenu* i *azotu* także *argon*, *krypton*, *neon* i *metargon*. Dziś trudno jeszcze przewidzieć następstwa tych odkryć. Ważny krok naprzód na tem polu badań dokonany zostanie w chwili, kiedy się uda uczonym zgęścić wodór w wielkich ilościach. Wtedy bowiem będą mieli do rozporządzenia jeszcze niższą temperaturę, tak potrzebną przy tego rodzaju badaniach.

Dnia 3. października 1898 r. prof. Dr. Cybulski przedstawił krakowskiej Akademii Umiejętności doniesienie p. A. Wróblewskiego o „*nowym białkowym składniku mleka*“. Dotychczas były znane trzy podobne składniki mleka: sernik, globulina mleczna i białko mleczne. Uczony polski odkrył w mleku jeszcze jedno ciało białkowe, odznaczające się znaczną zawartością siarki, oraz własnością opalizowania, jaką posiadają rozczyny; dlatego też nazwano je na razie *opalizyną*.

Dalej przypominamy najrozmaitsze zastosowania elektryczności do praktycznych celów w życiu codziennem, jak: elektryczne oświetlenie, zastosowanie siły elektrycznej jako siły pociągowej, nietylko po drogach miejskich (jak tramwaye elektryczne) ale też na liniach dłuższych kolei, gdzie wozy będą mogły stosunkowo bezpiecznie poruszać się przy szybkości przeszło 90 klm. na godzinę. Zasługuje również na uwagę zastosowanie prądu elektrycznego w gospodarstwie oraz do ogrzewania i metalurgii Wskutek zastosowania prądu elektrycznego w metalurgii cena glinu (aluminium), która przed kilku laty wynosiła jeszcze 2 dolary (4 złr. 20 ct.) za uncyę, jest obecnie niższa od ceny mosiądzu.

Dalej podnieść należy wykonanie doświadczenia z przesyłaniem znaków na wielkie odległości bez pośrednictwa przewodników metalowych, jedynie za pomocą fal elektrycznych; budowa telegrafu bez drutu, opartego na prawie fizycznem falistego ruchu elektryczności, jest tylko kwestyą czasu.

Wreszcie zaznaczyć zależy doniosłość wynalazku Jana Szczepanika, który w r. 1898. będąc nauczycielem w Korczynie, wpadł na myśl zbudowania nowego warsztatu tkackiego, na którymby różne wzory i rysunki można sporządzać przy pomocy i zastosowaniu fotografii.

Szczepanik jest jeszcze wynalazcą drugiego aparatu, służącego do przesyłania obrazów na odległość, tak zwanego telektroskopu, nad którego ulepszeniem jeszcze ciągle pracuje.

Rozwiązanie zadania: z 6 zapałek utworzyć 4 trójkąty równoboczne (*w 1. num.*)

Układamy z 3 zapałek na stole trójkąt równoboczny a w wierzchołkach ustawiamy ukośnie w górę inne trzy zapałki, których końce podtrzymujemy palcem nad stołem tak, iż się schodzą. Tak otrzymamy czworościan (tetraëder), złożony z 4 równobocznych trójkątów: jeden na powierzchni stołu a trzy w przestrzeni nad stołem.

Trafne rozwiązanie przysłał Adolf Wizimirski z Jarosławia.

Zadanie: Ułożyć z 12 równych patyczków 4 kwadraty. Poruszywszy następnie 4 patyczki ułożyć trzy kwadraty, nie zmieniając położenia reszty patyczków.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 6 Którego z poetów naszych nazwano „poetą barokowym“?

Nr. 7. Których krajów mieszkańcy mają w północnych oknach słońce w czasie południa?

Nr. 8. Dlaczego Sienkiewicz nazywa (w Potopie) Karola Gustawa księciem biponckim?

Nr. 9. Które gatunki żółwi, jaszczurek i wężów żyją w naszym kraju?

Nr. 10. Jaki jest ciężar gatunkowy szkła?

Odpowiedzi, które można oznaczać tymi samymi numerami, jakimi są opatrzone zagadnienia, należy nadsyłać najpóźniej do 20. lutego 1899 r. Wystarczy dać trafną odpowiedź na jedno z tych zagadnień, aby mieć prawo do losowania o nagrodę. Jeżeli kto odpowiada na kilka zagadnień, zechce każdą odpowiedź na osobnej karteczce wypisać i w jednej kopercie przysłać; na każdej karteczce ma być podpis. Nazwiska dopuszczonych do losowania będą umieszczone w następnym numerze.

Nagroda. Sienkiewicza „Potop“. Tylko prenumeratorzy będą dopuszczeni do udziału w losowaniu.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 1 5.

Nr. 1. Dlatego, że w strefie zwrotnikowej najwyraźniej występuje wywołująca je przyczyna: silne ogrzanie lądu w dzień i silne jego oziębienie w nocy.

Nr. 2. Flora Australii obfituje w eukaliptusy i epakrydy. Stepy są pokryte ciernistymi krzakami (scrub) i twardą trawą.

Nr. 3. Według Oskara Peschla są jeziora szwedzkie także fiordami Bałtyku, których ujścia zatamowało stopniowe podnoszenie się lądu.

Nr. 4. Kwas salicylowy (używany jako środek anti septyczny) znajduje się w stanie wolnym w olejku kwiatowym rośliny „spiraea ulmaria“ (tawuła błotnista) — w postaci eteru metylowego w bluszczu (gaultheria procumbens) — wreszcie wydobyć go można z wierzby (salix) przez utlenienie salicylu; stąd pochodzi nazwa kwasu.

Nr. 5. $800 - 20x = 0$. Stąd $x = 40$ m. na sekundę.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. stycznia: A. K. C. w Stanisławowie (na Nr. 4.), Balicki Antoni w Krakowie (na zagadnienia Nr. 3. 4), Bednarowski Adolf w Brzeżanach (Nr. 1. 2. 3. 4.), Chmielewski M. we Lwowie (2. 3. 4.), Denkiewicz Jan w Krośnie (1. 2.), Deschamps Emil we Lwowie (1. 2. 4. 5.), Gieruszyński Feliks we Lwowie (4.), Laszczower Ludwik we Lwowie (4.), Machalski Karol we Lwowie (4.), Mann Józef we Lwowie (4.). Michalewicz Norbert we Lwowie (1. 2. 4. 5), Mondalski Józef w Nowym Sączu (3. 4. 5), Oszacki Aleksander w Krakowie (2. 4.), Posacki Stefan w Stanisławowie (2.), Reck Oskar w Tarnowie (1. 2 4.), Reinhold Józef w Stanisławowie (1, 2. 4.), Schreiter Wilhelm we Lwowie (4.), Stromenger Jan we Lwowie (4.), Traunfellner Piotr w Samborze (2. 3.). Tyski Feliks we Lwowie (1. 2. 3.), Wąsowicz Jerzy Dunin we Lwowie (4.), Witoszyński R. W. we Lwowie (4.), Wizimirski Adolf w Jarosławiu (4. 5.), Zaczek Kazimierz w Krakowie (4.).

Nagrodę (Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“) otrzymał przez losowanie: Reinhold Józef w Stanisławowie.

Zagadnienie liczbowe.

0123456789†	poeta polski.
107843	imię kobiece.
2341253	rzeka
3251264	postać z „Odprawy posłów“.
41760714	broń palna.
5645672893	sprzęt kuchenny.
64†19†1281	część zdania
73015	figura w kartach.
876289†	zdrojowisko.
914673281	robota kobieca.
†1262	imię męskie.

(Zamiast cyfr i krzyżyka podstawić należy litery.)

Rozwiązania należy nadsyłać do 20. lutego 1899. roku (mogą być na karcie korespondencyjnej). Nazwiska prenumeratorów, którzy nadeszlą trafne rozwiązania, będą umieszczone w następnym numerze.

Rozwiązanie łamigłówki w 1. numerze.

o s a
p i ł k a
b o l o n i a
k a r a w a n k i
b a l l a d y n a
b r a c t w o
b e k a s
c i s

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. stycznia. A. K. C. w Stanisławowie, Bednarowski Adolf w Brzeżanach, Biegelmayer Adolf w Samborze, Denkiewicz Jan w Krośnie, Deschamps Emil i Dyda Józef we Lwowie, Grzeszczuk Stanisław w Brzeżanach, Jura Albin w Wadowicach, Kaniowski Tadeusz w Jaśle, Kordasiewicz Mikołaj w Kołomyi, Laszczower Ludwik we Lwowie, Machalski Karol, Mann Józef i Michalewicz Norbert we Lwowie, Morwitz Zygmunt w Brzeżanach, Niedzielski Kazimierz w Krośnie, Posacki Stefan w Stanisławowie, Reinhold Józef w Stanisławowie, Schreiter Wilhelm, Stańkowski Feliks, Stromenger Jan i Tyski Feliks we Lwowie, Waniek Marya w Brzeżanach, Wąsowicz-Dunin Jerzy i Witoszyński Roman we Lwowie, Wizimirski Adolf w Jarosławiu, Zieliński Marcin w Samborze.

W drobnych szczegółach wadliwe, ale wogóle trafne: Aenigmatium solutor (pseudonim) w Podgórzu, Balicki Antoni w Krakowie, Gieruszyński Feliks i Góralski Juliusz we Lwowie, Gross Anzelm w Tarnopolu, Grott Piotr we Lwowie, Gwizdała Zygmunt, Herdliczka Józef i Liszkowicz Piotr w Krakowie, Jayko Jan w Bochni, Loewel Mieczysław w Brodach, Mondalski Wiktor w Nowym Sączu, Oszacki Antoni w Krakowie, Traunfellner Piotr w Samborze.

Nadto niejaki „Beski z Janicy“ (pseudonim) prenumerator naszego pisma i — jak widać z jego listu — wielki zwolennik „Przyjaciela“, nadesłał z B. następujący wierszyk:

Baczność, mili przyjaciele,
Łamigłówka woła nas!
Nuż do pióra żwawo, śmiele,
A myśl przyjdzie trafna w czas.

I jam siedział, szukał, badał,
Mazał, kreślił, głoski składał:
Wreszcie „osa“, „piłka“ pierwsze
Znalezione już dwa wiersze.

„Bolonia“ trzeci wiersz zajęła,
„Karawanki“ pasmo gór;
„Balladyna“ tytuł dzieła,
Które wielbi pochwał chór.

Szósty wierszyk „bractwo“ daje,
Siódmy „sokół“, piękny ptak,
Ósmy drzewo, stolarz zna je,
„Cis“. Już koniec! czy nie tak?

A gdy zbierzesz w jedną linię,
Słów tych ośmiu średnie głoski,
Słowackiego czytasz imię:
Ach! poezyi mistrz to boski!

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

(W tej rubryce będzie Redakcya udzielała wszelkich żądanych wyjaśnień lub wskazówek, tak w sprawach naukowych, jak wogóle wszelkich innych.

Można prosić o podanie odpowiedzi pod dowolnie obranem godłem lub literami, jednak list musi być podpisany imieniem i nazwiskiem, gdyż tylko prenumeratorom będzie się odpowiadało.)

Do Sz. Prenumeratorów przysyłających rozwiązania: Wielu prenumeratorów przysyła na karcie korespondencyjnej razem odpowiedzi na zagadnienia naukowe i rozwiązania łamigłówek. Możeby chcieli zrobić Redakcyi tę wygodę, iżby podzielili kartę na dwie połowy i w jednej wypisali odpowiedź na zagadnienia naukowe a w drugiej rozwiązanie łamigłówki, dając podpis w każdej połowie? Ci, którzy odpowiadają na zagadnienia naukowe, niech rozważą, że w ich własnym interesie jest pisać każdą odpowiedź na osobnej karteczce (lub na jednej części korespondentki, tak, aby ją odciąć można) — bo im więcej kto ma karteczek, tem łatwiej wylosuje nagrodę.

A. O. w S. Zamiar bardzo nam miły, oby tylko był ortografią lepszą wyrażony! Nagrody są tylko za odpowiedzi na zagadnienia naukowe, a szczęśliwy wybraniec losu nie płaci opłaty pocztowej.

A. W. W. w Jarosławiu. Proszę tylko przysłać, zobaczymy.

Aenigmatium solutor w Podgórzu. Dlaczego koniecznie pod pseudonimem? (nie „anonimem“, bo to znaczyłoby „bez żadnego podpisu“). Sądzimy, że „Przyjaciela“ nie trzeba się wstydzić.

Beski z Janicy. Serdeczne dzięki za poczciwe chęci i przyjazne słowa! Takich więcej! Wierszyk drukujemy, ale trochę poprawiony, bo w nim miały przewagę rymy nad związkiem myśli. Co prawda, Sz. Autor sam to ochrzcił „wierszydłem, które skleił“; snać wolny jest od zarozumiałości. To nas skłoniło do wydrukowania wierszyka, bo zarozumiałych ludzi nie lubimy.

J. M. we Lwowie. Dziękujemy, umieścimy w jednym z następnych numerów, może w czwartym.

Kirkor. Jaki może być związek między rokiem jubileuszu 1898., a rokiem egzaminu dojrzałości (nie „dojżałości“!) 1899., i w ogóle jubileuszem a ulgami? Druga sprawa nie tak prędko dojdzie do załatwienia.

M. L. w Brodach. Zawsze za dwie litery.

Mak. Chmiel. Chęć uczenia się języka czeskiego celem poznania piśmiennictwa narodu bratniego, wyrażona w liście, jest bardzo chwalebną i pożyteczną. Niestety jedyną pomocą w jej wykonaniu mogą być na razie tylko: 1) Gramatyka czeska Szasteckiego, wydana nakładem Kasy im. Mianowskiego w Warszawie, bardzo dobra i tania, jeno za obszerna. 2) Słownik polsko czeski, wydany przez F. A Horę (część czesko polska dotąd jeszcze w rękopisie) 3) Slownik polsko-czeské ruzno-jazycznosti Woczadly. Po przerobieniu głównych zasad głosowni, odmienni (imion i słowa) i przedewszystkiem składni, proszę nam się przypomnieć, a wskażemy odpowiednie i łatwe utwory wybitnych pisarzy czeskich oraz skąd i jak można wypożyczać je bezpłatnie. — Znamy tylko „Młodość“, pismo wydawane przez młodzież akademicką w Krakowie od początku b. r. w stylu „Życia.“

Polan. Dzieło to jest opracowane przystępnie i barwnie pisane. Jeżeli idzie o dzieła bardziej naukowo opracowane, polecamy prace Bobrzyńskiego i Lewickiego (nowe, obszerniejsze wydanie) z dawniejszych zaś Szujskiego. Najlepszą jednak historyę Polski, ale obszerną bardzo, napisali dwaj Niemcy: Roeppel i Caro.

Student bocheński. Umieścimy w jednym z późniejszych numerów.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: Hellada a Rzym przez *K. Fischera.* — Śmierć za siostrę, pow. czerkieska (C. d.) przez *Jerzego Kazi-Beka* — O wyspie Kubie. — Margier, kartka z dziejów twórczości lit. Syrokomli, przez *T. Piniego.* — Z hygieny I. przez *Dra E. W.* — Z dziejów malarstwa pols I., Jan Norblin, przez *Y.* (Dok. — *J. Vrchlicki*, Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Mowa zwierząt przez *L. Wajgla* (C. d.). — Pogadanka przez *Kropkę.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Zagadnienie liczbowe. — Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. marca 1899. Nr. 3.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Ptakiem przez młodość człowiek przeleci,
Przez życie idzie oraczem". *(W. Pol)*

Paweł Ludwig.

SZALONA JAZDA.

OPOWIADANIE.

Konduktor dał znak do odjazdu. Marcin Krach, maszynista, uściskał żonę, polecił jej ucałować Piotrusia, czteroletniego pieszczocha, i wskoczył na lokomotywę. Przeciągły świst — i pociąg rusza powoli, sapiąc i stękając.

Wieś, którą pociąg właśnie opuścił, to mała osada, złożona z kilkunastu szeroko rozrzuconych domów, które zamieszkują przeważnie robotnicy i służba kolejowa; ale stacya jest punktem krzyżowania się dwóch linii kolejowych, na których panuje ożywiony ruch towarowy.

Przez cały dzień dął silny wiatr, a z nadejściem nocy urósł do potężnego orkanu. Gęsta, nieprzenikliwa mgła osłoniła cały widnokrąg.

Po pięciu godzinach jazdy stanął pociąg w miasteczku N., gdzie kończyła się linia kolejowa. Konduktorzy i robotnicy, załatwiwszy najpilniejsze roboty, rozeszli się na spoczynek. Krach postał jeszcze chwilę przy maszynie, przypatrując się, jak palacz przygaszał trochę ognisko. Wreszcie i palacz powlókł się ociężale ku wyjściu z dworca, a Marcin począł rozmyślać, co zrobić z sześcioma godzinami czasu, który zostawał do powrotu pociągu. Zdawało mu się, że najlepiej będzie przegawędzić ten czas w miasteczku, w dobrze mu znanym lokalu pod „Rakiem", gdzie spodziewał się zastać kilku przyjaciół i znajomych. Jutro jest wolny, więc wyspi się w domu.

Wychodząc z dworca, spotkał naczelnika stacyi.

— A! dobrze, iż pana spotykam — rzekł naczelnik — właśnie kazałem pana szukać. W biurze leży telegram...

— Do mnie?

— Tak, nawet pilny.

W chwilę później trzymał już Krach telegram w rękach drżących ze wzruszenia i czytał: „Pilne. Naczelnik w N. zechce zawiadomić maszynistę Kracha, że jego dziecko zachorowało na anginę. Lekarz wyjechał, przywieźć rano innego lekarza z N."

— Moje dziecko! Mój biedny, mały Piotruś!

— Ha, nie ma innej rady, jak przeczekać do rana, może tam znów tak źle nie jest — pocieszał go naczelnik. — Idź pan, przespij się kilka godzin i jazda! Dobranoc!

Maszynista został sam przed dworcem. Deszcz już puścił się tymczasem rzęsisty i w oddali huczały gromy, świeciły błyskawice. „Pół do dwunastej! Czy malec żyje jeszcze? Czy jutro mu lekarz jeszcze co pomoże?" rozmyślał. Znał okrucieństwo i gwałtowność tej niebezpiecznej choroby, bo niedawno porwała kilka ofiar w okolicy. Ileż to razy słyszał wtedy uwagę, że spieszna pomoc mogła jeszcze uratować życie.

Po krótkiem, bolesnem rozmyślaniu ruszył szybkim krokiem ku miastu. Dom doktora znał doskonale. Zadzwonił gwałtownie; lekarz wyjrzał po chwili przez okienko.

— Kto tam?

— Maszynista Krach, dziecko mi umiera na anginę.

Coś brzękło padając, woda z kałuży bryznęła wysoko w górę — a! to pęk kluczy.

— Proszę otworzyć sobie i wejść, ja się zaraz ubiorę!

Krach szuka w ciemności zamka u drzwi, wchodzi i wkrótce stoi już przed lekarzem, młodym jeszcze człowiekiem

— Proszę mi dokładnie opisać stan dziecka, żebym mógł wszystko od razu ze sobą wziąć, czego potrzeba, bo każda chwila zwłoki jest zgubą. Daleko pan mieszka?

— O! bardzo daleko. — Tu maszynista opowiada wszystko szczegółowo.

— Najbliższy pociąg odchodzi dopiero rano, a pan przychodzisz już o północy — gniewał się lekarz — cóż ja mam tyle godzin robić...

— Jechać ze mną, panie doktorze! — zawołał Marcin, ocierając pot z czoła. — Możesz pan uratować moje dziecko, jeśli tylko zechcesz! Tam na stacyi stoi moja lokomotywa, ogień w palenisku nie wygasł, za godzinę będziemy w domu. O! chodź pan... chodź pan ze mną! Ratuj moje jedyne dziecko!

— Czyś pan oszalał?! Teraz w ciemną noc jechać, nie dawszy sygnałów do stacyi pośrednich? W jednej godzinie przebyć kurs pięciu godzin? To może być nieszczęście! Zwrotnice nie są ustawione...

— Nie, wszystko w porządku. Zwrotnice już nastawione wszędzie na ranny pociąg, bo inny nie idzie żaden. O! ratuj pan moje dziecko!

— Ależ rampy będą pootwierane... nieszczęście pewne!

— O nie, znam drogę całą wybornie, setki razy ją przebyłem w dzień i w nocy. Na przejazdach będę uważnie jechał... zresztą kto puści się w drogę na taką niepogodę?

— Ależ pański postępek ulega karze, może pan posadę stracić... rozważ, na co się narażasz!

— Co mi z posady, jeżeli mój Piotruś umrze. A pan może go uratować! O! miej pan litość, panie doktorze!

. . . . . .

Jak duch złowrogi, jak upiór piekielny, gnała samotna lokomotywa naprzód wśród ciemnej, burzliwej nocy. Marcin nie zbudził nawet palacza, by czasu nie tracić. Do paleniska wlał koneweczkę oliwy... hej, jakże pryskał żar! Już czarny potwór z ognistemi oczyma przeleciał jak błyskawica przez pierwszą stacyę. Wszystko szło gładko, zwrotnice były w porządku. Doktor, wcisnąwszy się w kąt i otuliwszy płaszczem, próbował usnąć, maszynista pilnował ognia i jechał całą siłą pary. Prawdziwie szalona jazda!

Już minęli tunel, wnet staną u celu... Krach dorzuca paliwa, żar pryska i huczy, iskry lecą z komina. Wtem, gdy stał jeszcze nachylony nad kupą węgli, gwałtowne wstrząśnienie, krzyk przeraźliwy!... Jednym susem staje przy okienku... oryentuje się... właśnie minęli ostatnią rampę i pędzą dalej, dalej naprzód, z gwałtownym szumem i łoskotem kół.

— Co to było? — pyta doktór przebudzony z drzemki.

— Nic, wcale nic! Kamień na szynach.

Marcin zmniejsza machinalnie szybkość jazdy, ale prawie nie wie, co robi. Wszystko czyni instynktownie... jeszcze brzmi mu wciąż w uszach ów krzyk okropny i paraliżuje mu myśli: serce prawie bić przestaje. Domyśla się, co się stało. Jakiś wóz przejeżdżał przez otwartą rampę i on nieszczęśliwy... przejechał ten wóz lokomotywą, pędzącą jak widmo piekielne wśród ciemności. Coś okropnego się stało... cały ten obraz jasno stoi przed jego oczyma. Ach! to wstrząśnienie nagłe, ten krzyk, ten krzyk straszny do szpiku kości przejmujący! O Boże! Już wjeżdżają na stacyę, gdzie Marcin zna każdy kamień, każdą parę szyn. Wstrzymuje maszynę, obaj z lekarzem zeskakują i spieszą co tchu do wsi.

Z okienka błyszczy w oddali słabe światełko. Tam leży mały Piotruś, walcząc ze śmiercią, a on właśnie dla uratowania ukochanego pieszczocha zrobił rzecz okropną! Może jednego, a może kilku ludzi zabił. Ilu ich też mogło być? Marcin wzdycha ciężko i ledwie stawia drżące kroki; lekarz wyprzedza go.

Dziecko żyło jeszcze. Biedny ojciec patrzy z trwogą na bladą, szczupłą jego twarzyczkę i tu przy łóżku jedynaka znów słyszy ów krzyk okropny, przeraźliwy. Siły wypowiadają mu posłuszeństwo i ten rosły, silny mężczyzna chyli się zemdlony ku ziemi, bezwładny jak kłoda.

Gdy się ocknął po dwóch godzinach, czuł dziwny ból i ociężałość w głowie i nie zaraz mógł pozbierać myśli. Dookoła cisza w całym domu; leży na sofie w swojem mieszkaniu, tak, poznaje sprzęty swoje... Chce wstać — daremnie! Ciało jego jest jakby sparaliżowane, więc z głośnym jękiem opada znów na poduszki.

Wbiega spiesznie żona: „Chwała Bogu, że wreszcie oprzytomniałeś!“

— Gdzie nasz Piotruś? Żyje?

— Żyje, dzięki Bogu, ale gdyby tak w godzinę później doktor przybył... Teraz mówi, że już minęło niebezpieczeństwo. Znowu go wezwano, bo nieszczęście stało się na linii. Mówią, że przejechano na śmierć wieśniaka, a żona i dwoje dzieci ciężko poranieni. Ale teraz spij, doktor kazał ci spocząć; gdy wróci, obudzę cię... To mówiąc, ucałowała go w czoło i poszła do dziecka.

— „Jeden człowiek zginął! Kilkoro odniosło ciężkie rany, może walczą ze śmiercią, a ja winienem temu!“ — myślał zrozpaczony maszynista. Co prawda, nie zastanawiał się nad możliwością wypadku, tak całą jego duszę opanowała wtedy trwoga o życie dziecka. Ach! gdyby pomyślał nad skutkami tego nierozważnego czynu, pewnie nie byłby się odważył na tę szaloną jazdę!

Zerwał się z kanapy... nie mógł wytrzymać sam w pokoju... Ten krzyk, ten okropny krzyk!... Drżąc na całem ciele, powlókł się do drugiego pokoju: żona i dziecko spali spokojnie. Patrzył w milczeniu na drogie osoby, a łzy gorzkie spływały mu po twarzy. Co się teraz stanie z nimi, teraz, gdy on pójdzie niewątpliwie do więzienia? Oddalił się cichaczem, nie czując się godnym oddychania tem samem powietrzem.

Wyszedłszy przed dom, stanął. Deszcz ustał, cicho było i pogodnie. Chłodny powiew poranku orzeźwił biedaka i pokrzepił go dziwnie. Na zegarze kościelnym wybiła trzecia... Jak wcześnie! Z przyzwyczajenia zaszedł na stacyę, do oszklonego budynku, w którym stała maszyna, bo zwykł był często odwiedzać swoją ukochaną towarzyszkę. Ot tam widać ją w głębi... podchodzi ku niej smutny... wszak trzeba zobaczyć, czy się co nie zepsuło w drodze.

Nagle słyszy głośny wybuch śmiechu. Za nim stoi robotnik sadzą uczerniony i pyta ze śmiechem:

— Cha, cha! Pan Marcin przyszedł obejrzeć swoją pieczeń?

— Jaką pieczeń? Co pan Jan plecie?

Robotnik śmieje się jeszcze głośniej: — „Ha, ha, to musiało być silne zderzenie! Dziw, że nie wykoleiło się... przednie koła były pełne sierści! Ledwie wydobyłem cielsko; w popielniku pełno kości... Biedaczysko! Pewnie chciał smyrgnąć skokiem przez szyny, gdy go koła chwyciły... Widać, że czasem zwierz dziki głupszy od cielęcia albo owcy. Szkoda takich ładnych rogów!“

Marcinowi zdaje się, że cały świat kręci się koło niego. Czy możliwe, żeby to był krzyk jelenia, pochwyconego przez koła lokomotywy? Robi mu się dziwnie lekko na sercu Ależ ten wypadek, który się zdarzył na linii... ci ranni... ten chłop zabity?

Tymczasem gadatliwy robotnik ciągnie dalej:

— Maszynista Hansen miał gorszy przypadek. Choć to nie jego wina, że chłop samowolnie podniósł zamkniętą rampę i koniecznie chciał przejechać przez szyny. Na szczęście zdołał zahamować w sam czas i skończyło się na tem, że jedna baba złamała rękę, druga nogę, parę draśnięć przytem i koniec... Co się panu stało?

Robotnik myślał, że maszynista nagle zwaryował; Marcin rzucił mu się bowiem na szyję, całował jego uczernione policzki, ściskał namulone dłonie, śmiał się i skakał jak szaleniec...

. . . . . .

Ze śledztwa dyscyplinarnego wyszedł Marcin Krach obronną ręką. Rozpacz biednego ojca i to, że się obeszło bez nieszczęśliwego jakiegoś wypadku, przyjęto jako okoliczność łagodzącą, zwłaszcza, że szło o człowieka, który dotąd wzorowo pełnił swoje obowiązki i powszechnie był lubiany. Skończyło się więc na karze pieniężnej.

Najlepiej wyszedł na tem młody doktor, gdyż wnet stał się osobistością popularną na kilkanaście mil w około i nie mógł sobie rady dać z napływem chorych.

(Z niemieckiego przełożył *H. K.*)

MARGIER.

Kartka z dziejów twórczości Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza).

(Ciąg dalszy).

Aby módz to uskutecznić, musimy przedewszystkiem zapoznać się dokładnie z treścią poematu.

Po wstępie, o którym będziemy jeszcze później mówili, podaje Syrokomla rzut oka na

ówczesne stosunki polityczne i określa miejsce, na którem akcya poematu się rozgrywa :

Olgierd władał na Litwie, a Kiejstut na Żmudzi,
Litwa słynęła strachem i cześcią u ludzi;
Od Euksynu po ziemię krzyżackich rycerzy,
Od Karpat po Ładogę swe podboje szerzy,
Rozlewa się po ruskiej i po lackiej ziemi,
I utrwala swą władzę księstwy udzielnemi.
Na stolicach, gdzie dojrzeć nie może z oddali,
Książę mieści swych braci i swoich wasali,
Imieniem hołdownictwa powierza w ich ręce
I miecz sprawiedliwości i prawo książęce,
Prawo żyć i umierać dla dobra narodu.
O dwa dni pieszej drogi od Trockiego grodu,
W lesie nad krętym Niemnem, od krzyżackiej ściany
Wznosił się zamek Pullen stary a drewniany;
Gdy Kiejstut posiadanie tej strony odbiera,
Swoje prawa książęce przelał na Margiera
Więc jako hołdowniczy książęcej korony,
I mieczem uzbrojony i prawem wzmocniony,
Margier na zamku Pullen wpośród leśnej dziczy
Nad Litwą od niemeńskich czuwał pograniczy.

Litwa była wówczas widownią krwawych, rozpaczliwych walk z Krzyżakami, którzy w imię chrześcijaństwa nieśli nieszczęsnym poganom śmierć i spustoszenie. Koniecznym warunkiem szybkiego i dokładnego spełnienia tej pięknej misyi cywilizacyjnej było dla nich zdobycie zamku Pullen, który stanowił jakby klucz tej części litewskiej krainy, a że i Litwini rozumieli dobrze jego znaczenie, więc pod drewnianemi ścianami małej warowni staczano często zacięte walki.

W czasie jednej takiej potyczki dostał się w ręce zwycięzkich Litwinów młody jeniec krzyżacki, Ransdorf Warner. Już miał paść pod ciosami rozjuszonych wrogów, którzy go rannego spostrzegli na polu bitwy, gdy Margier ocalił mu życie, rozkazawszy jeńca związać i zaprowadzić do więzienia. Wódz litewski nie myślał zrazu oszczędzać Niemca, owszem, chciał go zachować na to tylko, aby mógł później służyć na ofiarę bogom; ale gdy zdjęty ciekawością odwiedził go w więzieniu i z ust jego — bo Krzyżak umiał trochę po litewsku — usłyszał zapewnienie wdzięczności, wtedy powodowany litością kazał opatrzyć jego rany i przenieść do świetlicy zamkowej.

Pod opieką starego, bohaterskiego Lutasa (imię to oznacza „lwa“) zaczął Ransdorf szybko powracać do zdrowia, wtedy zaś pozwolono mu przechadzać się swobodnie po warowni a nawet poza jej obrębem. Mieszkańców jej poznał dokładnie i polubił, a że pomiędzy nimi córka Margiera, Egle, była najłagodniejszą i naturalnie najpiękniejszą, więc nic dziwnego, że serce młodego Krzyżaka zaczynało na jej widok bić przyspieszonem tętnem i że w niem powstało wkrótce uczucie przewyższające znacznie cześć, jaką każdy rycerz obowiązany był oddawać wszystkim kobietom. A i Egle nie mogła się oprzeć urokowi, jaki na nią wywierał piękny młodzieniec; myśli jej poczęły nieświadomie, lecz coraz uporczywiej, nim tylko się zajmować — i w ten sposób powstała w ich sercach miłość wzajemna, tem silniejsza, że cicha, tajona, bez wyznań.

Tymczasem nad głową Ransdorfa gromadziły się groźne chmury. Kapłanka bożka Poklusa, którego świątynia znajdowała się w podziemiach zamku, orzekła, że bóg jest rozgniewany i że przebłagać go może tylko krew niemieckiego jeńca. Wyrocznia brzmiała :

— Poklus objawił wolę... . drżyj, książę Margierze!
Nad baszty twego zamku wnet chmura się zbierze.
Chowasz dziecię z krwi obcej, co Litwę wyniszcza,
Własna krew przygotuje płomienie i zgliszcza,
Które dom twój zagubią — zagubią cześć bożą,
Wrogom bramę do Litwy na oścież otworzą.
Nie ukoisz inaczej wyroków srogości,
Chyba krwią pachołęcia, co w twym domu gości.
I nie dalej jak jutro w północnej godzinie
Niech krew młodego jeńca na ołtarz popłynie,
A ciało jego spalić w ofiarnej pożodze,
A proch rzucić na wiatry przy rozstajnej drodze.

Z tego strasznego niebezpieczeństwa ratuje Ransdorfa Egle ze starym Lutasem. Zażądawszy od niego przysięgi, że nigdy nie zdradzi powierzonej sobie tajemnicy, wskazują mu tajemne przejście podziemne, którem wydostaje się nad Niemen i uchodzi do swoich.

W trzeciej pieśni prowadzi nas poeta do Malborga, gdzie właśnie Mistrz krzyżacki przyjmuje poselstwo króla polskiego Kazimierza. Spytek z Melsztyna (przez Syrokomlę błędnie „Jaśkiem z Melsztyna“ zwany) staje otoczony gronem najznakomitszej młodzi polskiej przed Mistrzem i żąda dotrzymania umowy i spełnienia rozkazu papieża, który Zakonowi rozkazał zwrócić zabrane Polsce Kujawy i ziemię Dobrzyńską. Lecz Krzyżak odpowiada chytrze, że nie może rozporządzać tem, co cesarz niemiecki podarował Zakonowi, według praw bowiem czekałaby go klątwa; zresztą i Polacy powinni wolę cesa-

rza uszanować, bo i oni podlegają przecież cesarzowi, temu najwyższemu zwierzchnikowi całego Chrześcijaństwa. Po tak obelżywej odpowiedzi sprawa była skończona — więc Spytko, dawszy butnemu Krzyżakowi należytą odprawę, wychodzi dumnie z sali, poczem starszyzna krzyżacka rozpoczęła naradę. Trzeba się było zastanowić, w jaki sposób mają przejednać rozgniewanego papieża i uniknąć klątwy, która mogłaby spowodować krucyatę całej Europy przeciw Zakonowi. Zdania były rozmaite — lecz gdy nadeszła wiadomość o powrocie Ransdorfa i odkryciu przez niego tajemnego przejścia podziemnego, łączącego zamek pulleński z przeciwnym brzegiem Niemna, wtedy zapada jednogłośna uchwała rozpoczęcia wojny z pogańską Litwą, i przekonania w ten sposób papieża, że Zakon spełnia swą misyę i nie tylko wojuje z chrześcijańskimi narodami, ale i pośród pogan szerzy wiarę Chrystusową.

W wyprawie tej miał Ransdorf odgrywać wybitną rolę: objąć dowództwo przedniej straży i wskazać całemu wojsku sposób zdobycia znienawidzonego zamku. Ale szlachetny młodzieniec oburza się na samą myśl zdradzenia Litwinów:

„czyż postąpię godnie,
„Wiodąc miecze mordercze pożarne pochodnie,
„I rozbijając piersi, zapalając ściany,
„Gdzie byłem, nieprzyjaciel, jak brat powitany,
„Gdzie mnie srodzy Litwini przyjęli jak swoi,
„Gdzie Margier chlebem karmi, Lutas pieśnią poi,
„Gdzie Egle, boska Egle, zbawia Krucygiera,
„I rękę mu podaje i serce otwiera?..
„Szatan chyba, nie człowiek, miałby w poniewierce
„Co najdroższe na świecie: chleb, pieśnię i serce!
„Niemcy! ja kocham Litwę — czyż zhańbię me [ramię?
„Ja mój pancerz podepcę, ja mój łuk połamię
„Lecz nie pójdę na wojnę, jak zbójca z jaskini..
„...Odpowiedzcie mistrzowi, on na to ma władzę,
„Niech mi życie odbierze — ja Litwy nie zdradzę!“

Ale od słów daleko jeszcze do czynu — więc Ransdorf nie połamał swego łuku i nie podeptał zbroi, a gdy mu podsunięto myśl, że po zdobyciu Pullen mógłby uwolnić się od ślubów zakonnych, pojąć ochrzczoną Eglę za żonę i osiąść jako książę na dawnem dziedzictwie Margiera, ostygł nieco w zapale i poddał się losowi.

Tadeusz Pini.

(*C. d. n.*)

Z dziejów chemii.

Chemia powstała na czarnej ziemi egipskiej i od jej barwy nazwę swą wzięła. Tajemniczością otoczona przetrwała „czarna nauka“ wieki średnie, aż w nowszych czasach rozkwitła do niebywałej potęgi i świat zagarnęła pod władzę swoją.

Na granicy stojąc pomiędzy naukami ścisłemi a czysto doświadczalnemi, pozwalając trochę przewidywać, a mimo to zawsze pełna niespodzianek, zawsze wymagająca sprawdzania, nie straciła chemia dotąd uroku tajemniczości i dotąd wzbudza pewnego rodzaju trwogę w umysłach nieprzygotowanych.

Siły chemiczne: ile w tem słowie zawarto zjawisk! Światło, powstałe przy połączeniu pyłu żelaznego z tlenem, huk towarzyszący eksplozyi piorunującego gazu, ciepło, które przy każdem spaleniu powstaje, elektryczność, wzbudzona przez stosy Volty, Daniela etc., a nadewszystko ów dziwny ruch, który życiem zowiemy — wszystko to ściśle łączy się z chemicznymi procesami, zawdzięcza im istnienie, a jednocześnie powodem jest nowych zjawisk chemicznych.

Od dawien dawna połączone były badania chemiczne z pewnem niebezpieczeństwem, choćby dla nadzwyczajnej ilości nieprzewidzianych zjawisk. Szary kruszec rzucano w ogień i z kamienia bez blasku wypływał świecący metal, tajemniczą siłą ognia wywołany z niepozornej bryły. Do czarnego proszku, mięszaniny węgla i siarki z saletrą, ogień przyłożono — i wnet czarny proszek znikał bez śladu, bo zaledwie trochę dymu, huku i zapachu przykrego świadczyło o zaszłej eksplozyi. — Mieszano rozmaite minerały i kruszce i zamiast spodziewanego złota otrzymywano zapachy gryzące, dymy smrodliwe, wybuchy, cały szereg duchów, które nazywano imieniem związków, dających im początek. — Siła ognia rozmaicie przeistaczała przedmioty, bądź dając im wspaniałe kolory, bądź wytwarzając zabójcze powietrze, ogniem ziejąc i strzelając ku przerażeniu najśmielszych badaczów. I czasem cudnego blasku połysk łudził alchemika nadzieją złota, czasem z mozołem otrzymany proszek zmieniał zwykłe przedmioty w metale i rozbujałej fantazyi filozofa obiecywał skarby.

Synowie pustyń arabskich, marzyciele łagodni, lubili tej nauce poświęcać swe wczasy i energię ducha niezłomnego obracali na śledzenie własności ciał z odwagą fatalistów badając niebezpieczne tajemnice. Im zawdzięczamy wyodrębnienie kilku związków z chaosu wszystkich nieznanych minerałów, zawdzięczamy im wykrycie „ducha z wina“, który al-kohol'em nazwali. Alkali, alchemia, alkermes obok wielu innych nazw świadczą o wpływie, jaki Arabowie na „czarną naukę“ wywarli.

Czarna nauka, czarne o niej księgi i czarnoksiężnicy, jej wyznawcy, stali pod klątwą ludzi zwykłej miary: bo czyliż to jest rzeczą ludzką z kamienia płyn wytopić, który w żelazie dziury wygryza, proszek biały wyprażyć w tygielku i otruć nim jak muchę najtęższego męża, hukiem i blaskiem przerazić bohatera, co sam na sam potykał się z niedźwiedziem i w życiu strachu nie zaznał?

Aż z labiryntu nagromadzonych zjawisk, z nocy tajemnic pełnej, wyprowadziły czarną naukę potężne siły ducha ludzkiego i z rumowiska bezładnych gruzów gmach zaczęły budować, zwany nauką chemii.

Pierwszy, który chemią na tory ścisłej nauki wprowadził, był Antoni Wawrzyniec Lavoisier († 1794). Zasługą niezapomnianą Lavoisier'a było użycie wagi przy badaniach chemicznych. Wszystkie dawne prace przeszły dla teoryi chemii bez śladu: dostarczyły mnóstwa doświadczeń, zostawiły setki ciekawych wytworów chemicznych, nauczyły wreszcie sztuki obchodzenia się z temi groźnemi siłami, ale nie powiązały żadną nicią zjawisk zgromadzonych mozolnie, nie wytknęły żadnego kierunku, według którego porządkować by można.

Lavoisier zastosował do sił czarnej nauki te same miary, jakie stosowano do sił innych. Od tej chwili powstał łącznik między chemią i fizyką, łącznik coraz bardziej rosnący, który nam kiedyś pozwoli uważać chemią za gałąź fizyki. Wprowadzenie jakiejkolwiek miary, choćby czasu trwania reakcyi albo miary ciepła, wytwarzanego przy chemicznych zamianach, pozwala całe stosy zjawisk umieścić jakby w jednym szeregu i badać tym sposobem ich stosunek wzajemny. Wprowadzenie każdej metody, używanej w nauce ścisłej do nauki młodszej, płodne jest w skutki częstokroć zadziwiające.

Obie te sprawy zastosował Lavoisier, ważąc ciała chemiczne przed i po rozkładzie.

Bezpośrednio przed nim istniała teorya flogistonu, pierwsza próba naukowego traktowania chemii[1]). Flogistonem nazywano istotę palną, która w kształcie ognia występowała z ciał niektórych. Drzewo i siarkę uważano za ciała obfite we flogiston, bo zapalone wydawały go w postaci światła i ciepła. Metale uchodziły także za obfitujące we flogiston, bo przy ogrzewaniu utleniały się, wydzielając flogiston w postaci ciepła. Zatem utlenione metale miały być pozbawione flogistonu, bo już go oddały.

Lavoisier wykazał, że metal utleniając się, staje się cięższym, flogiston zaś uchodząc musiałby obniżać wagę metalu. Cóż to za ciało ów flogiston, który uchodząc sam, podnosi wagę ciała? Oczywista rzecz, że każde ciało, choćby bez wagi, musiałoby co najwyżej nie zmieniać wagi pierwotnej, w żadnym razie nie mógłby metal przez stratę czegokolwiek stawać się cięższym.

Lavoisier ogrzał pół funta metalicznej rtęci na powietrzu i zmienił ją w czerwony tlenek. Za pomocą wagi przekonał się, że tlenek ważył o 20 gramów więcej, niż czysta rtęć. Ogrzewał potem silniej tlene krtęci, wypędził z niego tlen i zważył. Tlen ważył 20 gr. t. j. tyle, ile wynosił przyrost wagi rtęci po utlenieniu.

Teorya flogistonu upadła przez to jedno doświadczenie, albo raczej stawała się zbyteczną. Łączenie się tlenu z metalami i spalanie się węgla i siarki było przyrastaniem tlenu, który potem dawał się ponownie oddzielać, zostawiając czysty metal. Ciepło i światło, wynikające przy tem, wywołane bywały gwałtownością łączenia się. — Doświadczenie Lavoisier'a doprowadziło go jednocześnie do wykrycia tlenu[1]) i każda nieomal książka o chemii umieszcza rysunek przyrządu, z którego wielki człowiek wydostał tlen i z którym wykonał doświadczenie, stanowiące początek nowej epoki w naukach.

---

[1]) Wybitnym przedstawicielem teoryi flogistonu był Stahl (1723).

[1]) Przed Lavoisierem znali tlen Priestlej w Anglii 1774 i Scheele w Szwecyi 1775. Lavoisier zbadał go najdokładniej.

Od czasu Lavoisier'a chemia miała olbrzymie zadanie, program wytknięty na długie lata. Chodziło o wykrycie stosunku, w jakim się łączą ciała pomiędzy sobą, o stosunek wagi tlenu do wagi rtęci, która go pochłania, stosunek wagi chloru do wagi fosforu w trójchlorku fosforu, stosunek wagi wodoru i tlenu, składających wodę.

Zaroiło się w nauce od metod do wykrycia owych stosunków. Ważono, mierzono, badano ciężary gatunkowe i ciepło właściwe, a wszystko zmierzało do jednego celu, wszystko służyło jednej nauce. Jak bujna roślina zabiera i deszcz pożywny i ciepła promienie i słoneczne blaski, aby się rozrastać i w barwy stroić, tak korzystała chemia z każdego wynalazku, z każdego odkrycia, aby nową cegiełkę do gmachu dołączyć. Wsparci na metodzie pewnej, która dotąd nie zawiodła, mierząc i ważąc, szli naprzód badacze i siłą umysłu stwarzali nowe pojęcia i nowe teorye, rzutkością fantazyi jak piorunem oświetlali ciemne głębiny i pracowitą sumiennością składali nowe związki, nieznane ciała. Tak powstała chemia związków organicznych ze zdumiewającemi syntezami i nieprzejrzanem mnóstwem ciał nowych. Tak utworzono związki, które dotąd przyroda jeno sama zdawała się mieć siłę wytwarzać i naśladować, zaczęto życie i barwy nieznane robić i tajemnice kwiatów wykrywać.

Dr. Wacław Moraczewski.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

II.

W jaskini.

Grom śród skał nie przestał huczeć,
Deszcz z niebiosów lać się strugą,
Piorun błyskać, wyć wichura,
Ale w locie międzychmurnym
Wnet ustała sfora dyabłów,
Gdy im zdala pośród lasów
Zaczerniała paszcza groty,
Nito straszna piekła brama
Zahukali, zakwilili, —
Jakby wiatr im skrzydeł dodał,
Wpadli szybko wązkiem wejściem,
Przesunęli złomki bogów
I jak cień zniknęli w grocie.

Wielka grota była sucha,
(Jak to szatan przepowiedział),
Słupy skalne strop wspierały
Z stalaktytów, mech się rozsiadł
— Szary w pół, na pół zielony —
Na korzeniach drzew prastarych,
Które jako tęgie żyły
Przewijały się po stropie.
A po kątach suche liście
Wdzięczne wonie podjesienne
Wydawało, skoro noga
Zaplątała się w stos jego.
Pewnie nie znał zwierz tej groty!
Zwarta gąszcz gałęzi, krzaków,
Kryła wchód tak, że ni jedna
Kropla deszczu tu nie wpadła.
Mrok rozkoszny tu panował
Ponad wszystkiem, tylko piorun
Słabem światłem przez gąszcz błyskał
I znów gasnął, — tylko szelest
Deszczu w liściach nie ustawał.

Tu ukryli dawne bogi;
Oderwali kamień wielki,
Zawalili paszczę groty
I usiedli w półokręgu
Na mchu i na suchem liściu.
Śmiali się i przedrzeźniali,
Gawędzili i mlaskali.
Było im tu sucho, — dobrze.

Echem huczał grom z oddali,
Echem tylko krople deszczu
Szeleściły, jakby w półśnie;
Wiatr ścichł tak, że było nagle
Słychać każdy ruch w pra-lesie,
Lada trzask gałęzi na mchu
Pod pierzchliwą stopą zwierza
I skrzypnięcie starej sosny,
Trzymającej w swem objęciu
Gniazdo sępie, pełne młodych —
Jak ze szczytu się oderwał
Kamień i w dolinę staczał,
I te wszystkie monotonne,
Tajemnicze, jakby z baśni,
Głosy lasu o północy.

W tem śród ciszy tak głębokiej
Nagle się ozwały kroki,
Zrazu w dali, lecz wnet bliżej, —
Szelest, jakby kto rozgarniał
Gęstą z krzów zasłonę groty,
Lub przedzierał się przez gąszcze;
Teraz blizko już przy wejściu
Było dobrze słychać kroki
Ciężkie, ostre, — dalsze, bliższe,
Jakby ktoś tu szukał wchodu.

Dyabły tem się przeraziły,
Łby swe zbiły trwożnie w kupę,

Ale wnet się roześmiały: —
Któżby śmiał ich stąd wyruszać!

Lecz w tem ciosy żadudniły,
Ciosy ciężkie, jakby młota,
O ten kamień, co krył wejście, —
Ciężkie tak, że się zachwiały
Ściany skał, że wypłoszony
Z gąszczy ptak wyleciał z krzykiem
I w dal frunął w wielkich kręgach
Na szumiących, ciężkich skrzydłach.
Kamień chwiał się i poddawał.

Sfora dyabłów się zerwała,
Z rykiem pędzą ku wchodowi,
Wszyscy trzymać pomagają:
Piętą o ziem się oparli, · ·
Jeden czołem, drugi tyłem,
Kamień prą i łańcuch silny
Spletli z rąk swych, nóg i skrzydeł

Ale ciosy nie ustały,
Grzmiały dalej nieustannie,
Kamień chwiał się i poddawał,
Dyabły cisną coraz więcej —
Ciężkiej walki nie opisać!

W tem zadudniał cios piorunu;
Gdzieś ugodził obok groty,
Aż się zatrząsł bór w posadach.
Dąb olbrzymi, co nad grotą
Rozpościerał swe gałęzie,
W mig zapłonął jasną świecą:
Piorun go porąbał w drzazgi,
Spłynął na dół po pniu gładkim,
Jednym susem był na skale,
Rozbił kamień w cztery części,
A te z hukiem się zwaliły
W grotę i porwały w biegu
Dyabłów, których łańcuch gęsty
Rozerwany wił się wkoło.
Za kamieniem zaś, o zgrozo! —
Jakby piorun był mu posłem —
Wielki człowiek się ukazał,
Czarnowłosy, czarnowąsy,
W ciemnej szacie, biały sznur miał
W koło bioder, w ręce prawej
Kij olbrzymi z krzyżem trzymał
I przybliżał się tak krokiem,
Który strwożył ich już zdala, —
Nadczłowieczy, przewielebny,
Na wijące się, jęczące
Dyabły ani zważał, jeno
Urwał z dębu płonącego
Gałąź wielką, nią zawinął,
By pochodnią gorejącą,
Przed się wziął swą laskę z krzyżem
I tak wkroczył do jaskini.
Tu pochodnię zatknął w skale
I rozglądać się jął wkoło.

Przerażona rota dyabłów
Skryła się po kątach groty
Lub za plecy dawnych bogów,
On zaś widząc ich oblicza
Drwiące, gniewne i szydercze,
Zerwał z bioder swych sznur biały,
Splótł go w węzły, w dyscyplinę.
Krzyknął gromko, ni to burza:
„W imię Ojca, Syna, Ducha!“
I już począł dyabły smagać
I tak płoszyć z wszystkich kątów,
Że się pod nogami jego
Wili, potem jednym susem
Aż pod strop się wznieśli w górę
I wybili z trzaskiem strasznym
Dziurę w stropie; jeszcze dosiągł
Groźny powróz, okrążając
Błyskawicą grotę szarą,
Skrzydeł sępich lub kopyta
I już po nich ani śladu.

Przerwał mnich swą ciężką pracę,
Znów przewiązał biodra sznurem,
Wzniósł ku niebu laskę z krzyżem,
Ukląkł i zanucił głośno,
Że aż skały wtórowały:
„Hospodine pomiluj ny!“ [6])
Skończył, potem jeszcze długo
Klęczał, modląc się gorąco.
Burza przeszła, a przez otwór,
Wywalony lotem dyabłów,
Zaglądały do jaskini
Pierwszy raz snać od stworzenia
Wielkie i złociste gwiazdy.

Tak to Prokop, sługa boży,
Nad Sazawą [7]) się osiedlił.

(C. d n.)

Juliusz Kossak.

Dnia 3-go lutego zmarł w Krakowie rozgłośnej sławy artysta, Juliusz Kossak, należący do starszego pokolenia najpoważniejszych przedstawicieli sztuki polskiej.

Obok Matejki i Grotgera nazwisko Kossaka było nietylko najlepiej znane, ale prócz tego łączyło się z niem jasne pojęcie rodzaju talentu i twórczości tego artysty. Akwarele i konie — pierwsze jako rodzaj, drugie jako przedmiot sztuki — każdemu, kto o Kossaku mówił, przychodziły na myśl jako naturalne następstwo tego, że Kossak malował zawsze tylko akwarelą i że na każdym nieledwie obrazie jego znajdowały się konie.

---

[6]) Dosłownie: „Panie, zmiłuj się nad nami!“, dośpiew czeski, przełożony z greckiego: „Kyrie elejson!“.

[7]) Sazawa (z polska Sadzawa), prawy dopływ Mołdawy, lewego dopływu Łaby; nad nią powstał klasztor i osada o tej samej nazwie.

Malowanie akwarelą, to jest farbami wodnemi, niejeden z młodych czytelników mógłby uważać za coś podrzędnego w porównaniu z malarstwem olejnem. Takie pojęcie rzeczy byłoby jednak mylne, gdyż z jednej strony nie przedstawia akwarela łatwiejszego jakoby sposobu malowania, nastręczając raczej pewne, mujących bardzo wysokie stanowiska w świecie artystycznym.

Jeżeli jednak stanowisko Kossaka w historyi rozwoju sztuki polskiej nie jest niższe przez to, że on był akwarelistą, to z drugiej strony sam jego sposób malowania farbami wodnemi, chociaż bardzo indywidualny i zna-



J. Kossak, Illustracya do „Grażyny“: Bitwa

sobie tylko właściwe trudności, z drugiej zaś strony życie i prawda w obrazie są właściwą miarą artystycznej wartości dzieła sztuki bez względu na rodzaj techniki, czyli sposobu wykonania. Malarstwo akwarelowe ma przeto wszędzie, a szczególnie w Anglii wielu zwolenników i znakomitych przedstawicieli, zajmienny, nie był przecież tak doskonały, aby w nim właśnie upatrywać podstawę charakterystyki i sławy artystycznej Kossaka. Przeciwnie: malowanie spełnia u Kossaka rolę podrzędną; natomiast rysunek pewny, niezmiernie łatwy, a zarazem odrębny, jest istotną cechą jego dzieł.

**

„Charakter kształtu i ruch, oto co głównie widać w obrazach i rysunkach Kossaka. Notowanie szybkiego i nagłego ruchu, ścierającego się niemal w tejże chwili z mózgu, kiedy go się spostrzegło, wymaga środka technicznego najprostszego, działającego najszybciej; kilka kresek, przecinających się pod pewnymi kątami, daje pojęcie o ruchu konia, rzuconego w galop, o psie pędzącym za zającem i śmignięciu skrzydeł ptaka".

Słowa powyższe cytujemy za Stanisławem Witkiewiczem, malarzem i pisarzem, w nich bowiem mieści się bardzo trafna charakterystyka artyzmu Kossaka, który w sposobie rysowania posiadał właśnie w wysokim stopniu te najprostsze środki techniczne, pozwalające mu oddawać z łatwością w lot jakoby pochwycone życie. Nie dziwi nas może to, że ten, kto miał wprawę i nadzwyczajną pamięć kształtów, wyrobioną przy pomocy wielkiego daru obserwacyjnego, malował i rysował bardzo wiele i bez przerwy; ale podziwiać należy wytrwałość, zapał i siły, z jakiemi, po długim szeregu lat pracy, osiwiały już weteran sztuki polskiej do ostatniej prawie chwili życia swego nie przestawał tworzyć.

Niewyczerpany w najrozmaitszych tematach Kossak zasypywał nas obrazami różnej treści. Koń chłopski, bronowłoka, lub ognisty, pyszny rumak rasowy, kuc czy podjezdek przysadkowaty, smycz chartów, żołnierz polski, Tatar, szlachcic, żyd, chłop, myśliwy, Kozak, Lisowczyk i t. p., oto typy zwierzęce i ludzkie, które wśród różnorodnych okoliczności i w najrozmaitszych do siebie stosunkach, na stepie, na wojnie, na polowaniu lub jarmarku stoją, biegną, pędzą, walczą, krzyczą, pysznią się, a przedewszystkiem żyją w obrazach Kossaka. A ponieważ przedstawienie życia w obrazie było i będzie po wszystkie czasy głównem zadaniem, największą zarazem trudnością i chlubą każdego artysty, dlatego to Juliusz Kossak, który takiemu zadaniu w sztuce sprostać umiał, zdobył sobie sławę nie tylko w kraju, ale i po za jego granicami.

Prócz kompozycyi samodzielnych, Juliusz Kossak wykonywał także illustracye do dzieł polskich autorów. Z zadania tego wywiązywał się tak szczęśliwie, że illustracye jego należą bezwarunkowo do najsympatyczniejszych, szczególnie zaś te, które z nieporównaną prawdą i swojskością oddają zdrowe, dzielne, zamaszyste, wesołe a zawsze zacne i poczciwe życie szlacheckie.

Wincenty Pol to ulubiony autor Kossaka, czego wymownym dowodem są mistrzowskie illustracye do „Obrazów z życia i natury" i „Roku myśliwca" tego poety. „Rok myśliwca", powiadą Witkiewicz „to cały Kossak, to rzecz, która wyraża i wielostronność jego talentu i łatwość kompozycyjną. Jest to rzecz, która powinna być wydana na nowo, z całą doskonałością drzeworytniczą, jaką dziś włada nasza illustracya i z całą starannością, na jaką może się zdobyć nasze drukarstwo".

Illustracye do powieści Sienkiewicza, do „Pieśni legionów", „Grażyny", (z których załączamy jedną) do „Wallenroda" i wiele, wiele innych — jaki to szereg doskonałych prac, w których słowa pisarzy przeobrażone są w kształty plastyczne, prawdziwe, a uczuciu narodowemu tak miłe!

Jakaż to nieodżałowana szkoda, jaka niepowetowana dla nas strata, że w tej galeryi typów polskich, w tem czarodziejskiem jakoby wskrzeszeniu czasów ubiegłych zabrakło scen i obrazów z „Pana Tadeusza"! To arcydzieło poezyi polskiej, tak niezmiernie bogate w materyał obrazowy, w Kossaku osobliwie mogło było znaleźć illustratora, który bodaj w przybliżeniu byłby zdołał wyrazić kształtem plastycznym zwłaszcza sceny myśliwskie, opisy zwierząt lub wesołe chwile życia szlacheckiego, tak prawdziwe w nieśmiertelnym poemacie Mickiewicza.

Wpływ Kossaka na malarzy współczesnych i uczniów był zbawienny, jego bowiem postacie historyczne, które on pierwszy wprowadził do sztuki polskiej, podniecały wyobraźnię innych artystów, idących za dobrym przykładem znanego, sympatycznego i popularnego mistrza, który i tym sposobem umiał zasłużyć się około podniesienia i rozwoju sztuki polskiej. Należał on zatem do dobrych synów Ojczyzny, do tych, którzy dla niej pracując chlubę jej niosą i pożytek, a takiemu człowiekowi winniśmy cześć oraz wdzięczną i trwałą pamięć. Jakoż w tym celu Przyjaciel młodzieży na kartach swoich zapisuje imię Juliusza Kossaka i najważniejsze szczegóły jego życia.

Juliusz Kossak urodził się w Wiśniczu 1824. roku. Ukończywszy szkoły średnie, rozpoczął studya uniwersyteckie we Lwowie,

ucząc się równocześnie rysunku u profesora Maszkowskiego.

Wzmagające się zamiłowanie do sztuki skierowało go niebawem zupełnie na drogę artystyczną, która miała być dla niego szczęśliwszą, niż dla wielu innych. Rozległe stosunki towarzyskie z dworami szlacheckimi pozwalały mu przebywać na wsi i czerpać z najobfitszego i najświeższego źródła artystycznego, to jest z życia i natury. Ale do tego trzeba było wrażliwego oka i gorącego uczucia, na czem właśnie nie zbywało Kossakowi. Z zapałem tedy rysował konie, upodobawszy sobie w tem pięknem i szlachetnem zwierzęciu. Nie łatwa to rzecz rysować dobrze konie, zwłaszcza w ruchach nagłych i gwałtownych. Sławny malarz francuski Meissonier mawiał, że konia nie można nigdy dokładnie wystudyować, gdyż on nie pozuje. Dzisiejsza fotografia momentalna osłabia nieco to zdanie, ale w czasach młodości Kossaka nie znano takich fotografii, wystudyowanie więc i pochwycenie nagłych ruchów konia przedstawiało podówczas bez porównania większe trudności, aniżeli obecnie. Dzięki swej nadzwyczajnej pamięci Kossak pokonywał owe trudności bardzo szczęśliwie, gromadząc tym sposobem mnóstwo studyów i materyałów do przyszłych prac swoich.

W podróżach na Wołyń, Podole i Ukrainę znajduje artysta dużo podniety, wiele nowych motywów twórczości. Szukając nowych wrażeń, zwiedza Wiedeń i Węgry, przebywa przez dwa lata w Warszawie, gdzie się żeni z panną Zofią Gałczyńską. W celu dalszego i gruntownego wykształcenia zawodowego, udaje się już jako dojrzały mąż do Paryża, aby tam pod kierunkiem sławnego malarza koni i bitew, Horacego Verneta, oddawać się przez 6 lat gorliwej pracy artystycznej.

Powróciwszy do kraju, osiada na czas dłuższy w Warszawie i prowadzi dział artystyczny „Tygodnika illustrowanego“, w którym umieszcza wiele prac własnych.

W roku 1868. Kossak przenosi się do Krakowa w pełni sił żywotnych, w rozkwicie swego wielkiego talentu [1]).

Przez wiele lat Kraków oglądał najpiękniejsze dzieła artysty, szczycił się nim, kochał w nim zacnego, pełnego życia i humoru człowieka, a w roku 1889 hołdował mu piękną a rzadką uroczystością złotego jubileuszu artystycznego.

Od tej chwili pamiętnej upłynęło jeszcze 10 lat spokojnej, wydatnej i do końca prawdziwie artystycznej pracy tego wielce utalentowanego malarza, który nie osłabszy w twórczości, nie przeżywszy sławy swojej, zmarł nieledwie z pędzlem w ręku, pozostawiając po sobie w czasie 60 letniej karyery artystycznej mnóstwo dzieł niepospolitej wartości, które mu po śmierci zdobyły miejsce wiecznego spoczynku w grobie zasłużonych na Skałce w Krakowie.

A. Stefanowicz.

Pogadanka.

Są chwile, w których nawet największemu wrogowi polityki trudno się powstrzymać od politycznych uwag i refleksyi. Od dwóch lat już jesteście świadkami smutnej i wielce gorszącej zawieruchy w austryackiej połowie naszej monarchii, a choćbyście nawet nie czytali zbyt pilnie dzienników, to przecież tyle musiało się obić o wasze uszy, że jest źle i że trudno zgadnąć, kiedy i jak będzie lepiej. Idą sesye parlamentu jedna za drugą, coraz jałowsze i pustsze; i gdyby tylko tyle — ale coraz bardziej gorszące, aż prawie wstrętne. I mimowoli pyta się każdy: także to wygląda w praktyce ten ideał, za który ojcowie nasi walczyli, cierpieli i krew przelewali? Czyżby naprawdę ten parlamentaryzm się już przeżył, jak każde dzieło ludzkie? Nie brak i takich, którzy twierdzącą na to pytanie dają odpowiedź i radziby co tchu nawę państwa, a z nią i swoją łódkę zaprowadzić do portu „oświeconego absolutyzmu.“

Dobrze więc może będzie dziś o tej materyi pogawędzić. W cudowny prawie sposób odrodził się w naszym wieku naród czeski w chwili, gdy się zdawało, że Czechów już

---

[1]) Talent Juliusza Kossaka przeszedł w dziedzictwie na syna jego Wojciecha, znanego batalistę (malarza bitew), który wespół z Janem Styką stworzył panoramę bitwy racławickiej. w towarzystwie zaś Juliana Fałata, dyrektora szkoły sztuk pięknych w Krakowie, namalował panoramę: Przejście Napoleona przez Berezynę.

nie ma. Z podziwienia godną wytrwałością i siłą, jakich mało przykładów znalazłbyś w dziejach, pracowali nad swem odrodzeniem na wszystkich polach, aż stanąwszy silnie umysłowo i materyalnie, powiedzieli sobie, że Czechy to przecież ich dom i zapragnęli w tym domu się rozgospodarować po swojemu. Tradycyjna siła austryackiej biurokracyi zdołała, mimo konstytucyi i autonomii, temu przeszkodzić i powstrzymać. Stąd wybuchła walka na gruncie czeskim między Czechami a Niemcami, która co chwila obijała się także o mury wiedeńskiego parlamentu i szkodliwie wpływała na bieg spraw ogólnych. Wtedy to wydał gabinet Badeniego znane językowe rozporządzenia, nakazujące urzędom i władzom, ministerstwu podległym, aby każdemu mieszkańcowi Czech w tym języku załatwiano sprawy, do jakiego on się sam przyzna jako do macierzystego.

Stąd burza, która już prawie dwa lata ubezwładnia parlament na szkodę wielką wszystkich krajów koronnych i całości monarchii; Niemcy wołają, że im się krzywda dzieje. W takich wypadkach trzeba być zawsze ostrożnym w sądzie; szczególnie przystoi ta ostrożność nam, którzy dobrze wiemy, co są krzywdy. Rozważmyż więc sprawę, a naprzód to pytanie, czy ministeryum miało prawo takie rozporządzenie wydać, bo temu przedewszystkiem przeczono. Ministeryum wydało rozporządzenie do urzędników, którym niewątpliwie ma prawo rozkazywać, bo ich przyjmuje, a przyjmując żąda pewnych kwalifikacyi; u nas n. p. należy do nich, jako konieczny warunek, znajomość języka niemieckiego, choćby się mogło bez tego obejść. I poddają się temu wszyscy, a kto nie chce, nie wstępuje do służby rządowej.

Wyobraźmy sobie, że właściciel wielkiego hotelu, do którego zajeżdżają goście z różnych stron świata, stara się tym gościom dogodzić i przyjmuje służbę wielojęzyczną, tak, iżby każdy z nich oprócz języka miejscowego znał jeszcze przynajmniej jeden obcy. Czy ma do tego prawo? Niewątpliwie. Któż się będzie na niego gniewał? Chyba ten lub ów nieprzyjęty do służby kandydat, ale niesłusznie; niech się nauczy tego, czego gospodarz od niego żąda. W każdym zaś razie nie będą się o to gniewać goście, a raczej będą mu za to wdzięczni.

Takim hotelem jest cała nasza Austrya, takim także Czechy; tylko ten hotel ma stałych lokatorów, przez co gospodarz tem bardziej o ich potrzeby i wygodę dbać powinien. Gospodarzem jest rząd. A teraz może odpowiecie sobie sami, czy jest się o co gniewać. Gniewaćby się mogli chyba tylko urzędnicy, ale leży to w naturze stosunku służbowego, że przyjmujący służbę musi przyjąć warunki, podane mu przez dającego służbę. Tymczasem nie słyszymy, żeby się urzędnicy gniewali, ale mówią nam i wołają na cały świat, że naród niemiecki doznaje krzywdy. Czy to prawda? Czy istotnie dozna krzywdy obywatel niemiecki, gdy obywatel czeski na swe podanie czeskie czeską dostanie odpowiedź? Najbezstronniejszy sędzia krzywdy tu nie dostrzeże. Gdyby uczucie słuszności było żywsze, gdyby poczucie konstytucyjne było głębsze, byłby rząd, który to zrobił, pozyskał tylko tytuł do wdzięczności i zaufania. A u nas inaczej; biurokracya starego absolutyzmu, według której naród był dla urzędu a nie urząd dla narodu, jest jeszcze tak silną, że mówi się o krzywdzie narodu całego, ponieważ ci, którzy do niedawna mieli monopol urzędów w całej Austryi, tracą teraz znowu kawałek obszaru. A więc to nie krzywda narodu, przeciw której należałoby zawsze wystąpić, ale gniew tych, którzy pod formą konstytucyi chcieliby dalej panować, jak za dawnych dobrych czasów. Smutne ale prawdziwe; jak trudno, aby ludzie dla drugich byli ludźmi.

Przenieśmy się teraz na szerszy trochę świat, za oceany. Na Filipinach rozgrywa się teraz epilog niedawno ukończonej wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Wojna, jak wiadomo rozpoczęła się o Kubę, perłę Antylów, gdzie Hiszpanie mimo wielkich wysileń nie mogli przez kilka lat stłumić buntu; krew się lała obficie. W imieniu więc uczuć ludzkości, tudzież w imieniu zasady: „Ameryka dla Amerykanów“ podniosła oręż potężna amerykańska republika i wywalczyla Kubie niepodległość. Jak się tam rząd ułoży, to jeszcze nie wiadomo, ale to już wiadomo, że Ameryka kazała sobie dodać jeszcze Filipiny wbrew swojej własnej zasadzie, która w tym wypadku powinnaby brzmieć: Azya dla Azyatów. I o to teraz znowu wojna, i znowu krew się leje, bo Filipińczycy, którzy także z bronią w ręku jarzmo Hiszpanów zrzucić chcieli, o panowaniu Ame-

rykanów słyszeć nie chcą. Na czyjąż stronę zwrócą się sympatye wasze? Wierzę, że ze mną razem zawołacie: Boże! kiedyż przestaniemy pisać historyę krwią i żelazem; kiedyż dojdą ludzie do uznania w praktyce, że co dla jednego jest słuszne, należy się i drugiemu? I tu taki sam egoizm, jak w austryackiej walce domowej.

Ciężką ponieśliśmy w ubiegłym miesiącu stratę: z karty żywych wymazano imię Juliusza Kossaka. Któż nie słyszał o nim, który młodość swą przeżył w czasie rozkwitu poezyi romantycznej a potem przez lat pięćdziesiąt prawie pędzlem i farbami podawał nam jej dalszy ciąg w swych licznych obrazach, wdzięcznych a tak swojskich, jak żadne. Kossak, Grottger i Matejko to romantycy pędzla i palety, to godni kontynuatorowie Adama, Juliusza i Zygmunta. Jeden z ostatnich z tej epoki położył się do grobu; śmierć jego to wielka strata dla nas, ale życie jego to wielkie *plus* w naszym dorobku narodowym, które sowicie pokrywa stratę. Oby każdy z nas zamknął księgę żywota takim rachunkiem! Solon policzyłby Kossaka z pewnością do szczęśliwych.

Kropka.

Co warto czytać i dlaczego?

I.

Otwieramy nowy dział w piśmie naszem. Celem jego będzie zaznajamianie czytelników *Przyjaciela* z nowemi książkami i rzeczami, drukowanemi po czasopismach, godnemi czytania z jakiegokolwiek względu. Będziemy się starali ogarnąć wszystkie dziedziny, uprawiane w piśmie naszem; mamy nadzieję, że dział ten przyczyni się do trafnego wyboru lektury i oszczędzi czasu i zawodów niejednemu młodzieńcowi, polegającemu na płytkich recenzyach dziennikarskich.

Wypadałoby zacząć od wykładu zasad i sposobu czytania, bo wszystkiego trzeba się uczyć, nawet czytania, jeżeli ono ma przynieść korzyść i zadowolenie.

Ale niezrównanie wyręczył nas w tem znany krytyk duński, Jerzy Brandes, odczytem „O czytaniu“, wygłoszonym z końcem r. z. we Lwowie. Odwołujemy się więc do słów jego i radzimy przeczytać przedewszystkiem tę broszurę, zwłaszcza, że wydano ją na rzecz pomnika A. Mickiewicza we Lwowie, a więc przez nabycie tej książeczki każdy spełni obowiązek narodowy (cena 20 ct., do nabycia w administracyi *Słowa polskiego* we Lwowie.)

Poezya, tak lekceważona przez ostatnie pół wieku, poczyna sobie u nas — jak wszędzie indziej zresztą — wywalczać na nowo stanowisko szczytne, jakie się jej należy słusznie w dziedzinie umysłowości ludzkiej. Najbliższa jednak pozostanie zawsze młodości, która sama jest poezyą życia ludzkiego. Ale czy młodzież rzeczywiście zna tę poezyę naszą dzisiejszą, czy ją czyta, czy umie ją czytać? Ze skarg samych poetów wypadałoby wnosić, że tak nie jest. Oto bowiem Andrzej Niemojewski, autor wybornego cyklu poezyi p. n. *Polonia irredenta* (I. Podziemie, II. Łuny, III. Ziemia obiecana 1895, IV. Z ciszy wiejskiej 1896), pisze w nrze 6. „Tygodnika illustrowanego“ z powodu wydania właśnie „Wyboru poezyi“ Adama Asnyka, ojca najmłodszego pokolenia naszych poetów, następujące gorzkie prawdy: „My dziś nie umiemy czytać poezyi. Przebiegamy stronicę po stronicy, dusza nasza ślizga się po tomikach i tomach a cóż z tych poezyi zostaje w niej? Bardzo niewiele. Prawdziwi miłośnicy uczą się poezyi na pamięć, przyswajają sobie najpiękniejsze ustępy; wtedy zaczynają piękniej myśleć i szlachetniej czuć. Wtedy nie tylko poezya wchodzi w życie, lecz i życie, to szare, codzienne a pracowite życie, nabiera czaru i poetyczniejszem, lepszem się staje.

Mimo całej czci dla Asnyka za mało go czytamy, za mało czerpiemy z tego źródła czystego, ożywczego; powtarzamy ustawicznie w rozmowach jego imię, ale nie jego poezye. A przecież na tem my sami tylko tracimy“. Uwagi zupełnie trafne. Póki posiadaliśmy tylko wydanie 5-cio tomowe, nieprzystępne może dla wielu z powodu ceny, można się było zasłaniać drogością rozkoszy, jaką czytanie utworów Asnyka sprawia, ale obecnie wydany „Wybór“ w formacie miniaturowym, tak powabnym, a dokonany umiejętnie, usuwa tę obronę: kosztuje bowiem tylko rubla (1 zł. 30 ct.).

Kto zaś pragnie poznać współczesnych i następców Asnyka w dziedzinie poezyi u nas, ma obecnie zadanie ułatwione dzięki 2 tomowej antologii najnowszej poezyi, ułożonej przez jednego z najwybitniejszych bardów dzisiejszych, Jana Kasprowicza (Album współczesnych poetów polskich); inna antologia, „Księga sonetów poetów polskich“ A. Langego, uwidocznia koleje tego gatunku wiersza w naszem piśmiennictwie i przeobrażenia, jakim uległ od czasów Mickiewicza. Z przedruków złoczowskiej *Biblioteki powszechnej* godzi się przypomnieć potężne „Psalmy przyszłości“ Z. Krasińskiego (nr. 261) i „Zgon Acerna“ Syrokomli (nr. 267).

Przejdźmy do przekładów. W ich rzędzie najdonioślejsze ma znaczenie nowy przekład niedoścignionej „Boskiej komedyi“ Dantego. Mianowicie wyszła część I. „Piekło“ w nowym, tym razem iście mistrzowskim przekładzie dra. E. Porębowicza, docenta piśmiennictw romańskich na wszechnicy lwowskiej, z podobizną Dantego i wyczerpującym wstępem o poecie, jego życiu i dziełach, oraz literaturze dantowskiej. (Tomik oprawny pięknie, tylko 2 ruble). Zanim zaś dalsze części wyjdą w tym samym przekładzie, można poprzestać na przedruku przekładu Korsaka, którego cz. II. „Czyściec“ stanowi Nry 262 do 265 (48 ct.) *Biblioteki powszechnej*; porównanie

obu przekładów wywoła w czytelniku radosne uczucie, bo przekona go, jak postąpiła wersyfikacya i forma poetyczna u nas w ciągu wieku bieżącego.

Lubownikom poezyi Göthego zwracamy uwagę na wydane również w złoczowskiem wydawnictwie dwa jego utwory (nry 254 i 266): „Egmonta“ w przekładzie A. Ujejskiego i „Pandorę“ w tłumaczeniu L. Jenikego, który dał nam już „Fausta“ i wiele innych spolszczeń wielkiego poety niemieckiego. Z przekładów najmłodszych poetów niemieckich wypada zanotować „Hanusię“ i „Dzwon zatopiony“, dwie przepiękne baśnie dramatyczne Hauptmana, przełożone przez najlepsze nasze siły poetyckie chwili obecnej: M. Konopnicką i J. Kasprowicza, a wydane w Warszawie. Te same osoby dały nam też dwa przekłady (Konopnicka do spółki z W. Zagórskim) słynnej francuskiej komedyi E. Rostanda „Cyrano de Bergerac“, z których jeden wyszedł w Warszawie, drugi we Lwowie; szczytna poezya tego utworu, porywająca widza na przedstawieniu, wywiera niemniejsze wrażenie przy czytaniu i obudza idealniejsze porywy, uśpione niestety do niedawna pod wpływem płaskiej literatury t. zw realistycznej. *F. K.*

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Kolorowane fotografie. Z każdym rokiem rośnie szczupłe dawniej grono fotografów-amatorów. Może więc który z naszych czytelników zechce spróbować sposobu kolorowania fotografii, jaki podajemy. Fotografie można malować z wierzchniej strony, albo podmalowywać na odwrotnej stronie; mamy właśnie na myśli ten drugi sposób, jako łatwiejszy i efektowniejszy.

Fotografia musi być wykonana na papierze *albuminowym* i nie przylepiona na kartonie; gdybyśmy posiadali fotografię już przylepioną, trzeba ją za pomocą wody odkleić. Postarawszy się o szkło wypukłe tak duże jak fotografia, oczyszcza się je z obu stron należycie miękką skórką irchową. Następnie powleka się wklęsłą powierzchnię szkła cienką warstwą kleju Wünsche'go, zwanego *Norin*, który rozcieńcza się wodą aby stał się podobnym do kleju wyrabianego z krochmalu; należy uważać, aby w nim nie było pęcherzyków powietrza i żeby *cała* wklęsła powierzchnia szkła była powleczona jednostajną warstwą kleju. Fotografię dobrze zmoczoną przykłada się potem na klej, obrazem do szkła, przykrywa papierem pergaminowym, a potem ostrożnie przyciska łopatką drewnianą. Przyciskanie rozpoczyna się od środka, posuwając łopatkę powoli i stopniowo ku brzegom szkła. Czyni się to w celu zupełnego usunięcia powietrza z kleju, co jest rzeczą bardzo ważną. Przez wytłaczanie występuje klej na brzegi szkła, które oczyszcza się dobrą bibułą, po czem ociera się jeszcze fotografię wilgotną gąbką i odstawia na bok do wyschnięcia, aby nie było widać ani kropli wody. Oczyściwszy szkło delikatnie papierem szklistym z resztek kleju, nalewa się na wyschniętą fotografię oleju, używanego do transparentów, tak, aby wypełnił wklęsłość szkła aż po brzegi i żeby nigdzie białej plamki nie było widać na papierze. Gdy już fotografia dobrze nasiąknie olejem tak, iż stanie się jednostajnie przeźroczystą, zlewa się resztę oleju i wysusza fotografię bibułą. Po przerwie półgodzinnej, gdy powierzchnia wklęsła wyschnie, można przystąpić do malowania na niej olejnemi farbami. Najlepiej zacząć od oczu, potem maluje się usta i włosy, następnie, gdy to wyschnie, twarz, ręce, suknie, mieszając odpowiednio kolory na palecie lub kawałku szkła. W końcu przykłada się płaski karton lub płaskie szkło, oblepiwszy brzegi papierowym paskiem, aby proch nie dostał się do wnętrza

---

Rozwiązanie zadania w poprzednim numerze.

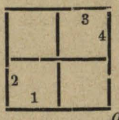

Ułożywszy 4 kwadraty można odjąć patyczki oznaczone liczbami 1 do 4 i z nich ułożyć trzeci kwadrat koło *a* punktu *a*.

Rozwiązania nadesłali: A. K. C. w Stanisławowie, Bednarowski Adolf w Brzeżanach, Brzozowski Jan w Sanoku, Gwizdała Zygmunt w Krakowie, Kobierzycki Ludwik we Lwowie, Kwiatek Edward w Rzeszowie, Loewel Miecz. w Brodach, Machalski Karol we Lwowie, Maryniarczyk Roman w Jaśle, Podobiński Wład. w Podgórzu, Pszczółka (pseud.) w Tarnowie, Rose Henryk w Jarosławiu, Smolka Wł. w Krakowie, Sośnicki Kazimierz i Stromenger Jan we Lwowie, Wizimirski Adolf w Jarosławiu i Zawirski Zygmunt we Lwowie.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 11. Kogo oznaczają w literaturze naszej nazwy „ostatni klassyk“ i „pierwszy romantyk“?

Nr. 12. Gdzie leżą w Europie góry Marsowe?

Nr. 13. Co to są salsy?

Nr. 14. Dlaczego podczas mgły wydają się nam wszystkie przedmioty większymi, niż w czasie pogody?

Nr. 15. Koszta przewozu towaru wynoszą $7^1/_2\%$ ceny towaru, zysk spodziewany 16%, a rabat dla odsprzedających $12^1/_2\%$. O ile % należy podnieść cenę, aby koszta, rabat i zysk były tem pokryte?

Odpowiedzi należy nadsyłać najpóźniej do 20. marca b. r., stosując się do wskazówek, podanych w poprzednim numerze „Przyjaciela“.

Nagroda: Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski.“

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 6 - 10.

Nr. 6 „Poetą barokowym“ nazwano Andrzeja Morsztyna. Pierwszy uczynił to Dr. E. Porębowicz w rozprawie „A M, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej“. (Rozprawy Wydz. filol. Akademii Umiej. w Krakowie, 1893, tom XXI.)

Nr. 7. Mieszkańcy strefy umiarkowanej południowej, t. j. pasa ziemi, zawartego między zwrotnikiem Koziorożca, a południowem kołem biegunowem.

Nr. 8. Karol Gustaw wstąpił na tron szwedzki jako krewny Wazów po kądzieli (matka Katarzyna, przyrodnia siostra Gustawa Adolfa); po mieczu zaś pochodził z rodu książąt Dwumostów (Pfalz-Zweibrücken, bi-pons).

Nr. 9. Żółw żyje tylko jeden: gwizdek albo sąsiecznik, zwany żółwiem błotnym a na Rusi czerepachą (Emys europaea). Jaszczurki: J. zwinka (Lacerta agilis), j. zielonka (L. viridis) na Podolu, zwłaszcza nad Dniestrem, j szafranka (L. crocea) po lasach i padalec (Anguis fragilis). Węże niejadowite: zaskroniec (Tropidonotus natrix), pławiacz (T. tesselatus vel hydrus) w południ.-wsch. Galicyi, zwłaszcza nad Dniestrem, gniewosz (Coronella laevis) i gryźliwiec (Coluber viridiflavus). Jadowitym wężem jest tylko żmija (Pelias berus) w różnych odmianach co do ubarwienia (Na wystawie przyrodniczo-lekarskiej we Lwowie w r. 1883 przedstawił prof. L. Wajgiel aż 9 odmian, które obecnie są w muzeum hr. Dzieduszyckiego przy ul. Teatralnej).

Nr. 10. To zależy od gatunku szkła: cięż. gatunk. szkła zawierającego tylko alkalia wynosi 2·4, szkła ołowianego 3 — 3·8, a thalliumowego nawet 5·62.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. lutego: A. K. C. w Stanisławowie (na zagad. Nr. 8.), A. Z. i Balicki A. w Krakowie (6, 8, 10.), Bednarowski Adolf w Brzeżanach (6), Biegelmeyer Alfred w Samborze (8), Brzozowski Jan w Sanoku (8, 10), Chwistek Leon w Krakowie (9), Chrzanowski Antoni (9), Czarnecki B. (8, 9, 10), Deschamps Emil (8), Dubieński Aleksander (6, 8, 9, 10), Gieruszyński Feliks (8, 10), Götz Maryan (10) i Groblewski Edmund (8, 9, 10) we Lwowie, Gwizdała Zygmunt w Krakowie (6, 8, 10), Jayko Jan w Bochni (6, 10), Kaniowski Tadeusz w Jaśle (8). Kobierzycki Ludwik (8, 10), Laszczower Ludwik (10), Machalski Karol (6, 8, 10) i Mann Józef (8, 9, 10) we Lwowie, Maryniarczyk Roman w Jaśle (8, 9. 10). Michalewicz Norbert we Lwowie (8, 9), Podobiński Wł. w Podgórzu (6, 10), Pochmarski Bol. we Lwowie (8), Posacki Stefan w Stanisławowie (8, 9), Pszczółka (pseud.) w Tarnowie (6. 8, 9, 10), Reinhold Józef w Stanisławowie (10), Schreiter Wilhelm we Lwowie (8, 9), Sidor Michał w Krośnie (9), Smolka Władysław w Krakowie (6, 8, 9, 10), Sośnicki Kaz. we Lwowie (8), Stasiaczek Jan w Samborze (7, 10), Stögbauer Adam (6, 8, 9, 10) i Stromenger Jan (7) we Lwowie, Traunfellner Piotr w Samborze (10), Tyski Feliks we Lwowie (7), Urbański Tadeusz w Stanisławowie (8, 9), Wąsowicz Jerzy (8, 9, 10) i Witoszyński Roman (8, 10) we Lwowie, Wizimirski Adolf w Jarosławiu (7, 10), Zaczek Kazimierz w Krakowie (6, 8, 9), Zawirski Zygmunt we Lwowie (8), Zieliński Marcin w Samborze (10).

Nagrodę (Sienkiewicza „Potop“) otrzymał przez losowanie: Czarnecki Bron. we Lwowie.

Kwadrat magiczny.

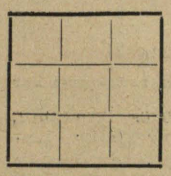

W każdy z dziewięciu małych kwadratów wpisać po jednej z cyfr od 1 do 9, tak, aby suma trzech cyfr we wszystkich kierunkach (w poziomym, pionowym i w kierunku obu przekątni) wynosiła zawsze 15.

Rozwiązania należy przysyłać do 20. marca br.

Rozwiązanie zagadnienia liczbowego w 2. num.

Lenartowicz
elwira
narenta.
antenor.
rewolwer.
tortownica.
orzeczenie.
walet.
iwonicz.
cerowanie.
zenon.

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. lutego: A. K. C. w Stanisławowie, Adolf Bednarowski w Brzeżanach, Jan Brzozowski w Sanoku, Antoni Chrzanowski we Lwowie, Leon Chwistek w Krakowie, Czarnecki Bronisław, Deschamps Emil i Dubieński Aleksander we Lwowie, Fiderkiewicz Stanisław w Krośnie, Gieruszyński Feliks, Götz Maryan i Groblewski Edmund we Lwowie, Gross Anzelm w Tarnopolu, Gwizdała Zygmunt w Krakowie, Hrabar Stefan w Tarnopolu, Jayko Jan w Bochni, Kaniowski Tadeusz w Jaśle, Kobierzycki Ludwik we Lwowie, Loewel Mieczysław w Brodach, Machalski Karol, Mackiewicz Adam i Mann Józef we Lwowie, Maryniarczyk Roman w Jaśle, Michalewicz Norbert we Lwowie, Mondalski Wiktor w N. Sączu, Oszacki Antoni w Krakowie, Pochmarski Bolesław we Lwowie, Podobiński Wł. w Podgórzu, Posacki Stefan w Stanisławowie, Pszczółka (pseud.) w Tarnowie, Reinhold Józef w Stanisławowie, Rose Henryk w Jarosławiu, Schreiter Wilhelm we Lwowie, Smolka Wład. i Sobolewski Juliusz w Krakowie, Sośnicki Kazimierz we Lwowie, Stasiaczek Jan w Samborze, Stögbauer Adam i Stromenger Jan we Lwowie, Traunfellner Piotr w Samborze, Tyski Feliks we Lwowie, Urbański Tadeusz w Stanisławowie, Wąsowicz Jerzy i Witoszyński Roman we Lwowie, Wizimirski Adolf w Jarosławiu, Wojewoda K. w Samborze, Zaczek Kaz. w Krakowie, Zawirski Zygm. we Lwowie, Zieliński Marcin w Samborze.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

B. S. w Jaśle. Podajemy odpowiedź pod żądanymi inicyałami (nie „anonimem“). Należy dbać o poprawność języka więcej, niż to wolno wnosić z listu. W sprawach księgarskich najlepiej zwrócić się do księgarni L. Zwolińskiego lub księgarni „Spółki wydawniczej“ w Krakowie; najzupełniejsze wydanie dzieł Mickiewicza jest 4 tomowe lwowskie Gubrynowicza z roku 1898, ale jest drogie, bo kosztuje 7 zł. 20 ct. Szasteckiego „Gramatyka czeska“ (1884) — 1 zł. 60 ct.

Alfred B. w Samborze. List odczytaliśmy z przyjemnością, bo widać w nim szczerą życzliwość dla pisma naszego. Godzimy się na zdanie, że „wszyscy powinni to pismo prenumerować“, ale jeszcze daleko do tego ideału. — Ponieważ Sienkiewicz pierwszą pracę swoją drukował w r. 1872, przeto obchodził w r. 1897. jubileusz 25-letni swej działalności literackiej. — Niektóre książki niemieckie są istotnie bajecznie tanie, gdyż mają ogromny odbyt i rozchodzą się po całym świecie, podczas gdy n. p. książki w Galicyi wydane nie mogą czasem przejść granicy rosyjskiej. Ale w ostatnich czasach i nasze wydawnictwa bardzo potaniały.

A. Dub. we Lwowie. Podanie o Dosi stuletniej znane i nam. Właśnie przeciw jego prawdziwości

rozprawa prof. Przyborowskiego była zwrócona; podanie to bowiem należy do rzędu t. zw. etymologicznych (słoworodowych), które polegają na mylnym słoworodzie. *Dosiego* pojęto jako jeden wyraz, mianowicie dopełniacz przymiotnika, utworzonego z imienia zdrobniałego: *Dosia* t. j. Dorota, gdy tymczasem forma ta musiałaby brzmieć *Dosin ego* (porówn. Zosin kapelusz) a do siego nie jest jednym wyrazem, jak przekonująco prof. Leciejewski wywiódł.

Anhelli. Językoznawcy ustanowili trzy grupy narzeczy w języku germańskim, które rozwinęły się z czasem w odmienne języki piśmiennicze, a mianowicie: 1) grupę zachodnią, do której należą język angielski, fryzyjski, dolnoniemiecki i górnoniemiecki (ostatniego uczymy się w szkole), 2) północną, t. z. języki norwegski, islandzki, szwedzki i duński, 3) wandylską, która obejmowała narzecza szczepów burgundzkich, gockich itp., a z której jedynie gocki język zachował się w pokaźnych resztkach w zabytkach piśmiennych. Narzecza każdej grupy są sobie wzajem bardziej pokrewne, niż całe grupy. Po szczegóły odsyłamy do t. XV. „Wielkiej encyklopedyi powszechnej ilustrowanej“ (w Warszawie 1895), gdzie na str. 35 do 45. podano dzieje Danii i gramatyczkę duńską. Ten zeszyt można też osobno nabyć. — O drugiem proszę nie marzyć nawet; każdy język nastręcza trudności, nietylko grecki ale i duński.

A. Z. Chcąc dać odpowiedź, musielibyśmy wiedzieć: do której klasy uczęszcza Sz. Prenumerator, w jakim stopniu włada językiem niemieckim (lub jaką notę postępu miewał) wreszcie, co mniej więcej dotąd czytał.

Beski z Janicy. „Tygodnik illustrowany“ jest najlepszem pismem polskiem w tym rodzaju i ma za sobą tradycyę 40 letniego istnienia.

Edmund Janusz. Łamigłówkę umieścimy, ale nie tak prędko, bo mamy zapas obfity.

Ejchenor. Proszeni o ocenę nadesłanych wierszy, musimy otwarcie wyznać, że uważamy je za słabe jeszcze próby wierszowania. Nad formą należałoby popracować, studyując dobre wzory; w treści nie widzimy motywów świeżych. Podoba nam się tylko zacna dążność tych wierszy, ale to nie wystarcza w dziedzinie poezyi.

Józef M. w Drohobyczu. Słowa „takich więcej“ nie odnosiły się do wierszyka, ale do całego listu. Przysłane nam wiersze zwracamy. Bliższe szczegóły w liście.

K. O. B. we Lwowie. Należy przerobić dokładnie rozdział pierwszy dzieła prof. A. Leskiena „Handbuch der altbulgarischen (altkirchenslavischen) Sprache“ (wyd. 3. w Weimarze 1898), następnie odmianę imion i słów według prof. F. Miklosicha (czytaj Miklosycza) „Altslovenische Formenlehre in Paradigmen“ (w Wiedniu 1874, str. 1 — 56), wreszcie dodatek do rozdz. II. książki Leskiena o częściach mowy nieodmiennych i przystąpić do czytania tekstów z ewangelii, podanych w obu dziełach, przyczem można pomagać sobie przekładem polskim Now. Testamentu ks. J. Wujka; słownik, też Miklosicha, ma napis: „Lexicon palaeoslovenico-graeco-latinum“ (1862). — Nie posiadamy przekładu całkowitego ani Mahabharaty, ani Ramajany, co niepowinno dziwić wobec olbrzymich rozmiarów tych eposów (M. 200 000 wierszy, R. 48.000 w.). Mamy natomiast wyjątki n. p. o Nali, o Sawitri, w przekładach, które poznać możemy łatwo, zajrzawszy do „Obrazu literatury powszechnej“ dra P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego. Wprawdzie A. Lange wydał przed 2 laty po polsku skróconą Ramajanę Fauchera pod dziwacznym napisem „Valmiky (!), Ramajana“, ale tłumacz nie rozumie sanskrytu popełnia więc tyle błędów, że musimy przestrzedz przed czytaniem tej książki. — Prace literackie uczniów nie wchodzą w program „Przyjaciela“.

Przyjaciel „Przyjaciela“. „Kropka“ jest pseudonimem, którego jednak Redakcya nie może odkryć; tyle możemy powiedzieć, że jest to szczery przyjaciel młodzieży.

Responsum petens w Podgórzu. Co do „Kropki“ proszę porównać poprzednią odpowiedź. Cieszy nas, że „Pogadanki“ tak się podobają. — Żeby „Przyjaciel“ częściej wychodził, to jest i naszem gorącem życzeniem. Nie od nas to jednak zależy, ale *od liczby prenumeratorów.* Za dwutygodnik gotowi jesteśmy ustanowić nawet niższą stosunkowo kwotę przedpłaty.

Weles. Za zadania dziękujemy, ale „zagadkowego kamienia“ nie umieścimy ze względu na koszta illustrowania. Jest to zresztą najsłabsza z przysłanych rzeczy.

X'. Co do częstszego ukazywania się „Przyjaciela“ proszę porównać odpowiedź, daną powyżej.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: Szalona jazda, opowiadanie, przez *P. Ludwiga.* — Margier, kartka z dziejów twórczości Syrokomli, przez *T. Piniego.* (C. d.) — Z dziejów chemii, przez *Dra. W. Moraczewskiego.* — *J. Vrchlicky.* Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Juliusz Kossak, przez *A. Stefanowicza.* — Pogadanka przez *Kropkę.* — Co warto czytać i dlaczego? I. przez *F. K.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Kwadrat magiczny. — Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. kwietnia 1899. Nr. 4.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec.“ (*J. Słowacki*, Testament mój.)

W pięćdziesiątą rocznicę.

Dnia 5. kwietnia b. r. upływa pięćdziesiąt lat od chwili, kiedy skromny orszak pogrzebowy przesunąwszy się przez ludne ulice Paryża, stanął na cmentarzu Montmartre nad świeżo wykopaną mogiłą. Przy wtórze ponurego spiewu kapłana spuszczono czarną, lakierowaną trumnę do dołu cmentarnego i tylko grudki ziemi, rzucane ręką nielicznych uczestników żałobnego obchodu, świadczyły o istnieniu jakichś węzłów, które zmarłego łączyły ze światem, bo nie żegnały go ani mowy pogrzebowe, ani łkania lub jęki rozpaczy.

W ten sposób odbył się smutny akt oddania ziemi śmiertelnych szczątków jednego z największych poetów nietylko Polski, ale całego świata: Juliusza Słowackiego.

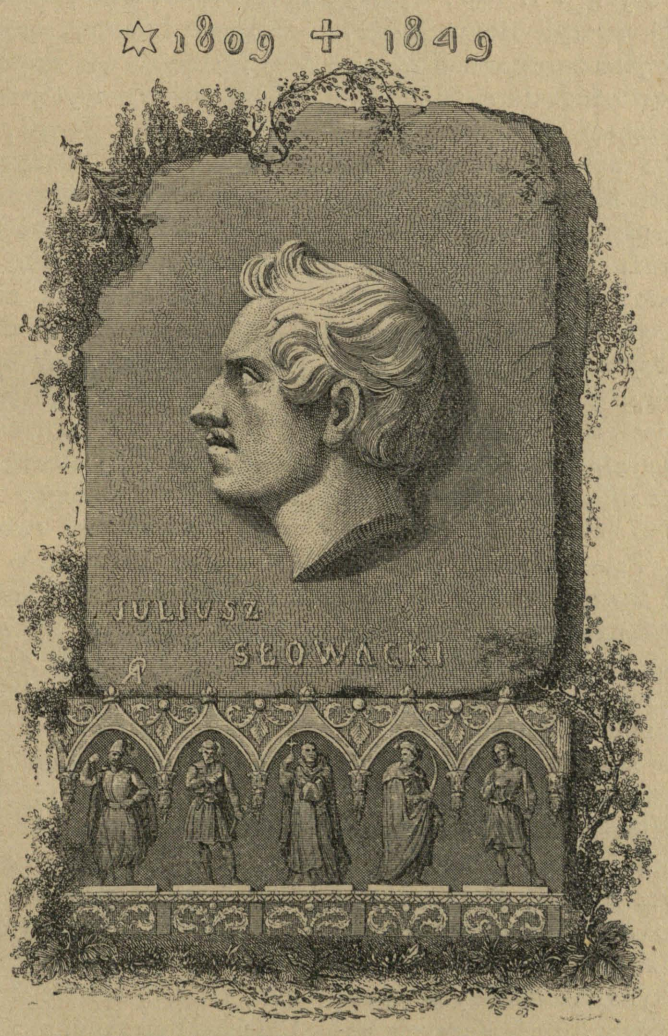

Medalion J. Słowackiego podług Wł. Oleszczyńskiego.

Pobieżny rzut oka na pełne zawodów i goryczy, a zupełnie pozbawione wszelkich jaśniejszych chwil życie autora „Anhellego“ i cześć, z jaką imię jego dzisiaj wymawiamy, przekonywa, że z całą dokładnością spełniło się na nim życzenie, jakie w dziecięcym jeszcze wieku zasyłał przed tron Boga, żeby mu zesłał życie choćby najbardziej ciężkie i nieszczęśliwe, a za to zapewnił mu wielką sławę po śmierci.

I rzeczywiście, już od wczesnej młodości Słowackiego składało się wszystko na to, żeby się ta przepowiednia, czy prośba, przynajmniej w pierwszej swej części ziściła. Wyobraźmy sobie młodzieńca, któremu kobiece wychowanie—bo ojciec, a następnie ojczym odumarli go młodym jeszcze chłopcem — odebrało wiele cech męzkich i uczyniło dziwnie wrażliwym na wszelkie przykrości, zmuszonego żyć zdala od rodziny, którą kochał całem sercem i do której tęsknił, rzuconego na niepewne fale tułaczego życia emigranta; człowieka, który koniecznie potrzebował jakiegoś

szczerze mu oddanego serca, gotowego zawsze wysłuchać z cierpliwością i wyrozumiałością jego skarg i żalów, który przez całe życie był osamotniony i niezrozumiany przez nikogo, oprócz własnej matki; człowieka, obdarzonego olbrzymiemi zdolnościami, ale nauczonego od dzieciństwa myśleć o nich wiele, aż za wiele i czującego wieczny żal do społeczeństwa za to, że się na nich nie poznało — wyobraźmy sobie takiego człowieka i starajmy się zrozumieć jego uczucia, a będziemy mieli w przybliżeniu obraz tych, jakich w ciągu życia doświadczał Słowacki.

To uczucie żalu, jakiem autora „Balladyny“ napełniało zimne przyjęcie jego utworów przez emigracyę polską, było sztuczne, ale tylko w części. Kiedy w Paryżu w r. 1832. wyszły dwa pierwsze tomiki poezyi Słowackiego, cały naród zajęty był jeszcze straszną tragedyą, jaka rok przedtem odegrała się nad Wisłą i nie mniej tragicznem pytaniem o swej przyszłości, cóż więc dziwnego, że przyjął obojętnie utwory, które błyszczały wprawdzie wszelkiemi zaletami niepospolitego talentu, ale z położeniem narodu nie miały żadnego związku? Gdyby Słowacki rozpoczął był swą działalność literacką od wydania „Kordyana“ lub „Anhellego“, byłby od razu pozyskał to, o czem marzył: wziętość i sławę; zacząwszy ją „Arabem“ i „Mindowem“ nie mógł nawiązać nici sympatyi pomiędzy sobą, a pogrążonem w bolesnych dumaniach społeczeństwem, później zaś stało się to już o wiele trudniejszem do osiągnięcia. Żale i docinki, któremi zaprawiał często swe utwory, zraziły do tego stopnia przebywających na obczyźnie rodaków, że nawet najlepsze jego pisma witano już odtąd surową krytyką lub stokroć gorszem od wszelkiej krytyki — milczeniem.

Ale te wszystkie słuszne czy niesłuszne powody, które współczesnym kazały tak surowo oceniać działalność literacką Słowackiego, dla nas już nie istnieją, odkąd garść obcej ziemi przykryła zwłoki nieszczęsnego tułacza wraz z jego słabostkami i ułomnościami, od których żaden człowiek nie jest wolny. My jesteśmy tylko szczęśliwymi spadkobiercami jego spuścizny, tych licznych bogactw myśli i formy, w które tak obfitują jego dzieła. Należą one do najdroższych skarbów naszego narodu, zmuszonego do pędzenia życia tylko duchowego i czerpiącego swe siły żywotne z tej niedostępnej dla naszych ciemięzców skarbnicy, którą wieszcze nasi zapełnili swemi dziełami.

Na dziełach Słowackiego znać bardzo wyraźnie ten gorączkowy niepokój, który go przez całe życie nie opuszczał; i to jest właśnie przyczyną, że chociaż wiele z jego utworów jest znakomitych, żaden nie jest zupełnie doskonały. Brakło mu zawsze czasu, spokoju i chęci na to, aby pomysł, który mu się nasunął, dokładnie rozważyć i obmyśleć i aby utwór już napisany starannie przejrzeć i poprawić. Wielki Goethe pracował nad wieloma swemi dziełami przez kilka lub kilkanaście lat — Słowacki tworzył najobszerniejsze swe dramaty w ciągu kilkunastu dni a najwyżej miesiąca. Wskutek tego jedna z największych zalet jego talentu, nadzwyczajna lotność fantazyi, stawała się często raczej wadą niż zaletą, bo nowe pomysły nasuwały się tak szybko, że wypierały dawne, mąciły jednostajność utworu i psuły kompozycyę. To też pośród ogromnej liczby utworów Słowackiego znajdują się zaledwie dwa lub trzy takie, których kompozycyi nic zarzucić nie można.

Ale pomimo to niepodobna żałować, że Słowacki tak często ulegał kaprysom niepohamowanej fantazyi, bo ona właśnie nadaje najwięcej uroku jego poezyom. Jest coś niepojętego w tej zdolności łączenia najrozmaitszych faktów i szczegółów, pozornie nic nie mających wspólnego, nieraz prawie sprzecznych, a przecież tworzących tak czarowne obrazy, na jakie nikt w całej naszej literaturze, nie wyłączając Mickiewicza, nie potrafiłby się zdobyć. Nikt też w całej literaturze powszechnej, z wyjątkiem jednego może Shelleya, nie byłby zdolny napisać takiej n. p. tyrady Skierki w „Balladynie“ lub wyznania wiary w piątej pieśni „Beniowskiego“.

Rzecz dziwna i trudna do zrozumienia, że człowiek obdarzony tak olbrzymią wyobraźnią i tworzący z taką łatwością nowe obrazy, zapożyczał się bardzo często u innych w pomysły. A tak było rzeczywiście: Byron, Shakespeare, Shelley, Dante, Calderon, Alfieri, Balzac, Mickiewicz, Malczewski a nawet Chodźko byli tymi, z których pełną dłonią czerpał treść do swych powieści poetycznych lub dramatów. Było coś prawie chorobliwego w tem zapożyczaniu się u drugich wtedy, kiedy własna wyobraźnia mogła dostarczyć

pomysłów nieraz lepszych, a przedewszystkiem oryginalnych, własnych. Ale też Słowacki nie umiał sobie nigdy zdać sprawy z tego, co było jego własnością, a co zaczerpnął z dzieł obcych, lecz wszystko to, co mu się na myśl nasunęło, uważał za swój wyłącznie, zupełnie oryginalny pomysł. Taka już była natura jego umysłu.

To, co jest może najznakomitszem w utworach autora „Anhellego“, to jego język, styl. Krasiński pisał swojego czasu, że czytając utwory Słowackiego, doznaje się wrażenia, iż to nie poeta szuka odpowiedniego wyrażenia, ale że wyrazy same biegną do niego, układają się pokornie i proszą, aby nimi rozporządzał. Zapewne nie każdemu przyjdzie na myśl taki sposób określenia stylu Słowackiego, ale każdy musi go podziwiać, musi się poddać jego urokowi i przyznać, że jest to szczyt najwyższy rozwoju naszego języka, że nikt ani przedtem, ani potem nie władał nim z taką bezgraniczną pewnością, i takim artyzmem, jak Słowacki.

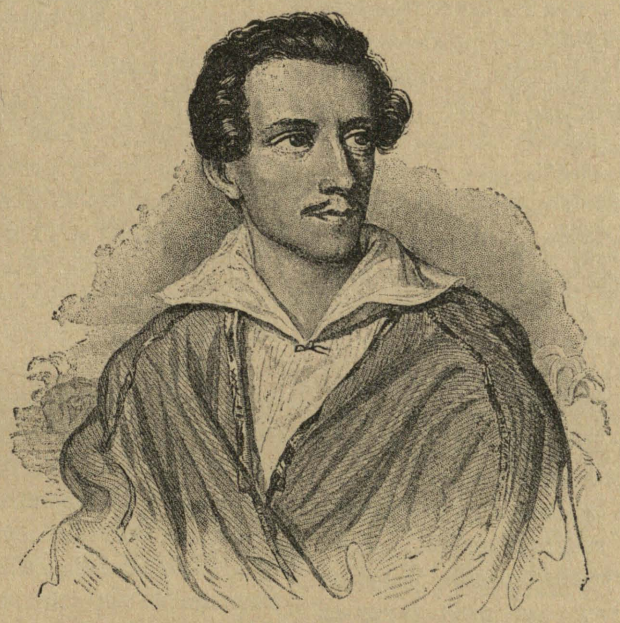

J. Kurowski: J. Słowacki w r. 1841.

Ale to wszystko, o czem dotychczas mówiliśmy, to tylko zewnętrzne, a zatem mniej ważne, cechy genialnych zdolności tego poety i nie na nich opiera się jego sława — trzeba więc odchylić tę prześliczną mozaikę słów, stanowiącą jakby szatę jego poezyi, i zajrzeć głębiej, do ich treści. Z powodu olbrzymiej ilości i rozmaitości utworów Słowackiego [1]) będziemy się naturalnie musieli ograniczyć na cechy najwybitniejsze tylko ia najbardziej charakterystyczne.

Na pierwsze miejsce wysuwa się tu uczucie, dominujące w całej jego poezyi: miłość Ojczyzny. Ale patryotyzm Słowackiego ma swoje cechy oryginalne i odrębne, których napróżnobyśmy szukali u innych poetów z wielkiego okresu naszej literatury. Mickiewicz obejmował swem potężnem uczuciem „cały naród, wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia“ bez różnicy i bez wyjątku; za nim szedł Krasiński, widzący w naszej przeszłości tylko szlachtę a przyszłość Ojczyzny tylko w „zszlachceniu całego narodu“. Słowacki stoi na zupełnie innem stanowisku; i on kocha cały naród, ale o tyle tyko, o ile on jest tej miłości godny, bo potęga uczucia nie zaślepia go do tego stopnia, żeby wszystko widział tylko w różowem świetle: owszem, on widzi jasno, że w jego narodzie było i jest bardzo wiele złego i że droga do odrodzenia prowadzi przedewszystkiem przez usunięcie tych wad i braków i przez moralne podniesienie się społeczeństwa. Więc też nie przyrównywał cierpień tej Ojczyzny do męki Chrystusowej, nie nazywał ich „ofiarą niewinnego baranka“, ale szczerze i otwarcie modlił się:

„We łzach nasze ręce podnosimy do Ciebie,
Panie, odpuść nam winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyń Twoje czyny!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla wad naszych i zmazy“.

[1]) Nie mamy jeszcze, niestety, zupełnego wydania pism Słowackiego. Najobszerniejsze i najstaranniejsze jest wydanie „Księgarni Polskiej“ we Lwowie w 6 tomach (z objaśnieniami etc.); nakładem tejże firmy wyszły obecnie „Listy“ Słowackiego we wzorowem wydaniu, sporządzonem według autografów przez L. Meyeta. Nadto wyszły: „Pisma pośmiertne“ w 3 tomach, wydane przez A. Małeckiego, 1 tom prozy przez Dra Biegeleisena, i 1 tom poezyi przez Richtera. Wszystko to jednak nie obejmuje całej spuścizny literackiej po wielkim poecie, mnóstwo bowiem urywków leży jeszcze w rękopisach (najwięcej w Bibl. Ossolińskich), inne zaś rozrzucone są po najrozmaitszych czasopismach lub wydane w drobnych broszurkach. (*P. A.*)

Tych „wad“ zaś najwięcej widział w szlachcie. Napróżno szukał w niej wielkich przymiotów, któreby mogły usprawiedliwić jej wyjątkowe stanowisko w narodzie, więc wołał z goryczą:

„Żeby też jedna pierś była zrobiona
„Nie według miary krawca, lecz Fidyasza!
„Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona!

Napróżno szukał podobieństwa pomiędzy tymi, którzy go otaczali na emigracyi, a ich wielkimi przodkami, co życie swe nieśli chętnie w ofierze dla świętego hasła „wiara i Ojczyzna“ — zdaje mu się więc, że ci skarłowaciali potomkowie bohaterów nie warci są nawet ich nazwiska:

Kiedyś ze sto was tysięcy
Było szlachty z serc i z lica,
Dziś jednegom znał szlachcica,
I kraj cały nie znał więcej.
Jeden tylko serca męką,
Zamiarami, choć nie skutkiem,
Wielkim, cichym, dumnym smutkiem,
Pełną zawsze darów ręką,
Smętną jakąś nieszczęść sławą
Był szlachcicem i miał prawo.
Dziś i ten nie został z wami
I korony swej nie trzyma:
Poszedł gnić między królami,
Już go nie ma — i was nie ma!

Tak więc z całego pogrobowego pokolenia Polski jeden tylko Kościuszko zasługiwał na tytuł szlachcica w tem znaczeniu, w jakiem go pojmuje Słowacki, reszta straciła prawo do niego, stała się czynnikiem nie postępu, ale zastoju, na pierwszy zaś plan wysuwa się zaniedbywany dotychczas — lud. Ten lud wydaje się Słowackiemu jedyną dźwignią ratunku, na nim buduje wszystkie nadzieje odrodzenia Ojczyzny; pojmuje go, jak szlachtę, idealnie i wzniośle.

.... czyn ludu, nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
To nie ród imieniem świetny....
Ale twardo, ale jasno,
Wśród narodu swego stać,
Myślą bić, chorągwie rwać,
Świecić czynu tarczą własną!

Ażeby dojść do tego ideału, każe „nieść przed narodem oświaty kaganiec“, podnosić moralnie wszystkie jego warstwy, aż ze zwykłych „zjadaczy chleba“ staną się czystymi i dobrymi, jak aniołowie — a wtedy urzeczywistni się to serdeczne marzenie nasze:

Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność, niby anioł w człowieka,
I staniem ludem świata!

Takie są w najogólniejszych zarysach zapatrywania społeczne Słowackiego, taki jest jego ideał i takie drogi, któremi do urzeczywistnienia tego ideału kazał swemu narodowi dążyć. Program to tak piękny, tak wzniosły, a środki takie proste i pewne, że nie potrzebujemy do nich nic dodawać, nic w nich zmieniać; idźmy tylko tą drogą, wskazaną nam przez wielkiego poetę, śmiało i wytrwale a — dojdziemy do celu!

Tadeusz Pini.

Wielkanoc.

Obliczanie dnia tej uroczystości, ustanowionej przez Apostołów na pamiątkę zmartwychwstania Pana Jezusa i bardzo uroczyście obchodzonej przez pierwszych chrześcian, już w początkach istnienia Kościoła było rozmaite. Na Wschodzie obchodzono ją razem z Żydami t. j. 14. Nisan (marzec), w tym dniu tygodnia, który przypadał 14; na Zachodzie zaś zawsze w niedzielę, jako w dniu zmartwychwstania Chrystusa Pana. Dopiero pierwszy sobór powszechny w Nicei (325 r.) pragnąc zaprowadzić zgodę w tej sprawie, polecił oznaczenie dnia Wielkanocy uczonym aleksandryjskim [1]). Uczeni astronomowie uchwalili: 1) Święto Wielkanocy należy obchodzić w niedzielę po pełni księżyca, przypadającej po wiosennem zrównaniu dnia z nocą (21. marca). Jeżeliby pełnia wypadła w niedzielę, obchodzi się Wielkanoc w następną niedzielę. — 2) Gdyby chrześcijańska Wielkanoc zeszła się z żydowską Paschą, przenosi się ją na następną niedzielę.

Według tych reguł obliczano Wielkanoc do r. 1582. w całym chrześcijańskim świecie. Ponieważ kościół wschodni nie przyjął reformy kalendarza, którą wprowadził w r. 1582. papież Grzegorz XIII., lecz pozostał przy starym kalendarzu juliańskim, tak, iż różnica wynosiła wówczas 10 dni (obecnie jest 12 dni, a w XX. stuleciu będzie 13 dni) — przeto wynikła stąd między Kościołem wschodnim a zachodnim różnica w oznaczaniu dnia Wielkanocy.

---

[1]) Według pisma papieża Leona I. do cesarza Marcyana.

Wielkanoc podług kalendarza juliańskiego (starego) może w stosunku do Wielkanocy podług gregoryańskiego kalendarza przypadać w czterech różnych terminach. A mianowicie [1]):

a) Razem z Wielkanocą kalendarza gregoryańskiego (nowego), jeżeli pełnia wiosenna przypadnie po 21. marca zarówno według jednego jak i drugiego kalendarza.

b) O 4 tygodnie później, jeżeli pełnia według kalendarza juliańskiego wypadnie jeszcze przed 21. marca, bo wówczas należy ta pełnia jeszcze do zimy. Np. w tym roku wypada pełnia 27. marca według nowego kalendarza, czyli 15. marca podług starego. Dla obrządku łacińskiego jest ona wiosenną pełnią i dlatego łacinnicy obchodzą Wielkanoc w najbliższą niedzielę t. j. 2. kwietnia. W obrządku greckim uważa się ta pełnia jeszcze za zimową, bo wypada przed 21. marca (według starego kalendarza) i dopiero następna pełnia, 25. kwietnia, jest pierwszą po wiosennem zrównaniu dnia z nocą: dlatego też ruska Wielkanoc będzie w pierwszą niedzielę po 25. kwietnia, czyli 30. kwietnia.

Te obie różnice są wynikiem używania odmiennego kalendarza.

c) O tydzień później lub *d*) O pięć tygodni później. Te dwie różnice terminu stąd wynikły, że rozmaicie tłómaczono sobie drugą uchwałę uczonych aleksandryjskich: gdy bowiem na Zachodzie posuwano Wielkanoc o tydzień tylko wtedy, gdy święto żydowskie przypadło na Niedzielę wielkanocną, to na Wschodzie czynią to nawet wtedy, gdy ono wypada na wielki Czwartek, Piątek lub Sobotę. Stąd zatem różnica o tydzień. A o pięć tygodni? To tłumaczy się urządzeniem kalendarza żydowskiego. Mają oni lata zwyczajne o 12 miesiącach księżycowych i przestępne o 13 miesiącach. W przestępnym roku są dwa marce i wtedy święto Paschy obchodzi się podczas pełni drugiego marca, czyli w kwietniu podług gregoryańskiego kalendarza. Jeżeli zatem wtedy zejdą się ruskie święta z żydowskiemi, posuwają się ruskie święta o tydzień: stąd różnica nie o 4, jak w punkcie *b*), ale o 5 tygodni [2]).

Uwzględniając niedogodności wynikłe z odmiennych sposobów obliczania, niedogodności tak pod względem religijno-obyczajowym jakoteż ekonomicznym, oświadczają się w ostatnich czasach poważne sfery za ujednostajnieniem kalendarza świąt ruchomych [3]).

W r. 1894. tajny radca profesor Foerster, dyrektor obserwatoryum astronomicznego w Berlinie, przemawiał w tej sprawie na zgromadzeniu „British Association“ a w następnym roku rozesłał pismo poufne do uczonych i kół interesowanych, proponując, aby Wielkanoc wyznaczyć na trzecią niedzielę po wiosennem zrównaniu dnia z nocą, obliczonem astronomicznie według południka jerozolimskiego. W r. 1896 miał o tem odczyt w sali „Union française“ w Konstantynopolu zaproszony przez stowarzyszenie Greków katolików „Sympnoia“ (Zgoda), jeden z najlepszych znawców kwestyi wiekanocnej, O. Cezar Tondini, reprezentant akademii bolońskiej: sądził, że najstósowniej byłoby z rokiem 1900 rozpocząć wprowadzenie jednolitego kalendarza. Sądzono, że Kościół rossyjsko-prawosławny odrzuci myśl wszelkiej reformy na tem polu. Lecz oświadczyło się za nią nawet tak wpływowe pismo, jak „Nowoje Wremia“, a nawet „Cerkownija Wiedomosti“ umieściły artykuł, omawiający tę sprawę. *F. J.*

---

[1]) Jachimowicz, Abhandlung über die Regeln, nach welchen die Slawen des griechischen Ritus den Ostertag berechnen. Lemberg 1836.

[2]) Ks. Dąbrowski T. Skąd wynikły różnice w obchodzie Wielkanocy. Lwów 1896.

[3]) Gazeta kościelna 1897, str. 40.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

III.

Ora et labora.

Słońce stało w pełni krasy
Na błękitnem, czystem niebie,
Kiedy wreszcie wyszedł Prokop
Z groty, w której noc przeklęczał
W rozmyślaniu smutnem, nie śpiąc
W las szedł podziękować Bogu,
W las szedł także pracy szukać,

Bo reguła Benedykta [1])
Chce, by praca ręka w rękę
Szła z modlitwą, jak na kwiecie
Woń z pięknością barw ozdobnych.

O siekiery drzewce silne
Opierając się, w las wyszedł, —
Nią to wczoraj walił w kamień,
Który bronił wejścia groty —
Wyszedł, aby w ciemnym borze
Pień ściąć, któryby mu drzewa
Mógł dostarczyć potrzebnego
Do budowy chaty własnej.

Kroczył wązką skalną ścieżką,
Pełną dołów i wybojów,
Przez wczorajszą burzę zrytych.
Przykra to więc droga była,
Lecz witały go ze szczytu
Takie wonie, taka świeżość,
Taki chłód i szum i urok,
Że przyśpieszył rad swe kroki.
Szkliły się kamienie w słońcu,
Perły rosy pośród trawy
Lśniły się, jak krople deszczu,
Mech, co zwisał drzewom z brody,
Błyszczał już świeżością nową,
Kora brzóz jak płynne srebro
Skrzyła się w półcieniu buków,
Lilie polne tuż przy drodze
Kołysały się, kłaniały,
A z błękitnych dzwonków serca
Motyl, który noc w niem przespał,
Frunął, że aż mnich pomyślał,
Iż to jeden z pięciu listków
Ożył i pod błękit wzbił się.
Z głębi lasu, gdzie mrok osiadł,
Jakby jaki pająk szary,
Sieć snujący nieskończoną,
Cienie drzew się w dal ciągnęły,
Głos kukułki się odzywał,
Melodyjny a proroczy;
Drozd jej stroną odpowiadał,
Łącząc z skargą jej przeciągłą
Tajemnicze głosy lasu,
Wiatrów jęk i szelest liści,
Ostry skrzypot drzew gałęzi,
Brzęk schwytanej właśnie muchy,
Co po liściu suchym biegła:
Czasem zabrzmi wykrzyk silny,
Jakby ktoś niespostrzeżony
Westchnął ciężko z głębi duszy,
Albo jakby ktoś uderzył
Silną dłonią w struny arfy;
Po koronach drzew wiatr przemknął
I gdzieś znowu wpadł w gęstwinę.

Prokop wesół coraz wyżej
Kroczył po spadzistej ścieżce,
Czuł, jak wolność mu rozpiera
Piersi, jak mu z wonią lasu
Samotności duch całuje
Jego czoło pomarszczone.
Naprzód szedł i chwalił Boga,
Że go zawiódł z labiryntu
Ludzkich omdleń, walk i marzeń
W tę spokojną ciszę leśną.

Teraz stał na szczycie góry.
Przed nim okrąg nieprzejrzany
Barwne fale swe rozwinął.
Dokąd spojrzał, same lasy
To czerniały, to modrzały,
Lgnąc do nieba długą pręgą;
Z nich zaś, jak ofiara ranna,
Para się wznosiła srebrna.
Tu i ówdzie drzewo-olbrzym
Wyżej wzniósł swe dumne czoło,
Naznaczone dłutem gromu,
I rozpinał wszerz naokół
Swe gałęzie rosochate,
Jakby szukał swej rodziny.
W dole pod nim, tuż pod zboczem
Stromej, nagiej ściany skalnej,
Bystra się toczyła rzeka,
Na kamieniach się pieniła
I burzyła, skoro drogę
Pień jej zaległ wywrócony.
Roje ptactwa wirowały
W kręgach ponad czarnym borem;
Szelest drzew i skrzydeł ruchy,
Wody szum i ptactwa świegot, —
Tysiąc głosów się łączyło
W wir taneczny, aż zawrotny
Dla człowieka-marzyciela.

Ledwie Prokop się odważył
Swój zdziwiony wzrok odwrócić,
Wnet na zboczu nad przepaścią
Dąb wyszukał sobie tęgi,
Rozłożysty i wspaniały.
Podniósł rękę i zamachem
Cios chciał zadać mu w korzenie,
Gdy wzrok jego spoczął nagle
Na koronie: gniazd tam pełno
Obok siebie się skupiło,
Jakby były płodem drzewa,
A z tych gniazdek wyglądały
Doń złociste, nagie szyjki;
Nad gniazdami zaś bujały
Potrwożone matki skrzecząc,
Że szumiało aż w gałęziach,
Nito jękiem, nito płaczem

Dziwna trwoga zjęła wtedy
Mężne serce Prokopowe,
Cios siekiery chybił celu,
Dłoń wzniesiona w dół opadła:
Nie mógł... nie śmiał... nie chciał nawet —

[1]) Św. Benedykt z Nursyi (w Umbryi), założyciel zakonu, noszącego jego nazwę, * ok. 480, † w poł. V. w.; jego „Regula monachorum“ dzieli pracę zakonnika na umysłową i ręczną, kładąc nacisk na drugą. Św. Prokop był mnichem według reguły św. Benedykta.

Siadł pod drzewem zadumany;
Z głębi piersi głos nieznany
Wołał doń: „I jakiem prawem
Chcesz tu ścinać święte drzewa
Cudzoziemcze, jakiem prawem?“

Zdało mu się wtedy nagle,
Że kraj cały, jak go widzi,
Jest istotą jedną, wielką,
Kmieciem groźnym a czcigodnym.
Głowę jego gdzieś zakrywa
Błękit nieba, skały kośćmi
Są tęgiemi jego czaszki,
Góry — członki, wąsy, szatą
Nieskończone szumne lasy,
Przepasane lśniącym pasem —
Rzeką, która błyszczy w słońcu.
I ten starzec szedł ku niemu
Coraz bliżej, mówiąc groźnie
Szumem fali, szeptem liści,
Śpiewem ptaków, echem lasu:
„Czego chcesz tu, cudzoziemcze?
Po coś przyszedł z snu mię budzić,
Ścinać drzewa moje stare,
Z rąbków barwnych sukni mojej
Strącać mi ptaszęce gniazda,
Trwożyć sarny moje żółte,
Szukać drogi w lisów jamy,
Przystrzygiwać skrzydeł orłom,
Krokiem swoim płoszyć tany
Młodych wilków przy księżycu?
Wracaj, radzę-ć, skąd przyszedłeś,
Chcę spokoju, zapomnienia!“

I wciąż bliżej szedł ten starzec,
Otwierając swoje usta;
Prokop widział w nich tam światy,
Jak kołują, jak się roją,
Słyszał głos, by orkan głuchy,
Trzaskot drzew i skalisk, straszny
Wir zawrotny, jakby wszystko
Miało runąć w chaos dawny.
Chciał uciekać przed tem widmem,
Gdyż dłoń za nim wyciągało.
W tył się cofał aż na kraniec
Pochylonej, stromej skały —
Krzyknął jeno i już leciał,
Mrok go połknął w gardziel bez dna,
Tylko czuł i tuszył przepaść. —

Gdy sie ocknął, na mchu leżał.
Słońce zapadało w góry,
Pod nogami królik leśny
Skubał białą koniczynę,
Z gąszczy łanie spoglądały
Śmiało, jak niebieskie oko
Pełnych kwiatów na skroń jego
Piołun skłaniał i jak cicho
Po styranej ręce jego
Mknęła lśniąca boża krówka
Z rozpiętemi napół skrzydły,
Jakby chciała z dłoni jego
Wprost ku niebu wzlecieć w górę
Panu Bogu do okienka.
Prokop poczuł łzę w swem oku,
Ale w duszy poczuł radość;
Głos tajemny tak mu szeptał:
„Kto jest dobrym, ten z przyrodą
Zawsze żyje w dobrej zgodzie“.
Więc rozpoczął marsz powrotny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nestor u Homera.

Dzieła Homera, owego poety nieśmiertelnego „nieśmiertelnością prawdy“, nie tylko budziły męstwo wspomnieniem dawnych bohaterów, nie tylko wpływały na uczucia synów Grecyi, którzy na polach maratońskich i pod Salaminą walczyli, którzy legli pod Termopilami, lecz także wywierały ciągły wpływ na ukształcenie i oświatę, na literaturę i sztukę, słowem — na cały byt i rozwój Hellenów! Nie tylko Hellenów! Dawno minęła ich wielkość, dawno przyszedł dla nich „ciężki dzień niewoli“ (*δούλιον ἦμαρ*), a Homer, tym samym prawie opromieniony blaskiem, tak samo prawie podziwiany, jest niewyczerpanem źródłem sztuki i dobrego smaku.

Między zaletami Homera niepoślednie zajmuje miejsce sztuka przedstawienia charakterów ludzkich, które u niego mają naturalność i prawdę, rozmaitość i żywość, dokładność i trafność, ścisłość i jednozgodność; „eadem lineamenta servantur et ingeniorum et animorum“, jak mówi Wolf.

Główna poety zaleta polega w tem, że wzrok swój ma tylko na przedmiot skierowany; że zdarzenia, wypadki rozwija przed fantazyą czytelnika, nie dając mu uczuć sprawcy tych wspaniałych opisów i obrazów. Widzimy i podziwiamy dzieło, a nie widzimy jego autora.

Tę samą przedmiotowość, podziwianą w opisach i obrazach, znajdujemy także w przedstawieniu charakterów bogów i ludzi. Homer, po kilku zaledwie słowach przedmowy, wprowadza odrazu mężczyznę albo kobietę i każe im mówić i działać; a jeżeli czasem umieści od siebie uwagę o charakterze osoby działającej, to tak krótką i zwięzłą, iż się zdaje, jakoby się tego wystrzegał. Są to jakby śmiałe pociągi pędzla, które malarz wykonywa dla uzupełnienia i uwydatnienia swego obrazu, ale pociągi, bez których możnaby się obejść.

Do tych właśnie pędzla pociągów u Homera należy policzyć naprzód epiteta, zapomocą których poeta zaznacza w charakterze osoby właściwość uderzającą. W używaniu epitetów, etycznych zwłaszcza, jest dość skromny. Nestora nazywa sam poeta: *μεγάθυμος*, *ὑπέρθυμος*, albo dodaje mu rzeczowniki, przymiot oznaczające: *γέρων*, *γεραιός*, *κῦδος* albo *οἶρος Ἀχαιῶν* i t. p.

Tu także policzyć należy całe zdania, któremi Homer dla charakterystyki osoby jeszcze rzadziej się posługuje, niż przymiotnikami, a jeżeli się posługuje, to dla uwydatnienia tych właśnie wybitnych rysów charakteru, które epitami określił. O Nestorze np. mówi:

„. . . . . Nestor.
Ów słodkomowny podnosi się, dźwięczny pylijski [orator.
Temuto słodsza od miodu z języka spływała wymowa“[1]).

Skoro Homer jest tak oszczędny w używaniu epitetów i zdań dla charakteryzowania osób, jakimże więc sposobem, mimo tej przedmiotowości, tyle charakterów tak doskonale mu się udaje?

Dwie są zasadnicze cnoty u Homera: cnota energicznego działania i cnota roztropności, rozsądku. Pierwsza polega w czynach, druga pojawia się w mowach. To też Homer osobom, występującym na widownię, każe działać lub mówić, a czytelnik z czynów lub mów poznaje charaktery ich lepiej, niż gdyby je sam poeta opisał, jak to nieraz robią nowsi autorowie. Z tych dwóch środków, służących do przedstawienia psychologicznych rysów, dzielniejszy jest środek drugi, którego Homer z wielką używał lubością. Wszak sami Grecy mawiali przysłowiowo: „*Ἀνδρὸς χαρακτὴρ ἐκ λόγου γνωρίζεται*“.

Jak przedstawicielem pierwszej cnoty zasadniczej jest Achilles, tak drugiej — Nestor, w którego mowach występują jasno jego wewnętrzne właściwości. (C. d. n.) *Józef Szafran.*

MARGIER.

Kartka z dziejów twórczości Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza).

(Ciąg dalszy).

Rozpoczyna się więc nowa wyprawa, w której Ransdorf bierze udział jako dowódca wyborowego oddziału łuczników; na niego zwrócone są oczy całego wojska jako na tego, który tajemną a sobie dobrze znaną drogą poprowadzi do łatwego zwycięstwa. Ale młody Krzyżak poprzysiągł sobie w duszy, że nie zdradzi Litwinów, nie złamie przysięgi i nie wspomni nikomu o tajemnem przejściu.

Tymczasem w zamku litewskim wre gorączkowa praca: załoga przygotowuje się do obrony ostrząc topory, kując groty i znosząc na wieże stosy kamieni. Ludność okoliczna, przerażona najazdem wrogów, którzy w imię chrześcijaństwa mordowali bez litości starców, kobiety i dzieci a mienie ich puszczali z dymem, spieszyła zewsząd do Pullen, zwiększając wprawdzie liczbę obrońców, ale wnosząc równocześnie pomiędzy karną załogę nieład i zamieszanie. Pomimo to Margier witał wszystkich chętnie, z otwartemi ramionami, rad, że swej kochanej Litwie choćby w ten sposób może w nieszczęściu dopomódz.

Ale gdy dzielny wódz się cieszył, serce ojca przenikała straszliwa boleść. Po ucieczce Ransdorfa Margierowi nie trudno było domyślać się, kto ocalił pięknego Krzyżaka i z jakiej przyczyny. Początkowo chciał przekląć swą córkę i w jej krwi zmyć hańbę, jaką ją już samo żywsze uczucie dla wroga okryło — ale widząc, jak cierpi, zlitował się i przebaczył. Mniej litościwym jednak był srogi bożek, Poklus; wśród grzmotów i duszących dymów siarki zjawił się on przed kapłanką Marti i zażądał zadośćuczynienia za wydartą mu ofiarę, a tem zadośćuczynieniem miała być sprawczyni ucieczki Ransdorfa, księżniczka Egle. Gdy Marti stanęła przed Margierem i oznajmiła straszną wolę bóstwa, on nie zbladł nawet, lecz wziąwszy córkę za rękę zaprowadził ją przed ołtarz i tak do niej mówi:

„Córko moja! od śmierci ojciec nie ochroni.
Tyś wydarła ofiarę z pod kapłańskich noży,
Poklus na mnie, na ciebie, na Litwę się sroży.
O! nie ściągaj na Litwę cierpienia niedoli!
Ja czuję, żeś ty młoda, że cię serce boli;
Ale twoje uczucie jest bogom w ohydzie,
Nie wolno im złorzeczyć, bo o Litwę idzie.
Tyś Krzyżaka przed śmiercią ocaliła srogą,
Umrzesz na jego miejscu — umieraj niebogo!
Ja, twój ojciec... wódz Litwy... nie cofnę się wcale,
Ja sam topór naostrzę, ja sam stos rozpalę,
I niech zgon dokonany według niebios woli
Litwę od takich grzechów na zawsze wyzwoli.
Bo na niebie, na ziemi nie ma cięższej zbrodni,
Jak gdy się z wrogiem złączą ziomkowie wyrodni“.

[1]) Il. I. 248 n.

Po takiej perorze zbolały ojciec odchodzi doglądnąć przygotowań wojennych, Egle zaś, wtrącona do więzienia, oczekuje chwili śmierci, oddana łatwo zrozumiałej rozpaczy i jakiejś niejasnej nadziei, że Ransdorf wybawi ją z groźnego niebezpieczeństwa.

Tymczasem Krzyżacy nadciągają pod zamek i rozbijają obóz na przeciwnym brzegu Niemna. Pod ciosami ich siekier padły wkrótce okoliczne drzewa, a z nich zaczęto spiesznie przygotowywać tratwy, na których wojsko miało się przeprawić na drugi brzeg. Z wałów pulleńskich śledzili Litwini gorączkowo ruchy nieprzyjaciół; odległość była niewielka, strzała mogła dolecieć, więc Margier kazać napiąć łuki, gdy wtem

.... dzwonek za Niemnem ozwał się pomału.
U Krzyżaków ucichła wrzawa obozowa,
A chorągiew nadbrzeżna, do boju gotowa,
Uklękła — snać się modlą. Margier łuk natęży:
Oto Mistrz, ze starszyzną i orszakiem księży
Idzie zwolna pod namiot, gdzie kościół ubrali;
Poznał go wódz litewski pomimo oddali,
Wziął na oko - wycelił — już go miał pod strzałą".

Ale gdyby wódz zginął, Krzyżacy musieliby się zapewne cofnąć, bo cóż znaczy wojsko bez wodza? — a wtedy wojna byłaby odrazu ukończona i znowu trzebaby długo czekać na drugą wyprawę — więc Margier nie strzela:

„Chciał już strzałę wypuścić, lecz serce zadrżało:
— Nie! — zawołał — niech żaden nie strzela, nie [mierzy,
Dopóki Niemcy swoich nie skończą pacierzy:
Oni modlą zajęci poklękli na ziemi,
My nie walczym z ich bogiem, jak oni z naszemi.
Oni ufni w odległość i w swój zastęp krzepki,
Nie mogą się w tej chwili spodziewać zaczepki.
Uderzyć niespodzianie — to byłoby zdradnie".
Rzekł, opuścił cięciwę, łuk na ziemi kładnie,
A sam upadłszy na twarz przed obliczem Litwy,
Do swych bogów błagalne posyła modlitwy.
I z obu brzegów Niemna była chwila ciszy,
Że się brzękot polnego konika usłyszy,
A z za chmurnych obłoków, jak dobra otucha
Słońce się uśmiechnęło — Pan modlitwy słucha.

Takie to piękne i szlachetne względy nie pozwoliły Margierowi skorzystać ze swej zręczności na korzyść gnębionej Litwy. Mógłbyś może wprawdzie, kochany czytelniku, zauważyć, że po skończeniu modlitwy był także czas jeszcze na wypuszczenie celnej strzały, bo odległość między Margierem a W. Mistrzem nie zwiększyła się przecież — ale nie trzeba zapominać, że Krzyżacy i wtedy mogli się nie spodziewać, iż pocisk Margiera tak daleko doleci, więc i wtedy „byłoby to zdradnie".

Zaczyna się następnie szturm, zacięty i gwałtowny, odparty przez Litwinów z wielkiemi stratami; w czasie tego szturmu dostaje się ranny Lutas do niewoli. Niemcy prowadzą go w tryumfie do wodza, a ten każe go wybadać Ransdorfowi. Przyprowadzony przed oblicze tak dobrze znanego sobie Krzyżaka, Lutas niema nic pilniejszego do uczynienia, jak opowiedzieć mu, że Egle za ułatwienie mu ucieczki zamknięta jest teraz w ciemnym lochu i że wkrótce ma zginąć na stosie; przypomniawszy jeszcze Ransdorfowi jego przysięgę, że nie zdradzi tajemnego przejścia, Lutas umiera tak spokojnie, jakby to, co uczynił, było jego najświętszym obowiązkiem. Rzecz naturalna, że dowiedziawszy się o losie Egli Ransdorf zapomina o wszystkich obietnicach i przysięgach i zebrawszy swój oddział, wpada tajemnem przejściem do środka zamku, aby ratować swą ukochaną.

Teraz nadchodzi ostatnia chwila dla zamkniętych w warowni Litwinów. Napadnięci z dwóch stron, tracą wszelką nadzieję ratunku i postanawiają sami pozbawić się życia. Zapalają więc na podwórzu zamkowem ogromny stos i na nim kolejno przebijają się mieczami, byleby tylko nie wpaść żywcem w ręce znienawidzonych wrogów. Tymczasem Ransdorf wpada do więzienia Egli, porywa ją pomimo oporu, unosi z płonącego zamku i omdlałą wiezie w łódce na drugi brzeg Niemna. Ale czujne oko Margiera dostrzegło zbiegów: dwie strzały przeszywają jedna po drugiej powietrze i dwa trupy wpadają w rzekę — Egle już nie przyniesie wstydu Litwie. Dokonawszy tego krwawego czynu, Margier zabija się na stosie, ostatni z całej załogi, w chwili, kiedy zwycięzcy Niemcy zajmują pogorzelisko.

(C. d. n) *Tadeusz Pini.*

Karty korespondencyjne z widokami.

(Z niemieckiego).

„Pozdrowienie z Zakopanego!" Z takimi i podobnymi napisami, których liczba stanowi już legion, a niebawem sięgać będzie setek tysięcy, przelatują setki kart korespondencyjnych codziennie — zwłaszcza w porze letniej — z miasta do miasta, z kraju do kraju, z jednej części świata do drugiej. Sprawiają radość tak wysyłającym je, jak i adresatom. Prze-

**

ważna ich część dostępuje zaszczytu przechowania na czas dłuższy, wielu nawet gromadzi całe zbiory, które stanowią następnie ozdobę ich biurka lub stolika.

Niewiadomo, kiedy powstał piękny zwyczaj zbierania pamiątek wszelakich po przyjaciołach, krewnych i znajomych. Jest prastarym bezwątpienia. Zrazu zapewne miano na względzie wartość materyalną lub artystyczną pamiątki; jak zresztą nie mogło być inaczej u praktycznych Greków. Tak np. Homer opowiada szeroko i długo o niezniszczalnem berle, które przechodziło w rodzinie Atreusa z pokolenia na pokolenie. Ten sam poeta wspomina, że bohaterowie przechowywali starannie podarki otrzymane od osób zaprzyjaźnionych, i odwzajemniali im się upominkami odpowiednimi. Niektórzy nawet mieniali się na broń, przyczem nieraz nie liczyli się ze względami na korzyść materyalną. Mianowicie Glaukos ofiarował Dyomedesowi swą zbroję złotą, za którą można było wówczas kupić 100 wołów, a otrzymał odeń spiżową, wartości ledwie 9 sztuk bydła. A więc wartość przedmiotu ustąpiła tu na plan drugi wobec tego, co nazywamy słusznie pretium affectionis, bo wchodzi tu w grę moment uczuciowy, w tym wypadku podziw i uwielbienie, którymi Glaukos był tak przejęty dla Dyomedesa, że przywiązywał nawet do posiadania zbroi jego wagę niezwykłą. Penelopa posiadała nawet istne muzeum pamiątek po Antynoosie, Eurymachosie i innych zalotnikach, którzy nie szczędzili podarków celem otrzymania jej ręki; ale chyba zbyt smutne wspomnienia musiały się budzić w jej sercu, ilekroć po wymordowaniu ofiarodawców przez mściwego Odysseusa, zajrzała do tego zbioru. Kto wie zresztą, może z tego powodu pierwsza urządziła wyprzedaż, jakie dziś nieraz urządzają najznakomitsi nawet zbieracze wszelakich przedmiotów.

O wiele piękniejsze upominki, jeśli tak wolno nazwać różne ex voto, zbierane przez pobożnych Greków, dostawały się w udziale bogom Olimpu. Najobfitszy zbiór ich mieścił się w skarbnicy delfickiego Apollina. Nie brakło tam nawet laski z bzu czarnego, w której tkwiła droższa, srebrna.

Laska ta, dar Brutusa, prowadzi nas do atryów rzymskich, w których znajdowały się maski woskowe przodków, jako trwała po nich pamiątka. A jak Rzymianie lepili je z wosku, tak szlachta średniowiecza chrześcijańskiego zdobiła swe sale i krużganki pałaców podobiznami przodków, malowanemi na płótnie.

Inne pamiątki gromadzili humaniści; zasady stoickie, powtarzane przez nich za starożytnymi wzorami, choć nie zawsze szczerze („jedynie mędrzec jest bogaczem, jedynie mędrzec jest królem"), kazały im przenosić nad pamiątki materyalne takie, w których duch przyjaciela się uwieczniał. Więc choć nie brakło takiemu Erazmowi z Rotterdamu złotych i srebnych upominków od przyjaciół z wszystkich krajów (o polskich świeżo dr. Kopera wydał zajmującą rozprawkę), wyżej sobie cenił swój pamiętnik, w którym mógł czytać swych uczniów i drogich sercu osób „myśli przędzę" i „uczuć kwiaty". Z takich to początków wykluły się nasze albumy, almanachy, pamiętniki, przy zastosowaniu już nie tylko atramentu i pióra, lecz także pędzla i muzyki. Ba tkwi w tych humanistych albumach pobudka do niebywałego rozwoju pewnej gałęzi sztuki malarskiej i jej potomstwa, wielce rozgałęzionego. Każdy bieglejszy w rysunku znajomy, wolał nakreślić swoją podobiznę, choćby w małych rozmiarach, gdy się bał ośmieszenia kiepskimi wierszami, i tak się rozwinęło malarstwo miniatur (en miniature) których początki zresztą sięgają przeszłości zamierzchłej.

Miniatury ustąpiły z kolei pola tańszym i łatwiejszym do wykonania sylwetkom, które przyjęły się w r. 1757, a zawdzięczały swą nazwę francuskiemu ministrowi skarbu, Stefanowi de Silhouette. Wreszcie przyszedł Daguerre i jego następcy, którym zadzięczamy nowy zwrot w tym kierunku i to, że wszystko, cokolwiek zwróci na siebie uwagę naszą, możemy uwiecznić natychmiast na skrawku papieru i zamknąć w albumie — bez słów. Co za przewrót od czasów Odrodzenia!

Ale nie chcemy i nie możemy zadowolić się obrazem osób nam drogich: pożądamy rozmowy z nimi, wieści o nich, współudziału w uciechach i rozkoszach, jakich doznają w okolicach odległych, w miejscach uroczych. Wprawdzie listy i telegramy czyniły zadość temu życzeniu, lecz w jak niedostatecznej mierze! Bo czyż wyrazy, opisy, zastąpią nawet przy stylu Sienkiewiczowskim piszącego a wyobraźni Michała Anioła u czytającego to, co daje obraz?

Potrzeba było widoków, fotografii — powstały „Widoki“ Krakowa, Lwowa, Tatr itd. itd., albumy różnych ciekawych scen z życia, ale na ich otrzymanie trzeba czekać powrotu przyjaciela, lub opłacać nie małe koszta przesyłki, kłopotliwej często. Wtem ktoś więcej pomysłowy, czy też dusza artystyczna, przyozdobił kartę korespondencyjną do przyjaciela widokiem miejscowości, w której bawił, kapitalista-nakładca podchwycił myśl prywatną, rzucił na targ setkę kart z widokami, znalazł naśladowców — powstała moda, a namiętność zbierania, odziedziczona po tylu pokoleniach, otrzymała nowe pole działania. O ile zbieranie to ma cel i jest tylko środkiem doń — a celem być może np. to, co wywołało pamiętniki, albumy — nie można mieć nic przeciw niemu. Byle nie wyrodziło się w bezmyślną manię, jak tyle innych mód i sportów. A grozi to już kartom z „widokami“, w których główna waga dziś spoczywa na obrazku i usuwa zupełnie w cień piszącego. Wzorem zbieraczy marek już dziś wiele osób podstępnie zdobywa sobie wielki zbiór kart takich, mimo że nie ma przyjaciół, którzyby z wędrówki swej przysłali im sprawozdania lotne a kraśne. Kto jednak nie chce być owcą Panurga, ten — nie wątpię — poprzestanie na „niefałszowanych“ kartach z widokami, bo tylko takie mogą być, czem przedewszystkiem być powinny, pamiątką po osobie nam drogiej.

Mowa zwierząt.

(Ciąg dalszy.)

Co się tyczy wreszcie pluskwiaków, to niektóre z nich wywołują tarciem dzióbka o uda nóg przednich pewien szmer. Najgłośniejsze są skoczki (Aphrophora) i piewiki (Cicada). U ostatnich powstaje głos zapomocą błony rozpiętej w przetchlince po obu stronach ostatniego pierścienia tułowia. Osobnym mięśniem może piewik ową błonę silniej lub słabiej napiąć, skutkiem czego przez drganie tej błony powstały ton będzie wyższy lub niższy. Tylko samce wydają głos, samice bowiem mają być nieme, i to dało powód Xenarchowi do wypowiedzenia żartobliwego zdania: „Jak szczęśliwymi są piewiki, skoro mają samice nieme“.

Homer znał też muzykę piewików. Wiemy z Iliady, że starych swych bohaterów rozmawiających porównuje z piewikami śpiewającymi. Lenz w swej historyi naturalnej podaje, że cykady amerykańskie wywodzą trele pół minutę bardzo prędko w wysokości tonu *e''' dis'''*, potem przeciągają ton między *e* a raz podkreślonem *g'*, przez co powstaje głos podobny, jakbyśmy palcami wzdłuż struny pociągali i równocześnie jeszcze smyczkiem ją w drganie wprawili. Ton ten albo urywa się na *g'* albo rozpoczyna na nowo od *e*. Już według tego opisu można pojąć, jak nieprzyjemne dla ucha tony wywołują drgania poprzeczne. Głos ten naśladują tameczni chłopcy na instrumencie, zwanym Locustdrum. Darwin opisuje, że wędrowcy w tropikowych lasach zdumiewają się nad pieniem piewików, tem bardziej, że głos ich ma być tak donośny, iż na okręcie odległym $^1/_4$ mili angielskiej od brzegu go słyszano. Kapitan Hoeck podaje, że koncert piewików przy spokojnem powietrzu w odległości nawet mili angielskiej dobrze słychać. Grecy i Rzymianie starali się oddać głos ich słowami: titidzein, lalagein, fritinnire, fretenniunt.

Jeżeli teraz ogólny zestawimy obraz dźwięków owadzich, to okazuje się, że ich głos, szmer, szelest, brzmienie, skrzypienie, chropanie, zgrzyt, brzęczenie, bzykanie lub burczenie powstają jużto skutkiem ruchu skrzydeł, jużto nóg, tułowia i szczęk, już też zapomocą osobnych przyrządów głosowych. Dźwięki te są u nich nietylko objawem wzajemności, lecz ujawniają one nimi częstokroć swe usposobienie n. p. bojaźń, gniew, złość lub smutek, boleść lub radość. Nadto służą one do wzajemnego porozumiewania się, bez czego życie towarzyskie nawet istniećby nie mogło.

Z przytoczonych tu przykładów poznajemy także, że rozmowa między owadami odbywa się zapomocą znaków i dźwięków, ale mało jeszcze je znamy albo są one u niektórych owadów tak delikatne, że dla ucha naszego nie są dosłyszalne i z tej przyczyny poczytujemy wiele z nich za nieme.

Aby sobie wyobrazić delikatność brzmień wydawanych przez owady a niedochodzących uszu naszych, podaje Dr. M. Krass rozmaite sposoby badania.

Powiada on: Jeżeli końcem lub ostrzem noża, dyamentem lub drewnianym patyczkiem, lub nawet korkiem po gładkiej płycie meta-

lowej pocierać będziemy, usłyszymy delikatny szmer lub dźwięk. A gdy przypatrzymy się teraz linii, jaką ostrze noża na płycie pozostawiło, zapomocą lupy, to spostrzeżemy mnóstwo delikatnych wyżłobień, które według mniejszej lub większej umiarowości dźwięku mniej lub więcej są regularne. Nadzwyczajną delikatność tych rowków w tem widzimy, iż na długości 1 mm. otrzymał Krass 150 poprzecznych rowków. Naturalnie, że powstały one przez działanie ostrza noża, wrzynającego się co chwila w płytę.

Rowki te porównać możemy z węzłami fal. Stosownie do ilości powstałych rowków otrzymało powietrze tyleż uderzeń. Krass i Lenois podali fotografią takich rowków. Doświadczenie podobne robili także z płytką szklanną, obciągniętą gumą a potem okopconą. Rozmaite w tym względzie poczynione doświadczenia wykazały, że liczba wcięć czyli rowków w ścisłym stoi związku z ilością drgań, odpowiadającą pewnemu dźwiękowi. Według tego ułożono też formułkę: $\frac{l \times r}{t} =$ dźwięk (gdzie l oznacza długość linii, r ilość rowków na 1 mm., a t znaczy czas).

Tym sposobem więc znaleziono, że u kózki (Cerambyx moschatus) ilość drgnień wynosi 2141, co odpowiada głosowi d''.

Możemy według powyższej metody obliczyć ilość drgnień i z tem połączoną wysokość dźwięku u owadów, których głosu wcale nie słyszymy. Tak np. u drobnej kózki (Gracilla pygmaea) wynosi płytka tarkowata 0·375 mm., ilość rowków na niej 113 a więc według tego przypada na 1 mm. 301 rowków. Czas tarcia liczymy na 0·08 sekundy a więc według powyższej formułki otrzymamy dźwięk f'', któremu odpowiada 1413 drgnień; jest to dźwięk dla ucha naszego niedosłyszalny.

Za pomocą wysokości tonów można też obliczyć ilość drgnień. Tak skrzydełka muchy zwyczajnej, której brzęczenie ma f'' lub e', wykonują w sekundzie 330—352 drgań. Ten sam rezultat otrzymał także Marey za pomocą metody graficznej. Samica trzmiela (Bombus muscorum) burczy tonem a, na co przypada 220 uderzeń skrzydełkami w 1 sekundzie.

Pszczoła wydaje brzęczenie a', któremu odpowiada 440 drgnień skrzydełek na 1 sekundę. Skoro zaś jest zmęczona, wydaje brzęk e', w którym wypadku przypada dla skrzydeł tylko 330 drgań. Od brzęku skrzydełkami należy odróżnić dźwięk wykonany za pomocą osobnych przyrządów. Zauważyć jeszcze należy, że dźwięk jest dowolny i podlega różnym modulacyom stosownie do tego, co owady mają nim objawić innym współbraciom. Przyrządy głosowe są dla swej delikatnej budowy od szkodliwych wpływów zabezpieczone a trwałość ich obliczona jest na długość życia owadu.

Przechodzimy teraz do kręgowców i to najpierw do ryb. O tych powiada już Arystoteles, że są nieme. W nowszych czasach badał ryby pod względem ich głosu J. Müller. Jedne ryby przez wypuszczenie nagłe powietrza z pęcherza sprawiają pewien szelest, inne zgrzytają gardłowemi kośćmi i zębami, jak n. p. niektóre karpiowate, inne znowu bądźto wieczkami skrzelowemi, bądź też poruszeniem pierwszego kolca u pletw piersiowych sprawiają burczenie lub warczenie jak n. p. kurek (Trigla) lub jaskółka (Dactylopterus volitans); lin (Cyprinus tinca) wydaje mlekotanie wargami.

Co się tyczy gadów, u tych powstaje już głos przez działanie płuc, tchawicy i krtani; jednak dla niedomykania się głośni i innych niezupełnie wykształconych części głosowego przyrządu, objawia się głos tylko gwizdaniem lub syczeniem. I tak żółwie przez wciąganie głowy pod skorupę i nagłe wyparcie powietrza z płuc sprawiają gwizd syczący, za pomocą którego w nocy się zwołują. Jaszczurki wogóle syczą, tylko legwan wydaje głos silniejszy a nocny geko wydaje głos „gek“, skąd też otrzymał swą nazwę.

Krokodyl w biegu sprawia szelest tarczami, a przy największem rozdrażnieniu wydaje według opisów głuchy ryk, ktory Anglicy oznaczają słowem „bellow“. Oken powiada, że głos krokodyla jest pośrodku między rykiem a wyciem.

Węże również tylko syczą a wąż grzechotnik (Crotalus) sprawia nadto jeszcze szelest grzechotkami, te według jednych przyrodników są przyrządem wabikowym, według innych zaś służą do straszenia zwierząt, które zamiast ucieczką się ratować, drętwieją ze strachu i padają ofiarą okrutnika.

Daleko hałaśliwsze są płazy. Traszki (Tritones) wyjęte z wody i pociśnięte palcami wydają słaby głos „pup, pup“. Salamandry według spostrzeżeń, poczynionych w akwa-

ryach, wołają „uik - uik“. — Co się tyczy głosu żab i ropuch, to dla uprzytomnienia go sobie przenieśmy się myślą w wiosenną porą, kiedy kwiaty roztaczają wonne kielichy a melodyjny słowik nie przestaje nucić w zaciszu wikliny; wtedy to żaby hałaśliwie chórem rechcą za przewodem starszych samców, takt dających. Lud nasz przysłuchujący się tej wieczornej muzyce podwodnych chórów, ubrał w dramatyczną szatę chwilę obudzenia się żab ze snu zimowego, do życia pełnego gwaru, lubo melancholijnego. Przytaczam kilka takich dyalogów[1]). Zwykle w nich występują najpierw dwie żaby, rozmawiające z sobą, a później chór cały im odpowiada. N. p. „Hryć! — Szczo treba? — Żenyty sia treba! — Ba, ba, ou-wa!“ albo: „Kum, kum, kuma, — hdeś buła wczera? — U kumy! — Szczo tam war, war, waryły? — Borszcz, buraki, ki, ki — borszcz, buraki, ki, ki“.

Inne odmiany: „Kum, kum, kuma! hde mama? — w doma! — A szczo robyt? — Horoch waryt! Horoch pryskaje ra, ra, ra.“ albo: „Kum, kuma — buśko (bocian) je? — Nema! — A de? — Umer. — Koły? — W czetwer? — A wy tomu rade? — Chór: Rade, rade, rade etc. Albo w Krakowskiem: „Siostro! — Cóż? — Był tu bocian? — Już. Chór: To my rade, rade, rade“. U Niemców z wyjątkiem Westfalii nie znajdujemy podobnych dyalogów. Naśladują najwięcej głos żab słowami: „Krax, krax, krakekax“, albo: „brekeke, kwax“ lub “kwak“.

Że głosy żab zajmowały już starożytnych, wiemy z wiersza Owidyusza. który je opiewa w swych Metamorfozach; także Arystofanes naśladował głos żab słowami: „brekekeks, koaks koaks“.

Wiadomo z dzieła Szajnochy, że niezmierna rojność żab wiślickich przeszkadzała nawet służbie Bożej, a kaznodzieja musiał utykać w połowie kazania i kazał uciszać miliony hałaśliwych żab. Że wreszcie w żadnym kraju nie śpiewają żaby tak przyjemnie, jak w naszych wodach ojczystych, dowodzi śliczny ustęp z „Pana Tadeusza“:

„W obu stawach żab piały niezliczone hordy,
Oba chóry zgodzone w dwa wielkie akordy;
Ten fortissimo zabrzmiał, tamten nuci z cicha —
Ten zdaje się wyrzekać, tamten tylko wzdycha.
Tak dwa stawy gadały do siebie przez pola,
Jak grające naprzemian dwie arfy Eola“.

(Dok. nast.) *Leopold Wajgiel.*

[1]) Dialogi różne, zebrane przezemnie w Galicyi podałem w „Przyrodniku“ r. 1870.

Pogadanka.

Rozpoczynając nowy kwartał, donosimy naszym chętnym czytelnikom, że skromne pismo nasze zdobywa sobie powoli odpowiednie znaczenie i możemy się pochwalić, żeśmy pozyskali sobie wiele szczerych przyjaciół, mimo że pismo nasze w pewnych sferach nazwano bezbarwnem, a zapewne dlatego, że niezaprawione pieprzykiem politycznym, szowinizmem i t. d. Nikt nie ma interesu z przyjaźnią nam się oświadczać, a jeżeli ktoś mówi i pisze, że nam dobrze życzy, to mówi szczerze i daje nam poznać, że się godzi z naszem zdaniem i z naszemi dążeniami, że widzi w naszem piśmie uczciwego ducha polskiego i kierunek prawdziwie narodowo-wychowawczy, że „Przyjaciel“ nasz jest przyjacielem młodzieży sprawiedliwym, że tak, jak on, czuć i myśleć powinien u nas każdy młodzieniec uczciwy, któremu jest droga przyszłość naszego narodu.

Do poparcia i rozpowszechnienia naszych usiłowań i myśli, prosimy przyjaciół naszego pisemka, które służy ku nauce i rozrywce. Daj Boże, aby „Przyjaciel“ był wszędzie co miesiąca chętnie oczekiwany i mile witany!

W roku zeszłym obchodziliśmy setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza, w roku zaś bieżącym obchodzić mamy pięćdziesiątą rocznicę śmierci, a dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin Juliusza Słowackiego. W tym to czasie w roku 1809 Księstwo Warszawskie, które powstało w r. 1807 jako cząstka dziedzictwa narodowego, zostało powiększonem, gdzie natychmiast bujnie rozkwitło życie narodowe. Znakomici mężowie jak n. p. Staszyc, Łubieński, Mostowski stanęli na czele rządu, dzielni wojownicy, ks. Józef Poniatowski, Dąbrowski i inni dowodzili wojskiem, które na całym świecie zasłynęło niezrównanem męstwem i wytrwałością. W kraju pozakładano szkoły w wielkiej liczbie i wybornie urządzone, urzędy zaprowadzono wzorowe, sądy porządne i sprawiedliwe, rolnictwo, handel i przemysł zaczęły się rozwijać. Na wszystkich polach działalności publicznej zasłynęli Polacy i imię naszego narodu uczynili głośnem uczeni mężowie i znakomici pisarze, między którymi pierwsze miejsce zajął Adam Mickiewicz, a po nim Juliusz Słowacki.

Rocznice poświęcone naszym bohaterom i pisarzom, które przy końcu naszego wieku obchodzimy, dowodzą, że naród polski po upadku państwa polskiego nietylko żywotność swoją zachował, ale rozwija się i mężnieje, rośnie w siłę w miarę wzrostu świadomości i oświaty ludu. Nie daremnie więc wzywa nas Słowacki w swym testamencie:

..Zaklinam, niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec."

Gdy więc młodzi przyjaciele, postanowieniem będzie naszem stać się na różnych polach pracy użytecznym członkiem ojczyzny, wtedy śmiało ufajmy, że ona zmartwychwstanie.

W końcu pozwala sobie „Przyjaciel" wezwać swych czytelników z nadchodzącą wiosną do zbierania roślin i zakładania zielników, co należy do wielkiej przyjemności w życiu i to nietylko u młodych, ale i u starszych wiekiem ludzi. Przyjemność ta łączy się jeszcze z pożytkiem dla zdrowia i nauki, jeżeli zielnik będzie należycie ułożony i opatrzony etykietą wskazującą miejscowość, dzień zbioru i t. d. Ponieważ zbieranie roślin należy za granicą prawie do szportu tak młodzieży obojga płci jako też i starszych osób, nie dziw, że fizyografia okolic tamtejszych tak dokładnie jest znaną. U nas, jakkolwiek dzięki usiłowaniom botaników z powołania oraz osób prywatnych, miłujących nauki przyrodzone, roślinność jawnokwiatowa kraju naszego wprawdzie dosyć dokładnie zbadaną została, jednak co do miejscowości, czasu kwitnienia i innych okoliczności jeszcze możnaby wiele zrobić, to natomiast roślinność skrytokwiatowa (obejmująca wodorosty, leszajce czyli porosty, grzyby i mchy) podaje szerokie pole do rozlicznych badań, co stałoby się niewyczerpanem źródłem rozkoszy umysłowych. Nie dosyć jednakże mieć zamiłowanie do czegoś, należy jeszcze wiedzieć, jak się wziąść do tego, a to podadzą chętnie p. nauczyciele zakładów lub także wasz „Przyjaciel."

Przecinek.

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

- **Odezwa w sprawie pisanek.** Ze świętami Wielkiejnocy pozostaje w ścisłym związku zwyczaj barwienia jaj kurzych i kreślenia na nich różnych wzorów (deseni). Zwyczaj ten, rozpowszechniony w całej Słowiańszczyźnie, zanika dzisiaj w niektórych miejscowościach Polski. Póki więc czas jeszcze — „Towarzystwo ludoznawcze", istniejące we Lwowie, pragnie zachować go od zagłady nieuniknionej zapomocą okazów, rysunków i opisów. W tym celu odzywa się corocznie do wszystkich rodaków w czasie przedświątecznym z prośbą o dostarczenie: 1) okazów pisanek, 2) rysunków ich wzorów (z oznaczeniem barw), lub 3) odpowiedzi na pytania, ułożone w tak zwany kwestyonaryusz. Młodzież ucząca się ma wiele sposobności do stykania się z ludem, może więc dorzucić niejedną cenną cegiełkę do odbudowy naukowej życia pierwotnego naszego ludu, a tem samem i narodu. Do niej więc zwracam się imieniem Towarzystwa wspomnianego z gorącem wezwaniem, by nie leniła się z pomocą, choćby najdrobniejszą wiadomością względnie przesyłką w którymkolwiek z 3 kierunków, wskazanych wyżej. Wszystkie przesyłki i listy należy przesyłać pod adresem: prof. dr Antoni Kalina, przewodniczący Towarzystwa lud. we Lwowie, ul. Zimorowicza l. 7. Pisanki trzeba starannie owijać w pakuły, lub wtykać w sieczkę, względnie trociny, i w paczce lub pudełku przesyłać; wystarczy po jednym okazie z najcharakterys tyczniejszymi wzorami. Zawsze zaś należy zapisać, z której miejscowości okaz każdy pochodzi i jak nazywają wzór odpowiedni. Każdemu, kto odpowie na załączone pytania choćby tylko w części lub prześle okazy, względnie rysunki, chętnie na żądanie prześlę bezpłatnie — póki zapas starczy — 3 moje broszury o pisankach, wydane dotychczas; nazwiska zaś przesyłających odpowiedzi itd. ogłoszę w kwartalniku p. n „Lud", który Towarzystwo ludoznawcze wydaje.

Pytania, na które oczekuję odpowiedzi pod adresem wskazanym, opiewają:

1) Czy w miejscowości, w której odpowiadający mieszka, z której pochodzi, lub którą zna dobrze, albotеż w sąsiednich (i w których) znany jest zwyczaj malowania jaj? (W odpowiedzi należy podać dokładnie nazwę miejscowości ostatnią pocztę i o ile możności powiat) — 2) Czy w miejscowości tej, względnie okolicy, istniał dawniej zwyczaj przygotowywania pisanek (jaj malowanych), a dziś czy zarzucono go, od jak dawna i z jakiego powodu? 3) W jakim czasie zajmują się malowaniem jaj? czy podczas wielkiego postu (od kiedy do kiedy), czy w wielkim tygodniu (w których dniach), czy w tygodniu świątecznym (do niedzieli przewodniej), czy też około Zielonych świątek? — 4) Kto maluje jaja: kobiety, dziewczęta, czy też mężczyźni? Czy każdy sam maluje je dla siebie, czy też są specyaliści lub specyalistki, którzy robią to za pewnem wynagrodzeniem (za jakiem?) — 5) W jaki sposób malują jaja? Istnieje kilka sposobów malowania jaj, n. p. *a*) jaja malują na jeden kolor albo pstrzą; *b*) ozdabiają rysunkiem kreskowym w dwu lub więcej barwach; tu białe kreski powstają wskutek tego, że przed włożeniem jajka do barwika pewne miejsca zapisuje się woskiem (narzędzie do p i s a n i a ma szczególną nazwę; radzibyśmy mieć opisy, rysunki,

a jeszcze bardziej oryginalne okazy tego narzędzia); c) wzorzec wydrapują na ubarwionem jajku jakiem kolwiek narzędziem. — 6) Jak nazywają jaja malowane sposobami, wspomnianymi w pytaniu 5. (piski, pisanki, malowanki, rysowanki i t. p.)? — 7) Jak nazywają wzorce na jajkach malowanych (krzyż, róża, grabie, kaczki, kowbasa, łystoczki i t p.)? — 8) Czy używają barwików miejscowych (listków cebuli, kory z niedojrzałej jabłoni, barwionych sukien i t. d.), czy też kupnych (krasek, brezylii i t. p.)? — 9) Jakie istnieją wierzenia i podania o początku i powodach malowania pisanek, obrzędy i przysłowia, związane ze zwyczajem malowania jaj? — 10) Jakie istnieją zabawy pisankami? Jak nazywa się bicie jajka o jajko? — 11) Jak długo przechowują pisanki (do Zielonych Świątek, cały rok i t. p.), lub tylko same z nich skorupki malowane i co z niemi robią? — 12) Jakiej barwy przeważnie bywają pisanki i dlaczego; czy barwa jest zupełnie przypadkową, czy stale zachowywaną w tej okolicy, albo stale zastosowaną do pewnego wzorca?

Dr. Franciszek Krczek.

Jak sobie zrobić maszynę elektryczną, elektrofor i butelkę lejdejską? Nie będą to wprawdzie wspaniałe przyrządy, ale też nic prawie nie kosztują: i ta zaleta coś warta.

Wybrawszy tackę blaszaną lakierowaną, długą na 30—40 cm., wycinamy z grubego papieru (do pakowania) ćwiartkę tak wielką, ażeby dokładnie odpowiadała rozmiarom płaskiego dna tacki, poczem przymocowujemy lakiem taśmy papierowe u obu końców ćwiartki, aby ją za te taśmy podnieść można.

Rozgrzewamy ćwiartkę nad silnym płomieniem lampy lub gorącem zarzewiem, powtarzając to kilkakrotnie i długo, aby papier zupełnie wysechł i miał możliwie wysoką ciepłotę. Potem szybko kładziemy ją na drewnianym stole i mocno wycieramy szczotką szczecinową, twardą i suchą. Tymczasem tacka leży już na kilku kieliszkach lub szklankach. Kładziemy szybko potarty papier na tackę a druga osoba przybliża do tacki rękę. Gdy papier podniesiemy zapomocą pasków, między tacką a ręką ukaże się silna, jasna, prawie centymetr długa iskra elektryczna.

Butelkę lejdejską robi się, wypełniwszy szklankę do połowy śrutem myśliwskim, i wstawiwszy weń łyżeczkę od kawy. Naładowuje się butelkę przyrządami, wyżej już opisanymi, a rozbraja, przytknąwszy palec do końca łyżeczki.

W każdym prawie domu znajdują się przybory, potrzebne do tej zabawki — proszę zatem wypróbować, czy przepis dobry. Szybkość roboty jest rzeczą ważną dla udania się eksperymentu.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 16. Kto jest autorem trzech pierwszych zwrotek hymnu „Boże coś Polskę?“

Nr. 17. Czy dwie linie pionowe mogą być do siebie prostopadłe?

Nr. 18. Jak się nazywa najpierwszy w górnym biegu dopływ Wisły?

Nr. 19. Jak się odbywa przenoszenie pyłku z jednego kwiatu na drugi?

Nr. 20. Dlaczego „krwawy“ zachód słońca ma być zapowiedzią niepogody?

Odpowiedzi należy nadsyłać najpóźniej do 20. kwietnia b. r., stosując się do wskazówek, podanych w 2. numerze „Przyjaciela“.

Nagroda: „Wybór poezyi Adama Asnyka.“

Zadanie konikowe.

(Wyjątek z poezyi J. Słowackiego.)

je	w gro	trup	rze	by	cher	świe	pod
le	star	szczę	wie	ci	dła	ciaż	wi
bie	że	żąc	jak	bie	rzę	nio	Bóg
gam	oj	u	pu	si	Pan	jak	cho
zny	zbrzy	li	gdzie	ci	bo	kie	sę
w śmierć	łań	czy	wę	wszyst	z zie	le	tak
dła	ży	chy	nim	aż	to	w nie	wszyst
cu	ja	por	wa	ją	kie	mi	po

Rozwiązanie (tylko wiersz trzeba wypisać, bez rysowania figury) należy przysłać do 20-go kwietnia b. r

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 11 15.

Nr. 11. Ostatnim klasykiem był Franciszek Wężyk, ur. 1785 † 1862; pierwszym romantykiem nazwano Fr D Kniaźnina, ur. 1750 † 1807 (por. Rzążewski, Pierwszy romantyk, Kraków 1883).

Nr. 12. Góry Marsowe (Marsgebirge) są na Morawie, na zachód od Karpat morawskich.

Nr. 13. Salsy są to szczeliny w ziemi, pokryte szlamem, z których wydobywają się gazy. Pod wpływem prężności gazów przybierają salsy kształt stożkowatych wulkaników (n. p. w Nowej Grenadzie).

Nr. 14. Dlatego, że podczas mgły przedstawiają się zarysy wszystkich przedmiotów niewyraźnie, a ponieważ kąt widzenia się nie zmienia, więc przedmiot mały a blizki widzimy wtedy tak, jak w pogodny dzień przedmiot daleki a wielki; przeto ów mały przedmiot wydaje się nam wielkim.

Nr. 15. Dodawszy do ceny towaru, np. 100 złr., $7\frac{1}{2}\%$ kosztów przewozu, otrzymamy 107·5 złr. Od tego 16% zysku będzie 17·2 złr., a $12\frac{1}{2}\%$ rabatu daje znów 17·8; dodawszy to do 107·5,

otrzymamy 142·5. A zatem za każde 100 złr. trzeba żądać 142·5 złr.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. marca: Brzeżany: Bednarowski A. (na zagadn. nr. 14). Buczacz: Weinreb M. (12). Jasło: Kaniowski T. (12), Maryniarczyk R. (12, 13). Kraków: Dziurzyński M. (13), Smolka Wł. (12, 13). Lwów: Chrzanowski A. (12, 14), Czarnecki B., Fiderer J., Gieruszyński F. i Mann J. (13, 14), Niezabitowski K. i Pochmarski B. (12), Sośnicki K. (14), Stögbauer A. (11, 13, 14), Stromenger J. (13), Widy J. (12, 13), Witoszyński R. (13, 14). Podgórze: Podobiński Wł. (14), Przemyśl: Blajer K. (15). Sambor: Biegelmeyer A. i Herdliczka J (12, 13, 14), Jäger R. (12). Sanok: Brzozowski J. (13. 14). Tarnów: Reck O. (11. 14).

Nagrodę (Sienkiewicza „Pan Wołodyjowski“) otrzymał przez losowanie: Kazimierz Sośnicki we Lwowie.

Rozwiązanie kwadratu magicznego.

6	7	2
1	5	9
8	3	4

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. marca: Brzeżany: Bednarowski A. Buczacz: Podlewski A., Weinreb M. Jasło: Kaniowski T., Maryniarczyk R. Jarosław: Gros J., Rose H. Kołomyja: Kordasiewicz M. Kraków: Dziurzyński M, Gwizdała Z., Smolka W. Lwów: Czarnecki B., Daschek J., Fiderer J., Gieruszyński F., Mann J., Niezabitowski K., Pochmarski B., Sośnicki K., Schreiter W., Widy J., Witoszyński R. Podgòrze: Podobiński W Przemyśl: Blajer K., Rzeszów: Kwiatek E., Mucha F., Sambor: Biegelmeyer A., Herdliczka J., Jäger L. i R. Sanok: Brzozowski J. Tarnopol: Ingwer T. Tarnów: Myciński L. Reck O. Wadowice: Jura A., Rose M.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Arystoteles. Metoda Bergera, cena 1 złr. 30 ct. Ponieważ wymowy angielskiej nie łatwo nauczyć się z książki, radzimy wziąć choć kilka lekcyi u nauczyciela (n. p. u p. Szukiewicza, ul. Chorążczyzny 13.)

Ejchenor. Proszę przysłać; czy tamte zwrócić, czy też można zniszczyć?

K. B...r. Najtańsze jest wydanie Parylaka, w Stanisławowie drukowane; każda księgarnia ma.

K. H. w Nowym Sączu. W bibliotece nauczycielskiej będą zapewne „Sprawozdania komisyi do hist. sztuki w Akad. Umiej. krakowskiej“. Nadto polecamy: Lemcke, Estetyka; Lübke, Kunstgeschichte; Witkiewicz, Sztuka i krytyka u nas; Peccaud. Sztuka; Łoziński, Sztuka lwowska. Co do stylów: albo Sacken, Katechismus der Baustyle albo „Stillehre“ w zbiorze „Sammlung Göschen“ (48 ct.)

M. D. Za obietnicę dziekujemy. Gdyby każdy z naszych premumeratorów pozyskał jednego kolegę, moglibyśmy co 2 tygodnie wydawać „Przyjaciela“.

Przyja iel „Przyjaciela.“ Niesłusznie poczuwa się Sz. Prenumerator do jakiejś winy wobec p. „Kropki“. — Czyżby nie uczono stenografii w tem gimnazyum? Jeżeli nie, to polecamy „Naukę stenografii“ Polińskiego.

R. W. W. Prac uczniów nie umieszczamy.

Samborzanin. Listy sprawiają nam wielką przyjemność; szkoda, że nie są wolne niestety od błędów języka i pisowni! — Co do L. Ch. tyle tylko wiemy, że mieszka w Krakowie. — Australia nie miała swego Kolumba. Odkrycie jej postępowało bardzo powoli i było dziełem wielu podróżników. Hiszpan de Torres przepłynął pierwszy (1606) przez cieśninę między Nową Gwineą a północną kończyną Australii. W następnych latach holenderskie okręty kilkakrotnie zatrzymywały się na północnem i zachodniem wybrzeżu, a w r. 1644 odkrył Holenderczyk Tasman wyspę Tasmanią. Dalsze odkrycia nastąpiły dopiero w XVIII. wieku po podróżach J. Cook'a. W r. 1788. założono pierwszą osadę europejską, miasto Sydney, i odtąd poczęło się badanie wnętrza Australii.

X Y Z. Taką przykrość można przeboleć, a korzyść już widoczna. „Et haec olim meminisse iuvabit!“

K. O. B. Jest to ten sam autor (nazwisko rzeczywiste. Co do pism wspomnianych, proszę przeczytać artykuł w 4 numerze czasopisma „Muzeum“ wydawanego przez Tow. nauczycieli szkół wyższych. (Wyjdzie po 15. kwintnia.)

Od wydawcy.

Wielu z prenumeratorów skarży się, że nie otrzymują numerów. Należy w takim razie donieść o tem Administracyi „Przyjaciela“ na kartce formatu korespondentki bez marki pocztowej; ale na takiej kartce nie można nic innego pisać, jak tylko reklamacyę.

Prenumeratorom kwartalnym przypominamy, że z tym 4. numerem zaczął się nowy kwartał.

Dziękując wszystkim życzliwym przyjaciołom pisma za dotychczasowe poparcie, polecamy się nadal ich pamięci i życzymy wesołego Alleluja!

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: W pięćdziesiątą rocznicę, przez *T. Piniego.* — Wielkanoc, przez *F. J. — J. Vrchlicky*, Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Nestor u Homera, przez *J. Szafrana.* — Margier, kartka z dziejów twórczości Syrokomli, przez *T. Piniego.* (C d.) — Karty korespondencyjne z widokami. — Mowa zwierząt, przez *L. Wajgla.* (C. d) — Pogadanka, przez *Przecinek.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Zadanie konikowe. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od wydawcy.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. maja 1899. Nr. 5.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Przyszłość zdobywa, kto o nią walczy“. *J. I. Kraszewski.*

3. Maja 1791 r.[1])

„Od samego rana ruch niezwykły nastał w Warszawie w dniu 3. maja. Wyruszyły z koszar pułki piesze i konne, wysypała się na ulice ludność bogatsza i uboższa, stanęły cechy pod chorągwiami, radni miasta z prezydentem i wiceprezydentem na czele; wszystko to zdążało, spieszyło ku zamkowi. Kto mógł, wciskał się do gmachu, na schody i krużganki; kto mógł, stawał na podwórzu, na placu, w przybocznych ulicach; wszędzie było jak nabito. Nie była to prosta ciekawość; ludność nie szła tam, jak dotychczas, chcąc przypatrzeć się jedynie głośnym mężom, pięknym karetom, okazałemu zjazdowi; nie, coś głębszego poruszało tymi tłumami. Warszawa oddawna była zjednana dla Sejmu, lecz krążące od dni kilku pogłoski zaciekawiały ją mocno, rozbudziły we wszystkich gorączkowe oczekiwanie, niepokój, jakby przeczucie, że miało stać się coś nazwyczajnego, co miało zdecydować o losach narodu. Wiedzieli dobrze mieszczanie, że uchwały sejmowe zapadną bez nich; mimo to cisnęli się na Zamek, chcieli być najbliżej króla i sejmujących i samą obecnością swoją dawali świadectwo, że sprawa, która tam odgrywać się będzie, nie jest dla nich obojętną. Byłto znak wyraźny budzącego się życia publicznego w mieszczaństwie; odpowiedź wymowna na prawo o miastach i na przyjęcie miejskiego przez sejmowego marszałka. Warszawa, bodaj czy nie po raz pierwszy, poczuła się w tym dniu stolicą Polski. Sala sejmowa przepełniona; w galeryach kobiety, na ławach arbitrowie [1]), których liczono więcej tysiąca. Przed baryerą marszałkowską stał ks. Józef Poniatowski, jen. Gołkowski, adjutant królewski i niemało ułanów; z przeciwnej strony tron otoczony był oficerami gwardyi królewskiej, wśród nich brygadyerowie Wielhorski, Jan Potocki i pułk. Hofman. Przeciwnicy projektu wcześnie zajęli swe miejsca, ale nie spuszczali ich z oka związkowi [2]), owszem przy każdym z nich ustawili po dwóch, po trzech zaufanych arbitrów. Z wielkim rozmysłem i zręcznością przedsięwzięto wszystkie środki ostrożności, tak, że sama przewaga sił po stronie związkowych przekonywała oponentów, iż niepodobna myśleć o jakimś gwałtownym wybuchu, któryby mógł zakłócić i przerwać posiedzenie sejmowe. W kilka minut po godz. 11-tej król wszedł do sali, poprzedzony przez marszałków i w licznej asystencyi; powitano go hucznymi okrzykami. Marszałek w. kor. uderzył po trzykroć laską, nastała cisza, Małachowski otworzył posiedzenie.“

Najpierw debatowano nad tem, jakie wrażenie wywarły zagranicą uchwalone już przez Sejm reformy i jak wielkie grozi niebezpieczeństwo nowego podziału Polski, przyczem odczytano relacye ambasadorów polskich przy dworach obcych. Wreszcie król oznajmił, że dla zapobieżenia tym nieszczęściom, jakie grożą od pogranicznych państw, obmyślano i ułożono projekt nowej ustawy konstytucyjnej i kazał odczytać projekt. Poczęła się dyskusya kilka godzin trwająca, w której przemawiali zwolennicy reformy i przeciwnicy; rozprawy urozmaicił Suchorzewski swoją krzykliwą i cudacką demonstracyą. Wreszcie przyjaciele konstytucyi wi-

[1]) Jako objaśnienie do załączonego obrazu Norblina podajemy wyjątek z III. tomu dzieła *ks. Waleryana Kalinki:* „Sejm czteroletni“. (Lwów 1888, str. 74 — 75 i 89 — 92).

[1]) Widzowie, publiczność.

[2]) T. j. przywódcy stronnictwa t. zw. patryotycznego.

dząc, że sprawa się przewleka, chcą przyspieszyć koniec i proszą króla, aby zaprzysiągł ustawę. Król wzywa marszałka sejmowego, by przekonał się, czy większość Sejmu przyjmuje projekt. Wprawdzie już przedtem przy czytaniu projektu ustawy odzywały się liczne i gromkie okrzyki „zgoda!“ ale słyszano też krzyki „nie ma zgody“; więc marszałek bardzo sprytnie postąpił, żądając, by ci tylko się odzywali, którzy są przeciwni. Okazało się, że jest ich 17 (5 nieprzychylnych nie przemawiało, więc ogółem 22). Jeden z członków opozycyi, który wkrótce potem przeszedł na stronę konstytucyi, ks. Sapieha, zażądał powtórnego odczytania ustawy.

(Streszczenie str. 76-89)

Zezwalali niektórzy, odmawiali inni; wśród zgiełku i wrzawy trudno było zrozumieć, za czem jest większość, czy zgadza się albo nie na powtórne czytanie? Wtem powstaje Zabiełło, poseł inflancki, który przez cały czas sejmowy ani razu się nie odezwał i gromkim głosem woła: „Jestem za projektem i każdy jest za nim, kto prawdziwie kocha ojczyznę. Złączmy się już wszyscy na jego przyjęcie. Ciebie zaś, N. Panie prosimy, abyś najpierwszy na jego wykonanie złożył przysięgę, a wszyscy za twym pójdziemy przykładem.“ To powiedziawszy, zerwał się z miejsca i ruszył do tronu. Powstali za nim senatorowie i ogromna większość posłów i stanąwszy dookoła króla, wołali z zapałem, aby wykonał przysięgę. Krzyknęła chórem publiczność: „Wiwat król, wiwat nowa konstytucya!“ Powstają kobiety w galeryach, powiewają chustkami i swe głosy z ogólnym okrzykiem łączą. Napróżno marszałek stuka potężnie laską, przywołując do porządku, nic nie pomaga. Z izby entuzyazm przenosi się dalej; tłumy stojące na krużgankach i na podwórzu, biorą udział w powszechnem uniesieniu. Okrzyki: „Niech żyje król, niech żyje konstytucya“ rozlegają się jeszcze dalej na placu i w ulicach, zagłuszają salę; z tysiąców piersi jeden dobywa się głos. Wtem z garstki oponentów wyrywa się naprzód Suchorzewski, przeciska się przez tłum, pada na ziemię i leżąc z rozkrzyżowanemi rękami, krzyczy z całego gardła: „Nie dopuszczę do przysięgi, chyba po moim trupie przejdziecie.“ Ale zamęt i hałas był tak wielki, że go nie wszyscy dostrzegli; skarżono się też później, że został podeptany, co być może, bo każdy się pchał do tronu; dopiero Kublicki, siłacz wielki, podniósł go z ziemi i odprowadził na bok. Gdy tak prawie cała Izba skupiła się koło tronu i wszyscy z gorączkowym zapałem, podnosząc ręce wołali na króla, aby zaprzysiągł, marszałek nie przestawał uderzać laską i pytać o zgodę. Już nie trzy razy, ale bez końca odpowiadano mu „zgoda“ i jeśli kiedy, to w tym razie wola Izby, poparta życzeniem ludności całego miasta, była niewątpliwą. Wtedy król, którego tłum zasłaniał, chcąc być od publiczności widzianym, wstąpił na krzesło i dał znak, że chce mówić. Uciszono się natychmiast. Stanisław August, głęboko wzruszony, silnym i uroczystym głosem przemówił: „Gdy widzę stałą i wyraźną sejmujących wolę, abym wykonał przysięgę na konstytucyę narodową, wzywam zatem ciebie, pierwszy kapłanie tu obecny, ażebyś mi przeczytał rotę przysięgi.“ X. Turski, biskup krakowski i X. Gorzeński zbliżyli się do tronu; pierwszy czytał rotę przysięgi, drugi trzymał przed królem ewangelię otwartą. Król położywszy na niej rękę, przysięgę wykonał. Radość niewypowiedziana zapanowała w całem zgromadzeniu, z najwyższem uniesieniem podnoszono ręce, rzucano czapki w górę, ze łzami w oczach wołano: niech żyje! Król, stojąc ciągle na krześle, zawołał znowu: Juravi Domino et non me poenitebit. (Przysiągłem Bogu, żałować tego nie będę). Wzywam tedy kochających ojczyznę, niech idą za mną do kościoła na złożenie Bogu wspólnej przysięgi i dziękczynienia, że nam dozwolił tak uroczystego i zbawiennego dokonać dzieła.“

Ruszyli wszyscy, oprócz garstki oponentów. Gdy król wychodził z sali, zbiegły pospiesznie panie z galeryi z księżną kurlandzką na czele i zaszedłszy mu drogę, winszowały szczęścia ojczyzny. Z rozrzewnieniem przyjął je Stanisław August i odpowiedział: „Im więcej widzę ukontentowania we wszystkich, tem więcej sam go czuję.“ Była już godzina siódma, posiedzenie trwało ośm godzin. Pogodne słońce majowe już się chyliło ku ziemi i rzucało ostatnie, łagodne promienie na nieprzeliczone tłumy. Radosne okrzyki: „Niech żyje król, niech żyje konstytucya!“ brzmiały bez przerwy. Mieszczanie uszczęśliwieni wypadkiem narad sejmowych, skoro zoczyli marszałków, przerwali szpaler, porwali ich na ręce i zanieśli do kościoła św. Jana.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

IV.

Rarach.

Zmrok panował w jego grocie,
Gdy powrócił; ledwie okiem
Mógł rozeznać rozrzucone
Wkoło złomki i bałwany,
Czerniejące przed nim z dali
Tła podziemia, jak w zwaliskach
Stare miasto zasypane.
Postanowił wnet porządek
Zaprowadzić w tym bezładzie
Święty Prokop: jeden bałwan
Mógł posłużyć mu za ołtarz,
Drugi za stół, zamiast łoża
Na gromadzie chrustu w kącie
Za poduszkę stanąć trzeci;
Resztę pragnął stąd usunąć,
By z niej stworzyć małą ścianę
Wkoło wchodu do jaskini.

Wybrał dwa drewienka suche,
Póty tarł, aż się zajęły,
Iskra wystrzeliła z żagwi,
Za nią wiotka wstęga dymu,
Wnet wyparta z swego miejsca
Przez pomarańczowy płomień;
Tak zapalił wielki ożóg,
W skałę zatknął go i począł
Porządkować złomki skalne,
Przyśpiewując sobie w pracy
Ulubioną piosnkę swoją:
„Hospodine, pomiluj ny!“
Głośno tak, że silnem echem
Rozlegało się sklepienie.
Blask czerwony wnet obudził
Długich, czarnych cieni tłumy —
Jęły pełzać długim rzędem
Po sklepieniu i po ścianach,
Obejmując całą grotę
Niby węże; czasem spadła
Łza z łuczywa płonącego,
Łza czerwona na mech padła,
Mech wilgotny syczał długo.
Śród tych zwalisk zaś, śród cieni,
Biegał tam i sam olbrzymi
Mnich i dźwigał dłońą śmiałą
Stare bogi rozrzucone,
Najpierw ołtarz, potem łoże
Tworząc z nich niewprawną ręką.

Nagle w pracy swej ustanie,
Dłoń opadła, noga drgnęła;
Ledwie dotknął Swantowita,
Jęk usłyszał przeraźliwy,
Jakby zawył wilczek młody.
Zrazu mniemał, że barłogiem
Tę jaskinię wybrał sobie
Zwierz zraniony, by w spokoju
Wydać tu ostatnie tchnienie.
Skoczył chyżo, porwał ożóg,
Spojrzał lepiej i — odrętwiał:
Coś czerniało mu pod stopą,
Kłębek czarny a kudłaty,
Róg posągu pierś przygniatał
Tej jęczącej dziwnej marze.
Prokop w mig odwalił kamień
I dopiero zajrzał w lice
Swemu gościu: zoczył rogi
Nizkie, zakrzywione trochę,
Krwawy język, oko małe,
Błyskające ognia żarem,
Wstrętną pianą postrzykane
Usta, uczuł dech siarczany.
Chwycił więc za kark potwora,
A pod światło go zwróciwszy,
Ujrzał ogon twardy z kiścią,
Małe skrzydła nietoperza
Kołysały się na barkach,
Zakończone ostrym szponem,
Stopy skryte gdzieś w kopytach.
Musiał się uśmiechnąć Prokop,
Patrząc na niezgrabne ruchy
Tego tworu, to do małpich,
To do wilczych znów podobne.
Oglądnąwszy go przy świetle
Krzyżem świętym go przeżegnał:
„Azazelu, piekła płodzie,
Czemu wijesz się u nóg mych?
Idź i wracaj na pustynię![1])
Skrzeczysz tylko — mów coś przecie!
Co, nie umiesz? W imię Boga
Stworzyciela, Zbawiciela,
Wzywam ciebie, powiedz zaraz,
Czego chcesz tu? — Czyś zraniony?
Pokazujesz wciąż ku wejściu —
Kamień cię przywalił wczoraj?
Jeszcześ nie zgadł, smocze plemię,
Rodzie węży, że mi Pan Bóg
Sam torował drogę gromem?
Chcę, byś rzekł mi, jak cię zową
Między duchy przeklętymi!
Warczysz wciąż, jak wściekłe szczenię:
Ra, ra.. dobrze, bądź *rarachem*[2]).“

---

[1]) Azazel, nazwa księcia aniołów upadłych, według rabinów i gnostyków; wyraz ten czytamy w księgach kapłańskich Starego Zakonu w ustępie, opisującym obrzęd ofiarowania 2 kozłów „jednego Panu, drugiego Azazelowi“. Zabijano pierwszego kozła, a drugiego obciążano grzechami ludu i puszczano wolno na p u s t y n i ę, jako do miejsca pobytu Azazela. Dlatego to św. Prokop każe wracać dyabłu, którego bierze zrazu za owego księcia złych duchów, na pustynię.

[2]) Rarach, w mitologii słowiańskiej duch niższego rzędu, wywołujący takie zjawiska w przyrodzie jak: wicher, trąba powietrzna i t. p., potem utożsamiony z dyabłem. Tutaj poeta zużytkował dowcipnie słoworód ludowy, łącząc przyczynowo nazwę raracha z warczeniem biesa.



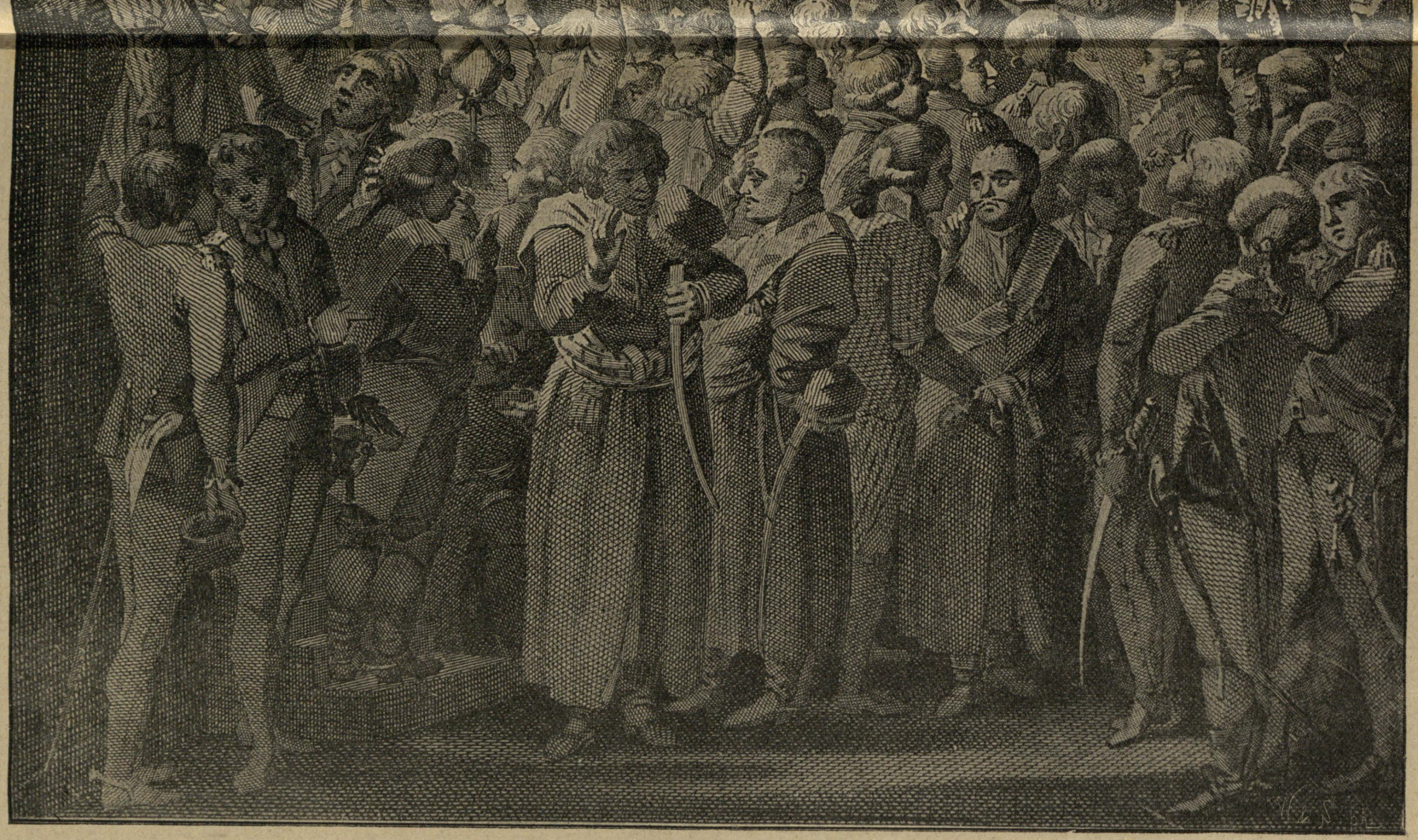

Król Stanisław August zaprzysięga w sali sejmowej konstytucyę 3. maja 1791 r.

Podobizna współczesnego obrazu J. Norblina.

Znów łuczywo zatknął Prokop,
Udarł kawał szaty sobie,
Ziół leczniczych nań nałożył,
Których narwał rano w lesie;
Klęknął nad potworkiem, rany
Nie bez śmiechu mu opatrzył,
Potem z bioder sznur zdjął biały,
Związał czarta nim na pniaku;
Boć najmniej mu wierzyć można,
Gdy mu świadczysz dobrodziejstwo.
Wziął w dłoń prawą laskę z krzyżem:
„Teraz mów, jak na spowiedzi,
Ktoś ty, jakie twoje sprawki, —
Mów, czem grzeszysz przeciw Bogu,
Mów, czem grzeszysz przeciw ludziom,
Mów, czem chciałeś mnie pokuszać!“

Bies wciąż warczał, twarz wykrzywiał.

„Co, nie myślisz odpowiadać?
Czekaj, sprawię ja ci łaźnię!
Zaraz mów: czy zwodzisz ludzi
Ku kradzieży, ku opilstwu,
Ku obżarstwu i bluźnierstwu?
Milczysz!?... dobrze, ja przemówię“.
Tu okładać począł laską
Czarcie plecy, aż się wił bies,
Krzywiąc twarz i warcząc ciągle.

„W imię Boga cię zaklinam,
Azazelu, po raz trzeci:
Mów. czy wchodzisz w ciała ludzkie,
Wzniecasz wściekłość w nich i żądzę,
Ryhasz się w bałwanach skrycie,
Zamiast bogów jesz obiaty?
Milczysz?!... dobrze, ja przemówię.“
Znowu począł młócić dyabła,
Ten zaś wił się, warcząc ciągle.

„O złośliwy a podstępny
Ty szyderco niepoczciwy,
Znam cię, znam, już mnie nie zwiedziesz,
Mały biesie: tyś dopiero
Uczniem jest w dyabelskim cechu.
Tylko nie ślińmi rąk moich
Swoją pianą jadowitą!
Tyś ów mały, niepozorny
Skrzatek [1]), który żarty stroi
Z ludzi mądrych, bogu miłych.
Tyś na czapce wszechświatowej
Ten szyderski dzwonek mały,
Co w żywiołów gwar straszliwy
Miesza zawsze syk swój wstrętny [2]);
Drobne tylko twoje złości,
Judzisz jeno i podżegasz.
Prawda, żem ugodził w sedno?
Gdy zmęczony chce podróżny
Napić się z leśnego źródła,
Przejrzystego jako kryształ:
W lot ropuchę ciśniesz w głębię,
By zmąciła wodę błotem.
Ty w jesieni nad moczarem
Często świecisz się ognikiem,
Z drogi prawej zwodzisz ludzi;
Przemieniony w muszkę małą,
Pustelnika w zachwyceniu,
Kiedy widzi siódme niebo,
Póty łechtasz w nos, aż kichnie,
Głową swą uderzy w klęcznik,
Zaklnie, no — i spadnie z nieba.
Gasisz światło na przeciągu;
By rozzłościć tylko ludzi,
Chowasz gdzieś i zapodziewasz
Różne rzeczy, a gdy rączo
Cały dom ich szuka żmudnie,
Ty, skurczony w kąt u stropu,
Śmiejesz się zeń do rozpuku.
Gdy nie możesz wodzić zbójców,
To na nóż choć, który ostrzą,
Plwasz, ażeby ostrze jego
Utworzyło się co rychlej.
Tyś złość ludzka, złość zwierzęca,
Ty w złapanej działasz liszce,
Kiedy kąsa rękę łowcy,
Tyś szpon sępi, tyś cierń róży!
Prawda, zgadłem grzechy twoje?
Więc rozgrzeszam cię — dość cięgów!
W imię Ojca, Syna, Ducha,
Wszechmocnego Gospodzina,
Wyrzuć złość ze swojej myśli,
Bądź mi odtąd sługą wiernym!
Spojrz na święte drzewo krzyża!
Milczysz? tylko łypiesz wzrokiem?
Chcesz być odtąd sługą moim?
Wiercisz się — a widzisz brachu,
Ręce liżesz mi na zgodę!
Będziesz wdzięcznym, cichym, skromnym,
Prawdomownym, próżnym fałszu?
I przyrzekasz mi poprawę?
Dobrze, ale na pokutę
Za swe grzechy pozostaniesz
Tak związanym przez noc całą.“

Skończył i pochwycił czarta,
Zaniósł w kąt — ten wkrótce ucichł,
Tylko jego wzrok ognisty,
Błyskotliwy a zielony,
Świecił w mroku ciemnej groty.

Dawno zgasło już łuczywo,
Prokop czuwał na modlitwie (C. d. n.)

[1]) Por. uw. 5 do pieśni I.
[2]) Prokop ma tu na myśli czapkę t. zw. błazeńską.

Z dziejów malarstwa polskiego.

II.

Marceli Bacciarelli.

Obok Norblina, razem z nim współcześnie działał w Polsce malarz, którego nazwisko powyżej wymieniliśmy. Urodzony we Wło-

szech w r. 1731. uczył się tam naprzód malarstwa. W r. 1753. powołany został przez Augusta III. do Drezna, gdzie się na czas dłuższy osiedlił i ożenił ze zdolną malarką miniatur, Fryderyką Richter. Z Saksonii w ciągu następnych lat ośmiu jeździł z królem do Warszawy i tamże poznał młodego stolnika litewskiego, Poniatowskiego. Krótki czas bawił we Wiedniu na dworze Maryi Teresy i malował portrety cesarskiej rodziny a w r. 1764. po elekcyi Stanisława Augusta przeniósł się na wezwanie królewskie wraz z rodziną do Warszawy; na sejmie z r. 1768. otrzymał szlachectwo polskie i został generalnym dyrektorem budowli królewskich. Odtąd oprócz jedynej podróży artystycznej po Włoszech i Francyi w r. 1787 — była ona dla niego pełną zaszczytów i chwały — nie opuszczał Polski. Po trzecim rozbiorze i przeniesieniu się Stanisława Augusta do Petersburga Bacciarelli poświęcił swą pracę Warszawie, gdzie też jako profesor malarstwa i dziekan nowo założonego przy uniwersytecie wydziału nauk i sztuk pięknych w r. 1818. umarł.

W r. 1766. otworzył on przy swej pracowni szkołę malarską prywatną, do której poczęli się wkrótce garnąć uczniowie a w ich gronie byli znani później artyści, jak Rustem, Leseur, Kucharscy, Kopff, Wall, Kazimierz Wojniakowski i inni. Na pracy profesorskiej Bacciarelli nie poprzestawał, ale sam nader wiele malował. I tak do sali marmurowej w zamku królewskim namalował szereg portretów królów polskich; w sali rycerskiej umieścił sześć wielkich kompozycyi z historyi polskiej i portrety hetmanów i wielkich ludzi. Do innych sal stworzył szereg kompozycyi mitologicznych, allegorycznych i najciekawszy ze wszystkich obraz, historyczne „Posłuchanie młynarza“ z r. 1771, na którym Stanisław August i jego dwór w portretach przedstawieni zostali. W innych małych salkach zamkowych są pełne wesołości obrazy Bacciarellego, na których w postaciach historycznych sportretowane są rozmaite piękności współczesne. Przypominają te prace naszego artysty znakomite utwory weneckiego malarza Tiepola, ale nie ma w nich nic z prawdy życiowej i siły; są mdłe, słodkie, pełne maniery. Do tej samej kategoryi utworów, z tymi samymi błędami i zaletami, zaliczyć należy sześć wielkich obrazów z historyi polskiej, zdobiących dzisiaj przeważnie apartamenta carskie w Moskwie; piękny ich opis i nader zajmujący podał Stanisław Tarnowski w dziele p. t. „Z wakacyi“ (t. I. str. 175 i n.).

Największy talent okazał Bacciarelli w malarstwie portretowem: tego rodzaju dzieła jego są zawsze bardzo pięknie i szlachetnie wykonane, pełne elegancyi w układzie a soczystości w barwach. Doskonale z nich poznać można pełną wytworności i lekkości epokę Stanisława Augusta. Portret króla w świetnym hiszpańskim stroju, w którym koronacyę odbył, należy do najpiękniejszych; również piękne są portrety pani Grabowskiej, księżnej de Nassau, ks. marszałkowej Lubomirskiej.

Oceniając działalność artystyczną Bacciarellego zważać trzeba na ogólny smak podówczas panujący. Wszechwładnie panowała podówczas szkoła francuska, z swymi mistrzami na czele: Boucherem i Wanloo. W tym też kierunku szedł i nasz malarz. Rysunek jego jest poprawny, kompozycya umiejętna, wielkie podobieństwo jest zachowywane w portretach, wielka zaś zręczność we władaniu pędzlem i w układaniu czyli grupowaniu figur. Wszystkich jednak utworów jego cechą charakterystyczną jest pewna bladawość i brak tej artystycznej indywidualności, którą odznaczał się tak świetnie Norblin. Oprócz tego nie zachowywał Bacciarelli w swych obrazach, do których zaczerpnął treści z dziejów polskich, ścisłości historycznej.

Dość dokładny spis utworów jego pędzla mieści znane dzieło E. Rastawieckiego: „Słownik malarzy polskich“. Warszawa t. I.

Y.

Mark Twain [1]).

Artykuł pana Bloke.

„Wczoraj późnym wieczorem przyszedł do naszej redakcyi nasz nieoszacowany przyjaciel, Mr. John William Bloke z Wirginii, położył z ciężkiem westchnieniem załączony tu artykuł na biurku i kroczył powoli ku drzwiom: w twarzy jego widać było głębokie i bolesne wzruszenie. Przy drzwiach zatrzymał się chwileczkę. Widocznie z trudem zdołał zaledwie tyle opanować swe uczucia, aby przemówić mógł; potem skinąwszy smutnie

---

[1]) Tym pseudonimem podpisuje się słynny amerykański humorysta Samuel Clemens.

głową w kierunku swego manuskryptu, wyjąkał zdławionym głosem: „Drogi przyjacielu, och — to straszne!“ i zalał się łzami. Tak byliśmy wzruszeni jego smutkiem, że dopiero wówczas przyszło nam na myśl zatrzymać go i pocieszyć, gdy już oddalił się. Dziennik był już pod prasą, ale ponieważ wiedzieliśmy, że naszemu przyjacielowi zależy na wydrukowaniu tego artykułu i ponieważ pochlebialiśmy sobie, że ogłaszając go w naszem piśmie sprawimy zasmuconemu głęboko autorowi ulgę i przyniesiemy temu szlachetnemu sercu ukojenie, przeto wstrzymawszy druk numeru umieściliśmy następujący artykuł pana Bloke:

Okropny wypadek. Gdy wczoraj wieczór, około 6. godziny, Mr. William Schuyler, stary i powszechnie szanowany obywatel z South Park, opuścił swe mieszkanie, aby zejść w dół ku miastu, jak to było jego zwyczajem od wielu lat, z wyjątkiem krótkiego okresu czasu na wiosnę 1850 r., kiedyto musiał w łóżku leżeć z powodu zranienia, jakiego doznał, gdy usiłował powstrzymać rozbieganego konia i stanąwszy nieostrożnie w okolicy jego tylnych kopyt machał rękami i krzyczał, co, gdyby się stało tylko chwilę pierwej, byłoby z pewnością jeszcze bardziej przeraziło spłoszone zwierzę, zamiast powstrzymać je, chociaż było to dość złowrogie dla niego samego a stało się jeszcze smutniejszem i okropniejszem z powodu obecności jego teściowej, która przy tem stała i patrzyła na ten okropny wypadek — to jednak mimo to co najmniej jest prawdopodobne, aby już nie powiedzieć pewne, że ona przy nieszczęśliwych wypadkach zwykła była patrzeć w inną stronę, gdyż w ogóle nie miała być osobą odważną i na swojem miejscu, lecz właśnie przeciwnie, jak to miała opowiadać jej matka, której już nie ma, gdyż w pełni sił z wiarą w chlubne zmartwychwstanie przeżywszy 68 lat zmarła przed trzema przeszło laty jako dobra chrześcijanka bez fałszu i bez majątku, bo pożar w r. 1849. wszystko zniszczył, co posiadała na świecie. Ale takie to już nasze życie! Obyśmy sobie wszyscy wzięli to smutne zdarzenie za przestrogę i starali się tak żyć, abyśmy umieli umrzeć, gdy do tego przyjdzie. Połóżmy rękę na sercu i złóżmy uroczyste ślubowanie, iż od tej chwili unikać będziemy upajającego puharu ziemskich uciech. (Oryginalne sprawozdanie „Kalifornijczyka“).“

* * *

Był tu główny redaktor, narobił piekielnego hałasu, wyrywał sobie włosy z głowy, powywracał meble i zmieszał mnie z błotem jak ostatniego urwisza. Ile razy powierzy mi gazetę na pół godziny — powiada — dam się wziąć na kawał pierwszemu lepszemu dowcipnisiowi lub waryatowi. A ten okropny artykuł pana Bloke, mówił dalej, to nic innego, jak ohydna gadanina, w której nie ma ani dowcipu ani sensu i szkoda było dla niej opóźniać wyjście numeru.

Otóż taki zysk, kiedy się jest dobrodusznym! Mogłem przecież powiedzieć panu Bloke, że o tak późnej porze nie mogę już przyjąć jego artykułu, ale jego zmartwienie wzruszyło moje tkliwe serce. Nie przeczytałem nawet rękopisu, aby sprawdzić, co zawiera, lecz dopisawszy parę wierszy wstępu posłałem go natychmiast do drukarni.

Teraz go przeczytam, bo chciałbym zobaczyć, czy istotnie mógł dać powód do takiego skandalu.

* * *

Przeczytałem — i muszę przyznać, że już po pobieżnem przejrzeniu zdaje się jego styl trochę pogmatwany. Muszę jeszcze raz przeczytać.

* * *

Już pięć razy czytałem ten przeklęty artykuł, ale jeżeli co rozumiem — niech mię kaczki zdepcą! Ten płód geniuszu p. Bloke uchyla się od analizy. Nie powiada on, co za wypadek spotkał owego Williama Schuylera. Czy może rana, jaką otrzymał ten zacny gentleman przed piętnastu laty od kopyta końskiego, była „okropnym wypadkiem“, który skłonił pana Bloke do złożenia nam wizyty o północy, przerywania druku dziennika i przybierania pogrzebowej miny? A może był tym wypadkiem pożar całego mienia owej teściowej? A może śmierć jej matki przed trzema laty? Albo proszę państwa — po co ten osioł Schuyler (jeżeli wogóle istniał) stał z krzykiem i gestykulacyą swoją z tyłu za spłoszonym koniem, skoro go chciał zatrzy-

mać? Jakże u licha mógł doznać uszkodzenia od konia, który go już wyminął?

Jeszcze mniej rozumiem końcowy „obrok duchowny“ i ostrzeżenie. O ile ten zbiór niedorzeczności może być dla nas nauką? Co tu ma robić ów „upajający puhar?“ Czasem przychodzi mi na myśl, czy pan Bloke nie postawił sobie takiego puharu koło kałamarza?

Im częściej odczytuję ten fatalny artykuł, tem bardziej mi się w głowie kręci. Jestem pewny, że zdarzyło się jakieś nieszczęście, ale nie mogę wykombinować, gdzie, kiedy, komu i jakie. Taki poważny i godny człowiek, jak nasz nieoceniony przyjaciel, Mr. John William Bloke z Wirginii, nie jest zdolny do płochych figlów; zapewne pisał szybko, lub pod wpływem przerażenia nie mógł myśli swych porządnie ułożyć.

Zapytam go przy sposobności o bliższe szczegóły tego okropnego wypadku.

Mowa zwierząt.

(Dokończenie.)

Głosy żab, spływające w jeden chór, można przy uważnem wsłuchiwaniu się nawet gatunkowo rozróżnić. I tak żaba wcześniówka (Rana temporaria) wydaje tylko jednozgłoskowe, słabe mruczenie. Rzekotka zielona (Hyla arborea) rzechoce donośnie, a szczególnie samce, które wzmacniają sobie głos osobnym pęcherzykiem gardłowym. Rzechoce ona w szybkich tempach jednostajnie „ep-ep, ep“. Wysokość tonu zmienia się z wiekiem; młodsze mają głos wyższy, starsze niższy. Gdy chórem na wiosnę rzechocą, wydają głos podobny do dzwonków u sanek.

Żaba wodna czyli jadłówka (Rana esculenta) zaczyna na wiosnę najpóźniej rzekotać, dopiero w połowie kwietnia, a koncerty jej trwają zwykle do połowy lipca. Jest ona najhałaśliwsza. Samice rechcą jednostajnie lub mruczą. Samce krzyczą z pewnemi modulacyami głosu, wzmacniając głos zapomocą dwóch pęcherzyków po obu stronach pyszczka się wydymających. Z ropuch paznoktówka (Pelobates) wydaje dość donośny głos kwaczący. Młode już po przeobrażeniu w miesiącu wrześniu wydawały w mem akwaryum taki głos.

Kumacz brzdęk (Bombinator igneus) odznacza się jednostajnem kumaniem: „kum — kum — kum“ a ropuszka zmienna (Bufo calamita) ma głos silny jak rzekotka i odzywa się jednostajnem szybkiem werkaniem: „ter, er, ter“, jak kółko u budzika.

Przystępujemy wreszcie do zwierząt ciepłokrwistych t. j. do ptaków i ssaków.

Ptaki prócz zwykłego głosu odznaczają się jeszcze śpiewem, mając do tego wykształcony narząd śpiewny w krtani oskrzelowej (larynx bronchialis). Są wprawdzie ptaki, których głos jest nieprzyjemny, piskliwy lub nawet przeraźliwy, przeważnie jednak posiadają głos giętki i dźwięczny. Głos służy im nietylko do śpiewu, lecz także do wzajemnego porozumiewania się: wołają do siebie, wyrażają swą radość i przywiązanie lub smutek i cierpienie. Za pomocą głosu wyzywają się do walki lub żądają pomocy i ochrony, ostrzegają przed nieprzyjacielem nietylko pobratymców tego samego gatunku, ale też i inne ptactwo. Nie dziw więc, że na upomnienia większych brodźców zważa, jak pisze Brehm, drobne ptactwo wodne; wrona ostrzega srokę i inne ptaki polne, a krzyk przestraszonego kosa płoszy ptactwo całego lasu. Ptaki z natury ostrożne są stróżami całego rodu ptasiego w pobliżu a ostrzeżenia i napomnienia z ich strony nie bywają lekceważone.

Za powrotem wiosny, gdy miłe promienie słońca obudzą zarodki roślin i pierwsze rozwiną kwiaty, mówi Virey, ptak zaczyna śpiewać. Usiadłszy między gałęziami, nuci od wschodu jutrzenki swe narzekania lub zachwyty. Zresztą jeśli ptaki nie rozprawiają między sobą po naszemu, komuż może być wiadome, o czem one rozmawiają na tych hałaśliwych zgromadzeniach w cieniu gajów? Któż zgadnie, co się odbywa w tych ustroniach tajemniczych: jaka jest policya, prawa, obyczaje tej napowietrznej, wędrownej rzeczy pospolitej, która zaludnia rozległe przestrzenie atmosfery.

Śpiewanie ptaków zwykle rozkosz, przyjaźń i przychylność wyraża. Skoro bowiem czas gnieżdżenia się ich minie, wszystkie prawie milkną.

Z modulacyi głosów u ptaków wynika, że one pomiędzy sobą więcej mają związków towarzyskich, niż inne zwierzęta; więcej też mają stosunków między sobą. Jaskółka świergocząc w gnieździe, zdaje się, rozmawiać ze swem potomstwem; kurczęta rozumieją kwo-

**

kanie matki, wiedzą, czy je woła, aby się tuliły pod skrzydła na widok jastrzębia, czy żeby zbiegały się do jedzenia. Rozmaite odgłosy bolu, radości, podziwienia, przestrachu i t. d. rozumiane są między ptakami.

Nadmienić jeszcze należy, że u ptaków oprócz pierwotnego, jest jeszcze język nabyty, wynikający ze stosunków towarzyskich. Ptaki samotne, jak n. p. drapieżne, nie mają daru śpiewania, tylko wydają dzikie krzyki, które jednak dla nich do porozumienia się wystarczają. Ptaki zaś najbardziej towarzyskie mają też język rozleglejszy od innych. Przekonano się n. p., że słowiki jednych krajów inaczej śpiewały niż drugich, że nawet ten sam gatunek śpiewaka inaczej śpiewa w górach a inaczej w nizinach. Gdzie się trafi dobry śpiewak, wykształca wiele młodych ptaszków niby uczniów na dobrych śpiewaków. Zły zaś śpiewak nawet dobrych psuje. Młodsze ptaszki naśladują głos starszych i dlatego mówi ornitolog Vieillot, że słowiki gorzej śpiewają, gdy nie uczyły się od swoich rodziców. Każdy rodzaj ptaków ma właściwy sobie głos (i dlatego mówimy: kos gwiżdże, dzwoniec dzwoni, kukułka kuka, kruk kracze, kogut pieje, kwoka gdacze, indyk bełkoce, przepiórka bije, głuszec tokuje, bocian klekoce, bąk huczy, derkacz derczy, bekas beczy, gołąb grucha, gęś gęga, kaczka kwacze). Są jednak ptaszki, które do swego śpiewu mieszają strofki innych śpiewaków; inne znów łatwo uczą się gadać kilka wyrazów ludzkich, które jednak bez zrozumienia ich ciągle lub tylko na dany znak bezmyślnie paplają.

Co do głosu ptaków nadmieniam jeszcze, że jedne jak n. p. kuraki nie mają w swym głosie tej giętkości tonów i spadków tkliwych jak inne np. czyżyk lub szczygieł, owe trubadury naszych gajów. Zresztą i moc głosu jest rozmaita. Głos drozda daleko się słyszy, bocian, klekocąc wysoko nad ziemią, napełnia echem przestrzeń prawie na milę w około a ptaki morskie mają głos donośny, aby mogły zwoływać się zdaleka podczas ryczenia burzy i nawałnicy. Że ptaki stosownie do swych uczuć szczebiocą lub krzyczą i w ogóle różne wydają głosy, wspomniałem już wyżej. Tu dodam, że przyrodnik Wenzel usiłował z ich głosów poznać ich usposobienie. Według niego więc głosy dwuzgłoskowe mają wyrażać smutek i obawę; zadowolenie mają objawiać dźwiękami krótkimi i szybko po sobie następującymi; głos łagodny i przeciągły wyraża przychylność, szemrzący lub szeleszczący oznaczać ma radość; w gniewie jest prędkim, niehar-monijnym i nieprzyjemnym a w boleści i smutku ma być jednozgłoskowy i przygłuszony.

Przechodzimy wreszcie do ssaków, u których narząd głosowy w krtani najwięcej do ludzkiego jest zbliżony. Mimoto jednak głosy ich nie mają tej miękkości i giętkości i tej modulacyi, jakie posiada głos człowieka, który przewyższa pod tym względem o wiele wszystkie zwierzęta. Ssaki mają wprawdzie w swych głosach najczęściej samogłoski (jak n. p. osioł „i-a“, leniwiec „a-i“ i t. d.) ale dźwięk ten jest nieczysty, szorstki i chrapliwy a wydany w gniewie lub rozdrażnieniu jest nieprzyjemny a nawet przykry. Głosy są każdemu gatunkowi właściwe, jak to już nazwy wskazują. Mówimy bowiem, że koń rży, wół ryczy, owca beczy, świnia kwiczy, pies szczeka, wilk wyje, kot miauczy, świstak świszcze, niedźwiedź mruczy i t. d. Że głosy ich służą im również do okazania swego wewnętrznego usposobienia względem otoczenia i że mimo małej modulacyi głosu potrafią porozumiewać się, mamy na to liczne przykłady, z których choć jeden tylko przytoczę.

Jeżeli np. na wiosnę połączymy kilkaset owiec z różnych obór w jedną trzodę, pędząc ją na połoniny (hale), to przecież nie trudno, aby jagnię zagubiło się od matki; a jednak gdy się to zdarzy, po głosie pozna ono wśród więcej owiec beczących swoją matkę i do niej biegnie.

Wiemy też, że naśladując zapomocą odpowiednich przyrządów głosy niektórych zwierząt możemy je do pewnej odległości zwabić, z czego też myśliwi często korzystają.

Że wreszcie zwierzęta nie tylko między sobą porozumiewają się, ale starają się wyrozumieć nawet mowę ludzką, na to mamy dość przykładów na naszych zwierzętach domowych a mianowicie na psach, kotach lub koniach.

* * *

W pierwotnym okresie dziejów ludzkości człowiek, bardziej zbliżony do natury i pilniej uważający na czynności, poruszenia i głosy każdego gatunku zwierząt — lepiej niż dziś rozumiał ich uczucia i charakter. W tych dawnych wiekach „cała ziemia też same miała

usta“ podług wyrażenia księgi Rodzaju, bo wszystkie stworzenia żyjące używały języka ruchów, języka głuchych i niemych, złożonego z migów i krzyków a rozumianego zarówno przez ród ludzki jak i zwierzęta. Odkąd jednak doszliśmy do używania artykułowanej mowy, odtąd przestaliśmy rozumieć mowę zwierząt i oddaliliśmy się o całe niebo od pierwotnego stanu dzikości. *Leopold Wajgiel.*

Nestor u Homera.

(Ciąg dalszy.)

Nestor przed wojną trojańską.

Neleus, syn Posejdona i Tyrony, miał za żonę Chlorydę, córkę Amfiona, która mu powiła dwunastu synów i jedną córkę. Wszystkich tych synów zabił mu Herakles, z wyjątkiem Nestora [1]), który podówczas, młodzieńcem będąc, bawił przypadkowo w Gerenii [2]). Po klęsce, którą Herakles zadał Pylijczykom, Elejczycy zaczęli pomiatać mieszkańcami Pylosu, wpadli do ich ziemi i uprowadzili im stado wołów. Okoliczność ta stała się powodem wojny, w której młody Nestor, sił pełen, zabił Itymoneusa i z bogatymi łupami wrócił do Pylosu, czem wielce uradował swego ojca [3]). Elejczycy niebawem powtórzyli napad. Neleus, nie chcąc puścić swego jedynaka na nowe niebezpieczeństwo, schował mu rumaki, przez co jednak nie wstrzymał go od walki. Nestor bowiem bierze udział w bitwie, pieszo dzielnie się potyka, a nawet zabija wodza Elejczyków, Muliusa, wskakuje na jego wóz i „do burzy o gromach złowieszczych podobny“, roznosi śmierć i zniszczenie i wrogów z kraju wypędza [4]).

Do czynów młodości naszego bohatera, oprócz dwóch innych mniejszego znaczenia, należy też walka z Ereutalionem, wojownikiem arkadyjskim. Gdy wybuchła wojna pomiędzy Pylijczykami i Arkadyjczykami, Ereutalion wyzywał co najlepszych przeciwników na pojedynek, ale żaden nie miał odwagi wystąpić. Jeden tylko Nestor, choć wiekiem najmłodszy [1]), nie uląkł się groźnego bohatera, stanął z nim do walki i życia go pozbawił [2]).

Nestor, w Pylosie urodzony [3]), po ojcu swoim objął rządy [4]). Miał za żonę Eurydykę [5]) i liczne potomstwo — synów: Antilocha [6]), który życie utracił pod murami Troi [7]) Trazymedesa [8]), który także walczył pod Troją, Pizystrata [9]), Echefrona, Stratiosa, Perseusa, Aretusa i córkę Polykastę [10]).

Przed wojną trojańską Nestor i Odysseusz objeżdżają dwory książąt achajskich, chcąc ich skłonić do udziału w wyprawie, przybywają na dwór Peleusa i syna jego Achillesa jednają dla sprawy Achajów [11]).

Te tylko wypadki znane nam są z życia Nestora przed wojną trojańską. Charakteryzują go one jako dzielnego bohatera.

Na wojnę trojańską Nestor dąży z dwoma synami: Antylochem i Trazymedesem i 90 okrętami [12]).

Nestor podczas wojny trojańskiej.

Nestor pod koniec wojny trojańskiej jest już starcem, liczącym około 70—80 lat, starcem, który przeżył dwa pokolenia, a nad trzeciem panuje [13]). To też tak poeta, jak i bohaterowie nazywają go starcem, a nawet bogini Atena mianuje go miłym staruszkiem.

Jakoż rzeczywiście jest on typem bardzo miłego starca, posiadającego dziwną charakteru słodycz, która przebija się we wszystkiem, co robi, a nadewszystko w tem, co mówi. Każda jego przemowa, pełna powagi, godności i spokoju, zyskuje poklask i uznanie, bo w każdej znajduje się mądra rada, która trafia do przekonania słuchaczów. Do bohaterów odzywa się staruszek z Pylosu za-

---

[1]) Il. XI. 690. n. — [2]) Niektórzy sądzą, że Γερήνιος nic innego nie znaczy tylko podeszły wiek Nestora; niektórzy zaś mniemają, że przydomek ów wziął Nestor od miasta Gerenii, w którem się wychowywał podczas wojny Herkulesa z Pilijczykami. [3]) Il. XI. 668—705. — [4]) Il. XI. 706—762.

[1]) Il. VII. 153. - [2]) Il. IV. 319; VII. 132 do 156. — [3]) Il. II. 54, — [4]) Il I, 252; II. 77; Od. I. 284; III. 5. 17. — [5]) Od. III. 451 n. — [6]) Il V. 565; VI. 30 n. i t. d. — [7]) Od. III. 112. [8]) Il. IX. 80 i t. d. — [9]) Od. III. 36 i t. d. — [10]) Od. III 413 - 465. — [11]) Il XI. 765—790. — [12]) Il. II. 601 n. — [13]) Chcąc wiek Nestora oznaczyć, musimy uwzględnić 2 miejsca: Il. I. 250 nn. Od. III 245, w których czytamy, że Nestor żyje już z 3 generacyą (γενεαί). Ponieważ Herodot (II. 142) pisze: „γενεαὶ τρεῖς ἀνδρῶν ἑκατὸν ἔτεά ἐστιν“, przeto łatwo wywnioskować, że Nestor w czasie walk pod Trojąliczy 70—80 lat.

wsze dziwnie słodko, jak ojciec do ukochanych synów [1]).

Starość jest Nestorowi tak właściwą, jak Achillesowi niezwyciężone męstwo lub Odysseuszowi przytomność umysłu albo przebiegłość. Jak więc Achilles albo Odysseusz, z powodu swych ciała i duszy przymiotów, należą do najznamienitszych bohaterów epicznych, tak Nestor, właśnie dla swej starości i zalet z nią połączonych, wybitne zajmuje miejsce pomiędzy postaciami, stworzonemi przez Homera. Przez tę swoją starość i jej przymioty, wyrósł on na postać tak wielką i tak ważną, że w tłumie wojowników nie ginie, owszem na pierwszorzędne wysuwa się miejsce, różniąc się wybitnie od reszty bohaterów.

Jako starzec wie on i pamięta wiele dawnych rzeczy: *παλαιά τε πολλά τε εἰδώς* [2]), z których czerpie dla siebie doświadczenie, roztropność i praktyczną mądrość. Pierwszym tedy Nestora przymiotem, który wysławia Homer, a którego nasz bohater rozliczne złożył dowody, jest doświadczenie i roztropność, różniąca się od roztropności Odysseusza, będącej podstępem, chytrością i przebiegłością. Nestor kłamstwa nie powie, jak o nim wyraża się Atena [3]) i raz tylko podsuwa fortel książętom greckim, radząc, by kogoś wysłali na zwiady do trojańskiego obozu [4]).

Widząc i należycie oceniając swym rozumem, ile złego sprowadza na Achajów niezgoda pomiędzy Agamemnonem i Achillesem, Nestor stara się ich pogodzić. A jak wymownie to robi! Wódz naczelny i bohater pierwszy między wszystkimi powinni — według niego — zaniechać osobistego sporu dlatego, że gdyby wieść o nim doszła do Troi:

„Toby dopiero ucieszył się Pryam i jego synowie,
Innym też także Trojanom to bardzoby było po
[myśli [5]).

Achilles, choć dzielny i boskiego pochodzenia, powinien wyrzucić ze swego serca gniew przeciw królowi, który jest potężniejszym i nad większym panuje ludem; Agamemnon zaś powściągnąć popędliwość przeciw temu, który:

„. . . . . .wielkie dla wszystkich
Synów Achai przedmurze stanowi w nieszczęsnych
[zapasach [1]).

Albo gdy Agamemnon, zwoławszy ludu zgromadzenie, na próbę ogłosił powrót do ojczyzny i gdy lud wojną strudzony począł się raźno gotować do podróży, Nestor — co prawda w podstęp króla wtajemniczony — skarciwszy naprzód krzykaczów bających, jak małe dzieci, upomniał rzeszę, by się nie dała złamać przeciwnościom i by wytrwała w swych przedsięwzięciach aż do pomyślnego skutku [2]). Przemowa poważnego starca, pełna męskiego honoru, trafiła do przekonania i osiągnęła cel zamierzony.

To samo powtórzyło się, gdy Agamemnon po raz wtóry doradzał odjazd, czemu Nestor się sprzeciwił i zwyciężył [3]).

Albo innym razem, kiedy Hektor, pożegnawszy swoich najdroższych: żonę i syna, wyzwał najdzielniejszych Achiwów na pojedynek i kiedy z jakiejś niepojętej trwogi żaden z nich, prócz Menelausa, nie śmiał wystąpić, wtedy Nestor znalazł dość roztropności, ażeby poruszyć odwagę towarzyszy wojennych. W przemowie swej umiał trafić do ambitnej duszy wojowników tak, że aż dziewięciu zgłosiło się do walki z Hektorem [4]). Stąd powstała trudność — nie wiedziano bowiem, kogo wybrać do rozprawy z Trojańczykiem — z której wywiódł ich starzec pylijski, radząc, ażeby losem rozstrzygnęli, kto ma się potykać z synem Pryama [5]). Losy rzucono do hełmu Agamemnona; Nestor je pomieszał [6]) i ku wszystkich zadowoleniu wyrzucił los Ajaxa.

Później przy innej sposobności, po uczcie, przypomina Agamemnonowi, że mu radził, ażeby nie zabierał Achillesowi Bryzeidy i męża pierwszego z wszystkich nie obrażał; że Agamemnon nie usłuchał głosu rozsądku i tym sposobem stał się przyczyną rozlicznych klęsk achajskich, wobec których nic innego zrobić nie wypada, tylko się zastanowić, jakby Achillesa ugłaskać: „dary miłymi i pochlebnemi słowy [7])“. Wódz naczelny, wzruszony mową starca z Pylosu, przyznaje się do winy i złe pragnie naprawić. Nestor korzysta natychmiast z chwili, wybiera sam posel-

---

[1]) Il. X. 169, 192 n. IX. 163 itd. — [2]) Od XXIV. 51. — [3]) Od. III. 20. — [4]) Il X. 204 nn. [5]) Il. I. 255 nn.

[1]) Il. I. 284. — [2]) Il. II. 336 nn. — [3]) Il. IX. 52 nn. — [4]) Il VII. 123 nn. — [5]) Il. VII. 170 nn. — [6]) Il. VII 181. — [7]) Il. IX. 113.

stwo do Achillesa i daje mu przed odejściem zlecenia, szczególnie Odysseuszowi [1]).

Te były zasługi Nestora, mające swe źródło w jego doświadczeniu i roztropności. Jakże one różne od zasług Ajaxa albo Dyomedesa, a przecież takie, że zasługom tych bohaterów nie ustępują, owszem je przewyższają! W odległych czasach bohaterskich w życiu ludzkiem tak, jak dziś, nietylko siły ciała, lecz także siły ducha miały swoje znaczenie. Dlatego też poeta obok bohaterów, którzy męstwem i siłami ciała się odznaczają, przedstawił także Nestora i Odysseusza, którzy bardzo poważne zajmują stanowisko, właśnie dla swych duchowych przymiotów.

(C. d. n.) *Józef Szafran.*

Pogadanka.

Naród, który taki, jak nasz, ma tyle do odrobienia, a wszędzie wśród bardzo ciężkich warunków, powinienby często i głęboko rozważać pytanie: czem się społeczeństwa dźwigają? W najogólniejszej formie możnaby na to pytanie odpowiedzieć: myślą i czynem; myśl wskazuje cele i drogi, czyn urzeczywistnia myśli. Oba czynniki są niezbędnie potrzebne do postępu.

Należy teraz rozstrzygnąć drugą kwestyę, czy oba potrzebne są w równej mierze. Jeżeli weźmiemy słowo „myśl“ w znaczeniu dosłownem, codziennem, to mielibyśmy odpowiedź: tak, bo każdy czyn musi poprzedzić myśl wykonawcy; inaczej jednak rzecz się przedstawi, jeżeli weźniemy to słowo w znaczeniu ściślejszem, a więc jako „myśl nową, pomysł oryginalny“, objawiające się w odkryciach naukowych czy wynalazkach praktycznych, którymi jedynie postęp mierzyć można. Nowy pomysł Anglika może dać całej ludzkości materyału do czynów na całe wieki (maszyna parowa), nowe odkrycie Francuza może zapłodnić czynami życie milionów także na długie czasy (Pasteur). Bo myśl jest własnością całej ludzkości, a przy dzisiejszych środkach komunikacyjnych rozpowszechnia się bardzo szybko; własnością i bogactwem narodów może być tylko czyn. Z tego widać, że podniesienie i dobrobyt narodów nie zależą od ilości wielkich odkrywców i wynalazców, ale od sumy skromnych pracowników, którzy choćby cudze myśli na narodowy kapitał przerabiają.

Ale jak „myśl“ tylko w człowieku i z człowiekiem da się wyobrazić, tak czyn tylko przez człowieka może być dokonany; z tego powodu niepodobna rozważać tych pojęć „in abstracto“, w zupełnem oderwaniu od medyum, przez które się one objawiają. „Myśl“ w odniesieniu do człowieka daje nam talent, który w najwyższej potędze przedstawia się jako geniusz. Stąd mamy ludzi talentu, którym przeciwstawić potrzeba drugą kategoryę jako ludzi czynu. Do pomyślnego rozwoju i postępu narodu potrzebne są z pewnością oba rodzaje ludzi, ale jak wynika z poprzednich wywodów, ludzie czynu więcej, niż ludzie talentu; tych ostatnich możesz sobie pożyczać z całej ludzkości, tamtych każdy naród musi mieć własnych.

I to dobrze, że tak jest, bo przez to każdy naród ma do pewnego stopnia przyszłość swą we własnej mocy, może ją urabiać powoli i przemieniać. Talent bowiem jestto dar boży, który człowiek ze sobą na świat przynosi, może go rozwinąć lub zakopać, ale stworzyć go tam, gdzie go niema, nie potrafi, natomiast siłę czynu może każdy stosownem wychowaniem, szczególnie tak zwaną samoedukacyą wykształcić. W tem też jedynie tkwi cała pociecha nasza, cała nadzieja lepszej przyszłości.

Cóż przedsięwziąć, aby tę siłę czynu w sobie wyrobić? — Każdy czyn jest objawem woli, jej rzutem na zewnątrz, więc rzecz jasna: kształcić silną wolę! Bardzo zaś prosty i łatwy środek ma do tego każdy w rękach; wyrabiasz mięśnie pracą fizyczną t. zn. ruchem mięśni; kształcisz siły umysłowe pracą umysłową — myśleniem, kształć wolę ruchem woli — czynem. Niech nie mija jeden dzień bez takiego ćwiczenia, choćby, iż nie będziesz palił papierosa publicznie, ale pilnie przestrzegaj, aby po każdym akcie woli czyn naprawdę nastąpił, bo inaczej wyrobisz w sobie straszliwy w skutkach nałóg „dobrych chęci“. „Dobremi chęciami piekło jest brukowane“ mówi przysłowie, a już sam fakt, że takie przysłowie jest w naszym języku, smutnie świadczy, że to nasza narodowa choroba. Wypełnić życie całe „dobremi chęciami,“ to znaczy zmarnować je dla siebie i narodu, zgotować sobie najnieszczęśliwszą starość.

[1]) Il. IX. 162 nn.

Ale jedna jeszcze uwaga: nie każdy czyn jest dla społeczeństwa i ludzkości pożyteczny. Historya przekazała nam wiele takich, których bogdajby nigdy nie było. Czyn musi być moralnie dobrym, a więc musi być wynikiem moralnie dobrej woli. Wola, wyćwiczona w ten sposób, iż się statecznie zwraca w dobrym kierunku, stwarza moralny charakter; nie wystarczy więc być człowiekiem czynu, trzeba być człowiekiem moralnego czynu, człowiekiem z charakterem. Gdy zaś to zestawimy z poprzednimi wywodami, to otrzymamy w rezultacie, że pomyślny rozwój narodów więcej zależy od sumy charakterów, aniżeli sumy talentów. Dziś, gdy tego cennego przymiotu duszy coraz większy brak między nami uczuć się daje, zrozumiej młodzieży, którą drogą iść trzeba, aby lepszą przyszłość zgotować.

Wiek nasz kończy swój żywot czynami, które całej ludzkości nieobliczalny na razie przyniosą pożytek, i o nich chcę teraz wspomnieć. O kolei syberyjskiej już wiecie, bo się buduje już od kilku lat, a ma połączyć przez całą szerokość północnej Azyi ostatnią stacyę kolejową Czelabę z Władywostokiem nad morzem japońskiem, w długości 7560 km. Jeszcze nie ukończono tego śmiałego i arcytrudnego przedsięwzięcia, a już w innej stronie świata powzięto może jeszcze śmielszą myśl poprowadzenia kolei przez całą długość Afryki dla połączenia Aleksandryi z krajem przylądkowym. Długość tej linii, przebiegającej Afrykę przez wszystkie jej strefy klimatyczne, przecinającej równik w okolicy wielkich jezior, jest cokolwiek nawet większa od azyatyckiej. Trudno dziś dokładnie obliczyć doniosłość tych robót, to pewna, że obie linie staną się arteryą, którą popłynie życie cywilizacyi do krajów, dotychczas od niej zupełnie odciętych. Ale to jedno można przewidzieć, że po obydwóch stronach tych linii, wynoszących razem okrągło 15.000 km., otworzy się dla kolonizacyi pole, w pierwszej chwili przynajmniej 8 km. szerokości, t. zn. 15.000 × 16 = 240.000 km². przybędzie ludzkości do zamieszkania, ziemi przeważnie urodzajnej, mało zaludnionej, a dającej się łatwo skolonizować przy pomocy takiego potężnego środka komunikacyjnego, który dostarczy wszystkich potrzebnych do tego narzędzi z Europy. Na tej przestrzeni, licząc tylko 25 mieszkańców na 1 km². (średnie zaludnienie Salcburga) znajdzie pomieszczenie 6,100.000 ludzi! To są czyny, którymi ludzkość gotuje sobie lepszą przyszłość; na to wystarczy siła talentu niewielu ludzi, ale kto potrafi obliczyć, ile siły woli? *Kropka.*

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Poradnik dla zbierających rośliny. Na życzenie jednego z prenumeratorów podajemy wskazówki co do zakładania zielników

Do zbierania roślin trzeba mieć puszkę blaszaną, łopatkę żelazną lub szerokie dłuto do wykopywania roślin, kilka arkuszy bibuły, aby w nią owijać mniejsze i delikatniejsze okazy; przyda się też i lupa do rozpoznawania okazów Należy zbierać tylko zupełnie już rozwinięte rośliny t. j. mające korzeń, łodygę, liście, kwiat i owoc, a przynajmniej zawiązek.

Okaz oczyszcza się z ziemi i pyłu, potem wkłada w arkusz miękkiej bibuły (używanej do filtrowania), uważając, aby liście i kwiaty nie pokrywały się wzajemnie. Następnie kładzie się kilka takich arkuszy z roślinami jeden na drugim, przegradzając je atoli 2 — 3 próżnymi arkuszami. Taką warstwę arkuszy wkłada się między dwie deszczułki i ściska w prasie (n. p. w prasie do serwet) lub przykłada ciężarem 2—3 klg. (kamienie, cegły itp.). Co dzień zmienia się bibułę wilgotną na suchą; wilgotnych arkuszy można po wysuszeniu na słońcu lub nad kuchnią na nowo używać. Rośliny bardzo soczyste, lub rozwijające się z cebulek, wkłada się na chwilę do wrzącej wody, potem się je suszy trochę i dopiero kładzie w bibułę; jednak kwiatu nie można kłaść do wrzącej wody. Cebulę trzeba przekroić i tylko połowę lub jeszcze mniej zostawić do zasuszenia.

Roślinę, już zasuszoną, kładzie się na czysty arkusz papieru, przymocowując wązkimi skrawkami papieru nagumowanego, i wypisuje pod nią nazwę rośliny (łacińską i polską) oraz czas i miejsce zbioru

Do rozpoznawania roślin polecić możemy dla początkujących polski podręcznik Borowiczki, a z niemieckich: Dr. Willkomm, Schulflora i Dr. Schwaighofer, Tabellen zur Bestimmung der Samenpflanzen (we wszystkich układ Linneusza). Porządkować rośliny w zielniku najlepiej podług botaniki szkolnej.

Mchy tak samo się zbierają, nawet mniej z nimi kłopotu, trzeba tylko uważać, aby miały owoce (puszki z zarodnikami), co bywa zwykle tylko na wiosnę i w jesieni.

Żywienie ryb w akwaryach. Akwaryum z bujną wodną roślinnością i z rybkami stanowi nie tylko ładną ozdobę pokoju, ale i ciekawy przedmiot obserwacyi. Nieraz jednak można się spotkać ze skargą, że pomimo ciągłej opieki rybki w akwaryum giną. Właśnie ta zbytnia, ciągła opieka jest najczęściej przyczyną ich śmierci. Chcąc dogodzić

rybkom, dajemy im pożywienie w większej ilości, niż potrzebują. Pozostały pokarm, rozkładając się, zanieczyszcza wodę trującymi gazami. Należy więc dawać rybkom mało pokarmu i rzadko, można je nawet tylko 2 lub 3 razy tygodniowo karmić, bo tym sposobem uniknie się zanieczyszczenia wody i zapobiegnie się zbyt szybkiemu wzrostowi rybek, co dla akwaryum również jest rzeczą pożądaną. Zresztą rybki dosyć pożywienia znajdują w roślinności akwaryum, gdzie mnóstwo wylęga się raczków i innych drobnych zwierzątek.

Filatelia. Zbieranie i rozpoznawanie znaczków pocztowych, kart korespondencyjnych, opasek i listów kartowych nazwano filatelią.

Sport ten powstał w połowie bieżącego stulecia w Anglii, a stamtąd przeniósł się do Belgii, Francyi i Niemiec. W Anglii uprawiano zbieranie marek jak każdy inny sport dla zabawy, w Belgii zaś i w Niemczech zajęto się filatelią w sposób naukowy. We Francyi nazwano ten sport „Timbrologią“, w Anglii zaś „Filatelią“ i to ostatnie miano przyjęło się we wszystkich krajach. Studyowanie filatelii, tak jak każdej innej nauki, wymaga pewnych wstępnych wiadomości i początkowego wykształcenia. Miłośnik filatelii, chcąc należycie oddawać się tej wiedzy, powinien przedewszystkiem znać dobrze geografię, historyę nowożytną i monety tych państw, których marki zamierza gromadzić w swym zbiorze. Dlatego filatelia systematycznie i racyonalnie uprawiana może stać na równi z genealogią, etnografią, heraldyką, numizmatyką etc. Początkowo musiała sobie zdobywać obrońców i zwolenników, do których w niemałej liczbie należą ludzie starsi, oddający się poważnym naukom i zajmujący wybitne stanowiska. Jednym z takich niestrudzonych obrońców był Dr. J. E. Gray (1800 — 1875), kustosz Brytyjskiego Muzeum, który przekonująco dowodzi, że miłośnicy filatelii mogą z niej czerpać wiadomości, odnoszące się do geografii, historyi, heraldyki i numizmatyki i że porządny zbiór marek może służyć za wyciąg z historyi powszechnej ostatniego czterdziestolecia. Prócz tego zaznajamia nas filatelia z chemią, wskazując fałszerstwa marek, zapoznaje też swych zwolenników z technologią, opisując im rozmaite sposoby wyrabiania papieru, druku, farb i t. d.

W Niemczech, w Szwajcaryi, Belgii, Francyi i Anglii tworzą się związki filatelistów, które wydają specyalne pisma i książki, traktujące o markach. Główną siedzibą takiego wszechświatowego związku jest Berno szwajcarskie W Galicyi mamy stowarzyszenie z siedzibą w Krakowie, króre nosi nazwę: „Klub filatelistów polskich“ Sekretarz tego klubu zaczął wydawać z dniem 1. stycznia 1899 r. polską gazetkę p. t. „Filatelia“. (Redakcya: Kraków ul. Kurnicka l. 7.).

Zagadnienia naukowe.

Nr. 21. Kto pisał w Polsce sonety w XVI. stuleciu?

Nr. 22. Które punkty na kuli ziemskiej mają tylko jedną stronę świata?

Nr. 23. Które drzewa dosięgają największej wysokości?

Nr. 24. Gdzie się mieści u owadów zmysł powonienia?

Nr. 25. Ojciec ma obecnie 32 lat, a syn jego 2 lata; po ilu latach będzie ojciec 3 razy starszy od syna?

Odpowiedzi (każdą na osobnej kartce lub na osobnej części korespondentki, każdą z podpisem) należy przysłać do 20. maja b. r. (Ob zresztą 2. numer „Przyjaciela“.)

Nagroda: Zycha (Żeromskiego) powieść „Syzyfowe prace“ (życie młodzieży szkolnej w Królestwie polsk.) Lwów 1898.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 16 20.

Nr 16. Autorem trzech pierwszych zwrotek pieśni „Boże coś Polskę“ jest Alojzy Feliński († 1820) autor „Barbary.“ Pieśń ta była pierwotnie napisana na uroczystość koronacyi Aleksandra I. na króla polskiego w r. 1816; potem ją przerobiono.

Nr. 17. Pionowa linia biegnie w kierunku środka ziemi; w tym środku zbiegają się więc pionowe wszystkich punktów na powierzchni lub nad powierzchnią ziemi, jeżeli je dostatecznie przedłużymy. Te przedłużenia od powierzchni są promieniami kuli ziemskiej; promienie, poprowadzone z punktów, oddalonych od siebie na powierzchni o 90° szer. geogr., będą stały do siebie prostopadle

Nr. 18. Pierwszym dopływem Wisły w górnym biegu jest strumień Malinka, uchodzący do Wisły we wsi Wiśle na Śląsku austryackim.

Nr. 19. Przenoszenie pyłku odbywa się przez owady lub przez wiatr; w pierwszym wypadku są kwiaty świetniejsze.

Nr 20. Gdy para wodna zacznie się w powietrzu zgęszczać i skraplać, atmosfera traci przeźroczystość, błękit nieba blednie i przewagę zyskują promienie światła czerwone i żółte, a niebo przybiera czerwoną barwę Stąd krwawy zachód słońca może być niekiedy wróżbą niepogody.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. kwietnia: Brzeżany: Bednarowski A. (na zagadn. nr. 19, 20). Buczacz: Siemianowicz J. (17, 19, 20). Werhun W. (17, 20). Jarosław: Gross J. (16, 17, 19). Jasło: Kaniowski T. (16), Kraków: Dziurzyński M (17, 19, 20), Oszacki A. i Sobolewski J. (17, 19), Stadtmüller K. (16, 17, 18, 19, 20). Krosno: Niedzielski K. (17, 19, 20). Lwów: Antenor (pseudonim) (17, 19, 20). Chrzanowski A. (19), Czarnecki B. (16, 19), Dubieński A. (16, 17, 19), Kobierzycki L. (16, 17, 19, 20), Mann J. (16, 19), Schönhuber A. (17, 19), Stańkowski F. (17), Stögbauer A. (16 17, 19), Stromenger J. (17, 18, 19), Witoszyński R. (16, 17, 19). Nowy Sącz: Mondalski W. (17, 19, 20). Przemyśl: Blajer K. (16, 17, 19), Widacki S. (16). Sambor: Biegelmeyer A. (17, 20), Herdliczka J. (17, 19, 20). Sanok: Brzozowski J. (17, 19, 20). Tarnów: Reck O. (17, 19). Wadowice: Jura A. (17, 19). Złoczów: Niementowski J. (16, 17, 19, 20). Nadto

bez podpisu ze Lwowa przysłano odpowiedzi na nr 17, 18, 19, 20.

Nagrodę („Wybór poezyi Asnyka“) otrzymał przez losowanie: Niementowski Jeremi w Złoczowie.

Zadanie gwiazdkowe.

(*Ułożył W., uczeń gimn. w Jarosławiu*)

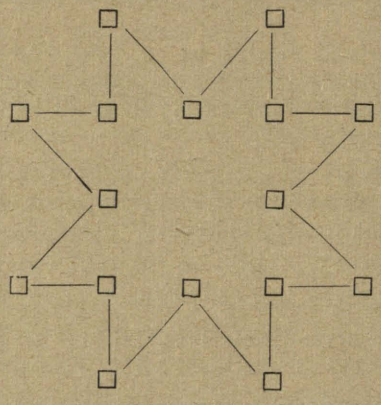

W 16 kwadracikach ustawić cyfry od 1 do 16 tak, ażeby suma 5 cyfr w rzędach pionowych i poziomych wynosiła po 39.

Rozwiązania nadsyłać należy do 20. maja br.

Rozwiązanie zadania konikowego.

„... nim ja w śmierć ojczyzny uwierzę,
Chociażby jak trup leżąc w grobie zbrzydła,
Porwę ją z ziemi tak, jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, aż gdzie Pan Bóg świeci,
Puszczę — jeżeli żywa, to poleci!..“

(*J. Słowacki:* Poeta i natchnienie)

Trafne rozwiązanie nadesłał do 20. kwietnia: Niedzielski Kazimierz w Krośnie.

W drobnych szczegółach wadliwe, lecz wogóle trafne: Blajer K. i Widacki S. w Przemyślu.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

A. J. w W. Uwzględniając życzenie Sz. Prenumeratora i kolegów, podajemy w tym numerze wyczerpujące wskazówki co do zakładania i urządzenia zielników.

J. G. w J. Łamigłówka bardzo udatna, dziękujemy.

K. Bl. Dzięki za życzenia.

R. S. Nazwa pochodzi od miasta Jalapa (czytaj Chalapa) w Meksyku, gdzie przyrządzają dla celów leczniczych i rozsyłają w świat korzenie rośliny „Ipomea purga H.“ z rodziny powojowatych (convolvulaceae). Rośnie ona na wschodniem wybrzeżu Andów meksykańskich w wysokości 1900 m. nad morzem. Jako lekarstwo na żołądek zwane też „czarnem rumbarbarum“ znana była jalapa w Europie od r. 1610. Proszę porównać koniec ballady Mickiewicza „Renegat“ (Basza) cz. II. — Tym razem wyjątkowo odpowiadamy, choć list bez podpisu.

Samborzanin. Wzrost stały, lecz dość powolny. Cieszy nas, że widzimy w liście postęp co do stylu i pisowni.

Weles. Trudno rozstrzygnąć między francuskim a angielskim językiem; pożyteczna jest rzecz znać oba. Angielski ma nader łatwą gramatykę a trudną wymowę; podręcznik podano w 4. numerze naszego pisma (Skrzynka pocztowa pod godłem „Arystoteles.“). Co do francuskiego języka możemy polecić książkę Ahna (oprac po polsku p. Wechslerowa, cena 80 ct.), gdyż jest łatwa i zwięzła. Można dostać w którejkolwiek księgarni. Z większych podręczników polecamy gramatykę Studniarskiego i wypisy Świtkowskiego, ale cen nie znamy, gdyż to są książki dawniej wydane, może nawet wyczerpane.

Z nad Pełtwi. Proszę przerobić książeczkę „Dwanaście lekcyi języka włoskiego“ (cena 40 do 50 ct.); to wystarczy, gdyż dla tych, co uczyli się łaciny, jest to może najłatwiejszy z obcych języków. Obszerniejszy podręcznik Rykaczewskiego będzie zapewne trudniej nabyć.

Sprostowanie.

Z powodu pospiechu, z jakim drukował się 4. numer (przed świętami) wkradły się doń niektóre omyłki. I tak: Na str. 50 (lewa szpalta wiersz 16. z góry) powinno być „słuszne“ zamiast „sztuczne“; na str. 61 (prawa szpalta, w. 21 z g.) powinno być „O poparcie i rozpowszechnianie“, tamże w wierszu z 17 z d ma być „i tu“ zamiast „gdzie“; na str. 62 (lewa szpalta, w. 32 z g.) „chociaż“ zamiast „jednak“. Inne błędy druku w „Pogadance“ zapewne czytelnicy sami sprostowali (np. wziąść, żywotnoźć, szport etc.).

Przy sposobności prosimy o poprawienie w 2. numerze na str 29 (lewa szpalta, w. 11 z dołu) „praktyczniejszem“ na „piękniejszem“.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: 3. Maja 1791 r. — *J. Vrchlicky*, Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Z dziejów malarstwa polskiego II. Marceli Bacciarelli, przez *Y.* — *Mark Twain*, Artykuł pana Bloke. — Mowa zwierząt, przez *L. Wajgla*. (Dokończenie.) — Nestor u Homera, przez *J. Szafrana*. (C. d.) — Pogadanka, przez *Kropkę*. — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Zadanie gwiazdkowe. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Sprostowanie.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. czerwca 1899. Nr. 6.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
ul. Piekarska l. 5,
I. piętro.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Często chwila jest liczbą, reszta życia zerem“. *K. Ujejski.*

Alfons Daudet.

Ostatnia lekcya.

Opowiadanie Alzatczyka.

Tego dnia spóźniłem się bardzo do szkoły i obawiałem się bury, tem bardziej, że pan Hamel zadał nam imiesłowy, których wcale nie umiałem. Na chwilę przyszła mi nawet myśl do głowy opuścić lekcyę i pójść sobie na przechadzkę w pole.

Było tak ciepło, jasno!

Zdala dochodziły dźwięki pogwizdywania kosów na skraju lasu i odgłosy mustry Prusaków za tartakiem na łące Rippet. Wszystko to pociągało mnie daleko bardziej, niż prawidła o imiesłowach; lecz miałem dość siły, ażeby oprzeć się i poszedłem do szkoły.

Przechodząc koło merostwa, spostrzegłem gromadkę ludzi, tłoczących się przed małą kratą z ogłoszeniami.

Od dwóch lat już stamtąd wychodziły dla nas wszystkie złe nowiny: przegrane bitwy, nowe rozporządzenia i rozkazy władzy.

Pomyślałem też sobie, nie zatrzymując się:

— Coś tam znowu nowego!

Kiedy tak przebiegam plac, nagle kowal Wachter, który z narzędziami w ręku właśnie odczytywał ogłoszenia, krzyknął za mną:

— Nie spiesz się tak mały, zawsze jeszcze wcześnie przyjdziesz do tej twojej szkoły.

Pomyślałem, że kpi sobie ze mnie i cały zadyszany wpadłem na podwórko p. Hamla.

Zwykle przed rozpoczęciem lekcyi panował w szkole tak wielki hałas, że na ulicy było słychać. Otwierały się i zamykały pulpity, wszyscy od razu powtarzali głośno lekcyę przyczem dla lepszego zrozumienia zatykali sobie uszy; rozlegały się uderzenia o stół grubej linii pana profesora i głos jego:

— Ciszej dzieci!

Liczyłem na to wszystko i łudziłem się, że potrafię niepostrzeżenie dostać się do swojej ławki; ale tego dnia była jakaś przerażająca cisza! Jak w niedzielę!

Przez otwarte okno ujrzałem kolegów, siedzących zupełnie spokojnie na swoich miejscach i pana Hamla, przechadzającego się tam i napowrót z ową straszną żelazną linią pod pachą.

I podczas takiej ciszy trzeba było otworzyć drzwi i wejść. Możecie sobie wyobrazić, jaki byłem czerwony i jak się bałem. Lecz cóż to? Pan Hamel spojrzał na mnie łagodnie i powiedział:

— Idź prędko na swoje miejsce, biedny Franiu, mieliśmy już zacząć bez ciebie.

Przeskoczyłem ławkę i usiadłem natychmiast przed swoim pulpitem.

Teraz dopiero, ochłonąwszy z przerażenia, spostrzegłem, że nasz nauczyciel miał na sobie piękny, zielony surdut, cieniutki karbowany żabot i małą haftowaną czapeczkę z czarnego jedwabiu, którą wkładał tylko podczas wizyt inspekcyi lub podczas rozdawania świadectw.

Cała klasa zresztą wyglądała jakoś niezwykle uroczyście. Ale najbardziej mnie zdziwiło, iż ujrzałem na pustych zwykle ławkach w głębi sali ludzi ze wsi, siedzących tak samo, jak my w milczeniu. Stary Hauser w trójgraniastym kapeluszu, dawniejszy mer, dawniejszy pocztylion i wielu innych. Wszyscy oni byli jacyś smutni. Hauser trzymał na kolanach duży elementarz z mocno podniszczonymi brzegami i swoje wielkie okulary.

Kiedy się tak dziwiłem temu wszystkiemu, pan Hamel wszedł na katedrę i tym

samym łagodnym i poważnym głosem powiedział:

— Dzieci moje, dziś po raz ostatni mam z wami lekcyę.... Przyszedł rozkaz z Berlina, ażeby w szkołach Alzacyi i Lotaryngii uczyć tylko niemieckiego.... Nowy nauczyciel ma przybyć jutro; dziś to wasza ostatnia lekcya francuskiego, proszę więc, bądźcie uważni.

Te kilka wyrazów przejęły mię do głębi.

Nędznicy! więc to ogłoszenie czytano w merostwie!

Moja ostatnia lekcya francuskiego!....

Jakto? ja, co zaledwie umiem pisać, nie będę się już wcale uczył!... na tem trzeba poprzestać?!.. O, jakże żałowałem teraz czasu straconego, lekcyi opuszczonych dla wyszukiwania gniazd ptasich, lub ślizgania się po rzece Jaar!...

Wszystkie moje książki, gramatyka, historya św., które dotąd uważałem za nudne, ciężkie do noszenia, teraz wydały się mi najbliższymi przyjaciółmi, z którymi przykro byłoby mi się rozstawać. Były one jakby cząstką p. Hamla. Na samą myśl, że on ma odjechać, że go już więcej może nie zobaczę, zapomniałem o wszystkich karach, o uderzeniach linią.

Biedny człowiek!....

Więc to dla uczczenia tej ostatniej lekcyi ubrał się w swój odświętny ubiór!....

Teraz zrozumiałem, dlaczego zeszli się i siedzą tam w głębi sali ci wszyscy starzy wieśniacy; chcieli przez to wyrazić żal, że nie dość często przychodzili do szkoły. Był to też rodzaj podziękowania naszemu nauczycielowi za sumienną czterdziestoletnią pracę, a także jakby spełnienie obowiązku względem upadającej ojczyzny....

Byłem tak zatopiony w rozmyślaniach, kiedy usłyszałem wywołane swoje nazwisko. Przyszła na mnie kolej wydawania lekcyi. Cóżbym był dał za to, żeby módz dobrze, bez zająknienia powiedzieć owo sławne prawidło o imiesłowach; ale niestety! już przy pierwszych wyrazach zacząłem się jąkać. Stałem w ławce, przestępując z nogi na nogę, z sercem wezbranem żalem, nie śmiejąc podnieść głowy. Wtem usłyszałem głos pana Hamla.

— Nie będę się gniewał na ciebie, mój mały Franiu, jesteś sam dość ukarany..... tak to zawsze bywa... Powtarzamy sobie zwykle: et, mam dosyć czasu, nauczę się jutro, a potem widzisz, co się robi.... To jest właśnie nieszczęściem naszej Alzacyi, że wszystko odkładamy do jutra. Teraz wrogowie nasi mają prawo nam powiedzieć: jakto! chcecie uważać się za Francuzów, a nie umiecie ani czytać, ani pisać w waszym języku.... W tem wszystkiem nie ty jeden, biedny mój chłopcze, jesteś najwinniejszym, każdy z nas ma sobie dużo do wyrzucenia.... Wasi rodzice zamało byli gorliwi w nauczaniu was; woleli posyłać was do jakiejś pracy w polu, lub do przędzalni, chcąc zarobić parę sou. A czyż ja sam sobie nie mam żadnych wyrzutów do zrobienia! Ileż to razy kazałem wam podlewać ogródek, zamiast was uczyć! A kiedy zachciało mi się czasem pójść na połów pstrągów, nie zawachałem się uwolnić was od zajęć.

Przechodząc w ten sposób od jednej kwestyi do drugiej, w końcu zaczął pan Hamel mówić o języku francuskim. Powiadał, że jest on najpiękniejszym, najwdzięczniejszym i najpoważniejszym w świecie; zaklinał nas, abyśmy go pielęgnowali i nie zapominali, bo — według słów jego — naród, który w niewoli zachował swój język, ma zawsze w ręku klucz od swego więzienia... Potem wziął gramatykę i przeczytał nam lekcyę.

Byłem zdumiony, że tak doskonale wszystko rozumiałem. Sądzę, że nigdy nie słuchałem tak uważnie i nigdy też nasz nauczyciel nie tłómaczył z taką cierpliwością. Zdawało się, że przed opuszczeniem nas chciał całą swoją wiedzę przelać w nasze głowy

Lekcya była skończona. Przeszliśmy do pisania. Na ten dzień p. Hamel przygotował zupełnie nowe wzory, napisane pięknem pismem rondowem: Francya, Alzacya, Francya, Alzacya.

Te kartki z napisami, poprzyczepiane do rogów naszych pulpitów, tworzyły jakby małe chorągiewki dokoła całej klasy. Trzeba było wiedzieć, jak każdy z nas starał się i jakie panowało milczenie! Nic nie było słychać, prócz skrzypu piór po papierze. Przez otwarte okno wpadły na chwilę dwa chrabąszcze, lecz nikt nie zwrócił na nie uwagi, nawet ci najmniejsi, którzy z serdecznym zapałem kreślili laski, jakby i one były też francuskiemi.... — Na dachu szkółki gruchały gołębie przyciszonym głosem; słysząc je, pomyślałem sobie:

— Czy im też każą gruchać po niemiecku?...

Kiedy od czasu do czasu podnosiłem głowę, widziałem zawsze p. Hamla, siedzącego nieruchomo na katedrze i przyglądającego się wszystkim przedmiotom, dokoła niego — jakby chciał zatrzymać w swej pamięci obraz całego tego małego domku szkolnego.... Bo pomyśleć tylko! Przez czterdzieści lat siedział na tem samem miejscu, mając zawsze tę samą klasę przed oczami, a tam dalej za oknem zawsze to samo małe podwóreczko. Tylko ławki i pulpity niszczyły się od użycia, wyrastały coraz wyżej orzechy na podwórzu, a chmiel zasadzony jego własną ręką, tworzył teraz wspaniały wieniec dokoła okien, aż pod dach. Jakiegoż serdecznego bólu musiał doznawać ten biedny człowiek, żegnając się z tem wszystkiem i słysząc teraz oto kroki swej siostry, która tam na górze w małym pokoiku krzątała się około pakowania rzeczy! Jutro muszą wyjechać stąd, opuścić kraj na zawsze!.... Pomimo tego pan Hamel miał dość siły i energii, ażeby odbyć z nami tę ostatnią lekcyę do końca. Po kaligrafii nastąpiła historya, później malcy śpiewali chórem: ba, be, bi, bo, bu. A tam w głębi sali stary Hauser w okularach na nosie, trzyma w dwóch rękach swój zszargany elementarz i sylabizuje razem z dziećmi. Widać, że się też stara bardzo — głos jego drżał ze wzruszenia. Było tak śmiesznie i smutno słuchać go, że nam się chciało śmiać i płakać zarazem. ..

Nagle zegar na kościele wybił dwunastą, później zadzwoniono na Anioł Pański.

W tej samej chwili, pod oknami naszemi rozległy się trąbki Prusaków, wracających z ćwiczeń.... Pan Hamel podniósł się na katedrze — był przerażająco blady. Nigdy nie wydał mi się tak wielkim.

— Moi przyjaciele..... — powiedział do nas — moi przyjaciele.... ja.... ja....

Coś go dusiło, nie mógł dokończyć. Raptownie zwrócił się do tablicy, oparł się o nią z całej siły i kawałkiem kredy napisał ogromnemi literami:

— Niech żyje Francya!....

I pozostał tak oparty o mur, nie mówiąc ani słowa, tylko ręką dawał znak, jakby chciał powiedzieć:

— Wszystko już skończone!... odejdźcie!...*)

*) Goniec nr. 31. z r. b.

Rak.

Chcę mówić nie o tym raku, który jest panującym znakiem niebieskim od końca czerwca do końca lipca, ani o tym, który staje się niekiedy przyczyną uporczywych u ludzi słabości, ani nawet o tym, którego spiecze niejeden młodzieniec rumieniąc się: ale chcę mówić o raku, który zamieszkuje nasze wody i w niektórych okolicach znaczny dochód przynosi mieszkańcom nadbrzeżnym.

Raki bowiem stanowią od najdawniejszych czasów smaczne jadło na pańskich stołach, o czem np. czytamy w Panu Tadeuszu:

„Po chłodniku szły raki, kurczęta, szparagi,
W towarzystwie kielichów węgrzyna, malagi.“

W naszych wodach słodkich jak i w całej Europie środkowej żyje jeden tylko gatunek raka, t. j. rak rzeczny (Astacus fluviatilis), ale liczne są jego odmiany pod względem ubarwienia, kształtu ciała, nożyc i t. p. Tak są n. p. u jednych tylko składy nóg, u innych zaś całe nogi niebieskawe lub czerwonawe, a w jeziorze genewskiem trafiają się często znowu całkiem czerwone raki, jakby były już ugotowane. Doświadczenia wykazały, że z ikry tych czerwonych raków wylęgają się młode, mające ubarwienie ciemno-oliwkowo-zielone, chociaż czasem niektóre zatrzymują kolor czerwonych matek.

Znawcy a zwłaszcza smakosze rozróżniają dwie główne odmiany, mianowicie raka błotnistego czyli szlachetnego z czerwonawemi odnóżami, grubemi, mało rozwidlonemi nożycami i z ciałem smuklejszem ciemno-zielonawo-brunatnem — i raka rzecznego z odnóżami kończystemi, ze skorupą na grzbiecie blado-zieloną, który przebywa w czystych, bystrych wodach z dnem piaszczystem lub kamienistem. Odmiany te powstają jedynie przez odmienne otoczenie i pokarm. Kiedy bowiem rak znajduje się w miejscu odpowiedniem dla swego rozwoju, wtedy wyrasta należycie i dochodzi do 120 a czasem do 400 gramów wagi, przyczem odznacza się wykwintnym smakiem: a przeciwnie rak żyjący w niekorzystnych warunkach jak n. p. w wodach bystrych z dnem kamienistem, jest daleko mniejszy, dochodzi najwięcej do 70 gramów wagi, jest mniej smaczny i dlatego używa się go przeważnie tylko do sosów i zup rakowych.

Jedząc raka lub trzymając go żywego w wodzie, możemy łatwo przypatrzyć się jego częściom ciała, które niejednemu smakoszowi wcale są nieznane, a przecież dość ciekawe. Ciało raka podłużne złożone z 20 różnorakich obrączek tworzy dwa oddzielne ciała, z których przednia obejmująca 13 obrączek pokryta jest twardą, wapnistą skorupą z 5 parami nóg u spodu. Pod skorupą po bokach posiada rak skrzele, któremi oddecha i do których woda dostaje się osobnymi otworkami. Głowa ku przodowi zeszczuplona z 2 parami rożków przy których nasadzie są wydrążenia z nitką nerwową, służące za zmysł węchu i słuchu. Po obu bokach kolca czołowego znajduje się para czarnych ócz siatkowych, osadzonych na ruchomych słupkach. Pyszczek składa się z 2 warg, 3 par szczęk żujących i 3 par szczękonożów z głaszczkami, służącemi do ujmowania pokarmu i do jedzenia. Druga część ciała, zakałdunie, zwane pospolicie także szyjką, składa się z 7 obrączek, z 5 parami małych nóżek u spodu. Ostatnia obrączka ogona zakończona jest pięcioma płetewkami, któremi rak wstecz pływa. Samice łatwo odróżnić po szerokim, płaskim kałdunie, który u samca jest okrąglejszy i smuklejszy.

Rak siedzi przez dzień w dziurach przy brzegach wód, najchętniej w miejscach drzewami ocienionych, nocą zaś żeruje, żywiąc się ślimakami wodnymi, robakami, młodemi żabami lub też nieżywemi zwierzętami, przez co czyści wody niby policya zdrowia z wszelkiej padliny. Samice znoszą 200—300 jaj i noszą je na nóżkach zakałdunia ze sobą dopóty, aż się z nich wylęgną młode raczęta. Przez czas wylęgu, który trwa kilka miesięcy t. j. od jesieni do połowy maja, ginie bardzo wiele ikry mimo troskliwości matki. Jedne bowiem odpadają z nóżek i psują się, inne pożerają chciwie nieprzyjaciele, jak pluskwy wodne, gąsienice pływaków, żaby i t. d.

Ikra racza jest od połowy kwietnia prawie czarnego koloru, później czerwienieje, a przed samem wylęgnięciem żółknieje i wtedy widać zarodek już wolnem okiem przez łupinę. Młode podobne do starych mają do 13 mm. długości, są barwy szarawej, pływają chyżo a w niebezpieczeństwie tulą się do matki. Żywią się drobniejszymi gatunkami raków jak grzępikami (Cypris) i rozwietlikami (Daphnia) oraz drobnymi robaczkami i gąsieniczkami. Lenią się do zimy 2—3 razy a wylinę, dającą materyał na nową skorupę, natychmiast pożerają. Przed zimą są już do 35 mm. długie. Później leni się rak tylko raz na rok i to w drugiej połowie czerwca lub w lipcu. Wówczas stara skorupa odstaje zwolna od nowej, wreszcie pęka na grzbiecie a rak po kilku rzutach wysuwa się jakby z rękawicy z nową skorupą, która jest zrazu miękka i blada. Dlatego wyleniony rak siedzi w kryjówce tak długo, dopóki skorupa należycie nie stwardnieje i ściemnieje. Wiele raków traci wówczas członki, jak różki i nogi, które im napowrót odrastają. W tym też czasie znajdujemy wewnątrz dwa białe półkuliste kamyki wapienne, zwane powszechnie raczemi oczyma a stanowiące materyał na przyszłą skorupę. Po wylenieniu staje się rak daleko większym, a ponieważ jest wygłodzony żeruje od zachodu słońca do północy. Zabawny jest widok raka pożerającego swą zdobycz! Jak on przy tem chodzi powoli i to chętniej w tył niż naprzód, zwykle z podniesionemi nożycami, gotów do uchwycenia łupu lub do obrony przed napaścią. A gdy pochwyci zdobycz, jak śmiesznie prowadzi ją nożycami do pyszczka i pożera, przyczem śledzi ciekawie w około siebie za nową ofiarą. Czasem znowu pływa rączo ale tylko rzutami i zawsze wstecz a nie naprzód, przyczem bije silnie pod siebie szyjką. Słuch i węch ma dość rozwinięty. Mimo swej żarłoczności rosną raki powoli, a mnożą się dopiero w 5. lub 6. roku.

Największym nieprzyjacielem raków jest wydra, chociaż także kaczki, żórawie, bociany lub ryby drapieżne a szczególnie węgorze mnóstwo ich pożerają, mianowicie gdy są małe i gdy skorupa ich miękka. Zważywszy wreszcie, ile jeszcze raków ginie w czasie lenienia się i ile ich wymiera wskutek rozmaitych odpadków zanieczyszczających wody, łatwo pojąć, dlaczego ilość tych zwierząt zmniejszać się musi, jeżeli ich połów nie jest uregulowany.

Raki przynoszone na targ winny ważyć 45—55 gr. a więc mieć 10—12 lat. Przywożone przed kilkunastu laty z Niemiec do Paryża ważyły niekiedy do 100 gr. — musiały więc mieć przeszło dwadzieścia lat.

Carbonier podaje, że sam Paryż spożywa rocznie raków za 400.000 fr. Dla tego też wyłowiono raki najpierw w okolicy Paryża

potem z całej Francyi, a w r. 1853. sprowadzono je pierwszy raz z Holandyi i obu brzegów Renu. A gdy te okolice wyniszczono z raków, sprowadzono je w r. 1868. pierwszy raz ze Ślązka Pruskiego i z Poznańskiego. W 15. więc latach wyłowiono dla Paryża tyle raków z Niemiec, że stąd już znaczniejszej i regularnej przysyłki spodziewać się nie było można.

U nas jeszcze raki są miejscami, ale wraz z rybami wyławiają je bezkarnie i to bez względu na to, czy są młode czy stare, czy samce, czy samice z ikrą. Kiedy do niedawna w okolicy Lubienia za 20 centów można było dostać kopę raków i więcej, dziś są one już tam rzadsze a więc i droższe, a we Lwowie większe okazy płacą się nawet po 2—3 centy za sztukę. Gdyby wraz z rybołostwem prowadzono też racyonalny chów raków, mielibyśmy ich jeszcze podostatkiem a nawet mogłyby one stanowić znaczny artykuł wywozowy.

Połów raków odbywa się ręką, wyciągając je z dziur, lub też nocą przy ogniu łowi się je czerpakiem albo siecią.

Raki dadzą się utrzymać dłuższy czas t. j. 8—14 dni na lądzie, i dlatego właśnie są zdatne do wywozu. Wówczas trzymają je w zimnej piwnicy, osuszone z wody i pokrzywą przykryte w koszu lub sieci. Gdy chcemy je dłużej utrzymać przy życiu, wkłada się je z koszem do wody płynącej tak, aby woda przez ściany przepływała; baczyć jednak należy na to, aby woda nie zawierała dużo namułu, gdyż wtedy osadzony na rakach namuł przyprawiłby je o życie. Raki wytrzymują głód przez kilka tygodni, a trzymane trochę w piwnicy są nawet smaczniejsze aniżeli wprost wyjęte z wody.

Rozsyłka raków odbywa się latem w koszach wyścielonych suchą słomą, zimą zaś pakuje się je w skrzynie wyścielone słomą, by nie zamarzły. gdyż przez zamarznięcie wody w skrzelach wszystkieby poginęły.

Głównym warunkiem przy wysyłkach jest, aby raki pakowano suche i dla tego przed pakowaniem osuszają je nieco z wody na słońcu, a potem jeszcze szmatką starannie obcierają, gdyż w przeciwnym razie przez wilgoć wywiązuje się gorąco, które zwierzęta w krótkim czasie zabija. Pomimo starannego pakowania w przesyłkach z Wrocławia lub Berlina do Paryża liczono 10 procent straty, powstałej przez uduszenie lub zgniecenie. W roku 1868. sprzedano w halach Paryża 38556 koszów raków za 400125 fr. i 25 cent. A ponieważ każdy kosz zawierał 150—180 raków po 76 centimów, przeto przeciętna cena raka wynosiła 6 centimów czyli 3 centy.

Cena jednak jest zmienna — latem spada, zimą zaś jest większa i z każdym rokiem wzrasta. Pomimo że niemieckie przysłowie mówi, iż ostrygę je się w miesiącach, które mają w swej nazwie literę „r“ (September, October, November, Dezember, Jänner, Februar, März, April) a rak jest najsmaczniejszy w miesiącach, które nie mają „r“ a zatem Mai, Juni, Juli, August, to przecież o każdym czasie należy rak do przysmaków i z tego powodu ze wzmagającą się potrzebą wzrasta też ich wartość.

Chów raków udaje się na takich miejscach, gdzie wody mają dno muliste a brzegi są gliniaste lub torfiaste i ocienione zaroślami. Gdyby koryto wody nie było odpowiednie do chowu raków, wtedy wyściela się brzegi kamieniami, lub na środku układa z nich wysepkę, gdzieby między kamieniami miały raki schronienie. Żer stanowią drobne płocice, ścierwo i rozmaite wyżej wymienione zwierzęta. Potok albo stawek o dnie mulistem dzieli się na części czyli sekcye, poprzegradzane płotem lub siatką. W każdy taki oddział wpuszcza się raki 5 lub 7 letnie ważące 20 do 30 gr. Zwykle liczy się 60—80 sztuk na 1. m. kw. powierzchni wody. Najstosowniejszym czasem do tej czynności jest marzec i kwiecień, kiedy mrozów nie można się już obawiać. W tym bowiem czasie noszą samice ikrę pod zakałduniem. Na 6 samic liczy się 4 samce. Mając już młody płód w jednym oddziale, czyni się to w roku następnym w oddziale drugim, potem w roku trzecim zapełnia się oddział trzeci i tak aż do 10 lub 12 oddziałów. Wtedy podobnie jak las podzielony na sekcye wyrębuje się co roku sekcyami, tak też czyni się z oddziałami, w których zapuszczono raki.

Leopold Wajgiel.



Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

V.

Stare bogi.

Gdy czuwaniem długiem zmęczon,
Spoczął Prokop na swem łożu,
Nie mógł zasnąć: w duszy jego
Wrzało jak przed groźną burzą.
Duszność ciężka, niby kamień,
Serce mu przygniotła, gardło
Pięścią mu ścisnęła silną,
Sypiąc pod powieki senne
Ostry, żrący żwir czuwania.
Toteż leżał jak umarły.
Tylko duch się w nim kołatał,
W żyły lał krwi wrzącej lawę.
Długi post i rozmyślanie
W pęta skuły członki jego.
Leżał więc z otwartem okiem,
Piersi ciężko oddychały.

Półmrok zajął całą grotę,
Jeno w koło ścian czerniały
Rozrzucone bóstw posągi
Prokop leżąc nie mógł dojrzeć
Rysów gigantycznych złomków;
Lecz zdawało mu się czasem,
Że się ruszył któryś bałwan
Że ku niemu ściągnął rękę;
Zdało mu się, że z pod ziemi
Głuche dźwięki idą w górę,
Uderzając w ściany skalne
Coraz ciszej, coraz dalej.
To znów w górze ktoś tam chodził,
Po sklepieniu krocząc zwolna.
Prokop czekał każdej chwili
Pojawienia się u wejścia
Jakichś cieni — lecz napróżno.
Wstał więc, aby do modlitwy
Zgiąć kolano, złożyć rękę;
Lecz kolano mu zdrewniało,
Ręka jego skamieniała.
Chciał leżąco w głos się modlić
Albo śpiewać — też napróżno;
Coś ścisnęło go za gardło.
I tak leżał długo w półśnie,
Czując, jak nad jego głową
Czas pomyka chyżem skrzydłem:
Usta rozwarł żar pragnienia,
Pot ze skroni lał się strugą;
Chciał się przemóc, oprzytomnieć,
Ale już duch jego tonął
W bezgranicznem mar przestworzu.

Mrok ustąpił nagle z groty,
Słabe światło pełnym prądem
Z kątów w jeden punkt spłynęło,
Światła groty w mgnieniu oka
Zlały się w promienie złote.
Między nimi jane słońce
Rosło coraz większe, większe
Aż zakryło wszystko łuną.
Z niego zaś się wyłoniła
Gigantyczna a wspaniała
Postać, — twarz jej w blasku cała, —
Nad jej głową wielki orzeł
Rozpościerał chmurne skrzydła,
Z piersi jej zaś wyrastała
Przepotężna głowa turza.
Czarna, groźna, a z jej nozdrzy
Złotych skier ulewa biła;
Prawa ręka potrząsała
Wielką tarczą bazaltową,
Z której również wyrastała
Owa straszna głowa turza;
Lewa ręka opuszczała
W dół siekierę, która parą
Lśniących ostrzy migotała;
Rysy twarzy, wąsy, włosy,
Wszystko to tonęło w blasku.
Prokop musiał aż odwrócić
Wzrok swój od zjawiska tego.
Poznał zaraz Radogosta [1]).
Ten zaś chwilę stał bez ruchu,
Potem znów rósł w nieskończoność,
Z jednej głowy siedm wyrosło;
Każda z nich miecz w ustach miała
Kolosalny, o dwu ostrzach,
Tak że siedm ognistych prądów
Zdało się wypływać strugą
Z siedmiu boga ust, a ósmy
Również w kształcie miecza trzymał
Oburącz sam potwór straszny.
Taki zaś żar wionął odeń,
Jak z wulkanu uśpionego,
Kiedy dymi po wybuchu;
Wszystko ciepło świata, wszystka
Siła twórcza ognia buchać
Zdała się i spływać falą
Z siedmiu paszczy Rujewita [2])
W płodne łono starej ziemi
Ale wkrótce ogień zagasł,
Bledsze światło zajaśniało,
Kolos zmalał w pięćdziemża, [3])
Olbrzym się przemienił w karła,
Wszelka broń mu z rąk wypadła:
Siwy kmieć stał przed Prokopem.
Mdły blask słońca jesiennego
Płonął w jego modrych oczach,

---

[1]) Radogost, Radegast, przez poetę nazwany Ratihostem, u dawnych Słowian pogańskich bóstwo gościnności i handlu, niby słowiański Merkury.

[2]) Rujewit = pan Rujany (Rugii), główne bóstwo tamtejszych Słowian, według niektórych tosamo, co Swantowit.

[3]) Pięćdziemąż = mężczyzna wysoki na pięć (stopę), karzeł, Pigmejczyk. Por. przysłowie staropolskte: na pięć mąż, a na łokieć broda.

Spojrzał tylko na Prokopa
I już znikł — miast niego inna
Wynurzyła się z pomroku
Postać, jakby wrosła w ziemię;
Nogi nagie po kolana,
Dwoje piersi, dwoje pleców,
Cztery głowy, cztery szyje,
Broda pięknie uczesana,
Włosy krótko przystrzyżone,
Miecz olbrzymi w ręce prawej
Z pochwa pysznie ozdobioną.
Poznał Prokop Swantowita [1]).
Po nim się pojawił Trójgłów [2]).
Przed oczyma usty jego,
Zawój spływał, złotem tkany, —
Nie zna wcale on serc ludzkich,
Ani sądzi czynów ludzkich:
Ubóstwiona obojętność,
Którą zawsze wobec człeka
Odznaczała się przyroda.
Ledwie znikł w półmroku groty,
Świt różowy w niej się rozlał,
A po jego falach płyną
Gołębice i łabędzie
Wstęgą z tęcz za skrzydła śnieżne
Przywiązane poprzed konchę,
W której stała święta Łada [3])
W blasku krasy nieśmiertelnej.
Złote włosy jej spływały
Poprzez skronie, przez ramiona,
Wodospadem kędzierzawym
W dół aż po różowe pięty;
W uściech miała pączek róży,
W ręce prawej zaś trzymała
Jabłko wielkie, granatowe,
Wieczny symbol urodzaju.
Uśmiech igrał na jej licu,
Złotą falą w niej rozlany,
Tak że zdało się, iż spłucze
Z ust koralów drżący pączek;
Jakoż gdy się pochyliła
Nad Prokopem, zaraz upadł
Z ust jej w sploty jego włosów;
Drgnął dwałtownie święty Prokop,
Dobył sił nadludzkich prawie,
Wyprostował się na łożu
Czoło swe przeżegnał krzyżem.
Mara znikła, a z nią łuna;
Znów mrok wkoło, ale z kąta
Strzelił nagle krwawy płomień
Towarzyszył mu trzask głuchy.
Jakby tysiąc gromów naraz
Zahuczało, straszny łoskot,
Jakby ziemia się zatrzęsła.
Albo źródło trysło z głębi.
A ten płomień, coraz większy,
Wił się jakby lśniąca żmija.
W nim zaś Prokop mógł rozeznać
Czarny cień; ten jednak zniknął,
Skoro płomień pomknął naprzód —
Lecz huk głuchy nie ustawał.
Piorun [1]) mówił.
Rączo Prokop
Skoczył z łoża złożył ręce,
Począł wołać na głos cały:
„Gdzieżeś, wszechpotężny Panie,
Przemów teraz, mam-li wierzyć
Przed kim skłonić mam swą szyję!
Ześlij, Panie kroplę rosy,
Promyk światła — pragnie dusza!
Wy zaś ktoście: Siły, Mocy
I Żywioły, czemu wasza
Twarz li w ogniu mi się jawi?
Wszak Jehowa sam też niegdyś
Widzian był w ognistym krzaku!
Czyżbyście wy były bogi?
Człowiek-trzcina chwiać się musi,
Gdy się nagle wstrząśnie ziemia.
Ale ja się nie zachwieję:
Szukam prawdy tylko, Panie!
Już nie płaczę, ale skomlę,
Już nie wołam, ale krzyczę!
A ziejąca ty otchłani,
Straszna, krwawa, z której Piorun
Hukiem gromu się odzywa —
Patrz! krzyż święty biorę w dłonie
I z nim w ręku przejdę tobą.
Choćbym zginąć miał! Chcę prawdy,
Światła, prawdy! Słysz mnie, Panie!“

W ręce dzierżąc laskę z krzyżem,
W płomień rzucił się piorunem;
Płomień zgasł, a kłęby dymu
Wzniosły się przez strop ku niebu.

Świtu mrok do groty zajrzał;
Prokop leżał śród bałwanów
Pokrwawiony i znużony,
Ale we śnie się uśmiechał,
Jakby widział huf aniołów
Z niebios sfer doń spływający
A ich skrzydeł ruch chłód z wonią
Wlewał mu w strwożoną duszę.
Blask wciąż rósł, a otwór groty
Całem morzem go rozlewał;
Nim zaś powracali w niebo
Aniołowie, a za nimi
Też skowronek wesół wzlatał
Na próg niebios z dziękczynieniem.

VI.

Pszczoły.

„Wielbij Pana, duszo moja,
Bo mię z prochu wzniósł nędznego,
Pierś mi okrył wiary tarczą,

[1]) Swantowit = potężny pan; jedno z głównych bóstw słowiańskich, zwane mylnie Świątowidem. Święty, znaczyło pierwotnie potężny, podobnie jak łaciński wyraz *sanctus*.

[2]) Por. uw. 1. do pieśni 1.

[3]) Por. uw. 2. do p. I.

[1]) Mowa tu o bożku słowiańskim Piorunie (litew. Perkunas).

Tonącemu podał rękę!
Alleluja! Alleluja!
Zerwał wszystkie sieci wrogów,
W które serce me złowili, —
Jak ku wodzie liść schylony,
Zwrócił duszę mą ku słońcu.
Pierzchły wszelkie nocne cienie,
Pierzchły w dziupły skał i nory.
Świta! świta! Alleluja!
Ziemia, niebo się uśmiecha
I weseli się ma dusza".
Tak potężnym, dźwięcznym głosem
Zrana nucił sobie Prokop,
Obalając bóstw posągi;
Błyskawicą migał topór,
Walił, tłukł, rozbijał, miażdżył,
Błyskawicą wzrok mu pałał,
Piersi dumą falowały,
Usta drgały głośną pieśnią:
„Wielbij Pana duszo moja!
Alleluja! Alleluja!"
Rozbił Prokop bóstw posągi,
Z gruzów ich w kąciku szarym
Wzniósł ognisko skromne sobie
Pod otworem jaskiniowym,
Aby słupy czarne dymu
Miały wolny bieg ku niebu.
Z reszty zaś kamiennych złomów
Złożył ścianę, niby sionkę,
Aby w niej mieć skład na drzewo,
Na narzędzia i na jadło —
Na czem grota też zyskała.
Potem wymiótł grotę czysto.
Dziury w stropie mchem zatkawszy,
Wyciął sobie w skalnej ścianie
Wnęki, niby małe okna.
W kropielnicę zaś wyżłobił
Bałwan, który stał u wejścia,
Drugi bałwan był mu stołem,
Trzeci łożem i klęcznikiem

Wyszedł w las. Jął pnie obalać,
By z nich złożyć drzwi drzewiane,
Któreby zamieci śnieżnej
Wstęp zaparły do jaskini.
Potem myślał, jak pług zrobić;
Wesół ociosywał pniaki,
Wielką gałęź obrał z liści,
Drobne wiązał do gromady
By je łatwiej w dom dostawić;
Gołe pnie olbrzymią siłą
Pozawlekał na spadzistą
Krawędź zbocza, tam gdzie skała
Stromą ścianą się kończyła;
Stąd je spuszczał na dolinę.
Toż to była dzika jazda!
Żwir i glina z każdym pniakiem
W głąb potoku się staczały,
W górę wzbijał się kłąb kurzu;
Głucho zadudniała ziemia,
Echo w dali wtórowało.
Przy natężającej pracy
Zaskoczyło go południe;
Poczuł, jak go słońce pali,
Więc siekierę wbił w pień drzewa,
Złożył ręce do modlitwy,
A po krótkiem rozmyślaniu
Poszedł w las; chciał bowiem znaleźć
Czyste źródło świeżej wody,
Leśnych ziół korzonki zbierać

Szedł gęstwiną; na polance
Wnet się znalazł jak tu parno!
Świerszczy ostry świst się wznosił
Z popękanej, wyschłej ziemi.
Chciał już obejść krąg polanki,
Kiedy nagle na jej środku
Stary dąb go zastanowił,
Który w dal na wszystkie strony
Sto gałęzi rozpościerał.
Wkoło dębu rój pszczół fruwał
Wypłoszony, zalękniony,
Brzęcząc głośno bez ustanku.
Tuż przy dębie coś czerniało.
Zbliżył się i poznał: bury
Niedźwiedź stał na tylnych nogach
Tuż przy dębie, zapuściwszy
Głowę całą w dziuplę drzewa.
Przednią łapą zaczął potem
Wydobywać całe plastry
Złote miodu. Prokopowi
Żal zrobiło się w tej chwili,
Że siekiery nie wziął z sobą
Ale ufny w pomoc bożą,
Pień okrążył niespodzianie,
Drwa szukając albo kołu,
Z którym mógłby bój rozpocząć. —
Miś go zauważył jednak,
Miód rzuciwszy, doń się zwrócił
I na tylnych nogach zaczął
Postępować za Prokopem.
Ten zaś widząc, co mu grozi,
Już nie szukał pnia, bez broni
Szedł ku niemu — to w bok skoczył,
To znów umknął poza drzewo.
Dosyć długo się ścigali,
Niedźwiedź mruczał rozwścieklony,
Ślepie omal że mu z powiek
Niewyskoczą, sierć na grzbiecie
Jeży się się rozczepierzona.
W tem przyskoczył Prokop susem,
Rękę wzniósł i silną pięścią
Ugodzony w środek czoła
Z głuchym rykiem runął niedźwiedź.
Już się oń nie troszczył Prokop,
Poszedł do pnia, — z jego dziupły
Uśmiechały się doń plastry
Wielkie, złote, pełne miodu.
Cały stóg ich wybrał szybko,
Ledwie mógł go sam udźwigać.
Przytem myślał, jak to niegdyś
Sam Zbawiciel miód spożywał
Po cudownem zmarchwstaniu,
Gdy się znalazł w towarzystwie

Apostołów słabej wiary.
Miodem żywił się Jan Chrzciciel,
Co to równał ścieżki Pańskie,
Żyjąc w puszczy — dawno temu.
Po dnia tego żmudnej pracy
Z smakiem wodę pił z krynicy.
Znalazł ją przy swojej grocie,
Gdzie spienionym wodospadem
Z stromej skały się staczała,
By wnet wlec się srebrną wstęgą
Po murawy aksamicie.

Tu skierował swoje kroki
Lecz przez drogę towarzyszy
Miał w pszczół roju wystraszonym;
Wkoło głowy mu brzęczały,
Opadały nawet niżej,
Jakby chciały, póki pora,
Odbić jeszcze miód zabrany.
Siedząc mu na skroniach, włosach,
Rękach, szatach, żadna przecież
Nie ukłuła pustelnika.
Przy odgłosie ich muzyki
Wszedł do groty — tu zaś widząc,
Jak po wnętrzu się rozbiegły
Pszczółek roje, wpadł na pomysł,
Ze pomieścić mógłby gości
W sionce groty: w takim razie
Zawsze miałby miód pod ręką
I nie musiał w iść w zapasy
Z niedźwiedziami, ze zwierzyną.
Wziął dwa plastry, pełne miodu,
Wybrał głębszy otwór w skale,
Plastry włożył w jego ramy,
A rój cały za nim lecąc
Usadowił się tam chętnie. (C. d. n.)

Chemia teoretyczna[1].

Teorya każda jest wynikiem badań. Teorya jest odbiciem prądów epoki, jest wytworem umysłu nasyconego spostrzeżeniami, dostępnemi danej epoce. Nie mogła teorya bakteryologiczna powstać przed odkryciem mikroskopu, ani elektro-chemiczna przed odkryciem magnetyzmu. Pewne wynalazki, nowe zjawiska, naprowadzają umysł na nowe myśli. Odkrycie w jednej dziedzinie przenosi geniusz na dziedzinę obcą i analogią śmiałą robi przewrót. Oto historya teoryi.

Teorya każda jest pomocą dla badacza i niebezpieczeństwem zarazem; ułatwia mu poznanie zjawiska, pozwala wypadek szczególny odnieść do prawa ogólnego; ale jednocześnie krępuje swobodę myślenia i spostrzegania, zwraca uwagę w pewnym określonym kierunku, zasłania przed badaczem zjawiska podrzędne, pozbawia go bezstronności, bo pewne wypadki uważa za mniej ważne i doniosłości im nie przyznaje. Teorya każda jest błędem, choć błędem płodnym w wielkie wynalazki, w wielkie zdobycze, błędem opłacającym nieraz sowicie swą nieprawość.

Teorye chemiczne miały historyę podobną i podobne znaczenie jak inne. Najwięcej abstrakcyjna teorya *atomistyczna* do najświetniejszych powiodła odkryć i dotąd całej nauki chemii stanowi podstawę. Dalton[1] jest twórcą tej teoryi, zapożyczonej z pokrewnej nauki, z fizyki. Według Daltona każdy pierwiastek chemiczny składa się z niedziałek[2] bądź pojedyńczych, bądź połączonych w cząsteczki[3] zawierające dwie i więcej niedziałek. Jeżeli łączą się dwa ciała z sobą, powstaje trzecie, które znowu składa się z cząsteczek zawierających oba składniki i cząsteczki te mogą być pojedyńcze i złożone. Wyobraźmy sobie, że gaz zwany chlorem łączymy z drugim gazem, wodorem. Nazwijmy cząsteczkę chloru Cl_2 złożoną z dwóch niedziałek Cl + Cl. Nazwijmy cząsteczkę wodoru H_2 (Hydrogenium) również złożoną z dwóch H + H. Jeżeli nastąpi złączenie, otrzymamy dwie cząsteczki HCl + HCl, złożone z czterech niedziałek, zawartych w składnikach[4]. Naturalnie cząsteczki HCl mogą się łączyć z sobą w większe cząsteczki n. p. HCl + HCl + HCl + HCl i t. p. Biorąc do pomocy metody fizyczne, przekonali się uczeni, że można ilość niedziałek oznaczyć jak również ilość cząsteczek. Ilość niedziałek zawartych w cząstce pierwiastka oznaczyć można porównywaniem ciepła gatunkowego przy jednakiem ciśnieniu z ciepłem gatunkowem przy jednakiej objętości. Przypuszczamy bowiem, że różnica zachodząca między temi dwiema liczbami polega na zużyciu pewnej części ciepła na tarcie między niedziałkami. Jeżeli różnica między ciepłem przy jednakowem ciśnieniu, a ciepłem przy jednakiej objętości jest nieznaczna — przypuszczamy, że niedziałka się nie trze, że jest sama. Do takich należy Hg (Hydrogenium) rtęć, prawdopodobnie inne metale n. p. Na (Natrium) sód etc.

[1]) Porównaj artykuł „Z dziejów chemii“ w 3. numerze „Przyjaciela“.

[1]) † 1844 w Manchester. [2]) Atom. [3]) Molecule. [4]) Chlor ●● Wodor ∞ Chlorowodor ●· ●·

Jeżeli zaś różnica między liczbami wyrażającemi owe ciepła gatunkowe jest znaczna, natenczas przyjmujemy, że bądź niedziałka przez drugą niedziałkę przyciągana bywa, bądź w koło niej się obraca, bądź o nią trze, dość, że niedziałek musi być więcej. Nowsze czasy przyniosły z sobą metody, pozwalające nam domyślać się ilości cząsteczek. Przekonano się bowiem, że im więcej cząsteczek w roczynie wodnym, tem później rozczyn wrzeć zaczyna; więc nie przy 100° C., ale przy 105, 106, 110°. Łatwo stąd wnioskować, że niektóre ciała złożone są z dwu lub więcej cząsteczek, skoro dwa razy mniej lub trzy razy mniej podwyższają temperaturę wrzenia, niż spodziewana ilość. Obok tego sposobu mamy inny. Roztwory zawierające sole lub kwasy przeprowadzają elektryczny prąd tem łatwiej, im więcej w roztworze cząsteczek. Wyobraźmy sobie, że opór elektryczny będzie w pewnym wypadku dwa razy większy; pozwoli nam to przypuścić, że cząsteczek jest dwa razy mniej i przewodzenie przez to ułatwione.

Teorya Daltona wspomożona została przez hypotezę Avogadra[1]), według której w pewnej objętości gazu znajduje się równie pewna stała liczba cząsteczek bez względu na gatunek gazu. To znaczy, że w litrze wodoru tyleż jest cząsteczek, co w litrze chloru, co w litrze tlenu itd., choć w każdym z trzech litrów cząsteczki znajdują się w innem oddaleniu od siebie, bo wodór jest lekki i maleńki, a chlor ciężki i duży. Załączona figura ilustruje przypuszczenie Avogadra, które przez teoryę kinetyczną gazów zostało potwierdzone i ugruntowane.

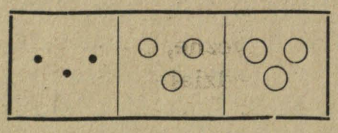

Te są przypuszczenia, które chemia dotąd przyjmuje. Sprawdzić ich w żaden sposób nie możemy, bo wszelkie dowodzenia fizyczne opierają się na przyjęciu tych teoryi i są raczej jej rozwinięciem, niż probierzem. Wolno wierzyć lub nie, że egzystują atomy. Teorya atomistyczna ma na celu ułatwienie, uzmysłowienie przebiegów chemicznych, nie mówi nic o rzeczywistym stanie. Związana z teoryą światła i ciepła, z niemi zapewne ulegnie zmianie, którą wiecznie ruchliwy umysł ludzki zaprowadzi.

[1]) W r. 1811.

Inny szereg teoryi ma nam wyjaśnić sprawy chemiczne. Dotąd mówiliśmy o materyale, o niedziałkach, o cząsteczkach i przypisywaliśmy im słusznie czy niesłusznie istnienie. Teraz kolej mówić o przypuszczeniach, które mają nieść światło na same chemiczne procesy, mają tłumaczyć dlaczego chlor łączy się z wodorem, dlaczego nie łączy się z bromem, dlaczego siarka spala się w tlenie, a nie spala się w wodorze itp. Przypuszczeń robiono dużo i żadne nie wytrzymało wszystkich zarzutów, żadne nie wyjaśniło wszystkich zjawisk. O ile w teoryi atomistycznej stoimy wobec przyjętego przypuszczenia, którego niepodobna sprawdzić, o tyle tutaj mamy całe stosy chemicznych reakcyi, które są w stanie zaprzeczyć choćby jednem zjawiskiem słuszności najpiękniejszej teoryi. *Berzelius*[1]), twórca chemii nowożytnej, uporządkował w jeden szereg znane mu pierwiastki. Na początku szeregu stały metale, na końcu niemetale. Pierwsze były oznaczone plusem (+) w znaczeniu dodatniej elektryczności, drugie minusem (−) w znaczeniu elektryczności ujemnej. Jak ciała naładowane elektrycznością różną przyciągają się wzajem, tak przyciągały się metale z niemetalami; jak elektryczność dodatnia odpycha dodatnią, tak metale obojętne były względem siebie, a niemetale nie łączyły się z sobą. Im dalej od siebie w szeregu stały pierwiastki, tem silniejsze przyciąganie. Im bliżej siebie — tem słabsze. Teorya ta dotąd kieruje naszemi badaniami, dotąd panuje nad umysłem chemików, choć odkrycia poczyniły w niej luki, choć żadnej miary nie podała, podług którejby możnaby bez sprzeczności ów szereg ustawić. Wnet potem genialny *Berthollet*[2]) postawił przypuszczenie, że wszelka sprawa chemiczna jest wynikiem skupienia cząsteczek. Teorya zdumiewająca swoją prostotą spotkała się z licznymi zarzutami, które może dopiero nasze czasy osłabią i do należytej czci myśli Berthollet'a przywrócą. Berthollet i *Thomson*[3]) są twórcami teoryi, którą nazwaćby można *„teoryą największego ciepła"*. Przypuszczają, że im więcej przy połączeniu dwóch ciał ciepła powstaje, tem większe powinowactwo chemiczne, tem większe wzajemne przyciąganie. Teorya ta zgadza się po-

[1]) † 1848 w Sztokholmie. [2]) Francuz, † 1822.
[3]) Teorya ogłoszona w r. 1882.

trochę z Berzeliusową, bo niezaprzeczenie związek ciał metalicznych pozytywnych z ciałami negatywnemi niemetalicznemi wywołuje ciepło; natomiast dla uzyskania połączenia dwóch ciał niemetalicznych trzeba ciepła dodawać.

Ale i tu znaleziono dużo wyjątków; znaleziono, że ciała łączące się z chciwością bynajmniej nie wytwarzały więcej ciepła, niż ciała, których związek gwałtownością sie nie odznaczał. Słowem dynamiki chemicznej dotąd niema, natomiast znaleziono dużo zjawisk, które dziwnie harmonijnie zlewały się i dopełniały. Ułożono szereg, trzymając się jedynie stosunkowego ciężaru i z szeregu wypłynęły prawa, które pozwoliły w przyszłość spoglądać, i mniemanych pierwiastków przymioty określać. *Mendelejew* ułożył znane pierwiastki w porządku według ich ciężaru atomowego to jest ciężaru, wyrażającego, ile razy piewien pierwiastek cięższy jest od wodoru. Ułożył szereg i przekonał się, że własności ciał powtarzają się peryodycznie, że co kilka pierwiastków ma te same własności. W szeregach tych napotkał luki i zapełnił je mniemanymi pierwiastkami, których własności przewidywał. Przy glinie (aluminium Al) umieścił nieznane ekaaluminium, przy krzemie (Si, silicium) ekasilicium i opisał ich chemiczne własności, twardość i topliwość. I danem mu było doczekać, że *Lecoq du Boisbaudran* odkrył [1]) ciało nieznane dotąd, nazwał je Gallium, a Gallium to miało własności przewidzianego ekaaluminium. Wkrótce potem *Winkler* odkrył nieznany pierwiastek Germanium, którego cechy zgadzały się z cechami nieznanego ekasilicium. Ten tryumf na długo urokiem owiał twórców *systemu okresowego* [2]): *Lothara Mayera i Mendelejewa*. Dotąd szereg służy za podstawę zmian, ale zmiany okazują się konieczne, im więcej przybywa pierwiastków, które, jak Argon i Helium, miejsca w szeregu dawnym nie mają.

Obok tych błyskotliwych odkryć poczyniła chemia teoretyczna wiele postępów. Zebrała dane dotyczące rozpuszczalności soli przy różnych warunkach, dotyczące zgęszczenia gazów i prężności, przewodzenia rozczynów, ciśnienia osmotycznego, działania katalitycznego [1]), badała związek istniejący między siłami chemicznemi, a światłem, ciepłem, elektrycznością i mechaniczną siłą — słowem spoiła nierozerwalnym węzłem chemię z fizyką i dzisiaj do chemii teoretycznej należy właściwie fizyka stosowana do przejawów chemicznych sił, fizyka ścisła, operująca matematycznemi formułami i poszukująca w tak zwanych chemicznych zjawiskach ukrytych zjawisk fizycznych.

Dr. Wacław Moraczewski.

[1]) W r. 1876. [2]) W r. 1870.

Nestor u Homera.

(Ciąg dalszy.)

Nestor i Odysseusz nie tyle męstwem, ile mądrą radą wspierają Achiwów we wszystkich trudnościach. A jak oni się różnią! Podczas gdy Odysseusz chytrością swej duszy dobrze się zasłużył około wojska Achiwów, Nestor swem doświadczeniem, ducha spokojem, starca godnością najzawilsze umiał rozplątać trudności. O ile więc doświadczenie i spokój ducha górują nad przebiegłością i chytrością, o tyle Nestor przewyższa Odysseusza.

Gdy umysły, nad miarę podniecone, burzą się i gniew, jak w kłótni Achillesa i Agamemnona, coś niedobrego wróży, wtedy wysoka godność Nestora i jego spokój przywracają umysłom równowagę. W wypadku zaś takiego aż zamętu, że głosem rozwagi, rozumu nie można trafić do przekonania i burzy uśmierzyć, jak było, gdy Achiwowie, pod wpływem opowiadania o śnie Agamemnona, do domu co rychlej się zabierali, występuje Odysseusz, łagodzi umysły i przysposabia je do słuchania mądrych Nestora wywodów.

Prócz owej roztropności, rozwagi, zastanowienia, które z wiekiem przychodzą, posiada starzec pylijski dość doświadczenia i roztropności wojennej, nabytej w młodych latach [1]).

Choć stary, jest on osobiście dzielny i do walki ochoczy; lecz ta dzielność nie jest ową z lat młodych. To też często wyrywa mu się z piersi okrzyk:

[1]) Ciśnienie osmotyczne = siła, z jaką wnika woda przez błonę do naczynia z roztworem soli stężonym. Działanie katalityczne = proces, przy którym nie zużywa się ciało, tylko służy jako pobudka

[1]) II. 310.

„Obym to jeszcze był młody i siły miał nienaruszone“ [1]).

Starcowi żal tej siły, którą posiadał w młodości! Ale mimo, że „już nie starczą kolana i nogi, a ręce w stawach ramion już lekko nie chodzą“; mimo, że „przykra ciężarem starość przygniata“; mimo, że „dusi starość“ [2]) jest on doskonałym wozownikiem i koni poskromcą, jak go bardzo często poeta nazywa i jak on sam się nazywa [3]); od walki się nie usuwa, co sam o sobie mówi [4]), owszem bierze w niej udział [5]). — Liczne o tem świadczą miejsca w Iliadzie.

Gdy np. po pojedynku Ajaxa i Hektora tłumna zawrzała walka, Nestor w wielkiem znalazł się niebezpieczeństwie, mając konia ranionego. Byłby staruszek postradał życie, gdyby go Dyomedes nie zabrał na swój wóz i z boju nie wyprowadził [7])!

Innym znowu razem w walce, która się wywiązała po wycieczce Odysseusza i Dyomedesa na zwiady między Trojan, starzec pylijski dobrze się sprawił: wywiózł z wrzawy wojennej rannego lekarza, Machaona i umieścił go w swoim namiocie [8]).

Jako wojownik, ma on tarczę ze złota, o której „aż w niebie wieści roznoszą“ [9]), dwie włócznie, hełm świecący i pas i tę zbroję wdziewa, gdy lud ma prowadzić do bitwy, „smutnej się nie poddając starości“ [10]).

Dlatego, widząc jego niestrudzoną wiekiem czynność, bohaterowie jedni żałują, że go dusi starość i nogi nie odpowiadają odwadze serca [11]), drudzy go podziwiają, jak Dyomedes słowy:

„Rzeźki staruszku, ty nigdy od pracy się nie uchy-
[lasz,
. . . . . ty nieugięty jesteś o starcze“ [12])

Ale nie w tym, stosunkowo do innych bohaterów małym, udziale w bitwach i potyczkach leży prawdziwa starego Nestora zasługa. Wie on sam o tem i pojmuje, że dokazywanie dzidami nie należy do niego; że to zostawić trzeba młodzieży, a czem innem służyć sprawie ziomków [1]). Nie mając młodzieńczej siły, potrzebnej do wykonania wielkich dzieł wojennych, inne, dla siebie bardzo odpowiednie, znajduje pole działania. Oto doświadczeniem i radą, na doświadczeniu ugruntowaną, jak już wyżej powiedziano, wspierać greckie zamysły uważa za swój obowiązek w przekonaniu, że „takim jest owoc zaszczytny starości“ [2]).

Z doświadczenia wojennego wynikła dla niego znakomita sztuki wojennej znajomość: umie on szykować rumaki i męże zbrojne tak, jak nikt inny [3]). To też bardzo często występuje w charakterze wojennego doradcy.

Po pojedynku Parysa i Menelausa, gdy burza bitwy miała się zerwać na nowo, Nestor z wielkiem znawstwem i doświadczeniem ustawia szyk bojowy: konnicę na przodzie, z tyłu piechotę, a tchórzów w środku, a to w tym celu, ażeby ich — nawet wbrew ich woli — zmusić do walki. Sam w sztuce wojowania doświadczony radzi, jak się potykać z nieprzyjacielem: napomina wozowników, ażeby konie trzymali na wodzy i w tłumy się nagle nie puszczali; ażeby żaden, własnej sile i sztuce walczenia z wozu ufając, sam ani nie wysuwał się naprzód, ani się nie cofał [4]).

Albo później, widząc, jak żołnierze czas marnotrawią na zbieraniu łupów i bitwę opóźniają, zgromił niedoświadczonych i nieopatrznych i zachęcał, ażeby walczyli i zabijali mężów, a obdzieranie ciał poległych zostawili na czas późniejszy, wolny od bitwy [5]).

Po pojedynku Ajaxa i Hektora i po darów zamianie, nowej walki oczekując, radzi Nestor zgromadzić ciała poległych, spalić je, usypać mogiłę i przy niej wybudować mur z wysokiemi wieżami i bramami, mur, któryby służył za obronę zabitych bohaterów i statków; zewnątrz zaś wykopać rów, dla wstrzymania zapędów konnicy i piechoty nieprzyjacielskiej [6]).

Kiedy po raz wtóry Agamemnon obwieścił powrót do ojczyzny, sprzeciwił się starzec pylijski i inne objawił zdanie. Radził on mianowicie wieczerzę zgotować, warty z ludzi młodszych rozstawić, starszych ugościć i nad położeniem się naradzić [7]). Wszyscy go usłuchali i zastosowali się do jego rady: młodzież

---

[1]) Il. VII. 157.; XI. 670.; — [2]) Il. XXIII. 620. — [3]) Il. IV. 315. — [4]) Od. III. 17. 436. 444. Il. X. 549. — [5]) Il. X. 548. — [6]) Il. IV. 318. nn. — [7]) Il. VIII. 60 nn. — [8]) Il. XI 510 nn. 597 n. 618. — [9]) Il. VIII. 191 nn. — [10]) Il. X. 75 nn. — [11]) Il. IV. 313 nn. — [12]) Il. X. 164 nn.

[1]) Il. IV. 318 nn. — [2]) Il. IV. 323. — [3]) Il. II. 553 nn. — [4]) Il. IV. 293 nn. — [5]) Il. VI. 66 nn. — [6]) Il. VII. 325 nn. — [7]) Il. IX. 52 nn.

poszła na warty, a starszyzna do namiotu Agamemnona na ucztę, po której Nestor, jak wyżej podano, skłonił naczelnego wodza, ażeby się starał przejednać zagniewanego Achillesa.

Potem w nocy obchodzi wraz Agamemnonem i innymi warty, które, zastawszy czuwające, obdarza pochwałą:

„Tak moje drogie dziateczki, czuwajcie, niech sen [mi nikogo.
Nie obejmie, by stąd dla wrogów uciecha nie [była“ [1]).

Zwiedziwszy warty, idą na naradę, którą Nestor zagaja pytaniem, czyby który z bohaterów nie udał się między Trojan i nie przyprowadził jakiego Trojańczyka lub przynajmniej się nie dowiedział o ich zamiarach [2]).

Albo nareszcie jak on poucza swego syna Antilocha, gdy się zgłosił do konnych wyścigów podczas igrzysk na cześć Patroklesa. Troskliwy i kochający ojciec daje roztropne rady, żeby syna, mającego konie tępsze do biegu, niż inni, nie ominęła nagroda, i każe mu się kierować roztropnością, pomysłowością. Wiedząc, że rębacz drzewa więcej zrobi „pomysłem niż siłą“, że żeglarz „pomysłem na ciemnych morza bałwanach szybkim okrętem kieruje“ spodziewa się, że i woźnica roztropny, choć ma gorszy zaprzęg, zwycięży mniej roztropnego współzawodnika, posiadacza zaprzęgu lepszego, i tę nadzieję w syna wlewa i przepisów w biegu udziela [3]).

Jak było oceniane w obozie achajskim stanowisko Nestora, jako doradcy, świadczą wymownie słowa naczelnego wodza, który nie życzy sobie dziesięciu Ajaxów, lecz dziesięciu takich, jak Nestor, „rajców“ i nie wątpi, że gdyby ich miał, Troja upadłaby w krótkim czasie:

„W radzie naprawdę, o starcze, zwyciężasz synów [achajskich.
Żebym to . . . . . .
Takich dziesięciu rajców napotkał pośród Achajów,
Wtedyby szybko się gród Pryamowy do zguby [nachylił
Pod naszemi rękoma zdobyty i w niwecz obrócon“ [4]);

świadczy nareszcie cześć mu oddawana i ufność w nim pokładana [5]).

[1]) Il. X. 192 n. — [2]). Il. X. 204 nn. — [3]) Il. XXIII. 306 nn. — [4]) Il. II. 372 nn. — [5]) Il. X. 57.

Ani doświadczenie, ani z niem połączona roztropność i poradność nie byłyby, zdaje się, miały tak wielkiego znaczenia i wpływu, gdyby bohater nasz nie posiadał jednego jeszcze przymiotu, jednego daru, przez który rady jego nabierały jakiejś dziwnej mocy i potęgi — daru wymowy. Wszystko, co chce swym towarzyszom powiedzieć, umie tak ułożyć i takimi wyposażyć argumentami, że mowa jego chwyta za serca i trafia do przekonania. To też poeta nazywa go słodkomownym, wymownym rajcą, z którego ust płynie mowa słodka, jak miód. W obozie Achajów niema większego mowcy nad Nestora i Odysseusza; nawet Neoptolemos, syn Achillesa, musi im ustąpić pierwszeństwa [1]).

Przymiot znakomitego mowcy w połączeniu z owem wieloletniem doświadczeniem sprawił, że Nestor radą najlepszą i najstosowniejszą przewyższał wszystkich [2]), czego sam posiada świadomość, jak to widać ze słów:

„Powiem atoli, co mnie się wydawać będzie naj- [lepszem.
Nikt albowiem od tej nie wynajdzie lepszej porady,
Którą ja przewiduję, tak przedtem jako i teraz“ [3]).

Dlatego też nie tylko Agamemnon jego rad zasięga [4]) i większą otacza go czcią niż innych starców [5]), lecz także inni okazują mu cześć głęboką i darów nie skąpią [6]).

W mowach staruszka z Pylosu, jak wyżej powiedziano, dziwna jest słodycz, połączona ze stałością i męstwem ducha; ale jest też pewna gadatliwość i chełpliwość z czynów młodości, właściwa starcom wszystkich krajów i wieków. Wiek sam usprawiedliwia go z tej wady, starców to bowiem właściwość, że, dożywszy późnych lat, zwracają się myślą w ubiegłe czasy i w przeszłości szukają pokrzepienia dla swej starości, słowem stają się „laudatores temporis acti“. O wszystkich swych czynach z lat młodych: o udziale w walce Lapitów i Kentaurów, o wojnie z Arkadyjczykami, w której zabił Ereutaliona, o dwóch wyprawach przeciw Elejczykom, w których życia pozbawił Itymoneusa i Muliusa, przy różnych

[1]) Od. XI. 512. — [2]) Il. II. 367; VII. 325; IX. 93 n.; X. 17 n. XI. 627. Od. XXIV. 52. — [3]) Il. IX. 103 nn. — [4]) Il. X. 18 nn. 54 nn. — [5]) Il. II. 21. — [6]) Il. XI. 624 nn.

sposobnościach sam Nestor opowiada, podobny w tem do wszystkich starych ludzi.

Oprócz wieku, można i inne przytoczyć okoliczności, które z wady staruszka czynią prawie cnotę. Naprzód tę, że ludzie Homera nie umiejąc taić swych uczuć i myśli, wypowiadają zawsze to, co myślą i czują, i posiadają otwartość w sądzeniu drugich i siebie samych. Przyznał im to już Tacyt w słowach: „Suas ipsius virtutes narrare fiduciam potius morum, quam arrogantiam arbitrati sunt“ [1]).

(Dok. nast.)

Pogadanka.

Otrzymaliśmy list następujący:

„Szanowny Redaktorze! Tyle mam obecnie ważnych zajęć, iż w żaden sposób nie mogę dostarczyć pogadanki do czerwcowego numeru. Wybaczcie, lecz ad impossibilia nemo tenetur! Zawsze życzliwy.... *Kropka*“.

Ot i kłopot nowy; oczywiście biedny redaktor musi dać sam pogadankę. Że jednak nie każdemu dał Pan Bóg gawędziarski talent, więc chyba korzystając ze sposobności, zamiast pogadanki, zrobię z czytelnikami „rachunek sumienia“. Rzecz na czasie, bo „Przyjaciel“ kończy pół roku życia. Żywot to cierniowy, po kolcach uprzedzeń i głazach obojętności mozolnie kroczący naprzód — nie wiadomo, czy ku „zapomnienia fali“ czy też ku świetniejszej przyszłości?

Uprzedzeń do zwalczenia nie mało. Już to samo, iż wydają „Przyjaciela“ profesorowie, sprawia (choć tak być nie powinno), iż czytelnicy nie zwracają się do Redakcyi z taką ufnością, jakiej spodziewaćby się należało po otwarciu rubryki „Skrzynka pocztowa“.

„Przyjaciel“ chce być skromnem pisemkiem literacko-naukowem dla rozrywki i nauki swych czytelników i z tej drogi nie zejdzie, ale pragnie na niej doskonalić się i dążyć do coraz większego urozmaicenia treści swych artykułów. W tem dążeniu powinni jednak i czytelnicy przyjść Redakcyi z pomocą.

Oprócz zapytań pragnęlibyśmy także znaleźć w listach naszych czytelników wskazówkę, jakich artykułów sobie życzą, czego pragną się dowiedzieć, jakie braki odczuwają w swem wykształceniu i w jakiem kierunku chcieliby je uzupełnić. Że takie prośby Redakcya stara się skwapliwie załatwić, dowodem rady dla zbierających rośliny. Jeden z czytelników zażądał ich i zaraz usunięto z drukującego się już numeru inny artykuł, aby tym wskazówkom zrobić miejsce. Czy nie mogłoby takich życzeń być więcej? Tylko w ten sposób mogą się zejść w jednym punkcie rozbieżne częstokroć linie, po których poruszają się upodobania czytelników i program współpracowników naszego pisma. Aby to się stało, trzeba zapomnieć o urzędowym charakterze osób, podpisanych na kartach „Przyjaciela“ i tylko to mieć w pamięci, że ludzie ci postanowili ofiarować wiele trudu i czasu dla sprawy, której nikt przedtem nie kwapił się podjąć.

Byłoby niesprawiedliwością nie przyznać, i czynimy to z radosną dumą, że są czytelnicy, którzy taką wymianę myśli z nami nawiązali. Lecz jakże ich mało, jak mało w ogóle takich, którzy do tej „Skrzynki“ rzucają swe listy!

Do uprzedzeń można i to policzyć, że stosunki z „Przyjacielem“ uważa się tu i owdzie za rzecz, którą należy mgłą tajemnicy otoczyć; dlatego proszą niektórzy, nieliczni co prawda, czytelnicy, aby nie umieszczać ich nazwisk w spisie odpowiadających na zagadnienia. Dlaczego, nie umiemy sobie wytłumaczyć: może ktoś to potrafi wyjaśnić?

Wyrażano niejednokrotnie życzenie, aby „Przyjaciel“ częściej wychodził. Nic łatwiejszego do spełnienia, ale... i to tylko od liczby prenumeratorów zawisło. Czekamy tej chwili z niecierpliwością!

Już w pierwszych numerach można było zauważyć liczne zapytania o podręczniki do nauki obcych języków, o dzieła z zakresu lingwistyki porównawczej, historyi polskiej, estetyki i historyi sztuki etc. Odpowiadaliśmy chętnie i cieszył nas ten zapał, jako dowód, iż zadanie naszego pisma, wyrażone we wstępnym artykule „Od Redakcyi“, zrozumiano trafnie. Ale wkrótce przypomnieliśmy sobie, iż jedną z zastarzałych wad naszego społeczeństwa jest brak wytrwałości. Czy też te wszystkie piękne i chwalebne studya rzeczywiście postępują systematycznie naprzód? Tylko jeden „Arystoteles“ (ale nasz czytelnik pod pseudonimem ukryty, nie filozof starożytny) doniósł niedawno, że kupił sobie wskazaną książkę do nauki języka angielskiego

[1]) Tac. Agric. I.

i przerobił już kilka lekcyi. A inni? Czy prosili o informacye tylko dlatego, żeby zapełnić rubrykę „Skrzynki“? Jeżeli tak, to niech przy tym „rachunku sumienia“ biją się w piersi i obiecują poprawę. Absolucyi udzieli im z ochotą

Przyjaciel.

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Elektryczny listonosz. W Genewie zaprowadzono w wielu domach automaty elektryczne do rozsyłania listów lokatorom, zamieszkałym na piętrach. Przyrząd składa się z dwóch bloków umieszczonych w parterze i na poddaszu i połączonych liną bez końca. Na dole przymocowana jest do liny skrzynka z tyloma przedziałami, ile jest piąter, na górze ceberek lżejszy od skrzynki. Nad nim umieszczony jest kran z wodą. Gdy listonosz rzuci list do przedziału skrzynki, aparat zaczyna działać: prąd elektryczny otwiera kran na poddaszu, woda napełnia ceberek, a jego ciężar wyciąga skrzynkę do góry, przyczem dzwonek na piętrze daje znać lokatorowi, że skrzynka się zbliża. Doszedłszy na dół wypróżnia się ceberek automatycznie, poczem skrzynka jako cięższa od ceberka znów spada na dół.

(*Tyg. pol.*)

Zegar kwiatowy. Znane jest u roślin zjawisko, że niektóre pod wpływem ciepła i światła w ciągu dnia zawsze o pewnym czasie swe kwiaty otwierają a potem znowu je zamykają. Linneusz na tej podstawie ułożył zegar kwiatowy, który tu podajemy.

Roztwierają swe kwiaty:	zamykają je:
Między 5 - 6 g. rano	Convulvulus sepium (powój) między 7—8 wiecz.
	Convulvulus tricolor
	Cichorium intybus (cykorya) między 7 - 8 wiecz.
„ 6—7 „ „	Nuphar luteum (grzebień żółty, koło 5 g. w.
koło 7 g. r.	Calendula officinalis (nogietek) między 5—6
koło 8 g. r.	Anagalis arvensis (kurzy ślad) koło 4 g. w.
„ 9 „ „	Calendula arvensis „ 5 „ „
„ 10 „ „	Mesembryanthemum crystallinum między 3 4 g. w
„ 11 „ „	Ornithogalum umbellatum koło 6 g. w.

około południa większa ilość gatunków Mesembryanthemum.

Popołudniu koło 2 g. Scilla pomeridiana.
„ „ 4 „ Mirabilis Jalappa.
„ „ 6 „ Pelargonium triste.
„ „ 7 „ Cestrum nocturnum.
„ między 7—8 g. Cereus grandiflorus.
„ koło 10 g. Silene noctiflora i Lychnis vespertina.

Zauważyć tu należy, że jest jeszcze wiele innych kwiatów, odznaczających się również tą właściwością.

Sztuczne złoto. Mieszanina, naśladująca wybornie złoto, robi się w następujący sposób: do 96 części rozpuszczonej miedzi dodaje się 6 części antymonu, następnie stapia się oba metale razem, dodając niewielką przymieszkę węglanu wapna i magnesium. Ta mieszanina topi się, daje się kuć i ciągnąć, a wypolerowana do złudzenia przypomina złoto. Barwy nie zmienia pod działaniem soli amoniakalnych. Kilogram kosztuje około 4 franków.

(*Tyg. pols.*)

Zagadnienia naukowe.

Nr. 26. Kto jest autorem pierwszej opery polskiej i jaki jej tytuł?
Nr. 27. Ile planeta Mars ma księżyców?
Nr. 28. Skąd pochodzi nazwa rubla?
Nr. 29. Co to są głazy erratyczne?
Nr. 30. Co to jest seismograf?

Odpowiedzi należy przysyłać najpóźniej do 20. czerwca b. r., stósując się do wskazówek w 2-gim numerze podanych.

Nagroda: Barański „Jeszcze Polska nie zginęła“ zbiór pieśni narodowych (nuty i słowa).

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 21--25.

Nr. 21. Dwie pieśni Kochanowskiego mają formę sonetu, atoli bez oznaczenia ich tą nazwą (ks. IV, pieśń 22 i 23). Kilka pięknych sonetów napisał Mikołaj Sęp Szarzyński.
Nr. 22. Jedną tylko stronę świata mają obydwa bieguny: północny tylko południe, południowy zaś tylko północ.
Nr. 23. Do największej wysokości dochodzą sekwoje czyli wellingtonie oraz eukaliptusy.
Nr. 24. U pewnych owadów siedliskiem powonienia są rożki czyli macadełka, u innych gęba a także brzegi tchawek.
Nr. 25. Po 13 latach będzie ojciec 3 razy starszy od syna.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. maja: Brody: Loewel M. (na zagadn. nr. 23, 25). Brzeżany: Bednarowski Adolf (wszystkie), Szeremeta K. (wszystkie). Buczacz: Gąsiorowski M. (wszystkie), Hecht S. (22, 25), Hirschler K. (wszystkie), Weinreb M. (22, 25), Werhun W. (wszystkie). Jarosław: Gross J. (wszystkie). Jasło: Kaniowski T. (25). Kraków: Dziurzyński M. (wszystkie), Gwizdała Z. (21, 23, 24), Stadtmüller K. (21, 22, 23), Zaczek K. (21, 24). Lwów: Pseudonimy Ἀνήρ (25) i Antenor (23—25), Chrzanowski A. (21, 22, 23, 25), Czarnecki B. (21, 24, 25), Götz M. (21, 24, 25), Kobierzycki L. (wszystkie), Mann J. (21, 24, 25), Schönhuber A. (22, 24, 25), Śliwiński J. (23, 25), Sośnicki K. (21, 23—25), Stromenger J. (wszystkie), Szczepaniak A. (21, 22, 24), Tyski F. (wszystkie), Widy J. (wszystkie), Witoszyński R. (21, 22, 24, 25), Nowy Sącz: Mondalski W. (23, 25), Podgórze: Podobiński Wł. (21, 22, 23, 25), pseud. Soplica (21, 25) Przemyśl: Pseud. „Emanus“ (21, 22, 23, 25), Widacki S. (21-22, 23, 25). Pyszkowce: Zimmer D. (21. 23, 24, 25)' Rzeszów: Kowalski (25). Sambor: Herdliczka J. (21—. 24), pseud. Samborzanin (21, 22, 24, 25), Sanok: Brzozowski J. (21, 22, 24, 25). Stanisławów: Reinhold J. (21, 25). Tarnopol: Gross A. (21, 25). Tarnów: Reck O. (22, 23, 25). Wadowice: Jura Al. (21, 22, 23, 25). Rose M. (21, 22, 23, 25). Wiedeń: Gołuchowski A. (21, 23, 25). Złoczów: Niementowski J. (22—25).

Nagrodę: (powieść Zycha „Syzyfowe prace“) otrzymał przez losowanie: Widacki S. z Przemyśla.

Logogryf.

a — au — au — as — ca — cen — czyk — giel — gu — ja — ka — kop — lac — na — ni — pe — ra — ra — rat — re — ril — rya — rzy — sa — stral — ta — tu — uł — za.

Z tych 29 zgłosek ułożyć podług podanych poniżej znaczeń 9 wyrazów, których początkowe głoski, czytane z góry w dół i końcowe, czytane z dołu w górę, złożą znane przysłowie.

1. Miasto w Galicyi
2. Miasto we Francyi (w Owernii).
3. Imię żeńskie.
4. Godność u Kozaków.
5. Siedziba Tatarów.
6. Miasto w Dalmacyi.
7. Tytuł powieści Orzeszkowej
8. Roślina lecznicza.
9. Góra w Armenii.

Rozwiązania przysyłać należy do 20. czerwca bieżącego roku.

Rozwiązanie zadania gwiazdkowego.

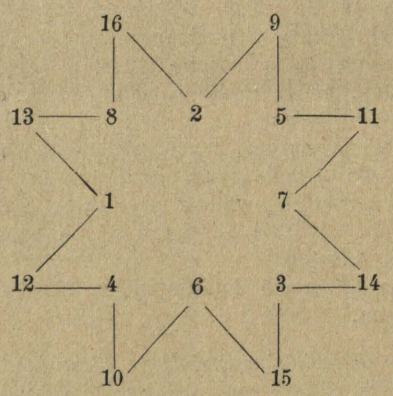

Inne sposoby rozwiązania nie dają tak symetrycznego układu cyfr.

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. maja b. r.: Brody: Loewel M. Brzeżany: Bednarowski A., Szeremeta K. Buczacz: Gąsiorowski M., Hecht S., Rosenmann D., Weinreb M., Werhun W. Jasło: Kaniowski T. Kołomyja: Kordasiewicz M. Kraków: Dziurzyński M., Gwizdała Z. Lwów: *'Ανήρ* (pseud.), Chrzanowski A, Czarnecki B.. Götz M, Mann J., Sośnicki K., Szczepaniak A., Widy J., Witoszyński R. Przemyśl: Widacki S, Pyszkowce: Zimmer D. Sambor: Herdliczka J. Sanok: Brzozowski J. Tarnopol: Gross A. Wadowice: Jura A. Złoczów: Niementowski J.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Annij Pokrasien. Prof. Borowiczki „Klucz do oznaczenia roślin nasiennych dziko rosnących i uprawianych w Stanisławie i jego okolicy“ wyszedł w Sprawozdaniu Dyrekcyi szkoły realnej w Stanisławowie za r. 1892. i 1893. Osobno zapewne nie wyszedł. — Kolega, o którego pyta Sz. Prenumerator, jest w VI. klasie i na imię mu Tadeusz. Jest więc już dokładny adres.

Arystoteles. Gramatykę języka rossyjskiego wydał Popliński w Warszawie.

Beski z Janicy. W administracyi zanotowano w myśl życzenia. Szczerze wdzięczni jesteśmy za serdeczne i poczciwe słowa.

D. Z. Proszę i rozwiązanie przysłać. Rzecz to wprawdzie znana, ale może się da zużytkować.

Emanus, Z pewnością najtańsze będzie wydanie t. zw. „Philipp Reclam's Universal-Bibliothek“. Wszystkie dzieła Göthego kosztują tam 6 złr. 60 ct. (45 tomików), a oprawione w 10 tomach w płótno 10 złr. 80 ct. „Wybór“ zaś w 4 tomach (opr. w płótno) 3 złr. 60 ct. Same zaś „Gedichte“ t. j. drobne wiersze 54 ct. (opr.) „Wybór“ w 5 tomach w Hendla „Bibliothek der Weltliteratur“, (której tomik kosztuje 15 ct. a Reclam'a 12 ct.) kosztuje 7 zł. 50 ct. (opr. w płótno).

K. w R. Nie rozumiemy.

Nadsański. Prosimy o to obiecane „więcej“, może się coś wybierze.

Numizmatyk. Chętnie, byleby były ciekawe.

Rębajło Mopanku. Zapisać można przez którąbądź księgarnię; wyszły nakładem Trzemeskiego, fotografa we Lwowie, ul. Trzeciego Maja. Inne takie album wyszło w Warszawie; cena 1 złr. 20 ct.

Samborzanin. Przesyłamy wyrazy współczucia; może czerwiec to wynagrodzi. Dlaczego tym razem list taki skąpy? Czyżby brakło materyału?

Tulipan. Kwiaty zrosłodziałkowe zasusza się jak wszystkie inne. Grzyby konserwują się najlepiej w wyskoku (alkohol).

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Komitet redakcyjny:
Korneli Fischer — Dr. Franciszek Krczek — Józef Szafran — Dr. Mieczysław Warmski.

TREŚĆ: *Daudet Alfons*, Ostatnia lekcya. — Rak, przez *L. Wajgla.* — *J. Vrchlicky*, Legenda o św. Prokopie. (Ciąg dalszy.) — Chemia teoretyczna, przez *Dr. Wacława Moraczewskiego.* — Nestor u Homera, przez *J. Szafrana.* (Ciąg dalszy.) — Pogadanka, przez *Przyjaciela.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Logogryf. — Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. lipca 1899. Nr. 7.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.

Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.

Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Dla nas ludzie myślą, ale nie za nas“ *K. Brodziński.*

Od Redakcyi.

W wydawnictwie „Przyjaciela“ zaszła z dniem 1. lipca ta korzystna zmiana, iż szczupłe dotąd grono komitetu redakcyjnego rozszerzyło się znacznie przez przystąpienie nowych członków, zwłaszcza ze sfer, nie związanych tak ściśle ze szkolnictwem, jak dotychczasowy komitet redakcyjny.

Przez tę zmianę zyskało wydawnictwo silniejszą podstawę materyalną oraz liczniejsze grono współpracowników.

Staraniem Redakcyi będzie czynić pismo nasze bardziej jeszcze zajmującem i poczytnem: częścią mamy przyobiecane częścią posiadamy już liczne ciekawe artykuły z działu naukowego i belletrystycznego. Premie za odpowiedzi na zagadnienia naukowe będą liczniejsze. Czasem będziemy dawali ilustracye.

* * *

Z powodu wakacyi **wyjdzie 2. września b. r. podwójny numer za sierpień i wrzesień**, w objętości 4 arkuszy (32 str.)

Zwracamy uwagę na **nowy adres Redakcyi i Administracyi**, umieszczony w nagłówku. Pod tym adresem (plac Bernardyński l. 7, Drukarnia Ludowa) należy odtąd przysyłać prenumeratę, listy i reklamacye numerów.

Ziarnko śrutu

przez

Edmunda About

Za moich czasów, kiedy Alzacya należała jeszcze do Francyi, pan Franck, notaryusz w Saverne słynął w całym kraju, jako znakomity myśliwy. Nikt nie zdołał urządzić tak polowania, nikt niem nie pokierował, nikt z taką grzecznością ale i stanowczością nie umiał dopilnować, aby myśliwi jak najściślej stosowali się do wszelkich przepisów, ale nadewszystko nikt nie zachowywał takiej ostrożności, oględności i troskliwości w najmniejszym szczególe jak p. Franck. To też nie zdarzyło się, iżby pod jego kierunkiem najmniejszy zaszedł wypadek. Wszyscy o tem wiedzieli i wszyscy, nawet najzapaleńsi, nawet ludzie z wysokiemi stanowiskami, na włos nie odstępowali od jego wskazówek, które podawał z wykwintną prawdziwie uprzejmością. Na polowaniu był niezmiernie wymagający ale zaleceniom swoim nadawał tak zręczną formę, że nikt się obrazić nie mógł, a w końcu takwszyscy przywykli do posłuszeństwa, że jakby z natury rzeczy wszyscy czekali na jego decyzyę.

Odziany bardzo skromnie, nosił zawsze w chustce na szyi bardzo piękną złotą szpilkę, misternej roboty, u której główki wisiało na cienkim, złotym łańcuszku ołowiane ziarn. ko śrutu.

Zaciekawiało to wielu z nas, szczególnie tych, którzy z nim często polowali, ale dopiero na jednem z śniadań myśliwskich wyjaśniła się tajemnica tej śrucinki.

Wesoło właśnie skończyły się łowy, każdy coś zabił, nie było więc niezadowolonych Zgromadziło nas w lesie późne śniadanie, po którem mieliśmy się rozjechać. Ożywiona rozmowa zwróciła się na brak wypadków podczas łowów kierowanych przez p. Francka. Wyrażono mu podziękowanie i podziw.

— Wiecie, dlaczego tak zawsze świetnie idzie? — odezwał się senator de W. — oto dlatego, że p. Franck bardzo zręcznie nauczył nas posłuszeństwa, rzecz pomiędzy gośćmi

zawsze rzadka. A to trudno! jak w życiu tak na polowaniu posłuszeństwo chroni od tysiąca zawodów a często i nieszczęść.

— Ale co pana nauczyło — zwróciłem się do p. Francka — tej nadzwyczajnej istotnie ostrożności i pamięci o najmniejszym drobiazgu? Ileż czasu trzeba było na tę naukę!

Zadrżał, wesołe oczy zapytanego zaszły mgłą, na twarz wybiło się głębokie wzruszenie, a ręka mimowoli dotknęła się szpilki. Opanował się jednak i odrzekł jakimś głębokim głosem:

— Och, na moje myśliwskie wychowanie wystarczyło kilka tygodni, lecz mało ludzi przebyło taką straszną szkołę.

Milczał przez chwilę, poczem nagle zawołał:

— Dla czegoż nie mam opowiedzieć wydarzenia, które każdemu przydać się może?

Ukończyłem właśnie 6 klasę gimnazyalną w Strasburgu. Ojciec mój drogi przyrzekł mi strzelbę, jeśli zdobędę nagrodę z historyi ojczystej. Dyablik myśliwski, jak wszystkich Alzatczyków, dręczył mnie od najmłodszych lat. Przysiadłem fałdów, zdobyłem nagrodę — dostałem strzelbę. Jakże urosłem w oczach własnych i w oczach kolegów! Czułem się mężczyzną! Wyobraźcie sobie moją radość.

Pewnego dnia ojciec powiada do mnie: Zabieram cię do Hoegen; mam tam spisać akt, poczem wracając, zapolujemy na dzikie króliki w Haut Barz u pana hr. Saint Fare. Weź dwa psy na smycz.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Cóż za rozkoszny wyjazd powozem, jakże długą wydała mi się droga! Jakże klątem ten akt i włościanina, który kazał sobie każdy wyraz aktu wyjaśniać. O mało nie wyłem, tak jak i psy które siedziały przywiązane w powozie.

Przybyliśmy na miejsce. Ojciec postawił mnie pod drzewem i dał mi szczegółową instrukcyę, jak się mam zachowywać, kiedy strzelać, a szczególnie ani na krok nie opuszczać miejsca, cokolwiek by się stało, dopóki mnie nie zawoła. Poczem odszedł, pewny mego posłuszeństwa. W chwilę potem psy się odezwały, dziki królik wypadł na ścieżkę, przebiegł ją i był już daleko, zanim zdołałem się złożyć. Wyrzucałem sobie gorzko moją niezdarność i przyrzekłem sobie, że się już nie spóźnię. Niedługo czekałem, głos psów wywołał żywe bicie mego serca, byłem w upojeniu. Królik wrócił na ścieżkę, uciekając po niej; zacząłem biedz za nim: zawrócił na prawo w krzaki, ścigałem go, nie tracąc z oczu jego ruchów, gdy nagle zwrócił się ku mnie, jakby czemś przestraszony.

Skorzystałem z tej chwili i strzeliłem. Królik dał susa i zaświecił białym brzuchem. W tejże chwili ujrzałem mego ojca opartego o drzewo o sześć kroków dalej. Zabiłem więc królika u stóp ojcowskich. Skoczyłem ku mej ofierze jak dziki człowiek i, potrząsając nią ponad głową, wołałem radośnie: „oto mój pierwszy strzał.!“

— Nie dość jest dobrze celować, — odezwał się łagodnie ojciec — trzeba pilnować przepisów.

Spojrzałem na jego twarz, był blady i zdawało mi się, że dostrzegłem nieco cierpienia. Okropny domysł przeszył mi serce.

— Ach, ojcze, wykrzyknąłem — czym cię nie postrzelił!

— Bądź spokojny — odrzekł — lecz na drugi raz staraj się być rozważniejszym. Dosyć na pierwszy raz — dodał — jedźmy do domu.

Przywołał psy i wróciliśmy do powozu. Uważałem, że niebardzo kulał.

Brat mój młodszy i dwie siostry witali mnie jak zwycięzcę, lecz tryumf mój był zatruty okropną myślą. Niepokój mój wzrósł, gdy za chwilę zobaczyłem wychodzącą naszą starą Gertrudę, a w dziesięć minut potem powracającą z doktorom Maugin, przyjacielem domu, który żywo pobiegł na pierwsze piętro.

Dopiero na wieczerzę zeszła nasza droga matka, spokojna jak zawsze i łagodna, ale widocznie ukrywająca troskę.

— Ojciec nie głodny — rzekła do nas — czuje się znużony i nieco cierpiący. Pójdziecie po wieczerzy powiedzieć mu dobranoc.

Łzy cisnęły mi się do oczu, jeść nie mogłem; spoglądałem tylko ukradkiem na matkę i obawiałem się wyczytać na jej twarzy okropną prawdę. Czekała cierpliwie, aż mój brat Antoni (dzisiejszy prezes sądu wyższego) skończy deser, poszła następnie na górę i po niejakiej chwili zawołała z pierwszego piętra:

— Możecie już wejść.

Jednym skokiem byłem w pokoju. Ojciec leżał na łóżku obłożony poduszkami. Tłumiąc łkanie, ucałowałem go rozpacznie i szepnąłem mu do ucha:

— Zapewnij mnie, ojcze, że nie jestem nieszczęśliwy.

— Albercie — odrzekł — masz dobre serce, to też kocham cię całą duszą. Oto wszystko, co ci mogę powiedzieć.

Młodsze rodzeństwo wpadło jak burza i jak codzień zaczęło szturmem wdrapywać się na łóżko.

— Ostrożnie, — zawołał ojciec z uśmiechem — dziś mi dokucza reumatyzm.

Ja jeden nie dowierzałem temu nagłemu przystępowi reumatyzmu. Obejrzałem się po pokoju i dostrzegłem że matka śledziła mój wzrok: przebiegła okiem wszystkie sprzęty, jak by się obawiała, czy nie pozostał ślad jakiś.

Możecie sobie wyobrazić, jaką noc przebyłem. Wyobraźnia moja przedstawiała mi nogę ojca podziurawioną śrutem i krwawiącą. Nie zmrużyłem oka. Dwie następne były jeszcze gorsze. Ojciec nie mógł sam ukryć cierpienia, gorączka była widoczna. Doktór Maugin przychodził po kilka razy na dzień. Cały czas spędzałem zamknięty, śledząc każdy ruch w domu, nie mogąc ani czytać, ani pracować, niezdolny myśleć o rozrywce.

Nie wstydziłem się słuchać pode drzwiami. Pewnego dnia przybył Dr. Maugin z trzema innymi panami w poważnym wieku. Pobiegłem pod drzwi salonu. Dochodziły mnie niektóre słowa; tyle tylko zdołałem podchwycić i skleić, że ziarnko śrutu dostało się w przegub kolana. Jakieś nieznane mi wyrazy przerażały mnie jeszcze więcej. Jakiś głos wyrzekł: „wolałbym dziesięć kul wyjmować". — „Ha — odrzekł Dr. Maugin — pojadę po profesora Sédillot". Panowie odeszli i Dr. Maugin nie pokazywał się przez cały dzień. Domyślałem się, że pojechał do Strasburga po znakomitego profesora chirurgii.

Nazajutrz o 6-ej rano, matka kazała się nam zebrać, uścisnęła nas z jakąś niezwykle uroczystą serdecznością, zaprowadziła do pokoju ojca, który nas pożegnał z równie niezwykłą powagą...

Na podwórzu czekał nas już wielki powóz.

— Wasz wuj z Hochfeld — rzekła do nas — zaprosił was na wielki festyn, który się ma wkrótce odbyć. Bawcie się dobrze. Albercie, czuwaj nad młodszem rodzeństwem. Bądź spokojny o zdrowie ojca. Lekarze zapewniają, że od dzisiaj znacznie się poprawi.

Jak mój ojciec, tak i matka oszukiwali mnie przez dobroć serca. Domyśliłem się, że ma być operacya, i z tego powodu oddalano nas wszystkich. Lekkie zdziwienie wuja, którego widocznie nie miano czasu uprzedzić, utwierdziło mnie w tem przekonaniu. Moje miejsce jest przy ojcu, rzekłem sobie. Wprawdzie dwadzieścia kilometrów oddzielało Hochfeld od Saverne, ale nie zawahałem się ani chwili i ruszyłem pieszo.

Nie opowiadam wam, co się działo we mnie. Umysł mój postarzał się o lat dziesięć. Nie tylko przeszłość stanęła mi przed oczami, ale zacząłem myśleć o przyszłości, o przyszłości całej rodziny. Wiedziałem, że kancelarya notaryalna nasza stała tylko prawością mego ojca i opinii, jakiej w okolicy zażywał. Kilka tygodni choroby, to strata wielka; kilka miesięcy bezczynności, to ruina. Nie myślałem o sobie, ale los matki, mego młodszego brata i dwóch sióstr zaciężył na mojem sercu. Co chwila dusza moja się zmieniała — dojrzewałem z niesłychaną szybkością.

Do domu dostałem się przez ogród, przebrnąwszy rzekę i podszedłem pod okna. W owych czasach chirurgowie nie używali jeszcze chloroformu. Zdala doszedł mnie rozdzierający krzyk ojca, który mnie przykuł do ziemi. Nie wiem, ile czasu trwała katusza mego biednego ojca i com wycierpiał. Gdy przyszedłem do siebie, leżałem na klombie kwiatów, z ustami pełnemi ziemi i z rękoma pełnemi zgniecionych kwiatów.

Zerwałem się, z sercem, które bić przestało, wpadam na wpół żywy do domu. U stóp schodów spotykam matkę.

— Matko, matko, i cóż?

— Uspokój się, co było do zrobienia, zrobiono. Doktór zaręcza za wszystko.

Dopiero po chwili mogła zobaczyć stan mojego odzienia, pokrytego kurzem drogi, zmoczonego przebrnięciem rzeki, powalanego ziemią ogrodową. Nie zaniedbała wszakże udzielić mi nagany za nieposłuszeństwo Przez kilka dni ukrywano przed chorym moją obecność w domu z obawy niezadowolenia, które mój powrót mógł wywołać. Matka nic nie ukrywała przed nim więc też dłużej milczeć nie mogła. Wezwał mnie do siebie, uspokoił i pocieszył lepszem swojem wy-

glądaniem. Chwila widzenia się była dziwnie słodka; wycisnęła ona łzy szczęścia nietylko mnie i matce.

— Drogi ojcze, — rzekłem do niego z łkaniem — wiem wszystko. Dlaczego nie odkryłeś mi prawdy, ty ojcze, który jesteś wcieloną prawdą.

— Nie żałuję tego — odpowiedział. Czasem, acz rzadko, kłamstwo jest obowiązkiem. Gdyby operacya była śmierć sprowadziła, mógłżem zasmucić twoje życie, obarczając tak wielkim ciężarem twoje sumienie.

— Mimo to, czuję, że nigdy pocieszony nie będę.

— Ja cię pocieszę. Przedewszystkiem, nie rozstaniemy się do końca wakacyi. Będziesz moim infirmierem. Biedne dziecko, dość nacierpiałeś się mojem cierpieniem, ciesz się teraz moim powrotem do zdrowia.

Ten okropny wypadek nauczył mnie wielu rzeczy. Zrozumiałem, co znaczą wyrazy: przepis, reguła, prawo, porządek, karność Odwaga i dobroć mego ojca dokonały mego wychowania.

Pewnego wieczora, gdym wyrzekał na siebie u jego łoża, acz już się miał zupełnie dobrze, przerwał mi mówiąc:

— Obaj byliśmy nierozważni. Twój błąd był błędem twego wieku, ale powinienem był to przewidzieć. Spełniając zadanie nauczyciela, nie powinienem był polować na swój rachunek, więc oddalać się od ciebie, lecz stać przy tobie, kierować i uczyć. I tak też zrobię w roku przyszłym.

— Nie, mój ojcze — zawołałem z siłą — nigdy już polować nie będę.

— Będziesz, moje dziecko, chcę tego, bo to ćwiczenie zdrowe i wzmacniające dla ludzi oddających się pracy umysłowej, przytem każdy powinien wyrabiać siłę i odwagę, oswoić się z bronią. Kto wie, czy Francya nie zażąda twego ramienia a każdy Francuz musi być zawsze gotowym ponieść życie dla niej w ofierze.

Matka drżała na myśl niebezpieczeństw, tak polowania jak i wojny, ale z cichą odwagą wyszeptała: „Obowiązek“.

Jako talizman, który mi miał przypominać rozwagę, posłuszeństwo i cierpliwość, podarowała mi w jakiś czas po wypadku złotą szpilkę u której wisi ziarnko śrutu, wyjęte z kolana ojca.

Oto dlatego, moi panowie, jestem oględny, karny, posłuszny i wymagający we wszystkiem karności — a oto szpilka. Jakże mógłbym być inny, mając przy sobie taką pamiątkę.

W strasznym roku 1870 mój przyjaciel pan Franck, notaryusz z Saverny, w roku 57 swego życia, wziął za karabin, walczył przez cały czas wojny z Prusakami, i niejednokrotnie dowiódł, że, jak twierdził jego ojciec, dobry myśliwy wart czterech ludzi w obronie ojczyzny.

Szkice z zakresu estetyki.

I.

Piękno.

Co to jest piękno — powiedział raz mistrz Dürer — nie wiem, chociaż tkwi ono w wielu rzeczach; niema nawet na ziemi człowieka, któryby mógł powiedzieć stanowczo, jak najpiękniejsza postać np. człowieka winna wyglądać: nikt nie wie tego prócz Boga. Wprawdzie kształtność i piękność musi istnieć w ogóle wszystkich ludzi, ponieważ Stwórca ukształtował ludzi tak, jak być powinni, lecz my możemy tylko starać się o zrozumienie piękna w granicach, jakie nasza zręczność nam zakreśla; nie posiadamy bowiem miary bezwzględnej dla doskonałości najwyższej. Nie chce Dürer spierać się z tym, kto będąc innego zapatrywania rozprawia o tem, jak właściwie ludzie powinni być ukształtowani; lecz uważa w tym względzie przyrodę za mistrzynię, a wymysły ludzkie za mrzonki obłędne. Powinniśmy — kończy — poprzestać na uważaniu za piękne tego, co świat cały za takowe uważa,

To też pozostało w wiekach następnych zawsze prawdziwą miarą artystyczną. Wiara w piękno, stanowiące podstawę rzeczywistą świata widomego, jest wrodzoną artyście równie, jak każdemu człowiekowi, obdarzonemu poczuciem artystycznem. Stara się on wedle sił zbliżyć do tego obrazu wewnętrznego, do ideału, w nim żyjącego, lecz od tego do poznania ideału bezwzględnego jest do zrobienia krok, przewyższający siły ludzkie.

Z jednej strony tedy nie jest piękno czczą mrzonką, a przedstawianie jego pozo-

stanie zawsze najwyższym celem artysty, ponieważ uznaje je jako istniejące w nim rzeczywiście a przedstawienie jego za możliwe: tylko że nie szuka go w przyrodzie, gdzie musi pozostać dlań zawsze czemś nieuchwytnem, jeno w swej własnej duszy, która stanowi świat drugi, istniejący sam dla siebie.

Z drugiej zaś strony mrzonka o jednem, jedynem pięknie, któreby mieściło w sobie wszelką doskonałość, rozpływa się w nicość. Takie bowiem piękno jest wprawdzie pojęciem, bez którego mędrzec nie może się obejść, lecz artysta nie wie, co z niem począć. Dlań piękno spoczywa w obrazie wewnętrznym świata zewnętrznego, który on sam sobie wytwarza: siła, pełnia i wyrazistość tego obrazu stanowi miarę piękności jego dzieła i chodzi tylko o to, jak dalece zdołał swe przedstawienie rzeczy zbliżyć do tego obrazu wewnętrznego. Mamy tu więc do czynienia z ilością daną, która istnieje w duszy ludzkiej, nie w przyrodzie, którą dlatego właśnie możemy znaleźć li w indywidualności pewnego artysty i to nawet tylko w pewnej epoce jego rozwoju: ten sam przedmiot przedstawi się całkiem odmiennie, gdy ten sam artysta zechce go otworzyć w różnych epokach swego rozwoju. Przyroda sama w sobie jest nieskończona i niewyczerpana w obfitości kształtów, wszystko więc zależy od tego, ile artysta poszczególny zdoła z niej wydobyć odpowiednio do sił swoich.

Punkty wspólne wszystkich tych rozmaitych a możliwych obrazów ograniczają się do ogólnych praw, którym twory przyrody podlegają, mianowicie do równowagi sił i ustosunkowania części poszczególnych, które z tej równowagi wynika. Lecz piękno nie zasadza się tylko na tem. Dopiero harmonia, którą artysta czerpie ze swej duszy, i doskonałość, którą zdoła tchnąć w odbicia przyrody dzięki swej sile twórczej, nadają dziełom jego piętno czegoś boskiego. Przytem nie wchodzi w rachubę wzgląd na to, czy przedmiot sam może obudzić zadowolenie lub niezadowolenie. Rysy prawidłowe, nie oddające ducha, nie rozgrzeją nas, podczas gdy tchnienie geniuszu zdoła uszlachetnić i otoczyć nimbem piękna nawet rzecz wstrętną.

W czasach, kiedy sztuka się podnosi, kiedy coraz szersze koła zapalają się do urzeczywistnienia ideału artystycznego, cały naród może współpracować w osiągnięciu szczytu piękna. Wtedy rozwój postępuje po stopniach coraz wyższych, dopóki nie dosięgnie granicy krańcowej, poza którą na razie postęp jest niemożliwy. Bardzo łatwo wtedy z obawy o utratę tego, co osiągnięto, następuje martwota, która może podciąć siły twórcze. W pysznem używaniu mienia, pozornie zabezpieczonego, łączą się wtedy ludzie chwilowo i milcząco godzą w uznaniu pewnych norm piękna, które uchodzą odtąd za jedynie obowiązujące. Ostatecznie jednak ta tyrania mody okazuje się tak kapryśną i zmienną, jak każda moda. Nie chodzi już wtedy o piękno, lecz tylko o to, co ładne, t.zn. co się podoba w danej chwili.

Ta skłonność mas, przeciwdziałająca wszelkiemu prawdziwemu rozwojowi sztuki, okazuje się naprawdę zgubną w czasach, które wskutek braku sił twórczych przyjmują swój ideał gotowy z epok, dawno minionych i ukształtowanych zupełnie odmiennie, jak to widzimy np. w połowie wieku XVIII. i ówczesnem rzekomem odrodzeniu klasycyzmu. W takich czasach forma, która niegdyś była najpiękniejszem ucieleśnieniem życia, uderzającego szybkiem tętnem, staje się tylko czczą powłoką, chociażby nawet żadna z epok następnych nie zdołała jej przewyższyć co do siły artystycznej, i okazuje się przeszkodą, którą trzeba pokonywać przy pomocy największych, długotrwałych i ciągle się ponawiających wysiłków, gdy chcemy nadać wyraziste kształty ideałom przewodnim pewnej epoki, a więc istotnie żywotnym.

(*Z Woldemara Seidlitza.*)

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

VII.

Żywot w zimie.

Przyszła zima, w śnieżnej szacie
Stały góry, popod skałę
Wlokła się leniwie rzeka.
Ostry wiatr bez przerwy niemal

Od północy wiał, strząsając
Dyamenty i kryształy
Każdym swoim tchem z gałęzi
Drzew, co pod ciężarem śniegu
Aż do ziemi się zginały.
Miłym więc był pobyt w grocie,
Gdy się Prokop wrócił z lasu,
Gdy z ogniska buchnął ogień,
Gdy wesoło się rozdymał,
Oświetlając skalne ściany,
Które lśniły srebrem szronu
I w odblasku jego grały
Całą skalą barw tęczowych.
Prokop siedział przy ognisku,
To głęboko zamyślony,
To splatając pilnie sieci
Z wiotkich giętkich prętów wierzby,
Lub poprawiał potargane.
Nawet łódkę sobie zciosał,
I przybory gospodarskie;
Wszystkiem był w tej cichej puszczy:
Był rolnikiem i woźnicą,
Łowcem śmiałym i rybakiem,
Pustelnikiem i prorokiem.
W szare dni pochmurne siedział,
Głowę podpierając dłońmi,
I rozmyślał o żywocie,
Biegu świata, o wieczności
I o świecie, który wtedy
Obcym zdał mu się i innym,
O przyrodzie, o tej wiecznej,
Niespożytej jej potędze,
O człowieku, który nie wie,
Skąd się wziął i dokąd idzie,
O pewności owej wiary,
Która każe składać wszystko
W Bożą dłoń, jak w pewną przystań.

Raz — a było to dość późno —
Chciał już spocząć na swem łożu,
Gdy usłyszał u wrót groty
Szelest i trwożliwe kroki,
Wreszcie dziwnie smutne jęki.
Więc otworzył — ujrzał łanią,
Stała przed nim z trojgiem młodych;
Gdy ujrzała pustelnika,
Przybliżyła się radośnie,
Zabeczała, a w jej głosie
Odczuł Prokop również radość.
Wściągnął ku niej dłoń, a ona
Szybko ją poczęła lizać.
Bezwątpienia zima sroga
Do tej groty ją zagnała
W której snać mieszkała niegdyś.
Prokop gładził sierć jej miękką
Lśniącą szyję jej poklepał,
Zwabił w grotę ją, do sionki
Zawiódł, naniósł mchu i chróstu
I podścielił jej choiny,
Wieczór zaś wyrzezał sobie
Małą miskę; a gdy widział,
Że już młode się nassały
Aż do syta, zaczął doić:
Odtąd miał do miodu mleko.

Małe jego gospodarstwo
Rosło szybko; raz nad ranem
Zoczył coś u łoża swego,
Jak się kręci, biega, igra,
Przyjrzał się i poznał w mroku:
Byłto leśny królik szary,
Za nim wybiegł drugi taki
I nuż psoty, nuż igraszki —
Zobaczyły gałąź w kącie
I już skubią świeże listki,
Aż mlaskają; Prokop widział,
Jak ich długich uszu cienie
Skaczą na przeciwnej ścianie.
Nie przeszkadzał im w ich ruchach,
Dzikich skokach i koziołkach
A gdy wstał, z radością spostrzegł,
Że się nawet nie przelękły,
Lecz igrały u stóp jego.

Raz znów Prokop zauważył,
Że zasoby jego miodu
Nikną w sposób zagadkowy.
Kogo o to podejrzywać?
Czy się mylił? Wszak wyraźnie
W noc następną słyszał kroki —
To zbliżały się do łoża,
To znów zwolna oddalały,
Aż się w przedsień oddaliły.
Wnet ucichły, lecz wnet znowu
Zadudniały — znów ucichły.
Potem ozwał się brzęk pszczółek,
Jak śród lata, gdy się roją,
I mlaskanie, wreszcie żucie.
„Święty Boże!“ jak piorunem
Ugodzony zadrżał Prokop,
„Zapomniałem zamknąć wrota —
Pewnie niedźwiedź wskutek mrozu,
Lub zwabiony wonią miodu,
Którą czuje nawet zdala,
Przyszedł mi okradać pszczoły!
A cóż łania?“ — niedokończył
I chciał już wyskoczyć z łoża.
„Mamże się po ciemku mierzyć
Z nieznajomą siłą wroga?
Znów te kroki, bliżej, dalej —
Jakże w bój iść mam z niedźwiedziem.
Skoro nie wiem z której strony
Skoczy na mnie?“ — Wtem ruch ustał,
Ciemne skrzydła noc rozsnuła.
Ledwie się doczekał dzionka;
Wstał, — wesołym dźwięcznym bekiem
Wnet go łania przywitała
A króliki u stóp jego
W mchu igrały tak, jak zawsze;
Poszedł do pszczół, teraz zdrętwiał:
Wszystkie plastry wyłamane,
Pszczoły poduszone w glinie,
W koło pełno kęsów wosku,
A rój pszczół, co uszły mordu,

U powały się przytulił,
Zbity w kupę smutnie brzęcząc.

Co tu począć? nie wie Prokop.
Oporządził, jak potrafił,
Potargane plastry pszczołom,
Które wnet wróciły chętnie
Do swej pracy, przelatując
Po jaskini i przez otwór,
Nito łzy złociste, jasne,
Aż spoczęły po dawnemu.

„Czy to był w istocie niedźwiedź?“
Rozumował Prokop dalej;
„Jak się zmieścił w dziurze stropu,
Jak do pszczół odnalazł drogę?
Jakże łania ocalała
I ja sam mu nie wpadł w łapy?
Bądź co bądź, dziś będę czuwał.“
Wziął motykę, począł kopać
Blisko pszczół, wygrzebał jamę.
Jak ją robią na niedźwiedzie;
Z wierzchu zakrył ją choiną,
Potem cicho i bez troski
Wieczór spoczął na swem łożu;
Nasłuchiwał — znów te kroki,
To w pobliżu, to znów dalej,
Wreszcie głośny trzask choiny —
Buch! — to był nielada huczek!
„Boże! to z pewnością niedźwiedź“,
Myślał Prokop, „lecz napowrót
Nie wylezie, w dobrą łapkę
Dostał się, już dziś spokojnie
Sam spać mogę i me pszczoły“

Ledwie się doczekał rana;
Wziął siekierę tęgą, ciężką.
I ostrożnie przeszedł grotę
I ostrożnie podniósł gałąź —
Cisza w jamie, nic nie drgnęło;
Śmiało sięgnął Prokop w jamę,
W gęstą sierć się zanurzyła
Jego ręka — jeszcze cisza;
Ze wszej siły ciągnie w górę
I roześmiał się serdecznie
W ręku bowiem jego wisiał
Wijąc się i jęcząc Rarach;
Przytem język wciąż wystawiał,
Cały od pszczół pokąsany,
Spuchły, krwią ociekający.
„Co, tyś miodu chciał? Zaiste dosyć,
Brątku, ukaranyś za to! —
Powinienbym cię, łakomcze,
Też ukarać jeszcze ostrzej.
Teraz biegaj, nanoś wody.
Dość mi strachu napędziłeś!“

Rarach, cały przerażony,
Począł lizać ręce jego,
Potem spełnił rozkaz migiem;
Wkrótce znikł ponownie z groty,
Lecz spotulniał tak, że Prokop
Puścił go zupełnie wolno;

Sam do pracy brał się chętnie,
Gdy go Prokop potrzebował,
Jeno całkiem swej natury,
Tej złośliwej, tej podstępnej,
Nie mógł wyzbyć się na zawsze.
Drobiazgami często drażnił
Pana swego przy modlitwie,
Roztargnienie często wzbudzał,
Chociaż potem srogo zawsze
Pokutował za swe złości.

Raz gdy Prokop przy ognisku
Siedział, drzewo ociosując,
Rarach pełzał koło niego
I tak z nudów zaczął nagle
Trzaski drzewne i polanka
Kłaść mu na okraju szaty;
Sztuką swoją czarnoksięską
Tak potrafił kształt im nadać
Żmij i ropuch, że jaskinia
Wkrótce była pełna płazów,
Które z szaty pustelnika
Rozłaziły się po grocie.
Długo ze spokojem Prokop
Znosił te dyabelskie figle:
Nagle jednak się obrócił,
Krzyż uczynił nad plugastwem,
Strząsł je z szaty, a to zaraz
W rój płomieni się zmieniło:
Modre, żółte, zielonawe
Strzelające na wsze strony.
Te Baracha dosięgnęły
Twarz i łydki, żartkim wirem
Otoczyły go dokoła,
Tak że wył śród nich i wił się
Aż do wejścia groty — uciekł
I do trzech dni nie powrócił.
Gdy zaś przyszedł, musiał Prokop
Z całej duszy się roześmiać,
Widząc całe ciało jego
Popalone w wielu miejscach.

Lecz nie trwało wcale długo,
A znów nowy podstęp uknuł
Rarach: oto w miskę mleka,
Którą Prokop spijał rano,
Zwiędłych liści mu narzucał,
Brudnych i na pół zniszczonych.
Potem rano wlazł do kąta,
Aby móc stąd obserwować,
Jak pustelnik rozgniewany
Ciśnie miską, pełną liścia.
Ale jakże się zadziwił!
Prokop wstał, a po modlitwie,
Gdy się dotknął brzegu miski,
Aby ją do ust przychylić,
Naraz z niej wyleciał w górę
Rój motyli śnieżnobiałych,
Powirował po jaskini,
Jakby chmura śnieżnych płatków,
Lub deszcz listków białej róży,
Wzbił się pod strop i tam zniknął.

Ździwion patrzył Prokop za nim ;
Z mleka zaś się unosiła
Woń niezwykła, świeża, słodka.

Wypił mleko święty Prokop
I z uśmiechem spojrzał milcząc
Na Raracha, który w kącie
Trwożnie skulił się zawstydzon.

(C. d. n.)

Gawęda o Ozonie.

„Panna Eulalia porzuciła wrzaskliwą stolicę, której duszne powietrze rozstroiło jej delikatne nerwy, i udała się w góry, gdzie odzyskała stracone zdrowie śród wonnej, obfitującej w ozon atmosfery gęstych lasów szpilkowych“.

Takie i podobne frazesy można czytać w powieściach. To też nie dziw, że przedsiębiorczy kupcy starają się o sprowadzenie do dolin „obfitującego w ozon“ powietrza lasów szpilkowych dla tych ludzi, którzy nie mogą śladem panny Eulalii udawać się w góry. Rozwinęła się stąd odrębna gałąź przemysłu polegająca na zbieraniu młodych pędów kosodrzewiny (*Pinus pumilio*) i destylowaniu z nich olejku wonnego, który następnie, rozcieńczony należycie winnym wyskokiem, dostaje się do handlu pod nazwą „wyciągu z drzew szpilkowych“. Niedawno nawet poczęto w Węgrzech hodować prawidłowo drzewo wspomniane w tym celu. Niemożna nic zarzucić temu przemysłowi, zwłaszcza że dostarcza środków do utrzymania wielu biedakom, a rozpylanie olejków lotnych w pokojach, przewietrzanych niedostatecznie, bezwątpienia wpływa oczyszczająco i odświeżająco. Ale skąd poczciwcy, takie środki do oczyszczania powietrza sprzedający, doszli do wniosku, że wpływ rzeczony ich wytworów należy przypisać właśnie ozonowi? Czy kiedykolwiek poczuli woń jego? Z pewnością nie, bo w takim razie wiedzieliby, że niema chyba wstrętniejszego smrodu, niż woń tego gazu, którego nazwa wywodzi się też od słowa greckiego, używanego ongi raczej w znaczeniu „smrodu“ niż „woni“. Woń ozonu działa dusząco, a przytem jest tak trwała, że długo nie można się jej pozbyć, jeżeli się miało do czynienia z ozonem.

Przed pół wiekiem niemal wypowiedziano mniemanie, jakoby powietrze lasów szpilkowych zawierało ozon, lecz zbito je wkrótce. Dzisiaj nietylko wiemy, że niema bynajmniej ozonu w powietrzu leśnem, lecz także to, że ozon nie może istnieć w pobliżu parującego olejku terpentynowego, bo musi się wtedy natychmiast rozkładać. Mimo to świat cały mówi dziś, jak ongiś, o „obfitującem w ozon“ powietrzu leśnem i będzie to powtarzał póty, póki ci, którzy mienią się powołanymi do pouczania ogółu, będą rozpowszechniali podobnie błędne zdania. „Obfitujące w ozon powietrze leśne“ spotykamy w niejednej rozprawie naukowej, ale najpiękniejszym wykwitem uczoności są zdania takie, jak: „Pierwszą wielką zdobycz chemii stanowiło wykazanie ozonu, najważniejszego i najpotrzebniejszego składnika powietrza“, lub: „Miarą dobroci powietrza jest dziś wogóle ilość ozonu, w niem zawartego“ itp. Cóż dziwnego, że szeroki ogół, któremu i tak wiadomości z chemii wydają się czemś małostrawnem, tem uparciej trzyma się błędów zastarzałych?

Otóż prawdą jest, że powietrze zawiera rzadko kiedy ozon, mianowicie wtedy, gdy na krótki czas przedtem nastąpiły silne wyładowania elektryczności. Szczególna woń piorunu którą lud w braku lepszej nazwy nazywa wonią siarki, pochodzi od wytworzonego ozonu. Na szczęście ilość ozonu, która wytwarza się przy takiej sposobności, jest bardzo mała. Nadto woń ozonu ulatnia się bardzo szybko, ponieważ tenże jako silny środek utleniający niszczy natychmiast to, co zanieczyszcza powietrze, lecz przytem naturalnie sam też ulega zniszczeniu. Na tem oczyszczaniu powietrza przez ozon, wytworzony podczas burzy, polega jej wpływ odswieżający. Ale też ta okoliczność wyjaśnia nam, jaką drogą ludzie wpadli na szczególny pomysł, że powietrze leśne zawiera ozon. Powietrze to bowiem, jak widać z oddziaływania jego na nasze płuca i nerwy powonienia, jest wolniejsze od pyłków organicznych i gazów, utrudniających nam oddychanie, niż powietrze naszych ulic i domów. Czujemy, że oddziaływa na nasz ustrój podobnie, jak powietrze, oczyszczone przez burzę. Czyż nie był naturalnym wniosek, że jednakowe skutki wynikły z jednej przyczyny i że także w tym wypadku należy przypisać owo oddziaływanie współudziałowi ozonu?

Lecz wniosek ostatni skazał się mylnym. Wprawdzie także dobroczynny wpływ powietrza leśnego polega na procesie oczyszczenia, który ono przebyło, jednak inny czynnik wywołuje ten proces, nie ozon — jeno wróg jego śmiertelny: nadtlenek wodoru. Tenbowiem tworzy się, jak doświadczenia dokładne wykazały, zawsze tam, gdzie olejek terpentynowy, lub inne olejki lotne, w obecności wody ulatniają się swobodnie na wolnem powietrzu. Nadtlenek wodoru jest potężnym środkiem utleniającym, równie jak ozon, lecz jest także — jak wspomniano — wrogiem śmiertelnym ozonu i obaj niszczą się wzajem z gwałtownością niezwykłą, gdziekolwiek się zetkną. Wynika z tego, że nie można dobrodziejstw nadtlenku wodoru przypisywać jego antypodowi, ozonowi.

Jednak nadtlenek wodoru wytwarza się nie tylko przy ulatnianiu się olejków eterycznych, lecz także przy wielu innych sposobnościach i właściwie można prawie zawsze wykazać ślady jego istnienia w atmosferze. Jemu należy też przypisać samooczyszczanie potwietrza w wyższym jeszcze stopniu, niż ozonowi. Żleby bowiem było z nami, gdybyśmy musieli czekać aż na burzę, ażeby otrzymać czyste powietrze.

Przy ulatnianiu się olejków eterycznych wytwarza się nadtlenek wodoru w ilościach stosunkowo wielkich. Ponieważ zaś proces ten nie ogranicza się bynajmniej tylko olejkiem terpentynowym, przeto ci, którzy gardzą perfumami, błądzą, jeśli twierdzą, że nieoczyszcza się wcale powietrza, jeno przytłumia woń niemiłą, gdy się rozpyla wodę kolońską lub podobne wonie w pokoju. Albowiem wówczas jedno i drugie następuje, a nasze płuca taksamo odczuwają oczyszczenie powietrza jak nos nasz przyjemne podrażnienie przez woń perfumy. Nie potrzeba zaś osobno dowodzić, że nadtlenek wodoru oczyszcza powietrze o wiele dokładniej w lesie, z którego szpilek niezliczonych mieszanina olejku terpentynowego i wody ulatnia się bezustannie, niż w naszych mieszkaniach rozpylanie kilku kropel wody kolońskiej. Szczerze nas zatem cieszy że „panna Eulalia o delikatnych nerwach odzyskała upragnione zdrowie dzięki pobytowi śród lasów“, ale odtąd chyba nie powiemy, że zawdzięcza to ozonowi, skoro pomógł jej nadtlenek wodoru. (*Z Witta*).

Nestor u Homera.

(Dokończenie.)

Takim jest Nestor. Powtóre tę, że ile razy on mówi o sobie, to nie tylko dla podniesienia swej wartości w oczach Achajów, lecz także i głównie dlatego, żeby swym przykładem innych zachęcić do męstwa. Słusznie tedy, jak sądzę, mówi Cicero o Nestorze: „Videtisne, ut apud Homerum saepissime Nestor de virtutibus suis praedicet? Tertiam enim iam aetatem hominum vivebat, nec erat ei verendum, ne vera praedicans de se nimis videretur aut insolens aut loquax“ [2]). Nie należy go więc z tego powodu ganić, że swoje czyny podnosił, bo przez to nikomu ani szkody ani krzywdy nie robił, ani nikomu sławy nie ujął; owszem on do sławy zagrzewał.

W przemowach jego przebija się doskonale jego wewnętrzne usposobienie i jego właściwości. Bez tych mów wiedzielibyśmy wprawdzie, że był bohaterem mądrym, rozważnym, ale nie poznalibyśmy nic z jego miłej gadatliwości, z jaką swoje poglądy rozwija w obliczu zebranych książąt, nic z szlachetnej samowiedzy, którą mu daje doświadczenie i mądrość, nic z tej jego wiekowi właściwej skłonności, pragnącej pouczyć drugich młodości wspomnieniami. Z jego mów poznajemy, co czuje, co myśli, co skłania go do tych lub owych czynów; z mów wyrabiamy sobie zdanie o psychicznych i etycznych właściwościach bohatera.

Poznaliśmy dotąd Nestora doświadczenie, roztropność, wymowność i te usługi, które Grekom wyświadczył jako człowiek doświadczony, roztropny i wymowny; ale nie poznaliśmy szlachetnej pobudki, która go prowadziła po tej drodze działania.

Wszystko, co starzec pylijski czyni, mówi, wypływa z miłości ludu i troski o dobro publiczne, czego następujące mamy dowody.

Kiedy np. Nestor i Agamemnon wybierali się nocą na obejrzenie wart, Dyomedes, zbudzony ze snu przez króla Pylijczyków, podziwia go, że sam się trudzi, mogąc się wyręczyć młodszymi. Nestor przyznaje słuszność synowi Tydeusa, przyznaje, że kto inny mógłby spełnić tę samą czynność, ale że teraz „okru-

[2]) Cic. De senect. X. 31.

tna potrzeba Danajów przygniata“ [1]), przeto wyręczać się trudno.

Jak powiedziano wyżej, Nestor wywiózł rannego lekarza Machaona z wrzawy wojennej. Achilles, widząc ich powracających i nie poznawszy lekarza, wysyła swego przyjaciela Patroklesa do namiotu starca, ażeby się dowiedział, kogo w walce zraniono [2]). Patrokles jak najłaskawiej przyjęty [3]), zobaczywszy, że owym rannym — Machaon, chce odejść, ale Nestor zatrzymuje go pytaniami: dziwi się, dlaczego Achilles troszczy się o to, ilu Achajów otrzymało rany, a sam waleczny odmawia im litości i serca [4]). Przy tej sposobności opowiedziawszy o wojnie z Elejczykami, w której wziął udział wbrew woli ojca jedynie dla dobra publicznego, powiada:

„Lecz Achill sam chce tylko z odwagi korzystać“. [5])

Przyjaciel Patroklesa wydaje mu się samolubnym, jak widać z tych wyrazów, bo sprawę osobistą stawia wyżej niż publiczną; ale nadejdzie czas żalu dla pierwszego z wszystkich bohatera, gdy naród przepadnie [6]).

W końcu dodaje, że Patrokles powinien skłonić przyjaciela — „a rada przyjaźni bywa skuteczna“ [7]). — skłonić do tego, ażeby albo sam wziął udział w boju, albo przynajmniej wysłał Patroklesa w swej zbroi.

Czyż to nie piękny rys charakteru naszego Nestora, który z obrzydzenia do samolubstwa ceni wyżej sprawę ogółu niż osobistą!

Albo siedząc w namiocie koło okrętów wraz z Machaonem i krzepiąc się winem [8]), słyszy Nestor wzmagającą się koło łodzi wrzawę wojenną i, udziawszy zbroję [9]), wychodzi natychmiast, spotyka Dyomedesa, Odysseusza i Agamemnona i radzi nad pomyślnym obrotem sprawy.

Wreszcie widząc, jak Grekom źle się powodzi w walce przy okrętach, wzywa pomocy bogów [10]), i zachęca Achajów do wytrwałości i dzielności w słowach:

„Drodzy, mężami bądźcie, niech wstyd wasze serca napełnia
Przed innymi ludźmi, a każdy niechaj pamięta
O małżonce i dzieciach, dobytku i drogich rodzicach.
Jeśli któremu żyją, bądź też któremu pomarli;
Na ich więc imię was tutaj zaklinam, choć są nieobecni,
Żebyście mężnie stanęli, a nie próbowali ucieczki“ [1]).

Ile w tych słowach szlachetności, ile troski o najdroższych. W imię żon, dzieci, rodziców, nawet dobytku, a więc w imię Grecyi każe bohaterom walczyć!

Czy w obec tej zacności Nestora można się dziwić, że Zeus w jego postaci zsyła sen na Agamemnona [2]); że naczelnik wódz z czcgłębokiej dla starca koło jego okrętu zwołuje radę [3]) i pierwszego wzywa do składania ofiar Zeusowi.[4]); że do niego się zwraca jako posiadającego największe zaufanie [5]); że Achilles jemu podczas igrzysk na cześć Patroklesa ofiaruje piątą nagrodę, czarę podwójną, w słowach pełnych czci najgłębszej? [6]).

Bynajmniej. Za usługi pod Troją wszystko to mu się należy, jak należą mu się te wszystkie przydomki, które mu daje poeta lub którymi go darzą bohaterowie.

Nestor sam posiada poczucie i świadomość swej wartości. Kiedy mu bowiem Achilles ofiarował ową piątą nagrodę, starzec chętnie ją przyjmuje i cieszy się, że mu ją przyznano bez ubiegania się i publicznie w obec wszystkich Achiwów uczczono, jak należy. Przyjmując czarę, mówi do syna Peleusa:

„To zaś chętnie przyjmuję i sercem się cieszę, iż ciągle
O mnie jak o życzliwym pamiętasz i nie pominąłeś
Uczcić mnie, jak się należy, by wobec Achajów mię czczono.
Niechże ci za to bogowie łaskami równemi nagrodzą [7])

Jak Nestor w obozie Achajów otrzymuje to, co mu się należy według zasług: cześć i głębokie uszanowanie, tak w poczuciu sprawiedliwości oddaje sam każdemu, co się komu należy, i otwarcie i bez ogródek wypowiada prawdy w oczy.

Mimo swego znakomitego stanowiska pomiędzy Achajami, ani na chwilę nie przestaje uznawać i czcić władzy królewskiej Agamemnona i naczelnego wodza Achiwów. Wpra-

---

[1]) Il. X. 172. — [2]) Il. XI. 608 nn. — [3]) Il. XI. 645 n. — [4]) Il. XI. 665. — [5]) Il. XI. 762 n. — [6]) Il. XI. 764. — [7]) Il. XI. 793. — [8]) Il. XI. 631, 639; XIV. 1. — [9]) Il. XIV. 9 nn. — [10]) Il. XV. 372 nn.

[1]) Il. XV. 661 nn. — [2]) Il. II 20 n. — [3]) Il. II. 53 n. — [4]) Il. II. 405. — [5]) Il. X. 57. — [6]) Il. XXIII. 615 nn. [7]) Il. XXIII. 647 nn.

wdzie króla sprawiedliwie gani za sprawę z Achillesem [1]) ale się wstrzymuje od słów przykrych, owszem naganę poprzedza słowami, pełnemi uprzejmości [2]). To samo powtarza się zawsze [3]).

Dla tej samej sprawiedliwości wyraża uznanie Odysseuszowi [4]), chwali warty, a nawet Achillesa, któremu za złe poczytuje wstrzymanie się od walki, nie lekceważy; owszem jego wysoką wartość uznaje i głosi [5]).

Szanując ludzi wedlug ich rzeczywistych zasług i rzeczywistej wartości, Nestor oddaje najgłębszą cześć bóstwom i wielką w nich pokłada ufność.

Między argumentami. które przytacza, celem skłonienia narodu wojowników do wytrwania w przedsięwzięciu, przywodzi i ten, że Zeus w czasie wymarszu wojsk rzucił piorun z prawej strony, zwiastując tym sposobem przychylną wróżbę. [6])

Szczególnie ważne pod tym względem jest miejsce, [7]) jak król Pylijczyków wstrzymuje Dyomedesa od dalszej walki, niezgodnej z wolą potężnego boga. Mianowicie podczas orężnej rozprawy, która się wywiązała po pojedynku Ajaxa i Hektora i w której Nestor był narażony na największe niebezpieczeństwo, ale go ocalił syn Tydeusa, na swój wóz zabrawszy, oto podczas tej rozprawy Zeus zsyła piorun, co starzec za nieprzychylny znak woli bożej biorąc, radzi z walki się wycofać i nic nie czynić przeciw potędze bóstwa.

Albo przy innej sposobności, gdy Grekom źle się powodzi w bitwie przy okrętach, Nestor modli się do Zeusa, ręce do nieba podnosząc, i błaga, aby pamiętny ofiar mu składanych nie dozwolił ginąć Achajom. [8]). On nie tylko sam czci Zeusa, ale i innym modły do tego Boga nakazuje [9]). Prócz tego zanosi modlitwy do Pallady [10]) i na cześć Neptuna urządza ucztę [11]).

---

[1]) Il. I. 275 nn. IX. 109 nn. [2]) Il. IX. 96 nn. [3]) Il II. 434 nn. IV. 318 nn. IX. 163 nn. [4]) Il. X. 144 n. 544 n. [5]) Il. I. 283 n.; IX. 110; XI. 665. — [6]) Il. II. 350 n. — [7]) Il. VIII. 139 nn. — [8]) Il. XV. 372 nn. — [9]) Il. IX. 171. [10]) Od III. 380 nn. 393 n. 419 n. — [11]) Od III. 32 n. i 42 n.

Dla uzupełnienia obrazu należy dodać że król Pylijczyków nie gardził puharem, ale nigdy nie przebrał miarki. Widzieliśmy, jak w namiocie razem z Machaonem pokrzepiali się winem.

Nestor zwykle pijał z puharu misternej roboty [1]), który sobie przywiózł z domu, a który winem napełniony tak był ciężki, że nikt go ze stołu nie podniósł, co staruszek czynił z łatwością. [2])

Nestor po wojnie trojańskiej.

Po upadku Troi, wróciwszy do ojczyzny, do Pylosu, Nestor żyje jeszcze dłuższy czas w towarzystwie żony i otoczeniu rodziny; synów i córki. [3]) składa ofiary Atenie [4]) i Neptunowi [5]) i wczesnym rankiem, ze snu się zbudziwszy, wychodzi przed dom i siada na kamieniu, na którym niegdyś przesiadywał jego ojciec, Neleus [6]). Telemachowi starzec pylijski wydał się nieśmiertelnym, gdy w jego progi zawitał, szukając wieści o ojcu [7]).

Do cnót, któreśmy w Nestorze poznali w okresie wojny trojańskiej, przybywa jeszcze gościnność.

Już tam, podczas wojny widzieliśmy, jak w swym namiocie gościł Machaona, jak uprzejmie przyjął Patroklesa, gdy tenże, przysłany przez Achillesa, przyszedł się dowiedzieć, kogo Nestor rannego wywiózł z bitwy. Że na przyjęcie Patroklesa król Pylijczyków powstał z siedzenia, że go wziął za rękę i siadać prosił, możnaby sobie tłómaczyć chęcią pozyskania przyjaciela Achillesa w tym celu, aby za jego pośrednictwem mógł wpłynąć na syna Peleusa, co jako pro publico bono zrobione Nestorowi nie ubliża, owszem szanowniejszym go czyni; ale gościnności, okazanej Telemachowi, inaczej ani pojmować ani rozumieć nie można, tylko jako wynik, wypływ wewnętrznego usposobienia i charakteru.

Telemach, szukając wieści o ojcu, przybył na dwór Nestora. Gdy synowie staruszka pylijskiego ujrzeli gościa, natychmiast wyszli

---

[1]) Il. XI. 632 nn. — [2]) Il. XI. 636 nn. — [3]) Od III. 182. — [4]) Od III. 32. 387. 412 nn. IV. 209 nn. — [5]) Od III. 418 nn. — [6]) Od III. 43 nn. — [7]) Od. III. 406 nn. — [8]) Od. III. 245 nn.

na jego spotkanie, powitali go uprzejmie, posadzili obok czcigodnego ojca i brata Trazymedesa i podali jadło i napój.[1]) Gdy się nasycił syn Odysseusza, Nestor, dowiedziawszy się, kogo ma u siebie w gościnie, opowiada niektóre wypadki z wojny trojańskiej[2]); z nadejściem nocy gościa do okrętu nie puszcza, zatrzymując go słowy:

„Ani Zeus nie dopuści ni bogowie sami,
Abym was mógł na okręt odprawić w tej chwili.
Czyż ja to hołysz jaki, albo żebrak? Czyli
Nie stać mię już na płaszcze, okrycia wełniane
Dla gości, kiedy u mnie są podejmowane?
Nie troszcz się; tu nie braknie nakrycia, ni płaszcza
Jażbym pozwolił, żeby syn Odyssów zwłaszcza,
Szedł na statek? Rzecz taka nigdy się nie stanie
Pókim żyw, a i po mnie dość synów zostanie,
Aby w domu umieli gości przyjąć pięknie". [3]).

Telemach nocuje w zamku Nestora. Nazajutrz rano, przed odjazdem kąpią go i namaszczają, a Nestor, przydawszy mu syna swego Pizystrata za towarzysza podróży, wysyła do Sparty własnymi końmi i wozem, który szafarka zaopatrzyła w chleb i wino na drogę[4]).

Są to bezpośrednie objawy gościnności. króla Pylijczyków. Że gościnnym był, świadczą i inne okoliczności. Oto Telemach, wracając ze Sparty, nie wstępuje do Pylosu w obawie aby go staruszek nie zatrzymał za długo, tłómaczy się towarzyszowi podróży Pizystratowi, a ten przewiduje, że to staremu Nestorowi sprawi przykrość[5])

Jak oceniał przyjęcie w Pylosie sam Telemach, poznajemy najdokładniej z jego sprawozdania. Wróciwszy do domu, opowiada matce Penelopie:

„Najpierw my do Nestora, jen (który) rzeszom przywodzi,
Do Pylosu zabiegli. Przyjął mię najsłodziej
Starzec na swoim dworze; był dziwnej czułości
Jakby ojciec dla syna, co po niebytności
Długiej do dom powraca; tak dla mnie był dobrym
Wraz z dzielnymi synami". [6]).

Jesteśmy u celu. Ną zakończenie zestawmy w zwięzłą całość te rysy charakteru Nestora, które wyżej z natury rzeczy musiały się rozprószyć.

Wszystko, co powiedziano o królu pylijskim, dowodzi dostatecznie, że Homer chciał nam dać w Nestorze najwierniejszy obraz starca bardzo rozumnego i miłego. Przez swój wiek sędziwy i jego przymioty Nestor zajmuje pod Trojq bardzo wysokie stanowisko. Przeżywszy wiele lat, w których zebrał dosyć mądrości, nabył dość roztropności i nagromadził dość doświadczenia tak życiowego, jak wojennego, tymi niewyczerpanymi skarbami duszy zasłużył się jak najlepiej około sprawy Achajów pod murami Ilionu. Czy trzeba było spory książąt łagodzić, czy odwieść od nierozważnych zamiarów, czy dać wyprobowane przepisy walczenia, czy szyki najsprawniej ustawić, Nestor wszędzie się znalazł i wszędzie dobrze się sprawił.

W tem wszystkiem pomagała mu, prócz wieku i rozumu, dziwna słodycz wymowy. A było w niej tyle powagi, tyle siły i męskiej godności, iż i swym czarem i słodyczą i argumentacyą zniewalała umysły wojowników. Jest wprawdzie u niego pewnego rodzaju gadatliwość i chełpliwość, wady właściwe wszystksm starcom, ale ani ta gadatliwość, ani chełpliwość nas nie rażą, bo widzimy, że wszystko, co o sobie staruszek mówi, nie dla własnej chwały i obudzenia dla siebie podziwu mówi, lecz ku zbudowaniu młodszych i w chęci zagrzania do męstwa.

Ale najpiękniejszą sędziwego starca ozdobą jest jego serdeczna, gorąca miłość ojczyzny, miłość Grecyi. Ona włada jego uczuciami, myślami, słowami, czynami: ona to sprawia, że sprawy publiczne idą u niego przed prywatnemi; ona ogrzewa, opromienia, jego życie!

Jeżeli do tego dodamy ścisłą sprawiedliwość dla wszystkich, cześć dla bóstwa, uszanowanie dla starszyzny wojskowej i szczerą Nestora naszego gościnność, będziemy mieli pełny wizerunek staruszka, którego czcili ludzie a bogowie cenili.

Józef Szafran.

---

[1]) Od. III. 34 nn. — [2]) Od. III. 103 nn. [3]) Od. III. 346 nn. — [4]) Od. III 475 n. 479. 482 n. XVII. 116 n. — [5]) Od. XV. 200 nn. [6]) Od. XVII. 109 nn.

Pogadanka.

Zbliżają się wakacye. Młodzież szkolna po największej części wydali się z miast i rozprószy po różnych stronach naszego kraju, po wioskach naszych i górach, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem i nabrać sił do nowej pracy, nowych znojów i trudów.

Czy też młodzieży przychodzi przed wakacyami myśl, jakby te wakacye spędzić z prawdziwym dla ducha i ciała pożytkiem? Wakacye — to wypoczynek po pracy, który słusznie się należy pracującym. Niechże więc młodzież, która pracowała, wypoczywa, niech wciąga w piersi powiewy zdrowego powietrza, woń lasów i pól ojczystych, niech używa słońca i kąpieli!

Ale wakacye — to nie bezczynność zupełna, to nie ciągłe wałęsanie się bez celu. Wypoczynek godzi się bardzo dobrze z lżejszą pracą czy fizyczną czy umysłową. Człowiek przywykły do zajęć nie potrafi ich nawet tak zupełnie odłożyć na bok, żeby nic nie robił, nic nie myślał; owszem musi czemś zaprzątnąć swój umysł, swe ręce. Toż i młodzież, ucząca się w szkołach, korzystając dowoli z tego, co jej się po mozołach należy: z powietrza, słońca, kąpieli, przechadzek, wycieczek, odczuwa przecież potrzebę zajęcia zwłaszcza w dni ponure, słotne, gdy nic w świat nie ciągnie. Czy wtedy lektura nie byłaby miłą rozrywką, pokrzepieniem, rozpędzeniem nudów?

To też uczeń, wyjeżdżając na wakacye, powinienby zaopatrzyć się w pożyteczne książki do lektury, a sam sobie będzie wdzięczny za te miłe chwile, których mu książka dobra dostarczy.

W tych dniach Redakcya „Przyjaciela“, otrzymała I. tom dzieła, godnego bardzo gorącego polecenia p. n. „Biblioteka im. Klementyny Tańskiej.“ Kraków 1898. Autorką jest p. M. Śleczkowska. W jej książce znajdzie czytelnik ładne wspomnienie o Hoffmanowej, wspomnienia krzemienieckie, swych rówieśników z Krzemieńca, ich zabawy, rozrywki i t. d. a wszystko takie nasze, tak pięknie napisane.

Pożytecznem zajęciem wakacyjnem, mogącem się odbywać na wolnem powietrzu, mogłaby być robota w polu, przy snopkach, dla ćwiczenia sił fizycznych, mogłoby być zbieranie roślin, owadów, w pewnych okolicach minerałów, gromadzenie i spisywanie baśni, legend podań, pieśni ludowych, opisywanie zwyczajów i obyczajów ludu naszego w różnych porach roku i przy różnych okolicznościach. Trzeba tylko w tem wszystkiem ściśle zachować wymowę ludu, a materyały w ten sposób przez uczniów starszych nagromadzone, mogą się stać cennym przyczynkiem do badań i będą niezawodnie z wdzięcznością przyjęte przez nasze Towarzystwo ludoznawcze *). Pomyślcie nad tem, przynajmniej niektórzy, mieszkający na wsi i pochodzący z ludu.

Polecamy też gorąco wycieczki w ojczyste góry i do miejsc historycznych. Tam myśl się krzepi, duch podnosi! Przed laty bywało tak, że zbierała się gromadka uczniów i zaopatrzona w niezbędne potrzeby podróżne per pedes Apostolorum puszczała się na wędrówkę po ojczystym kraju. Ile to miłych wrażeń przynosiło się z takich wycieczek, ile wspomień! Jak się zasilało niemi polot myśli, wyobraźnię i jak się ojczyznę poznawało! Czy nie możnaby odnowić tych wakacyjnych wędrówek? Dodać tu trzeba, że w każdej plebanii, w każdym dworku mile witano wówczas wędrujących uczniów, noclegi dawano i raczono tem, czem chata była bogata.

Niejeden z naszych młodych przyjaciół nie wróci już do szkoły średniej. Jedni dla braku zdolności do nauk wyższych, drudzy z powodu ukończenia szkół opuszczą mury szkolne i rojne gwary studenckie.

Dla tamtych mamy na pożegnanie słowa zachęty: „Ducha nie traćcie, obierzcie sobie zawód, który waszemu uzdolnieniu najlepiej odpowiada, i z całą energią i wolą niezłomną dążcie do wytkniętego celu, a będziecie na innym obszarze działania pożytecznymi i szanowanymi, jeżeli pracować będziecie uczciwie.“

Z tymi zaś, którzy ukończyli szkoły średnie, chcielibyśmy przez chwilkę pogwarzyć po raz ostatni.

Odczuwamy waszą radość, zadowolenie. Samiśmy to wszystko przechodzili i z przyjemnością wracamy wspomnieniami do tych chwil, przepędzonych górnie w miłości i przy-

*) Zebrane materyały można przysłać za pośrednictwem Redakcyi naszego pisma.

jaźni koleżeńskiej na ławie szkolnej, i do tej chwili podniosłej, w której nam wręczono owoc pracy — świadectwo dojrzałości. Ale przypominamy sobie też i to, jak niebawem stanęliśmy przed trudnością wyboru zawodu na całe życie.

Powiadają słusznie, że przed uczniem, który ukończył gimnazyum, cały świat stoi otworem. Ale czy młodzież czynami to stwierdza, że ta prawda jest prawdą? Czy młodzież ta z nielicznymi wyjątkami nie pędzi na oślep i bez głębszego zastanowienia się, które powinno poprzedzić wstąpienie na tę lub ową drogę, czterema ubitemi drogami, z których jedna prowadzi na wydział teologiczny, druga na prawniczy, trzecia — na lekarski, ostatnia nareszcie — na filozoficzny? Czy ta młodzież widzi inne pola pracy? Czy w pewnych okresach pewnemi drogami (z pomiędzy owych czterech) nie posuwają się tłumy, podczas gdy innemi ciągną nieliczne garstki? Czyżby powołanie nie istniało wcale lub w pewnych czasach objawiało się w tej samej postaci u licznej rzeszy młodzieży? Rozważcie to, badajcie swoje skłonności, zamiłowania, w wyborze zawodu idźcie za głosem wewnętrznym, który jest powołaniem, idźcie za tym popędem wytrwale, energicznie, z wolą nieustraszoną, a staniecie się pożytecznymi sobie i społeczeństwu naszemu i pracować będziecie w zadowoleniu. Komu głos wewnętrzny wskaże starą drogę, ten niech na nią wkracza bez obawy i śmiało; kogo zaś siła wewnętrzna będzie popychała ku budującym się dopiero gościńcom, ten niech się przeżegna, jak żołnierz przed bitwą, i niech rusza w imię Boże na tę nową drogę! A wiecie, jakie to są te nowe drogi? Są to zaniedbane u nas pola pracy nad materyalnem podniesieniem kraju; pola, na których pracowników rozumnych, odpowiednio wykształconych, energicznych, sumiennych i rozumiejących głęboko potrzeby krajowe widzimy mało, za mało.

Kończąc dzisiejszą pogadankę, życzymy wszystkim młodym przyjaciołom wesołych wakacyi, a maturzystom szczęśliwego dla nich i dla kraju wyboru zawodu!

J. Sz.



Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Płaczące drzewo. Na wyspach Kanaryjskich rośnie drzewo podobne do wawrzynu, które ma własność wydzielania wody, nagromadzonej w pniu, przez niezliczone drobniutkie pory, znajdujące się na brzegach liści. W czasie upału dziennego przemienia się ta woda w parę, ale wieczorem, gdy powietrze już znacznie ochłódło, gromadzi się na brzegach liści tyle kropli wody, iż gałęzie uginają się pod tym ciężarem Przez to spływa woda w postaci deszczu na ziemię, gdzie zbiera się czasem u stóp drzewa, dostarczając przechodniom smacznego napoju.

Największe dzwony na świecie. Największy dzwon na świecie, bo ważący przeszło 100.000 kg, jest w pagodzie w Mingum (Indye). W Europie największy jest dzwon w Moskwie, który waży 50.000 kg., ma 7 m wysokości a 6m. średnicy. Prawie połowę tej wagi mają dzwony katedry w Kolonii i kościoła Sacré-Coeur w Paryżu (na Montmartre).

Niezapalna karta. Nową kartę zanurza się w silnym roztworze ałunu i osusza zwolna. Jeżeli się to kilka razy powtórzy, uczyni się kartę niezapalną.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 31. Czy rzekotka (Hyla arborea) zawsze jest zielona?

Nr. 32. Ile ważyłaby kula z korka o średnicy 2 metrów?

Nr. 33 Które ważniejsze fosforany znajdujemy w przyrodzie jako minerały?

Nr. 34. Ile regularnych oktaw (stanc) jest w „Grażynie“ Mickiewicza?

Nr. 35. Jeżeli liczba lat pewnego ucznia jest ostatnim członem postępu arytmetycznego, którego pierwszym członem jest 1, to dziesiąta część lat jego ojca jest liczbą członów postępu a liczba lat ojca sumą członów; gdyby zaś ojciec był o 6 lat starszy, miałby 4 razy tyle lat, ile ma syn. Ile lat ma ojciec a ile syn?

Dwie nagrody: Lenartowicza „Kościuszko“ i „Początki astronomii“.

Odpowiedzi należy przysyłać do 30. lipca b. r.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 26—30.

Nr. 26. Pierwszą operą polską była „Nędza uszczęśliwiona“ Macieja Kamieńskiego, dyrektora orkiestry w teatrze warszawskim, odegrana w roku 1778. Libretto napisał ks. Franciszek Bohomolec (ur. 1720 † 1784).

Nr. 27. Mars ma 2 księżyce: Fobos (o 1260 mil geogr. od Marsa oddalony) i Deimos (3140 mil). Oba odkrył Hall w Waszyngtonie w roku 1877.

Nr. 28. Nazwa rubla pochodzi od starosł pierwiastka „rub“ (w polskiem „rąb“ np rąbać). Rublami nazywano pierwotnie sztabki srebra „w formie owalu ulane“ (T. Czacki), które można było według potrzeby na mniejsze kawałki przecinać.

Nr. 29. Głazy erratyczne są to kamienie lub skały naniesione z odległych krain w tej epoce gdy część ziemi, dziś uprawna i zaludniona, pokryta była wodą i krami lodu, które pływały w kształcie gór. Takie głazy, pochodzące z gór Norwegii, są w Galicyi zachodniej i północnej aż do Przemyśla.

Nr. 30. Seismograf (*σείω* wstrząsam, *γράφω* piszę) jest to przyrząd, który ostrzega o trzęsieniu ziemi, oraz mierzy jego siłę i kierunek Obserwatorya astronomiczne używają licznych rodzajów seismografu.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. czerwca b. r

Bochnia: J. Jajko (zagadn. nr. 27. 29, 30). Brzeżany: Bednarowski Adolf (27, 29, 30). Buczacz: Gąsiorowski M. i Hecht Sz. (27, 29, 30). Hirschler K. (29). Werhun W. (27, 30) Kraków: Dziurzyński M. (29, 30). Stadtmüller K. (27, 29) Zaezek K. (26, 29, 30). Lwów: *Ἀνήρ* (pseud. 27, 29, 30), Kobierzycki L. (26, 27 29, 30), Mann J. (27, 29, 30) Sośnicki K. (26, 27, 29, 30) Witoszyński R. (27, 29, 30). Nowy Sącz: Mondalski W. (26, 29, 30). Przemyśl: Emanus (pseud. 27). Pyszkowce: Zimmer D. (27). Sambor: Henzel J. (26, 30). Wadowice: Dziedzic A. (26, 29). Jura A. (26, 29).

Nagrodę (Barańskiego „Jeszcze Polska nie zginęła“, zbiór pieśni narodowych) otrzymał przez losowanie: Kobierzycki Ludwik we Lwowie.

Na zagadnienie nr. 28 nikt nie przysłał trafnej odpowiedzi.

Zadanie geometryczne.

(*Nadesłał prenumerator X. P. Z w K.*)

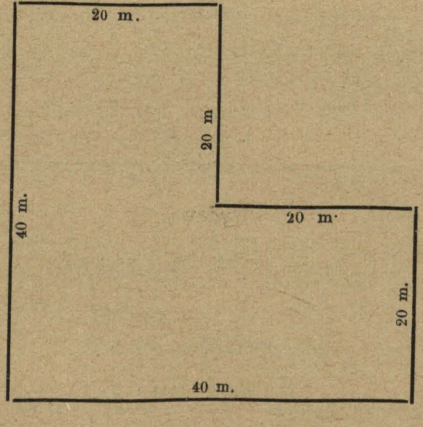

Ogród, którego kształt i rozmiary podaje załączona figura, podzielić tak między 4 właścicieli, iżby powstały cztery części równe co do powierzchni i podobne co do kształtu.

Rozwiązania należy nadsyłać do 30. lipca b. r. Wystarczy przysłać rysunek, bez objaśnienia.

Rozwiązanie logogryfu:

Jagielnica
Aurillac
Katarzyna
Assauł
Perekop
Raguza
Australczyk
Centurya
Ararat.

„Jaka praca, taka płaca“.

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. czerwca b. r.: Bochnia: Jayko I. Brzeżany: Bednarowski A., Buczacz: Gąsiorowski M., Hecht S., Werhun W. Kraków: Dziurzyński M., Zaczek K. Lwów: *Ἀνήρ* (pseud.), Mann J. Sośnicki K Witoszyński R.. Przemyśl: Widacki S., Sambor: Henzel J. Wadowice: Dziedic A., Jura A.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Z zadowoleniem podnosimy, iż pogadanka umieszczona w 6. numerze odbiła się dość silnem echem w zwiększonym napływie listów do „Skrzynki“. Wielu korespondentow pospieszyło z wymienieniem całego szeregu życzeń co do artykułów i kierunku pisma. Nie wszystko da się zaraz uskutecznić, ale Redakcya będzie się starała przynajmniej część tych projektów w najbliższych numerach w czyn wprowadzić,. Z powodu krótkości czasu nie możemy na niektóre pytania udzielić tak wyczerpującej odpowiedzi, jakiej wymaga poruszona sprawa: tych przeto Sz. Prenumeratorów prosimy o cierpliwość do września.

Ἀνήρ. Stósownie do życzenia damy w nast. nrze w rubryce „Rozmaitości“ zwięzłe wskazówki dla zbierających minerały. Zbiór, liczący 70 sztuk, jest rzeczywiście już wcale ładny, zwłaszcza, jeżeli systematycznie uporządkowany.

Annij Pokrasien. Serdecznie dziękujemy za pomoc w rozszerzeniu koła naszych przyjaciół O dwutygodniku myślimy: może od Nowego Roku. W następnym numerze będzie drugi artykuł p. t. „Co warto czytać i dla czego“, a dalsze będą się częściej ukazywały; autor nie mógł nam prędzej dostarczyć artykułu, gdyż miał wiele pilnych prac do ukończenia. Powieści zbierać nie warto, chyba wyborowe. Zresztą wkrótce damy artykuł o zakładaniu biblioteczki (proszę też porównać odpowiedź dla *R. W. W.*).

Raki łapie się najlepiej wieczorem, w miejscach sitowiem zarosłych.

D. Z. Jest zwyczajem przyjętym powszechnie, iż autorom wolno się ukrywać pod pseudonimami. Przeciwnie ma się rzecz z rozwiązywaniem łamigłówek etc. Powód, który nam podał prenumerator K. O. B. jest zapewne trafnie przezeń odgadniony,

t. j. iż wielu czytelników chce w ten sposób ujść drwin przeciwników „Przyjaciela“, a swoich kolegów. Czy nie powinno się mieć w tym wypadku więcej odwagi i stałości?

Emanus. Pisząc „Pogadankę“ ostatnią, nie mieliśmy na myśli tej lub owej osoby. Co do „poważnego celu“ domyślamy się, że w tym wypadku nie jest nim to, co powyżej powiedziano (odpowiedź dla D. Z.) i bylibyśmy wdzięczni za szczere podanie bliższych wyjaśnień; może co na to poradzimy. Żądane artykuły pojawią się w następnych numerach.

Fizyk. Przy obecnej liczbie prenumeratorów możnaby tylko w ten sposób przemienić „Przyjaciela“ na dwutygodnik, żeby zamiast 2 arkuszy co miesiąc, wychodził jeden arkusz co dwa tygodnie. Nie wiemy atoli, czyby się to podobało naszym czytelnikom? — O galwanoplastyce i suchych stosach pouczy każdy podręcznik fizyki.

K. L. M. Człowiek prawdziwie wykształcony stoi o tyle wyżej od tego, który przyswoił sobie wiadomości praktyczne, że stara się zdać sobie sprawę z przyczyn faktów wszelkich a więc i z podstaw cywilizacyi naszej. Takie zaś podstawy stanowią cywilizacya grecka i rzymska, które najlepiej można poznać, studyując dzieła klasyków w oryginale. Zresztą język łaciński znakomicie ułatwia zrozumienie romańskich języków.

K. O. B. Ani „surowej nagany“, ani „wyrzutów“ bynajmniej nie miał zamiaru pisać autor Pogadanki“, nie ma bowiem ani prawa ani potrzeby, tak traktować swych młodych przyjaciół. Sz. Prenumerator może czarne okulary nosi? Poruszona myśl jest trafna i będziemy się starali pójść w tym kierunku, jednak pożądane byłoby jaśniejsze sformułowanie tej myśli.

K. St. w Kr. Nie możemy już teraz wyjaśnić, bo nadesłane rozwiązania niszczymy po losowaniu i po wyjściu numeru.

Lege. Na początek, dla nabrania wprawy, polecamy dwa krótkie opowiadania, wydane z objaśnieniami i słowniczkiem w zbiorku p. t „K. Bobrzyński i P. Postel, Biblioteka niemiecka dla młodzieży, zeszyt I., Kraków 1898 (cena 30 ct.)“. Później proszę przeczytać z powieści n. p. następujące: Sealsfield Charles (pseudonim), Tokeah oder die weisse Rose; Gerstäcker Fr. Georg, der kleine Goldgräber; Rosegger P., Waldjugend, Ernst u. heiter, Waldferien; Marlitt (E. John) Goldelse, Heideprinzessin, Reichsgräfin Gisela.

Ὁ παλαιὸς ἀναγιγνώσκων. Poglądu na „najnowszą“ literaturę nie obiecujemy, bo to zbyt świeża kwestya i czasem drażliwa, ale co do „nowszej“ wkrótce mamy zamiar dać artykuły o współczesnej poezyi i powieści Co do innych spraw poruszonych w obszernym liście, (który nam wielką sprawił radość), na wiele z nich tak samo się zapatrujemy, ale trudno od razu cały program rozwinąć; musimy powoli a wytrwale naprzód kroczyć

R W. W. Ułożenie żądanego kanonu (t. j. spisu książek, jakie powinien znać człowiek wykształcony) nie jest rzeczą łatwą. Nim na to pytanie kiedyś zdołamy odpowiedzieć, może nas tymczasem wyręczy wydany w Warszawie „Poradnik dla samouków“ (część I. nauki ścisłe, 65 ct., część II. nauki filologiczno-historyczne 1 złr. 5 ct.), zawierający wykaz dzieł i wskazówki, co w każdem znaleźć można Co do lektury prywatnej, prosimy także o cierpliwość.

Żurawianin. Trzeci zeszyt historyi prof Zakrzewskiego wyjdzie podobno w tym roku. Tymczasem polecamy książkę Gindelego w tłumaczeniu Markiewicza (w antykwarniach) tom. III — O artykuły, o których czytamy w liście staramy się już usilnie. Zresztą proszę odczytać odpowiedzi, dane innym czytelnikom

---

Od Administracyi.

Przypominamy, że z tym numerem rozpoczął się trzeci kwartał; Sz. Prenumeratorowie kwartalni i półroczni zechcą przeto przysłać jak najrychlej przedpłatę lub donieść, iż nie życzą sobie nadal otrzymywać „Przyjaciela“.

Nowo przybywający prenumeratorowie otrzymają wydane w I. półroczu numera (nr. 1—6) bezpłatnie, jedynie za zwrotem kosztów przesyłki i ekspedycyi t. j. 10 ct. Kwotę tę trzeba zatem doliczyć do prenumeraty kwartalnej lub półrocznej.

Zwracamy uwagę na *zmianę adresu* Redakcyi i Administracyi.

Wydawca:

Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:

Henryk Kopia.

TREŚĆ: Od Redakcyi — Ziarnko śrutu, przez *Edmunda About* — Szkice z zakresu estetyki. 1 Piękno, p dług *Se dlitza.* — *Vrchlicky* Legenda o św. Prokopie (C. d.) — Gawęda o ozonie podług *Witta.* — Nestor u Homera (Dokończenie) przez *J. Szafrana.* — Pogadanka przez J. Sz — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Zadanie geometryczne — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. września 1899. Nr. 8. i 9.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.

Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.

Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Siła, z prawdziwego źródła idąca, wszystko zwalczy“ *A. Mickiewicz.*

Dwaj mali dobosze.

Napisał

Rudyard Kipling. [1])

Na spisie pułków piechoty, pułk ten nosi inne nazwisko, lecz we wszystkich koszarach we wszystkich kantynach znany jest tylko pod przezwiskiem Fore and Aft 2). Może z czasem spełni wielki czyn, który tej nazwie nada znaczenie zaszczytne. Dziś wstydzi się jej niewypowiedzianie, i człowiek, co ją wymówi głośniej, naraża swoje życie. Zaledwie usłyszą to haniebne przezwisko, wyszeptane publicznie, żołnierze tego pułku wypadają wszyscy na ulicę, gotowi na wszystko.

Wprawdzie cofnęli się pod natarciem ale potem dzielnie spełnili swoją powinność. Pomimo to, świat wojskowy wie, że ich łajano od tchórzów, że ich płazowano i nawracano do boju uderzeniami pałaszy.

Niech tylko zdarzy się wojna! zmyją oni tę plamę na sztandarze, wypiorą go we krwi wroga, a biada wojskom, na które się rzucą, aby tego prania dokonać.

Pomiędzy dziećmi tego pułku było dwóch malców z pod ciemnej gwiazdy. Jeden nazywał się Jakin 3) drugi Lew 4); pierwszy liczył czternaście wiosen a zabrano go z jakiegoś londyńskiego rynsztoku; drugi tego samego prawie wieku, o płowej główce cherubina, jak sięgnął myślą w przeszłość, nic sobie przypomnieć nie mógł, tylko życie w pułku.

Inne dzieci pułku niecierpiały tych dwóch łobuzów, z powodu braku logiki w ich postępowaniu. Bili się bowiem ze sobą zacięcie raz na tydzień, i nie licząc reszty. Ale jeśli Jakin mógł bezkarnie kułakować Lew'a, lub jeśli Lew mógł wpakować Jakina głową w kałużę i błoto, to każdy zamach z zewnątrz rozbijał się o połączone ich siły. Lew i Jakin byli gladyatorami pułku i to bogatymi gladyatorami, ponieważ w dnie oznaczone bili się dla uciechy żołnierzy, a te przedstawienia przynosiły niezły zarobek.

Klęli oni jak starzy żołnierze, palili tytoń, co było surowo zakazane; słowem niekarni i czupurni, często odbierali potężne plagi od tambor-majora.

Wszyscy jednak przyznawali, że oba lamparty nie były bez zalet. Pierwszą z nich było, że spełniali swój obowiązek z nadzwyczajną ścisłością. Ani w szkółce, gdzie pobierali trochę nauki, ani w służbie, nie przychwycono ich na najmniejszem zaniedbaniu, na lekceważeniu czegokolwiek, lub na opóźnieniu. Następnie cenili wysoce swój mundur, czuli się dumni, że noszą kołnierz angielskiego żołnierza, wobec świata występowali z pewną zabawną uroczystością i nigdy go nie splamili brzydkim czynem.

Co więcej, nigdy nie schwytano ich na kłamstwie i to tak dalece, że popełniwszy niejeden psi figiel, nie wykręcali się fałszem, ale przewidując nawet plagi, z całą szczerością przyznawali się do popełnionego wykroczenia.

---

[1]) Najznakomitszy może dzisiaj powieściopisarz angielski, liczący lat zaledwie 40, a używający ogromnej sławy na obu półkulach.

W licznych utworach okazuje wiele zmysłu obserwacyjnego, znajomość serca ludzkiego, i umie połączyć prawdę w malowaniu rzeczy i ludzi z wielką prostotą i poetycznym wdziękiem

[2]) czyt: Forend aft (z przodu w tył) [3]) Dżekin [4]) Liu.

Sam pułkownik znał ich już z niejednej sprawki i nieraz go ubawili.

Pewnego naprzykład razu, gdy załatwiali swoją tygodniową bójkę, 20-letni syn jednego z podoficerów, próżniak i nicpoń, nadszedł właśnie i chcąc postrachem denuncyacyi wydobyć od nich trochę grosza na napitek, począł im grozić. Zbili go potężnie i pokrwawili. Skarga weszła do pułkownika, malców stawili przed sąd. Sposób, którym się uniewinniali, wywoływał w sądzie śmiech homeryczny:

— Gdyby pana pułkownika — prawił Jakin — naszedł cywil i groził denuncyacyą, dlatego że się robiło mały obrachunek z przyjacielem, i chciał wycisnąć pieniądze....

— No to co? — pytał pułkownik.

— I tak byłoby zrobiło to zwierzę, aleśmy przeszkodzili. Nie wieleśmy mu szkody zrobili. Owa! Ale on nie miał prawa mięszać się do nas. My się nie skarżymy, gdy nas chłoszcze tambor major lub melduje do kary kapral; ale to niesprawiedliwe, żeby cywil śmiał rozprawiać o człowieku, który należy do armii.

Sąd kładł się od śmiechu.

Pułk żył sobie spokojnie, gdy nagle rozeszła się wieść, że będzie wysłany na granicę, przeciw zbuntowanym pokoleniom Afganów. Wieść ta wywołała wielką radość. Nieszczęściem, pułk od długich lat pełnił wygodną służbę na brzegach oceanu, na dziewięćset ludzi było może dziesięciu żołnierzy, którzy byli w ogniu a wszyscy oficerowie byli w wieku nieprzekraczającym lat trzydziestu. Od najniższych do najwyższych, wszyscy pragnęli pełnić służbę w przednich strażach, lecz nie wiedzieli, co to jest wojna.

— Zobaczysz, — krzyknął Jakin — że muzykę zostawią i nas z babami.

— A jak muzykę wezmą, mogą nas obu usunąć z powodu zdrowia. A tak bym chciał pójść na wojnę — wołał Lew.

— A Tom Kidd pójdzie! Wiesz, zbijmy go go tak, żeby zachorował.

— Aha! toby nas zgubiło.

— Zresztą, ty Piggy, alboż ty jesteś zdolny do służby na wojnie? spytał Jakin, z całej siły kułakami orząc po żebrach kolegi.

Piggy Lew odpowiedział twierdzącem przekleństwem, dodając:

— Doktor mówi, że ty masz serce słabe bo palisz na czczo. Wystaw piersi, wypróbuję.

Jakin wydął swą małą klatkę piersiową, w którą Lew uderzył z całej siły. Jakin zbladł, szeroko rozwarł usta, kaszlnął, mrugnął oczyma i wymówił przytłumionym głosem:

— Dobra! do stu piorunów!

— No, zdasz się jako tako.

Rozmowa ta toczyła się na wysokiem drzewie, wśród gałęzi, gdzie się urwisze wcisnęli, aby bezkarnie palić.

— Lew, — wrzasnął Jakin — pułkownik nadchodzi. Dobry to człeczyna, ten pułkownik. Chodź pomówimy z nim na rozum.

Lew o mało nie zleciał z drzewa wobec tak zuchwałej myśli. Jak Jakin tak i on nie bał się ni dyabła ni ludzi, ale wszystko ma swoje granice, nawet zuchwałość małych doboszy. Mówić z pułkownikiem!

Lecz śmiały Jakin ruszył już z drzewa i biegł ku pułkownikowi.

Ten szedł ze spuszczoną głową, zatopiony w myślach; nagle spostrzegł dwóch malców, którzy wprost szli na niego.

O dwadzieścia metrów dzieciaki stanęły potem posunęły się na odległość czterech przepisanych kroków, salutowały razem i wyciągnęły się prosto jak stempel karabinowy, niewiele od niego więksi.

Pułkownik był w dobrym humorze, uśmiechnął się i rzekł, poznawszy:

— No! chcecie atakować waszego pułkownika, na którego nie możecie się skarżyć. Czyż nie zamykam oczu, nawet wtedy gdy palicie, — i wciągał powietrze z miną podejrzliwą.

Małe serduszka biły gwałtownie, ale trzeba było kuć żelazo, póki gorące.

— Bez obrazy, panie [1]) z przeproszeniem, panie — zaczął Jakin, — czy pułk pójdzie na wojnę?

— Sądzę, że pójdzie — odpowiedział dobrotliwie oficer.

— A muzyka, panie, czy pójdzie? — Zapytali oba razem, i potem jednym tchem:

— My także, panie, pójdziemy? Nieprawdaż, panie?

---

[1]) Nazwy Sir (wym. jak franc. seur) używają w armii angielskiej niżsi do wyższych jako tytułu wyrażającego większy szacunek niż nazwa stopnia.

— Wy? — zawołał pułkownik, cofając się o jeden krok, żeby lepiej przyjrzeć się dwom tym karzełkom — Wy! ależ dyabli by was wzięli po pierwszym marszu.

— Oho, nie, panie. My możemy wszędzie iść z pułkiem, i na paradę i na wojnę, i gdzieindziej! — wykrzyknął z dumą Jakin.

— Ale Tom Kidd — wpadł w słowa Lew — ten to kłapnie, panie, jak zamykający się scyzoryk. Tom, panie, ma żylaki na obu nogach.

— Co takiego?

— Żylaki, takie żyły na nogach: one mu nabrzmiewają po każdej paradzie, jak parada dłuższa. Jeśli on idzie, panie, to i my możemy iść, na honor.

Pułkownik patrzył na nich badawczym wzrokiem.

— Tak jest, muzyka idzie — rzekł poważnie, jak gdyby rozmawiał ze swymi równymi.

— Czy macie rodziców?

— Nie, panie, — krzyknęli oba — nie mamy nikogo, nikogo. Jesteśmy sierotami, panie. Nie trzeba niczyjego pozwolenia, panie.

— Biedne dziecięta!... Wam to iść z pułkiem na granicę!?... I tak wielką macie ochotę?... I dla czego?...

— Dwa lata, panie, noszę już mundur wojsk królowej — rzekł Jakin — To bolesne dla człowieka, panie, nie być wynagrodzonym, gdy się pełniło rzetelnie swoją powinność.

— I.... i.... jeśli nie pójdę, panie, — przerwał Lew — to kapelmistrz tak pedział, że mnie chyci, pedział, aby ze mnie zrobić przekl... nicponia od muzyki!... I to, panie, stanie się, a ja nie odbędę żadnej kampanii, panie.

Pułkownik długo nie odpowiadał, potem wymówił zwolna:

— Jeśli doktor nie zabroni... to możecie pójść z muzyką... Ale, na waszem miejscu, nie paliłbym tytoniu.

Dwa pędraki odsalutowały i znikły. Powróciwszy do domu, pułkownik opowiedział o swem spotkaniu żonie, która zalała się rzewnemi łzami. Co do pułkownika, trzeba przyznać, że był wzruszony, ale jeszcze więcej uradowany: jeżeli taki był duch w dzieciach, jakiż będzie w żołnierzach.

Jakin i Lew wrócili do koszar i weszli do swej izby z minami majestatycznemi i przynajmniej przez dziesięć minut nie raczyli zawiązać rozmowy ze swymi towarzyszami. — Wreszcie, nadęty swojem znaczeniem, Jakin raczył się zwierzyć:

— Tylko co odbyłem konferencyę z pułkownikiem. Dobry chłop, ten pułkownik! pułkowniku — padam mu, pozwól mi pójść z pułkiem. — Dobrze — pada — mój przyjacielu. Pragnąłbym, — pada — żeby więcej było takich zuchów jak ty pomiędzy tymi nicponiami doboszami. Kidd, jeśli mi rzucisz tornister na głowę, strzeż się, bo ci dolne łapy spuchną.

Zawrzało w izbie dzieci pułku, wszystkie bowiem pędraki pożerała zawiść i gniew.

Kiedy pułk maszerował do dworca kolei, wszystkie wojska załogi wyszły patrzeć na defiladę. Mali dobosze zgrzytali zębami, patrząc na Jakina i Lew'a, gdy uroczyście kroczyli z muzyką.

Wysiadłszy na ostatniej stacyi kolei, pułk ruszył na północ, ciągle na północ.

Po drodze spotykał już rannych.

— To nie dość, bić się — opowiadał huzar z głową obwiązaną — bić się, niewielka rzecz, chociaż, dzięki Bogu, człowiek codzień się bić musi. Ale ta przeklęta żywność, ten przeklęty klimat. Co noc mróz, a jak niema mrozu, to tylko dlatego, ze pada grad, a w dzień słońce pali, że może się człek usmażyć jak na patelni. A do tego śmierdząca woda. Rozbili mi głowę jak kurze jajko, dostałem zapalenia opłucnej z gorąca, w dodatku dysenteryę. Jak na pik-nik, mam wcale udatny pik-nik chorób; nic lepszego wam się nie przydarzy, tam w górze. A jeśli chcecie zobaczyć, czem się biją, to wyjmijcie ten nożyk z pod kozła.

Nowicyusze wydobyli go ze wzruszeniem i przyglądali się po raz pierwszy temu strasznemu afgańskiemu nożowi, trójkątnemu, o rękojeści krótkiej. Ten nóż był prawie tak długi jak cała osoba Lew'a.

— Oto, co was czeka — mówił ranny słabym głosem. — To wam odcina ramię przy osadzie jak masło. Zabiłem łajdaka, co go używał, ale jest ich tam kupa innych, co mają tę sztukę odcinania; przeklęte draby!

Pod temi wrażeniami ruszyli w górę. Gdyby śród nich byli starzy żołnierze, nauczyliby ich urządzenia noclegu i t. d. Ale zostawieni sami sobie, żołnierze nie mogli dać sobie rady z noclegiem pod namiotem, ani

z kuchnią obozową. W wodzie zaczęli znajdować różne robaczki i doznawać pierwszych objawów dysenteryi. Trzeciego dnia nieprzyjemnej doznali niespodzianki z powodu przybycia do obozu metalowego gościa, który urwał głowę siedzącemu przy biwakowym ogniu żołnierzowi. W dzień widzieli to tu, to tam u szczytu skał małe obłoczki białe, w nocy zaś błyski, a zawsze w obozie ktoś padał. Żołnierze klęli, mówiąc, że to wszystko bardzo pięknie, ale to nie wojna: i rzeczywiście to nie wojna, pułk nie mógł się ani chwili zatrzymać, aby oczyścić skały z napastników, trzeba było spieszyć, iść naprzód bez przerwy, ciągle naprzód, aby się połączyć z pułkiem Szkotów i pułkiem Gurków [1]), z którymi Fore and Aft miał tworzyć brygadę. Afganowie o tem wiedzieli, wiedzieli także po pierwszych strzałach, że mieli do czynienia z pułkiem nowym. Postanowili więc szarpać go podjazdową wojną. Pod żadnym pozorem nie byli by sobie tego pozwolili z małymi chytrymi Gurkami, którzy sobie za wielką mieli przyjemność w ciemną noc czatować na nich i tępić podstępem zaczajone podjazdy afgańskie. Ani też z tymi strasznymi, wielkimi drabami, w kobiecem ubraniu [2]) których się słyszy, jak odbywając straż nocną, modlą się bezustannie głośno do swego Boga i których zimnej krwi nie zmąci najmniej spodziewany napad. Ale ten nowy pułk zupełnie jest inny. W nocy spi jak dzik, i jak dzik rzuca się cały w stronę napadu. Jego placówki stąpają tak głośno, że słychać ich kroki o ćwierć mili, strzelają do wszystkiego, co tylko się ruszy, nawet do osła, którego z umysłu ku nim się napędza.

To też za każdym etapem nieprzyjaciel stawał się coraz śmielszy i pułk wił się, że się tak wyrazimy, pod atakami, których pomścić nie mógł. Koroną wszystkiego był napad nocny, podczas którego Afganowie poodcinali sznury wielu namiotów, co pozwoliło mordować żołnierzy zaplątanych w zapadające się płótna, pod któremi rzucali się bezsilnie. Ten atak, zręcznie wykonany, wywarł przygnębiające wrażenie na podrażnione nerwy żołnierzy. Zniechęceni, chorzy, skostniali od zimna, w mundurach zabrudzonych i źle utrzymanych, dobili się do brygady.

— Zdaje się, żeście mieli dość trudu, żeby się z nami połączyć — rzekł generał brygady.

Ale gdy zobaczył spis chorych, twarz jego mocno się zachmurzyła

— Przykro mi, — odezwał się do pułkownika, że nie mogę się obejść bez was. Potrzebuję wszystkich sił naszych. Gdyby nie to, dałbym wam dziesięć dni na wypoczynek.

— Wprawdzie moi ludzie — odpowiedział pułkownik — przebyli ciężką drogę, ale nie sądzę, żeby nas trzeba było oszczędzać. Jednego tylko chcą oni, żeby tam ich zaprowadzić, gdzieby widzieli, kogo mają przed sobą.

— Nie mogę wiele dobrego powiedzieć o tym pułku — szepnął generał do swego szefa sztabu. — Jeszcze nie widziałem żołnierzy tak wynędzniałych.

— Och, przez samą kampanię do równowagi powrócą — odpowiedział szef sztabu. Jeszcze zrozumieć nie mogą, co im się wydarzyło, i oto wszystko.

Rzeczywiście, nie rozumieli. Strzały padały ze wszech stron, a oni szli na to tylko, żeby je odbierać, Choroby waliły ich z nóg, A co gorsza, oficerowie nie lepiej znali kraj jak żołnierze. Ci wszakże byli przekonani, że inaczej pójdzie, gdy zetkną się oko w oko z wrogiem Na bagnet niewiele liczyli, bo Afgan o długich ramionach swoim długim nożem o ośm stóp odległości trzech Anglików za jednym ciosem wyrzuca z szeregu. Ale siedmset karabinów dających razem salwę, to co innego.

Gurkowie przyszli do ich obozu i w połamanej angielszczyźnie próbowali bratać się z nimi, częstując ich tytoniem i zapraszając do kantyny. Ale Fore and Aft nie znał ich jeszcze, i obchodził się z nimi jak z „murzynami". To też mali Indyanie w stroju zielonym wrócili do swych starszych przyjaciół Highlanderów [1]) i zwierzali się im, szydząc, że ten szkaradny pułk biały nie wart nic. Opryskliwi... ugh!... brudni... ugh! Hya! Johnny [2]) nie

[1]) Nazwa górali indyjskich, służących w armii indyjsko-angielskiej [2]) Wiadomo, że Szkoci noszą od pasa pledy, owinięte około bioder, co wygląda jak spodnica.

[1]) Highlanders, (hajlenders) górale szkoccy, tak nazywają się pułki szkockie w armii angielskiej.

[2]) Przezwisko dawane indyjskim żołnierzom przez żołnierzy angielskich.

myślą o nich nic dobrego.

Na co Highlanderzy uderzali Gurków po głowach, zakazując im znieważać pułk angielski, co Gurkowie przyjmowali, szydząc jeszcze więcej, bo Highlanderzy byli ich starsi bracia, mający przywileje ścisłego pokrewieństwa. Każdy inny żołnierz, gdyby dotknął tylko Gurki, mógłby być pewny, że w tejże chwili Indyanin rozetnie mu czaszkę na dwoje.

W trzy dni potem, generał brygady przygotował bitwę według prawideł i właściwości temperamentu afgańskiego. Nieprzyjaciel zgromadził groźne siły śród wzgórz skalistych, a ruch licznych nielonych sztandarów świadczył, iż liczne pokolenia powstały równocześnie, aby przyjść w pomoc wojskom regularnym Afganów. A generał oprócz trzech pułków, szkockiego, angielskiego i Gurków, miał zaledwie półtora szwadrona ułanów z Bengalu i dwa górskie działka [2]), pożyczone od stojącej o 30 mil kolumny.

— Ułożymy stylową bitwę — rzekł generał — trzy pułki wezmą w niej udział, a jazda zostanie w rezerwie.

— I to będzie cała rezerwa? — zapytał któryś z oficerów.

— Cała, — zadecydował generał, który nie sądził, żeby w wojnie z Azyatami trzeba było rezerw. I rzeczywiście, gdyby armia angielska zawsze była oględnie oczekiwała rezerw, aby prowadzić swe wojenne operacye, granice naszego państwa nie sięgałyby poza brzegi Tamizy.

Wychodząc z trzech wąwozów, trzy pułki miały osadzić wierzchołki wzgórz, i z lewej, prawej i z centrum kierować się ku środkowemu punktowi, który stanowiło to, co nazwiemy armią afgańską, zajmującą głąb doliny. — Trzy więc boki tej doliny były w posiadaniu Anglików, czwarty znajdował się w ręku Afganów. W razie porażki ci mieli oparcie o skaliste wzgórza, skąd ogień pokoleń sprzymierzonych osłaniałby odwrót. W razie zwycięstwa te same pokolenia obowiązane były rzucić się na pomoc, aby dokonać zupełnego rozbicia Anglików.

Zadaniem dwu działek angielskich było uprzedzić starcie piechoty i razić główne kolumy afgańskie, a jeździe nakazano szerzyć spustoszenie w szeregach nieprzyjaciół, zachwianych skombinowanem z trzech stron natarciem piechoty.

Generał usiadł na jednej ze skał panujących nad doliną i patrzył na rozwijającą się u jego stóp bitwę. Pułk Fore and Aft miał wyjść z wąwozu środkowego, Gurkowie z lewego, a Highlanderzy z prawego, ponieważ z tej strony skrzydło Afganów zdawało się wymagać największych wysiłków.

Nie codzień Afganie raczyli występować na pole odkryte, to też generał postanowił wyzyskać, jak tylko można było najlepiej, tę okoliczność.

— Gdybyśmy mieli jeszcze trochę żołnierza — narzekał generał — gdybyśmy mogli osaczyć tę hołotę, skończylibyśmy z nimi odrazu.

Wcześnie bardzo trąbki się odezwały i Fore and Aft, uniesiony niewczesnym zapałem, wyruszył bez śniadania. Zapłacili biedacy zbytek gorliwości, musieli bowiem stać na zimnie pod bronią, podczas gdy inne pułki przygotowywały pochód z ładem i statecznością.

Oparci na karabinach i baczni na protestacye żołądka, czekali na kawę, którą pułkownik kazał na gwałt gotować, gdy nadszedł rozkaz wymarszu. Ale i w tem popełniono błąd, bo Fore and Aft tak źle obliczył czas, iż wkroczył w dolinę prędzej o dziesięć minut, niż było umówione. Punktualność jak w życiu tak na wojnie, ma wielkie znaczenie. Jego muzyka, zwróciwszy na prawo, posunęła się w dolinę i ustawiła się za małym wzgórkiem skalistym, grając ciągle, podczas gdy pułk defilował.

Widok, który uderzył oczy tych nowicyuszów, nie był uspokajający. Niższa część doliny zdawała się zajęta przez armię w silnem stanowisku, przez prawdziwe pułki uzbrojone w karabiny „Martini“ których kule, bez żadnej wątpliwości, mogły zmiatać wszystko, co by się ukazało na przestrzeni, przez którą pułk Fore and Aft przejść musiał. To przejście wykonane było w sposób wcale nieświetny, bo z powszechnym ukłonem; wszyscy czołobitność oddali z wzruszającą jedno-

---

[2]) Screw-guns, (skriu gans) działka, które rozkładają się na dwie części i z których każdą dźwiga muł.

myślnością. Zaraz złożyli się żołnierze i dali ognia, lecz nieprzyjaciel zdawał się tego nawet nie spostrzegać. Huk tej salwy zagłuszył zupełnie rozkazy wydane przez oficerów.

— Ach Boże — zawołał generał, siedząc na swej wysokiej skale — ten pułk zeszpecił cały obraz. Niech inne wystąpią i działa niech się odezwą.

Ale działka, szukając drogi po wzgórzach, natknęły się na mizerny forcik, podobny do gniazda os, musiały go więc bombardować, ku wielkiemu niezadowoleniu załogi afgańskiej, nieprzyzwyczajonej do strzałów tak celnych.

Fore and Aft posuwał się ciągle, coraz mniejszym, prawdę mówiąc, krokiem. Gdzież są inne pułki? Dla czego te murzyny mają doskonałe karabiny Martini? Instynktownie żołnierze poczęli strzelać na los szczęścia, lecz z największą możliwie szybkością, kładąc się, zrywając i kładąc znowu Każdy czuł się przerażająco osamotnionym.

Skutek tego ognia nie kazał na siebie czekać. Gdy dym się rozwiał nieco po krótkiej przerwie, i gdy żołnierze rzucili okiem na nieprzyjaciela w przekonaniu, że Afganowie, skoszeni setkami, trupem zasłali pole, zdziwienie ich było ogromne na widok armii murzyńskiej nietkniętej i niewzruszenie zajmującej poprzednie stanowisko Za to zakopano kilka centnarów ołowiu, jak ziemia poorana kulami w pewnej od nich odległości najdowodniej świadczyła.

W tej chwili Afganowie, przeczekawszy pierwszy szalony wybuch, zaczęli strzelać z pośrodka chmury dymu; krzyki konania w szeregach angielskich rozdarły powietrze, tu padł uderzany w brzuch i wijący się z bolu, tu drugi jęczał ze strzaskanem ramieniem.

Dym uniósł się w górę i zamienił się w lekką parę, wtedy szeregi nieprzyjaciół rozpoczęły wyć i czarna masa, oddzielając się od głównego korpusu, zdawała się toczyć z fantastyczną szybkością po gruncie oddzielającym armie. Ta masa składała się z trzystu może ludzi, którzy mieli krzyczeć i strzelać a potem użyć białej broni, gdyby rozpęd pięćdziesięciu ich towarzyszy zdeterminowanych na śmierć, a biegących przodem doprowadził ich do celu. Ci pięćdziesięciu poświęconych na ofiarę, byli Ghazi, odurzeni wywarem z ziół, który wypili, i nadto porwani szałem religijnym Gdy ci wypadli z środka szeregów, ogień Anglików ustał; nastąpiła cisza i wydano rozkaz ścisnąć szeregi i przyjąć ich na bagnety.

Ktokolwiek poznał takie natarcie, wie, że przeciw niemu jedynym środkiem możliwym jest ciągły ogień z odległości, który dziesiątkuje pędzącą gromadę Przeciwnie, atakujący, który wierzy, iż osiągnie niebo, jeśli zginie i chce umrzeć, zabije z pewnością broniącego się, który chce żyć, jeśli do niego dotrze. Ale Fore and Aft przez nieświadomość czynił wszystko wbrew temu, co nakazywało położenie; miał przed sobą trzystu szatanów sześć stóp wzrostu mających, błyskających białkami wywracanych oczu, których pieniące się wargi wyrzucały tygrysie poryki, podczas gdy ręce wywijały trzystopowej długości nożami.

W tej chwili trąbki Gurków zapowiadały z prawej strony, że ci przybywają z pomocą a z lewej fujarki Highlanderów wydawały brzmienia przynoszące otuchę

Anglicy starali się dostać kroku, wytrzymać uderzenie bez zachwiania, wysunąwszy naprzód bagnety; ale niesłychana siła fizyczna przeciwników zgniotła ich jak odłam skały. Przerażające a długie wycie boleści rozdarło powietrze, podczas gdy noże dopełniały swego krwawego, nie do opowiedzenia dzieła.

Przyszło do ręcznych zapasów; żołnierze jak ślepi ranili swych towarzyszy równie często jak przeciwników Pierwsze szeregi ugięły się, przepuszczajac gromadę pięćdziesięciu Ghazisów, za którymi dążyło trzystu innych, upojonych powodzeniem i zajadłych jak Ghazisowie.

Wtedy rozkazano ostatnim szeregom, żeby wysunęły się naprzód, i dwaj oficerowie rzucili się w zamęt bitwy... sami..., ponieważ słysząc krzyki tych, co byli na przodzie widząc potoki płynącej krwi, ostatnie szeregi ulękły się wielkich noży. Ich wodzowie mogli pójść do samego dyabła, ale oni za nimi nie pójdą.

— Naprzód! — krzyczeli oficerowie

Ale żołnierze wydawali przekleństwa, cofali się, w końcu tył podawali. Podporucznicy ostatniej kompanii sami tylko stawiali czoło śmierci, przekonani, że żołnierze nie mogli ich opuścić.

— Zabiliście mnie, tchórze — wyjąknął pierwszy i upadł na pół prawie przecięty, podczas gdy druga oszalała gromada zbiegów deptała po nich w ucieczce ku wąwozowi, z którego pułk był wyszedł.

— Halla! — Halla! — Halla! — Hallelujah!...

Tymczasem Gurkowie wypływali z wąwozu po lewej lub przekraczali szczyty wzgórz, podwajając kroku. Wydawali się jak ciemnozielone pająki rozsypane po czarnych skałach.

Kompanie Gurków, tworzące tylną straż staczały się, utykając na osypujących się na pochyłości kamieniach. Naczelne zaś szeregi pierwszej kolumny przystanęły na chwilę, aby obejrzeć dolinę, położenie i przyciągnąć rzemyki u obuwia Potem wesołe westchnienie ulgi wyrwało się z ich piersi, bo oto, poniżej stał wróg, a Gurkowie po to zdwajali krok, żeby z tym wrogiem się zmierzyć. — Ci mali krajowcy silnie ujmowali rękojeści swych noży, i patrzyli z ustami otwartemi na swych oficerów, podobnie jak psy pokazują zęby, zanim się im rzuci kamień, który aportować mają.

Teren, który zajmowali Gurkowie, pochyło spadał ku dolinie, widzieli więc doskonale, co się działo. Usiadłszy na skałach, zajęci widokiem, interesowali się nim tylko tymczasowo; trudno było przypuścić, aby kazano im pędzić aż do utraty tchu dla odparcia ataku G'hazisów, ataku wykonywanego o półtora kilometra dalej.

— Hi! gi! — rzekł subadar [1]) — Osły, tam. Ścisnąć się, szereg! Strzelić, rotowy ogień, ot co trzeba. Ugh.

Oburzeni, wściekli, zabawieni jednak, Gurkowie przyglądali się ciekawie ucieczce pułku Fore and Aft, wyrzucając przekleństwa, lub czyniąc uwagi.

— Kłusują! białe wojska kłusują! Sahib [2]) pułkowniku, czybyśmy i my nie mogli pokłusować nieco? — wyszeptał jemadar [2]) Rembir-Thoppa. Ale pułkownik ani słyszeć o tem nie chciał.

— Niech tam posiekają dobrą chwilą tych łajdaków! To im się należy. Niezadługo będą musieli powrócić do boju.

I patrząc przez lornetkę, dojrzał błysk szabli oficerskiej.

— Płazuje ich oficer — wykrzyknął — przeklęte rekruty; jakże ich Ghazisowie prażą.

Pułk Fore and Aft, cofając się, unosił swoich oficerów. Dopiero wązkość wąwozu skupiła tę tłuszczę i tylna straż niepewnym ogniem rotowym odezwała się przed wejściem w ciasne przejście. Niepewni, czy wąwóz nie ukrywa rezerw, Ghazisowie zatrzymali się chwilę i cofnęli do swoich, dobijając rannych po drodze.

Pułk okrwawiony, poszarpany, zdemoralizowany zbił się w wąskiej szyi skał. Oficerowie bili żołnierzy rekojeściami szpad i płazowali z wściekłością.

— Tchórze! podli! wracać do boju! Nikczemne baby, zmokłe kury, psy nędzne! formuj kolumny, — ryczał pułkownik.

A oficerowie bluźnili głośno.

Ale pułk Fore and Aft chciał iść byle gdzie, lecz nie na spotkanie tych noży bezlitośnych. Niepewny, wahający się, wydawał jęki i okrzyki. W tej chwili Gurkowie poczęli strzelać z zimną krwią w kupę wracających Ghazisów.

Muzyka pułku, acz zasłoniona od strzałów skalistym wzgórkiem, za którym ją postawiono, zbiegła przy pierwszym popłochu. Może Jakin i Lew byliby to samo uczynili, ale uciekający prędzej biegli i dwaj chłopcy doznawali bolesnego wrażenia, że ich opuszczono, że zostali na łasce własnych sił swoich.

— Wróćmy na skałę — rzekł Jakin. Tam nas nikt nie zobaczy.

Gdy powracali do rozrzuconych instrumentów, których się pozbyli uciekający muzykanci, serca rozsadzały im piersi.

— Piękny widok, niema co! — rzekł Jakin, rzucając się jak długi na ziemię. — Piękne zachowanie się piechoty angielskiej! A łotry, a ś.....! Uciekli, pozostawili nas samych... tutaj! Co się z nami stanie!

Lew pochwycił butelkę, która wałęsała się na ziemi, pełna araku, i pociągnął tak szczerze, aż się zachłysnął.

— Pij! — rzekł krótko. — Powrócą za kilka minut, zobaczysz.

Jakin poszedł za jego przykładem, ale zapowiedzianego przez Lew'a powrotu pułku

[1]) Indyjskie nazwy stopni w armii angielsko-indyjskiej. — [2]) Panie.

ani znaku. Słyszeli tylko głuchy gwar wychodzący z szyi wąwozu i widzieli Ghazisów przyspieszających kroku w miarę jak Gurkowie zasypywali ich kulami.

— Jesteśmy wszystkiem, co pozostało z muzyki i będziemy wzięci na pewno, rzekł Jakin.

— Wprzódy umrę — odpowiedział Lew głosem ochrypłym, wyciągając swój pałasik dobosza.

— Mamy co innego do zrobienia, niż umierać, do sto tysięcy dyabłów — rzekł Jakin — zachwycony myślą, która mu wpadła do głowy. Poślijmy tym św... tchórzom rozkaz powrotu. Ghazisowie są już daleko. Chodź Lew! nic nam się nie stanie. Weź twoją piszczałkę a daj mi bęben. Zagrajmy starego marsza; na coś lepszego nie zasługując i łachmaniarze. Patrz, oto kilku z naszych żołnierzy wychodzi. Równaj się, ciemięgo! Zwrot szeregami na prawo! marsz!

Przesunął pas od bębna na ramię, wcisnął piszczałkę w rękę Lew'a, i dwoje tych dzieci wysunęło się z za skał, fałszywie grając pierwsze takty marsza „Grenadyerowie angielscy“:

Jak to już powiedział Lew, kilku żołnierzy z pułku Fore and Aft powracało z głową spuszczoną i ponurą twarzą, ulegając podniecie obelg i uderzeń; ich czerwone mundury ukazywały się u wejścia w dolinę; za nimi widać było chwiejące się liczne bagnety. Ale między temi bezładnemi liniami żołnierzy i nieprzyjacielem, który, z afgańską podejrzliwością, bał się, czy ta nagła ucieczka nie ukrywa jakiejś zasadzki, i który skutkiem tego, nie ruszał z miejsca, rozciągała się prawie kilometrowa przestrzeń, równa i pokryta tu i ówdzie rannymi i trupami.

Pieśń wojenna nie milkła i dwaj mali chłopcy, szli ramię przy ramieniu, Jakin waląc w bęben a Lew dmąc w piszczałkę, jak opętani. Piszczałka wydawała tylko ostre, wysokie tony, pomimo to dźwięki jej niosły daleko, dochodząc prawie do kolumny Gurków.

– Chodźcie, chodźcie, nędzne psy! — mruczał Jakin, ściskając zęby. — Cóżto! czy my tak do końca świata grać będziemy musieli?

Lew patrzył przed siebie, wyprostowany jak na żadnej paradzie. A jakby szydząc z niezbyt odległych szeregów afgańskich, stara pieśń dawnej armii brzęczała i zgrzytała, wydobywana z bębna i piszczałki.

Są, co nam prawią o Aleksandrze,
Lub jeszcze o Herkulesie;
Lub o Hektorze i o Lizandrze,
Wielkie imiona wieść niesie.

W dali Gurkowie powitali pieśń oklaskami, a z piersi Highlanderów wyrwał się przychylny ryk; ale ani jeden strzał nie padł. Dwa małe czerwone punkty posuwały się ciągle po równinie, równolegle do nieprzyjacielskiego frontu, pieśń brzmiała dalej:

Lecz nikt równać się nie może,
Chociażby był bohaterem...
Tram, tram, tram rrratapam
Z angielskim grenadyerem.

Wstyd zdejmował angielskich żołnierzy, chwytała ich widocznie rozpacz – oto z całego pułku, dwoje tych dzieci nie zbiegło z pola walki, z tylu żołnierzy dwóch tylko małych doboszy spełniało swoją powinność, gardząc śmiercią i krocząc spokojnie i z godnością o kilkaset metrów od całej armii Azyatów.

Żołnierze więc pułku Fore and Aft zaczęli się skupiać w ścieśnione szeregi u wejścia do doliny. Generał, stojąc na panującym nad nimi szczycie, patrzył w niemej wściekłości. — Nieprzyjaciel nie wykonywał najmniejszego poruszenia. Wszystko się zatrzymało, aby patrzeć na te dwoje dzieci.

Nakoniec Jakin stanął, wykonał na bębnie szalony i długi werbel, podczas gdy piszczałka darła się niemiłosiernie.

— Półobrót na prawo! Naprzód! A trzymaj się ostro, Lew! — krzyknął Jakin.

Wykonali zwrot i ruszyli przed siebie wzdłuż afgańskich szeregów.

Starożytne bohate-ee ee-ee-ry
Nie znały prochu potęgi,
Gdy angielskie grenadye ee-ee ry,...

— Widzisz! wracają! — wołał Jakin — ostro! mój stary, ostro!

Fore and Aft wysypywał się masą w dolinę.

Wracają! — wrzasnął jeden z kapłanów stojących między Afganami. — Nie zabijajcie malców! pojmajcie żywych, wychowamy ich w naszej wierze.

Ale pierwszy ogień rotowy już był wybuchnął i Lew padł na twarz odrazu.

Jakin stał przez chwilę, okręcił się i obsunął na ziemię, podczas gdy Fore and Aft z przekleństwami swych oficerów w uszach i wstydem w sercu posunął się naprzód.

Strasznem dla niego widzeniem stały się te dzieciaki.

Połowa co najmniej żołnierzy widziała śmierć małych doboszów, ale nikt z nich nie uczynił najmniejszego znaku, nie wydał najmniejszego okrzyku. Podwoili kroku w milczeniu głębokiem w ściśniętych szeregach, i szli w dolinę bez strzału.

— No! rzekł pułkownik Gurków — to jest dopiero prawdziwe natarcie. Tak powinni byli zrobić za pierwszym razem. Na was kolej, dzieci!

— Ulu-lu-lu-lu! — wydali okrzyk Gurkowie, zbiegając z pochyłości przy radosnym szczęku kukri, piekielnych noży gurkowskich.

Z prawej strony nie było właściwego ataku. Polecając pobożnie duszę Bogu, Highlanderzy zbliżali się spokojnie, równo, i zaczęli strzelać na swój sposób, to jest bez pośpiechu lecz bez przerwy, podczas gdy dwie armatki, zburzywszy mały fort górski, rzucały granaty w tłum Afganów, skupiony koło zielonych sztandarów.

— Byłoby to smutną koniecznością wykonywać atak — wyrzekł p odporucznik w kompanii prawego skrzydła Highlanderów, w takiej chwili żołnierze klną tak bardzo, co przecież jest obrazą boską. Ale sądzę, że trzeba będzie zdecydować się na natarcie, jeśli te czarne dyabły nie ruszą się ze stanowiska. Stewart, mój chłopcze, strzelasz w oczy słońcu; marnujesz napróżno amunicyę, która przecież jest własnością państwa. O łokieć niżej i znacznie wolniej! A cóż tam znowu robią Anglicy? Jakoś zbyt są spokojni w centrum. Czyżby chcieli znowu uciekać?

Ale Anglicy nie uciekali. Posuwali się ciągle naprzód i wzięli się do ręcznego boju. Jakkolwiek rzadko, co do sił fizycznych, biały może się równać z Afganem, okrytym skórami baraniemi lub wypchaną odzieżą, ale party żądzą zemsty, staje się zdolnym do zaciekłej walki, przyczem używa obu końców karabina. Fore and Aft wstrzymał się od strzelania, aż do chwili, gdy jego kule mogły przebić 4 lub 5 ludzi i gdy front afgański był już na odległość bagnetów. Wtedy żołnierze strzelali, wybierając ofiarę, i oddychając głęboko, z krótkiemi przystępami kaszlu, zwykłego w takich razach i przy trzeszczeniu skórzanych pasów trących się o ciała ujęte i ściskane z wściekłością. Po raz pierwszy dowiedzieli się żołnierze, iż Afgan atakowany jest o wiele mniej groźny, niż Afgan nacierający; prawdy tej byli by im udzielili starzy żołnierze, lecz jak wspomnieliśmy już, starych żołnierzy było w pułku bardzo mało.

Kolumna Gurków była najhałaśliwsza, bo żołnierze z nieprzyjemnym krzykiem człowieka rąbiącego drzewo, walczyli swą słynną bronią kukri, którą przenoszą nad bagnet, wiedząc, jak dalece wstrętny jest Afganowi ten brzeszczot wygięty w półksiężyc.

Ponieważ Afganowie ustępować zaczęli, zielone sztandary pokoleń sprzymierzonych opuściły szczyty gór i połączyły się z główną kolumną, aby ją wesprzeć. To był błąd z ich strony. Ułani, którzy niecierpliwili się w prawym wąwozie, trzy razy już wysyłali, aby wiedzieć coś o rozwoju bitwy. Za trzecim razem, posłaniec cwałem powrócił z kolanem pogłaskanem przez kulę karabinową, klnąc dziwnemi złorzeczeniami po hindustańsku, i oświadczając, że wszystko gotowe. Wtedy ułani szeleszcząc chorągiewkami, okrążyli prawe skrzydło Highlanderów i uderzyli na Afganów. Dzięki temu ruchowi ułani znaleźli się w ujściu wąwozu, którym Afganowie zamierzali się cofnąć w razie niepowodzenia. Zrozumieli to Highlanderowie: dwie kompanie ich pułku puściły się śladem konnicy i wykonały poruszenie, o którym generał wcale był nie pomyślał. Mianowicie wsparły działanie ułanów i odcięły nieprzyjaciół od ich podstawy, jak gąbkę od skały. Walka trwała dopóty, dopóki Afganowie nie rozpadli się na małe oddziały, trudniejsze do zniszczenia, niż skupiona masa.

— Widzicie — zawołał generał — wszystko się odbyło, jak postanowiłem. Odcięliśmy ich od podstawy, a teraz ich wytępimy.

Właściwie generał nie śmiał spodziewać się niczego podobnego; ale trzeba wybaczyć ludziom i tym, którzy upadają, i tym którym się udaje dzięki błędom przeciwni-

ków, że przerabiają skutki przypadku na skutki kombinacyi.

Afganowie rozproszeni uciekali jak wilki, które obracają sie w ucieczce i pokazują zęby lub kąsają.

Lance ułanów pogrążały się w ciała, Gurkowie pędzili przed sobą bezładne kupy, Highlanderowie puszczali uciekających przed sobą i ścigali ich kulami dopiero wtedy, gdy ci dopadali skalistych stoków. Fore and Aft kulą i bagnetem siał śmierć naokół. Armaty ucichły z powodu braku nabojów; brakło ich także piechocie i jeździe. Afganowie setkami darli się na spadziste skały i znikali wkrótce z oczu, a generał jęczał, że nie mógł wrogów wytępić do nogi Bitwa kończyła się, bo nie było świeżych zastępów, któreby dokonały ostatecznego rozbicia. Ale nigdzie rzeź nie była tak straszna, jak tam, gdzie przeszedł Fore and Aft. A jednak pułk ten nie zagrzmiał wiwatami, jak Highlanderzy, ani puścił się w szalone tany, jak Gurkowie. Żołnierze, sparci na karabinach, spoglądali z pod oka na pułkownika.

Jeden z młodych sierżantów podał swoją tykwę Highlanderowi, którego język był czarny z pragnienia.

— Nie piję z tchórzami — odparł Highlander głosem ochrypłym.

Poczem zwrócił się do jednego z Gurków:

— Hya, Johnny. Wody do picia! Masz? Gurka, szydząc, podał mu swoją tykwę. Żołnierze z Fore and Aft nie pisnęli słówka.

Wszakże w ostatniej chwili spełnili oni wszystko, czego mógł żądać wódz najbardziej wymagający, okazali odwagę niepospolitą, ale pułkownik rzekł:

— Do obozu, wy, tam! Dosyć shańbiliście się na jeden dzień. Ruszajcie pielęgnować rannych. Tylko do tego jesteście zdolni.

I taka miała być ich nagroda!?

W obozie jeden generał pobłażliwie ich sądził, pułkownik był w rozpaczy, a oficerowie strapieni.

Ale generał mógł być pobłażliwym, wygrał bitwę.

Tymczasem Fore and Aft, Highlanderzy i Gurkowie innego byli zdania.

Twierdzili oni, że bitwę wygrali Jakin i Lew i tradycya do dzisiaj powtarza w armii indyjskiej bohaterski czyn i z szacunkiem wymawia imiona dwóch małych doboszów.

Pesymizm i optymizm.

Dużo się dziś mówi o pesymizmie. O optymizmie mniej. Pesymizm zdaje bowiem należeć do inwentarza naszych czasów. Utwory poetów modernistycznych bywają zwykle nastrojone na nutę pesymistyczną, a i poza poezyą dosyć jest pesymizmu w świecie dzisiejszym. Szybki w ostatnich czasach wzrost liczby samobójstw kładzie się także zwykle na karb rozwielmożniającego się coraz więcej pesymizmu, a czasem daje się słyszeć skarga, że pesymizm zaraził sobą nawet młodzież, której cechą bywał dawniej przecież niewątpliwie płomienny optymizm.

Ale chociaż wiele się mówi o pesymizmie, mało kto umiałby dać jasną i zwięzłą odpowiedź na pytanie, czem właściwie jest pesymizm. Jest to objaw dość zwykły, że z dokładnego znaczenia pewnych haseł, pewnych utartych, ogólnie przyjętych wyrazów, najmniej umieją zdać sprawę ci, co tymi hasłami najwięcej i najkrzykliwiej wojują. Taka niejasność myśli zdarza się tem łatwiej, jeżeli pewien wyraz ma kilka znaczeń pokrewnych a przecież różnych, jak to właśnie dzieje się z pesymizmem.

Wyrazy pesymizm i optymizm mają bowiem znaczenie dwojakie: odróżniamy te dwa znaczenia, mówiąc o pesymizmie teoretycznym i praktycznym i tak samo o optymizmie teoretycznym i praktycznym. Przez pesymizm teoretyczny rozumiemy przekonanie, iż na świecie jest więcej złego niż dobrego, więcej cierpień, aniżeli szczęścia, więcej przykrości aniżeli przyjemności. Teoretyczny optymizm twierdzi przeciwnie, że więcej jest w świecie dobrego aniżeli złego, więcej szczęścia aniżeli cierpień, więcej przyjemności, aniżeli przykrości.

Po czyjej stronie leży słuszność? Czy po stronie pesymistów, czy po stronie optymistów? Jedni i drudzy bronią uparcie swego poglądu. Pesymiści wskazują na wielką ilość

cierpień, przez które każdy człowiek przechodzi w swej wędrówce od kolebki do grobu. Przypominają niezliczone wysiłki i trudy, których człowiek podjąć się musi, chcąc zabezpieczyć sobie byt jaki taki, podnoszą, że na każdym kroku musimy sobie odmawiać licznych przyjemności a często nawet rzeczy służących do utrzymania zdrowia lub do lepszego rozwoju naszych władz duchowych, a wyliczywszy cały szereg nieszczęść i niepowodzeń, na które człowiek ustawicznie jest narażony, kończą zdaniem, że dla człowieka lepiejby było, gdyby się wcale nie rodził, a urodziwszy się, jak najprędzej zstąpił do ciemnych wrót Hadesu Wszak przyjemności, których człowiek za życia może zaznać, są tak małe, tak nieliczne, a zwykle bywają okupione tak wielkim wysiłkiem, że nie warto się o nie ubiegać i że żadną miarą nie mogą wynagradzać cierpień ludzkich.

Nie mniej żywo bronią swego poglądu optymiści teoretyczni. Już samo życie, mówią, jest wielką przyjemnością. Prawda, że nie brak w niem cierpień i niezaszczonych pragnień; ale gdzie jest światło, tam nie może nie być cienia; gdzie są rzeczy przyjemne, nie może nie być rzeczy przykrych. Niepowinno nas to smucić, tem więcej, że rozkosze życia są tak liczne i wielkie! Ileż rozkoszy daje nam roztaczające się wokoło nas piękno przyrody! Ile chwil prawdziwego zachwytu doznajemy dzięki sztuce! Ale i poza pięknem dużo, niezmiernie dużo jest rzeczy, które dostarczają nam niezamąconych przyjemności. Przyjaźń i miłość, praca dla narodu i ludzkości, a choćby zaparcie się siebie dla wzniosłych ideałów i pełna poświęcenia działalność około ich urzeczywistnienia, czyż to nie są źródła wielkich a trwałych rozkoszy? Cóż wobec nich znaczą chwilowe przykrości, zwłaszcza, że w ich znoszeniu można doprowadzić do wielkiej cierpliwości? Pięknym jest zaiste świat i warto w nim żyć.

W ten i podobny sposób spierają się ze sobą teoretyczny pesymizm i optymizm od dwóch tysięcy lat, a spór między nimi jeszcze nie został rozstrzygnięty. Nic dziwnego, ponieważ spór ten nie może być rozstrzygnięty; wskutek czego kwestya, czy słuszność jest po stronie pesymizmu czy optymizmu toeretycznego, jest kwestyą zupełnie jałową. Że tak jest, nie trudno wykazać.

Ponieważ przyjemności i przykrości istnieją tylko o tyle, o ile ich ktoś doznaje, przeto trzebaby, chcąc rozstrzygnąć spór między pesymizmem i optymizmem teoretycznym, wiedzieć, czego ludzie więcej doświadczają: przyjemności, czy przykrości? A chcąc wiedzieć, czy ludzie doznają więcej przyjemności czy przykrości, trzebaby naprzód stwierdzić, jak się rzecz ma z każdym pojedynczym człowiekiem. Tymczasem każdy może się łatwo przekonać, że to niemożliwe. Pomińmy te wyjątkowe wypadki ludzi niezwykle szczęśliwych i ludzi, których na każdym kroku prześladuje nieszczęście, i zapytajmy się, każdy siebie: Czy miałem w życiu więcej chwil przyjemnych, czy przykrych? A nie tylko o liczbę tych chwil przyjemnych i przykrych chodzi, lecz także o to, czy większe były przykrości, czy przyjemności przezemnie doznane. Trzebaby jednem słowem przeprowadzić dokładną statystykę chwil przyjemnych i przykrych, uwzględniając przytem także stopień przyjemności i przykrości.

Zadania tego przeprowadzić nie można. Przypuśćmy bowiem nawet, że udałoby się zliczyć chwile przyjemne i przykre, które każdy z nas przechodził (a jest to rzeczą niemożebną chociażby już ze względu na pierwsze lata dzieciństwa), to przecież nie udałoby nam się nigdy stwierdzić, czy większe były doświadczone przyjemności, czy przykrości. Miary w tym kierunku nie posiadamy żadnej. Albo czy kto odważy się powiedzieć coś o tem, czy większą jest przykrość wywołana śmiercią drogiego nam brata, czy przyjemność spowodowana wiadomością, że brat nie umarł, że wieść o jego śmierci była mylną? Nie ma tedy mowy o tem, aby można kiedykolwiek rozstrzygnąć naprawdę spór między teoretycznym pesymizmem i optymizmem; jeżeli więc ktoś twierdzi, że na świecie jest więcej przykrości aniżeli przyjemności, a drugi mówi przeciwnie, wtedy obaj wypowiadają twierdzenia gołosłowne, których żaden z nich w sposób przekonywujący uzasadnić nie jest w stanie.

Ale jest jeszcze inny pesymizm i optymizm, zwany praktycznym. Czem jest ten praktyczny pesymizm i optymizm, łatwo wyrazić za pomocą znanego powiedzenia, że pesymizm widzi wszystko w barwach czarnych, optymizm w barwach różowych. Znaczy to, że pe-

symizm praktyczny skłonny jest do upatrywania we wszystkiem raczej stron i cech ujemnych, aniżeli dodatnich, do przeceniania tych stron ujemnych i do przeoczania stron dodatnich. Pesymista w znaczeniu praktycznem uważa ludzi raczej za złych jak za dobrych, nie wierzy w ziszczenie się swych pragnień, nie dowierza swym własnym siłom i zdolnościom przewiduje na każdym kroku przeszkody i niepowodzenia. Optymista praktyczny przeciwnie widzi w ludziach samych aniołów, jest przekonany, że potrafi urzeczywistnić swe plany, posiada wielką pewność siebie, wierzy w siebie, i jest tego zdania, że wszystko mu się musi udać, cokolwiek zechce przeprowadzić. Pesymista bywa zgryźliwy, podejrzliwy, optymista natomiast patrzy w świat wesoło i żywi do wszystkich pełne zaufanie.

Taki jest pesymizm i optymizm praktyczny. I znowu można się zapytać, po czyjej stronie jest słuszność. Ale i tutaj nie można odpowiedzieć na te pytania, chociaż z innych powodów, aniżeli przy teoretycznym pesymiźmie i optymiźmie. Praktyczny bowiem pesymizm i optymizm jest wynikiem po części usposobienia, po części osobistych doświadczeń. Człowiek, który przeszedł w życiu wiele rozczarowań, ktorego łatwowierność wyzyskiwano, ten łatwo przerodzi się w praktycznego pesymistę, zwłaszcza, jeżeli już z góry miał usposobienie ponure, przystępniejsze dla uczuć przykrych aniżeli przyjemnych. Człowiek natomiast, któremu zawsze się w życiu wiodło, który spotykał się zawsze tylko z ludźmi uczciwymi, ten będzie wyznawał praktyczny optymizm, zwłaszcza, gdy natura obdarzyła go zdrowiem i wesołem usposobieniem. Ale pesymista może doświadczać rzeczy, które kłam zadają jego smutnym przywidzeniom, tak samo jak i optymista może się znaleźć w położeniu, które sprzeciwi się jego optymistycznym poglądom na świat i ludzi. Wszak nie ma racyi ani ten, który twierdzi, że wszyscy ludzie są źli i że nic się człowiekowi nie wiedzie, ani też ten, który mówi, że wszyscy ludzie są bez zarzutu i że powodzenie towarzyszy wszystkim sprawom ludzkim Prawda leży, jak zwykle w takich razach, pośrodku. Nie można żywić wobec wszystkich uprawnionej nieufności, ale też trudno każdemu ufać, jeżeli nie chce się być wyzyskiwanym i w dodatku wyśmianym. Trzeba sądzić każdego człowieka z osobna wedle jego postępowania, ale nie można ryczałtem ludzi albo potępiać, albo wynosić pod niebiosa. Kto zaś ma usposobienie, skłaniające go do jednej z tych ostateczności, ten niechaj z tem usposobieniem walczy, niech stara się zgłuszyć jego podszepty i niechaj trzeźwo, a nie przez pryzmat swego usposobienia patrzy na świat i ludzi. Nie będzie on wtedy co prawda ani pesymistą, ani optymistą, ale będzie człowiekiem rozumnym, który będzie ile możności widział świat i ludzi takimi, jakimi są w istocie.

Nie ma więc co począć w życiu z hasłami pesymizmu i optymizmu; mącą one tylko trzeźwy sąd o rzeczach i ludziach, a idąc za ich głosem, można łatwo ulegać przykrym nieraz pomyłkom. Lepszym w życiu przewodnikiem, aniżeli choćby najpiękniej brzmiące hasło, jest i pozostanie zawsze rozumne zastanowienie się.

Prof. Dr. Kazimierz Twardowski.

MARGIER.

Kartka z dziejów twórczości Władysława Syrokomli

(Ludwika Kondratowicza).

(Dokończenie.)

Już z samego streszczenia tego obszernego poematu mógł się uważny czytelnik przekonać, że nie wszystkie szczegóły „Margiera“ można wytłumaczyć na podstawie zasad logiki. I tak uderza tu przedewszystkiem bardzo obszerne zastosowanie przypadkowości w rozwoju akcyi, tak, że właściwie bez tych szczególnie przewidzianych, a niczem nieuzasadnionych przypadków nie byłoby poematu. Nie wyliczam wszystkich miejsc, bo łatwo je odnaleźć w podanem poprzednio streszczeniu; chciałbym przytem, aby czytelnik sam się nad tem zastanowił. Jeszcze bardziej rażącą jest charakterystyka osób: ci Litwini z przed sześciu prawie wieków to nie zahartowani w bojach bohaterowie, ale grzeczni salonowcy, to ludzie, u których władanie bronią odgrywa stanowczo mniejszą rolę, niż szermowanie językiem. Wbrew regułom poezyi opisowej cała charakterystyka tych postaci leży nie w czynach, ale w słowach; zamiast,

[1]) Porów. nr. 2, 3 i 4-ty.

żeby one same przechodziły przed naszemi oczyma i żebyśmy z tego, co czynią, mogli powziąć o nich jakieś wyobrażenie, poeta każe im wypowiadać długie tyrady, przechwalać się męstwem i miłością Ojczyzny, ale większość ich czynów przeczy tym słowom najzupełniej.

Bo zastanówmy się tylko choćby pobieżnie nad charakterystyką głównych postaci, zważając szczególnie na konsekwencyę w ich postępowaniu. Margier bierze w niewolę Ransdorfa, mając silne postanowienie poświęcenia go bogom; tymczasem pozwala mu swobodnie przechadzać się po zamku i okolicy, choć wie, że Ransdorf może uciec i że ucieczka jego byłaby tem niebezpieczniejsza, iż poznał wszystkie zakątki warowni — a kiedy Niemiec przy pomocy jego córki rzeczywiście ucieka, wtedy ten bohaterski obrońca Litwy cieszy się w głębi serca z tego, że jedno życie ludzkie ocalało. A kiedy te czyny porównamy z tem, co sam Margier mówi o sobie, zobaczymy sprzeczność tak wielką, że ten, którego Syrokomla chciał przedstawić jako nieugiętego bohatera, przedstawi się nam jako najzwyklejszy samochwał. Gorzej jeszcze wychodzi na takiem zestawieniu czynów ze słowami Lutas; imię jego oznacza „lwa“, w rzeczywistości zaś przypomina on starą babę, która nawet w chwili śmierci nie może sobie oszczędzić przyjemności opowiadania kumoszkom wszystkich najświeższych nowinek, choć ta gadanina może zaszkodzić sprawie ojczystej.

Łatwo pojąć, że wady te w charakteryzowaniu osób występują tem jaskrawiej, iż mowa tu nie o współczesnych stosunkach, ale o odległych czasach, o ludziach, których dokładnego portretu dziejopisarze nam nie zostawili, ale których wyobrażamy sobie jako półdzikich olbrzymów, mówiących nie wiele, ale działających z niezmierną konsekwencyą, która ich potomkom do dziś dnia pozostała jako przysłowiowy upór litewski. Z tej dzikości pozostały w „Margierze“ chyba tylko sceny z Poklusem i niezwykły brak logiki i psychologii u bohaterów.

Rzecz bardzo ciekawa i charakterystyczna, że żadne dzieło Syrokomli nie jest tak mało oryginalne, jak właśnie ten „poemat z dziejów Litwy“. We wstępie znajdujemy wiele reminiscencyi z „Dziewicy z Jeziora“ Walter-Scotta (bardzo łatwo może to czytelnik sprawdzić przy pomocy tłumaczenia Odyńca), w samym zaś utworze jest mnóstwo ustępów, jakby żywcem przejętych z Mickiewicza. Powód jest bardzo jasny: z dziejów pogańskiej Litwy stworzył największy nasz poeta dwa poematy: „Grażynę“ i „Konrada Wallenroda“ („Żywillę“ i Świteź“ jako mniej ważne pomijam), czerpiąc do nich ze starożytnych kronik mnóstwo charakterystycznych szczegółów, a że w ogóle są nam te czasy bardzo małe znane, więc Syrokomla albo nie odnalazł innych szczegółów ponad te, których użył Mickiewicz, albo wolał po prostu przyjąć je od niego, niż mozolnie szukać ich u kronikarzy litewskich. Bądź co bądź faktem jest, że w „Margierze“ nie ma ani jednego ważnego rysu obyczajowego, któregobyśmy nie znali już z „Grażyny“ lub „Konrada Wallenroda“.

Chciałbym skończyć już ten szereg zarzutów, czynionych Syrokomli, a starać się wytłumaczyć, dlaczego ten utwór jego wypadł tak słabo?

Kondratowicz należy bez wątpienia do najzdolniejszych naszych poetów doby pomickiewiczowskiej. Pomiędzy jego licznemi dziełami znajdują się tak skończenie piękne, tak porywające swoją prostotą, że trzeba je zaliczyć do arcydzieł naszej poezyi. Kto się chce o tem przekonać, niech przeczyta sobie choćby tylko „Śmierć słowika“ lub „Kęs chleba“, a gdyby mu te liryczne cacka nie wystarczyły, niech w urywkach „Sejmu lubelskiego“ poszuka dowodu, że i w poezyi opisowej umiał „lirnik litewski“ tworzyć rzeczy niepoślednie. Dlaczegoż zatem czuł taką słabość do „Margiera“ i dlaczego ten zupełnie nieudały poemat uważał za swoje arcydzieło? Przedewszystkiem zaś, dlaczego poemat ten tak bardzo się nie udał?

Odpowiedź na to bardzo prosta. Syrokomla był przedewszystkiem lirykiem, w dziale epiki zaś udawały mu się najlepiej gawędy, w których pierwiastek liryczny przeważał. „Margier“ zaś należy do poezyi bohaterskiej, która zdolnościom Kondratowicza najzupełniej nie odpowiadała. Wypłynął on nie z serca, ale z głowy, bo stworzyła go chęć wzbogacenia literatury ojczystej epopeją litewską, a może — jedyny raz w życiu Syrokomli także chęć zdobycia sobie szerszego

rozgłosu, a to nie wystarcza do stworzenia dobrego dzieła. To też pisząc „Margiera“ silił się wprawdzie na zachowanie wszelkich reguł, obowiązujących w epopei, ale potrafił ująć tylko zewnętrzne ich cechy — w treści pozostał zawsze tylko gawędziarzem i lirykiem. Przekonać się o tem łatwo. Zastosujmy do tego poematu nie te wymagania, o których mówi Syrokomla w przedmowie, że im uczynił zadość, ale te, które się zastosowywa w gawędzie, a przekonamy się, że „Margier“ mógłby być wyborną gawędą, gdyby nie był nastrojony na tak wysoki ton — na ton starożytnej epopei.

Wszystkie wady utworu można odnieść do jednego źródła. Oto poeta nie obracał się w swoim żywiole, nie był swobodnym i ta nienaturalność musiała się odbić na utworze: raz w fałszywej charakterystyce osób, powtóre zaś w zbyt licznych reminiscencyach, co — raz jeszcze zwracam na to uwagę — jest u Syrokomli zjawiskiem wyjątkowem. Kiedy zaś wreszcie wypracował mozolnie ową mniemaną epopeję, dał się łatwo uwieść odrębności jej i cechy, różniące ją od innych jego utworów, przyjął za cechy bezwarunkowo dodatnie — chociaż w rzeczywistości było wprost przeciwnie. Nie jest to zresztą wypadek zbyt rzadki, że poeci mylą się sami w klasyfikowaniu swoich dzieł; wszakże Mickiewicz lekceważył „Pana Tadeusza“, a Krasiński jeszcze po napisaniu „Nieboskiej Komedyi“ uważał „Agay-Hana“ za swe arcydzieło.

Ale jak Krasińskiemu „Agay-Han“, tak też Syrokomli „Margier“ nie zdołają przysporzyć sławy; imię jego przejdzie do potomności, otoczone może większym blaskiem, niż dzisiaj, ale to dzieło, które on sam uważał za najlepsze, będzie tylko dowodem, że sam autor może się łatwo pomylić w ocenianiu swych utworów i że nigdy nie powinien zbaczać z tej drogi, jaką mu wytknęły jego zdolności. *Tadeusz Pini.*

Szkice z zakresu estetyki.

II.

T y p.

Artysta może różne stanowiska zajmować wobec przedmiotu pewnego, stosownie do tego czy poprzestaje na oddaniu zjawiska zewnętrznego, czy też stara się o wyrażenie nastrojów i wrażeń, które przedmiot dany obudza w nim, czy wreszcie pragnie zbliżyć się w dziele swojem do istoty rzeczy, usiłując przedstawić je w ich typowej postaci, o ile to możliwe, wolnej od wszystkich przypadłości nieistotnych.

Zawsze pozostanie dla nas rzeczą niepojętą, na czem ta istota rzeczy polega; lecz dzięki swojej organizacyi możemy ją przeczuwać i dochodzinny do przeświadczenia, że ona istnieje. Choć artysta zdoła podać nam tylko odblask, odźwierciedlenie tej istoty obrazowo, to przecież zawsze chętnie uwierzymy w tę istotę, jako daną, bezwzględną, przedmiotową, do której urzeczywistnienia sztuka zawsze musi dążyć jako do swego celu najwyższego, choć nie może go nigdy osiągnąć.

Ta czynność artysty, prowadząca do tworzenia typów, objawia się przedewszystkiem w tem, że pomija rysy uboczne, ażeby mógł podkreślić dobitniej właściwe jądro charakterów; w tem, że łagodzi właściwości, występujące zbyt ostro, ażeby nie zaciemniały rysów ogólnoludzkich; wreszcie w tem, że upraszcza charaktery nadto zawiłe. Tak artysta dochodzi do kreślenia poszczególnych osobników (indywiduów) jako przedstawicieli wielkich grup, na które się ludzkość dzieli. Jak różność pokoleń stanowi jedną z głównych różnic w obrębie ludzkości, tak też każde pokolenie kształtuje się odmiennie stosownie do wieku życia, właściwego danemu osobnikowi. Rasa, ustrój cielesny, przyzwyczajenia życiowe wywołują dalsze różnice. Wreszcie czynności i stany duchowe, które winny znaleźć swój wyraz w przedstawieniu, wykazują cały szereg cech, które powtarzają się ciągle, czyli posiadają nawskróś typowy charakter.

Staraniem artysty, który chce stworzyć rzecz pomnikową, musi być znalezienie najprostszego, najjaśniejszego i najdobitniejszego wyrazu na te wszystkie czynniki. Zdobędzie zaś nagrodę najwyższą, jeżeli nie poprzestanie na stworzeniu schematów, któreby posiadały znaczenie ogólne, lecz potrafi nadać przytem dziełu swemu w całej pełni cechy żywotności indywidualnej. Albowiem jak można ująć wspólne cechy ludzkości w szereg

typów, taksamo podstawę różnych stadyów rozwoju każdego poszczególnego człowieka stanowi zawsze typ odrębny, który pozostaje zawsze przystępnym poznaniu, mimo że go osłonki przejawów zewnętrznych zaciemniają. Dopiero przy tak głębokiem wniknięciu dzieło otrzymuje charakter prawidłowości, który wydobywa go ze sfery upodobania podmiotowego.

Chociaż wszyscy wielcy mistrzowie sztuki pomnikowej starali się o tworzenie typów w tem ogólnem rozumieniu rzeczy, to jednak tylko mała garstka z pośród nich doszła do typowego pojęcia jednostki. Najbardziej zbliżyli się do tego ideału z pomiędzy malarzy, epokowych: Masaccio, (właśc. Tomasz di Ser Giovanni di Simone Guidi, ur. 1401 um. 1428) twórca nowego stylu swobodnego i Michał Anioł Buonarotti (um. 1475 um. 1568) założyciel głównego stylu Odrodzenia czyli Renesansu (w swych „Prorokach“ i „Sybilach“); w XVII. wieku Diego Velasquez (1599—1660) w swych wielkich kompozycyach. Z pośród innych mistrzów florenckich wczesnego odrodzenia niektórzy, jak Andrea del Castagno (1390—1457) a przedewszystkiem Lionardo da Vinci (1452—1519). w swej „Wieczerzy Pańskiej“ zbliżyli się znacznie do ideału tego. Należy też wymienić kilku malarzy żuławskich (holenderskich) z wieku XVII., którzy zdołali się wznieść do stylu, wytwarzającego indywidualne typy, mimo drobiazgowości i szczegółowości swych obrazów, mianowicie: Adryana Brouwera (1606—1638), Jana Steena (1626—1679), Gerarda Terborcha (1617—1681), Mikołaja Maesa (1632—1693), Jana Vermeera z Delftu (1632—1675).

Zresztą ideał ten ucieleśnił się z przyczyn łatwo zrozumiałych najlepiej w dziełach najwybitniejszych malarzy portrecistów, jakoto Jana van Eyck (ok. 1390—1440), Jana Holbeina (1497—1543), Tiziana Vecellia (1477 [?]—1576), Rembrandta Harmensza van Ryn (1606—1669) Velazqueza. W dziedzinie rzeźby Donatello (właśc. Donato di Niccolo di Betto Bardi, 1386—1466) posunął się najdalej w tym kierunku w swych podobiznach Zucconego i Uzzana. Lecz właściwem polem popisowem dla artysty, tworzącego typy indywidualizowane, jest dramat, którego charaktery żyją przez zosobnikowanie ich a nabierają siły przez ukształtowanie ich w typy. Tu Szekspir jest mistrzem uznanym.

Tworzenie typów nadaje dziełom charakter podmiotowości, czyni je płodami konieczności naturalnej, a temsamem ułatwia wcielenie ich do całości architektonicznej, która również podlega prawidłowości przyrodzonej. Tę zwartość nazywają zwykle stylem, lecz to nazwa niestosowna, ponieważ czyni styl cechą pewnej grupy dzieł, podczas gdy w rzeczywistości jest on wspólną cechą wszystkich prawdziwych dzieł sztuki.

III.

Styl.

Wyrazu „styl“ używano na oznaczenie tylu pojęć różnorodnych, że niektórzy estetycy wyrzekli się zupełnie stosowania go w znaczeniu ogólnem i poprzestają na używaniu wyrazu tego dla określenia historycznych rodzajów stylu. Ponieważ jednak przywykliśmy do wyrażania najwyższej pochwały danego dzieła sztuki zwrotem: „ma styl“, przeto nie można zalecać pośpiesznego zarzucania tego wyrazu. Przeciwnie, musimy go zatrzymać na oznaczenie tej właściwości, która czyni z dzieła pewnego dzieło sztuki i tem samem umożliwia nam odróżnienie jego tak od innych utworów człowieka, jakoteż od dzieł przyrody. Lecz właśnie dlatego nie powinniśmy używać tego wyrazu ani w znaczeniu ogólnem, formalnem, ani też w ograniczonem estetycznem, które wyłączałoby całe szeregi dzieł sztuki. Poszukajmy więc takiego pojęcia, któreby zdołało objąć istotę dzieła sztuki w ogóle.

Za obszerne granice zakreśla się pojęciu stylu, gdy się rozumie przezeń ogół form przedstawiania rzeczy, który jest wynikiem rozpatrywania dzieł sztuki z różnych możliwych punktów widzenia. W dziełach pewnego artysty, pewnego wieku, pewnego narodu, spostrzegamy wspólny im charakter stylu, ponieważ są wynikiem pewnych, działających sił twórczych; jeżeli jednak zbierzemy w jedno wspólne cechy dzieł, wykonanych tąsamą techniką, to otrzymamy wprawdzie szereg warunków, od których sztuka przy swem tworzeniu jest zawisła, ale nie cechę, któraby odróżniła dzieło prawdziwie artystyczne od in-

nych, ponieważ każda praca nieartystyczna nawet, lecz o tejsamej technice, zależy od tychsamych warunków. A jeżeli w dalszym ciągu zechcemy rozróżniać np. rozmaite sposoby traktowania przedmiotu, jakoto w sztuce plastycznej zdobniczy, dekoracyjny, samoistny, w poezyi liryczny, epiczny, dramatyczny, w takim razie nie potrzebujemy używać wyrazu „styl", gdyż pojęcie celu artystycznego wystarcza na to zupełnie.

Za ciasno natomiast pojmuje się styl, gdy się go chce stosować li do utworów sztuki, najwyższych tak treścią, jakoteż formą, którym przyznajemy charakter doskonałości i pomnikowości. Albowiem w takim razie pojęcie stylu spłynęłoby w jedno z pojęciem doskonałości artystycznej, a więc pojęciem b e z w z g l ę d n e g o (absolutu), którego nie możemy nigdy zrozumieć i które dlatego zawsze będziemy się starali zastąpić ideałem, dowolnie utworzonym, jako czemś uchwytnem.

Wprawdzie szeroko rozpowszechnione jest zapatrywanie, jakobyśmy wiedzieli dobrze, na czem taka doskonałość polega: arcydzieła wieków minionych pouczają nas o tem rzekomo najdokładniej; należałoby tylko wysnuć z nich prawidła, naśladować je, a zdążymy do tychsamych celów. Ba! gdybyśmy żyli jeszcze w czasach Winckelmana, rada taka byłaby dobra, bo starożytność klasyczna stanowiłaby nasz ideał jedyny, do którego osiągnięcia powinnibyśmy dążyć. Lecz od owej chwili odkryto jeszcze inne ideały, równouprawnione ze starożytnymi, a przecież wcale odległe od nich, szczególnie u Szekspira i Rembrandta, których zwykle uważamy za przedstawicieli sztuki nowożytnej w przeciwieństwie do starożytnej; a nadto nie możemy przewidzieć, żali jeszcze inne ideały nie spoczywają w łonie wieków, którychbyśmy znowu nie mogli pogodzić z żadnym z obu wymienionych, a przeciwnych sobie ideałów.

Wypada więc stosować do sztuki miarę inną, jak doskonałości, szerszą, a zarazem podatniejszą. Tę zaś znajdujemy w owym charakterze osobistym (indywidualnym), który jest właściwy każdemu prawdziwemu dziełu sztuki, co więcej — jest dlań koniecznym warunkiem istnienia. Styl, tak pojęty, jestto owa jedność wewnętrzna, która wypływa z istoty osobowości i stanowi cechę każdego prawdziwego utworu.

Stosownie do tego, czy mamy na względzie indywidualność poszczególnych artystów czy też charakter pewnego wieku, czy też istotę całego narodu, czy wreszcie ludzkości wogóle, o ile ona przedstawia się nam jako zjednoczona przez ideał jakiś wspólny, rozróżniamy styl indywidualny, albo starożytny, romański, gotycki, renesansowy i nowożytny z nieograniczonym szeregiem poddziałów, albotеż styl narodowy, lub europejski, semicki mongolski itd. Rodzaje sztuki wchodzą tu w rachubę tak mało, że pod tym kątem widzenia możemy jednym tchem wymawiać imiona Fejdiasa i Sofoklesa, Dantego i Giottta (czyt. Dżiotta), Szekspira i Rembrandta, podobnież jak odczuwamy w trojakiej działalności Michała Anioła, jako budowniczego rzeźbiarza i malarza, przedewszystkiem to, co w niej jest wspólnego. Albowiem indywidualność, tak zwany duch ludzki lub czasu, stanowi źródło całej tej twórczości, jako twórczyni własnego świata.

Co zaś nie należy do istoty indywidualności, lecz dostało się do niej zewnątrz, przez naukę, przez zapożyczenie, to wybiega poza ramy jedności stylowej jako coś ukształtowanego odmiennie, coś obcego. Dlatego to wszelkie naśladowanie nawet najpiękniejszych wzorów przeszłości, które zachwala się zwykle jako stylowość, jest właściwie największym brakiem stylu, a tak zwane stylizowanie uprawiane według prawideł czysto zewnętrznych, nie wypływające z osobistego poglądu artystycznego, obniża sztukę do poziomu pisma hieroglificznego, podczas gdy ona właśnie powinna być zwiastunką naszego najjaśniejszego poznania.

Arcydzieła sztuki nastręczają podostatkiem sposobności do przekonania się o nieskończonej różnorodności poszczególnych gatunków stylu, oraz o szczególnej jedności i żywotności ich wytworów.

(Z Woldemara Seidlitza).



Z „wierszyków" W. Gomulickiego.

Bohaterstwo.

Chcesz walczyć? mówisz, że ci pierś rozsadza
Żądza zapasów, tryumfów i sławy?
Ścichły dziś boje, nie pluszcze deszcz krwawy,
Trwalsza Minerwy, niżli Marsa władza.
Jednak, choć przyszło ci żyć cichą dobą,
Gdy pokojowa świta ludom era,
Zarobić możesz na laur bohatera:
Pracuj i odnoś zwycięstwa — nad sobą!

(*Kraj.*)

Miłość Ojczyzny

w poezyach A. Asnyka [1]).

I.

W historyi naszej literatury XIX w. odgrywają nader ważną rolę dwie daty: rok 1830 i 1863.

Powstanie listopadowe z r. 1830/31. podniosło do niebywałych wyżyn patryotyzm narodu i wywołało najświetniejszy okres naszej literatury, w którym błyszczą nazwiska Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego i po którym, jakby pomniki, pozostały takie dzieła, jak: *Dziadów część III, Irydion, Nieboska Komedya, Kordyan, Anhelli, Wacława Dzieje, Pieśni Janusza, Duch od stepu* a przedewszystkiem owa najpiękniejsza i najwspanialsza ozdoba naszej poezyi — *Pan Tadeusz*. A dzieła te nie były tylko pięknemi cackami artystycznemi, pieszczącemi ucho melodyjną formą a nie przynoszącemi nic dla serca i umysłu — forma choć znakomita, była w nich rzeczą podrzędną, lekceważoną często szatą, pod którą kryły się serdeczne, gorącą miłością ojczyzny natchnione słowa pociechy dla nieszczęśliwego narodu, słowa, które działały jak balsam kojący na rany zwątpienia i rozpaczy i wlewały w serca tysięcy wiarę w dobroć i miłosierdzie Boże a wraz z nią nadzieję lepszej, świetlanej przyszłości To też cała Polska, jak długa i szeroka, słuchała z uwielbieniem tej cudownej pieśni wieszczów naszych, a nie mając swych królów i wodzów, im oddała berło królewskie i buławę hetmańską, uznając ich za swych jedynych przewodników duchowych.

Tak więc po r. 1831 staje się poezya jedynym prawie drogowskazem całego życia narodowego. A głosiła ona, że cierpienia Polski są niezasłużone, że Ojczyzna nasza jest wybraną przez Pana oblubienicą, która swą „męką Chrystusową" zbawić ma całą ludzkość, że nasz upadek polityczny nie jest śmiercią, ale tylko „próbą grobu", z którego sprawiedliwość Boża podźwignie nas jeszcze potężniejszych i silniejszych, niż niegdyś. Zapatrywania te były tak powszechne, tak trafiały do przekonania wszystkich, że nawet księża nie wahali się wygłaszać z kazalnicy porównań cierpień narodu naszego z cierpieniami Chrystusa na krzyżu [1]).

Zapatrywania te dadzą się zupełnie wytłumaczyć ówczesnem położeniem narodu i poetom naszym nie można z tego powodu czynić żadnych zarzutów W chwilach upadku i nieszczęścia nie czas prawić kazanie moralne, trzeba raczej myśleć o tem, aby uśmierzyć ból i zagoić zadaną ranę — czynienie gorzkich wymówek byłoby w takiej chwili okrucieństwem. Łatwo jednak pojąć, jak zgubne skutki musiało wywołać zastosowywanie tych pojęć w życiu praktycznem. Pierwszą konsekwencyą tego musiała być zupełna bezczynność, bo jeżeliśmy nic nie zawinnili i jeżeli nasze podźwignięcie się z upadku ma być tylko zwykłym aktem sprawiedliwości Bożej, to cóż pozostaje innego, jak wyczekiwać spokojnie chwili, kiedy tej sprawiedliwości stanie się zadość? A przytem nie trzeba pokornie pochylać głowy i myśleć o naprawieniu błędów przeszłości; błędów nie było przecież żadnych — można więc hardo trzymać czoło jako ofiara za grzechy obce, sama bez winy, i czekać cierpliwie, co przyniesie przyszłość.

---

[1]) Czyniąc zadość licznym żądaniom naszych Prenumeratorów, rozpoczynamy tym artykułem szereg szkiców o współczesnej poezyi polskiej. Aby jednak uniknąć zbytniej pobieżności i ogólników, będziemy się starali ważniejszych poetów scharakteryzować w szkicach, omawiających tylko jeden motyw, ale taki, który w twórczości tego poety odgrywa ważną, zasadniczą rolę.

(*Przypisek Redakcyi*)

[1]) Por. Kazania ks. H. Kaysiewicza, Paryż 1851.

Czekano zatem spokojnie, a kiedy ucisk, który wzrastał coraz bardziej, stawał się nie do zniesienia, zerwano się w styczniu r. 1863 do rozpaczliwego boju. Powstanie to, nie przygotowane i nie obmyślane należycie, było aktem nierozważnego bohaterstwa, któremu przyświecały wspomniane powyżej ideały i zapatrywania. Z pieśnią wieszczów na ustach, ze świętem przekonaniem, że ich proroctwa muszą się wkrótce spełnić, rzucała się nasza młodzież z kijami tylko w ręku na bagnety moskiewskie — ale największe bohaterstwo okazało się bezsilnem w obec olbrzymiej przemocy. W r. 1864 powstanie stłumiono zupełnie a kraj, któremu odebrano ostatni cień swobody i skrępowaoo kajdanami najstraszliwszej niewoli, „zapadł w próżnię zwątpienia“ i rozpaczy.

Rozpacz ta była łatwo zrozumiała, bo oprócz wszystkich cierpień i mąk, jakie za sobą prowadzi niewola, przyczyniały się do niej gorsze jeszcze cierpienia moralne. Wraz z upadkiem powstania wygasnąć musiała także wiara w dotychczasowe ideały, bo wszakże te wszystkie przekonania, które uważano za święte, któremi karmiono się, jak manną niebieska, i pocieszano w niedoli okazały się złudą tylko i niczem więcej. W cóż zatem wierzyć, gdzie szukać prawdy?

Wtedy zaczęły najpierw rzadko, a potem coraz częściej i coraz powszechniej, odzywać się głosy, że trzeba zerwać z tym snem wśród złotych marzeń, natchnionych poezyą, że trzeba się ocknąć i żyć życiem rzeczywistem, ciężkiem, przykrem i mozolnem, ale prowadzącem do celu. Praca systematyczna, cicha praca nad sobą — oto jedyny cel na teraz i jedyna droga do odrodzenia.

O! nie szablą i nie tonem
Tobie walczyć, hufcu młody!
Ale z czołem pochylonem
Nad mądrości ślęczyć kartą,
Sercem przeczuć prąd właściwy
I z prastarej ojców niwy
To ukochać, czem żyć warto!

Bo nie żadnym błyskiem stali,
Nie natchnionych tonów mocą,
Ludy czoła swe ozłocą:
Tylko pracą i mądrością,
Przyszłość serca im zapali!

Tak wołał wówczas młody poeta, Karol Świdziński, tak myśleć zaczęła większość społeczeństwa. Zabrano się więc do pracy na każdem polu, zaczęto „ślęczyć nad kartą mądrości“ i w krótkim czasie zmieniono z gruntu zasady, na których podstawie rozwijała się nasza literatura Rozpoczął się gorączkowy ruch na polu nauk ścisłych i historycznych, literatura naukowa zaczęła się doskonalić, kwitnąć i wydawać piękne plony.

A poezya? Ta nie zdołała już zachować swego stanowiska, jakie zajmowała po r. 1831. Jej przeczucia i proroctwa musiały ustąpić zdrowemu, chłodnemu rozsądkowi, a nie chcąc zejść do roli pięknej zabawki, musiała obrać nowe tory, pogodzić się z nowem położeniem i zastosować do niego. Jaką drogą i w jaki sposób to się stało, jakie ideały zabłysły teraz na jej niwie, poznamy najlepiej przypatrując się największemu z naszych współczesnych poetów, Adamowi Asnykowi.

Tadeusz Pini.

(C. d. n.)

Nowe doświadczenia z powietrzem skroplonem *)

Przed pół wiekiem pewnikiem było jeszcze w fizyce, że gazy różnią się od pary tem, iż nie można ich sprowadzić do stanu płynnego. Dopiero skroplenie kwasu węglowego, a następnie powoli i innych gazów obaliło ten pewnik, choć przez czas długi nie zdołano zamienić w płyn tlenu, azotu, wodoru itp. środkami dotychczasowymi. Wreszcie i to się udało, w czem niemałą zasługę położyli chemicy polscy, Wróblewski i Olszewski, a dzisiaj można już otrzymać powietrze skroplone tak łatwo i tanio, że nawet myślą poważnie o technicznem jego zużytkowaniu. Zanim jednak to nastąpi, należy zbadać wszechstronnie własności powietrza płynnego, ażeby uniknąć wielu nieszczęść, które wyrządza zwykle nowa siła nie poznana dostatecznie (np. acetylen). Ciekawe szczególnie są doświadczenia, dokonane przez francuskiego prof. d'Arsonvala w Paryżu. Opiszemy je pokrótce.

---

*) Na podstawie artykułu czasopisma czeskiego „Z państwa wiedzy i pracy“ (Z rzisze wiedy a prace).

Przedewszystkiem zadziwia okoliczność, że kropla powietrza skroplonego nie pali swym mrozem, podczas gdy znane są poparzenia skutkiem przyłożenia przemrożonego kruszcu do skóry. Przyczyny tego niespodziewanego zjawiska należy szukać w tem, że powietrze skroplone nie lgnie do skóry naszej, jeno stacza się po niej w kulkach, podobnych do rtęci.

Następnie paruje bardzo powoli tak, że profesor wymieniony śmiało nosił je w zwykłej flaszce przez ulicę do paryskiej Akademii umiejętności. Co więcej możemy je całemi godzinami trzymać w naczyniu niezatkanem pod szklanym dzwonem (kloszem) bez obawy, żeby się przemieniło w gaz lub ulotniło się z naczynia. To znów zjawisko tłumaczy się nizką ciepłotą, bo —190 do —220° C, w której powietrze płynne się utrzymuje, parując tylko na powierzchni. Ponieważ zaś tlen wre przy —194°, azot już przy —182°, powietrze zaś dopiero przy —191° C, przeto wolno wnosić, że powietrze skroplone zawiera więcej tlenu, niż w stanie lotnym.

Jeżeli włożymy żelazo do powietrza skroplonego, skruszeje tak, że rozpada się w kawałki. Również naczynie żelazne, do którego nalano takiego powietrza, rozpryskuje się natychmiast. Jedynie miedź i platyna zachowują swą rozciągłość i można je kuć nawet przy ciepłocie —191° C; to też w naczyniach z tych kruszców można przechowywać ten płyn niezwykły.

Jest też powietrze skroplone groźnym materyałem wybuchowym, albowiem wskutek zmiany stanu skupienia stało się 748 razy gęstszem. To też jeżeli zatkamy korkiem otwór naczynia kruszcowego, które napełniono powietrzem płynnem, następuje bezzwłocznie silny wybuch, przyczem zatyczka wylatuje z wielkim hukiem w górę. Wspaniałem jest pod tym względem doświadczenie z hubką. Gdy ją namoczymy w takiem powietrzu i przybliżymy do płonącej zapałki, cała hubka zapali się nagle i rozpryśnie z hukiem w drobne kawałki.

Pary, wznoszące się z powietrza płynnego, są odeń cięższe, opadają więc ku ziemi, tak że pokrywały stół doświadczalny prof. d'Arsonvala, niby mgła gęsta. Jajo zaś i kauczuk pływają po płynnem powietrzu, ale przytem ścinają się tak, że rozsypują się w kawałki, gdy je zeń wyjmiemy. Tak samo wyskok tężeje i zamienia się na ciało stałe, gdy zanurzymy w nim spodnią część rurki doświadczalnej, zawierającej powietrze skroplone; tem łatwiej rtęć, tężejąca już przy — 40° C., zamienia się w takich warunkach w ciało kowalne. Jakoż udało się wykuć przy pomocy powietrza płynnego młotek rtęciowy.

Bezwodnik kwasu węglowego, wytwarzający się przy spaleniu, tężeje przy —82° w ciało stałe, podobne do śniegu. Jeżeli wrzucimy żarzący się węgiel do powietrza płynnego, węgiel zapłonie i spali się jasnym płomieniem; jednak wytworzony przytem bezwodnik kwasu węglowego stężeje w jednej chwili i osiądzie dokoła naczynia w postaci śniegu. Takie samo zjawisko powtórzy się, jeżeli papieros gorejący przybliżymy do otwartego naczynia z powietrzem płynnem; znów bezwodnik kwasu węglowego, który wytworzy się przy tej sposobności, zetnie się w szron i opadnie na dół. Nie inaczej rzecz się ma, gdy naczynie takie postawimy nad ogniem. Tym sposobem — dziwo niesłychane — otrzymujemy kwas węglowy nad ogniem!

Opisanych doświadczeń dokonał prof. d'Arsonval w swojej pracowni przy pomocy przyrządu zgęszczającego Lindego najnowszego wzoru, o potrójnej wężownicy przeciwprądowej. Motor elektryczny o sile 3 koni wprawiał w ruch podwójny przyrząd zgęszczający (kondenzator); powietrze, raz zgęszczone, pędzi się znowu rurą do tego przyrządu celem większego jeszcze zgęszczenia póty, aż skroplone ścieknie do naczynia (rezerwoaru) Dewara. Naczynie to jest dotychczas najlepszym przechowywaczem tego powietrza. Szklane, w podwójnych ścianach, między któremi wyczerpano powietrze prawie zupełnie przy pomocy par rtęciowych; po zasklepieniu otworu, którym powietrze lotne uszło, i po nalaniu do naczynia powietrza płynnego pary rtęciowe ścinają się i osiadają na zewnętrznej ścianie wewnętrznego naczynia, tworząc powierzchnię zwierciadlaną i chroniąc zawartość wnętrza od wpływu zewnętrznego ciepła. W takiem naczyniu, nawet nie zatkanem, powietrze skroplone przechowuje się najlepiej; wylewa się je stamtąd kurkiem. Obok tych przyrządów potrzebne są: galwanometr, który podaje stan ciepłoty wężownicy, manometr do

wysokości ciśnienia 220 atmosfer i mniejszy na 20 i parę innych. Otrzymujemy przy ich pomocy na godzinę prawie 1 litr powietrza skroplonego. Na skropleniu powietrza przekonywamy się najdobitniej, jak olbrzymio postąpiła naprzód w ostatniej ćwierci wieku metoda sztucznego obniżania ciepłoty. Najniższy stan ciepłoty, dotychczas zauważony w przyrodzie, nie przekraczał —70°C. Ludwik Cailletet uzyskał przed 22 laty już ciepłotę —113° przez odparowanie płynnego etylenu w próżni i to jest właśnie punkt krytyczny skroplenia tlenu. Tym sposobem polscy chemicy, Wróblewski i Olszewski, wyrobili już w r. 1883. znaczną ilość skroplonego tlenu, azotu i wodoru. Najniższy stan ciepłoty, uzyskany przytem przez nich wynosił —139°C. Jakób Dewar (czyt. Diuor) w Londynie i Karol Linde*) w Mnichowie (Monachium) doszli następnie aż do —260°. Jeżeli zważymy, że według teoryi prężności gazów najniższą możliwą ciepłotę obliczono na —273°, (którą też nazywamy bezwzględnie — zerowym punktem ciepłoty), wolno się spodziewać, że badaczom zawodowym uda się niebawem dojść do granicy, którą do niedawna uważano za niedostępną dla ludzkiej ciekawości.

*) Doświadczenia Lindego opisał *Przewodnik przemysłowy*, wydawany we Lwowie, na str. 56 - 58 rocznika II. (1897).

Gawęda o wodzie.

Zdanie starożytnego poety greckiego Pindara ἄριστον μὲν ὕδωρ, t. zn. najlepszą rzeczą jest woda (porów. w 1. jego I. hymnu na cześć zwycięzców w igrzyskach olimpijskich), czyta wielu może codziennie i powtarza również tylu, lecz mimoto w danym razie nie stosują się doń wcale i z pewnością nie zdają sobie sprawy z powodów, dla których twierdzenie owo jest tak wielką prawdą i nią pozostanie po wszystkie czasy. Czytamy je na odezwach, które towarzystwa „przyjaciół wody“ rozrzucają za granicą celem pozyskania jak największej liczby członków. Zwolennicy wstrzemięźliwości wypisują je na swym sztandarze. Co więcej można je słyszeć nawet z ust członków niektórych wioślarzy-ochotników [1]). Lecz chociaż owa trójca: ochota wodna, wstrzemięźliwość i kąpiel zimna, to bardzo zresztą piękne rzeczy, nie o nich będzie tu mowa. Chcemy raczej pokusić się o nakreślenie w ogólnych zarysach znaczenia, jakie woda ma w gospodarstwie przyrody, a mianowicie dla życia roślin i zwierząt.

W gorący dzień letni udajemy się na pole. Trawa, zielska, drzewa przydrożne, wszystko to wygląda zupełnie szaro od kurzu; kłosy na roli opuściły główki, porosty na kamieniach wyschły tak, że możemy je bez trudu na proch rozetrzeć palcami. Także zwierzęta ledwie dyszą, wlokąc się leniwie. Cała przyroda nie wyłączając nas, omdlewa pod wpływem strasznego skwaru i posuchy. Wtem burza nadciąga i śród błyskawic i grzmotów deszcz opada rzęsisty. A gdy ustanie, jakże odmiennie przedstawia się wszystko dokoła nas, jak nam lżej na sercu! Rośliny już podniosły główki, listki się wyprostowały i błyszczą, a ktoby zechciał śledzić wzrostu źdźbła zboża, przekonałby się, że przez jedną noc po deszczu ulewnym podrosło o wiele więcej, niż przez przeciąg ośmiodniowej posuchy. I nawet porost, o którym sądziliśmy, że już zginął, odżywa znowu i rozszerza swą plechę. To wszystko sprawiła woda.

Lecz jakim sposobem to się stało?

Otóż wiemy przecie, że listki rośliny przerabiają kwas węglowy, otrzymany z powietrza, na składniki, z których roślina kształtuje swe ciało. Ale składniki te spoczywałyby niespożyte w komórkach, w których się wytwarzają, gdyby nie przybywało wody, nasyconej pewnemi solami ziemnemi, a wchłanianej przez korzenie. Najbujniejszym bywa wzrost rośliny, gdy energiczna czynność liści w kierunku wytwarzania owych składników idzie ręka w rękę ze wspomnianem wchłanianiem takiej wody przez korzenie. Wtedy komórki pęcznieją, roślina grubieje (turgescit). Jeżeli grubość (turgor) rośliny się zmniejsza, t. zn. jeżeli korzenie nie mogą wchłonąć dostatecznej ilości wody, w takim razie roślina nie rośnie, lecz więdnie. Rośliny wyższego

[1]) Ochota, ochotnik i. t. d. — oto wyrazy polskie, świeżo przyjęte na konkursie warszawskiego pisma, poświęconego sportowi. właśnie na miejsce wyr. sport, sportowiec itd.

rzędu nie mogą przekroczyć pewnej granicy w tym kierunku; jeżeli zaś ją przekroczą, pierwoszcza w komórkach niszczeje, roślina więdnie, usycha. Inaczej bywa u roślin rzędu niższego, mianowicie u mchów i porostów. Tu — jak się zdaje — pierwoszcza jest zbudowana odmiennie. Tak np. pewien mech *(Marchantia polymorpha)*, poprostu zwija swoją plechę (*thallus*) w razie stałej posuchy tak, że część spodnia dostaje się na wierzch. Jeżeli deszcz padnie, rozwija go znowu i zadowolony rośnie dalej. Doświadczenia, poczynione z porostami różnego rodzaju, przedewszystkiem tymi, które pokrywają kamienie, wykazały, że porosty mogą w danych warunkach obejść się bez wody przez lata całe. Albowiem w takich razach przerywają swą czynność życiową, ażeby ją podjąć na nowo, gdy wilgoć ożywcza powróci.

Powiedzieliśmy wyżej, że woda musi być nasycona pewnemi solami ziemnemi, ażeby mogła rozpuścić składniki, wytworzone przez czynność przystosowawczą (asymilacyjną) liści, i przez to uczynić je przydatnymi do budowy ciała roślinnego. Ba, ale także przy wytwarzaniu tych soli ziemnych woda jest głównym czynnikiem, ponieważ w połączeniu z składnikami atmosferycznymi wyswobadza je z ziemi, a ziemię przez to rozkłada (zwietrzenie). A gdy podajemy ziemi te sole w postaci sztucznych nawozów, znowu woda przyczynia się do ich działania, a to przez rozpuszczanie ich.

Istotnie twórcza siła spoczywa w wodzie; jedynie woda bowiem zmienia martwe pustynie w urodzajne niwy, jak dowodzą tego oazy na pustyniach. Przez wydatne nawodnienie mieszkańcy Berlina uzyskują na najgorszym gruncie piaszczystym najpiękniejsze owoce i jarzyny.

Na brzegach Nilu nie milkną chrapliwe koła, przenoszące zeń wodę na pola i w taki sposób płaszczyzny pustynne wydają z siebie trzcinę cukrową, zboże i kukurydzę. I na odwrót, gdzie brak wody, tam kwitnące ogniska cywilizacyi przemieniają się w pustynie. Dowodem pola małoazyatyckie, ongiś ogród czarowny, dziś nieprzerwana pustynia kamienna.

A jak dla rośliny w pełni rozwoju, tak już dla zarodku samego jest woda warunkiem życia. Trafnie Schiller powiada:

„My ciemnemu ziemi łonu
Zwierzamy naszą robotę;
Ziemianin w nadziei plonu
Powierza mu ziarno złote".

Lecz gdy wilgoci niebieskiej zabraknie, nadzieja jego się nieziści; nasienie spocznie w ziemi i nie zakiełkuje.

Deszcz, następujący tuż po zasiewie, to radość rolnika. Boć tylko przy pomocy wody nasienie może rozsadzić pokrywę, która je osłania, czy nią jest zwykła cienka łupina, jak u zboża, u kukurydzy, czyteż twarda, silna pestka jak u brzoskwini, śliwy, czereśni i t. p. Drogą endosmozy dostaje się woda do wnętrza, przez pęcznienie objętość nasienia powiększa się, wreszcie rozpycha osłonkę, a przez tak wytworzoną szparę zarodek wydostaje się na wierzch i wpija się w ziemię.

I zwierzę taksamo jak roślina, nie może istnieć bez wody. Wszak krew składa się w dziewięciu dziesiątych i wyżej z wody. Lecz nawet tam, gdzie niespodziewamy się wody wcale, nie brak wody i można jej obecności dowieść, jakoto we włosach, kościach, zębach, paznogciach.

Gdy stosunek odsetkowy mieszaniny soków w ciele dozna zaburzenia, a następuje to wskutek oddechania i wydzielania wody przez skórę (transpiracyi), wtedy pojawia się pragnienie, wróg najgroźniejszy, który podobnie jak jego brat, głód, potężnieje tem bardziej, im bardziej z nim walczymy. Bez wody nie można sobie wyobrazić wcale wytwarzania się krwi, bez krwi — trawienia. Każda potrawa, nawet najsuchsza, zawiera wprawdzie nieco wody, ale niewystarczałaby do strawienia potrawy takiej. W skórze naszej zwykle jest wody zapas spory; jeżeli go nagle wyczerpiemy, następuje spalenie; skóra się kurczy, obumiera Przeciwnie prawidłowe wydzielanie wody przez skórę (transpiracya) służy do obniżenia ciepłoty ciała, która podnosi się wskutek czynności oddechania i chemicznych procesów, towarzyszących trawieniu. Także pijąc wodę zimną, lub zastosowując ją w postaci lodu w razie zimnicy, chorób żołądka itd., obniżamy w ten sposób ciepłotę ciała.

Dzisiaj słyszymy tyle o t. zw. zakładach leczniczych Ks. Kneippa Pragną one zdanie Pindara, przytoczone na czele, odnosić tylko do siebie i swego postępowania przy leczeniu. Dlatego czytamy tak często na czołach

tych budynków te wyrazy, wykute w kamieniu, lub lśniące złotemi głoskami. Ale nam się zdaje, że Pindar chciał w pierwszym rzędzie śpiewać pochwałę umiarkowania ogólnego w życiu, gdy wołał do uczestników igrzysk olimpijskich, a przez to do całego narodu greckiego:

„Najlepszą rzeczą jest woda“.

I nam zwrócenie większej uwagi na jego słowa nie może zaszkodzić. Tylko dziś musimy wtrącić w tem zdaniu drobny wyraz, musimy mówić: „Najlepszą rzeczą jest dobra woda“. Dopiero od chwili, gdy chemia i drobnowidz (mikroskop) pokazały nam, co za składniki woda może zawierać i jak szkodliwymi one bywają potem zdrowiu naszemu, staramy się rzeczywiście o dobrą wodę.

Dawni Grecy i Rzymianie. u których przecie setki tysięcy zakładów przemysłowych nie zanieczyszczały jeszcze ziemi tak jak dzisiaj, poznali się już na wartości dobrej wody nawet bez chemii i drobnowidzu i nie cofali się przed żadnym mozołem, przed żadnym wydatkiem, gdy chodziło o sprowadzenie wody dobrej choćby z najdalszych okolic.

My w epoce tak szybkiego życia, niszczącej i zabijającej ciało w szalonym ruchu, sądzimy nieraz, że koniecznie trzeba przyswajać sobie pobudzające środki pod różnorakiemi postaciami. Lecz zawsze się okazuje, że najlepszym środkiem do utrzymania ciała w świeżości i zdrowiu, a n. p. przy dłuższej pracy też w ochocie, bywa łyk zimnej wody.

Chwała ci tedy, stary Pindarze, za to żeś nie mogąc jeszcze zajrzeć w tajniki istoty rzeczy, miał jednak oko otwarte na braki twego już czasu i za to, żeś obdarzon wieszczym wzrokiem prawdziwego poety, wyrzekł zdanie, doniosłe po wszystkie wieki:

„ἄριστον μὲν ὕδωρ“. (*Z Eberdta*).

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Bój z żubrem.

Młoda wiosna odgarnęła
Sennej, rozmarzonej ziemi
Białą chustę śniegu z czoła.
Ziemia zaś się uśmiechnęła
I zadrżała we wiosennem
Słońcu, jak dziecina zmarzła;
Ale wnet otrząsła z włosów,
Czarnych lasów, szron i śniegi
I niebyło jej już dziwno,
Gdy jej łono raz nad ranem
Okrasiły mech, konwalie,
Fiołki i urocze dzwonki.

Co za cuda działa wiosna!
Tchnie — i znika szron z gałęzi,
Skoczy — lód na rzekach pęka,
Huknie — już skowronek buja.
Co za cuda działa wiosna!
Spojrzy w koło — bujna trawa,
Przemknie obok — pełno woni,
Śmieje się — a w sercach miłość.

Wyszedł Prokop z chaty swojej
I otworzył, głośno nucąc,
Wrota groty aż na oścież.
Fale woni go oblały.
Zwiędłe liście, w mchu drzemiące,
Świeże liście na gałęziach:
Wszystko dyszy miłą wonią.
Silnym prądem odświeżony
Wietrzyk wdarł się do jaskini,
Złoty promyk mrok rozświecił.
Łania w sieni pustelnika
Głowę wzniosła, zabeczała
A i pszczoły popod stropem
Obudziły się, jakgdyby
Wiosna palcem ich dotknęła
Obudziły się, zabrzęczą,
Naprzód starszą towarzyszkę
Wyślą na dwór, na prześpiegi,
Czy to prawda, — co się dzieje;
Lecz ta, snać oczarowana
Kwieciem, wonią i zielenią,
Gdzieś zbłądziła na gościńcu.
Nie wracała — pełnym rojem
Wszystkie popędziły za nią,
Znów latały we drzwiach groty
Wkoło głowy pustelnika
I migały się w przelocie,
Jakby złote krople deszczu,
Pełne ruchu, każda w ucho
Zabrzęczała Prokopowi:
Wiosna już jest, wiosna, wiosna!

Dni przecudnych cały szereg
Nastał teraz z młodą wiosną.
Prokop nie ustawał w pracy
I nie wiedział, jak czas mija;
Ledwie w nocy po modlitwie
Spoczął w łożu, już go witał
Śpiew wesoły jaskółeczki,
Która do wrót jego groty
Przyczepiła swoje gniazdko.
W ruchliwości nie ustawał,

Pnie obalał, ociosywał,
To doświadczał znów narzędzi,
Które w zimie w długie noce
Sam sporządzał pilną dłonią.
Wyszedł na dwór i na skałe
Wybrał przestrzeń w środku lasu,
Odpowiednią na szmat roli.
Chciał ją zorać, gwizdnął głośno
Na Raracha, wrócił po pług,
Zaprzągł czarta, podniósł oścień
I już pierwszym silnym ciosem
Zranił czarne piersi ziemi.

Ta nie łatwo się poddała;
Na skalisku grunt był twardy,
Długo stawiał opór radłu;
Pierwsza brózda była płytka.
Prokop pług zatrzymał z czartem,
Obszedł naprzód całe pole,
W każdą stronę świata robił
Znaki krzyża, błogosławiąc,
I przemawiał temi słowi:
„Słysz mnie, ziemio, matko ludzi!
Skało, któraś do niedawna
Była snać ołtarzem bogów
Wymyślonych, pełnych fałszu,
Bądź ołtarzem pracy ludzkiej,
Bądź kolebką, z której inne,
Lepsze, płodne, zdrowe życie
Wykiełkuje złotym łanem
Kłosów pełnych i szumiących...
Ziemio, ja cię błogosławię
Miasto wodą poświęcaną
Pierwszym potem czoła swego,
Pomny tego, co rzekł w raju
Do człowieka Pan Bóg w gniewie:
W pocie czoła będziesz odtąd
Wydobywał z ziemi chleb swój!
Skało, w której do niedawna
Hulał może rój złych duchów,
Południków i czarownic,
Ugnij karku; większy bowiem
Zbliża się do ciebie mocarz —
Ludzki duch, co z nagich piersi
Twych, piorunem poszarpanych,
Złote kłosy ci wyłudzi.
Pomnij, że tu każda grudka
Piersią, z której życie wieczne
W ziarno spływa kiełkujące;
Rozkrusz tedy grunt swój twardy,
Odsłoń szatę, która kryje
Miękkie łono twe kamieniem:
Glebę żyzną pod mój zasiew.
W imię Boże służże ludziom!“

Tak obszedłszy pole wkoło,
Wrócił modląc się do pługa,
Podniósł oścień, zaciął czarta,
Zarył radło w tęgą skałę,
I raz jeszcze nie bez trudu
Pierwszą brózdę wzdłuż przejechał.
Twarz Raracha się chmurzyła,
Wszystkich sił dobywał z siebie,
Chociaż nie mógł pojąć wcale,
Co zamyśla Prokop znowu,
Na co tego — pewnie na to,
By go nękać; więc przystanął,
Dalej nie chciał iść ni kroku.
Prokop długo nie rozmyślał,
Podniósł oścień, zaciął czarta,
Tak że aż boleśnie zawył
I znów dalej wlókł pług brózdą.
„Więcej w głąb!“ zahuczał Prokop.
Czart sił dobył i zajechał,
Tak że w bróździe niemal zniknął
Z całym pługiem; lecz w tej chwili
Uczuł oścień na swym grzbiecie.
„Biesie, nie znasz miary w niczem
Oraj płyciej!“ huknął Prokop.
Rarach dobył pługa z jamy,
Począł ciągnąć nową brózdę,
Ale ledwie radłem dotknął
Twardej skały, znów się kręcił,
Jakby szerszeń siadł mu na nos;
Z trudem pędził za nim Prokop,
Lecz go dopadł, podniósł oścień
I czart uczuł, co to warte.
„Teraz w prawo idź po bróździe!“
Czart się długo nie namyślał
I pogonił susem w prawo,
Omal że ze stromej skały
Nie spadł na dół wraz z Prokopem.
„Więcej w lewo!“ krzyknął znowu
I już cały zaprząg pędził
W lewo, gdzie w gęstwinie krzaków
Utknął — na nieszczęście własne.
Same głogi i ożyny
Powitały tam Raracha;
Chciał się wymknąć, lecz wciąż dalej
Plątał się w nich coraz bardziej,
Aż nareszcie Prokop musiał
Swym toporem poprzecinać
Gęste ciernie; tak wydobył
Czarta całkiem krwią zlanego.
Prokop nie mógł się już złościć,
Widział, że z nim niema rady,
Wyprzągł go do domu posłał,
Pług zostawił na ugorze
I w las poszedł zamyślony.
Tu rozgarniał gąszcz gałęzi,
Młodym liściem osypanych,
Każdym krokiem budząc we mchu
Tysiąc woni rozmaitych;
Wtem przystanął — słyszy z dali
Głuche ciosy, jakby ktoś tam
Twardem czemś o ziemię walił.
Zwrócił kroki w tym kierunku,
Stanął i gałęzi ugiął —
Spojrzał, zadrżał, już z radości
Krzyknąć chciał, lecz wczas się wstrzymał.
Pośród krzaków w gęstej trawie
Leżał sobie żubr olbrzymi,
Ze spokojem żując trawę,
Ogryzując młodą korę.

Głowę miał, jak odłam skały,
Powleczony szorstką skórą
Popękaną w wielu miejscach,
Szyję jakby z żył kamiennych,
Miasto mchu czerniała na nich
Już zdaleka krótka grzywa;
Żebra jak olbrzymie klepki
Tułów mu obejmowały,
Jako belki były kości,
A racicą jak maczugą
Walił w ziemię, że aż drżała
Każdym razem, aż kurz gęsty
Wzbijał się kłębami w górę.

Prokop obszedł żubra zręcznie,
Tak że w twarz mu patrzył twarzą,
Skulił się i jednym susem
Z trzaskiem w jedno zjął gałęzie,
Tak że żubr mógł widzieć tylko
Głowę jego w wieńcu włosów.
Przeszył Prokop, przeszył żubra
Wielkich demonicznych oczu
Swych spojrzeniem płomienistem,
Żubr zaś swoich nie odwrócił
Lecz wytrzymał ich spojrzenie,
Tylko przestać bić o ziemię
Kiścią kudłatego chwostu.
Długo tak patrzyły na się
Dwie potężnych kształtów głowy:
Żubrza — siły nieskiełzanej
Tej przyrody niespożytej,
Niepodatnej, wiecznie dzikiej;
Ludzka — siły, ożywionej
Iskrą ducha myślącego,
Poświęconej życia bolem,
Spotężniałej snami, pracą.
Prokop nie odwrócił wzroku.
Zdało się, że iskry biją
Z jego oczu, a te iskry
W krąg płomienny się splatają
Wkoło żubra, aż go dławią,
Kark mu tłoczą, jakby jarzmo,
Łamią nogi gigantyczne.
Prokop wstał i żubr też powstał, —
Chyląc głowę, kroczył zwolna
Ani słowa nie przemówił
Prokop, lecz majestatycznie
Kroczył lasem, a żubr za nim.

Aż przy pługu Prokop skinął,
Żubr sam głowę schylił w jarzmo
I już szła igraszką niemal
Ciężka praca; twarda ziemia
Jakby zmiękła, czarne brózdy
Kładły się po sobie pięknie
Równą linią, jakby fale

Wszystko wnet się tu zmieniło;
Ziemia, ranna ciężkim pługiem,
Zawoniała, z niw i lasów
Różne ptactwo się zleciało:
Gawron, co poważnie stąpa,
Wrona, co wciąż podskakuje,
Piegża też tu przyszła płocha
Z chórem wróbli-swawolników,
A wysoko pod błękitem
Huśtał się skowronek szary,
Nucąc najpiękniejszą pieśń swą,
Jakby przejrzał, że tu kiedyś
Zafaluje ozimina
Miękka i zielona, w której
Będzie mógł swe gniazdko usłać.

Prokopowi przyszło na myśl,
By do żubra przyprząc czarta;
Nie przyśpieszy to roboty,
Prawda lecz złośliwy Rarach
Mieć nie będzie sposobności
Do knowania niecnych planów.
Jak zamierzył, tak uczynił:
Żubr cierpliwie patrzył na to.
Jak doń czarta przyprzągnięto,
Który bronił się. wierzgając
Kopytami i skowycząc.
Dziwną parą orał teraz
Twardą skałę święty Prokop,
Lecz niedługo; Rarach bowiem,
Chcąc się zemścić na Prokopie,
Złowił bąka, których roje
Uganiały wkoło roli.
I gdy z pługiem nawracali,
Wetknął go do nozdrzy żubra,
Z których biły kłęby pary.
Żubr gwałtownie targnął sobą;
Bąk mu jednak brzęczał w nozdrzu,
Gmerał, łaził, kłuł, łaskotał;
Wreszcie machnął żubr ogonem,
Jednym rzutem pług rozwalił
I racicą trafił biesa,
Tak że zmroczon w bok odleciał.
A Prokopa, gdy olbrzymią
Siłą swą chciał go zatrzymać,
Wplątał do postronków pługa.
Grzbiet najeżył, nito grzebień,
Z oczu mu padały gromy,
Pocwałował i po skałach
Wlókł za sobą pustelnika
Aż na okraj stromej ściany,
Z której chciał się rzucić na łeb.
Straszny bój się zaczął teraz:
Żubr dobywał wszystkich sił swych,
By Prokopa strącić na dół;
Ten zaś rwał, jak źdźbła, postronki,
W których sieci zaplątany,
Dostał się na okraj skały, —
Zerwał się z olbrzyma siłą,
Żubra wziął za oba rogi,
O grunt skały oparł piętę,
Wzrok utopił w ślepiach żubra,
Z których padał grom za gromem,
I wstecz parł nieubłaganie
Zwierza, który stawiał opór,

Bijąc chwostem wkoło siebie,
Tak że gęsty tuman kurzu
Zakrył obu zapaśników.
Gdy już walka doszła szczytu,
Prokop schylił się nad żubrem,
Że aż uczuł żar tchu jego,
I zaszeptał mu do ucha
Jeden wyraz — a żubr nagle,
Jak powalon, padł na ziemię:
Tak obala się od ciosu
Dąb pra-lasu, który gromom
Opór stawia nieustraszon.
Zrazu leżał, jak nieżywy,
Przymknął oczy, ledwie dyszał,
Potem zniósł cierpliwie pęta,
Szedł, jak koźlę, za Prokopem.

Takto Prokop orał czartem
I w zapasy szedł ze żubrem.

IX.

Dziwni goście.

Wiele lat tak chyżem skrzydłem
Przeleciało, nad Sazawą
Ciągle mieszkał Prokop w grocie.

Raz pod wieczór z lasu wracał,
Uznojony dzienną pracą.
Cienie kładły się w dolinach,
Każde drzewo z wiatru wiewem
Zdało się mrok strząsać z śniecią;
Prokop, tonąc w zadumaniu,
Chciał już w jar swe kroki zwrócić,
Gdy posłyszał głosy ludzkie.
Zadrżał — uszedł nieco drogi,
Znów usłyszał głosy ludzkie.
Uczuł nagle łzę w swem oku.
Zatrzymawszy się, wciąż słuchał,
Jak te głosy się zbliżały.
Któż to mógł zabłądzić tutaj? —
Chróst aż trzaskał pod nogami
Osób, które się zbliżały;
Teraz już przez splot gałęzi
Rozeznawał czarne płaszcze,
Długie laski, nito szczudła,
Kapelusze, których krysy
Zacieniały twarze obce,
Obcą też ich mowa była,
Bo jej Prokop nie rozumiał:
Poznał tylko, że to mnisi,
Z ruchów zaś i wymachiwań
Rąk, że z drogi gdzieś zbłądzili
I sprzeczają się zawzięcie
O to, gdzie się teraz zwrócić.
Więc rozgarnął wnet gałęzie,
Podszedł ku nim i donośnie
Po łacinie ich pozdrowił:
„Pokój z wami, bracia w Panu!“
Otoczyli go dokoła
I ściskając mu prawicę
Łacińskiemi pytaniami
Zasypywać go poczęli:
Kędy droga na Wyszehrad,
Co zacz on, gdzie jego chata,
Możeby ich poprowadził.
Przytem jedni jego odzież
Musztrowali bardzo ściśle,
Drudzy zaś pomiędzy sobą
Rozprawiali w obcej mowie,
Potem znów doń po łacinie
Wnieśli prośbę, by w swej chatce
Nie odmówił im noclegu
I nazajutrz wyprowadził
Z lasu ich, którego fale
Otoczyły ich tu zewsząd.

Prokop się uśmiechnął słodko
I do groty zawiódł mnichów,
Przepraszając, że uboga,
Jak przystoi pustelnikom;
Mnisi z trwogą a ciekawie
Rozglądali się dokoła,
A on znosił, co miał tylko:
Mleka łani, miodu plastry,
Wody z źródła, poczem zaczął
Słać im łoże na podłodze.
Także ogień sam rozniecił,
Wreszcie siadłszy między nimi,
W ich rozmowę się wsłuchiwał.
Tak dowiedział się, że z Niemiec
Wyszli i światami ciągną,
Głosząc wiarę Chrystusową,
Także to, że papież rzymski
Sam pozwolić raczył na to
I sam cesarz rzymski śle ich
Tu do Czech, proszony o to
Przez Oldrzycha, księcia z Pragi,
Aby w Czechach pomagali
Szerzyć świętej wiary prawdy.
O jedności też kościoła
Powiadali, który łączy
Wszystkie ludy wspólnym węzłem
Wychwalali własny klasztor,
Z którym się musieli rozstać.
Przyganiali lasom czeskim,
Co ni dróg, ni końca mają. —
Mowie, dla nich całkiem obcej.
Wreszcie, dobrze się najadłszy,
Odmówili pośpiewując
Swe nieszpory po łacinie
I znużeni swą podróżą
W mech runęli na swe łoża,
A jak padli, tak natychmiast
Snem usnęli sprawiedliwych.

Tylko Prokop nie zasypiał;
Nad ogniskiem, które gasnąc
Żary swe w popiele kryło,
Siedział, smutnie zamyślony.
Ujrzał nagle wzrokiem duszy,
Jak tuż przed nim przepaść zionie
Niezmierzona i bezdenna,

I uczucie dawne szczęścia
W lot zniknęło w mroku chmury,
Która, nito sieć pajęcza,
Myśli jego omotała.
Wreszcie zaczął sam się pytać:
„Czem ty jesteś tu na puszczy
Dla narodu, dla ojczyzny?
Dotąd żyłeś sam dla siebie,
Wprawdzie w ciszy, lecz bezczynnie.
A czyż życie to jest twojem
Tak wyłącznie, byś do woli
Mógł ukrywać je przed światem?
Byłeś tylko pniakiem suchym,
Który martwy drzemie w borze,
Latem tonąc w suchem liściu,
Zimą zagrzebany w śniegu!“

Tu spojrzeniem długiem spoczął
Na przybyszach, śpiących wkoło,
I tak dalej w cichym żalu
Sam przed sobą się spowiadał:
„Patrz! ci kraj swój porzucili,
Klasztor piękny, opatrzony
Mnóstwem wygód, w którym mogli
Służyć niebu wcale dobrze
Kwiatem i owocem życia.
A wybrali się w kraj obcy,
W te bezdrożne, czarne lasy,
Sami — obcy i szukają
I snać znajdą, coś ty dawno
Dla narodu miał uczynić.
Są Niemcami, po łacinie
Chcą do braci twoich mówić,
Jedną dłonią chcą im podać
Światło wiary, ale drugą
Wyrwać ojców język święty.
W jednej niosą symbol krzyża,
W drugiej ukrywają kleszcze.
Biada, teraz już stanęli
Na ojczyzny twojej progu,
Już do Pragi podążają.
Książę Oldrzych sam ich wezwał,
Ty zaś, któryś był powinien
Już oddawna przed swym ludem
Kroczyć, nito słup ognisty,
Od szeregu lat — nieznany,
Skryty, trawisz płodny żywot!
Tak, Prokopie, zakopałeś
Grosz, ci dany, toż się ocknij,
Wykop z ziemi go, zużytkuj,
Z cienia wystąp już na jaśnię,
Im się pracy po bezczynie!
Broń języka swego ludu,
Niech wyznaje Boga swego
W swojej mowie, — wstań, idź śladem,
Który wskazał tobie Cyryl!“

Ale jak? Tu rada kusa.

Znowu się zadumał Prokop,
Myślą przebiegł cały szereg
Szczęsnych lat, spędzonych tutaj
Zdala od całego świata.
I wnet uczuł pewność błogą,
Że napróżno nie żył tutaj.
Czuł że jego duch, któremu
Los nie szczędził burz pogromów,
Tu pokrzepił się i zmężniał,
Że mu sił przybyło nowych,
Że w nim spotężniała wola,
Że zażarty bój z przyrodą
Był dlań szkołą, jak na przyszłość
Winien iść w zapasy z ludźmi.
Wspomniał sobie też, jak wielkie
Apostoły i proroki,
Nim przed ludem wystąpiły,
Sam na sam z myślami swemi
Długi czas szukały w puszczach
Sił, spokoju, utwierdzenia.

Znów na śpiących mnichów spojrzał
I nowemi wnet myślami
Zaroiła mu się głowa.
Boś ty, myśli, wszechpotężna!
Ledwie twe nasienie padnie,
Już jest drzewem, a z gałęzi
Drzewa tego świegot ptaków
Wieści twe potężne przyjście.

Ani się opatrzył Prokop,
Jak ku obcym zawrzał gniewem;
Tylko prawa gościnności
W grocie jego ich chroniły.
Zerwał się na równe nogi,
Z czoła starł zadumy chmurę
I zwycięskim, cichym głosem
Począł nucić ten potężny
Starodawny hymn praojców:
„Hospodine, pomiluj ny!“
Głos zaś jego, równien burzy,
Znalazł oddźwięk w ścianach groty,
Które mu zawtórowały,
Zbudził wicher, śpiący w jarach,
Który rozkołysał bory,
I wnet pośród cichej nocy
Hymn rozbrzmiewał całą siłą,
Jakby wielki chorał duchów:
„Hospodine, pomiluj ny!“
Stare drzewa, co na łonie
Swojem kołysały gwiazdy,
Lipy, jodły, buki, brzozy,
Mech pod niemi, źródła z łęgów,
Nadto setki dziwnych głosów
Z krzów, kamieni, jaskiń, z gąszczy,
Trawy źdźbło i gałąź dębu:
Wszystko to zadrżało pieśnią,
Grzmiało, wrzało i wołało;
„Hospodine, pomiluj ny!“

Lasu szum, przeciągający
Ponad grotą jakby burza,
I donośny śpiew Prokopa
Przebudziły śpiących mnichów.

Jedni, krzyżem się żegnając,
Znów się pogrążali we śnie,
Ale drudzy trwożnym wzrokiem
Rozglądali się po grocie.
Żar ogniska gasnącego
Rzucał długie, czarne pręgi
Po powale i po ścianach,
W blasku jego dostrzegali
Klęczącego w kącie mnicha;
Głowę skłonił aż ku ziemi,
Ręce wzniósł ku niebu w górę;
Czarne zaś, olbrzymie cienie
To sprawiały, że się zdawał
W nieskończoność róść, rozpływać;
Przytem śpiewał tak donośnie,
Że wiatr leśny, dmąc mu wtórem,
Huczał nutą dzikiej pieśni
W obcej im, nieznanej mowie.
Nie wiedzieli, że on śpiewał
Ze wszech sił, gdy się zbudzili:
„Wypędź Niemców, cudzoziemców!“
Lecz uczuli, że im duszno,
Że w nich serce bić przestaje;
Szybko krzyżem się żegnali,
Poszeptując między sobą:
„Boże, wszak to czarnoksiężnik,
Ksiądz pogański, dyabłów sługa!“
I wnet znów strwożone twarze
Kryli w mchu wśród znaków krzyżą.

Nastał wreszcie dzień. Olbrzymem
Powstał Prokop; silny duchem,
Jasno teraz cel swój widział.
Uśmiechnięty, jako słońce,
Gdy po burzy złoci chmury,
Podał mnichom miodu, mleka
Wziął swą laskę i przepasan
Gości swoich przerażonych
Wyprowadził, nic nie rzekłszy,
Ze sazawskich, czarnych lasów.

(C. d. n.)

Pogadanka.

Zaroiły się znowu mury szkolne i zatrzęsły nowem życiem; smutek, jaki mimowolnie chwyta każdego na samą myśl: z wakacyi, prysnął jak bańka mydlana w słońcu, gdyście się ujrzeli po kilku tygodniach rozłąki. Cudowny to przywilej młodości zwyciężać wszystkie smutki i żalu za przeszłością, bo młodych czeka przyszłość.

Atmosfera gmachów szkolnych przesycona jest dzisiaj przedziwną wonią niw i łąk naszych kwiecistych, balsamem jodeł i świerków karpackich, wśród których spędziliście bez troski wolne tygodnie, ale psycholog wyczuje w tej atmosferze jeszcze inną świeżość, dla niego ważniejszą świeżość myśli. Toż to pójdzie praca teraz z werwą i zapałem — dajże Boże, aby była i wytrwała, bo tylko wtedy będzie skuteczna.

Nie pytam was, coście robili przez ten czas; potrzebuję sam tylko zaglądnąć do wspomnień mojej siwej głowy, aby mieć odpowiedź na takie pytanie. „Sto rzeczy — lub nic“, stosownie do tego, z jakiego stanowiska na sprawę patrzeć się będziemy. Ale o jedno chciałbym was przecież zapytać: czyście myśleli — a lepiej powiedzmy: czyście choć raz pomyśleli o waszej szkole w ciągu wakacyi. Rozumiem tu nie jakieś sentymentalne westchnienia pod adresem szkoły, w których szczerość w ciągu wakacyi trudno byłoby uwierzyć, ale myśl czynną.

Czuję, że potrzeba rzecz jaśniej wytłumaczyć. Wracając po dłuższej nieobecności do rodziny wieziesz z radością „gościńce“ dla rodziców, sióstr i braci; należyty ich wybór, aby każdemu wynaleźć rzecz, którąby się ucieszył, sprawia ci nie mało kłopotu — a ciężko ci na sercu, gdy lekka kieska studencka krępuje twój wybór. Powiedzcież mi teraz, ilu z was w ten sposób pamiętało o swej szkole, która jest waszą matką duchową, z pewnością bardzo kochającą i z pewnością najlepszą, jaka być może w danych warunkach. Możeście nie mieli sposobność do tego? Zobaczymy. Ten znalazł rzadki kwiat, którego nie ma w zielniku szkolnym, tamten bryłkę kamienia, jakiego nie widział w gabinecie gimnazyalnym; inny napatrzył się prześlicznych krajobrazów w górskich zakątkach naszej pięknej ziemi a nosił ze sobą aparat fotograficzny lub miał sposobność nabycia jakiejś pięknej roboty huculskiej, wytworu samorodnego artyzmu naszego ludu: który z was pamiętał wtedy o matce — szkole?

W jednem z miast zagranicy oglądałem raz zakład szkolny i jego zbiory naukowe; z zadziwieniem spostrzegłem, że tak zwane u nas gabinety szkolne rozrosły się tam do poważnych rozmiarów muzeum przyrodniczo-etnograficznego. Wszystkie części świata i wszystkie strefy kuli ziemskiej złożyły się na zapełnienie szaf w kilku wielkich salach. Patrząc na bogactwo zbiorów zazdrościłem zakładowi bogatych funduszów, dziwiłem się tylko, że powiększano zbiory bez żadnego systemu, jakby przygodnie, w miarę nadarza-

jącej się sposobności kupna. Objaśniano mi, że przynajmniej trzy czwarte części zbioru pochodzi z darów byłych uczniów zakładu. Rozprószeni po świecie w pogoni za zarobkiem przez twardą pracę, pamiętają niemal wszyscy o swej matce duchowej: na plantacyach Jawy, jak i w lodach Grenlandyi, na piaskach Sahary, jak na wyżynach gór skalistych. Kilka pokoleń składało się na to dzieło, a każdy nowy dar był nowym węzłem między przeszłymi a przyszłymi laty. A zakład stał jak matka rodu wśród rzeszy wdzięcznych dzieci, wnuków i prawnuków. Taki zakład, to prawdziwe, stare gniazdo rodzinne. Czy nasze szkoły mają pozostać zawsze tylko hotelami, do których się zajeżdża po interesie tylko, z obojętnością jeżeli nie ze wstrętem, a wyjeżdża z żalem i irytacyą, że takie drogie a niewygodne?

Wakacye nie są już dzisiaj wyłącznym przywilejem szkoły. W miarę ujednostajniania się życia przez łatwe związki bezpośrednie i szybkość komunikacyi między najdalszymi zakątkami ziemi, ujednostajniają się także potrzeby. Dzięki temu dzieje się, że gdy słońce letnie obudziło całą naturę do nowego życia, odzywa się w świecie ludzkim potrzeba odpoczynku po nudnej pracy wszędzie równocześnie. Więc jakby na dany znak opróżniają się nietylko szkoły, ale zwalnia się puls życia we wszystkich dziedzinach. Opróżniają się miasta, pustkami stoją kantory i targowice, zamykają się biblioteki i ogniska pracy naukowej: wszystko spoczywa. Nawet dziennikarstwo, które z obowiązku już musi nieprzerwanie prząść nitkę żywota, obniża swą energią, bo żywi się w tak zwanym „ogórkowym czasie“ w braku lepszej strawy, w znacznej części „wężami morskimi“ lub nawet „kaczkami“. Żadna akcya szerszego znaczenia, w tej porze poczęta, nie może liczyć na silniejszy rozgłos. Dowodem tego uroczystość 150 rocznicy urodzin Göthego, która wypadała w przeszłym miesiącu; nie wyszła prawie nigdzie poza ramy mniej lub więcej cennych artykułów literackich i dziennikarskich. Stało się tak nawet w Niemczech, gdzie Göthe był zawsze tak czczony; co prawda Niemcy dzisiejsi, to inny naród, niż jeszcze przed laty 50; miejsce dawnych „Göthefeier“ zajęły hałaśliwe „Bismarkfeier“. Czy na zawsze? trudno uwierzyć, bo na pochwałę ludzkości trzeba powiedzieć, że tylko prawdziwe wielkości zdobywają sobie jej wdzięczną i wieczną pamięć. Więc znowu za lat 50 szał bismarkowski przeminie, a może nawet wstydzić się go będą, a spiewak Fausta stanie jeszcze wyżej, aniżeli dzisiaj. Taka jest potęga geniuszów ludzkości, taka siła pracy myśli. Pamiętajcie o tem młodzi!

Kropka!

Co warto czytać i dlaczego?

II.

Jak trudno nieraz człowiekowi spełnić obowiązek, przyjęty dobrowolnie na się, tego dowodzi choćby ta okoliczność, że dalszy ciąg poradnika, rozpoczętego rzeczą o poezyi w nrze 3. opóźnił się o pół roku prawie. A i dziś, gdy wobec uroczystego przyrzeczenia swego i redakcyi, spowodowanego głośnem upominaniem się oń ze strony czytelników pisma naszego, muszę dostarczyć rzeczy o powieściach polskich ostatnich czasów, nie widzę innej dla siebie rady, jak wykręcenie się sianem. Nie mogłem bowiem mimo najszczerszej woli wchłonąć w siebie wszystkich choćby najwybitniejszych dzieł beletrystycznych, które wyszły w roku zeszłym. Uczynił to jednak kto inny, pierwszorzędny krytyk nasz literacki, Dr Piotr Chmielowski i z wrażeń swych zdał sprawę w czasopiśmie czeskiem, Słowiańskim przeglądzie (Slovansky przehled), wydawanem od roku w Pradze pod redakcyą najlepszego obecnie znawcy i przyjaciela narodu naszego w Czechach, prof. Adolfa Czernego. Streszczę sprawozdanie dra Chmielowskiego w nadziei, że mimo wszelkich wad, nieodłączonych od stanowiska, jakie uczony ten zajmuje wobec dzieł sztuki (porów. jego „Zarys liter. polskiej ost. lat 30“), streszczenie głosu tak poważnego wynagrodzi czytelników naszych sowicie za możliwy zawód.

Z setki powieściopisarzy i nowelistów polskich, obecnie żyjących i czynnych, wybiera dr. Ch. dziesięciu. Pomija Sienkiewicza, którego „Krzyżacy“ wloką się od 2 lat w *Tygodniku ilustr.*, *Gaz lwowskiej i Dzienniku pozn.*, Prusa, Jeża (Miłkowskiego) i Zacharjasiewicza, bo milczeli z. r., oraz Kl. Junoszę-Szaniawskiego, jako zmarłego na początku z. r., choć pośmiertne wydanie jego „Wyboru pism“ (10 tomów) mieści w sobie takie perełki, jak „Łaciarza“, „Icka podwójnego“, „Fałszywą kuropatwę“ i „Panów braci“. Następnie zajmuje się przedewszystkiem „Iskrami“ *E. Orzeszkowej*, której dzieła wyborowe — dodam nawiasem — wyszły obecnie w bajecznie taniem wydaniu 4 tomowem. „*Iskry*“ to zbiór „obrazków miniaturowych, niedopowiedzianych, a jednak przejmujących do głębi duszy swym nastrojem“, których myśl wspólną stanowi „protest przeciw karyerowiczowstwu, zapominającemu o obowiązkach narodowych“. Ukazywały

się poprzednio w różnych pismach, z tych najlepszy obrazek „Babunia“ np. w *Bibl. warsz.* Trzeci tom „Pism“ *Aleks. Świętochowskiego*, redaktora warszawskiego tygodnika *Prawdy* i świetnego fejletonisty tego pisma, mieści w sobie „Bajki“ alegoryczne, zajmujące się najróżnorodniejszemi zagadnieniami od czysto osobnikowych aż do najogólniejszych i najgłębszych; choć nastrój ich przeważnie smutny i pochmurny, sprawiają czytelnikowi, który nie szuka w beletrystyce pistoletu do zabicia nudów lub romansów, prawdziwą rozkosz estetyczną, a każdego oczarują świetnością stylu i czystością języka.

Adolf Dygasiński, niezrównany nowelista świata zwierzęcego, podał w „Dramatach lubądzkich“ piękny „obraz duchowego życia ludu naszego“; w postaci Pieczonki przedstawił tam charakter czysty, szlachetny, który wtłoczony w nędzne ciało wśród niezrozumienia i pogardy ze strony zdrowych i sytych samolubów ginie w otchłani skeptycyzmu. *Maryan Jasieńczyk* (pseudonim autora dramatu nagrodzonego na konkursie p. n. „Lena“) sięgnął też do warstwy ludowej w swej powieści „W Wielgiem“; niestety, (dodamy od siebie) temat sam zbyt przypomina „Chama“ Orzeszkowej, ażeby psychologia starca, zaślepionego namiętnością, i zalotnicy wiejskiej, która go opętała, mogła wynagrodzić ten błąd zasadniczy. Natomiast zgadzam się zupełnie na pochwały, oddane przez Dr. Chm. powieściom *Władysława Reymonta*, z których „Fermenty“ są drugą częścią „Komedyantki“; muszę tylko zrobić uwagę, że zrozumienie obu wymaga za wiele doświadczenia życiowego, ażeby nasi młodzi czytelnicy mogli ocenić sprawiedliwie mistrzostwo tej nowej, a dzielnej siły powieściopisarskiej. Kto szuka w powieści pouczenia o sprawach poszczególnych zawodów lub stanów — dodam nawiasem: stanowisko to „utile dulci“, potępione świeżo a słusznie, przez takiego filozofa, jak dra Lutosławskiego, — znajdzie w „Hutniku“ *Artura Gruszeckiego* zadowolenie, choć mniejsze, niż w artystyczniejszem jego dziele p. n. „W starym dworze“, w którem przedstawia kontrast dawniejszej kultury szlachecko-polskiej i dzisiejszego rozwoju prostego ludu wiejskiego na Ukrainie. Większymi artystami i psychologami, niż Gruszecki, są: niezrównany malarz przyrody i życia sybirskiego, głównie jakuckiego, *W. Sirko* (Sieroszewski), który wydał dwa zbiorki szkiców „Na skraju lasów“ i „W matni“, i *M. Zych* (St. Żeromski), którego „Prace Syzyfowe“ malują dosadnie a wiernie smutne stosunki szkolne Królestwa Polskiego. Od niedawna pisząca *L. Godlewska* (pseudonim: Exterus), świeżo nagrodzona za powieść „Dobrane pary“, kreśli w „Katonie“ dzieje entuzyastów, którzy pod skorupą chłodu kryją serce zacne, gorące, oddane dobru ogółu, ale spotykają się ciągle z zawodami. Jeżeli wreszcie liczba wydań winna przemawiać za pisarzem, to *J. Weyssenhof* zasługuje na wzmiankę choćby na szarym końcu za „Żywot i myśli Zygmunta Pofilipskiego“, satyrę na pseudoarystokratów, w ciągu 2 lat wydaną trzykrotnie. *F. K.*

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Jubileusze. W sierpniu b. r. obchodzono w Niemczech 150 rocznicę urodzin Jana Wolfanga Goethego (ur. 28. sierpnia 1749) a w Antwerpii 300 rocznicę urodzin Antoniego Van Dycka (ur. 22 marca 1599) słynnego malarza, który zostawił przeszło 800 prac, w tej liczbie około 600 portretów; na tych opiera się głównie jego sława (ob. artykuł „Szkice z zakresu estetyki“).

Lawn-tennis. Ojczyzną gry w lawn-tennis jest Anglia rozpowszechniła się jednak ta gra i w innych krajach Europy a nawet u nas zaczyna się coraz bardziej popularyzować.

Gra w lawn-tennis odbywa się na terenie, wysypanym równo piaskiem, a mającym kształt prostokąta, długiego 23 m. a szerokiego na 11 m. Wewnątrz tego dużego prostokąta znajduje się mniejszy prostokąt, długi 14 m. a przeszło 8 m. szeroki, który stanowi m e t ę dla piłki, gdyż tylko w tym obrębie ma padać piłka, jeżeli jest prawidłowo uderzona. Cały ów mniejszy prostokąt jest przedzielony wszerz na dwie połowy za pomocą siatki, dotykającej ziemi, a wysokiej na 91 cm.

Do gry stają zwykle tylko dwaj gracze, po obu stronach siatki na przeciwnych rogach mety. Gracz, który grę zaczyna, nazywa się „podającym“ jego przeciwnik „odrzucającym“. „Podający“ gracz stojąc w rogu mety, rzuca czyli „podaje“ za pomocą r a k i e t y (tj. krótkiej laski zaopatrzonej na końcu okrągłą wyplataną tarczą) piłkę na teren przeciwnika w kierunku przekątni. Podawanie piłki nie jest tak bardzo łatwe, jakby się na pozór zdawało, piłka bowiem musi upaść w obrębie mety po stronie przeciwnika, gdyż w innym razie t. j. gdy padnie po za obrębem oznaczonej mety, rzut liczy się jako „out“ (wymawia się „aut“) t j. za rzut zły i przeciwnik wygrywa bez żadnej ze swej strony fatygi. Otóż w tym celu gracz musi się starać, aby piłka „podana“ leciała w kierunku ukośnym dość nizko po nad ziemią, gdyż tylko w tym razie upaść może na przepisane pole. Ale wtedy gracz „podający“ ma nowy kłopot, w środku bowiem jak wiadomo, znajduje się dość wysoka siatka; owóż jeżeli piłka leci dość nizko po nad ziemią, może zamotać się w siatkę i upaść nie po stronie przeciwnika, ale po stronie „podającego“ i wtedy rzut liczy się znowu za zły. Z tego widzimy, że już samo prawidłowe „podanie“ piłki wymaga dużej wprawy i wypadki nieudałego „podania“ są tak częste że gracz „podający“ musi zawsze w drugiej ręce trzymać jeszcze jedną lub nawet dwie piłki, aby rzut poprawić.

Jeżeli piłka została „podana“ prawidłowo, wtedy przychodzi kolej na drugiego przeciwnika tj. na odrzucającego. Zadaniem jego jest piłkę podaną za pomocą swojej rakiety utrzymać i napowrót na teren przeciwnika odrzucić. Nie wolno mu jednak wstrzymać piłki w samym locie, musi czekać póki piłka nie odbije się raz od ziemi i wtedy ją do-

piero na rakietę łapie i odrzuca. Już samo złapanie piłki na rakietę czyli trafienie jej rakietą jest trudne i wymaga dużej sprawności od gracza; trudność ta jednak komplikuje się jeszcze bardziej przez to, że odrzucenie nie może się odbyć byle jak, lecz znowu w sposób ściśle przepisany. Mianowicie gracz odrzucający ma pod tym względem to samo zadanie, co przedtem gracz „podający“ tj. musi piłkę odrzucić w stronę przeciwnika, ale znowu tak aby ona padła w obrębie mety, a nie po za metą lub przed siatką, bo wtedy takie odrzucenie liczy się za złe i gracz przegrywa. Gracz przegrywa naturalnie także, jeżeli piłki prawidłowo podanej nie odrzuci wcale, chybiwszy ją rakietą.

Jeżeli odrzucenie nastąpiło prawidłowo, kolej odrzucania przychodzi na tego, który piłkę pierwotnie „podawał“ itd., póki jeden z graczy piłki nie chybi albo póki nie nastąpi „out“ tj. zły rzut. Przy drugiem jednak odrzucaniu piłki i następnych wolno piłkę „wolleyować“ t. zn. odrzucać ją na powrót już w locie, nie czekając aż piłka dotknie ziemi, co grę nieco ułatwia.

Zwykle gra kończy się już pod jednem lub dwóch odrzuceniach i wtedy nie przedstawia dla oka widza, który sam w lawn-tennis grać nie umie i na różnych finezyach tej gry się nie zna, nic interesującego. Po jednej grze następuje druga, trzecia itd., graczom liczą się jakieś punkta, wygrywający pewną oznaczoną liczbę gier wygrywa partyę — lecz patrzenie na taką grę nie dostarcza wiele przyjemności. Dopiero gdy do gry staną dwaj doskonali gracze równej miary, nabiera ona charakteru bardzo ożywionego i cała jej subtelność i trudność staje się plastyczną.

Gracze tacy, wprawni zarówno w chwytaniu piłki jak w jej odrzucaniu, przerzucają ją sobie ponad siatką z ogromną szybkością, piłka pada prawidłowo, lecz zarazem umyślnie tak, aby przeciwnik jej złapać nie mógł, obaj gracze są w ustawicznym ruchu a im bardziej się rozpalają, tem bardziej niebezpieczną staje się gra dla obydwu a tem ciekawszą dla patrzących, Rzeczą jest bowiem naturalną, że im dłużej piłka jest w grze, tem trudniej jest obliczyć jej lot, tem bardziej bowiem niezależną staje się ona od obu graczy, którzy zajęci jej wstrzymywaniem i odrzucaniem nie mogą równocześnie pilnować skrupulatnie tego, aby piłkę rzucać tylko w obrębie mety. To też po sześciu lub siedmiu rzutach widać, że piłka leci już nie nizko nad ziemią, ale coraz wyżej, i jeżeli jeden z graczy, który zachował zimną krew, nie nada jej zręcznem uderzeniem znowu nizkiego lotu, to piłka, ten nienawistny przedmiot, którego żaden z graczy na swoim terenie ścierpieć nie może, wychodzi wreszcie z gry zwykle w ten sposób że przelatuje wysoko ponad głową gracza, gdzieś poza obręb dużego prostokąta na wolne pole, w trawę, czasami między sędziów lub publiczność. Podczas takiej seryi odrzutów obydwaj gracze zbierają sute brawa i oklaski. i widzowie z naprężeniem zwracają oczy w stronę to jednego to drugiego gracza, przychylni dla obu, byle tylko piłka jak najdłużej w grze trwała. Jest to najpiękniejszy moment z całej gry, chociaż w rezultacie graczowi wygrywającemu przynosi on tak samo jedno plus jak każda inna wcale nie piękna gra, w której wygrana nastąpiła tylko wskutek zwykłego „out“ u przeciwnika.

Sekret dobrego grania polega nie tylko na zwinności całego ciała i przytomności umysłu, ale osobliwie także na zręcznem używaniu rakiety, które zależy od mniejszej lub większej ruchliwości przegubu ręki, podobnie jak przy fechtowaniu, do którego gra w lawn-tennis pod niejednym względem się zbliża *„Przegląd“*

Niebezpieczeństwo telegrafu bez drutów. Podczas ostatnich doświadczeń między Boulogne i Douvres (z Francyi do Anglii) dokonywanych telegrafami Marconiego, spostrzeżono, że na wszystkich przepływających okrętach, które się znalazły w sferze fal hertrowskich wypuszczonych z przyrządów Marconiego, igły magnesowe w busolach okrętowych, ulegały silnym zboczeniom. Ponieważ okręty pilnują się swego kierunku według wskazówki busoli, łatwo zrozumieć groźne następstwa zboczeń igły magnesowej.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 36. Jaka jest różnica między sarkazmem a ironią?

Nr. 37. Które miasto uchodzi za najzimniejsze w świecie?

Nr. 38. Ilorakie są sposoby oznaczenia ilości cukru w roztworach cukrowych?

Nr. 39. Jaką roślinę zowią rozmarynem leśnym i do czego ona służy?

Nr. 40*) Która postać z „Pana Tadeusza“ odpowiada Nestorowi Homerowskiemu?

Nagrody: a) Za odpowiedzi na zag. Nr. 36—39: *Wybór pism E. Orzeszkowej*, 4 tomy. b) Za *najlepszą* odpowiedź na zag. Nr. 40: *Choiński*, Rys dziejów powieści historycznej.

Odpowiedzi należy przysyłać do 20. września b. roku.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 31—35.

Nr. 31. Rzekotka (Hyla arborea) jest na wiosnę, gdy składa skrzek w wodzie, barwy modrawo popielatej. Na Nowej Gwinei i wyspie Timor żyje taka sama rzekotka błękitnej barwy.

Nr. 32. Kula z korka o średnicy 2 m. waży około 10 cetnar. metrycznych (dokładnie: 1005·37 kg.)

Nr. 33. Fosforany zawierające wodę (kalait, wawelit wiwianit i fosfochalcyt) i bezwodne (apatyt, fosforyt podolski, pyromorfit)

---

*) Za *najlepszą* odpowiedź na to zagadnienie będzie przyznana osobna nagroda (nie przez losowanie); przeto odpowiedź musi być bardziej wyczerpująca, niż na inne pytania.

Nr. 34. Regularnych stanc (oktaw) jest w „Grażynie“ 25 (por. Pamiętnik Tow. Mick. tom VI, str. 269), z tych 22 wyróżnione w druku odstępami.

Nr. 35. Ojciec ma 70 lat, syn 19.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 30. lipca b. r

Brzeżany: Bednarowski Adolf (na zagadn. nr. 33 do 35). Kraków: Stadtmüller K. (31—33, 3). Lwów.: *'Ανήρ* (pseud. 33), Kobierzycki L. (33), Mann J. (35), Podgórze: Wł. Podobiński (31, 34). Wadowice: Wł. Thom (31, 33—35).

Nagrodę otrzymali przez losowanie: „Początki astronomii“ K. Stadmüller w Krakowie — a Lenartowicza „Kościuszko“ Wł. Thom w Wadowicach.

Łamigłówka.

(ułożył I. G. prenumerator z Jarosławia).

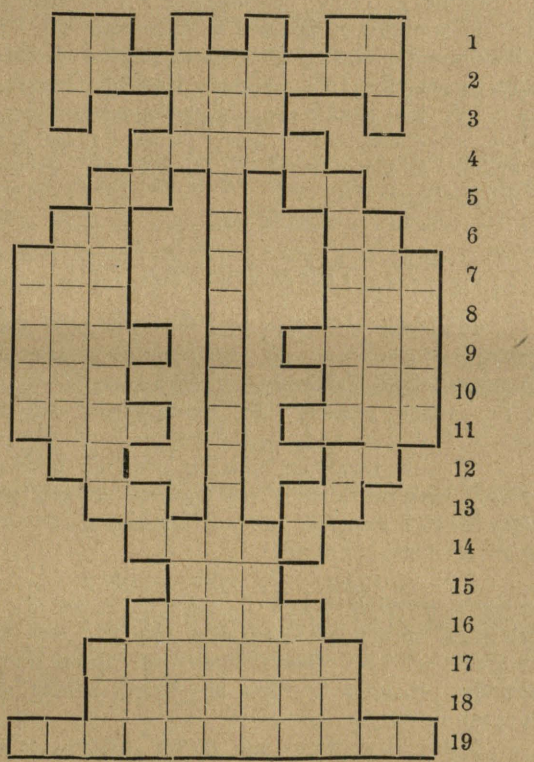

1. Część ziemi, 2. Poeta angielski, 3. Rzeka w Rosyi, 4. Poeta szkocki. 5. Port w Estonii, 6. Staroitalska bogini księżyca, 7. Sztandar turecki, 8. Poeta niemiecki, 9. Satyryk polski, 10. Poeta polski, 11. Miasto w Saksonii, 12. Filozof angielski, 13. Miasto w Galicyi, 14. Kraj w Afryce, 15. Rzeka w Niemczech, 16. Król żydowski, 17. Wróżka króla Tarquiniusa, 18. Miasto na Śląsku, 19. Poeta i historyk polski.

W każdą kratkę należy jedną głoskę wpisać. Głoski w środkowej kolumnie dają nazwiska dwóch poetów polskich.

Rozwiązania (bez rysunku) należy przysyłać najpóźniej do 20. września

Rozwiązanie zadania geometrycznego:

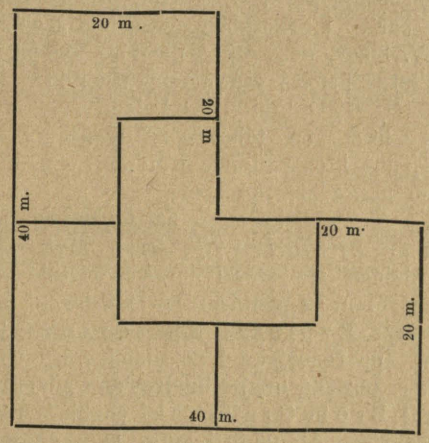

Trafne rozwiązanie nadesłali do 30 lipca b. r.:

Brzeżany: Bednarowski A., St. Grzeszczuk. Kraków: K. Stadtmüller; Lwów: *'Ανήρ* (pseud.), L. Kobierzycki; Podgórze: Wł. Podobiński; Tarnów: O. Reck; Wadowice: A. Ceratkiewicz, A. Jura, W. Thom; Złoczów: J. Niementowski.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do Sz. Prenumeratorów przysyłających rozwiązania. Ponieważ ogłoszone dawniej wskazówki widocznie poszły w zapomnienie, przez co wielu prenumeratorów przysparza redaktorowi pracy i straty czasu, przeto prosimy powtórnie o przestrzeganie następujących norm:

1. Odpowiedzi na zagadnienia naukowe nie należy pisać na tej samej ćwiartce papieru (lub tej samej części korespondentki) na której mieszczą się rozwiązania łamigłówek etc. lub korespondencye do skrzynki pocztowej.

2. Każdą odpowiedź na zagadnienie naukowe należy pisać na osobnej karteczce. W razie przesyłania odpowiedzi na korespondentce trzeba je tak umieszczać, aby każdą można przemienić w osobną karteczkę t. j. odciąć. Podpis (imię, nazwisko, miejscowość) trzeba powtarzać przy każdej odpowiedzi, rozwiązaniu lub korespondencyi.

3. Pseudonimy obrane należy też w każdej korespondencyi powtórzyć.

4. Dla oszczędzenia miejsca można pomijać wszelkie wstępy, jak n. p: „Przesyłam Sz. R. odpowiedzi na zagadn. naukowe w 7. numerze etc“.

Amicus amico. Adres sprostowano. Co do zapytania: zasadniczo „nie“ ale w dziale „Rozmaitości“ możliwe. Zresztą proszę przysłać, zobaczymy.

Annij Pokrasien Caesara „De bello civili“ Cicerona „Mowy przeciw Katylinie“, Owidiusa Metamorfozy, dzieła Xenofonta i Homera proszę czytać, robiąc preparacyą, przy pomocy komentarza (wydanie np. Teubnera) ale nie tłumaczenia gotowego! Przetłumaczone ustępy łacińskie proszę pisać i potem próbować na odwrót tłumaczyć na ła-

cinę dla nabrania wprawy w stylu. Jeżeli Sz. Prenumerator czuje braki w składni, proszę powtarzać odnośne partye i przerabiać ćwiczenia łacińskie dla III. i IV. klasy, oczywiście niektóre ustępy. Zresztą przy lekturze proszę głównie na zwroty uważać.

K. O. B. O takich artykułach myślimy. Jako pierwszy krok na tej drodze uważamy artykuł o pesymizmie i optymizmie w niniejszym numerze; z czasem ukażą się inne.

K. St. Dziękujemy za życzliwe poparcie i w zamian życzymy wytrwałości. Myśl „przeglądów“ będziemy się starali urzeczywistnić w przyszłym roczniku. O piśmiennictwie Słowian najzwięźlej pouczy Pypina i Spasowicza Hist. liter. słow. (po rossyjsku i po niemiecku) obszerniej Hist. liter. powszechnej illustrowana, gdzie ten dział opracował Bron. Grabowski (nakład Lewentala w Warszawie). Ateneum i po r. 1880 zdawało stale sprawę z ruchu umysłowego Słowian. Artykuły te można wyszukać z pomocą „Spisu rzeczy“ ułożonego przez Adama Chmiela.

Ὁ παλαιὸς ἀναγιγνώσκων. Odpowiedź obszerną daliśmy listownie pod wakacyjnym adresem.

Pauldelagust. Numera będą wysłane po otrzymaniu prenumeraty. Jeżeli Sz. Prenumerator jest świeżo przybywającym abonentem, to nie powinien dziwić się, iż nie dostał numeru lipcowego. Czytanie i rozmowa najlepiej dopomagają do biegłości w języku obcym; co do książek, proszę odczytać w 7. numerze odpowiedź pod „Lege,. Prócz dzieł tam wskazanych jest całe mnóstwo tanich wydawnictw, z których dwa wymieniliśmy w numerze 6. w odpowiedzi pod "Emanus“.

Rabagas. 1) Koniński, Podręcznik do nauki j. włos cena 1 złr. 20 ct, lub *Dwanaście lekcyi* j. wł. cena 60 ct, 2) *Gostomski*, Historya literatury powszechnej 1898, 2 tomy, 10 złr. 40 ct., lub (starsza) *Scherr*, H. l. p. 7 zł. 50 ct. (wydanie drugie z r. 1881). Wreszcie *Wołowska* (Prażmowska) Podręcznik etc. cena 3 złr. 71 ct; ale w tem dziele brak dziejów liter. niemieckiej i francuskiej, gdyż książka przeznaczona dla pensyonatów warszawskich, gdzie tych literatur osobno uczą.

Soplica. Drukujemy przecież już trzecią zagadkę nadesłaną nam przez prenumeratora, więc życzeniu stało się dawno zadość. Łamigłówka (z małą zmianą) będzie także umieszczona, ale nie zaraz, bo tego gatunku zagadek najwięcej mamy w zapasie.

Strachota. Gąsienica trupiej główki (Acherontia atropos) żeruje w drugiej połowie lipca aż do końca września na naci kartoflanej, na kozirogu (Lycium barbarum) i dzięgierzawie (Datura Stramonium). Potem zapoczwarza się w ziemi i czasem, gdy jesień piękna, już po 4 tyg. wylatuje motyl; zwykle zaś dopiero w czerwcu. Gąsienica siwiotka żyje na drzewach szpilkowych; gąsienica topolówki (Sphinx populi) na topoli osice i wierzbie, pod spodem liści, od lipca do końca września. Gąsienice tawulca (Sphinx ligustri) żerują w sierpniu i wrześniu na ligustrze, lilaku, bzie czarnym; gąsienice pazia królowej żyją na roślinach okółkowych (marchew, biedrzeniec, kmin etc) a żeglarza na tarninie, dębie i owocowych drzewach. Oba motyle latają często razem i najchętniej żyją na pagórkach w słońcu położonych. Gąsienice pafii (Argymnis paphia, Kaisermantel) żyją od maja do lipca na fiołkach polnych, malinie i pokrzywie. Do rozpoznawania motyli: *Berge*, Schmetterlingbuch, Stuttgart 1889. Co do zamiany polecamy firmy: Fricz, Praga, Wladislavgasse 21a, lub Złotnicki, Lwów, Jagiellońska 8., wreszcie czasopismo wydawane przez Dra. Wilhelma w Mährisch – Schönherg p. t. „Mittheilungen der angewandten Naturwissenschaften“. (Verkehrsblatt für Tausch und Kauf) W tem piśmie np. ogłaszają następujący panowie, że wymienią zbiory owadów: Dr. Hügel, München, Königsstrasse 12; H. Scherer, München, Wörtherstrasse 26.

Od Administracyi.

Ponieważ niniejszy numer wychodzi na początku nowego roku szkolnego, przeto przeszlemy go **bezpłatnie** każdemu, kto tego zażąda, na okaz (o ile zapasu starczy). Sz. Prenumeratorowie mogą nam w tym celu nadesłać adresy swych Kolegów.

W celu ustalenia nakładu prosimy dotychczasowych prenumeratorów o *przysłanie zaległej przedpłaty* za III kwartał, lub doniesienie, iż nie życzą sobie odbierać „Przyjaciela“.

Nowo przybywający prenumeratorowie, którzy nadeszlą przedpłatę za II. półrocze przed 1. października, otrzymają wszystkie wydane dotychczas numera (nr. 1—9) **bezpłatnie** jedynie za zwrotem kosztów przesyłki t. j. 10 ct., które należy dodać do prenumeraty.

Zwracamy uwagę na **nowy adres** Redakcyi i Administracyi.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

TREŚĆ: Dwaj mali dobosze, przez *R. Kiplinga*. — Pesymizm i optymizm. przez *Dra K. Twardowskiego*. — Margier (Dokończenie) przez *T. Piniego*. — Szkice z zakresu estetyki II Typ. III. Styl, podług *Seidlitza*. — Z wierszyków *W. Gomulickiego*: Bohaterstwo. — Miłość Ojczyzny w poezyach Adama Asnyka przez *T. Piniego*. — Nowe doświadczenia z powietrzem skroplonem. — Gawęda o wodzie, podług *Eberdta*. — *J. Vrchlicky* Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Pogadanka przez *Kropkę*. — Co warto czytać i dlaczego II., przez *F. K.* — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Łamigłówka. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. października 1899. Nr. 10.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Z fal ta najgłośniej huczy, co się ma rozbić na piasku“ *Z. Krasiński.*

Dwaj obywatele-patryoci.

Polska straciła znowu dwóch niepospolitych mężów, ludzi wielkiej nauki, wielkich zasług i niezmordowanej pracy na różnych polach działalności publicznej, obywateli-patryotów: Józefa Majera i Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Pierwszy zmarł w Krakowie 3. lipca, drugi w Poturzycy 18. września b. r. Opuścili ojczyznę, którą kochali gorącą, czynną miłością synowską, której poświęcali wszystkie swe zabiegi i trudy, dla której podniesienia, dobra, szczęścia i sławy pracowali bez wytchnienia. Pierwszy, przeżywszy lat przeszło 90, drugi blizko 75, patrzyli własnemi oczyma na wiele wypadków dziejowych w naszej ojczyźnie, dożyli niejednego nieszczęścia, przecierpieli niejedno złe, nie opuszczali jednak rąk po żadnej klęsce publicznej, lecz spieszyli z opatrzną i czynną myślą ratunku; bo jak wierzyli, że niema takiego upadku w życiu narodu, z któregoby nie potrafił się dźwignąć, jeżeli go dobra wola nie opuści, tak nie wierzyli, żeby nam życie zabrać mogli ci, którzy nie dali nam życia. Stąd też pracę ich ożywiała niczem niezachwiana wiara w szczęśliwą przyszłość narodu i nadzieja, pewność prawie, że los nasz spoczywa po największej części w naszych rękach. Wierni temu przekonaniu, z wolą. żadnym niezłamaną ciosem, dążyli do ideału, piastowanego przez wszystkie szlachetne dusze polskie, dając ze siebie przykład i wzór, jak można i należy pracować dla Ojczyzny, pogrążonej w niedoli, ażeby wydobyć ją z toni.

Józef Majer, urodzony w grodzie podwawelskim 12. marca 1808 r., przeżył w mieście rodzinnem wszystko, co dobrego lub złego spotykało w bieżącym wieku nasz drogi Kraków i Polskę. Tamto podzielał, cieszył się niem, nad tem bolał i wytężał swe siły, aby złe usunąć lub przynajmniej złagodzić. W r. 1831., dnia 12. stycznia otrzymawszy na wszechnicy Jagiellońskiej dyplom doktora medycyny i chirurgii, podążył zaraz tam, gdzie wrzał bój za Polskę i gdzie go wzywał obowiązek patryotyczny: wstąpił do wojska polskiego i zrazu jako lekarz batalionowy, potem jako lekarz sztabowy, służył przez cały czas wojny narodowej. Po upadku powstania odbywszy podróż naukową, w styczniu w r. 1833. powrócił do starej stolicy Piastów i Jagiellonów i mianowany profesorem wszechnicy stał się niebawem jej ozdobą i chlubą. Jak śp. Majera ceniono, najlepszy dowód mamy w tem, że trzy razy z woli kolegów sprawował urząd dziekana wydziału lekarskiego i tylekroć piastował godność rektora uniwersytetu. Jako rektor dążył do tego, żeby katedrę literatury polskiej powierzono najgodniejszemu wówczas w całej Polsce, Adamowi Mickiewiczowi — niestety bez skutku A kiedy na wszechnicę przyszły ciężkie czasy (po przyłączeniu Krakowa do Austryi r. 1846), rozum, szlachetne serce i takt roztropny Majera zajaśniały prawdziwie pięknem światłem. „W zależności upokarzającej i dokuczliwej zachować niezależność, w przemożnej dążności niemczenia ocalić i przechować polskość, nie dać przeciw sobie pozoru ani do siebie przyczepki, a nie ugiąć się, nie uniżyć, nie zaprzeczyć siebie samych“ — to było trudne zadanie ówczesnych profesorów; a między tymi w pierwszym rzędzie stał, wielką część zasługi miał Majer.

Krakowskie Towarzystwo naukowe a potem Akademia Umiejętności były dla Majera

drugiem polem, na którem rozwijał wielce pożyteczną działalność. Obrany prezesem Towarzystwa naukowego w r. 1860, pozostał na tem stanowisku aż do przemiany Towarzystwa w najwyższą instytucyę naukową polską, Akademię Umiejętności, (w r. 1872), której przewodniczył znowu lat blizko 20.

W Towarzystwie naukowem opiekował się szczególnie najdroższą po przodkach naszych spuścizną, językiem polskim. Ten, w szkołach obcymi zwrotami skażony, zeszpecony cudzoziemczyzną nie miał może w naszych czasach miłośnika gorętszego i obrońcy rzetelniejszego nad Majera.

Najserdeczniejszą miłością otaczał Akademię Umiejętności w Krakowie, która powstała z Towarzystwa naukowego krakowskiego i to po długich zabiegach patryotów, a między nimi i Majera. Chciał dla niej „chwały bogactwa, znaczenia, a nadewszystko powagi prawdy, czystości, godności — naukowej i polskiej“; pragnął, aby z niej szło światło nauki na cały naród, aby z niej płynął prawdziwy pożytek i popęd do dźwigania się na każdem polu. Akademia Umiejętności nie tylko polskiej nauce oddała rzetelne usługi, ale i w dążeniu do materyalnego podniesienia Ojczyzny nie pozostała bez znaczenia.

Majer pozostawił też po sobie wiele prac naukowych, dotyczących polskiego słownictwa lekarskiego, fizyologii, dziejów wszechnicy Jagiellońskiej, zwłaszcza wydziału lekarskiego. Słownictwo (terminologię) lekarskie polskie opracował wspólnie z prof. Skoblem, który chęć oczyszczania języka z obcych wyrazów posuwał nieraz aż do dziwactwa; Majer miarkował go w tem rozsądnie.

Jak Majer pojmował zadanie polskiego uczonego, wyjaśnił to w mowie, wygłoszonej na posiedzeniu Akademii w r. 1899. „Nauka, — są jego słowa — nie ma ojczyzny, ale mają ojczyznę ci, którzy ją uprawiają. Baczyć więc im pilnie należy, żeby praca ich w zastosowaniu moralnie i materyalnie płodną była dla kraju“.

* * *

Przyjaciel Majera, Włodzimierz Dzieduszycki, urodził się w r. 1824. w Jaryczowie, w gubernii podolskiej, w pobliżu Mohylowa. Do szkół i na wszechnicę uczęszczał w Galicyi, a potem, odbywszy dłuższą podróż za granicą, osiadł na wsi i oddał się pracom, które zapewniają mu nieśmiertelne w narodzie imię. Nie dbał o stanowiska, o zaszczyty, one same cisnęły się do niego właśnie dla tej miłości kraju i ludu, którą nosił w swem rercu. W r. 1875. mianowany marszałkiem krajowym, krótki czas tylko wytrwał na tem najwyższem, zaszczytnem stanowisku naszego samorządu (autonomii), bo do r. 1877. Po nowych wyborach sejmowych złożył laskę marszałkowską dlatego, że odwodziła umysł jego od zajęć, bardzo pożytecznych dla kraju, a przez niego serdecznie ukochanych.

Jakież Włodzimierz Dzieduszycki położył zasługi dla społeczeństwa, ojczyzny?

Charakterystycznem znamieniem jego szlachetnej duszy było to, że cokolwiek robił, robił tak, aby nie wiedziała prawica, co czyni lewica. Ze swymi dobrymi czynami, ze swemi zasługami krył się przed okiem ludzkiem. To też o niejednem ludzie nie dowiedzieli się wcale, niejedno zaś dostawało się do wiadomości szerszej za pośrednictwem jego najbliższych, którzy przypadkowo tylko zdobywali tajemnicę śp. Włodzimierza.

W owych czasach, gdy biedna młodzież kształtąca się nie miała tej podpory w stypendyach, którą dziś ma, bo stypendów było znacznie mniej, niż ich jest dziś, i gdy z tego powodu musiała się borykać z niedostatkiem, w owych czasach Dzieduszycki z niesłychaną szczodrobliwością wspierał tę biedną a pilną młodzież i tym sposobem dał krajowi cały zastęp gruntownie w swym zawodzie wykształconych rolników, techników, lekarzy, przyrodników, artystów. To jedna jego zasługa, godna naszej pamięci i wdzięczności.

Druga — to założenie Muzeum imienia Dzieduszyckich we Lwowie. Jestto zbiór przyrodniczo-ludoznawczy, a więc dotyczący przyrody polskiej i ludu, zamieszkującego Polskę — zbiór dziś już sławy europejskiej, co do bogactwa swego i umiejętnego uporządkowania uznany powszechnie za wzorowy. Włodzimierz Dzieduszycki włożył w swe najgoręcej umiłowane dzieło krocie w pieniądzach, dziesiątki lat pracy cierpliwej, wytrwałej, sumiennej i umiejętnej, oddał je dnia 10. września 1880. na użytek publiczny i zabezpieczył byt jego r. 1893. przez ordynacyę na zawsze. To Muzeum, pomnik niezłomnej energii, umiejętnej pracy i obywatelskiej ofiarno-

ności, stawia Dzieduszyckiego w rzędzie najznakomitszych obywateli — patryotów polskich, którzy zasłynęli dziełami, dokonanemi w pokoju.

Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie świadczy także o bardzo gruntownej nauce i zawodowem wykształceniu swego założyciela. Był on przyrodnikiem znakomitym i niepospolitym ludoznawcą: dowód tego złożył naprzód w swem Muzeum, potem w „Opisie ptaków krajowych“ i w „Przewodniku po Muzeum“.

Jak to Muzeum powstało?

„Młody chłopiec — pisze Dzieduszycki — zaczął składać w małej szafeczce dziecinnego pokoju przyniesione ze spaceru ślimaki, chrząszcze, łapane kapelusikiem motyle, kwiatki i rośliny, przy drodze zbierane, a chowając się we Lwowie, znosił te przedmioty z Pohulanki, Zofijówki, Cetnerówki, Żelaznej Wody i t. d. — a najzacniejsi i światli rodzice, kochający gorąco chłopca i krajowe rzeczy i krajową przyrodę i wszystko, co rodzinne, wprowadzali pomału syna w otwartą, otaczającą go naturę i przyzwyczajali do patrzenia i wpatrywania się w ten świat otaczającej go przyrody i ułatwiali mu to jego zbieranie...“.

Tym „młodym chłopcem“ był Włodzimierz Dzieduszycki około r. 1836, a ta „mała szafeczka“ w pokoju dzieci — to zawiązek dzisiejszego wspaniałego Muzeum*).

Z chłopca wyrósłszy na młodzieńca, Dzieduszycki oddawał się z zapałem łowom i wnikał głębiej w tajniki przyrody. O zbiorach chłopca, złożonych w szafeczce, młodzieniec nie zapomniał, uzupełniał je trofeami myśliwskimi i składał w szafach. Ptactwo, jego pielesze, sposób życia i przeloty wnet zajęły umysł Włodzimierza, który, badając ten przedmiot, wykierował się na pierwszorzędnego znawcę ptactwa (ornitologa).

Koło zbioru ptaków krajowych, stosunkowo najdawniej założonego, dojrzały już obywatel począł grupować okazy z innych działów królestwa zwierząt, roślin, minerałów krajowych tak, że w końcu utworzyło się Muzeum, obejmujące działy: zoologiczny, geologiczno-mineralogiczny, paleontologiczny**); roślinny (botaniczny) ludoznawczy i (etnograficzny). Okazów obcych, choćby najpiękniejszych, w tem Muzeum niema, bo Dzieduszycki chciał mieć zbiory tylko z Polski w jej dawnych granicach. Tu zgromadziło się wszystko, co zawiera przyroda ziem Rzeczypospolitej polskiej.

Z czasem weszły w skład Muzeum gotowe już zbiory prywatne: botaniczne po prof. Łobarzewskim, tatrzańskie minerały po prof. L. Zejsznerze, skamienieliny z okolic Lwowa i Nagórzan, zgromadzone przez Nechaja.

Dzieduszycki pragnął, jak pisze w przedmowie do „Przewodnika po Muzeum“, poświęconego „kochanym wnukom i całej młodzieży“, aby ta, zwiedzając bogactwa przyrodnicze naszej ziemi, wyroby pracy i zdolności ludu naszego i prastare w ziemi zagrzebane pamiątki po praojcach naszych, zagrzewała się „do miłości tej ziemi i tego ludu i do tej pracy nad dalszem badaniem spuścizny po przodkach naszych“. Oby się ziściło w całej pełni to jego pragnienie!

Założenie Muzeum im. Dzieduszyckich — to zasługa największa śp. nieboszczyka, to powód tej czci, którą mu społeczeństwo nasze oddawało, to tytuł do pamięci i niewygasłej wdzięczności narodu.

Zasługa to największa, ale nie ostatnia. Muzeum przemysłowie miejskie we Lwowie zawdzięcza mu także niejedno. Spotykamy tu na każdym kroku ślady jego ofiarnej działalności i pracy. Był prezesem i bardzo czynnym organizatorem pierwszej Wystawy krajowej we Lwowie w r. 1877 i jednym z najgorliwszych organizatorów pierwszego Zjazdu przyrodników i lekarzy polskich we Lwowie, zjazdu dla nauki polskiej bardzo doniosłego znaczenia.

Obywatele — patryoci, połączeni węzłem przyjaźni, Józef Majer i Włodzimierz Dzieduszycki, opuścili ojczystą ziemię, która była urzędmiotem ich zabiegów, starań, trudów, ich miłości, opuścili ją czyści, a pełni zasługi i chwały. Obyśmy wszyscy tak, jak oni:

---

*) Porównaj „Pogankę“ Kropki, umieszczoną w 8. i 9. nrze „Przyjaciela“.

**) Paleontologia zajmuje się roślinami i zwierzętami, które żyły w dawnych okresach geologicznych, ale później wyginęły. Dziś ich skamieniałe szczątki znajdujemy w pokładach ziemnych. Te szczątki są przedmiotem badań paleontologicznych.

ubożsi tak, jak Majer, bogaci tak, jak Dzieduszycki, przepędzali życie, a „jutrzenka swobody“ wcześniejby nam zaświeciła i wcześniej zeszłoby „zbawienia słońce“ dla naszej ziemi!

Józef Szafran.

Kawałek chleba.

przez

FRANCISZKA COPPÉE [1])

Młody książę de Hardimont bawił w Aix w Prowancyi, dokąd przywiózł słynną swoją klacz Periszolę, aby ją leczyć w tych sławnych wodach na dychawicę. Nabawiła się jej bowiem na wielkich wyścigach w Derby, przeziębiwszy się przez nieostrożność dżokieja. Kończył właśnie książęce istotnie śniadanie, gdy przypadkiem rzucił roztargnionem okiem na jakiś dziennik i wyczytał wiadomość o klęsce pod Reichshoffen). Dokończył kieliszka chartreuse'y [3]), polecił, aby jego kamerdynerowi zakomunikowano rozkaz upakowania rzeczy i w dwie godziny potem siadł do błyskawicznego pociągu idącego do Paryża. Przybywszy, pobiegł do biura wojskowego i zaciągnął się do piechoty.

Jakkolwiek by się wiodło od 20 do 25 roku denerwujące życie „zdechlaczka“ — tak bowiem wtedy nazywano dandysów, — jakkolwiek by się ogłupiało w stajniach wyścigowych, mogą się zdarzyć okoliczności, że przyjdzie na myśl, iż Enguerand de Hardimont umarł na dżumę w Tunisie tego samego dnia co Ludwik Święty [1]), iż Jan de Hardimont dowodził częścią armii pod Duguesclin'em [2]) iż Franciszek de Hardimont zginął pod Fontenoy [3]). Młody książę, dowiadując się, że Francuzi przegrali bitwę na ziemi francuskiej, uczuł krew buchającą mu do głowy i doznał okropnego wrażenia, jakby policzka na twarzy.

Oto dlaczego w pierwszych dniach listopada 1870 r., wróciwszy z resztkami korpusu generała Vinoy książę Henryk de Hardimont, prosty woltyżer „drugiej“ „trzeciego“ [4]) i członek Jockey-klubu [5]) był ze swoją rotą na wysuniętych przednich czatach pod małym fortem, znajdującym się poza warownią Bicetre (Bisetr).

Miejsce wyglądało złowrogo: droga wysadzona drzewkami, z których pozostały tylko nagie drągi, błotna i porżnięta głębokimi wybojami, przecinała opustoszałe pola, a na brzegu tej drogi opuszczona karczemka, gdzie usadowili się żołnierze. Przed kilkoma dniami odbyła się tu potyczka, kartacze potrzaskały cienkie pnie przydrożnego gaiku, reszta drzew miała podartą kulami korę. Dom przerażał swoim widokiem: dach zgruchotany był przez wybuch szrapnela, a ściany, niegdyś wesołego czerwonawego koloru, dziś wydawały się jak obryzgane krwią. Altanki potargane, szyld podziurawiony, wszystko przypominało z krwawą ironią, że tu bawiła się wesoła ludność w dnie świąteczne.

U drzwi szynkowni stał nieruchomy młody książę z szaspotem [6]) zarzuconym na plecy, z rękoma w kieszeniach i drżący od zimna Pogrążony w ponure dumanie, ten młody żołnierz rozpaczliwem okiem spoglądał na przeciwległe wzgórza, ginące w mgle, z której co chwila wybiegały z hukiem białe obłoki dymu dział Kruppa.

Nagle uczuł dojmujący głód.

---

[1]) Fr. Coppée, ur. w 1842, poeta liryczny, syn biednej wdowy, wieśniaczki, którą nadewszystko kochał i otoczył najczulszą opieką. Zawód rozpoczął od małych poematów, których przedmiotem biedni tego świata, stany najniższe, a przynajmniej najuboższe, ich życie ich walki o chleb codzienny, ich cierpienie i prace (Les Humbles). Wydał wiele poezyi lirycznych, pełnych uczucia i wdzięku. Gorący patryota, ogłosił kilka utworów dramatycznych i poematów, których celem było podnieść miłość ojczyzny. W 1884. r. został wybrany członkiem Akademii francuskiej, najwyższy zaszczyt dla pisarza we Francyi.

[2]) Pierwsza bitwa przegrana przez Francuzów w 1870. roku

[3]) Słynny likier francuski, wyrabiany przez Kartuzów, którzy zarabiane rocznie parę milionów obracają na cele dobroczynne.

[1]) Ludwik IX. król francuski.

[2]) Wielki patryota i wódz francuski (1320 do 1380) nieporównanej waleczności, przyczynił się w znacznej mierze do wypędzenia Anglików z Francyi.

[3]) Miasteczko w Belgii, zwycięstwo Francuzów w r. 1745 nad wojskami sprzymierzonych Anglii, Austryi i Holandyi.

[4]) Tak krótko w wojsku wyrażają: 3 rota 2 pułku.

[5]) Arystokratyczny klub w Paryżu

[6]) Tak zwał się karabin od nazwiska wynalazcy.

Ukląkł na ziemi i ze swego tornistra opartego o ścianę wyjął kawał komiśnego chleba. A że zgubił swój nóż, zębami odrywał kęsy.

Ale chleb był gorzki, twardy, ciężki, a świeżego nie dostanie przed jutrem, i to, jeżeli intendantura zdoła go dostarczyć. Niema co, rzemiosło niezbyt łatwe. I ni z tego ni z owego począł sobie przypominać swoje, jak je nazywał, hygieniczne śniadańka w Kawiarni Angielskiej, gdzie po zbyt obfitej w przeddzień wieczerzy, kazał sobie podawać — ach Boże, byle co, prawie nic! — jakiś soczysty kotlecik, omlecik z główkami szparagów; a piwniczy, znający jego zwyczaje, stawiał na olśniewającym białością obrusie, odkorkowując z niesłychaną oględnością, butelkę starego Léovile, miękko ułożoną w wykwintnie plecionym koszyczku ! Niech dyabli...! piękne to były czasy, pomimo wszystko.. widzi, że się nigdy nie przyzwyczai do tego chleba nędzy.

I ulegając wybuchowi niecierpliwości rzucił swój kawał chleba w błoto.

II.

Właśnie wtedy wyszedł z szynkowni żołnierz tej samej kompanii i zoczył ten kawałek chleba: podniósł go, odszedł parę kroków, obtarł starannie rękawem i chciwie jeść począł

W tej chwili książę Henryk de Hardimont zawstydził się swojego uczynku i przyglądał się z litością, jak ten nieborak dawał dowody niezwykłego apetytu. Był to młodzieniec wysoki i chudy, źle zbudowany, z oczami połyskującemi gorączką i z łopatkami, które rażąco wystawały z pod wytartego munduru.

— Bardzo jesteś głodny, kolego? — zagadnął książę, zbliżając się do żołnierza.

— Jak widzisz, odpowiedział z ustami pełnemi.

— Przebacz mi. Gdybym był wiedział, że ci sprawi taką przyjemność, nie byłbym rzucił mego kawałka chleba.

— Nie martw się, kolego. Ja się tam nie brzydzę tak łatwo.

— Nie idzie o to — odrzekł szlachcic. To, com uczynił, jest niegodne i czynię sobie za to wyrzuty. Ale nie chcę, żebyś miał o mnie złe wyobrażenie, a ponieważ mam nieco starego koniaku w mojej blaszance, pociągniem, do czarta, po łyku.

Żołnierz skończył swój kawałek i wypił z księciem na współkę wybornej wódki. Znajomość była zawarta.

— A jak się nazywasz? — spytał żołnierz.

— Hardimont, — odrzekł książę, ukrywając tytuł i szlachecką partykułę [1])

— A ty?

— Jan Wiktor.... Wczoraj dopiero przydzielili mnie do tej kompanii. Wychodzę z ambulansu. Byłem ranny w reducie Chatillon (Szatilją). Ach jak było dobrze w ambulansie, gdzie infirmier dawał nam pyszny rosół z konia. Ale rana była lekka, doktor prędko wypisał mnie ze szpitala, i niech się dzieje... człowiek znów zacznie zdychać z głodu.. Bo, czy uwierzysz, czy nie, ale, jak mnie widzisz, całe życie byłem głodny.

Słowa te były przerażające, szczególniej powiedziane do rozkosznisia, który przed chwilą sam się przychwycił na marzeniu o kuchni kawiarni Angielskiej; to też książę de Hardimont popatrzył na żołnierza ze zdziwieniem pełnem przestrachu. Żołnierz uśmiechnął się boleśnie, przy czem ukazały się jego wilcze zęby, zęby wiekuiście głodnego, tak białe w tej twarzy o barwie ziemistej. I jakby pojął, że towarzysz oczekuje zwierzenia, ciągnął dalej

— Wie pan co, — mówił — przestając nagle używać „ty“ jak by w przeczuciu, że ma do czynienia z bogaczem i szczęśliwcem tego świata, — wie pan, pochodźmy nieco w tę i ową stronę, żeby sobie rozegrzać stopy a powiem panu rzeczy, których może nigdy nie słyszałeś. — Nazywam się Jan-Wiktor, i nic więcej, ponieważ jestem znajdą, i jedyne moje przyjemne wspomnienie to czas mego dzieciństwa spędzonego w przytulisku. Pościel naszych łóżeczek w sypialni była biała, bawiliśmy się w ogrodzie pod wielkiemi drzewami. Była tam dobra siostra zakonnica, chora na piersi, blada jak płótno z którą wolałem się przechadzać, niż bawić się z innemi dziećmi, bo tuliła mnie do siebie, kładąc mi na czoło swą chudą, ciepłą rękę. Ale gdy

[1]) Partykuła de oznaczała posiadanie lenna, czyli szlachectwo.

miałem 12 lat, po pierwszej komunii, już nic, tylko nędza. Zarząd umieścił mnie jako ucznia u fabrykanta plecionych mebli przy ulicy Ś. Jakóba.

Pan wie, że to liche rzemiosło, nie można zarobić na kawałek chleba; a najlepszy dowód, że majster nie mógł brać innych pomocników, tylko sieroty wychodzące z przytuliska „Młodych ciemnych“.

Tam też zacząłem przymierać głodem. Majster i majstrowa, starzy ludzie, byli strasznymi skąpcami, a chleb, którego nam wydzielano mały kawałek, był zawsze pod kluczem. Dwaj inni terminatorzy, ślepi, przynajmniej nie widzieli tego wzroku majstrowej, która jęczała nad każdą łyżką, wlewając ją do naszych talerzy.

A ot w tem nieszczęście, że miałem wielki apetyt. Czy to moja wina? Trzy lata terminowałem tam, cierpiąc głód nieustanny. Trzy lata! A rzemiosła nauczyłem się w miesiąc. Lecz Zarząd nie może tego wiedzieć i nie domyśla się, jak wyzyskują jego wychowanków. Ach! dziwiłeś się pan, widząc mnie wyjmującego chleb z błota! Bądź pan spokojny, przewykłem do tego! Ileż to razy zdejmowałem chleb z ziemi po ulicach, a gdy był zbyt twardy, moczyłem w swej miedniczce. Nieraz były i dobre gratki, trzeba prawdę powiedzieć. Doskonałe były kawałki chleba, które, wychodząc ze szkoły, uczniowie wyrzucali ze swych teczek lub koszyczków. To też posłany za sprawunkami lub towarem, wałęsałem się koło szkół. Potem, po ukończeniu terminu, biedowałem, bo to rzemiosło, jak panu powiedziałem, nie może wyżywić człowieka.

Och, próbowałem ja wielu innych rzemiosł. Miałem odwagę do pracy, bądź pan spokojny. Byłem przy mularzach, byłem froterem, i Bóg wie czem jeszcze. Roboty nie było, więc mi miejsce wypowiadano. Dość, że nigdy jeszcze nie jadłem do sytości.

Ach! do stu piorunów! co ja za wściekłość uczuwałem, przechodząc przed piekarniami! Szczęściem dla mnie, w tych chwilach furyi przypominałem sobie zawsze moją siostrę zakonniczkę z przytuliska, która tak często zalecała, żebym był uczciwym człowiekiem, i zdawało mi się wtedy, że czuję na czole ciepło jej małej rączki... Nakoniec, w 18-tym roku życia zaciągnąłem się do wojska... Pan wie to dobrze, że żołnierz ma zaledwie, zaledwie dosyć. Teraz znów, jakby na śmiech, oblężenie i znowu głód... Widzi pan, żem prawdę powiedział przed chwilą, iż zawsze, zawsze byłem głodny...



Szkice z zakresu estetyki.

IV.

Kompozycya.

Kompozycya jestto uszykowanie przedmiotów, wybranych jako niezbędne. Skoro wiem już, co chcę powiedzieć, przystępuję do wyboru środków do wyrażenia myśli, pomijam wszystkie czynniki uboczne i porządkuję istotne tak, by działały prosto a jasno. Sztuka nie komponuje, póki jest pismem obrazowem, jak niem była w średnich wiekach, tylko ustawia figury obok siebie z pewnem rozmiłowaniem się epickiem w treści, bez uwzględnienia niemal najprostszych praw symetryi. Zmysł kompozycyjny obudził się dopiero wtedy, gdy poznano, że przedstawianie człowieka jest najpiękniejszem zadaniem sztuki. Albowiem żaden utwór nie jest kompozycyą tak na wskróś harmonijną t.zn. wyborem składników niezbędnych i równowagą pod każdym względem, jak właśnie człowiek. Sztuka grecka wyrosła do potęgi, którą aż po dziś dzień stawiamy wysoko i chyba jeszcze długo stawiać będziemy jako „klasyczną“, dzięki temu, że nie ustawała w przedstawianiu poszczególnych postaci ludzkich i że wszystkie siły współdziałały w rozwiązaniu tego jej zadania. Praksyteles jest szczytem tego kierunku; sposób, w jaki układa ciało w chwili spoczynku i proporcyonalność między tułowiem, głową i nogami wraz z oparciem a rękoma ustępuje u niego tylko wrażeniu, jakie wyraz nastroju, właściwy jego postaciom, wywiera na widza. Sztuka chrześcijańska nie zajmowała się tak energicznie problemem przedstawiania postaci poszczególnych; w całości budowy o stylu gotyckim posąg zajmuje wprawdzie miejsce wybitne, lecz jego kompozycya stosuje się niewolniczo do wymagań budownictwa i techniki. „Odrodzenie“ przej-

muje od starożytności zamiłowanie do postaci odosobnionych, lecz nie zdołało rozwiązać zagadnienia tego w sposób zadowalający tak, jak to uczyniła starożytność. Bronzowy posąg Dawida dłuta Donatella jest utworem, który kusi się o ugodzenie w ton Praksytelesa, lecz podanie będące podstawą tego dzieła, a pozbawione szlachetności, osłabia wrażenie.

Sztuka chrześcijańska, której punkt ciężkości spoczywa w dziedzinie malarstwa w przeciwieństwie do starożytnej, starała się w pierwszym rzędzie o rozwiązanie innego zadania, mianowicie kompozycyi grup. Po próbach Giotta di Bondone (k. 1266—1337) i wczesnego Odrodzenia Lionardo da Vinci i Michał Anioł za swych lat młodych ustanowili dla niej prawa zasadnicze. A te są: budowa statyczna, sprowadzenie konturów do najmniejszej ilości kontrastów. Rafael (Santi, zwany Raffaello da Urbino, 1483—1520) poświęcił sporą część życia, by stworzyć kompozycyę doskonałą tak pod względem budowy grupy, jakoteż co do układu w przestrzeni i rozdziału światła i cieni. Jego „Złożenie Chrystusa do grobu“ otrzymało charakter poniekąd akademicki wskutek zbytniej pogoni za układną budową grupy, natomiast „Madonna sykstyńska“ przedstawia się nam jako ideał nie do osiągnięcia z powodu delikatnego zastosowania wszystkich prawideł.

Podczas gdy pierwszy okres rozwoju postępowego, który nazywamy zwykle Odrodzeniem (renesansem), stara się rozwiązać swoje problemy na spokojnem ciele ludzkiem, domaga się drugi okres rozwoju wstecznego, który zwiemy zwykle barokiem, ruchu — zrazu ze ścisłością samowiedną, następnie jednak ruchu za każdą cenę. Michał Anioł w latach dojrzałych i Wawrzyniec Bernini (1598—1680) komponują całkiem inaczej, niż Odrodzenie, Laokoont i rzeźby pergameńskie są dziełami innego pokroju, niż arcydzieła Fejdiasa i Praksytelesa. Nie rozchodzi się w nich o harmonię, lecz o kontrasty, nie o silną postawę, lecz o śmiałe ostanie się w miejscu; wywołanie wrażenia imponującego i dramatycznie ożywionego stanowi cel artysty. W przeciwieństwie do prostopadłej i poziomej osi kompozycyi Odrodzenia przekątnia wybija się obecnie na plan pierwszy. Wystarczy z tego punktu widzenia przyjrzeć się obrazom takim, jak Tycyana „Madonnie domu Pesarów“ lub Rembrandta „Anatomii“ i „Straży nocnej“.

Gdy barok dosięga szczytu, następuje upadek, nawet w kompozycyi. Wielka rozmaitość środków wyrażania się, mistrzowskie opanowanie techniki, wzmagająca się liczba zamówień doprowadzają artystów do tego, że nie zważając na pierwszy konieczny warunek jasnej kompozycyi, tj. wybór momentów niezbędnych, wysuwają na plan pierwszy motywy uboczne ze względu na urok malowniczości. Pierwsze ślady wyraźne tego kierunku występują już w Rafaelowskim „Pożarze“. Antonio Allegri Corregio (1494 do 1534) dopuszcza je swobodnie w swych malowidłach kopułowych, następnie też w swych obrazach, a u Tintoretta (właść. Jakóba Robustiego, 1510—1594), Pawła Veronesego (właść. Caliariego, 1528—1588) i Piotra Pawła Rubensa (1577—1640) motywy uboczne, rzucające się w oczy, przeważają nad tematem głównym niekiedy do tego stopnia, że trudno nam domyśleć się, o co chodzi właściwie. „Rokoko“ wreszcie komponuje według czysto dekoracyjnych punktów widzenia.

Sztuka nowożytna nie chce słyszeć nic o kompozycyi. Podczas gdy pierwsza połowa wieku bieżącego dla kompozycyi — przynajmniej w Niemczech — zaniedbywała wszelką tradycyę techniczną i przeszła w malarstwo kartonów, powstał za dni naszych ruch, który lubuje się w skrajności przeciwnej. Ster tego okrętu dzierży krajobraz. Jeżeli studyum postaci ludzkiej prowadzi do starania się o kompozycyę uporządkowaną, to prawdziwy malarz krajobrazów z natury rzeczy odrzuca wszystko, co zmierza do niej; albowiem krajobraz powstaje dzięki przypadkowi, malownicza swoboda w nim panuje. Jeżeli chcemy ją uwzględnić należycie, nie wolno nam komponować, lecz należy tylko wybrać sobie jakieś stanowisko wobec niej i ograniczyć obraz przestrzenią. Forma poszczególna nie jest miarodajną, jeno ogół zjawisk co do światła i barwy. Z tego zapatrywania wypłynęły kierunki nowożytne, które rozbiegły się następnie jako *pleinair*, impresyonizm i kompozycya barwnych tonów nastrojowych. Kierunki te popadają w jednostronność dopiero wtedy, gdy zajmują taki sam punkt widzenia

wobec postaci ludzkiej. Arnold Böcklin (ur. 16. X. 1827. w Bazylei) musiał też sobie stworzyć odrębny gatunek postaci ludzkich dla swych krajobrazów.

Adolf Menzel (ur. 8. XII 1815. we Wrocławiu) pokazał, jak można być malarzem figur bez kompozycyi. W jego obrazie „Koronacya Wilhelma I“ niema kompozycyi poza figurami pierwszego planu; wynikło to ze stanowiska, jakie mistrz zajął przy samym obrzędzie Piotr Puvis de Chavannes (ur. 14. XII. 1824. w Lyonie, um. 24. X. 1898 w Paryżu) komponuje; jest on jednym z nielicznych malarzy nowoczesnych, którzy czują, że kompozycya t. zn. proste i jasne uszykowanie momentów, wybranych jako niezbędne jest konieczną w każdej sztuce, która chce przetrwać wieki.

(Podług *Józefa Strzygowskiego*).

Miłość Ojczyzny

w poezyach A. Asnyka.

II.

Wiadomość o wybuchu powstania styczniowego w r. 1863 obiegła lotem błyskawicy całą Europę i doszła do starych murów Heidelbergskiego uniwersytetu. Pośród znajdującej tu garstki Polaków odznaczał się przedewszystkiem dwudziestopięcioletni młodzieniec, zawsze smutny, usposobiony marzycielsko, zamknięty w sobie i unikający towarzystwa. Ale kiedy nadeszła wieść o powstaniu w Polsce, zaszła w usposobieniu wątłego studenta wybitna zmiana: ożywił się, na bladą, zwykle posępną twarz wystąpiły rumieńce zapału, od kolegów już nie stronił, owszem sam szukał ich towarzystwa i prowadził z nimi tajemnicze narady. W krótce potem gromadka tych młodych ludzi opuściła Heidelberg i podążyła w stronę Polski.

Tym młodzieńcem, który jej przewodził, był Adam Asnyk.

Po studyach w Warszawie, Wrocławiu i Paryżu przybył on do Heidelbergu, aby na tym prastarym uniwersytecie niemieckim słuchać wykładów historyi i ekonomii politycznej; ale kiedy dowiedział się o wypadkach w Królestwie, kiedy Ojczyźnie potrzeba było odważnych serc i dzielnych dłoni, on nie zawahał się ani przez chwilę, i choć wątły, słabowity pospieszył na pole walki, aby Ojczyźnie ofiarować wszystko, co posiadał i czem rozporządzał: swój rozum, swą energię i swoje życie na niepodzielną własność. A nie małą musiała być wartość tej ofiary, skoro młodego chłopaka zaszczycono godnością członka Rządu narodowego, który całem powstaniem kierował. Przez półtora roku pełnił Asnyk powierzone sobie czynności z całym zapałem i poświęceniem, jakie tylko głęboka wiara w świętość sprawy i konieczność jej dobrego powodzenia dać może — ale rzeczywistość zadała wkrótce kłam tym nadziejom i oczekiwaniom: powstanie upadło a w Ojczyźnie zapanowały sroższe jeszcze prześladowania.

Asnykowi, jak wszystkim wogóle członkom Rządu narodowego, groziło straszne niebezpieczeństwo: za głowę jego była wyznaczona nagroda, a w razie schwytania oczekiwał go stryczek. Cudem prawie zdołał uniknąć tego losu — o chłodzie i głodzie, kryjąc się po strychach i piwnicach, wymykał się z domu do domu, uchodząc przed ścigającymi go zbirami, aż wreszcie udało mu się wydostać szczęśliwie za granicę, gdzie go oczekiwały lata smutnej tułaczki.

Zwiedziwszy Szwajcaryę, Francyę i Anglię udał się Asnyk na dłuższy pobyt do Włoch, których łagodny klimat mógł wywrzeć zbawienny wpływ na sterane i podupadłe jego zdrowie. Tu, w okolicy Neapolu, powstają jego pierwsze wiersze przeznaczone do druku a w nich objawia się rozpaczliwy stan jego umysłu.

Zawiedziony w swych przekonaniach o zwycięstwie dobrej sprawy, o konieczności prędkiego odwalenia tego ciężkiego kamienia grobowego, który przygniatał ujarzmioną Ojczyznę, błądzi młody poeta, pozbawiony „ojczystego brzegu“ „przez włoskie wille, nad morzem wiszące“ i „rzuca skargi w gwieździste przestworza“ nie tracąc jednak nadziei, że kiedyś nastanie jeszcze „nowe świtanie“ dla Polski. Najczęściej jednak ogarnia go rozpacz, od której może go obronić chyba tylko wino, przynoszące z sobą chwilowe zapomnienie. Dzban wina pozwala zapomnieć o rzeczywistości i śnić znowu tak, jak się śniło w młodości:

„ Po kwiatach sączy się zdrój
„ A wietrzyk roznosi wonie;
„ Pierś ogniem szlachetnym płonie, —
„ Chcę wznowić rycerski bój —
„ W dobranym braci orszaku
„ Ochoczo biegnę na szturm;
„ I słyszę w odgłosie surm:
„ „Zwycięstwo przy białym ptaku!"".

Mara nieszczęśliwej Ojczyzny ściga poetę wszędzie, nie dozwala mu się nawet modlić. Obraz takiej chwili mamy w prześlicznym poemaciku pt. „Asceta". Asnyk przedstawia w nim człowieka, który chce całą duszą poświęcić się wyłącznie Bogu, umartwieniami dojść do tego, aby Go „przeniknąć dokładnie", a zerwać wszystkie węzły, łączące go „z ziemską ojczyzną". Posłuchajmy jego modlitwy:

W Tobie, o Panie, zamknąłem życie,
Ku Tobie dusza jawnie i skrycie
Płynie drogami wszystkiemi...
I wciąż katuję wzgardzone ciało
Chcąc Twoją tylko oddychać chwałą
A zostać obcym tej ziemi.

Tyle lat klęczę tutaj w pokorze
I wzrok zatapiam w jasności morze,
Za którą mam Cię pożądać...
Nie dość, że Ciebie myśl ma odgadnie:
Ja Cię przeniknąć pragnę dokładnie,
Oczyma ducha oglądać!

Więc zapatrzony w wieczyste blaski,
Spragniony widzeń natchnionych łaski,
Krwawemi świecę stygmaty
I, wylatując za ziemską glinę,
W nieskończoności pożądań ginę,
W Twoje wdzierając się światy.

Lecz próżno miłość świętą rozpalam,
Próżno się z więzów ciała wyzwalam:
Nie mogę jeszcze, nie mogę
Przedrzeć ostatnich mroków zasłony
I przez serafów jasnych legiony
Ostatnią otworzyć drogę...

Jeszcze królestwo Twoje nie spadło
Na duszy mojej smutne zwierciadło,
By się tam zawrzeć jak w grobie;
I nie leżałem w prochu zdrętwiały
Przed majestatem straszliwej chwały,
Widząc Cię w ogniach przy sobie.

Czasami tylko, bolem targany,
Duch mój porzuca cielska łachmany
W nowe przedzierzga się życie;
I do Twych niebios biegnie promienny
W apoteozie rozlać się sennej —
A ja umieram w zachwycie...

Ale te niebiańskie zachwyty nie trwają długo, bo zawsze jakaś myśl ziemska wkrada się do rozmarzonego umysłu ascety, a wtedy rajskie widzenie pryska i znowu pozostaje tylko zimna rzeczywistość. Posłuchajmy jak, nam poeta opisuje jedno takie widzenie:

Czas się wiekowej wypełnił zgrozy,
I na gwieździste wstąpił już wozy
Żelaznem berłem rządzący.
Ten, co go nie zna nawet z imienia
Świat, choć pokazał twarz Swą z płomienia
A w ręku Swojem sierp lśniący —

Idzie na żniwo; przed nim anioły
Równają ziemskie góry i doły
Pługami ostatnich zniszczeń,
I, przewracając glebę cmentarną,
Zbierają ważne i czyste ziarno
W omłocie boskich oczyszczeń.

Duchy brylantem zasług bogate
Wdziewają świetną zwycięstwa szatę,
W nadziemskiej stają ozdobie;
Nawet skalane krwią ludzką zbójce,
Przeszedłszy męki Twojej ogrójce,
Wznoszą się czyste ku Tobie.

Ale tutaj następuje zwrot w widzeniu ascety: myśl, chociaż wbrew jego woli, zbyt ściśle związana jest z życiem ziemskiem, żeby mogła zupełnie zapomnieć o jego istnieniu, więc właśnie w chwili tego widzenia przyszłej szczęśliwości świata nasuwa się mu pytanie, co będzie wówczas z jego biedną Ojczyzną?

Jacyż to biedni i odtrąceni
Idą w czerwone morze płomieni
Okryci hańby swej piętnem?
Ach! to ostatni z mojego ludu
Co próżno w jasnych zmartwychwstań cudu
Oczekiwaniu stał smętnem.

Bez płodne męki dostał w udziale
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale

I dziś go czeka zagłada!
Takąż robotnik Twój bierze płacę?
. . . . . .
Gdzie jesteś, Panie! z oczów Cię tracę —
I niebo Twoje przepada!

Ale możnaby pomyśleć, że ten motyw jest w „Ascecie" tylko przypadkowym, że jest poprostu artystycznym środkiem wywołania większego wrażenia. Takiemu pojmowaniu rzeczy zaprzecza jednak fakt, że we

wszystkich innych utworach Asnyka, pisanych w owym czasie, panuje on prawie wyłącznie, że myśl o nieszczęściach Ojczyzny góruje w nich ponad wszystkiemi innemi, a wyraża się z taką prostotą, taką szczerością, taki w niej brak wszelkiego gonienia za efektem, że podejrzenie podobne odsuwa się szybko i uchylając czoła przed wielkim poetą, odsłaniającym przed nami tak otwarcie stan swojej duszy, przeprasza się go za nie z mimowolną pokorą i zawstydzeniem. Bo oto przypatrzmy się, jak on rzewnie i szczerze, bez wszelkiej efektowności, modli się w „Prośbie“ do swego anioła opiekuńczego:

O, mój aniele, ty rękę
Daj!
Przez łzy i mękę
Przez ciemny kraj,
Do jasnych źródeł ty mię doprowadź —
Racz się zlitować!

Serce me zwiędło jak marny
Liść;
Wśród nocy czarnej
Nie wiem, gdzie iść,
I po przepaściach muszę nocować —
Więc ty mię prowadź!

Czuje się tu od razu, że ta „noc czarna“ i to „nocowanie po przepaściach“ mają znaczenie symboliczne, że są tylko obrazem nie pewności i rozpaczy — więc nastręcza się pytanie, gdzie jej źródło?

Oto co na to odpowiada poeta:

To, com ukochał, com tyle
Czcił,
Zdeptane w pyle
Padło bez sił;
Rozpacz i hańbę widząc po drodze,
Stanąłem w trwodze.

Widziałem zbrodni zwycięzki
Szał.
Widziałem klęski
Duchów i ciał,
Więc obłąkany boleścią chodzę
We łzach i trwodze.

I nie wiem teraz, w co wierzyć
Mam,
Jak dzień mój przeżyć
W ciemności — sam?
Nie wiem, czy zdołam wytrwać niezłomnie:
Więc ty zstąp do mnie!

Teraz dopiero rozumiemy, o co chodzi poecie: do rozpaczy doprowadza go upadek sprawy narodowej i brak wiary w te wszystkie ideały, które go wiodły do świętego boju, przekonanego o ich nieomylności. On „tak ukochał i tyle czcił“ te uosobienia sprawiedliwości bożej i bożego miłosierdzia, a teraz, kiedy ujrzał „zwycięzki szał“ zbrodni, kiedy zobaczył już nie fizyczne, ale i moralne trupy pośród społeczeństwa, któremu się poświęcił, ogarnęła go niemoc duchowa i odbiegła wiara w dotychczasowe ideały, a miejsce ich zajęła straszliwa — pustka. Ale w jaki sposób ma go ów anioł opiekuńczy wybawić z tej choroby duchowej? Oto niech mu tylko powie, że jego pojęcia są błędne, niech go zapewni, że są jeszcze jakieś ideały na świecie, że brutalna przemoc nie zawsze będzie panowała.

Pokaż mi tryumf w przyszłości
Dniach
Tryumf miłości
Kupiony w łzach
I ludu mego zwycięstwo jasne
Pokaż, nim zasnę!

Pokaż mi ciszę wschodzących
Zórz
Zmartwychwstających
Królestwo dusz,
A dbać nie będę o szczęście własne
Spokojny zasnę!

A więc do spokoju potrzeba poecie przekonania o istnieniu wyższej, rządzącej światem sprawiedliwości, a potrzeba mu go przedewszystkiem dlatego, że wtedy będzie także przekonany o przyszłem „jasnem zwycięstwie“ swego ludu, swej Ojczyzny!

(C. d. n.)

Tadeusz Pini.

Układ dziesiętny a podział czasu i koła*).

Od czasu, gdy oparto podział miar i wag na układzie dziesiętnym, powiał prąd, zmierzający do zastosowania układu tego do wszelkich innych dziedzin, w których ma się do

*) Na podstawie *Izwiestij* rosyj. Tow. geograficznego t. XXXIII, s. 427 – 8.

czynienia z wielokrotnościami pewnych jednostek. Może to moda tylko? Nie, bynajmniej. Bo czyż to nie ciężar zbyteczny dla umysłu ludzkiego, mianowicie dla pamięci, że mierzy się czas, kąty, szerokość i długość geogr. i t.p. według układu szóstkowego (prastarego, jak dowodzi liczenie na kopy, znane już ludom Międzyrzecza eufracko-tygrysowego, tzw. Mezopotamii), natomiast ciężary, długość i szerokość materyi np. według dziesiętnego? Z pewnością, że to ciężar, zwłaszcza gdy się dojdzie do ułamków, przy których dodawanie mianowników jest niezbędne. Toteż umysły trzeźwe oddawna starają się o ujednostajnienie i sprowadzenie wszystkiego do jednego mianownika — dziesiątki. Niektóre jednostki posunęły się aż do tego, że chcą przenieść układ dziesiętny nawet do rzeczy tak nieuchwytnych, jak oznaczanie treści dzieł i rozpraw zapomocą liczb układu wspomnianego. Mamy tu na myśli mianowicie układ dziesiętny bibliografii pomysłu kierownika książnicy nowojorskiej Deweya (czyt. Diueja), wedlug którego np. liczba 491.723, położona na czele Słownika Lindego pouczałaby nawet Chińczyka o zawartości dzieła tego, tzn. że jestto słownik języka polskiego. [1]) Nim się ten układ przyjmie, mimo sprzeciwiania się Niemców, wiecznie niezadowolonych ze wszystkiego, czego nie wymyślił, a raczej nie wysmarzył w tyglu ociężałej uczoności, „wyższy duch niemiecki“, usiłowania, podjęte w kierunku uproszczenia podziału czasu i obwodu koła (a zatem i kątów), osiągną swój cel z pewnością. Na razie zdania uczonych, którzy zajmowali się tą sprawą, różnią się jeszcze, ale nie należy tracić nadziei, że rzecz ta dojrzeje w czasie niedługim. Najżywiej omawiają ją Francuzi, a więc znów tensam naród, który pomny swego tradycyjnego stanowiska przodowniczego, niegdyś wywalczył zwycięstwo układowi dziesiętnemu w dziedzinie miar i wag. Wśród Francuzów też 5 systemów pragnie rozwiązać sprawę podziału czasu i koła na zasadzie owego układu. Wysiłki te godne są bliższego poznania, bo dowodzą, że sprawa to nie tak łatwa, jakby się zdawało na pozór. Przedstawimy je zatem kolejno, zaznaczając równocześnie wady ich za przewodem Litre'a, który wypracował osobne sprawozdanie w tej sprawie z ramienia Towarzystwa geograficznego w Tuluzie.

Podług systemu „konwentu francuskiego“ doba dzieliłaby się na 10 godzin itd. stopniowo, a obwód koła na 400 stopni. Wadą systemu jest to, że wskutek tej nierównomierności niewygody systemu dzisiejszego przy przemianie ilości czasowych na kąty i na odwrót trwałyby dalej; nadto godzina taka, odpowiadająca niemal $2^1/_2$ dzisiejszej, byłaby za długą dla potrzeby codziennej. Chancourtois zapobiegł błędowi pierwszemu, dzieląc dobę na 40 godzin przy 400 stopniach koła, ale tylko częściowo, bo ostateczną podstawę stanowi nie jednostka, ale czwórka. Jeszcze gorzej wypadł pomysł Sarroutona, który do 24 godzin dzisiejszych zastosował podział obwodu koła, ściągając 360 stopni do liczby 240; choć bowiem ustanowił 100 minut na godzinę i tyleż sekund na minutę, powiększył tylko błąd Chancourtois'a, obstając uporczywie przy tak złożonej liczbie, jak 24. Tego właśnie chciał uniknąć Bouquet de la Grye i uprościł liczbę godzin doby do 20 chronów (franc. *chrones*, tzn. czasów — prw. rosyj. „czas“ w znaczeniu godziny), a stopni obwodu koła do 200 metrów (fr. *mers*). Pozostaje przytem wprawdzie dwójka jako ostateczny iloraz, ale autor usuwa niedogodność tę w sposób taki, że wprowadza w układ swój rozróżnienie kierunków + i —. Rey Pailhade wziął się do rzeczy najradykalniej i najrozsądniej. Dzieli dobę na 100 se (*cés*), z poddziałami *dimicés* i *centicés*, a obwód koła na 100 syr (*cirs*) z poddziałami *dimicirs* i *centicirs*. Ten projekt jest najprostszy i najkonsekwentniejszy, a ma tę zaletę, że czyni zbędnem przeliczanie minut na sekundy, stopni na minuty itp. z wielką mitręgą czasu i trudu.

Czy jednak pomysł Reya Pailhada przyjmie się? Dziś trudno prorokować, choć niejedna okoliczność przemawia na jego korzyść.

Wszak to czasy niedawne, gdy wątpiono o możliwości uzyskania zgody na czas średnioeuropejski. Co więcej, gdy przed rokiem 1870. podprefekt pewnego miasteczka bretońskiego rzucił myśl zaprowadzenia w całej Francyi czasu paryskiego dla usunięcia niedogodności, które ujawniały się podczas

[1]) O tym układzie, przyjętym już i wprowadzonym w życie przez międzynarodowe biuro bibliograficzne w Brukseli, porów. rozprawkę Prusika w nrze 22. *Przeglądu literackiego* z r. 1897.

służby telegraficznej przy oznaczaniu czasu według zegarów miejscowych, wyśmiano go z kretesem. A dziś? Dziś każdy dziwi się, że nikt wcześniej nie wpadł na ten pomysł. Ot, stare dzieje jajka Kolumbowego!

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

X.

Klasztor.

Hej, wy lasy, stare lasy!
Gdzie są owe czasy dawne,
Kiedy rankiem niespodzianie
Ciszę waszą napół senną
Zmącał nagle wrzask nagonki,
Rogów dźwięk i chartów wycie,
Koni rżenie, jeźdźców śmiechy?
Kiedy echo na szczyt skały
Umykało w ciszę leśną,
Jako cietrzew wypłoszony,
Bijąc skrzydłem w szale toku
Aż się w skałach pod głazami
Zbudził wicher drzemający,
Zbudził i swą brodą potrząsł,
Że aż drżały szczyty sosen,
Brzóz gałęzie dębów, jodeł,
Z przerażenia i podziwu
I pytały szumem w chórze,
Co się stało, co się dzieje?
Potem nad zwierzyny stosem
W szarych buków chłodnym cieniu
Wychylano pełne czasze
Na pomyślność dzielnych łowców.
Hej, wy lasy, stare lasy!
Bezwątpienia wspominacie
Owe stare, dawne czasy,
Kiedy baśnie władły światem.
Jeszcze stare wasze sosny
I modrzewie zamyślone,
Którym wiszą wąsy z brody,
Jakby starcom, jakby dziadom,
Dobrych czasów tych wspomnieniem
Szumią, szumią, prawią o nich
Młodym wnukom na porębie
W długie noce, gdy swem srebrem
Księżyc dotknie się ich koron
I do dum je, marzeń zbudzi,
Jak śpiew czyni z sercem ludzkiem:
Szumcie, szumcie, stare drzewa,
Baśnią swą też w moje pieśni.

Wrócił Prokop do jaskini,
Pokazawszy mnichom drogę;
Potem wesół, jak codziennie,
Wziął siekierę do rąk, podniósł,
Dąb nią zaczął ociosywać,
Przędąc przytem nić bez końca
Myśli różnych, postanowień,
Które w noc mu wywołały
Z serca głośny śpiew na usta.

Nagle dziwny, niezwyczajny
Dźwięk się ozwał po dolinie,
Przemknął po koronach dębów,
Zbudził śpiące echo w skałach:
To fanfara rogów leśnych!
Święty Prokop drgnął zdziwiony,
Ustał nagle w swojej pracy
Nadstawiając pilnie ucha.
Bory te dotychczas brzmiały
Hymnem wichru, hukiem dębów,
Które wiek ich sam obalał;
Toteż dziwne im się zdały
Rógów dźwięki, co streszczały
Łowów całą epopeję.
Róg wesoło, lekko zabrzmiał,
Śpiewał, grał i jasnym dźwiękiem
Przekomarzał się z łowcami;
Potem sypnął grad nót ostrych
Krótkich, groźnych przeraźliwych:
To ryk zwierza spłoszonego,
Szczekot psów, bieg poprzez gąszcze
Trzask gałęzi, wrzawa łowców.
Tony rosły w całe morze,
Które coraz bliżej wrzało
Jednym wielkim, strasznym prądem;

Cały atak był w tej pieśni:
Krótka piosnka, a radosna,
Bo zwycięska, długiem echem
W skałach brzmi — zwierz dogoniony,
Osaczony, poraniony
I dobity — nowe dźwięki,
Czułe, tkliwe, roztęsknione
Pełne skargi — coraz dalsze,
Z nimi łowy nikną w dali,
Jak na widnokręgu burza.

Znów siekierę podniósł Prokop.
Znów brzmiał odgłos ciosów głuchych
Monotonnych, w cichym borze.
Nagle w gąszczy ryk i szelest;
Do przedsionka zadyszana
Wbiega łania Prokopowa.
Pada do nóg pustelnika.
I podnosi nań, drżąc cała
Swoje wielkie jasne oczy.
Co za cud! na głowie łani
Błyszczy krzyż przedziwnym blaskiem
Krzyż z promieni dziwnej krasy,
W boku jej tkwi strzała ostra,
Z pod niej ciecze krew czerwona.
W rubinowe łzy się ścina!

Przed jaskinią zabrzmiał teraz
Rogów dźwięk, a równocześnie
Wbiegł myśliwy śmiałym krokiem.
Smukły był i czarnowłosy,
Dumną twarz miał, ostre rysy;
Gdy rozejrzał się dokoła,
Łuk mu wypadł z rąk z podziwu:
„Ktoś ty, co tu żywiesz w puszczy?“

„Czemuś zranił mi, Oldrzychu,
Moją łanię? Czyś nie widział,
Że sam Bóg ją napiętnował?“
Mówiąc tak, wydobył Prokop
Z rany grot i ją przeżegnał,
Ona zaś się wnet zgoiła;
Potem lśniący kark pogładził
Łani swej i ciągnął dalej:
„Człowiek grzeszny jestem, Prokop;
W puszczy tej, regule wierny
Benedykta, żyję dawno,
By królestwo boże zyskać.
Witaj, książę, w tej jaskini,
Pan przez ciebie zdziała cuda!“

„Co! przezemnie? Wielkim grzesznik!“
Książę Oldrzych odpowiedział,
„Gdybyś choć mię wyspowiadał,
Mógłbym potem, ojcze, z tobą
Mówić śmielej znacznie o tem“.

Stało się po woli księcia.

„Pragnę, ojcze!“ mówił Oldrzych,
„Płonę cały wskutek biegu,
Daj mi napić się, co pijasz“.

Prokop nabrał szybko wody,
Co tryskała z serca skały.
Jak najkosztowniejsze wino
Smakowała Oldrzychowi.

Potem siedli i gwarzyli.
Prokop wesół już spełnionem
Widział duszy swej marzenie,
Które w niej wzbudzili Niemcy;
Wierzył, że je w czyn zamieni.
Opowiedział Oldrzychowi,
Kreśląc śmiało żywem słowem,
Co za smutny los czekałby
Czeską ziemię, gdyby lud jej
Modlił się w języku obcym;
Prorokował, że te skały,
Lasy te i wądół cichy
Mogą być dla kraju centrem,
Skąd zbawienia prawdy zorza
Strumieniami się rozleje;
Błagał księcia i zaklinał,
By odesłał nazad mnichów,
Rękę Bożą mu wskazywał,
Co przywiodła go tu borem
Za pierzchliwej łani śladem
Właśnie dzisiaj, kiedy Niemcy
Już zbliżali się do Pragi.

Oldrzych słuchał go wzruszony,
Powstał i rzekł tak do niego:
„Zbierz więc rychło, sługo boży,
Grono braci bogobojnych,
Zgromadź wszystkich tu przy sobie!
Żyjcie społem w tej tu puszczy,
Nauczajcie lud po czesku,
Rad uczynię, co w mej mocy,
Ku czci Panny, Matki Bożej,
Dla miłości Pana Boga“.

Prokop wywiódł księcia z groty,
Drogę z lasu mu pokazał,
Oraz miejsce, gdzie najlepiej
Byłoby zbudować klasztor. (C. d. n.)



Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Poradnik dla zbierających minerały. Jakkolwiek dla mineraloga małe jest u nas pole z powodu niewielu gatunków minerałów spotykanych w naszym kraju, to jednak dla chętnych w tym względzie pracowników podajemy pospolitsze minerały krajowe.

Takiemi są: wapienie (w kryształach) koło Bóbrki pod Lwowem, także obok Podgórza. Aragonit żółty we Lwowie, Marmur krzeszowicki w Czarnej, wapień muszlowy Tarnopolski, kreda z Oleska pod Brodami. Gips i alabaster występuje wzdłuż Dniestru (Wołczyniec pod Stanisławowem, Horodenka, koło Szczerca, Podgórze i in.) Pokłady soli kamiennej znane z Wieliczki, Bochni, Kossowa itd. Ałun w Karpatach w łupku ałunowym (koło Berezowa). Kaolin w Mirowie. Także równolegle do pokładu węgla brunatnego idzie jeden pokład kaolinu od Glińska przez Magierów, Potylicz, Dziewięcierz aż do Horyńca; drugi idzie obok Rawy do Siedlisk. Siarka znajduje się w zachodniej Galicyi w Swoszowicach i Zielonem, we wschodniej zaś części kraju w Dźwiniaczu (z wapieniem). Naftę mamy wzdłuż Karpat a wosk ziemny (ozokeryt) we wschodniej Galicyi szczególnie w Drohobyckiem. Węgle brunatne są w Żółkiewskiem i kołomyjskiem. Torf znajduje się w wielu miejscach (np. Dublany), bursztyn koło Lwowa w piaskowcu. Piaskowce twarde na koła młyńskie (Chyrów, Mełna), na trotoary (trembowelskie płyty) koło Trembowli i Horodenki Z r u d: galman koło Krakowa, błyszcz ołowiu koło Chrzanowa, a rudy żelazne w wielu miejscowościach Karpat (Mizuń, Tatry) ale dziś nigdzie nie wytapiają rudy żelaznej. Luźnie znachodzą się jaspisy, malachit (w Tatrach), a granat pospolity w łupku pod Czywczynem nad Czeremoszem.

Najpiękniejszy zbiór minerałów krajowych posiada prócz Muzeum Hr. Dzieduszyckiego także gabinet mineralogiczny w c. k. Politechnice lwowskiej pod kierownictwem prof Juliana Niedźwiedzkiego, który też gotów jest udzielić wszelkich wyjaśnień. Także prof. wszechnicy lwowskiej Dr. Zuber, chętnie udziela zbieraczom wszelkich wskazówek.

Ktoby zechciał nabyć większy lub mniejszy zbiór minerałów, lub zamienić minerały na inne gatunki, temu polecamy: handel Złotnickiego we Lwowie przy ulicy Jagiellońskiej, zakład Fricza w Pradze wreszcie handel minerałami Pecha w Berlinie, ulica Unter den Linden 67. lub Rheinisches Mineralien-Contor Dr. Krantz Bonn a. Rhein. Każdy z tych zakładów chętnie na zapytanie odpowiada i posyła swe cenniki.

Rudyard Kipling, którego powiastkę drukowaliśmy w poprzednim numerze, ledwie przekroczył „lata Jezusowe“, a już oddawna jest najpopularniejszym pisarzem rasy anglosaskiej. Wyrażenie „najpopularniejszy“ nie jest bynajmniej przesadą; dowodzi tego ta okoliczność, że gdy w lutym r. b. zawitał do N. Jorku, celnicy — jak głoszą pisma — odstępując od zwyczaju i przepisu, przestrzeganego w St. Zjednoczonych nader surowo, nie przejrzeli nawet jego pakunków, a wobec zdziwionych towarzyszy podróży jego tłumaczyli się tem, że „to przecie Kipling!“ Dowodzi tego dalej fakt, że gdy podczas pobytu w tem mieście zapadł na influenzę tak ciężko, iż śmierć zajrzała mu już w oczy, tłumy oblegały dom jego, żądne wiadomości o stanie zdrowia, a dzienniki świata całego podawały stałe biuletyny, czytane chciwie przez wielbicieli niezrównanego nowelisty. Cesarz niemiecki stanął w ich rzędzie i pytał o jego zdrowie telegraficznie, nawet sędziwy papież, Leon XIII., zażądał tłumaczenia „Ballad“ Kiplinga.

Kipling urodził się w Bombaju; po krótkich studyach klasycznych, które odbył w Anglii, wrócił w 17. r. ż. do Indyi, osiadł przy ojcu, który był dyrektorem muzeum w Lahorze, i został reporterem dziennikarskim. W tym zawodzie zabłysnął niezwykłemi zdolnościami i zaostrzył sobie zmysł spostrzegawczy podczas licznych przygód. Obserwacya to jedna z głównych zalet jego powiastek, które są tylko układem poetycznym wspomnień przeżytych. Bo też żył pełną siłą krwi młodej: zwiedził szereg miast, przebiegał lasy (dżengle, *jungles*), brał udział w różnych wyprawach, był artystą i żołnierzem kolejno — i, licząc ledwie 23 lata wieku miał w swym dorobku autorskim tuzin tomów. Teraz rozpoczął podróżować po świecie. Był w Chinach, Japonii, Transwalu, a w Stanach Zjednoczonych przeżył lat parę; od czasu do czasu zaglądał do Londynu, gdzie zastawał swego wuja, głośnego malarza Burne-Jonesa (czyt. Börndżonsa). Tak 10 lat upłynęło na wycieczkach, a tom za tomem przybywał do poprzednich. Po „Powiastkach górskich“, „Pod deodarami“ „Białe i czarne“, „Historyi Gadsbysów“, nastąpili „Moi“, „Trzej żołnierze“, „Ballady żołnierskie“, słynna „Księga lasów (dżengli)“, obecnie tłumaczona na j. polski, „Dzielny kapitan“, szkice z życia rybaków na wybrzeżu N. Fundlandyi, za które dostał przeszło 55.000 zł, „Wee Willie Winkie“; są to same zbiorki nowel lub wierszy, które po obu brzegach Atlantyku, tak u Anglików, jak u Amerykanów, uchodzą za najdoskonalsze przejawy ducha rasy anglosaskiej. Jakoż one przyczyniły się więcej, niż jakiekolwiek inne utwory, do spotęgowania szowinizmu czyli tzw. dżyngoizmu angielskiego, i do uznania w ich autorze „proroka-wyznawcy energii rasy“. A przecież Kipling nie napisał dotychczas żadnej większej powieści prócz „Światła zgasłego“ (Light that failed), które powstało jeszcze w 23. r. ż. jego, i „Naulahki“, która zresztą jest dziełem jego i jego szwagra, Balestiera, drukarza i bardzo poczytnego powieściopisarza nowojorskiego. Ale też ta jedyna powieść Kiplinga „Światło zgasłe“ jest prawdziwem arcydziełem, jak uznali krytycy, nietylko angielscy, lecz nawet wybredni Francuzi.

Dołączamy parę szczegółów bibliograficznych: O K. u pisali u nas obszerniej *W.* w *Przeglądzie powszechnym* (1893. zesz. lipc. s. 53—45) i A. M. Jasieński w książce p. n Spółcześni powieściopisarze angielscy (Warsz. 1897). Przekłady: Nowele w przekł. W. Zyndram-Kościałkowskiej (Petersburg 1892 cena 25 kop.), Zagasłe światło w przekł. E. Żmijewskiej (Warsz. 1893, 50 kop). a p. n. Zwodne (!) światło z przekł. A. Krzyżanowskiego (Warsz. 1893, 1 zł. 30). Przypominamy, że obecnie wychodzi przekład „Księgi lasów“ w *Tygodniu* (lwowskim), a w naszem piśmie podano przekład powiastki „Dwaj mali dobosze“.

Szybkość pociągów w Europie Rywalizacya linii kolejowych we Francyi sprawia, że pociągi francuskie przewyższyły szybkość pociągów angielskich, które dotąd prym pod tym względem trzymały. Kompania północna ulepszyła budowę wozów i lokomotyw, budowę drogi samej doprowadziła do doskonałości, mogła więc pociągom pospiesznym nadać szybkość niebywałą na kontynencie europejskim. Tak naprzykład pociąg z Paryża do Faignies (stacya graniczna w kierunku do Brukseli) przebiega 231 kilometrów w 2 godz. 46 minut, czyli pędzi z szybkością 83 kilometrów na godzinę.

Ze swej strony kompania Orleańska, pragnąc dorównać północnej, zarządziła, że pociąg pospieszny z Porgin do Bordeaux odbywa tę drogę, liczącą 585 kilometrów, w 7 godz. 5 minutach, czyli jedzie z szybkością 82 kilom. na godzinę. Ta szybkość pozwoliłaby nam ze Lwowa być w 8 godzinach w Wiedniu.

Wahanie wieży Eiffel. Sprawdzono, że wierzchołek tej wieży liczącej 300 metrów wysokości odbywa ruch spowodowany działaniem promieni słonecznych. Wiadomo, że cała wieża zbudowana jest z żelaza. Strona więc ogrzewana od słońca rozszerza się, podczas gdy pozostająca w cieniu znacznie mniejszemu podlega rozszerzaniu. Szczyt przeto wieży przechyla się w stronę cienia, i przebywa do 20 centymetrów drogi. Ruch ten wcale nie wpływa szkodliwie na moc budowy.

Łamigłówka geometryczna.

Wycięty z papieru równoległobok podzielić na równe trójkąty i ułożyć z nich nową figurę tak, żeby litery utworzyły znane przysłowie.

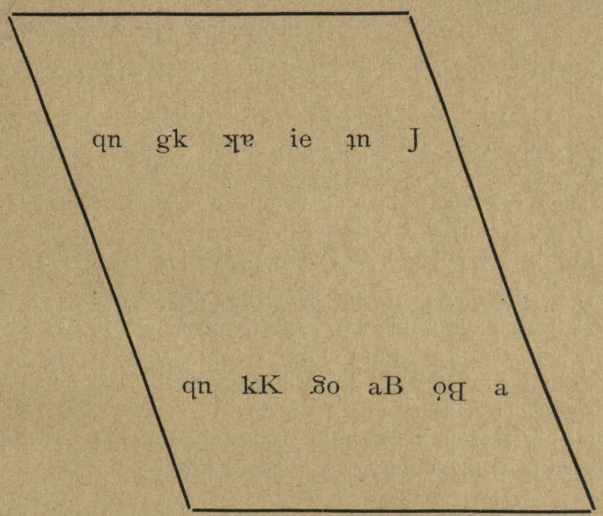

Rozwiązania należy nadesłać do 20. października b. r. (rysunek nowej figury),

Rozwiązanie łamigłówki w nr. 8 i 9.

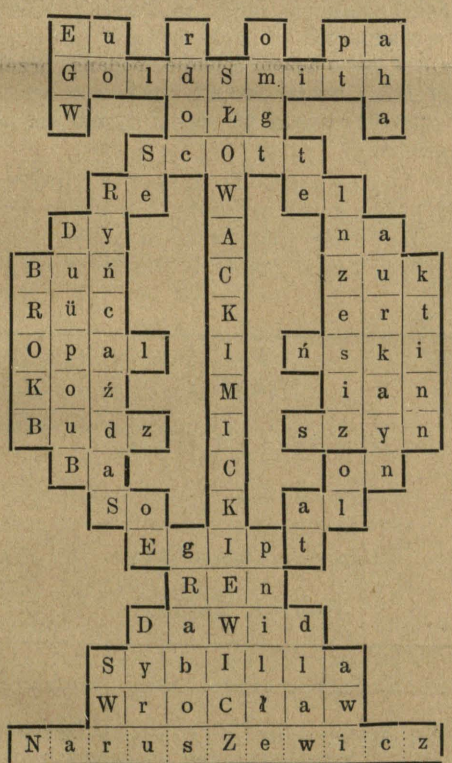

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. września b. r.:

Bochnia: Z. Kerekjarto; Brzeżany: Bednarowski. Lwów: L. Kobierzycki, J. Mann R. Witoszyński; Tarnów: J Gocal, *Φίλος*; Wadowice: W. Thom.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 41. Ile miast w Polsce nosi nazwę „Targowica“?

Nr. 42. Co to był horoskop?

Nr. 43. Jakim sposobem można się przekonać, czy jakaś tkanina jedwabna zawiera domieszki bawełny lub wełny?

Nr. 44. Ile jest rodzajów fosforescencyi?

Nr. 45. Co to byli Petyhorcy?

Rozwiązania, pisane podług wskazówek, podanych w poprzednim numerze (str 143). przysłać należy do 20. października b. r. Jeżeli ktoś odpowie na jedno zagadnienie, może już brać udział w losowaniu nagród.

Nagrody: Glogier, Księga rzeczy polskich i Umiński, Ocean i jego dziwy.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 36—40.

Nr. 36. Sarkazm bywa zawsze złośliwy, gorzki, uszczypliwy: ironia może być łagodna, niekiedy nawet życzliwa.

Nr. 37. Podług Humboldta Jakuck, gdzie grunt ma być zamarznięty na 100 m. w głąb, a latem tylko na 1 m. od powierzchni odmarza. Średnia temperatura roczna wynosi — 20·3° R.

Nr. 38. Trojakie: areometryczne, chemiczne i optyczne.

Nr. 39. Tak zwane „bagno“ albo świńskie bagno (Ledum palustre). Używają go jako środka przeciw molom, a w browarach, prowadzonych niedbale, jako dodatku do piwa zamiast chmielu, co naturalnie szkodliwie wpływa na zdrowie.

Nr. 40. (Obacz niżej).

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. września b. r.

a) Na zagadn. nr. 36–39:

Brzeżany: Bednarowski Adolf (36, 37), W. Pacławski (36); Kraków: S. Bloch (36, 37), K. Stadtmüller (36—39), Lwów.: L. Kobierzycki (36, 37, 39), J. Mann (36—39), R. Witoszyński (36, 38), Stanisławów: J. Reinhold (36), Tarnów: J. Gocal (36, 37), Wadowice: Wł. Thom (38).

Nagrodę (Pisma Orzeszkowej, 4 tomy), otrzymał przez losowanie Adolf Bednarowski w Brzeżanach (kartka nr. 13!).

b) Na zagadn. nr. 40:

Odpowiedź na zagadnienie nr. 40. otrzymaliśmy od różnych prenumeratorów — różną, co tłumaczy się tą okolicznością, że w „Panu Tadeuszu“ spotykamy kilku starców. Większość, wybrawszy tę postać z „Pana Tadeusza“, która ma najwięcej rysów wspólnych z Nestorem Homera, odpowiedziała, naszem zdaniem, najtrafniej, że tą postacią jest — Wojski.

Tak odpowiedzieli: Z. Kerekjarto z Bochni, St. Grzeszczuk z Brzeżan, K. Stadtmüller z Krakowa, L. Kobierzycki ze Lwowa, J. Reinhold ze Stanisławowa, W. Mondalski z Tarnowa, W. Thom z Wadowic.

Nagrody przyznano tym, którzy cokolwiek dokładniej uzasadnili swe zdanie: Mondalskiemu, Reinholdowi i Stadtmüllerowi.

Nie można też odmówić do pewnego stopnia słuszności tym, którzy obrali Maćka nad Maćkami. Tu przyznano nagrodę R. Wł. Witoszyńskiemu ze Lwowa za staranniejsze opracowanie.

Czterem wymienionym powyżej abonentom przyznano po egzemplarzu książki „*Choiński*, Rys dziejów powieści historycznej".

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Anhelli. Dziękujemy za życzenia. Cieszy nas, że Sz. Prenumerator pogodził się z greką, a nawet zaczyna się z nią zaprzyjaźniać.

Homo novus. Numera wysłano według wskazanych adresów, Poruszone tematy może zużytkuje autor „Pogadanek". Za życzliwość wdzięczni jesteśmy.

K. Laczyka z gór. Proszę nie zapominać, że kropla skałę wydrąża.

K. O. B. Autor szkiców „Z dziejów malarstwa polskiego" tem właśnie się zniechęcił do dalszego ciągu, iż wydostanie illustracyi napotyka na ogromne trudności i koszta; jednak może go zdołamy jeszcze pozyskać. Numer spaźnia się czasem z winy współpracowników albo kalendarza, który umieszcza święta przy końcu miesiąca (np. 29. września i 1. października) wreszcie z winy prenumeratorów, którzy po 20. listy przysyłają. Ot, i list Sz. Prenum. 28. września pisany, a jednak dajemy nań odpowiedź. — Co do „Legendy o św. Prokopie" Sz. Prenumerator słusznie zauważył, iż jej piękności dopiero przy uważnem wczytaniu się występują. O przemianie „Przyjaciela" na dwutygodnik oddawna myślimy. Co do dziejów liter. powszechnej była już odpowiedź na str. 144. pod „Rabagas". Odpowiedź na pytania o Nehringu i Chmielowskim damy pocztą, jeżeli zależy na pospiechu, lub w następnym numerze, gdyż nie chcemy by bardziej jeszcze opóźniło się wyjście numeru a z pamięci trudno odpowiadać.

Sewerus. Zadanie konikowe było już w numerze 4-tym (kwiecień). Proszę wybrać jakie pięknie dwie zwrotki, złożone z 8 wierszy ośmiozgłoskowych, lub w ogóle jaki wiersz o 64 zgłoskach, a sami ułożymy z niego zadanie konikowe. Przysłane nam jest zbyt łatwe i wypełnia tylko połowę szachownicy.

Strachota. Nie znamy innego podręcznika stenografii jak tylko litografowaną książeczkę J. Polińskiego „Nauka stenografii". Cena 1 złr. — Dlaczego Sz. Prenumerator nie łaskaw uwzględnić prośby Redakcyi, w poprzednim numerze umieszczonej? Na tym samym arkuszyku papieru dostaliśmy rozwiązanie łamigłówki, odpowiedzi na zagadnienia naukowe i korespondencyę do skrzynki pocztowej; musieliśmy wszystko przepisywać!

Witenes. Już raz pisaliśmy, że przy obecnej liczbie prenumeratorów moglibyśmy tylko podzielić dwuarkuszowy numer „Przyjaciela" na połowę i co 2 tygodnie jeden arkusz t. j. 8 stronic wydawać. Nie wiemy atoli, czy ta zmiana podobałaby się prenumeratorom. Pragnęlibyśmy, aby każdy z nich doniósł nam, co o tem sądzi.

Od administracyi.

Celem ustalenia ilości nakładu i obliczenia budżetu wydawnictwa na rok przyszły, prosi administracya o rychłe nadesłanie zaległej prenumeraty za III. kwartał lub II. półrocze, względnie nowej prenumeraty za IV (ostatni) kwartał (październik-grudzień).

Nowi prenumeratorowie **półroczni** otrzymają wszystkie dotąd wydane numera bezpłatnie; tylko na koszta ekspedycyi należy przysłać 10 ct. (czyli razem 1 złr. 10 ct,)

Wydawca:

Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:

Henryk Kopia.

TREŚĆ: Dwaj obywatele-patryoci przez *J. Szafrana.* — Kawałek chleba, przez *Fr. Coppée* — Szkice z zakresu estetyki. IV. Kompozycya, podług *J. Strzygowskiego.* — Miłość Ojczyzny w poezyach Adama Asnyka przez *T. Piniego* (C. d.). — Układ dziesiętny a podział czasu i koła. — *J. Vrchlicky* Legenda o św. Prokopie (C. d.). — Rozmaitości. — Łamigłówka geometryczna. — Zagadnienia naukowe. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. listopada 1899. Nr. 11.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Największa wielkość w prostocie“ *K. Ujejski.*

FRYDERYK CHOPIN.

(W pięćdziesiątą rocznicę zgonu)

Dnia 17. października b. r. upłynęło 50 lat od zgonu najznakomitszego z naszych muzyków. Chwilę tę czczono nie tylko u nas, ale i w całej Europie uroczystymi obchodami tudzież artykułami w czasopismach. I nasze pismo pragnie choć parę słów tej pięknej postaci poświęcić.

Fryderyk Franciszek Chopin urodził się 22. lutego 1810. roku w Żelazowej Woli, wiosce odległej o sześć mil od Warszawy. Ojciec jego Mikołaj, emigrant francuski, nabrał tak gorącej sympatyi dla Polaków, że wyuczył się języka polskiego i brał nawet udział w powstaniu Kościuszkowskiem; później był guwernerem w domach magnackich a w końcu otrzymał posadę nauczyciela języka francuskiego w liceum warszawskiem i założył pensyonat dla chłopców. W domu Chopinów bywało wielu uczonych i artystów i mały „Frycek“ rozwijał się pod ich wpływem nader szybko. Był to chłopczyna wątły, ale wesół i żywy, blondynek o ciemnych rzęsach i piwnych oczach, rezolutny, dowcipny i do figlów skłonny. W pierwszych latach dzieciństwa płakał zawsze, ile razy matka grać zaczęła na fortepianie; później okazało się, że to, co brano mylnie za wstręt do muzyki, było raczej silnem, namiętnem wzruszeniem. Zamiłowanie do muzyki rosło w dziecku z latami; w siódmym roku życia rozpoczął naukę gry na fortepianie. Nauczycielem jego był Czech, Wojciech Żywny, wielbiciel muzyki klasycznej, zwłaszcza Bacha, sam też kompozytor a przytem pedagog wyborny. Po roku nauki zdumiewał już mały Chopin słuchaczy, a nawet komponował, czyli raczej improwizował, gdyż nauczyciel musiał spisywać to, co chłopiec wygrał na fortepianie. W r. 1818. gdy kończył ósmy rok życia, wystąpił Chopin pierwszy raz publicznie, na koncercie (24. lutego), urządzonym na cel dobroczynny pod opieką J. U. Niemcewicza, który własnoręcznym listem zaprosił małego artystę do współudziału. Po kilkuletniej nauce w domu zapisał się Fryderyk do IV. klasy liceum, a równocześnie kształcił się w muzyce w konserwatoryum pod kierunkiem Józefa Elsnera, autora kilku oper i wielu pieśni kościelnych. Z nauk szkolnych miał największe zamiłowanie do historyi i literatury polskiej, także do rysunków; rysował wyborne karykatury, niewyczerpany był w figlach i konceptach, przytem okazywał wielki talent aktorski i celował w amatorskich przedstawieniach.

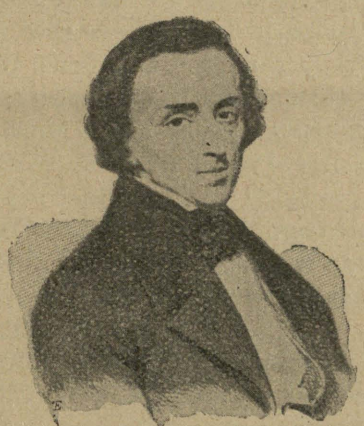

Fryderyk Chopin.

Ukończywszy nauki w liceum i konserwatoryum (1827 r.), stanowczo zdecydował się poświęcić dalsze życie wyłącznie muzyce.

Pracował w tym czasie dużo i komponował wiele*), ale też niemało czasu poświęcał towarzyskim stosunkom i zabawie z rówieśnikami. Prócz dawnych kolegów szkolnych, Witwickiego, Gaszyńskiego, Koźmiana — poznał się w tym czasie bliżej z Mochnackim, Zaleskim, Nabielakiem i Dobrzyńskim. Odbywał też krótkie wycieczki artystyczne do Berlina i Poznania. Na rok 1829. przypada pierwsza miłość młodego mistrza (wybraną jego, a później narzeczoną była Konstancya Gładkowska, śpiewaczka: stosunek ten rozchwiał się po wyjeździe za granicę) i pierwszy tryumf na szerszej arenie, po za granicami ojczystego kraju: we Wiedniu. Wróciwszy niezamierzał siedzieć na laurach; owszem obmyślał nową podróż i to na dwa lata obliczoną do Włoch i do Paryża. Dla zebrania funduszów na wyjazd dał trzy koncerty, które wybornie się powiodły, i 2. listopada 1830 r. opuścił kraj rodzinny; lecz nie na dwa lata, jak sądził, ale... na zawsze.

W Wiedniu dowiedział się o wybuchu powstania. Serce rwało się do spełnienia obowiązku dobrego Polaka, listy rodziców zaklinały, by nie wracał i stąd przykry rozstrój i zdenerwowanie, bo czuł, iż siły nie sprostają chęciom. Dopiero przybycie do gwarnego Paryża sprawiło Chopinowi niejaką ulgę. Poznał tu mnóstwo sławnych muzyków, między innymi Liszta, Mendelsohna, Rossiniego it.d., a napływ emigrantów polski h sprowadził do stolicy Francyi bardzo wielu jego dawnych znajomych.

Pierwszy występ Chopina w Paryżu, 26. lutego 1832 r. nie powiódł się pod względem materyalnym; zniechęcony chciał już jechać do Ameryki, a gdy go listy rodziców od tego odwodziły, wracać do Warszawy. Ale książę Walenty Radziwiłł wziął go ze sobą na wieczór do Rothschilda i tam mistrzowska gra Chopina zyskała mu tyle korzystnych lekcyi w domach arystokracyi polskiej i obcej, iż odrazu uzyskał zupełną niezależność finansową, a kilka publicznych występów sprawiło, iż stał się sławnym w Paryżu, a zatem w całej Europie. Tak upłynęły trzy lata wśród pracy nauczycielskiej i kompozytorskiej. W lecie r. 1835 widział się w Karlsbadzie z rodzicami. Cały miesiąc tu razem spędzili, wiele rozmawiając o projektowanem małżeństwie Fryderyka z Maryą Wodzińską. Starania o rękę jej uwieńczone zostały po roku pomyślnym skutkiem; brakowało tylko zezwolenia ojca panny, który w kraju pozostał. Niestety o tę przeszkodę rozbiło się szczęście młodej pary, a bolesny ten zawód bardzo źle wpłynął na zdrowie Chopina.

Coraz bardziej podupaał na zdrowiu, a gdy pobyt na wsi, w Nohant, nie wiele pomógł, wyjechał na wyspę Majorkę, gdzie mieszkał w mieście Palmie. W porze deszczów trwającej kilka tygodni zaziębił się, pogorszyło mu się znacznie: tak był zdenerwowany, że miewał przywidzenia i sądził, że przyjdzie mu umrzeć na Majorce. W tem usposobieniu napisał „Marsz pogrzebowy“, kilka Preludyów (H-moll, Des-dur) i balladę; owocem jakiejś weselszej chwili był świetny polonez A-dur. Wróciwszy do Paryża czuł się znacznie zdrowszym, wrócił do swych lekcyi a nawet popisywał się na królewskim dworze i wystąpił z publicznym koncertem po sześcioletniej pauzie (1841 r.) Na tym koncercie był między licznie zgromadzoną publicznością i Mickiewicz, z którym Chopin od wielu lat się znał. Powodzenie koncertu było niezwykłe, popularność mistrza rosła olbrzymio. Z podróży do Anglii i Szkocyi, choć tam witano go z uwielbieniem, wrócił jednak smutny, z przeczuciem blizkiej śmierci. Po kilku miesiącach walki z nieubłaganemi suchotami uległ tej chorobie w nocy z 16. na 17. października 1849. r. Ciało złożono na cmentarzu Père Lachaise, ale serce przewieziono do Warszawy, gdzie spoczywa w kościele św. Krzyża.

* * *

Cechami kompozycyi Chopina są: tkliwe, często smętne uczucie, wdzięk i wytworność, i — co dla nas najważniejsze — wybitnie polski, narodowy charakter. Mazurki, których tematy brane są z ludowych pieśni, on pierwszy komponować zaczął. Wprowadził do muzyki nowe sposoby wyrażania uczuć i subtelnych odcieni usposobienia, wzbogacił harmonię nowymi pomysłami, stworzył nieznane przed nim modulacye. Odznaczał się oryginalnością i wyobraźnią niewyczerpaną prawie.

*) Już w r. 1825 wyszło z druku pierwsze dzieło muzyczne Chopina: Rondo C moll (opus 1).

Był też jako kompozytor niezwykle pracowity i płodny: zostawił około 200 utworów, zebranych w 86 „opusach“. Jako wykonawca celował i zachwycał delikatnością dotknięcia, niezmierną dokładnością wykonania, drobiazgowem cieniowaniem i trafnem odczuciem intencyi autora. Jako człowiek ujmował i czarował dowcipem, wykwintnem obejściem, charakterem prawym, choć niestałym w upodobaniach i humorze, brakiem zarozumiałości i dumy. Powodzenie, sława, wieńce i oklaski nie psuły go, jak tylu innych.

Najgenialniejszy z naszych kompozytorów muzycznych, jak żył w blizkich stosunkach z naszymi najznakomitszymi poetami, tak też godzien jest z wielu względów mieć miejsce obok nich na polskim Parnasie i w wdzięcznej pamięci i czci rodaków.*)

K



Kawałek chleba.

przez

Franciszka Coppée.

(Dokończenie)

III.

Młody książę miał dobre serce; słuchając tej strasznej skargi, wypowiedzianej przez człowieka takiego jak on sam, przez żołnierza, którego mundur czynił równym jemu, de Hardimont uczuł się głęboko wzruszonym. I prawdziwie szczęściem było dla honoru dandysa, że był wiatr tego wieczora i prędko osuszył dwie łzy, które zaciemniły mu oczy.

— Janie-Wiktorze — rzekł po chwili, przestając także ze swej strony, pod wpływem wykwintnej delikatności, mówić „ty“ do znajdy — jeżeli wyjdziemy żywi z tej wojny straszliwej, zobaczymy się jeszcze, i ufam, że będę panu użyteczny. Na razie, ponieważ niema na przednich czatach innego piekarza jak kapral rozdający racye, i ponieważ moja porcya jest dwa razy większa niż mój mizerny apetyt, podzielimy się nią, rozumie się, jak dwaj dobrzy kamraci.

Gorący to był i serdeczny uścisk dłoni, który zamienili z sobą ci dwaj ludzie. Potem, gdy noc już zapadała a znużeni się czuli bezsennością i częstem powoływaniem do broni, powrócili do szynkowni, gdzie kilkunastu żołnierzy leżało na słomie, i rzuciwszy się jeden obok drugiego, zasnęli snem głębokim.

Około północy Jan-Wiktor obudził się, prawdopodobnie z głodu. Wiatr zmiótł chmury i promień księżyca, przedzierając się przez otwory zrujnowanego dachu i powały, padł na jasną i piękną twarzyczkę młodego księcia, uspionego jak Endymion Jeszcze pod wrażeniem słów serdecznych kamrata, Jan-Wiktor przyglądał mu się z naiwnym podziwem, gdy sierżant plutonu otworzył drzwi i zawołał pięciu ludzi, którzy mieli zluzować stracone pikiety. W tej liczbie był książę, ale się nie zbudził na głos sierżanta wywołującego jego imię.

— Hardimont, wstać! — powtórzył.

— Jeśli pozwolisz, panie komendancie, — rzekł Jan-Wiktor, wstając, ja go zastąpię na warcie... Tak dobrze spi — a to mój dobry kamrat...

— Jak chcesz.

Po wyjściu tych pięciu ludzi, chrapanie rozpoczęło się na dobre

Ale wpół godziny potem wystrzały gęste i bliskie zagrzmiały śród ciszy nocnej. W jednej chwili wszyscy byli na nogach, żołnierze wybiegli z szynkowni, idąc z ostrożnością, z ręką na cynglu i badając wzrokiem tonącą w oddali drogę, bielącą się światłem księżyca.

— Ale, któraż to godzina? — spytał książę, postępując naprzód z innymi — miałem wartę tej nocy.

Ktoś mu odpowiedział:

— Jan-Wiktor cię zastąpił.

W tej chwili dostrzeżono żołnierza, który biegł po drodze.

— No co tam? — spytano, gdy zatrzymał się zziajany.

— Prusacy atakują.... cofnijmy się pod wał reduty.

— A koledzy?

— Zbliżają się zwolna... Tylko ten biedny Jan-Wiktor....

— Co się stało? — wykrzyknął książę

— Trup... od kuli w głowę... Ani zipnął,

*) Podług Hoesicka (Życiorysy sł. Pol. Nr 7. Fr. Chopin) i Polińskiego (Artykuł w wielkiej Encyklopedyi illustr.)

IV.

Pewnej nocy zimowej roku zeszłego około drugiej godziny rano, książę de Hardimont wychodził z klubu ze swym sąsiadem hrabią de Saulnes (Sön). Przegrał w ciągu wieczora kilka setek ludwików i skarżył się na ból głowy.

Bywał zawsze w klubie, żył rozrywkami jak cała jego sfera, ale od czasu wojny największą część czasu oddawał sierotom... znajdom. Należał do wszystkich niezmiernie licznych towarzystw, które zajmują się we Francyi nędzą ludzką, a w szczególności dziećmi. Nikomu nie dał się prześcignąć w ofiarności, a ofiarność we Francyi na cele dobroczynne może nie ma sobie równej na całym świecie, ogromne sumy niósł, gdzie tylko okazała się potrzeba, osobiście pracował w zarządach stowarzyszeń, sam wglądał w kierownictwo przytułisk, ochronek i zakładów, zwiedzał je i czuwał nad losem sierotek jak nad własnemi dziećmi, szczególnie gdy weszły w świat, gdy rozpoczęły walkę o kawałek chleba.

— Jeśli się zgodzisz, Andrzeju — rzekł do swego towarzysza — powrócimy pieszo do domu... potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem.

— Jak zechcesz, kochany Henryku — odpowiedział hrabia — choć jest błoto i ślizko.

Odesłali swoje powozy, podnieśli kołnierze futer i zwrócili się bulwarem w stronę kościoła Ś-tej Magdaleny [1]).

Nagle książę potrącił stopą jakiś przedmiot, który się potoczył. Był to kawałek skórki chleba, powalany błotem...

Ku osłupieniu hrabiego de Saulnes, książę de Hardimont schylił się, podjął kawałek chleba i starannie oczyścił z błota batystową chusteczką ozdobioną bogatym haftowanym herbem, potem położył go na ławce, w miejscu na które padało najsilniejsze światło rewerberu, aby go dobrze było widać.

— Co robisz, książę, czyś oszalał?

— Czynię to na pamiątkę biednego człowieka, który zginął za mnie, — odpowiedział książę, którego głos drżał z lekka.... — Nie śmiej się, hrabio, sprawił byś mi wielką boleść.

[1]) Jedna z najbogatszych i najwykwintniejszych dzielnic Paryża.

VELAZQUEZ.

Ribera, Velazquez i Murillo*) stanowią wspaniałą trójcę gwiazd na niebie malarstwa hiszpańskiego XVII. wieku; w ich dzieła bowiem wcieliły się wszystkie cechy główne narodu: realizm niewzruszony, gorący zapał religijny, skrajna „grandezza,“ surowość i ekstaza, a zarazem blask światła i barw kraju. Co ich poprzedziło, nie jest nadzwyczajne, co nastąpiło po nich, było wysiłkiem, ponad który tylko temperament i kapryśna wyobraźnia Goyi zdołały na czas pewien wzbić się w górę zwycięzko.

Przez 3 dziesięciolecia *Diego Rodriguezo de Silva y Velazquez***) stoi znów na piedestale jako jeden z patronów sztuki nowoczesnej. Po 3 stuleciach znów jego arcydzieła wydały plon obfity.

Prawda — grunt był już przygotowany i atmosfera przesycona. Idealizm i jego bezkrwisty, płonny następca, manieryzm, przeżyły się zupełnie. Wtedy Michelangelo da Carravagio (czyt. Mikelandżelo da Karawadżjo 1569 — 1609), Rubens (1577 — 1640), Rembrandt (1606 — 1669), Velazquez (1599 — 1660) na południu i północy, ze swymi naśladowcami i towarzyszami, równocześnie dokonali reakcyi odrodzenia potęgą swego geniuszu. Całą siłą świeżości i namiętności młodzieńczej przylgnęli do rzeczywistości, ale przytem każdy z nich pozostał synem swego narodu. Wszyscy są dziećmi swego czasu, a zarazem swego ludu. Twórczość ich wystrzeliła z gleby, dotkniętej tchnieniem prądu ogólnoeuropejskiego, ale u każdego kwiatem odmiennym, o barwie i woni włoskiej lub hiszpańskiej. Velazquez jest pomiędzy nimi najprostszym a tem samem najwyrazistszym naturalistą. Jego dzieło musiało zadziwić widza i otworzyć mu oczy, gdy po wiekach znowu zwrócono na nie uwagę. Byłyto bowiem wzory, dowodzące niezbicie, że piękno tkwi w prawdzie, że osobista zdolność artystyczna i ory-

*) W j. hiszpańskim czyta się *b* między samogłoskami i *v* jak *w*, *z* jak *c*, *c* jak w łacinie, *qu* jak *k*, *ll* jak *lj*, *y* jak *j*, *h* nie czyta się wcale.

**) Właściwie po ojcu zwał się de Silva, ale zwyczajem hiszpańskim dołączył doń nazwisko matki Velazquez i często zwą go de S. V. z opuszczeniem łączącego *y*.

ginalność zdoła je znaleźć wszędzie i wywalczyć mu pełne uznanie.

Także Velazquez malował sceny mitologiczne. Tak jest, malował wiele z nich nawet na klasycznej ziemi rzymskiej, otoczon arcydziełami starożytnemi, ale jego „Bakchus między pijakami“ to młodzieniaszek madrycki, wcale nie pociągający swym wyglądem, jego „Pracownia Wulkana“ jest wiernym obrazem poczerniałej i zaczadzonej kuźni, jakich pełno było i jest w Madrycie, jego Wenera przypomina Andaluzkę, giętką jak trzcina, jego Mars nie różni się niczem od chmurnego wąsala z ludu lub z ulicy, jego Merkury przybliża się chyłkiem do Argusa taksamo, jak podły zbój z okolicy madryckiej. Z Olimpu przejął tylko nazwy, resztę znachodził i widział w najbliższem otoczeniu swojem.

Velazquez malował także obrazy religijne: Chrystusa, świętych pustelników, koronowanie N. P. Maryi. Żar uczucia bije z nich, porywają nim, nieraz czarują szlachetnością formy. ale formy, która nie pochodzi ani od starożytnych sztukmistrzów ani od włoskich *cinquecentystów**) — Velazquez wyśledził ją wśród ludu hiszpańskiego, między ziomkami. Zaczął od nich i skończył na nich. Zaczął od nich na ulicy, a skończył na nich na tronie; tylko podobizna bystrookiego Innocentego X. w swej płomiennoczerwonej harmonii stanowi wyjątek. Gdy Velazquez ubiegał się o względy dworu młodzieńcem 20-letnim, mógł powołać się na parę swych postaci ludowych, np. na „Nosiwodę“, na włóczęgów i zawalidrogów, opalonych i odzianych z całą powagą w łachmany. Gdy stał u szczytu twórczości i godności dworskich, malował „las hilanderas“, tzn. prządki królewskiej fabryki zasłon, obraz przy niewymownej prostocie zadziwiający wspaniałem oświetleniem. Poza tem podobizny zamykają szereg arcydzieł Velazqueza. Silny, milczący i nieruchomy Filip IV. i jego rodzina, bracia, żony i dzieci, równie jak dworzanie i ministrowie, błazny, tragarze i karły, stanowią przedmiot jego obrazów. U króla zaczyna bezwąsą i prawie apatyczną twarzą, a kończy po 40-latach pergaminowymi, stwardniałymi rysami, dzieci jego maluje niemal od kolebki. Trudno wyobrazić sobie coś prostszego i naturalniejszego od tych podobizn, w których nie widać ani śladu pozy wymyślnej, niezwykłej, sztuczności i teatralności. Nawet otoczenie ich stanowią albo tło jednobarwne, albo piękny krajobraz z okolicy Madrytu, gdy królowie, ministrowie i infanci siedzą na koniach lub polują. Nawet do jego Filipa IV. można zastosować to wyrażenie, bo stwierdza ono tylko zupełną prawdziwość tych postaci. W całym ówczesnym świecie artystycznym nikt może nie patrzył na rzeczywistość z czcią większą, nie poddawał się jej z większą miłością i poświęceniem od Velazqueza. To tylko, co widział własnymi oczyma, było mu święte i dlatego nienaruszalne. Uchyla czoła przed przyrodą, jak Pars przed słońcem, a podobizny jego były bezprzecznie najwierniejszymi ze wszystkich, malowanych w XVII. wieku. Choć był malarzem dworskim, nie umiał pochlebiać. Jego królowie nie mają pozy ani bogów ani bohaterów, oblicze Filipa wygląda z obrazów Velazqueza taksamo, jak wyglądał, gdy wodził okiem po swem otoczeniu, ani odrobinę heroiczniej lub genialniej. Bije z niego prawda życiowa, którą mistrz ten wprost uderza w podobiznach dwóch biednych idyotów, ówczesnej igraszki dworu madryckiego. Gdy Velazquez towarzyszył królowi w ostatnim roku swego życia w wycieczce do granic Francyi, budził podziw wykwintnością stroju i szlachetnością póstawy, ruchów i całem zachowaniem — a przecież tensam artysta bez wahania, z nieubłaganą prawdą, wymalował obie królowe i ich infantki we wstrętnych, sztywnych strojach dworskich, w których ciało nikło, jak w stole rzeźbionym i pokrytym kobiercami. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, wszystkie są arcydziełami. Ci ludzie żyją, każdy ich rys jest ciepły, krew płynie w ich żyłach, puls bije, oczy świecą, usta umieją mówić (uśmiech był wtedy zabroniony), są poważne i nieruchome, jeżeli byli takimi w rzeczywistości, albotež temperament tłumiony przebłyskiwa z nich, są zagadkowe lub proste, są powabne i wonne jak kwiat. Mały don Prosper, mała doña Margarita to rozkoszne dzieciaki, ich świeżość i naiwność dziecięca, uroczy rumieniec śród surowej etykiety dworu hiszpańskiego i niedokrewnej dekadencyi rodu królewskiego wybijają się tem dobitniej na plan pierwszy.

*) Czyt. czinkeczentystów — tak nazywają z włoska sztukmistrzów XV. wieku.

Pierworodny syn Filipa IV., don Baltazar Carlos, był ulubieńcem Velazqueza. Artysta włożył widocznie w liczne podobizny jego całą radośną dumę ojca i wcielił wszystkie nadzieje króla, który ufał, że ta latorośl, zasilona krwią Henryka IV. wzmocni i odnowi ród upadający. Radość z powodu urodzenia tego infanta (1629) była tak wielka, że król pozwolił na przełamanie wszelkich szrank surowej etykiety dworskiej i wszyscy aż do umorusanego kuchcika otrzymali wstęp do komnaty królowej, ażeby się przyjrzeć młodziutkiemu „słońcu Hiszpanii“. A gdy chłopię miało około dwa lata, Velazquez już począł je malować i szereg podobizn jego ciągnie się niemal bez przerwy aż do jego przedwczesnej śmierci. Maluje go więc w stroiku dziecięcym, następnie zaczynają drobniuchną „królewską mość“ przybierać w zbroję dziecięcą i miasto zabawki wciskają mu buławę w rączkę drobną; wcześnie już wiodą małego infanta do ujeżdżalni, jakby dla uczynienia zadość przysłowiu andaluzkiemu „z kolebki w siodło“, potem wnet zarzucają nań ubiór myśliwski i z rusznicą i psami wyprawiają go na łowy, a gdy ledwie 10-letniego zaręczono z 5-letnią Maryanną austryacką, Velazquez maluje go w modnym stroju dworskim, a następnie jako młodego kawalera, dumę całego narodu hiszpańskiego, „nowego Adonisa niemieckiej Wenery“.

W szeregu tych podobizn znajdujemy dwa arcydzieła; 1) don Baltazara jako 6-letniego myśliwca, w towarzystwie 2 psów stojącego w cieniu wielkiego drzewa i trzymającego w ręku strzelbę z powagą dziecięcą i uroczą miną seryo, 2) don Baltazara, siedzącego na kucu jasnogniadym pewnie i hardo Występuje tu jako wódz *en miniature* w bogatym uniformie wojskowym, w długich butach, przepasany wstęgą czerwoną, na głowie ma szeroki kapelusz z piórami i pomyka przed widzem jak świetlane zjawisko z baśni. Cała świeżość dziecięca, cały urok 7 lat, rozkoszne połączenie dziecka rozbawionego i przyszłego władcy wielkiego państwa, chłopiec i książę — wszystko to pod pędzlem mistrza z genialną łatwością przeniosło się na płótno. Małego jeźdźca umieścił na tle okolicy, nad którą budzi się wiosenny poranek w przejrzystych mgłach doliny i w świetle słońca na niebie, akgdyby przez to tło chciał usymbolizować rozwijający się wiek młodociany swego przyszłego króla. Pod ręką mistrza powstało tak dzieło, „które podobne jest do jedwabnej materyi przetykanej nicią złotą, które działa, jakby koncert na gitarach i mandolinach“. Ale nadzieja ta rozwiała się nagle i nadspodziewanie już w r. 1646, a roku następnego ojciec Carlosa poślubił jego narzeczonę...

Velazquez nie zmienia się nigdzie. Wszędzie, w każdem dziele swojem przedstawia się nam jako malarz, który widzi piękno w prawdzie, wypowiada swoje *credo* naturalistyczne z niedoścignioną dystynkcyą, jest wiernym i harmonijnym, jak przyroda sama. Duch szlachetny, wcielone oko malarskie, ręka godna podziwu. To inkarnacya całego modernizmu, modernizmu każdej epoki, modernizmu dążności postępowych, który podnosi sztukę podupadłą lub osłabioną i wiedzie naprzód przez to, że czerpie ze źródła wszelkiej sztuki, z przyrody, i bada jej kształty oczyma wielkiej, samodzielnej indywidualności. Gdy malarze francuscy około r. 1870 odkryli go na nowo w Pradzie*), znaleźli w nim gotowy program nowej sztuki. Tylko człowiek Velazquez umarł w r. 1660, sztukmistrz żyje nadal przez wieki, a kiedykolwiek znowuby sztuka stanęła na drogach rozstajnych, dzieła Velazqueza sprowadzą ją niby jasna gwiazda Magów napowrót na drogę, która wiedzie do odrodzenia i do nowych zwycięstw.

Dlatego to r. b. dzień 6. czerwca — dzień, w którym mały Diego w Sewilli przed 300 laty został ochrzczony a może też się narodził — był dniem uroczystym w całym świecie, któremu przyświeca słońce Sztuki.

M.

Miłość Ojczyzny

w poezyach A. Asnyka.

III.

Z takiemi uczuciami powracał młody poeta po długich latach tułaczki do ojczyzny. Wprawdzie nie było mu wolno powitać znowu tych

---

*) Muzeum hiszpańskie narodowe, odpowiadające paryskiemu Luwrowi itp. galeryom.

stron rodzinnych, w których przepędził swą młodość i z któremi wiązało go tyle wspomnień, ale bądź co bądź czekały go w Galicyi swojskie twarze rodaków i okolice pełne wspomnień lepszej przeszłości, przesiąkłe krwią dawnych bohaterów.

A jednak myliłby się bardzo, ktoby myślał, że ta zmiana położenia wywołała radość w sercu poety, że nastroi jego smętną dotychczas lutnię na jakieś swobodniejsze i weselsze tony. Owszem, stało się coś wręcz przeciwnego: Asnyk, który dotychczas skarżył] się niebiosom, że „pozbawiły go ojczystego brzegu“, ale wierzył święcie w ludzi i w świetlaną przyszłość ludzkości, teraz nie pozbywa się dawnego żalu a traci nadto tę wiarę do tego stopnia, że ogarnia go zniechęcenie do świata i że jasną dotychczas dla niego przyszłość Ojczyzny zakrywają w jego myśli jakieś straszne, nic dobrego nie wróżące chmury.

Musiał go zatem spotkać jakiś bolesny zawód — ale jaki? Czy dotyczył on może stosunków osobistych? Czy młody autor znalazł u ziomków za mało zapału dla siebie i tem czuł się urażony? czy spodziewał się hołdów, zaszczytów i intratnych posad, a nie otrzymawszy ich uczuł żółć w ustach i poczuł nią pluć na społeczeństwo, które go nie umiało należycie ocenić? Nie byłoby to ani niepodobnem ani nawet rzadkiem zjawiskiem, — ale Asnyk zbyt był szlachetnym, zbyt wielkim, żeby już nie gniewać się z tego powodu, ale nawet myśleć o sobie wyłącznie wtedy, kiedy chodziło o miliony, o cały naród. Powód leżał w czemś zupełnie innem: w obrazie jaki przedstawił się poecie po powrocie do kraju. On mocując się z rozpaczliwemi myślami na obczyźnie był przekonany, że cały naród nosi na sobie takie samo piętno rozpaczy, że oddany jest jedynie i wyłącznie myśli o świeżej stracie i o tem, jak tę stratę w przyszłości powetować, że wszystko i wszyscy przejęci są czcią i miłością dla tych wzniosłych ideałów, dla których tak niedawno jeszcze lała się krew jego i jego towarzyszy. Lecz niech on sam opowie swe uczucia:

Kochałem jeszcze biedne ludzkie cienie,
Które na stosach palą się i świecą,
Myślałem bowiem, że biegnąc w płomienie,
Wiedzą przynajmniej, dlaczego tam lecą,
I że przyjmując każdy ból i ranę
W piersiach anielstwo noszą nieskalane

Lecz gdym zobaczył, skąd te wszystkie czyny
Swój tajemniczy początek wywodzą,
Skąd wyrastają ściekłe krwią wawrzyny,
Gdzie upadają ci co w niebo godzą,
I gdy wnikając w serc zranionych ciemność
Za każdym bolem znalazłem nikczemność,

Natenczas miłość stała się podobną
Do nienawiści smutnej i posępnej.
I przeklinałem tę rzeszę żałobną
I pogardzałem nimi — sam występny...
I mścić się chciałem za gorycz zawodu,
Żem nie mógł kochać jak dawniej, za młodu.
(„Pod stopy krzyża“)

A więc ten zawód w tem polega, ten żal stąd pochodzi, że nie mógł już kochać ludzi tak, jak ich kochał za młodu, a nie mógł dlatego, że „w ciemności ich zranionych serc“ znalazł — nikczemność, wywołującą w nim raczej pogardę, niż miłość braterską. A jednak, chociaż tak było rzeczywiście, poeta udawał sam przed sobą, mówiąc, że dawniejsza miłość przerodziła się w nim w nienawiść, bo właśnie ta cała walka uczuć, całe to wdburzenie było tylko wynikiem głębokiej, przechodzącą zwykłą miarę miłości dla ziomków. Gdyby mu bowiem byli obojętni, to czyż mogłoby go tak boleć, że ci, którzy w jego wyobraźni byli bohaterami, skarłowacieli do tego stopnia, iż szarzają się w błocie? czy nie byłby raczej pogodził się rychło z takim stanem rzeczy i myślał tylko o tem, aby w tej walce o dobre i smaczne kąski nie dostać najgorszego? Jeżeli go więc martwił stan społeczeństwa, którego był członkiem, to tylko dlatego. że życzył mu jak najlepiej i że pragnął dla niego lepszej, „świetlanej“ przyszłości.

Najbardziej zaś dotykał go i bolał brak patryotyzmu:

Miłość Ojczzny?... Ta dziś pustym dźwiękiem,
Co nie brzmi wcale albo brzmi szaleństwem;
Nasi mężowie spiąc na łożu miękkiem
Biją w dzwon trwogi przed niebezpieczeństwem,
Gdy kto ten wyraz powie z cichym jękiem,
I obrzucają swój naród przekleństwem
Za to, że śmiał się targnąć na kajdany
I drgnął na chwilę własną krwią oblany.

Miłość ojczyzey! To przedmiot zużyty
I pogrzebany z poległem rycerstwem,
Starannie w trumnie gwoździami przybity
I przytrząśnięty pleśnią i szyderstwem...
(„Poeci do Publiczności").

Jaka to straszna, gryząca ironia! jak silne musiało być to uczucie, które zmusiło poetę do szydzenia z tego, co uważał za największą świętość swoją, co było jedynym motorem jego czynów! Ale jeżeli w ten sposób zapatrywał się na społeczeństwo, to nie dziw, że dalej tak rozumuje:

Miłość ojczyzny!. Staroświeckie tema
I rdzą grobowca zgryzione ze szczętem,
Zawsząd mu krzyczą wielkie anatema
Pokryte słodkim świętoszków lamentem;
Więc żeby wznawiać rzeczy, których niema,
Trza być półgłówkiem, albo też studentem
I z Don Kiszotem błądzić po manowcach
By kruszyć kopie na spłoszonych owcach.

Cóż więc pozostaje wzniosłego i wielkiego społeczeństwu?

....Sława? tej niemamy,
Wszyscy mniej więcej jesteśmy niesławni
I nosim znaczne na honorze plamy.
Pod każdym względem zawsze niepoprawni
O czystą wielkość zykle mało dbamy,
I wtenczas właśnie jesteśmy zabawni,
Gdy się stroimy w kawałek łachmanu,
Co się nazywa dziś rozumem stanu.

Cóż więc pozostaje poecie, który znalazł się pośród takiego społeczeństwa? Chyba tylko zastosować się do niego.

Potrzeba śmiać się więc zarówno z wami
I razem z wami nad przepaścią pląsać,
Potrzeba kryć się ze swojemi łzami
I z własnych uczuć głośno się natrząsać,
Karmić się codzień skandalem, plotkami,
Różować twarze i przechodniów kąsać,
Wszystko szlachetne zdeptać, sponiewierać,
Potrzeba śmiać się... śmiać się i umierać...

Taki smutny program nakreślił sobie Asnyk z rozpaczliwą ironią w krótce po przybyciu do Galicyi. Ale nie potrafił zastosować się do niego, nie potrafił nigdy „poniewierać wszystkiego, co szlachetne", nie potrafił „karmić się plotkami" i „kąsać przechodniów" — jedno tylko wypełnił konsekwentnie: krył się ze łzami, które go dławiły na widok wad społeczeństwa i aby ich nie zdradzić, pokrywał je nienaturalnym, gorzkim uśmiechem ironii.

Stąd to pochodzi ten dziwny, niezwykły ton poezyi Asnyka, podobny do owego homerycznego „uśmiechu z poza łez" a wywierający tak dziwny urok na czytelniku. Poza formą żartu lub dowcipu kryje się tu tyle bolu, tyle tkliwego uczucia, że ten śmiech zmienia się w duszy czytelnika w jakieś gwałtowne łkanie i przypomina zdanie poety, wypowiedziane w chwili większej szczerości:

„Gdy za szczęśoiem utraconem płaczę,
„To za czyjem, nie wiem dobrze sam.

Bo weźmy tylko następujący wierszyk pt. „Dwa spotkania".

Spotkałem go w młodości dniach —
W objęcia moje upadł on
I rzekł mi: „ Bracie, w wspólnych snach
„Znajdziem zwycięstwo albo zgon".

Spotkałem go po latach wielu,
Spotkałem na środku rynku,
W objęcia padł: „Ach przyjacielu"
Zawołał „chodźmy do szynku!"

Czyż mógł na zimno żartować z takiej zmiany zapatrywań ten, kto sam chciał życie swe położyć, aby tylko te „wspólne sny" urzeczywistnić? Wszak widzieliśmy, że właśnie ta zmiana w zapatrywaniach, ta obojętność dla dawnych ideałów, nad które przenosi się — dosłownie lub przenośnie „szynk", była źródłem największych zmartwień poety więc i ten żart jest chyba przymuszonym tylko i sztucznym

To stanowisko, jakie Asnyk zajął wobec ogółu, sprawia, że w jego poezyach miłość ojczyzny objawia się w niezwykły i niepowszedni sposób. Nie wybucha ona lawą płomiennego uczucia, jak u Mickiewicza lub Krasińskiego , nie szuka ujścia w patetycznych skargach i wołaniu do Stwórcy o sprawiedliwość dla nas i o zemstę na wrogów, jak u Ujejskiego, lecz cicha, zamknięta w sobie, onieśmielona obojętnością rodaków boleje nad nimi, czując, że cały grom nieszczęścia polega właśnie na tej ich obojętności i moralnym upadku. Jest zaś w tem uczuciu taka subtelność, taki brak wszelkiego pozowania lub szukania taniego efektu, że w oczach mniej uważnych czytelników mogłoby uchodzić za obojętność.

Ale okres który starałem się właśnie scharakteryzować, był tylko przejściowym:

poeta poznał, że w uczuciu tem trwać nie można, że trzeba pogodzić się z przykrą rzeczywistością, i nie stać ustawicznie w miejscu, ale wskazać im cel tego życia i środki, które do jego urzeczywistnienia prowadzą.

„Trzeba z żywymi naprzód iść
„Po życie sięgać nowe ....

Temu celowi poświęcił się cały i pozostał mu wierny do końca. (Dok nast)

Tadeusz Pini.

Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Ciąg dalszy).

Nowe więc nastało życie.
Po trzech dniach powrócił Oldrzych,
Już nie sam, lecz z swą drużyną,
Już nie sam, lecz z hufcem cieśli
Mieli z sobą swe narzędzia,
Poszli, gdzie ich Prokop zawiódł.
Cios wnet padł, zaczęta praca;
Gdy część lasu skarczowano,
Założono fundamenty,
Ożył bór rozmową ludzi,
Ruchem wozów terkotliwych,
Echem ciosów celnych siekier,
Wrzawą gońców, rykiem byków.

Pracowano bez ustanku:
Ledwie dzień zaświtał w lesie,
Praca wre — i przy księżycu,
Kiedy świecił jasną pełnią;
Ściany z drzewa rosły szybko,
Kościół wnet wystrzelił w niebo,
Nizki klasztor go otoczył.
W nim dwanaście cel szło rzędem,
Środek zaś refektarz zajął,
Wielka kuchnia i spiżarnie.
Książę wrócił znów do Pragi,
A przygotowawszy wszystko
Na kościoła poświęcenie,
Zjechał z dwunastoma mnichy.
Ze wszech stron czeskiego kraju
Tłumy ludu się garnęły
Nad Sazawę, cudem prawie
Ożył las, niedawno pusty;
Skąd się wzięły, trudno orzec,
Od północy, od zachodu,
Od Wełtawy i od Łaby
Nieznajomi się witali,
Nieznajomi się ściskali,
Bo odczuli wszyscy dobrze
Że znaleźli, czego długo
Brakło wszystkim, czego nawet
Złota Praga im nie dała,
Ni Wyszehrad szaromroczny,

W mnichów koło, pod baldachim
Wstąpił strojny biskup Szebierz.
Ruszył z miejsca, orszak za nim:
Prascy księża w ciężkich kapach,
Prokop zaś z odkrytą głową
Boso szedł, złożywszy ręce, —
Tak, jak dotąd żył w jaskini;
Nie chciał wcale zmienić szaty.
Szedł poważnie wolnym krokiem
Wzrostem przewyższając wszystkich;
Czarne zaś, a długie włosy,
Poprzez które już siwizna
Przebłyskała nicią srebrną,
Kędziorami mu spływały
Po ramionach aż do brody.
Oko mu pałało szczęściem;
Lud zaś cisnął się doń tłumnie,
Każdy tłoczył się ku niemu,
By się dotknąć szaty jego,
Lub choć ślady ucałować
Jego bosych nóg na piasku,
Aż zazdrosny biskup Szebierz
Na Prokopa się oburzał
Skrycie. Weszli do kościoła:
Po raz pierwszy czeska mowa
Wśród tych ścian się odezwała,
Gdy z radością lud zanucił
Starodawne pieśni ojców,
Kiedy Prokop mszę odprawiał
Na słowiańską dawną modłę.

Książę Oldrzych, biskup Szebierz,
Władykowie i ziemianie
Umówili się tymczasem,
By z wyboru wyszedł Prokop
Bożej gminy tej opatem.
A gdy wyszli już z kościoła,
Wobec ludu biskup Szebierz
W ich imieniu doń przemówił;
Mnisi mu potakiwali,
Tłum zaś krzykiem im wtórował.
Ale Prokop skłonił głowę,
Chciał najniższym być śród braci,
Prosił nawet, by samotnym
Zostawili go w jaskini
Z królikami i pszczołami,
Z łanią i z wszechmocnym Bogiem.
„Dobrze“ — odparł biskup Szebierz,
Wzdrygasz się, więc wybierajmy!

Już na ziemię padły kości.

„Źle rzuciłeś“ — na to Prokop —
„Zawadziły dwie o siebie“.

„Więc na nowo!“ krzyknął Oldrzych.

Szebierz znowu rzucił kości.

„Nie śmie jeden rzucać ciągle“ –
Począł się wymawiać Prokop,
Widząc, że los jemu sprzyja.

„A więc sam już rzucę kości,
By położyć kres wymówkom“,
Rzecze Oldrzych uśmiechnięty.
Kostki padły, Prokop wybran. —

Znów opierał się, wypraszał,
Zaprzysięgał i zaklinał,
Lecz napróżno, bo w procesyi
Już go wiodą do klasztoru,
Który mu z zarządem całym
Książę Oldrzych miał przekazać.
Lud się tłoczył chmur nawałą,
Wnet się jednak oofnął nazad,
Z przerażoną twarzą stanął,
U klasztornej wielkiej bramy
I zdziwiony począł wołać :
„Kto otworzy nam doń bramę?“

Podszedł z tłumu książę Oldrzych
Chwyta klamkę - lecz napróżno;
Silnie, jakby wrosły w ziemię,
Stoją wrota niewzruszone.

Podszedł z tłumu biskup Szebierz,
Chwyta klamkę – lecz napróżno;
Jakby zrosły się ze ziemią.
Stoją wrota niewzruszone.

Podszedł z tłumu święty Prokop:
Jeszcze się nie dotknął klamki,
A już same się rozwarły
Obie poły wielkiej bramy
Aż na oścież z głośnym hukiem

„Pan Bóg sam tu wybrał teraz!“
Szebierz rzekł, znak kreśląc krzyża;
Cały tłum z radości krzyknął —
Opat Prokop wszedł do bramy.

XI.

Podział pracy.

„W imię Ojca, Syna, Ducha,“ —
Ozwał się do braci Prokop
„Wybierając mię opatem,
Włożyliście ciężkie brzemię
Na me barki niestateczne.
Więc słuchajcie, co ja — Prokop,
Sługa boży, który w puszczy
Szukał Boga lat dwadzieścia,
Powiem wam w niniejszej chwili:
Lepiej idzie każda praca,
Gdy się imie jej rąk więcej;
Dziesięć siekier wnet dąb zwali,
Gdzież doń ręce bez siekiery?!
Nas trzynastu tu do pracy
Według wzoru apostołów.
Wielkie dzieło nas tu czeka:
Puszczę tę, tak pełną lasów
Nieprzebytych i bezdrożnych,
Gdzie na skale gniazdo sępie,
A pod skałą ryś i niedźwiedź.
Wkrótce zmienić w raj musimy;
Z naszych dłoni ma rozkwitnąć
Kwiat, kłos strzelić, nasze dłonie
Muszą spętać bystry ruczaj
Aby ludziom pomocnikiem
Odtąd był, a nie rywalem.
Oto praca dłoniom naszym;
Wyższy jednak cel ma słowo,
Słowo prawdy i zbawienia,
Bożej łaski i pociechy,
Które musim głosić Czechom
W ojców ich języku świętym
Także w duszach ludu, które
Nieprzebyte, jak te lasy,
I jak owe — pełne zwierza,
Błędów, grzechów, złych nałogów,
Słowem trzeba wyczarować
Myśli kwiaty, płodne w czyny.
Wielkie więc jest dzieło nasze.
Toż się już rozdzielmy pracą,
Każdy weź do ręki topór
Dobrej woli, cnej dążności,
A ten dąb się zwali rychlej,
Niżli gdyby tu w niezgodzie
Z innej strony począł każdy
Rąbać walić, rznąć i siekać,
Boby kolos ten padając
Mógł obalić pracowników.
Wybraliście mię opatem,
Posłuchajcież, jak wydzielam
Sobie część swych obowiązków.
Do roboty każdej pierwszy
Stanę zawsze, a ostatni
Schodzić będę z pola pracy;
Przed koguta pianiem pierwszy
Skoczę z łóżka i was wszystkich
Podług wieku pójdę budzić;
Nadzorować będę pracę.
Wszędzie pierwszy do modlitwy,
A ostatni do spoczynku,
Chcę przy stole też siadywać
Zawsze na ostatniem miejscu
Bracia, jak do ojca dzieci,
Do mnie się przytulcie wszyscy
Niech wśród was zagości szczerość,
Miłość bratnia, pobłażliwość,
Przebaczenie i cierpliwość;
Mnie poprostu zwijcie ojcem!“

Radość braci nie zna granic,
Uściskali dłoń Prokopa,
Ten zaś dalej tak przemawiał:

„Cztery wżdy żywioły społem
Przędą wieczną szatę Bożą:
Woda, ziemia wiatr i ogień.
Pierwsze dwa z nich człowiekowi
Pan Bóg dał, ażeby jemu
Pomagały i służyły

Ku żywota utrzymaniu,
Drugie dwa zaś zastrzegł sobie,
Wiatr aniołom dał i ptakom,
Aby między Nim a ludźmi
Pośredniczyć mogli, w ogień
Sam się tylko przyobleka,
Czyto słońcem grzeje ziemię,
Lub gwiazdami błogosławi,
Czyteż, owinięty chmurą,
Na błyskawic skrzydłach lata.
Zawsze bądź Mu wieczna chwała!
Dał nam w zarząd ziemię, wodę
Więc przyłóżcie dłoń do serca,
A następnie do roboty!
Wszak dwunastu apostołów
Było tylko rybakami
A zmienili ziemi postać.
Bóg ten sam jest teraz z nami.
Ziemia matką wszechrodzącą —
Dbajcież o nią, z nią współczujcie!
Jeśli łono jej zranicie,
Róbcie to li, aby kłosy
Zagoiły ranę złotem,
Jeśli pień choć w świętych lasach
Obalicie, w szkółce swojej
Nowy wsadźcie! Bądźcie pewni:
Ziemia czuje, jak my ludzie.
W naszem ręku zaś spoczywa
Rozwój, rozkwit wszystkich rzeczy
Kiedym mieszkał w tej tu puszczy,
Byłem wszystkiem sam: drwam rąbał,
Orał pole, łowił ryby
Teraz wybierz sobie pracę
Każdy według chęci, albo
Jaką się zajmował dawniej,
Nim klasztorne złożył śluby.
Kto za pługiem lubi chodzić
Po zagonie, gdzie rój ptaków
Świegocących go otacza,
Kto też lubi sierp i kosę,
Pełne wozy kłosów pełnych,
Chwyć za uzdę, a ochoczo,
Bądź rolnikiem, pracuj w Panu,
Jak ci serce nakazuje.
Kto zaś rad ma gęste lasy
I ich pieśni wielodźwięczne,
Wiatrów burzę na ich strunach,
Słońca złoto na ich liściach,
Rosy krople w mchu kobiercu;
Temu lasy przekazuję.
Niech dostarcza nam tu drzewa,
Potrzebnego na narzędzia,
Lecz zarazem sadzi, szczepi,
Przedewszystkiem zaś niech strzeże,
A nie łowi płochych zwierząt!
Kto lubuje się w widoku
Rzeki, kiedy w słońcu drzemie
W czas południa w złotych parach,
Albo gdy, wspieniona burzą,
Bije w brzegi, przyczem w koło
Sieje garść klejnotów barwnych:
Niechaj kiełza jej bałwany,
Na ich karki uzdę rzuci, —
Niech się pienią, niech prychają,
Ty bądź przez nią przewoźnikiem,
Jako niegdyś święty Krzysztof:
Nocą chodź wzdłuż brzegów rzeki
Hukaj w dal, by cię posłyszał
Pielgrzym, co się zbłąka w lesie, —
Przewieź go na drugą stronę,
A gdy wicher miotać będzie
Twoją łódką, jak łupiną,
To podkasaj się, skocz w rzekę,
Chwyć na barki zbłąkanego,
Kijem swoim się podpieraj,
Pan zaś, który dał ci wolę,
Siły też ci nie odmówi!
W dzień łuszczaty ród wyławiaj
Z głębi, rozmyślając przytem
O swej duszy, którąś Panu
Winien w darze przedewszystkiem."

Zgodni bracia pod tym względem,
Uściskali dłoń Prokopa,
Ten zaś dalej tak przemawiał:

„Dwa żywioły, wiatr i ogień,
Zastrzegł sobie Bóg, w nich mieszka.
Z dwu zaś innych: z duszy, z ciała,
Stworzył Mistrz istotę ludzką
Cudnie; człowiek winien przeto
Dbać o oba w swej pielgrzymce;
Duszę krzepi rozmyślanie,
Ciało krzepi ciągła praca.
Ale często też oboje
Pragnie w znoju odpoczynku.
Co do duszy, to ją sami
Aniołowie w szczęsną chwilę
Przejmą na swe białe skrzydła,
Ale ciało, gnuśna glina,
Jeść chce, pić chce, snu pożąda,
By w niem siła znów wzpłonęła,
Jak knot lampy od oliwy.
Trzeba zatem dbać o kuchnię,
O piwnicę, o spiżarnie,
By ubogim mogło starczyć
Zawsze dość ku nasyceniu.
W tem zajęciu, w rządzie domu,
Będą się więc mieniać bracia, —
Los rozstrzygać będzie o tem, —
Kto wybrany, ten cierpliwie
Niech się para tem przez tydzień!
Lecz do służby Bożej wszyscy
Pilnie będziem śpieszyć razem:
O północy zabrzmi psałterz,
Skoro świt godzinki zaczniem,
Przy obiedzie zaś w południe
Czytać będziem żywot świętych.
W imię Ojca, Syna, Ducha,
Już skończyłem, bracia moi;
Jeszcze raz powtarzam tylko:
Wszyscy wzajem się miłujcie!
Pobłażliwi bądźcie wzajem,
Miłość bowiem — to jest... wszystko.

Więc szanujcie orną ziemię,
Pokochajcie każde zwierzę,
Pszczołę która miód wam zbiera,
Wołu, co na chleb pracuje,
Łanię, co wam mleka daje,
Wilka, co czuwania uczy,
I niedźwiedzia, co śmiech budzi,
Ale głównie pod gzymsami
Zabudowań pozwalajcie
Gniazda słać jaskółkom, bracia!“

Tu zamilknął święty Prokop.
Radość braci nie zna granic,
Posłuszeństwo mu ślubują,
Między siebie rozdzielają
Lasy, pola, wodę, klasztor,
I rozchodzą się do pracy.

(Dok nast.)

Kilka słów

o przystosowaniu ustrojów w przyrodzie.

Jest Mistrz co wszystkie duchy
wziął do chóru
I wszystkie serca nastroił do wtóru,
Wszystkie żywioły naciągnął jak struny,
A wodząc po nich wi hry i pioruny,
Jedną pieśń śpiewa i gra od początku,
A świat dotychczas nie pojął jej wątku:
Mistrz, co malował na niebios błękicie
I malowidła odbił na tle fali,
Kolosów wzory rzezał na gór szczycie
I w głębi ziemi odlał je z metali“.

A. Mickiewicz.

Jeśli roślinkę, żyjącą na cienistej, wilgotnej glebie, przesadzimy na miejsce słoneczne to roślinka ta zginie, a zginie dlatego, że niepotrafi nagiąć potrzeb swoich do warunków, mniej pomyślnych dla niej że nie zdoła zatem przystosować się do nowego swego otoczenia. Nietylko jednak rośliny, lecz także ludzie i zwierzęta podlegają tym samym prawom. Gdyby dziś np. skazano nas na pobyt wśród lodów Grenlandyi, gdyby zmuszono nas do dzielenia z krajowcami niewygód i walki o byt, do mieszkania w lodowych chatach, do polowania na zwierzęta i t. d., musielibyśmy albo przypłacić życiem tę zmianę warunków, albo nagiąć się do nich, czyli przystosować.

Przykładów takiego przystosowania ustrojów (organizmów) w przyrodzie napotykamy wiele, bardzo wiele, każdy niemal osobnik może być przedmiotem postrzegania w tej mierze. Nie możemy zatem mówić o wszystkich; wymieniamy tylko kilka ciekawszych zjawisk, zaczerpniętych ze świata roślinnego i zwierzęcego, wyłączając człowieka, który dzięki nieustannemu postępowi cywilizacyi wyłamał się w znacznej mierze z pod wpływów przyrody tak, że nie on sam przystosowywa się do swego otoczenia, ale otoczenie swe raczej przystosowywa (akkomoduje) do siebie.

Biorąc na uwagę świat roślinny, napotykamy tu bardzo ciekawe przykłady przystosowania liści do siły światła. Wiadomo, że dla większej części roślin jest światło niezmiernie ważnym czynnikiem, wpływającym nietylko na sprawy odżywiania się rośliny, lecz zarazem na jej wzrost. Nie wszystkie jednak rośliny mają otwarty dostęp do światła o sile odpowiedniej dla ich potrzeb. Jedne wystawione są na bezpośrednie działanie słońca, jak np. rośliny stepowe i pustynne, inne znów ukryte w głębi lasu, skazane są na słabe zaledwie światło rozprószone. Pierwsze tedy i drugie muszą inaczej przystosowywać się do swego otoczenia.

Przystosowanie to odbywa się bądź to zapomocą odpowiednich ruchów tej części liścia, którą zowiemy blaszką liściową, bądź też w samej wewnętrznej budowie liścia złożone już są warunki, korzystne dla życia rośliny. Tak np. rośliny pustynne i stepowe nie są po większej części obdarzone możnością ruchów blaszki liściowej, nie mogą ustawić jej zatem równolegle do kierunku promieni słonecznych, tak iżby te ostatnie, jako zbyt silne mogły ześlizgiwać się po powierzchni liścia. I gdyby przyroda nie obmyśliła innego jakiego ochronnego środka, mogłaby większa część wspomnianych powyżej roślin wyginąć, nie umiejąc stawić skutecznego oporu szkodliwym wpływom zewnętrznym.

Tak jednak nie jest. O ile bowiem brak możności ruchów mógłby przyprawić roślinę o utratę życia, o tyle zapobiega temu głębokie ułożenie gałeczek zieleni, jako najważniejszych podstaw życia, w otaczającej je tkance, pod powierzchnią liścia. Często tkanka ta stanowi jeszcze znaczną zaporę dla zbyt silnego światła, często jest przeświecająca słabo zaledwie, tak że tylko potrzebna ilość światła i to światła rozprószonego może dostać się do wnętrza.

Tensam cel, który w dopiero co opisanych uwarunkowała przyroda anatomiczną bu-

dową liścia, osiągają inne rośliny zapomocą ruchów odpowiednich.

Liściaste drzewa nasze ustawiają zewnętrzne liście korony skośnie lub równolegle do kierunku promieni słonecznych, liście zaś schowane w głębi poza liśćmi korony, nie potrzebują chronić się wprawdzie przed palącymi promieniami słońca, muszą dążyć jednak za odpowiednią ilością światła rozprószonego, układając się zawsze prostopadle w kierunku jego największej siły

O ile światło jest do życia rośliny potrzebne, o tyle przeniesienie pyłku na znamię słupka konieczne jest do zachowania gatunku. Że jednak, jak okazuje się z doświadczeń, nasiona, które powstały przez zapylenie słupka pyłkiem tegosamego kwiatu, nie wydają potomstwa zbyt zdrowego, zaprowadziła przyroda tzw. krzyżową nić, polegającą na zapylaniu słupka jednego kwiatu pyłkiem drugiego ale tegosamego gatunku. Do służby zaciągnięto owady, które, poszukując słodkiego nektaru, ukrytego w tzw. miodnikach, objęły mimowolnie rolę pośredników między dwoma osobnikami nieraz oddalonymi od siebie na znaczną przestrzeń.

Powtarzam: „mimowolnie“ zdaje się bowiem, że owady nie znały się do tego stopnia na formach grzeczności, iżby w zamian za ponętną słodycz płaciły jakąkolwiek, dobrowolną usługą ze swej strony. To też rośliny przez ciekawe przystosowanie się do tych łakomych stworzeń narzuciły im poprostu arcyważną funkcyę krzyżowania. Jeśli bowiem przedstawimy sobie, że w pewnym kwiecie, np. w kwiecie A. pręciki mieszczą się na wysokości 4 mm., słupek zaś na wysokości 2 mm., a w drugim np. *B*, rzecz ma się odwrotnie, to zrozumiemy łatwo, na czem polega dowcipny ten mechanizm. Oto owad, wchodząc np. do kwiatu *A* i szukając na jego dnie ponętnej słodyczy, potrząsa na siebie pyłek z pręcików na wysokości = 4mm., przelatując zaś stąd do kwiatu *B* oddaje ten pyłek lepkiemu znamieniu słupka, gdyż ten stoi w kwiecie B również na wysokości 4 mm.

Podobnie miałaby się rzecz, gdyby z kwiatu *B* przelatywał owad do kwiatu *A*. gdyż w obu wysokość pręcików i słupków = 2 mm. Tak ma się rzecz u pierwiosnka (*primula*), i innych.

Przechodząc teraz do zwierząt, znajdziemy tu niewątpliwie więcej, i to ciekawszych przykładów przystosowania, niż u roślin. Jak się zdaje pochodzi to stąd, że zwierzęta, zmieniając często otoczenie, wśród którego żyją, napotykają coraz to nowe warunki, więcej lub mniej pomyślne, do których muszą się przystosowywać, jeżeli chcą ocalić swoje istnienie.

Istnienie to jest nieraz wcale poważnie zagrożone, jak np. u tych żyjątek, które zamieszkują namuł błotny, lub kryją się w wilgotnym mchu, gdyż wilgoć ta stanowi niezbędny warunek ich życia. A jeśli tak jest, to zdawałoby się, że chwila, w której pod wpływem palących promieni słońca wyschnie mech i wyparuje kałuża, powinna być dla nich wyrokiem śmierci, kładącym odrazu kres istnieniu całego szeregu gatunków. Tak kazałyby wnosić zasady logiki, rzeczywistość jednak dowodzi czego innego.

Przyglądając się bowiem niektórym np. wolnołazom (*tardigrada*), widzimy, że dzięki nader dowcipnemu przystosowaniu się uchodzą zagłady, mogą przetrwać nieraz bardzo długotrwałe i dotkliwe posuchy. Wysychają poprostu, jak ziarnko pieprzu, kurczą się, marszczą i tak, jako niekształtne bryłeczki, zupełnie niepodobne do postaci, z której powstały, czekają, aż godzina przebudzenia się z letargu wybije dla nich z deszczem lub obfitą rosą. Tak żyje *macrobiotus Huffelandi*, mieszkający w namule, ledwie że dostrzegalny okiem, tak pewne pasorzytne robaki, tzw. węgorki i wiele innych.

To samo spotykamy u istot o wyższym ustroju, np. u pewnej ryby dwudysznej (*protopterus annectens*). Jako mieszkanka gorących krajów Afryki, musiałaby niewątpliwie przypłacić życiem długotrwałe skwary, które wysuszają rzeki aż do dna, gdyby dowcipne przystosowanie nie chroniło jej, jak list żelazny, przed niebezpieczeństwem. Oto z chwilą posuchy zagrzebuje się głęboko w namuł rzeczny, pozostawiając jedynie wązki kanalik dla dopływu powietrza, gdyż od tej chwili poczyna oddychać płucami. Co więcej, ażeby skóra, przyzwyczajona do wilgoci, nie ucierpiała przez zbytnie wyschnięcie, wydziela ze siebie ciecz lepką i opina się nią dokoła jakby osłoną. Tak w odrętwieniu przepędza

porę skwarną, dopóki deszcz nie da jej hasła zmartwychwstania.

Podobny letarg, którego celem jest zachowanie bytu zwierzęcia przez czas trwania warunków niepomyślnych dla podtrzymania procesów życiowych, widzimy u świstaków, nietoperzy itp. (Dok nast.)

Witołd Schreiber.

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

O Transwalu (tzn. ziemi, położonej po przeciwnym brzegu rzeki Walu), który Anglia pragnie ujarzmić wbrew wszelkiemu prawu i o rzplitej Orańskiej warto przypomnieć szczegóły następujące: Pierwszy jest trochę mniejszy, niż Zalitawia, druga zaś równa się obszarowi Czech i Galicyi, razem oba te kraje Boerów odpowiadają wielkością niemal Niemcom. Jednak są słabo zaludnione. Tr. liczył w r. 1896 białych mieszkańców 245.397, murzynów aż 622.541; także w Or na 210.00) miesz. ledwie 37% ludności białej przypada W Tr. więc na 1 km.^{2} mieszkają przeciętnie trzej mieszkańcy! Stolica Tr. Pretorya, założona w r. 1853, liczy około 8000 m; największem jednak jest miasto Johannesburg, główna siedziba obcokrajowców (tzw. uitlanderów), leżąca na poł.-wschód od Pretoryi, z przeszło stu tysiącami mieszk., choć powstało dopiero przed 10 laty Główne miasto Or., Bloemfontein, liczy ok. 6000 m. Z drugiej strony południowo-afryk państwo brytańskie, okalające niemal zewsząd Tr. Or., dzieli się na kilka administracyjnych okręgów: *a*) Kapland (na południu), *b*) kraj Beczuanów (na zach.), *c*) Natal z gł miastem Durbanem (na poł. wsch od Tr.) i parę drobniejszych.

Prywatna lektura łacińska Literatura w Polsce przez długie czasy była łacińska. Nasi poeci, posługujący się językiem starych Rzymian pisali tak pięknie, że cieszyli się sławą europejską. A czy my znamy płody ich ducha? Czy młodzież nasza, kształcąca się w gimnazyach, czyta ich dzieła? Wiemy z doświadczenia, że dość dużo poświęca czasu starożytnym autorom łacińskim „ex privata diligentia“, ale czy zwraca uwagę na naszych poetów, piszących po łacinie czy im choć trochę czasu poświęca? Mnie nie zdarzyło się spotkać ucznia któryby „z prywatnej pilności“ zdawał mi sprawę z lektury Janickiego lub Sarbiewskiego i przypisywałem to zawsze brakowi stosownych wydań, bo te, które mamy, za mało są dostępne dla młodzieży i obejmują całą spuściznę literacką, z której młodzież stosownego wyboru zrobić nie potrafi, a całości czytać nie może i zresztą całości czytać nie warto.

Ten brak usunęli pp. Dr. M. Jezienicki i Dr. W. Hahn. Pierwszy wydał: „Celniejsze utwory łacińskie Janickiego, Kochanowskiego i Sarbiewskiego ze wstępem i objaśnieniami „w Sprawozdaniu Dyrekcyi gimnazyum V, we Lwowie za r. szk. 1898. i 1899. i w osobnej odbitce; drugi wydał (ze wstępem i objaśnieniami) „Wybór poematów łacińskich Szymona Szymonowicza“ w Kołomyi 1899. Przytoczone wydania ułatwiają pilniejszym i w języku łacińskim bieglejszym uczniom gimnazyalnym poznanie najważniejszych rzeczy, napisanych wierszem łacińskim przez Polaków. Nie wątpimy też, że odtąd uczniowie nasi, obok autorów klasycznych „ex privata diligentia“ czytać będą poetów polskich, którzy pisali w języku łacińskim. Młodzież polska winna to sobie samej i Ojczyźnie!

J. Sz.

Partinium. Taką nazwę nosi nowa kombinacya glinu i tungstonu, wynaleziona przez pana Partin, Paryżanina. Aliaż ten łączy lekkość glinu z siłą oporu, która wzrasta w stosunku do ilości tungstonu użytego w kombinacyi. Średnia gęstość tego nowego kruszcu wynosi 2·80 jeżeli jest lany; walcowany zaś dochodzi do 3·09.

Partinium może się stać bardzo użytecznem. Stopione, może zastąpić brąz i mosiądz w budowie wielu przyrządów, części składowych w motorach szczególnie w motorach samochodów. Waży bowiem nierównie mniej niż te dwie mieszaniny a jest silniejsze. Walcowane może być użyte do budowy pudeł powozowych, lżejsze jest bowiem o 50% do 60% od drzewa do tej budowy używanego.

Szybkość wiatru Biuro meterologiczne w Hatteras przesłało uczonym europejskim dane o chyżości wiatru podczas uraganu, który zniszczył we wrześniu Porto-Rico.

Dnia 16 t m. burza rozpoczęła się rano pędząc z szybkością 60 do 80 kilometrów na godzinę. Nazajutrz 17. o 4 rano chyżość wichru dosięgła 112 kil. o 1-ej w południe doszła do 150 kil. poczem wahała się, dając maximum 190 do 220 kil. Od tej chwili anemometry nie zdołały już wskazywać chyżości.

Podczas strasznej burzy w kwietniu 1889, najwyższa jej chyżość dochodziła do 128; można sobie wyobrazić, jakie szkody poczynił tegoroczny uragan, jeśli przewyższał poprzednią a słynną ze swej gwałtowności burzę o 60 kil. na godzinę. W naszej strefie takie orkany wcale nie są znane.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 46. Co to jest koso albo kusso?

Nr. 47. Jakie zaćmienia są częstsze: słońca czy księżyca?

Nr. 48. Co to są ciała diamagnetyczne?

Nr. 49. Co to są przedmioty monosymetryczne i polisymetryczne (w teoryi rysunku)?

Nr. 50. Mamy płacić co dwa miesiące 5 równych rat po 1500 złr. W jakim terminie moglibyśmy je razem spłacić bez żadnej straty?

Nagrody: 1. *Tyndall* O świetle 2. *Podręcznik dla samouków* Część II. Nauki historyczno-filologiczne (700 str.)

Odpowiedzi (każdą z podpisem i na osobnej karteczce) należy przysłać do 20 listopada. Wystarczy na jedno pytanie odpowiedzieć by mieć prawo do losowania.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 41—45.

Nr. 41. Dwa były miasta z nazwą Targowica: jedno w powiecie humańskim (konfederacya w r. 1792) a drugie w powiecie łuckim.

Nr. 42. Horoskopem nazywano przyrząd używany przez astrologów przy oznaczaniu stanowiska gwiazd; częściej jednak punkt ekliptyki wschodzący w czasie urodzin dziecka lub punkt nieba, w którym konstelacye pomyślne albo fatalne schodziły się. Stąd później samą wróżbę z gwiazd horoskopem nazywano

Nr. 43. W roztworze chlorku cynku, ogrzanym do 50° C. rozpuszcza się jedwab zupełnie, a jeśli osad pozostanie, to będzie wełna lub bawełna.

Nr. 44. Pięć: przez ogrzanie przez działanie mechaniczne, przez naelektryzowanie, przez insolacyą (działanie światła) wreszcie t zw samodzielna fosforescencya u niektórych zwierząt.

Nr. 45. Nazwa Petyhorców oznaczała pierwotnie jedno z plemion tatarskich. Później zwano tak na Litwie chorągwie pancerne, lżej uzbrojone od husarzy. Uzbrojenie ich stanowiła lekka lanca, szabla i łuk ze strzałami, który później zastąpiono bronią palną. Czasem i Kozaków nazywano Petyhorcami, np. Lisowczyków.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. października b. r

Bochnia: Z. Kerekjarto (nr. 42, 44), Brzeżany: Bednarowski Adolf (42, 44, 45), S. Grzeszczuk (43. 44). Buczacz: L. Wechsler (41, 42, 44), Kraków: Σφίνξ (42, 44), W. Smolka (44, 45) Lwów.: Ἀνήρ (42, 44), E. Byk (wszystkie) A. Charkiewicz (41, 42, 45) F. Chrupowicz (42—45) A. Chrzanowski (42, 45) H. Friedman (42, 45) Herkules, pseud. (42, 44, 45) L. Kobierzycki (wszystkie) W. Michalski (42, 45), J. Preiss (42), K. Stadtmüller (41, 42, 44, 45), Virtus, (pseud) J. Widy i S. Zagórski (42—45). Stanisławów: S. Schloss (42, 44) Tarnów: J. Gocal (42, 44, 45) K. Laczyka (42—45) W. Mondalski (42, 43) E. Stamm (42) Wadowice: Wł. Thom (42, 45).

Nagrody (przez losowanie) otrzymali: L. Kobierzycki (Glogier, Księga rzeczy polskich) i J. Widy (Umiński, Ocean i jego dziwy) obaj ze Lwowa.

Zadanie konikowe.

dług	za	cno	rość	i	twiej	niż	mię
ły	wsła	cić	się	za	i'	cić	ła
chę	swój	świat	do	u	po	ła	ry
wy	ła	wet	pła	ne	da	ści	swię
na	cić	sta	tu	dojść	nąć	sław	twiej
ści	dy	twiej	peł	u	po	ciu	no
niż	ry	niż	szczy	świa	twiej	syp	mać
mie	tno	do	ła	nić	trzy	win	w ży

(Z poezyi Winc. Pola)

Rozwiązanie (sam wiersz) przysłać należy do 20. listopada.

Rozwiązanie łamigłówki geometrycznej:

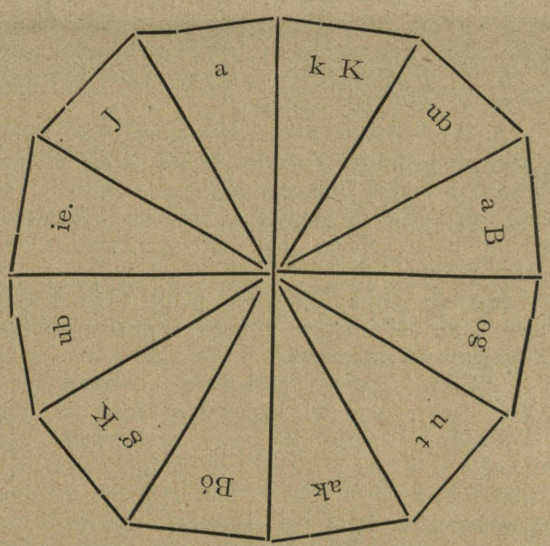

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. października b. r.:

Brzeżany: A. Bednarowski, S G. Buczacz: J. Korzeniowski. Lwów: M. Borowiczka, E. Byk, F. Chrupowicz, A. Dubieński, L. Kobierzycki, W. Miehalski, J. Preiss, K Stadtmüller, J. Widy, virtus (pseud) Stanisławów: S. Drzewicki, S. Schloss. Tarnów: J Gocal, K. Laczyka z Gór (pseud).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Amicus amico. Wzajemnie „Bóg zapłać'. Jednak proszę nie pisać „żadko" bo nam to przykrość sprawia. Przytoczony wierszyk nie jest Morawskiego.

Arystoteles. Dzieło Umińskiego „Ocean i jego dziwy" kosztuje 78 ct. Drugie pytanie jest tak ogólnikowe, że niepodobna na nie odpowiedzieć. Proszę dokładniej określić, o co idzie.

Emanus. Zaufanie, z jakiem Sz. Prenumerator do nas się zwraca, sprawiło nam rzetelną przyjemność. Ale redaktor nie może niestety obiecać rychłego załatwienia tej sprawy, zwłaszcza, że pragnąłby ją sumiennie załatwić, a to dłuższego wymaga czasu.

Φίλος τῆς ἀρετῆς. Dziękujemy.

G. S. Skorzystamy z tego kiedyś w swoim czasie Za życzliwość dziękujemy.

Herkules. Nie obiecujemy, ale spróbujemy się postarać. Rozbiór „Pana Tadeusza" wyszedł u Köhlera (Lwów, ul. Batorego l. 28) zresztą proszę też przeczytać Mazanowskiego Charakterystykę literacką Mickiewicza (Bibl. powszechna) Historyi powsz. illustrowanej wyszło dotąd 12 tomów, po 4 złr. każdy.

K. Laczyka z Gór. Wolelibyśmy inny ustęp z tego samego utworu, mniej znany; zresztą nie uważamy słowa „milion' za trzyzgłoskowe. Dziękujemy szczerze za popieranie pisma „Gramatyka języka ruskiego" po polsku nie istnieje, można użyć ruskiej Kocowskiego i Ogonowskiego, przepisanej dla ruskich szkół średnich. „Jutrzenki", nie znamy jeszcze. Spis dołączymy naturalnie z końcem roku.

K. O. B. Obszerną odpowiedź dano listownie.

M. B. Oby się spełniło.

S. A. B. Listownie odpowiadamy tylko wtedy, gdy sprawa jest tego rodzaju, że nie da się w kilku wierszach załatwić lub gdy idzie o pospiech i nie można czekać aż do wyjścia numeru. Zapowiedź częstych listów wcale nas nie przestrasza, lecz owszem raduje.

Sewerus. Cena „Wyboru pism Orzeszkowej" wynosi 2 złr. 60 ct. (za 4 tomy); proszę zażądać w którejkolwiek księgarni.

Sfinks. Lepiej podpisywać właściwe nazwisko. Przypominamy odpowiedź, daną w nrze 5: Welesowi, nadto polecamy podręczniki prof. Amborskiego i jego „zbiór prawideł wymowy", właśnie wydany (cena 25 ct.). Księgarnie nie mogą mieć wszystkich dzieł na składzie; nic więc dziwnego, że Szan. Prenumerator nie dostał natychmiast dzieł Kiplinga, wydanych przed paru laty w Warszawie i Petersburgu. Należy w takich razach zażądać sprowadzenia dzieła; to potrwa ze 3 tygodnie, ale książkę się dostanie, jeśli księgarzowi zapewni się odbiór dzieła w terminie. Możliwe koszta przesyłki pokrywa zamawiający.

Sokół. Trzy słowniki polskie mamy: pierwszy, największy objętością, ale nie liczbą wyrazów. S. B. Lindego w 6 tomach; dwutomowy tzw. wileński, o wiele bogatszy; obecnie zaś wychodzi w Warszawie najlepszy i najobfitszy „Słowik języka polskiego", którego przedpłata wynosi 10 rubli (około 13 złotych) za całość dla przedpłacicieli obecnych; kto bowiem zgłosi się dopiero po wyjściu tomu I., zapłaci daleko więcej. Słownik ten wychodzi też zeszytami i można go w tej postaci nabywać po 50 kop.

Strachota. Nie są to właściwie kamienie, ale zbite kulki trawy pomięszanej z sokiem żołądkowym.

Studiosus. Rzecz to za szczegółowa i może zaledwie drobną cząstkę czytelników obchodzić, zresztą T. Korzon podał wyborną rozprawkę o J. B Bossuecie w t. IX—X. „Wielkiej Encyklopedyi ilustr". (Warsz. 1893, s 232—8).

Od Redakcyi.

Czyniąc zadość wielokrotnie objawianemu życzeniu naszych prenumeratorów będziemy wydawali „Przyjaciela" **od 1. stycznia 1900 r. dwa razy na miesiąc.** Numer każdy będzie obejmował **półtora** arkusza druku t.j. 12 stronic Prenumerata będzie nieznacznie podwyższona t. j. z 4 koron na 5 koron rocznie. Celem ustalenia nakładu prosimy o wczesne zgłoszenia.

W następnym numerze podamy dokładniejsze informacye.

Od Administracyi.

Prosimy uprzejmie o nadesłanie zaległej prenumeraty. Abonenci, którzy jej nie uiszczą w ciągu listopada, następnych numerów już nie otrzymają.

Wydawca:
Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:
Henryk Kopia.

Treść: Fryderyk Chopin, przez *K* — Kawałek chleba przez *Fr. Coppéego* (dok) — Velazquez, przez *M.* Miłość Ojczyzny w poezyach Asnyka przez *T. Piniego* (C. d.) — *Vrchlicky*, Legenda o św. Prokopie (C. d). — Kilka słów o przystosowaniu ustrojów w przyrodzie przez *W. Schreibera.* — Rozmaitości — Zagadnienia naukowe. — Zadanie konikowe. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

Rok I. We Lwowie 1. grudnia 1899. Nr. 12.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi co miesiąc.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
kwartalnie 1 kor.
rocznie 4 kor.
Numer pojedyńczy
40 h. (20 ct.)

„Kto garstką ziemię nosi, góry się doczeka". *K. Brodziński.*

Od Wydawnictwa.

Zachęceni uznaniem, którego najlepszym wyrazem jest zwiększanie się z dniem każdym zastępu przedpłacicieli „Przyjaciela młodzieży", postanowiliśmy rozszerzyć pismo nasze, podnosząc równocześnie jego wartość tak pod względem treści, jakoteż formy. Redakcyi udało się pozyskać współpracownictwo wybitnych sił literackich i uczonych zawodowych; prócz rubryk dotychczasowych, które pozostaną nadal przybędzie szereg nowych, przedewszystkiem stała bibliografia rozumowana nowości belletrystycznych i naukowych, oraz przegląd miesięczny ważniejszych wypadków we współczesnem życiu narodu polskiego wszech dzielnic i krajów. Do szeregu studyów naukowych, gawęd przyrodniczych i szkiców estetycznych, które będziemy prowadzili dalej niestrudzenie, i do szkiców z poezyi polskiej II. połowy bieżącego wieku, rozpoczętych w r. b. studyum o „Miłości Ojczyzny w poezyi Asnyka", przybędzie serya szkiców o starożytnościach polskich, oraz obrazki współczesne z innych ziem słowiańskich. Przytem i nadal pismo nasze będzie zwracało baczną uwagę na wybitne przejawy życia umysłowego zagranicy; w tym celu będzie zapoznawało czytelników swych nie tylko — jak dotychczas — z doborowemi pracami pisarzy obcych lecz także w osobnych studyach z prądami, nurtującymi społeczeństwa i narody inne. Wszystko zaś starać się będzie „Przyjaciel" uprzystępnić środkiem, który dziś tak słusznie zyskał sobie rozpowszechnienie, — rysunkiem; mianowicie odtąd illustracye będą stałą częścią składową każdego numeru pisma. Aby obudzić jak najżywszy ruch czytelniczy między młodzieżą naszą, wprowadzamy nowość: redakcya będzie odtąd chętnie pośredniczyła nietylko we wskazywaniu dzieł i prac w pewnym kierunku, pożądanym dla poszczególnych przedpłacicieli „Przyjaciela", jak to czyniła dotychczas, lecz także w nabywaniu dzieł belletrystycznych i naukowych po cenach możliwie zniżonych. Prócz tego liczbę nagród książkowych za rozwiązywanie zagadnień naukowych pomnożymy z Nowym Rokiem tak, że w ogóle rocznie będzie do rozlosowania około 100 wyborowych tomów najnowszych. Dla rozbudzenia zaś żywszego zajęcia się sztuką, utrudnionego u nas wskutek braku odpowiednich galeryi, będziemy dołączali w prawidłowych odstępach czasu osobne kartony z odbiciami arcydzieł sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej — bezpłatnie. Dla wzajemnej wymiany myśli czytelników pisma będziemy ogłaszali jak najczęściej konkursy z dziedziny naukowej i belletrystycznej w kole przedpłacicieli „Przyjaciela" i drukowali w jego łamach prace odznaczone. I pozatem chętnie użyczymy miejsca głosom naszych młodych przyjaciół w piśmie, które przecież nie pragnie być niczem innem, jeno ogniskiem, skupiającem promienie, rozprószone nie już po jednej dzielnicy, lecz po całej Polsce! Dla uproszczenia wreszcie wymiany myśli między czytelnikami a redakcyą ustanowimy godzinę w tygodniu, w ciągu której będzie można zawsze mówić z redaktorem w biurze administracyi pisma naszego.

Rozszerzenie treści pisma w sposób naszkicowany właśnie wymaga naturalnie rozszerzenia rozmiarów jego. Czynimy to: od 1. stycznia 1900 r. „Przyjaciel młodzieży“ będzie wychodził dwa razy miesięcznie (1-go i 16-go) w objętości 1½ arkusza druku. t. zn. 12 stron wielkości dotychczasowej; przedpłaciciele zatem „Przyjaciela“ otrzymają w roku przyszłym 36 arkuszy druku zamiast 24 dotychczasowych. Mimoto przedpłatę podwyższamy tylko o koronę na rok, bo z 4 na pięć koron. (ćwierćrocznie 1 kor. 50 gr.). Każdy przyzna, iż to podwyższenie pozorne, w rzeczywistości zaś takie obniżenie, że obecnie „Przyjaciel młodzieży“ będzie najtańszem pismem dla młodzieży.

Dodajemy w końcu, że redaktor dotychczasowy „Przyjaciela młodzieży“, prof. Henryk Kopia, składa z numerem bieżącym kierownictwo jego z powodu nawału zajęć osobistych, pozostając nadal jego współpracownikiem, redakcyę zaś obejmie z Nowym Rokiem dr. Franciszek Krczek.

Józef K. Szlejhar.

Moja wigilia.

(Przełożył z czeskiego *Dr. Fr. Kr.*).

Przez długi czas nie wychodziłem z izby swej, jak gdyby mię szara jej przestrzeń gwałtem do siebie przykuła. Przez cały szereg krótkich dni i długich nocy, które zima z sobą przywodzi, samiuteńki siedziałem, skulony w swym kąciku, ale podczas gdy z miejscem tem niemal spłynąłem w jedno cieleśnie, gdzieindziej bujał duch, w owych nieznanych sferach mistycznych, których nie rozumie, ani widzi, ani słyszy świat caluteńki.

Oto, co mi się zdało: są dwa światy, jeden dokoła mnie, a drugi za nim w dali niedostrzegalnej, należący do mnie. Coś wrzało we mnie pod wpływem siły wiecznie ożywczej, ale nie w rozumieniu tego świata, a to coś pokrywała niewymowna pochmurność która nie zdawała się być ani myślą, ani uczuciem, która nie miała kształtów wyraźnych, lecz była tylko strasznym zastojem myśli. Właśnie wtedy bardziej, niż kiedykolwiek przedtem, i w rozmiarach bardziej przerażających budziła się we mnie straszna wątpliwość, czy też nie są wymysłami i kłamliwą złudą wszystkie teorye o celu życia, o szczęściu i obowiązku. Spoglądałem wciąż w smutną przeszłość, starając się usilnie o zliczenie wszystkich swych bolów i rozwianych nadziei, ażeby módz poprzeć niemi swe wywody. Doznawałem stanu, w którym dusza nie zdoła już niczem się zajmować i tonie w ciemnościach zupełnego zapomnienia o świecie. Tylko owe mrożące wspomnienia i owe straszne wątpliwości otaczały mię, jak wnętrze lasu bez wyjścia...

Było to w zimie i śnieg wciskał mi się do okien. Jedyny gość, który po dłuższej przerwie mię odwiedził. Szare niebo, od którego mróz bił, spoglądało na mnie okiem szaleńca, a żaden objaw życia pod niem nie zdołał wyciągnąć mnie z mego kącika, obalić mej wątpliwości. Jedna i ta sama straszna prawda stawała wciąż pnzed wzrokiem mej duszy, czyteż nie są marnym pozorem wszystkie dążenia życiowe.

Aż nagle, jeszcze przed wieczorem, zmieniłem się zupełnie. Jak gdy w ciszy nocnej znienacka wicher zawieje, zapanowało w mej duszy niebywałe ożywienie. Kamień, co mi przygniatał pierś, spadł z niej, ustało owo rozpaczliwe walenie się wszystkiego w gruzy w duszy mej, a z wściekłego wrzenia wyłoniły się znów ludzkie uczucie i myśl. Doznawałem wrażeń człowieka, który zbudził się ze snu ciężkiego. Wyjrzałem z okna na ulicę, a zaledwiem wyjrzał, nagły poryw jakiś wyciągnął mię na nią. Po długim czasie wyszedłem z domu po raz pierwszy. Doznałem zawrotu głowy i dziwne owładło mię złudzenie, jakoby cały świat przedemną czekał na mnie od wieków, właśnie na tę chwilę, w której doń wracam. Niebieskawy śnieżny mrok i cisza, niemal wyzywająca, objęły mię, a niebiosa zaiskrzyły się na me powitanie; jako płomień, wybuchający z ziemi, na me powitanie zaiskrzyły się, — w istocie niebiosa wyglądały, jak nigdy przedtem, niewidziana potęga i uroczystość biły z gwiaździstego ich oceanu. Wyglądało mi to wszystko na cudowne objawienie.

I pytałem się głosem drżącym, sam siebie, czy wszystkie te zjawiska przed memi oczyma, które po długim czasie znów zobaczyłem, widzę rzeczywiście przed sobą, czy istnieją same przez się, a niepowstały li w mej duszy wzruszonej. Alem rzekł sobie wnet, że to świat, nie złuda. I wtedy ozwało się coś we mnie, co już dawno ucichło było w ciężkich owych czasach. Wielka bojaźń, ale ta bojaźń słodyczy, którą z aczyna się odczuwać, wstrząsła mem sercem. Szedłem dalej z tem niepojętem uczuciem w duszy. A coś jakby pędziło przedemną, pociągało mię za sobą, a ja tylko szedłem za niem. Niebiosa szły za mną, a powiew wiatru, nocny powiew, coto z nieskończoności zdaje się przybywać i w nieskończoności ginąć, zahuczał dokoła mnie. Wżyłem się w te nocne zjawiska i, im dalej, tem bardziej niepojętych doznawałem wrażeń. Trapiłem się jakiemś uczuciem, które rozsadzało mi piersi, choć nie mogłem znaleźć nazwy dla niego, a uczucie to wytryskało skądeś poza mną i wabiło mię ku sobie tajemniczo. Omal żem w złudnym — że tak rzekę — szale ręki za niem nie wyciągnął, oczyma wciąż w górę wpatrzony. Niebiosa ciemniały coraz więcej, lecz gwiaździstość ich wzrastała. Wzrastała, jak zapał. Płonęło boską wspaniałością. A ziemia na dole z dumnym śnieżnobiałym towarzyszem swym ginęła w nieskończonej, szarej głębi. Szedłem ku tej otchłani, nic nie mogło zaspokoić mej tęsknoty, a przedemną wciąż coś pędziło i wciąż niebiosa szły za mną.

— — — — — — — — — — —

Podczas gdy tak zwolna w mroku kroczę, z wielu okien zapłonęły ku mnie światła od ognisk domowych i na przestronnej, matowej bieli niby napowietrzne zjawisko cudne rysuje się obraz wioski. Szeroko i wyraźnie roztaczają się jej światła po śniegu, a dokądkolwiek sięgną, tam śnieg jakby stajał, witając je przyjaźnie. Życie ludzkie kupi się przy tych światłach — myśl ta, jakby niezwykłe odkrycie, przyszła mi do głowy i ja, com do niedawna stronił od wszelkiej styczności z mętnym prądem życia, nagle za nim gwałtownie zatęskniłem. Szedłem za tym spokojnym blaskiem. Jak ciepłe gniazda pod kwitnącą gałęzią, tuliły się pod śnieżnemi skrzydły ludzkie chaty. Na dworze zima i mróz, w chatach ciepło życia, wszystko pogrążone w sobie...

Wtem nagle uderzyły mię głosy ludzkie tak wzruszające i łagodne, jakich dawno nie słyszałem. Rozbrzmiewały śpiewem, a gdym się jeszcze zbliżył (pociągnięty tak tymi głosami, jak tem światłem), zrozumiałem, co to znaczy. Serce gwałtownie zabiło, upajające, piorunujące wrażenie owładło mi duszę. A więc to to przyniosło mi nagłą ulgę w zgubnych ciemnościach, to wyciągnęło mię z izby, to pędziło przedemną, wabiąc mię ku sobie gwałtem, to głosiła niezbadana, rozmarzona przyroda i dzisiejsza uroczystość nieba! „Narodził się Chrystus Pan“ — ozwały się głosy przedemną, nieprzygotowanym na to. Więc dziś wigilia! rzekłem sobie, dech wstrzymując. — Wszak nigdy zresztą nie przemawia tyle czarownej tajemniczości ze wszystkiego, co nas otacza; nigdy zresztą nie rodzi się tyle wzruszeń, co wówczas, ani gwiaździste niebo nie może zresztą płonąć tak wspaniale. Ponieważ zaś wszystko to działo się dziś we mnie i wkoło mnie, ponieważ słyszałem te głosy wiary, więc powtarzałem stanowczo i silnie: „Dziś wigilia“.

Co teraz odezwało się we mnie, tego niemożna słowami opisać. Nie był to tylko ruch wspomnień, ani myśli sobkowskie. Coś jakby mię nagle przykuło do wszystkiego tego, od czego się w ostatnich czasach oderwałem, w co przestałem wierzyć i ufać. Czułem, jak mię coś naraz pchnęło znów ku życiu, ku jego dążeniom i tęsknotom i otwarło przedemną to gwiaździste niebo nademną, w którem zrozumiałem naraz wszystko. —

„Narodził się Chrystus Pan“ — brzmiały dalej głosy, pełne zapału, a inne z blizka i z daleka do nich się przyłączały, aż nimi cała wioska rozbrzmiewała tak, jak na wiosnę idzie po lesie odgłos śpiewu ptasiego...

„Narodził się Chrystus Pan“ przenikało mą duszę głosem dzwonu i przypomniało mi nagle, że jest na świecie jeszcze coś innego prócz mego własnego, ciasnego świata, który mię umęczył i przywiódł do rozpaczy, że panują jeszcze symbole pociechy i wiary, do których serce wznieść się może. Wpadłem wskutek tego poznania w taki zapał, jakiegom nie czuł w życiu nigdy, nawet w chwilach największej rozkoszy. Zapragnąłem poznać to, czego w tej chwili dusza łaknęła. Mówiłem sam do siebie: „Wstąp tam, gdzie ludzie żyją, wierzą, cieszą się szczęściem i na wspólnej

drodze dobrymi są sobie towarzyszami. Wstąp tam choć cieniem, by wchłaniać w siebie dech życia"...

Noc wigilijna była biała, przepowiednia przyszłego błogosławieństwa. Niezwykła jasność zapanowała dokoła. Wprawdzie gwiazdy przytłumiły blask swój, ale zajaśniało całe niebo. Wszystko stało się przejrzystem, barwą bzu zapłonęło, a blask śniegu łączył się z zalewem świetlanym. Wzrastała uroczystość świętej nocy...

Znajdowałem się w pośrodku osady górskiej. Po obu stronach rozprószone rzadko chaty, a z każdej błyska światło, nigdzie nie panuje ciemność. Nieprzeparta opanowała mię tęsknota zajrzenia do wnętrza, utkwienia wzroku w otoczenie tych świateł. A zewsząd bezustannie dolatywała wigilijna kolęda. Do gorejących szyb przycisnąłem twarz rozpaloną, a to, com zobaczył, ożywiło we mnie obraz, który z mych dawnych lat do chwili dzisiejszej się przechował. Warstat tkacki stał nieczynny, świetlice ozdobione, w kącie ustawiono szopkę, a ku szopce rwały się roziskrzone oczy maleństwa. Ileż zadowolenia i błogiego szczęścia dziś ujrzałem. Ileż gorącego uczucia i ufności wśród tego przyjacielskiego grona ludzi maluczkich utkwiło mi na zawsze w pamięci! „Pokój wam, ludzie dobrej woli" — zaszeptałem automatycznie. Zamyśliłem się. Wydało mi się, że niema już ani biedy, ani bolów, że niema ludzi, którzy mając złość na oku, udają dobroć, że niema skarg ludzi zgnębionych, ni omamień, podstępów i samolubstwa, że znikła twardość serc warstw wyższych i nienawiść niższych i wszędzie panuje podobna łączność jaką przed sobą widziałem i jaka się w mej duszy obudziła, niby odgłos owych rajskich wpływów, które dziś na ludzkość oddziałują. Uczułem, że nie wszystko jeszcze rozprzęgło się pod wpływem sobkostwa, któremu świat hołduje, i że pozostało jeszcze coś, czego serce łaknie...

Lecz to nie było jeszcze wszystko. Zbliżała się północ, północ wigilijna. Czas już było pokłonić się Panu wszechświata. Jakiś ruch obudził się po wiosce. W oknach gasły światła i ludzie wychodzili na dwór. Z każdej chaty cała rodzina, nikt w domu nie został. Matki niosły niemowlęta na ręku, dzieci starsze trzymały się ich sukien, a starcy wspierali się na ramieniu swych potomków. Wszystkich wzruszyła do głębi biała noc. I podając sobie nawzajem ręce i pobożnie się pozdrawiając, zmierzali do jednego miejsca. Był to najobszerniejszy budynek z całej wioski i z pośrodka trzech wiekowych, obnażonych lip jegoto dzwonek wznosił się pod daszkiem za gumnami...

Już się zgromadzili wszyscy ci ludzie biedy i cierpień. Starcy o łysych głowach rozsiedli się po ławkach, a młodzi rozstawili pod ścianami. Jasełka zwracały się na wszystkie cztery strony. Byłato wioska bez kościoła, bez księdza, przyszli więc tu obchodzić uroczyście wielkie święto swej wiary. Po pewnym czasie wstał starzec, na którym wieki wycisnęły piętno swych bolów. Uśmiech igrał na białej jego twarzy i drżące ręce rozłożył. Wszyscy zaraz doń się przybliżyli. Począł mówić. Gorącą falą toczyła się spokojna, prosta jego mowa. Mówił o Bogu, o nieskończonej miłości, która dziś z jego mocy na świat się zlewa, że w tej miłości wszyscy żyć powinni, okiem tej miłości spoglądać na bolesne drogi życia. Kto w tej miłości żył, dobrze żył i nigdy się nie zawiódł. A choćby czemkolwiek był człowiek, jeśli żyje bez miłości i miłosierdzia, to nic niewarte i w próchno tylko jego zasługi się obracają. Mówił dalej, że wiele doświadczają biedy ci, którzy ubogimi są, jak oni, ale bogatymi — i to jednymi z najbogatszych — są, jeżeli żyją tak, jak uczył Ten, który dziś się światu narodził. Bądźmy miłosiernymi, — bierzmy na siebie część cierpień, które znoszą nieszczęśliwi. Do swoich cierpień dorzućmy cudze. I przypomniał dalej, że te cierpienia i nieszczęścia, które za nas znosił Zbawiciel, powinny być nam miarą żalów naszych. Mówił jeszcze o innych rzeczach wiekowy starzec ten, a jakiś nadziemski ogień błyszczał w jego wzroku. Podczas jego mowy cisnęli się doń starzy i młodzi i łkali rzewnie ze wzruszenia. — „Pokój wszem ludziom dobrej woli, albowiem nadeszło dziś zbawienie wszystkiemu!" zakończył i usiadł. Wielu całowało starcowi jego żylaste ręce, a wszyscy całowali się nawzajem...

Oddaliłem się. Takiego wzruszenia nie doznałem jeszcze nigdy w życiu. Wszystkie, nawet szczere zachwyty, wszystko, czegom doświadczył nawet w chwilach prawdziwych wzruszeń, niczem było wobec tego. Kryjąc w sercu niezmierne swe uczucie i w duszy

poddając się wiecznej prawdzie, rozejrzałem się dokoła, jakgdybym szukał świadków swemu wzruszeniu. Lśniącobiały sad, kryształowym szronem przyodziany, niewzruszenie nademną się wznosił i kilka gwiazd poprzez zasłonę jego przezierało. W nich utkwiłem wzrok. Tonąc oczyma w ich nadziemskiem świetle, omal żem nie wykrzyknął z radości. Więc nie skończyło się jeszcze wszystko na świecie — to znaczyła owa radość wewnętrzna — i żywot powinien do czegoś służyć. Myśl ta uderzyła we mnie piorunem, jakby nowa jaka prawda.

W tem blizko mnie ozwał się głos dzwonka na jutrznię. A na to hasło natychmiast burzą zahuczał hymn wigilijny: „Narodził się Chrystus Pan, bądźmy weseli!“ Niebiosa spoczywały na ziemi niezmierzonym ogromem swych blasków. Zdawało się, że wszystko, ziemia i niebo, połączyło się dla jednego celu: wyznania miłości powszechnej.

Wraz ze mną przysłuchiwało się wszystko w czarownem osłupieniu. Z hymnu tego ozywało się to wszechludzkie, co żyje, przekonywa i dowodzi. Zrozumiałem zupełnie. Nie były głupstwem, ani złudą, wszystkie te pomysły o celu życia. Ta wiara z nadzieją, to zaparcie się i poświęcenie, płynące z tylu serc, które tam się radują, dowodzi tego. Narodził się Chrystus Pan, spłynęła na świat miłość...

Milczące już ściany szarej izby przyjęły mię znów do swego wnętrza. Spoglądałem wstecz w niedoścignioną noc wigilijną. I znów tonąc w przerwanem natchnieniu, pytałem siebie wątpiąco: „Czy to działo się w istocie poza mną, czy też było to tylko mistyczne marzenie?“ Bynajmniej. Była to naprawdę tajemnica tej uroczystej nocy wigilijnej.

J. Deniker.

Rasy i ludy europejskie.

Przekład z francuskiego.

Możemy ująć „grupy etniczne“ czyli ludy, zamieszkujące Europę, w trzy grupy główne: 1) trzy wielkie rodziny językowe aryjskie (łacińska czyli romańska, germańska i słowiańska); 2) trzy małe rodziny językowe również aryjskie (keltycka, greko-iliryjska i łotewsko-litewska cz. bałtycka); 3) trzy rodziny językowe niearyjskie (baskijska, fińsko-ugryjska i turecka). W ugrupowaniu tem pominięto jako mniej ważnych przedstawicieli rodziny językowej mongolskiej (Kałmuków), semickiej (Żydów), indo-aryjskiej (Cyganów), irańskiej (Osetów, Tatów, Ormian[1]) i kaukazkiej, która obejmuje 3 grupy: kartwelską cz. georgijską, lesgijską i czerkieską.

Te grupy etniczne, ułożone wyłącznie z punktu widzenia językoznawczego, są bardzo niejednolitemi pod względem cech cielesnych, a nawet pod względem zwyczajów i obyczajów. Jakie bowiem cechy wspólne wykazują np. dwa ludy romańskie: Portugalczycy i Rumuni? Co wspólnego mają Polacy, jasnowłosi, nizcy i przysadziści, spokojni rolnicy równin nadwiślańskich, z Serbami, czarnowłosymi, rosłymi i smukłymi, pasterzami i dzikimi wojownikami ze skał urwistych Czarnogóry? A przecież oba ludy należą do jednej rodziny „słowiańskiej“ na podstawie języka.

Czyż można wyobrazić sobie przeciwieństwo bardziej rażące od tego, jakie stanowią jasnowłosy, wysoki Norwegczyk o głowie wydłużonej, marynarz niezrównany, przebiegający świat pod ochroną chyżych żagli, i Bawar południowy lub Tyrolczyk, nizki brunet o głowie okrągłej, który nigdy nie widział, co się dzieje poza ciasnym widnokręgiem jego gór? A przecież obaj są „Germanami“ z punktu widzenia językoznawczego

Jeżeli zaś z kolei przyjrzymy się każdemu z ludów, które stanowią którąkolwiek z owych wielkich rodzin językowych, zobaczymy, że i one wykazują w swym składzie różnice niemal taksamo wielkie. Tak np. wielka rodzina romańska cz. łacińska składa się przynajmniej z 7 „grup etnicznych“ odrębnych: grupy Francuzów północnych (*langue d'oil*), grupy langedocko-katalońskiej, kastylskiej, portugalsko-galegijskiej, sardo-włoskiej, romańsko-ladyńskiej i rumuńskiej. Każ-

---

[1]) Autor zalicza język ormiański do irańskich błędnie za Fr. Müllerem i de Lagardem, bo już H. Hübschmann wykazał, że jestto osobny członindoeuropejskiej rodziny języków, zajmujący stanowisko pośrednie między grupą irańską a słowiańsko-bałtycką. (Przyp. tłum.)

da zaś z tych grup etnicznych czy językowych przedstawia mieszaninę przynajmniej 2 lub 3 „jedności somatycznych“, czyli ras.

Weźmy np. grupę langedocko-katalońską. Możemy wykryć w niej współistnienie trzech ras: 1) rasy seweńskiej (*cévenole*, tak nazwanej od pasma gór Sewenów we Francyi południowej) cz. zachodnio-europejskiej (t.zn. nizkich brunetów krótkogłowych — brachykefalów), która panuje na równinie środkowo-francuskiej, 2) rasy pobrzeżnej (*littorale*) cz. atlantycko-śródziemnomorskiej (wysokich brunetów średniogłowych-mezatykefalów), zajmującej wybrzeża Prowansalii i Katalonii; 3) rasy ibero-wyspiarskiej (nizkich brunetów długogłowych-dolichokefalów) w Angoumois'ie, Périgordzie i również w Katalonii. Weźmy jeszcze grupę sardo-włoską z tejsamej rodziny. Znajdziemy w niej przedstawicieli 5 ras głównych prócz północnej (nordyjskiej) i nadto jednej drugorzędnej, zwanej podadryatycką (*subadriatique* — wysokich szatynów krótkogłowych). Zresztą zwykły nawet spostrzegacz, który nie zajmował się nigdy antropologią, musi zauważyć uderzającą różnicę, jaka zachodzi między mieszkańcami np. Wenecyi, wysokimi szatynami krótkogłowymi, a Włoch południowych, Sardynii, Sycylii i Korsyki, nizkimi brunetami długogłowymi.

Podobnie rzecz się ma ze Słowianami. Językoznawcy dzielą ich — jak wiadomo — na zachodnich (Czechów, Słowaków, Polaków, Wendów cz. Łużyczan [2]), wschodnich (Rosyan, Rusinów cz. Ukraińców i Białorusinów), i południowych (Słoweńców, Serbochorwatów i Bulgarów). [3]) Niech i tak będzie, ale żadna z tych 3 grup nie przedstawia się jednolicie z punktu widzenia somatologicznego. Szukanie typu jednolitego Słowianina to czcza mrzonka. U ludów bowiem, mówiących językami słowiańskimi, mamy do czynienia z mieszaniną 3 ras głównych i tyluż podrzędnych.

Polacy północni, t. zn. Mazurzy i Kaszubi pomorscy, z Prus wschodnich i Królestwa Polskiego, należą głównie do tego typu o głowie krągłej, przysadzistego, jasnowłosego, który nazywamy rasą drugorzędną nadwiślańską; przedstawicieli tegosamego typu spotykamy też często w Saksonii i prawdopodobnie na Śląsku północnym. Lecz znajdujemy pośród tych Polaków również typy, które pochodzą z innej rasy, nazwanej przezemnie wschodnio-europejską, a występującej wyraźnie w Białorusinach. Z drugiej strony u Polaków południowych rasa zachodnio-europejska łączy się z rasą, wspomnianą przed chwilą. Spotykamy jeszcze ową rasę zachodnią, zmieszaną ze wschodnią, pomiędzy Rusinami niżowymi cz. Ukraińcami, zarówno w Galicyi, jak w Rosyi. Natomiast górale ruscy (w Galicyi i na Węgrzech) przedstawiają typ odmienny; rasa adryatycka cz. dynarska (wysocy bruneci krótkogłowi) przeważa u nich taksamo, jak u Serbów dalmatyńskich i bośniackich.

W Czechach i na Morawie [4]) spotyka się wśród Czechów i Słowaków również tu i ówdzie tę rasę adryatycką, oraz parę wysepek rasy zachodniej; ale nad niemi góruje rasa drugorzędna podadryatycka, prawdopodobnie skrzyżowanie wysokich brunetów krótkogłowych z wysokimi blondynami długogłowymi i z przedstawicielami ras wschodnioeuropejskiej i nadwiślańskiej (blondyni mniej lub więcej nizcy, przykrótkogłowi lub średniogłowi).

Badania antropologiczne Rosyan cz. Wielkorusów są dopiero w zaczątkach, lecz już można przeczuwać w tej grupie etnicznej poza mieszaniną ras fińsko-ugryjskiej i turecko-tatarskiej współistnienie cech rasy podpółnocnej (*subnordique*) i zachodniej na wspólnym podkładzie rasy wschodnioeuropejskiej (nizcy blondyni przykrótkogłowi).

Nieliczne wiadomości, jakie posiadamy o typie cielesnym Bulgarów dzięki pracom dra Basonowicza, który mi udzielił łaskawie kilku szczegółów, dotychczas nieznanych, nie

---

[2]) Niemcy nazywają ich Wendami. Słowianie Łużyczanami lub Serbami łużyckimi. (Przyp. tłum.)

[3]) U nas piszą i mówią niepoprawnie: Bułgarowie itd Taki jednak znawca Słowian południowych, jak prof. Bronisław Grabowski, autor dzieła „Bulgarya i Bulgarowie“ każe słusznie używać tu dźwięku miękkiego. (Przyp. tłum.)

[4]) Tu znów muszę zaznaczyć, że nasi geografowie używają mylnie nazwy „Morawy“ (liczba mn.) albo „Morawia“. Należy bowiem mówić i pisać „Morawa“. (Przyp. tłum.)

sprzeciwiają się przypuszczeniu, że u nich cechy rasy zachodniej istnieją obok typu wysokiego, ciemnowłosego a długogłowego, występującego głównie u kobiet tamtejszych. Należy zresztą odróżnić Bulgarów z Księstwa od macedońskich, których prawdopodobnie wypadnie zaliczyć do ludów, należących po większej części do rasy drugorzędnej, podadryatyckiej.

Możnaby pomnożyć jeszcze te przykłady, ale już to, co przytoczono, wystarczy do wykazania, że każdy lud europejski jest mieszaniną ras kilku (od 2 do 6). Trzeba jednak dodać, że obok grup etnicznych bardzo różnorodnych co do swego składu cielesnego kilka istnieje w Europie, które są przeciwnie dziwnie jednolite. Mam tu na myśli Skandynawców i Portugalczyków; drudzy należą bowiem do rasy ibero-wyspiarskiej prawie czystej z wyjątkiem tych, którzy zajmują Portugalię północną i Galicyę, a u których (według świadectwa pp. Ferraza de Macedo i Fonseki Cardosy) spotykamy pewne skrzyżowania z rasą zachodnią. Ale takie zjawiska są rzadkie i wyjątkowe.

Zanim skończę swój wykład, pozwolę sobie dotknąć zagadnienia, wcale drażliwego i dotychczas prawie nie roztrząsanego przez antropologów. Czy rasa wpływa na charakter fizyczny, umysłowy i etyczny ludów? *A priori* nie można zaprzeczać wpływu takiego i w istocie spostrzegamy go u ludów nieucywilizowanych. Lecz w miarę jak wznosimy się coraz wyżej po drabinie cywilizacyi, widzimy, że warunki społeczne są daleko donioślejszymi dla rozwoju duchowego osobników, niż warunki fizyczne. Równość panuje wśród społeczeństw pierwotnych, mało skomplikowanych i nielicznych w swym składzie: wszyscy członkowie gromady, lub prawie wszyscy, mają tesame prawa i tesame obowiązki; również różnice pod względem duchowym (psychiczne) bywają u nich bardzo małe. Toteż dwa społeczeństwa na tym stopniu rozwoju społecznego mogą wykazywać tylko takie różnice pod tym względem, które wynikają z różnic rasowych, choćby mieszkały na dwu przeciwnych punktach ziemiokręgu. Dlatego to „grupa etniczna“ np. Australczyków nie jest podobną w wielu punktach do mieszkańców Ziemi Ognistej, mimo, że obie grupy są równie pierwotnemi.

Rzecz ma się jednak odmiennie u grup etnicznych wybitniejszych, u których podział pracy wytworzył klasy, kasty, warstwy społeczne, mniej lub więcej rozbieżne. Fizyognomia każdej klasy wyodrębnia się: typy społeczne powstają obok rasowych. Rysy, cechujące owe typy, bywają często wspólne im nietylko pod względem duchowym, lecz nawet cielesnym. Stąd pochodzi to zjawisko, że uczeni czyli bonzowie chińscy, japońscy, anamiccy, birmańscy, syngalezcy, koreańscy, mimo odmiennego pochodzenia rasowego podobniejsi są do siebie wzajem, niż do swych rodaków rolników lub kupców.

Taksamo w Europie pewne klasy społeczeństwa: urzędnicy, duchowni, bankierzy, sukiennicy, ochotnicy (sportowcy), górnicy, robotnicy fabryczni, przedstawiają pewne typy rodzinne, pewne fizyonomie moralne, nieraz nawet typy cielesne, wspólne im zawsze i wszędzie mimo różnic językowych i rasowych. Przysłowie francuskie, utrzymujące, że każdy dźwiga na sobie znak swego zawodu (*on a le pli de son emploi*, uświęciło oddawna to spostrzeżenie, ważne dla całego świata. Zresztą wielu uczonych, przedewszystkiem socyologów, stwierdziło ten fakt należycie i świeżo nawet pewien ludoznawca z rasy odrębnej od ogółu ras europejskich bardzo dobrze podkreślił różnice i podobieństwa, zachodzące pod tym względem. Mam tu na myśli dra Josego (czyt. Hosego) Risala, Tagala z urodzenia. Przybył do Europy celem zapoznania się z częścią świata, którą znał li z podręczników geograficznych, używanych w szkołach manilijskich, a co uderzyło go podczas pobytu wśród ludności wieśniaczej Francyi i Niemiec, podniosę zaraz. Oto według niego w Europie prawdziwi przedstawiciele ras różnych istnieją tylko wśród ludności wieśniaczej; mieszczanie są podobni do siebie wszędzie od Lizbony aż po Petersburg. Co więcej, w Europie bardziej jeszcze, niż gdziekolwiek indziej, rasy istnieją tylko dla antropologa; zwykły obserwator życia narodowego spostrzega jeno „warstwy społeczne“, ale warstwy niższe są do siebie wzajem podobne w krajach najrozmaitszych. Należy ubolewać nad tem, że działalności młodego uczonego malajskiego śmierć tragiczna położyła kres — Hiszpanie rozstrzelali go za rzekomy udział w powstaniu Tagalów filipińskich

– straciliśmy bowiem możność dokładniejszego poznania, co Malajczyk sądzi o naszej staruszce Europie ze stanowiska ludoznawczego.

Natomiast droga dla antropologów europejskich jest jasno wytknięta. Muszą przyswoić sobie znajomość różnic, jakie zachodzą między rasą, narodem a typami społecznymi; następnie powinien badać osobno, grupami lub zbiorowo, te jedności językowe, somatologiczne lub socyologiczne, ażeby móc rozróżnić np. rasy, z których taka lub owaka rasa etniczna się składa, względnie stosunki wzajemne tych ras, ich krzyżowania, ich dzieje od czasów najbardziej zamierzchłych itp. Wartoby także poznać np. jak dalece pokrewieństwo językowe i urządzeń społecznych zdołało zmienić pierwotny typ cielesny pewnych ludów lub przyczynić się do ukształtowania pewnych typów społecznych itp. Ostatecznie można zawsze sprowadzić większą część tych zagadnień do jednego głównego zadania, a stanowi je oddzielenie w każdej grupie etnicznej tego, co zawdzięcza rasie, od tego, co zawdzięcza otoczeniu społecznemu.

Badania tego rodzaju są wprawdzie jeszcze w powijakach, ale posiadamy już pewne dane o rasach, które złożyły się na ludy europejskie, posiadamy też pewne wskazówki, dotyczące wpływu otoczenia społecznego na typ cielesny; nie należy zatem wątpić, że kiedyś wynajdziemy środki, które pozwolą nam zbadać wpływ rasy i otoczenia społecznego na ukształtowanie typów umysłowych i etycznych, a nawet ocenić wartość względną różnych typów z punktu widzenia postępu ogólnego.

W ten sposób antropologia i etnologia dostarczą silnego punktu oparcia socyologii i ułatwią rozwiązanie zadań, które umysły wzniosłe, dusze szlachetne, stawiają sobie od wieków, a które można ująć w formułkę, przyjętą częściowo przez Priestleya i Benthama: „urzeczywistnienia jak największego szczęścia dlajak największej liczby ludzi".



Miłość Ojczyzny

w poezyach A. Asnyka.

(Dokończenie.)

IV.

To pogodzenie się z istniejącym stanem rzeczy nie mogło być jednak od razu zupełnem i bezwzględnem. Żal do społeczeństwa brzmi jeszcze długo, prawie aż do śmierci poety, w jego poezyach, pomimo, że Asnyk w zasadzie już się z niem pogodził. Oto np. co mówi w jednym ze swych wierszy: (Do....)

Lecz nim utoniem w niepamięci fali
Przed okiem ludzi skryci w obłok czarny,
Niech ich pieśń nasza gromem wstydu spali,
Że w nikczemności pędząc żywot mar-
[ny,
Płazowe szczęście, niewielkość, obrali,
Niech ich ród szczęsny, cierpliwy i karny
Z pokorą znosi losów wyrok twardy,
My im zapłaćmy jałmużną pogardy,...

Dopiero dłuższy pobyt w Tatrach przyniósł poecie zupełne ukojenie. Te olbrzymy górskie, które go otaczały, stawiły mu jasno przed oczy niespożytą potęgę przyrody, wobec której jego własne cierpienia zmalały do zera; bo te Giewonty i Łomnice mówiły mu już nawet nie o jednym, jedynym wieku i nie o jednym tylko narodzie, ale przywodziły na myśl całą wieczność i całą ludzkość. Przekonał się wtedy, że „prości ludzie" zawdzięczają swój spokoj i głębokie i bezkrytyczne przywiązanie do ziemi ojczystej temu właśnie, iż „zawarli z nią ciche przymierze", które uczy kochać coraz to szersze i większe warstwy, aż obejmie całą ludzkość. Więc tak się odzywa do swej ziemi ojczystej:

„. Kto ukochał ciebie sercem swojem
I w twe objęcia chyli się z tęsknotą,
Tego pogodnym obdarzasz spokojem,
Spojrzeniem matki i matki pieszczotą
W zaczarowane znów wprowadzasz koło,
Wracając młodość jasną i wesołą.

Chociaż do Ciebie przybędzie złamany,
Uchodząc losów ciężkiego rozbicia,
Ty dobrotliwie zagoisz mu rany
I spędzisz z duszy palący ból życia,
I cierpiącego pojednasz człowieka
Z tem, co już przeżył i z tem, co go czeka

I wszystkim, którzy do ciebie się garną
Pozwalasz zebrać odpowiednie żniwo;

Młodzieńcom dajesz moc serca ofiarną,
A starcom dajesz wytrwałość cierpliwą,
Zadowolenie, co twarz krasi bladą,
I uśmiech, z jakim do grobu się kładą.

Bo ty, o matko, masz dla swoich dzieci
Zawsze miłością promienne oblicze,
I twój wzrok jasny, co nam w życiu świeci,
Jeszcze rozwidnia mroki tajemnicze,
Kiedy zamykasz miłosierne łono
Nad garścią prochów — prochom powróconą.
(„W Tatrach“ — „Wstęp“)

Związek ten bliższego poznania się z przyrodą z poglądem Asnyka na świat występuje jeszcze widoczniej w prześlicznym utworze, w którym opisał noc, spędzoną pod górą „Wysoką“ Wtedy pod wpływem potężnego otoczenia duch poety

„ .... wstępował na gwia [ździste wozy
I tracił z oczu ludzkich ist- [nień chwile
I wydeptany ślad na ziem- [skiej bryle,
I zapominał o swojej obroży
I o boleści, co go we śnie [trwoży.
On się zanurzył w źródle [wiecznie-żywem,
Poruszającem wielkie koło [bytu;
Uczuł się jednem łańcucha [ogniwem
Rozciągniętego przez otchłań [błękitu;
On znalazł wspólne ognisko [żywotów
I związek z całym ogromem [stworzenia,
Z wieczystym duchem, co mu podać gotów
Rękę z ciemności albo z gwiazd płomienia:
Więc w rozpostartej na przestrzeniach nocy
Już opuszczenia nie czuł i niemocy,
I mógł się poddać, jako drobny atom,
Tej twórczej myśli, co przewodzi Światom,
I z nieodmiennym zgodzić się wyrokiem
I odpoczywać, jak pod matki okiem.

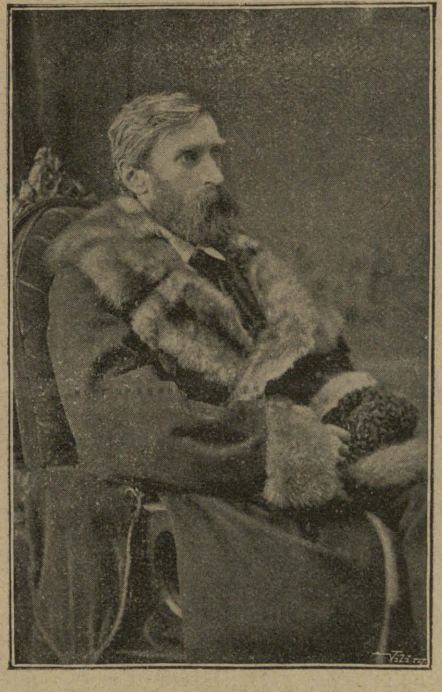

Adam Asnyk.

Pogodził się zatem poeta z „nieodmiennym wyrokiem“, który głosił, że „żaden cud nie wróci do istnienia przeżytych kształtów“, że „zniknione mary“ dawnych lat minęły już bezpowrotnie — a jednak nie chciał i nie mógł się wyprzeć tych wszystkich ideałów, które nie miały już wprawdzie żywotności, ale które zawsze mu były drogie. Starał się więc pogodzić jedno z drugiem: czcić nadal dawne ideały a równocześnie iść z postępem czasu i do niego się zastosować. W lepszą przyszłość narodu nie zwątpił nigdy, a za drogę prowadzącą do zbawienia, uważał hart woli, poświęcenie się dla drugich i niezmordowaną pracę.

Rozumu! niezgiętej woli,
Prawdziwej duchowej siły
I serc czystości!
A Bóg nam stanąć pozwoli,
I z naszej skromnej mogiły
Dzieci się będą uczyły:
Jak żyć w przyszłości.

W olbrzymim pokoleń trudzie
Bądźmy ogniwem łańcucha,
Co się poświęca;
Nie marzmy o łatwym cu- [dzie!
Najwyższy heroizm ducha
Jest walką, co nie wybucha,
Pracą bez wieńca.

Wierzył zaś święcie, że jeżeli nie obecne, to następne pokolenie spełni te warunki, odpowie godnie swym obowiązkom, a wtedy i nasza Ojczyzna podniesie się z chwilowego upadku. Myśl tę wyraził w przecudownym sonecie, jednym z najpiękniejszych, jakie literatura nasza kiedykolwiek wydała, w którym w ten sposób przemawia do Polski:

Odkąd znów padło w proch twe czoło dumne,
Na synów twoich dziwna zeszła trwoga:
Ich wzrok bezmyślny widzi tylko trumnę,
Na której wsparła się zwycięzcy noga.

Oni nie wiedzą, że ty prochom dziatek
Dziś posłuchanie dajesz tam, u Boga,
I śmią narzekać, o najlepsza z matek!
Żeś porzuciła ich na pastwę wroga.

Lecz ty wymową cichą, apostolską,
Ucz ludy zginać przed tobą kolana,
I bądź w błękitach tą harfą eolską,

Po której wichry głoszą imię Pana
Jasnym sztandarem duchów bądź, o Polsko!
Póki nie wstaniesz z prochu nieskalana.

Więc ze zniechęceniem do świata, z żalem do skarłowaciałego społeczeństwa łączy się u Asnyka niezachwiana wiara w lepszą przyszłość Ojczyzny! Wygląda to pozornie na niedającą się pogodzić sprzeczność, bo jakże mają podźwignąć Polskę ci którzy nie umieją ocenić należycie tego, co utracili, w których piersiach wygasł już święty zapał dla ideałów? Ale tak nie jest — Asnyk nie budował swej nadziei na tem, co jest obecnie, lecz na tem, co będzie, a wierzył, że będzie lepiej. Wiarę tę wyraził w wierszyku, który jest programem działalności narodowej i najlepszym wyrazem wszystkich zapatrywań Asnyka:

Miejmy nadzieję!.. nie tę lichą marną,
Co rdzeń spruchniały w wątły kwiat ubiera,
Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy nadzieję!.. nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń,
I przechowuje oręż i przyłbicę...

Miejmy odwagę!.. nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy odwagę!.. nie tę tchnącą szałem,
Która na oślep leci bez oręża,
Lecz tę, co sama niezdobytym wałem
Przeciwne losy stałością zwycięża.

Miejmy pogardę dla wrzekomej sławy
I dla bezprawia potęgi zwodniczej,
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwa-
[wy
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy.

Miejmy pogardę dla pychy zwycięzkiej
I przyklaskiwać przemocy nie idźmy,
Ale nie wielbmy poniesionej klęski
I ze słabości swojej się nie szczyćmy.

Przestańmy własną pieścić się boleścią
Przestańmy ciągłym lamentem się poić:
Kochać się w skargach jest rzeczą niewieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić..

Lecz nie przestańmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość —
Do nas należy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość.

Ciekawą jest różnica zachodząca pomiędzy tym programem ‚młodego‘ Asnyka, a spuścizną pozostawioną nam przez „starych‘ wieszczów. Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Wszystkie ich ideały zatrzymuje Asnyk nienaruszone i niezmienione, odrzuca tylko to, co było przypadkową naleciałością wynikłą z ówczesnych stosunków. Każe więc porzucić ten ustawiczny żal i lament który tak często wydobywał się z potężnych harf jego wielkich poprzedników jako „rzecz niewieścią“ i niegodną mężów, którzy w milczeniu powinni się sposobić do walki. Ta właśnie większa męzkość i odrzucenie wiary w „łatwy cud“, a natomiast żądanie wiary w siebie samych, jest główną cechą ideałów Asnyka; — z pomiędzy wielkich naszych poetów zbliża się do niego w swych pojęciach jeden tylko Krasiński wtedy, kiedy zbawienie narodu upatruje w jego „dobrej woli“.

Te słowa Asnyka powinny być złotemi głoskami wypisane w sercu każdego Polaka a przedewszystkiem każdego z młodych, do których ten serdeczny poeta przemawia w następujący sposób:

Każda epoka ma własne cele
I zapomina o wczorajszych snach...
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!

Tadeusz Pini.



Jarosław Vrchlicky.

Legenda o św. Prokopie.

Przełożył i objaśnił

DR. FR. KRCZEK.

(Dokończenie).

Brak miejsca i chęć skończenia „Legendy“ wraz z zamknięciem rocznika I. zmusza nas do podania reszty pieśni prócz przedostatniej w streszczeniu. Czytelnicy nasi nie ucierpią na tem wiele, bo prócz p. XVI. są to pieśni epizodyczne; zresztą cała „Legenda“ wyjdzie w osobnej odbitce jeszcze w bieżącym miesiącu i znajdzie się zapewne w każdym księgozbiorze szkolnym.

Redakcya.

P. XII. „Zapiski Raracha“ poucza, że nawet najświętszy człowiek nie powinien zbytnio ufać sobie bo dyabeł — jak to powiadają — nie śpi;

a poucza na przykładzie św. Prokopa, który śmiał się z Raracha, gdy tenże mozolił się nad uzyskaniem jak najwięcej miejsca na pergaminie, ażeby módz spisać wszystkie grzechy, jakie ludzie popełniają w kościele. Właśnie ów święty mąż zgrzeszył w święto Maryi Magdaleny, kiedy Rarach czynił swe zapiski, i dowiódł owej prawdy najdobitniej.

W p. XIII. brat Wit na łożu śmiertelnem opowiada, co mu się zdarzyło raz gdy w lesie rozmyślał nad tem, gdzie szczęście ludzkie i jaka droga prowadzi do niego. Zjawił mu się wtedy „Złoty ptak", który go prowadził przez nieznane okolice i przestworza póty, póki Wit nie przyszedł do przekonania po niewczasie że miłość daje szczęście największe na ziemi. Ale to przekonanie odebrało też Witowi spokój duszy i przyśpieszyło zgon, który był dlań wyzwoleniem z mąk tęsknoty nieukojonej.

W p. XIV. opisuje poeta czary i gusła pierwszej nocy majowej, która w Czechach odgrywa rolę naszych „sobótek". Widzimy tu zarazem, jak głęboko jeszcze pogaństwo było zakorzenione wśród narodu czeskiego, skoro nawet trzej mnisi sazawscy nie wahali się brać udziału w tych obrzędach co jeden z nich przypłacił nawet życiem. Widzimy też, jak Prokop stara się o wykorzenienie tych przesądów.

W p. XV. poznajemy cuda, które Prokop czynił, między innymi, jak się zaopiekował szlachcicem, ukaranym przez Boga za grzech ciężką chorobą — trądem. Wina tego człowieka była widocznie bardzo ciężką, skoro nawet św. Prokop nie mógł mu pomódz. Rozpacz popchnęła trędowatego aż do kradzieży szat świętego męża, bo spodziewał się uleczenia, jeśli je przywdzieje. Tak się nie stało na razie, ale św Prokop ulitował się nad nim i obwieścił mu tajemnicę — swoją śmierć, która miała nastąpić za 3 dni, a po której szaty tesame miały uleczyć biedaka.

XVI.

Śmierć św. Prokopa.

Jak to Prokop przepowiedział
Stało się; sił coraz więcej
Ubywało jego ciału.
Zwołał tedy wszystkich mnichów,
Którzy z twarzą zasmuconą
Przeczuwali, co nastąpi.
Nawet jeszcze nie przemówił,
A już jęki żałośliwe
Popłynęły jego celą;
Nawet jeszcze nie przemówił,
A już łzy się potoczyły
Pełnym prądem z oczu braci;
Nawet jeszcze nie przemówił,
A już brat dłoń ściskał bratu,
A już druh pocieszał druha,
A z ust wszystkich mogłeś czytać:
„Co się teraz z nami stanie?"
Wreszcie brata Wita usty
Przemówili, dłoń całując
Schorzałego, jego szaty:
„Nie czyńże nas sierotami,
Nie opuszczaj, ojcze, dzieci!"

Prokop podniósł się na łożu,
Boska aureola złota
Uwieńczyła głowę jego,
I rzekł jeszcze silnym głosem:
„Bracia moi, com tak często
Wam zalecał, to powtarzam:
Wiele zdoła siła ducha
Wiele wiara i nadzieja,
Ale wszystko tylko miłość;
Toteż wszyscy się miłujcie!
Nie śmiem, bracia, taić tego,
Że po śmierci mojej rychło
Wieczna klątwa czeskiej ziemi,
Podły pociąg do obczyzny,
Wygna was z tych oto celek,
Że z tej ziemi, waszym potem
Zurodnionej i skropionej,
Obcy będzie ciągnął zyski.
Że w gniazdeczku tem jaskółczem
Usadowi się rój sępów.
Nie śmiem nic przed wami taić,
Chcę, żebyście byli silni,
Silni ziemi swej miłością,
Która potrzebuje zawsze
Każdej ręki pracowitej,
Każdej głowy, gdy myśląca!
Silni też miłością wspólną,
Bo przy tej się wszystko wiedzie;
Silni pracą śród utrapień,
W uległości i pokorze
Wobec wszechmocnego Boga!"

Płacz i łkania przeszkodziły
W dalszej mowie Prokopowi,
Tak, że aż po długiej przerwie
Zdołał podjąć rzecz na nowo:
„Bądźcie silni! Długi szereg
Mnogich lat was nauczałem
Świętej pracy, — prowadziłem,
Toż możecie znieść po mężku
Trochę biedy, przeciwności,
Na wygnaniu sześcioletni
Zagranicą nawet pobyt.
Gdy Spitygniew książę zginie,
Znów Wratysław was powoła*),
Bóg wam hojnie wynagrodzi,
Coście zań musieli cierpieć.
Lecz o jedno teraz proszę,
O to błagam was usilnie.
Jutro umrę przed świtaniem;
Noc ostatnią chcę przepędzić

*) Spitygniew II (1055–61), syn Brzetysława, następcy Oldrzycha na tronie czeskim, wypędził mnichów czeskich z klasztoru sazawskiego i wprowadził na ich miejsce niemieckich z Brzewnowa; dopiero Wratysław II. (1061–92.), brat i następca Spitygniewa, sprowadził mnichów, którzy schronili się byli do Węgier, napowrót

W lesie w ulubionej grocie,
Gdzie tak wiele lat przeżyłem,
Zanim Pan Bóg mię powołał
Do wielkiego dzieła swego.
Rychło się wybierzmy w puszczę,
A po drodze możem nucić
Starodawny ojców chorał.
W drogę, bracia! Wprawdzie ciężka
Jest rozłąka, lecz w niej życie."

I jakgdyby nie czuł nawet
W ciele swem choroby grotu,
Silnym powstał jak zwyczajnie.
Zapadł mrok, gdy z wrót klasztornych
Długi orszak się wychylił
Nucąc głośno hymn prastary:
„Hospodine, pomiluj ny!"
Ze wzruszenia drżał głos wszystkim,
Wszystkim w oczach łzy stawały!
Zwolna szli, po drodze Prokop
Dookoła się rozglądał;
Znał tu każdą darń i miedzę,
Każdy pień i każdą ścieżkę.
Rozglądając się tak mówił:
„Patrzcie! i przyroda idzie
Spać, jak ja, — oboje wstaniem;
Niema bowiem śmierci wiecznej"
Zwolna szli, gdy nagle brzęczeć
Coś poczęło nad ich głową;
Obejrzeli się, — dokoła
Roje złotych pszczół latały
Ponad głową Prokopową,
By mu odtąd towarzyszyć
Do jaskini, która niegdyś
Była pierwszą ich ojczyzną.
Weszli w las — z gałęzi każdej
Do nóg padał im deszcz liści,
Aby Prokop nie obraził
Sobie nogi o kamienie;
A co kwiat — to nowe wonie.
Szli, a wtem już otwór groty
Zdala witał ich znajomy;
Krzak zatrzeszczał przed Prokopem,
Łania wyszła, zabeczała
I poczęła dłoń mu lizać.
Weszli w grotę, w wodospadach
Bluszczu lśniła się po brzegi;
Odnaleźli stare łoże,
Pełne mchu; tymczasem pszczoły
Do przedsionka się wróciły
W starą dziuplę ponad wejściem.
Prokop rzekł: „Was proszę, bracia,
Teraz wyjdźcie z tej jaskini!
Sam chcę całą noc przepędzić
Tu, jak dawniej, na rozmowie
Z Panem Bogiem i swą duszą".
Przytem podał dłoń każdemu,
Którą deszczem łez zrosili
Wszyscy mnisi. — Już odeszli.

Sam więc w grocie leżał Prokop,
Sam, dokoła ciemność, cisza.
Trwoga gardło mu ścisnęła,
Z nią pragnienie się złączyło,
Pot wystąpił na skroń zimną,
Piersi ciężko oddychały;
Dusza, życiem utrudzona,
Wpadła w koło mar dziwacznych
Strach ją zdjął. Bezładnie wszystko
Wirowało mu po głowie:
Tłumy dyabłów — stare bogi,
Walka z żubrem — łania, pszczoły,
Niemcy mnisi, las i klasztor.
Słyszał dziwne, obce pieśni,
Alleluję i Hosannę;
Gromów wir, głos trąb donośny,
Zgiełk myśliwych, łowy, pogoń,
Dzika jazda napowietrzna,
Gwiazdy wielkie, niby słońca,
W piersiach jego wirowały.
I ów starzec gigantyczny,
Co go ujrzał niegdyś w lesie,
Gdy obalał pierwsze drzewa,
Zjawił mu się w całej grozie,
Wziął go w swe ramiona silne,
Zgniatał kości jego swemi —
A w tym gwarze dzikich głosów
Dominuje wciąż hymn duchów
Coraz głośniej, jako burza,
Im wtórują trawa dolin,
Dęby zrębów, gwiazd przestworza,
Niebios krąg i nieskończoność:
Alleluja! Alleluja!
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
Rano z trwogą cicho weszli
Do jaskini wszyscy mnisi;
Prokop leżał na swem łożu
Nieruchomy, z twarzy bił mu
Spokój i łagodny uśmiech
A przez otwór, którym niegdyś
Dyabłów tłum z jaskini zmykał,
Zaglądało złote światło,
Zrumienione lekko zorzą,
I oblało twarz Prokopa
Dziwnym blaskiem. Cisza w koło:
Tylko tuż przy łożu samem
W gęstym mchu króliki leśne
Bawią się jak zwykły zawsze.

Pieśń XVII. o napisie takim, jak p. I., stanowi nietylko artystyczne, często nawet przez powtórzenia epickie podkreślone pendant do pieśni początkowej, lecz także pod względem myślowym; tylko że tu nie dyabły uciekają, ale mnisi niemieccy, sprowadzeni przez Spitygniewa na Sazawę, a wypędza ich znowu św. Prokop już po swej śmierci. Prostem, a jednak do głębi przejmującem jest zakończenie:

Ty Prokopie, wiesz to lepiej,
Niż poeta, co wzruszony
Pióra zdzierżyć już nie zdolen,
Że powinienbyś znów powstać,

Znów wyczyścić czeskie kraje,
Oswobodzić je, wykupić!
Czyś zapomniał o nas, ojcze,
Czy też wstydzisz się swych wnuków?
Pomyśl o nas, nie daj zginąć
Wszystkim nam i przyszłym Czechom,
Póki będą pamiętali
O spuściźnie wielkich ojców!
Stójże przy nas, a twą pamięć
Błogosławić będziem wdzięczni
Po najdalsze przyszłe wieki!

Kilka słów

o przystosowaniu ustrojów w przyrodzie.

(Dokończenie.)

Ale nie chciejmy znowu myśleć, że poza niekorzystnymi wpływami samej przyrody nic więcej nie zagraża życiu zwierzęcia; boć przecie cała walka o byt, werbująca w swe szeregi wszystko, co tylko rości sobie prawo do życia, jest wymownym dowodem, że dzieje się inaczej. Jeden osobnik czyha na drugiego. Zaledwie przystosował się do grymasów przyrody, a oto już musi gotować się do walki z nieprzyjacielem, który pragnie uczynić go ofiarą swego głodu. W takich walkach przeważa głównie prawo pięści: silniejszy zwycięża, słabszy płaci haracz własnem swojem życiem. Istnieją jednak ustroje tak wątłe, tak słabe, tak pozbawione szans zwycięstwa, gdy idzie o siłę, że nie mogłyby żadną miarą ostać się w tej ogólnej gonitwie za bytem i wyginęłyby z pewnością na zawsze.

Przystosowanie jednak przychodzi im z pomocą i to nietylko wówczas, gdy chodzi o samą obronę, ale i wtedy, gdy się rozchodzi o zaspokojenie potrzeb własnego ustroju, o zdobycie pokarmu.

Pamiętam jak dokładnie musiałem wpatrywać się w dno akwaryum stacyi zoologicznej w Neapolu, by zobaczyć płaszczkę, zagrzebaną do połowy ciała w rzecznym namule. Był to — o ile przypominam sobie — tzw. *Rhombus levis*, naśladujący istotnie łudząco piasek, lub raczej żwir rzeczny, powierzchnią swego grzbietu. Powtarzam grzbietu, gdyż powierzchnia brzucha miała barwę białą, podobną do barwy brzusznej wielu innych zwierząt, aby tem łatwiej zmylić nieprzyjaciela. W innym znów basenie widziałem rybę *Scorpena porcus*, przystosowaną tak znakomicie barwą i kształtem do sąsiednich kamieni, że byłbym nie prędko zwrócił na nią uwagę, gdyby nie zdradziły jej oczy czerwone.

Także mnóstwo zwierząt tzw. pelagicznych, tj żyjących tuż prawie pod powierzchnią wody, posiada barwę ciała podobną do barwy wody, a więc przeźroczystą jak szkło, np. liczne meduzy, osłonice, wiele larw mięczaków itp. Niektóre znów kształtem ciała, barwą, nawet rysunkiem, naśladują wiernie żywą przyrodę. Liściowiec żyjący w gorących krajach a nazwany tak od górnej pary skrzydeł, która we wszystkiem naśladuje postać liścia, mieszkaniec Sumatry *Kallima paralecta*, owad *Phasma* podobny do suchych gałązek, i wiele innych, stanowią liczne przykłady w tej mierze. Łatwo zrozumieć, że zwierzę takie, obdarzone podobnemi własnościami ciała, uchodzi niedostrzeżone zagłady, samo zaś może niewidzialnie czyhać na zdobycz, którą często jeszcze przywabia w sposób wielce dowcipny jak np. *Uranoscopus* wężykowatym ruchem języka naśladujący robaka wijącego się na dnie morza.

Niezmiernie ciekawe przykłady przystosowania polegają na tzw. spółce życiowej czyli s y m b i o z i e. Jak już sam wyraz wskazuje, łączą się ze sobą dwa, czasem więcej osobników, gotowych znosić dobrą i złą dolę, a równocześnie możliwie uwygadniać sobie życie. Mógłby ktoś wnosić, że osobniki te muszą być koniecznie jednego gatunku. Ale gdzie tam! Pod tym względem panuje zarówno w świecie zwierzęcym, jak i roślinnym, wzorowa harmonia; bo nietylko dwie zupełnie sobie niepokrewne istoty ze świata zwierzęcego łączą się ze sobą, ale nawet przedstawiciele dwu odrębnych światów zawiązują taką spółkę dożywotnią. Można więc zauważyć wodorosty w ciele jamochłonów, mrówki wśród liści wielu zwrotnikowych roślin itp. Takie np. wodorosty nie odgrywają tu wcale roli jakichś pasorzytów, owszem, oddają zwierzętom tlen, same zaś ukryte w ich ciele zużytkowują dla siebie dwutlenek węgla, który zwierzę wydycha z ciała. Wiemy również o szczególnej sympatyi mrówek do mszyc, hodowanych nawet często w mrowiskach, wypędzanych na paszę, słyszeliśmy może również o pewnym chrząszczyku (*Claviger testaceus*), którego mrówki karmią i pielęgnują dla wo

ni, wydzielanej przezeń; zdaje się jednak, że najbardziej zajmie czytelników istotnie ciekawy fakt współżycia pewnego raka morskiego z polipem.

Rak ten nazywa się pustelnikiem (*Pagurus*). Nie jest on zbyt wielki, nie dorównywa zwyczajnie wielkością naszemu rzecznemu, a przynajmniej go nie przewyższa, sposób jednak jego życia przedstawia wiele nader ciekawych szczegółów. Ledwie bowiem opuści jajeczko, z którego powstał i dorośnie do 8 mm., poczyna oglądać się za mieszkaniem dla siebie, czyli mówiąc jaśniej — za domkiem ślimaczym, odpowiednio wielkim, a pozbawionym zwyczajnie swego właściciela. Jeżeli zaś gospodarz mieszka jeszcze wewnątrz, to i wówczas nie robi z nim wielkich ceremonii. Wygryzie go, a następnie odwłokiem innym, jak naszych raków, bo pozbawionym chitonowego pancerza, wciska się na miejsce byłego lokatora.

Odwłok ten, zaopatrzony na końcu rodzajem haczyków, zaczepia jak kotwica wnętrze muszli tak silnie, że przy sztucznym wydobywaniu raka z jego oryginalnej kryjówki przedrze się prędzej ciało na dwie części, niż wyjmie wraz z odwłokiem. W miarę, jak zwierzę rośnie, musi zmieniać mieszkanie; muszla bowiem nie wzrasta z nim, jak np. pokrywy małży, lub skorupa żółwia. Przy zmianie jednak zachowuje wszelkie środki ostrożności, jak gdyby obawiał się, by miękki jego odwłok nie padł ofiarą żarłoczności której z ryb morskich, ogląda nowe ubikacye, do których chce się wprowadzać, mierzy ich objętość i wreszcie po dostatecznem zbadaniu, obejmuje je na własność, wsuwając się tyłem.

Ale nie na swoją wyłączną! Bo oto na górę pomieszkania nasadza sobie tzw. ukwiał, zwyczajnie *Adamsię palliatę*, jeden, a nieraz kilka. Niebawem wywiązuje się jak najgorętsza przyjaźń między obydwiema tak różnemi od siebie istotami. Pustelnik zna swego towarzysza, stara się o niego, a nawet wówczas, gdy przenosi się do nowego mieszkania, zabiera go z sobą. Przyjaźń ta jednak nie jest zbyt idealną; wyrosła bowiem na gruncie wspólnego interesu i korzyści. Aby zaś zrozumieć na czem ten interes polega, należy sobie przypomnieć, co to jest ukwiał i jak żyje.

Wyobraźmy więc sobie rurę, której otwarty koniec, tzw. otwór ustny obrastają dokoła dłuższe lub krótsze czułki, malowane nieraz w przecudne tęczowe barwy; czułki te są opatrzone pęcherzykami, które zawierają ostrą, parzącą ciecz, służącą za obronę przeciw napastnikowi. Rura taka przyrośnięta drugim końcem do jakiegoś podłoża, poluje zapomocą ruchliwych czułek na zdobycz, która przypadkowo nadpłynie w tę stronę. Łatwo zrozumieć, że nieraz długi czas ukwiał musi czekać na taką sposobność i pilnie śledzić, co dzieje się wokoło niego. Siedząc natomiast na muszli pustelnika, koczuje nieustannie z miejsca na miejce, a koczownictwo to ułatwia mu nader zdobycie sobie pokarmu.

Zresztą pieczę o pokarm obejmuje często sam gospodarz. Tak np. *Adamsia*, żyjąca w spółce z *Eupagurem Prideauxii* zwrócona jest zwykle otworem ustnym ku ziemi, ażeby z ziarnkami piasku, które *Eupagurus* podrzuca nogami, mogła połykać także liczne drobniuchne żyjątka. Tymczasem pustelnik, ubrany nieraz kilku ukwiałami, ktore naśladują do złudzenia najcudowniejsze kwiaty, kryje się pod tym pływającym ogrodem, niewidzialny dla zdobyczy, na którą poluje, a zarazem i zabezpieczony przed napaścią dzięki parzawkowym narządom ukwiału. Tak żyje sobie swobodnie; smutnym jest jednak jego los, gdy do spółki życiowej zawezwie gąbkę. Ta bowiem, rozrastając się silnie, zakrywa sobą szczelnie otwór, przez który pustelnik wysuwa zwyczajnie głowę i przednią parę odnóży, przyprawiając w ten sposób dobroczyńcę swego o śmierć

I wśrod ludzi nie dzieje się czasem lepiej!

Witold Schreiber.

Rozmaitości.

(Drobne zapiski, zabawa, sport i t. p.)

Latawce. We Francyi i w Ameryce ulepszono budowę latawców czyli orłów i zabawka ta stała się środkiem badań naukowych.

Puszczono w tych celach we Francyi latawce, zaopatrzone w przyrządy, dosięgły 3400 metrów, do czego trzeba było 6 kilometrów sznurka. Uczeni chcą ich użyć do sprawdzenia barometrycznych wymierzań gór.

Z wydawnictw polskich zasługuje na szczególne polecenie Biblioteka im. Klementyny Tańskiej, której tom I. stanowi książeczka M. Śleczkowskiej „Z naszego skarbca“; przeznaczona dla młodzieży z niższych klas szkół średnich, nie odpowiada wprawdzie wiekowi naszych czytelników, ale iluż z nich posiada młodsze rodzeństwo, któremu rodzice chcieliby ofiarować pożyteczną rzecz na gwiazdkę. A mało które dziełko spełni w tym kierunku swoje zadanie tak dobrze jak wspomniane, poświęcone szczególnie wypadkom z naszej niedawnej przeszłości

Zagadnienia naukowe.

Nr. 51. Kto jest autorem znanej pieśni „Tysiąc walecznych przysięga w Warszawie etc“?
Nr. 52. W którym kraju zdarza się najwięcej burz elektrycznych (z grzmotami i błyskawicami) a w którym najmniej?
Nr. 53. Gdzie są najbogatsze pola dyamentowe w południowej Afryce?
Nr. 54. Skąd pochodzi nazwa dorożki „fiakier“?
Nr. 55. Jak można oznaczyć wysokość gór i głębokość dolin na księżycu?

Nagrody: *Nansen*, Podróż do bieguna północnego (2 tomy) i *Szokalski*: Rozwój umysłowości w przyrodzie.

Odpowiedzi należy przysłać do 20. grudnia b. r.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 46—50.

Nr. 46. Koso albo kusso są to listki kwiatu rośliny różowatej „Hagenia abyssinica“, rosnącej na wyżynie abissyńskiej. Robi się z nich kussynę, proszek, używany jako lekarstwo na tasiemca (solitera).
Nr. 47. Na ziemi w ogólności — są częstsze zaćmienia słońca niż księżyca, ale całkowite zaćmienia słońca są rzadsze, niż całkowite zaćmienia księżyca. W pewnem oznaczonem miejscu — częstsze są zaćmienia księżyca.
Nr 48. Diamagnetyczne są wszystkie ciała, na które magnes działa inaczej, niż na żelazo (np. fosfor, bizmut i t. d).
Nr 49. Przedmioty monosymetryczne (w nauce rysunków) są te, które tylko jedną linią mogą być podzielone na dwie zupełnie symetryczne połówki. Polisymetryczne zaś czyli foremne są takie, które mogą mieć więcej takich linii.
Nr. 50. Po sześciu miesiącach, t. j przy trzeciej racie.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. listopada b. r

Bochnia: Z. Kerekjarto (nr. 47, 48), Brzeżany: Bednarowski Adolf (wszystkie), W. Pacławski (46—48), Kraków: M. Dziurzyński (47, 48), Σφίγξ (pseudonim, 47—49) W. Smolka (46), Lwów.: Ἀνήρ (pseud. 46—48), Atlas K. (49), E. Byk (46—48, 50), Chrupowicz F. (47, 48). Dubieński A. (46—48), Gieruszyński F. (46, 47), Sośnicki K. (47, 48) K. Stadtmüller (46—49), Studiosus (pseud 46), Witoszyński R. (46—48), Tarnów: J. Gocal (47—50) Laczyka K. pseud (47, 49) E. Stamm (47, 48), Wadowice: Jura A. (47, 48) Wł. Thom (47, 48).

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Witoszyński R. weLwowie (Tyndall, O świetle) i K. Laczyka (pseudonim) w Tarnowie (Podręcznik dla samouków).

Łamigłówka kryształowa.

(z literatury; *ułożył prenum T. S*)

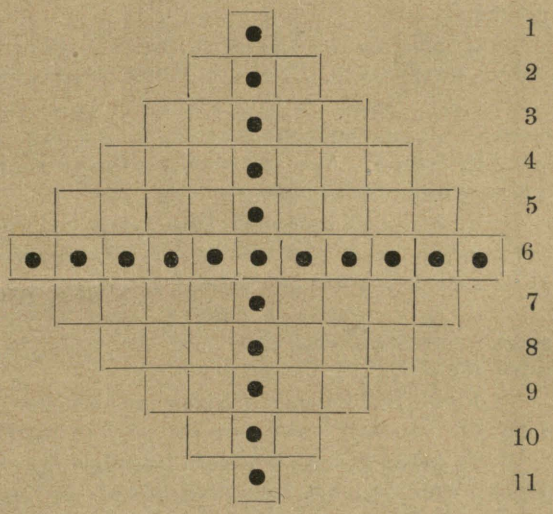

1. Spółgłoska, 2. Pseudonim współczesnego powieściopisarza polskiego. 3. Poeta polski XIX w. 4. Współczesny polski historyk literatury, 5. Krytyk polski, 6. Poeta dramatyczny, 7. Heraldyk polski, 8. Postać z „Balladyny“, 9. Autor polski z XVII w, 10. Poeta polski, 11. Spółgłoska

Rozwiązania należy przysłać do 20. grudnia b. r.

Rozwiązanie zadania konikowego:

Łatwiej urość w sławy dymie,
Niż utrzymać sławne imię;
Łatwiej sypnąć światu dary,
Niż zapłacić dług swój stary.

Łatwiej w życiu dojść szczytności,
Łatwiej nawet się poświęcić

I do cnoty świat zachęcić,
Niż dopełnić powinności.

(Z poezyi Winc. Pola).

Trafne rozwiązanie nadesłali do 20. listopada b. r :

M. Agopsowicz we Lwowie, A. Bednarowski w Brzeżanach, A. Jura i W. Thom w Wadowicach.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

A. B. Jeżeli numer się spaźnia proszę reklamować (kartką bez marki); za przesyłkę serdecznie dziękujemy. Co do prac uczniów proszę odczytać artykuł na czele tego numeru. Szczerość Sz. Prenumeratora bardzo się nam podoba, więc i my równie szczerze odpowiadamy, że z poparciem wiadomej sprawy na razie jeszcze trochę poczekamy.

Amicus amico. Wierzymy, że to była omyłka. Adres sprostowano. Dzięki za dobrą wiadomość.

Ἀνήρ. Może ów nieprzyjaciel naszego pisma nawróci się z nowym rokiem. W każdym razie przykro nam, że, choć niewinnie, staliśmy się przyczyną waśni dwóch kolegów.

Hercules. Mineralogia Dra. Altha już wyczerpana chyba w antykwarni będzie. Niemiecka Güricha „Mineralreich“ kosztuje 3 zł 60 ct.

J. M. Z czasem i temu życzeniu stanie się zadość. Zresztą proszę przeczytać artykuł „Od wydawnictwa“.

K. S. Dziękujemy. Obecnie, po maturze, może żeby Sz. Pan mógł nam przysłać jaki artykuł?

Mrówka Zawsze wdzięczni jesteśmy, gdy czytelnicy sami poddają nam jakiś temat do opracowania. Pomyślimy o tem, co Sz. Prenumerator nam doradza a nawet ogłosimy wkrótce konkurs na podobny temat.

R. W. W. Zażalenie przekazaliśmy administracyi. Co do drugiej sprawy, obawiamy się, żeby to nam zbyt dużo miejsca nie zabrało. Zresztą zastanowimy się nad tem.

Sfinx. Cena „Wyboru pism Orzeszkowej“ w oprawie wynosi 3 złr. 20 ct Pisma Sienkiewicza, dodawane jako premium do „Tygodnika illustrowanego“ (co roku 12 tomów) nie sprzedają się osobno w tem wydaniu. W wyd. z r. 1898 każdy tom kosztuje 1 zł 30 ct. Każdy tom zbiorowego wydania powieści historycznych Kraszewskiego kosztuje 60 ct.

S. Z. Co do „Grażyny“ oba zdania mogą być po części słuszne, gdyż w tym utworze łączą się pierwiastki klasyczne i romantyczne, zarówno co do treści jak i co do formy. Zresztą polecamy odczytać wstęp do Grażyny, (pióra Dr. Bruchnalskiego) w III. tomie pism Mickiewicza w wydaniu Towarzystwa im. Mickiewicza. Do życiorysu Chopina podajemy: Karasowski, Tarnowski (Chopin i Grottger), Hösick, Liszt, Niecks. W październikowych numerach wielu pism z roku bieżącego pojawiły się też liczne artykuły o Chopinie.

Strachota. Podobne zestawienia nie są niczem usprawiedliwione, gdyż każdy autor musi być oceniany na tle swojej epoki, a między wiekiem 16. a 19. jest nie mała różnica.

Od administracyi.

Szanowni pp. Abonenci zechcą łaskawie wcześnie nadsyłać przedpłatę na rok 1900, abyśmy mogli uregulować wysokość nakładu.

Jak najuprzejmiej prosimy Szanownych Abonentów, którzy dotąd zalegają z przedpłatą, o jak najrychlejsze przysłanie przypadającej za rok 1899 należytości prenumeracyjnej.

Pozostałą nam jeszcze szczupłą liczbę roczników naszego pisma zbroszurowanych i z osobną okładką możemy zbywać, ale tylko do końca b. r., po 2 zł. 20 ct. wraz z opłatą pocztową.

Wydawca:

Leopold Wajgiel.

Odpowiedzialny redaktor:

Henryk Kopia.

Treść: Od Wydawnictwa — *Szlejhar*, Moja wigilia. — *Denikier* Rasy i ludy europejskie. — Miłość Ojczyzny w poezyach Asnyka przez *T. Piniego* (dok) — *Vrchlicky*, Legenda o św. Prokopie (dok) — Kilka słów o przystosowaniu ustrojów w przyrodzie przez *W. Schreibera* (dok) — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe. — Łamigłówka kryształowa. — Skrzynka pocztowa Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

IV